

Fritz Leiber

Wędrowiec

(Przełożyła Julita Wroniak)

- *A może kanał międzyprzestrzenny?*

- *Hm... całkiem możliwe.*

W jednej chwili kosmos był pusty, w następnej pełen okrętów wojennych.

Planety. Siedem planet. Tak uzbrojonych i silnych, jak mogą być tylko planety.

dr Edward E. Smith "Second Stage Lensmen"

O, Tygrysie, w gęstwinie nocy

Gorejący, jakiej mocy

Nieśmiertelna dłoń lub oczy

Mogły stworzyć twej symetrii grozę?

W jakiej głębi czy nieba oddali

Twoich oczu ogień się palił?...

I w jakim tyglu żądz twych płomień?...

William Blake W. Blake, "Tygrys",

przełożył Roman Klewin.

I widziałem, gdy otworzył szóstą pieczęć, a oto stało się trzęsienie ziemi, a słońce szerniało jako wiór włosiany, i księżyc wszystkich stał się jako krew.

A gwiazdy niebieskie padały na ziemię tak, jako drzewo figowe zrzuci z siebie figi swoje niedostate, gdy od wiatru wielkiego bywa zachwiane.

A niebo ustąpiło jako księgi zwinione, a wszelka góra i wyspy z miejsca się swego poruszyły...

I zatrąbił trzeci anioł, i spadła z nieba gwiazda wielka, gorejąca jako pochodnia, i upadła na trzecią część rzek, i na źródła wód.

Objawienie św. Jana

Prawdziwe podróże międzygwiazdne stały się po raz pierwszy możliwe, kiedy za pomocą odpowiednio ustawionych czasowo i przestrzennie impulsów rakietowych oderwano planetę od jej naturalnej orbity i wysłano w kosmos z prędkością znacznie większą od normalnych prędkości planetarnej i gwiazdnej...

A potem nastąpiły wojny, jakie nigdy jeszcze nie miały miejsca w naszej galaktyce. Floty światów, prawdziwych i sztucznych, manewrowały między gwiazdami i niszczyły się subatomowymi

promieniami dalekiego zasięgu. W miarę jak walka obejmowała dalsze obszary przestrzeni, całe układy planetarne ulegały zagładzie.

Olaf Stapledon "The Star Maker"

Rozdział 1

Opowieści o katastrofach i nadprzyrodzonych zjawiskach zaczynają się na ogół od ukazania się w rombie okna twarzy oświetlonej blaskiem Księżyca, od starych rękopisów pokrytych wyblakłym pismem albo od rozlegającego się po pustych wrzosowiskach wycia psa. Ta historia zaczęła się jednak od zaćmienia Księżyca i od czterech nowych, lśniących fotografii astronomicznych, z których każda przedstawiała pola gwiazdne i obiekt planetarny. Tylko że... coś dziwnego stało się z gwiazdami.

W chwili gdy nastąpiło zaćmienie, upłynęło dopiero siedem dni od wywołania pierwszej fotografii. Jedna z nich pochodziła z teleskopu umieszczonego na sztucznym satelicie, a pozostałe z trzech odległych od siebie obserwatoriów. Były to wyryte przez gwiazdy runy najczystszej wiedzy - stanowiły krańcowe przeciwieństwo wszelkich zabobonów, a jednak każda fotografia budziła niepokój w młodym naukowcu, który pierwszy je oglądał.

Patrząc na fotografię widział czarne kropki, które powinny były na niej się znajdować... ale widział też niewyraźne czarne zygzaki, których być nie powinno. Ogarniało go wtedy mgliste poczucie nierealności przybliżające go na chwilę do jaskiniowców, czcicieli szatana i ludzi średniowiecza, żywiących lęk przed czarownicami.

Wszystkie cztery fotografie, uznane za dokumenty najwyższej wagi, dotarły do Los Angeles do Dowództwa Projektu Księżycowego przy amerykańskim lotnictwie kosmicznym - siedziby amerykańskich badań Księżyca, które ledwo dorównywały radzieckim i pozostawały daleko w tyle za radzieckimi badaniami Marsa. Toteż Dowództwo Amerykańskiego Projektu Księżycowego ogarnął niepokój, a nawet lęk, choć - jak zawsze kiedy naukowcy stają wobec spraw pozornie nadprzyrodzonych - zbywano go ironicznym śmiechem, dając jednocześnie upust bujnej wyobraźni.

Te cztery fotografie - a właściwie to, co zwiastowały - wywarły wpływ na każdą istotę ziemską, na każdy atom naszej planety. Pozostawiły głębokie bruzdy w duszy każdego człowieka.

Przez nie tysiące ludzi straciło rozum, a miliony życie. Wywarły również wpływ na Księżyc.

Możemy więc zacząć tę opowieść od czegokolwiek - od Wolfa Lonera na środku Atlantyku, od Fritza Schera w Niemczech, od Richarda Hillaryego w Somerset, od Araba Jonesa palącego skręta z marihuaną w Harlemie, od Barbary Katz w czarnym kombinezonie skradającej się przez trawnik w Palm Beach. od Sally Harris szukającej mocnych wrażeń w Nowym Jorku, od Rudolfa Brechta sprzedającego pianina w Los Angeles, od Charlie'ego Fulby prowadzącego wykład o latających talerzach, od generała Spike'a Stevens'a pełniącego obowiązki szefa w amerykańskim

lotnictwie kosmicznym, od Ramy Joan Huntington interpretującej buddyzm, od Bagonga Bunga na Morzu Południowo-chińskim, od Dona Merriama w amerykańskiej bazie księżycowej, a nawet od Tigrana Biriuzowa na orbicie wokół Marsa. Moglibyśmy również zacząć od Tygryski lub od Miau, od Ragnaroka lub od prezydenta Stanów Zjednoczonych. Ale ponieważ byli oni blisko pierwszego ośrodka niepokoju pod Los Angeles i ponieważ mieli odegrać w tej historii decydującą rolę, zaczniemy od Paula Hagbolta, rzecznika prasowego Projektu Księżycowego, i od Margo Gelhorn, narzeczonej jednego z czterech młodych Amerykanów, którzy odlecieli na amerykańską bazę księżycową; zaczniemy również od należącej do Margo kotki Miau, którą czekała bardzo dziwna podróż; od czterech fotografii, choć w tym czasie były one jeszcze ściśle strzeżoną tajemnicą państwową a równocześnie zagadką, nie zaś zwiastunem nieszczęścia; i od Księżyca, który miał pogрузić się w połyskliwym mroku zaćmienia.

Wychodząc na trawnik, Margo Gelhorn ujrzała pośrodku nieba Księżyc w pełni. Satelita ziemski był wyraźnie trójwymiarowy: wyglądał jak nakrapiana, marmurowa piłka do koszykówki. Jego bladoczerwony odcień idealnie pasował do tego spokojnego wieczoru wyjątkowego na zachodnim wybrzeżu.

- O, jest ta dziwka Selena - powiedziała Margo. Paul Hagbolt ukazał się w drzwiach i roześmiał się niepewnie.

- Ty zupełnie serio traktujesz Selenę jak rywalkę - rzekł.

- Do cholery, rywalka to mało. Przecież ona zabrała mi Dona - odpowiedziała stanowczo blondynka. - Zahipnotyzowała nawet Miau.

Na rękę trzymała leżącą spokojnie szarą kotkę, w której zielonych oczach Księżyc odbijał się jak dwie przybrudzone perły.

Paul również skierował wzrok na Księżyc, a właściwie na punkt przy górnym jego brzegu, nad zaciemnionym obszarem Morza Deszczów. Nie mógł dostrzec krateru Platona z amerykańską bazą księżycową, ale wiedział, że powinien znajdować się w polu widzenia.

Margo powiedziała z goryczą:

- Nie dość, że muszę patrzeć na to ohydne cmentarzysko, wiedząc, że tam jest Don, wystawiony na wszystkie niebezpieczeństwa czyhające na tym pustkowiu, ale teraz, kiedy na dodatek pomyślę o tych fotografiach astronomicznych...

- Margo! - zachnął się Paul, oglądając się odruchowo. - To jest nadal tajemnica państwowa. Nie powinniśmy o tym mówić. W każdym razie nie tutaj.

- Przez ten Projekt Księżycowy boisz się własnego cienia. Przecież nic mi prawie nie powiedziałeś...

- W ogóle nic ci nie powinienem był mówić.

- A więc o czym mamy rozmawiać? Paul westchnął.

- Słuchaj - powiedział. - Myślałem, że mamy obejrzeć zaćmienie albo może pojechać na przejażdżkę...

- Ojej, zapomniałam o zaćmieniu! Księżyc jest chyba trochę ciemniejszy. Czy już się zaczęło?

- Na to wygląda - odparł Paul. - Już zresztą czas.

- Co będzie teraz z Donem?

- Nic specjalnego. Przez jakiś czas będzie tam ciemno. To wszystko. Aha, i temperatura wokół bazy księżycowej spadnie o jakieś dwieście pięćdziesiąt stopni.

- Lodowaty podmuch z siódmego kręgu piekieł, a on mówi: "to wszystko".

- To nie takie straszne, jakby się wydawało. Bo widzisz, temperatura w dzień wynosi tam jakieś sto pięćdziesiąt stopni - wyjaśnił Paul.

- Lodowate wiatry syberyjskie w połączeniu ze straszliwą spiekotą to dla ciebie pestka? A kiedy jeszcze pomyślę o tym drugim, nieznanym okropieństwie, sunąc/m z kosmosu w stronę Księżycyca...

- Przestań! - uśmiech znikł z twarzy Paula. - Ponosi cię wyobraźnia.

- Wyobraźnia? Przecież sam mi mówiłeś o czterech astrofotografiach, na których widać było...

- Nic ci nie mówiłem - w każdym razie nic takiego, czego byś nie zrozumiała opacznie. Nie, Margo. Nie chcę już o tym mówić. Ani wysłuchiwać tych bredni. Wejdzmy do domu.

- Do domu? Kiedy Don jest na Księżycu? Będę oglądała zaćmienie aż do końca. Z szosy nadbrzeżnej, jeżeli będzie jeszcze trwało.

- W takim razie - powiedział spokojnie - weź lepiej coś cieplejszego niż ta kurtka. Teraz jest ciepło, ale noce w Kalifornii są zdradliwe.

- A noce na Księżycu nie? Potrzymaj Miau.

- Po co? Jeżeli myślisz, że wpuszczę kotkę do samochodu...

- Bo mi za ciepło w kurtce. Masz, weź kurtkę i oddaj mi Miau. A dlaczego nie chcesz, żeby z nami pojechała? Kot to też człowiek. Prawda, Miau?

- Wcale nie. To tylko piękne zwierzę.

- A właśnie, że tak. Nawet twój wielki bóg Heinlein przyznaje, że koty to obywatele drugiej klasy, nie gorsze od buszmenów lub fellachów.

- Nie obchodzi mnie ta teoria, Margo. Po prostu nie mam zamiaru wieźć kabrioletem przerażonej kotki.

- Miau nie jest przerażona. To grzeczna panienka.
- A panienki charakteryzuje spokój? Spójrz na siebie!
- Nie zabierzesz jej?
- Nie!

Księżyc, odległy zaledwie o marne czterysta tysięcy kilometrów od Ziemi, powoli wchodził w cień planety i zmieniał stopniowo kolor z bladego w jasnobrazowy. Słońce, Ziemia i Księżyc ustawiały się w jednej linii. Było to już chyba dziesięciomiliardowe z kolei zaćmienie Księżyca. Doprawdy nic szczególnego, a jednak spod przytulnej pierzyny atmosfery ziemskiej po tej stronie Ziemi, gdzie zapadła noc, czyli nad Atlantykiem i w obu Amerykach, od Morza Północnego po Kalifornię, od Ghany po wyspę Pitcairn setki tysięcy ludzi - obserwowało ten widok.

Prawie wszystkie inne planety znajdowały się po przeciwnej stronie Słońca - daleko, niczym ludzie ukryci na drugim końcu olbrzymiego domu.

Gwiazdy lśniły w ciemnościach jak zimne, bezdenne oczy lub jak rozświetlone okna hen na przeciwległym brzegu oceanu.

Ziemia i Księżyc były jakby samotną parą grzejącą się przy ognisku słonecznym pośród ciemnego lasu ciągnącego się przez trzydzieści dwa biliony kilometrów. Przerażające osamotnienie, szczególnie jeżeli się pomyśli, że coś nieznanego sunie po lesie, podkłada się coraz bliżej, a gdy rozsuwa czarne gałęzie przestrzeni kosmicznej, sprawia, że gwiazdy zaczynają chybliwie migotać.

Daleko na północnym Atlantyku krople wody morskiej spadły na twarz Wolta Lonera i wyrwały go ze złego snu w samą porę, żeby przez ostatni postrzępiony prześwit wysoko na zachodzie między czarnymi chmurami zdążył zobaczyć miedzianą tarczę księżyca. Wiedział, że to z powodu zaćmienia Księżyc jest jakby przysłonięty dymem, ale we władzy snu, zdawało mu się, że Księżyc wola o ratunek z płonącego budynku - Diana w niebezpieczeństwie. Wzburzone czarne fale i silny wiatr wydymający żagle wkrótce rozmyły i zatarły niepokojący obraz.

- Równowaga psychiczna to rytm - powiedział sam do siebie Loner; nie było żywej duszy w zasięgu jego głosu, a właściwie, o ile mu było wiadomo, to i w zasięgu trzystu dwudziestu kilometrów - tyle bowiem, według jego obliczeń, dzieliło go od Bostonu w jego samotnej wyprawie ze wschodu na zachód, którą rozpoczął w Bristolu.

Sprawdził linę między grotzgiem a sterem, która utrzymywała siedmiometrowy jacht na właściwym kursie, a następnie wsunął się tyłem do kabiny nie szerszej od trumny, żeby w ciepłe wnętrza uciąć dłuższą drzemkę.

Pięć tysięcy kilometrów na południe od jachtu, "Prince Charles", luksusowy transatlantyk o napędzie atomowym, sunął jak płynący masyw skalny przez niewidzialną mgłę nakładających się na siebie fal radiowych w kierunku Georgetown w Gujanie i dalej ku Antylom. Pod klimatyzowaną, pogrążoną w ciemnościach kopułą kilka starszych osób, ziewając z powodu późnej pory, oglądało zaćmienie, a młode pary całowały się dyskretnie i trącały pieszczotliwie nogami w modnych długich, miękkich botkach, z głównej zaś sali balowej dobiegały przytłumione dźwięki przypominające daleki odgłos grzmotu - był to neojazzowy utwór oparty na motywach Wagnera. Kapitan Sithwise policzył na liście pasażerów znanych brazylijskich faszystów, z tych młodych i nieobliczalnych, i pomyślał, że pewno będzie rewolucja.

Ukryta w cieniu pod nowym moło w dzielnicy rozrywkowej Coney Island, szczupła Sally Harris trzymała ręce na szyi pod sterzącymi, trwale naelektryzowanymi włosami i uśmiechając się czekała cierpliwie, podczas gdy Jake Lesher usiłował rozpiąć jej na plecach stanik nie zsuwając eleganckiej czarnej sukienki.

- Wesolej zabawy - powiedziała - ale pamiętaj, że mamy obejrzeć zaćmienie ze szczytu dziesięciostopniowej rakiety w parku. Ze wszystkich dziesięciu szczytów po kolei.

- E, kto by tam chciał się gapić na Księżyc? To nudne, to okropnie nudne - stwierdził nieco zdyszany. - Sal, gdzie do cholery są te haftki i koniki?

- Na dnie kufra twojej babci - poinformowała go dziewczyna; zahaczyła pomalowanymi na srebrno paznokciami o dekolt - dzięki magnetycznemu zapięciu można go było powiększać lub zmniejszać zależnie od nastroju - i szarpnęła w dół.

- Magnetyczne urządzenie jest na dziobie, a nie na rufie, ty szcurze lądowy - powiedziała Sally i poruszyła wprawnie ramionami. - Widzisz! Rozumiesz teraz, dlaczego nazywa się "znikającym stanikiem"?

- Boże! - zawołał Jake - zupełnie jak świeże, gorące bułeczki. Och, Sal...

- Pobaw się - nozdrza dziewczyny rozchyliły się lekko - ale pamiętaj, że obiecałeś mnie wziąć na kolejkę górską, i bądź łaskaw ostrożnie się obchodzić z wypiekami.

Usiłując dostrzec przez gęstwinę czarnych chmur nad Nikaragą metaliczną powierzchnię jeziora Managua, don Guillermo Walker siedząc w samolocie doszedł do wniosku, że bombardowanie podczas zaćmienia warowni el presidente było pomysłem czysto teatralnym, rozpaczliwą improwizacją, równie absurdalną jak to, że w trzecim akcie "Decyzji algierskiej" głównej bohaterce, Jean, kazano być nagą pod przezroczystym negligem, co jednak nie uratowało sztuki przed całkowitym fiaskiem.

Okazało się, że w czasie zaćmienia zapada niepełny mrok i trzy myśliwce el presidente w ciągu kilku sekund mogłyby podziurawić na sito tę starą maszynę, kończąc tym samym Rewolucję Najlepszych, a przynajmniej udział w tym przedsięwzięciu don Guillerma Walkera, samozwańczego potomka i kontynuatora tradycji niegdysiejszego Williama Walkera, który w połowie dziewiętnastego wieku uprawiał korsarstwo w Nikaragui.

Nawet gdyby udało mu się wyskoczyć z samolotu na spadochronie i tak by go złapano. Podejrzał, że nie wytrzymałby obrabiania kijem elektrycznym używanym do pędzenia bydła i wrzeszczałby jak trzyletnie dziecko. Za jasno, za jasno!

- Ty nędzny aktorzyno! - krzyknął don Guillermo do uparcie świecącego Księżyca. - Nie możesz zejść ze sceny?

Trzy tysiące kilometrów od Wolfa Lonera i otaczających go czarnych chmur, nie opodał ciemnych zarysów eksperymentalnej elektrowni pływowej w Severn, poeta walijski, Dai Davies, pełen energii, choć pijany w dym, pomachał na dobranoc okopconemu Księżycowi, który opadał do bezchmurnego Kanału Bristolskiego za cyplem Portishead, gdy tymczasem pierwszy brzask gasił na niebie gwiazdy.

- Spij smacznie, Kopciuszku - zawołał Dai - umyj twarz i idź spać, ale jutro masz koniecznie wrócić!

Zupełnie trzeźwy Richard Hillary, chorowity powieściopisarz angielski, wtrącił z przekąsem:

- Tak to mówisz, Dai, jakbyś się bał, że już nigdy nie wróci, - Wszystko może się zdarzyć, mój Ricky - odpowiedział złowieszczco Dai, - Za mało myślimy o Księżycu.

- Ty myślisz o nim aż za dużo - odciął się Richard - wciąż tylko czytasz powieści fantastycznonaukowe. Rzygać się chce!

- Ach, literatura fantastycznonaukowa to dla mnie jak jedzenie i picie, no, przynajmniej jedzenie. Rzygać się chce? Pewnie przypomniał ci się smok z "Królowej Wieszczy" i wyobraziłeś sobie, jak najpierw wypływa książki znienawidzone przez Spensera, a potem dzieła zebrane H. G. Wellsa, Arthura C. Clarkea i Edgara Ricea Burroughsa?

- Literatura fantastycznonaukowa jest równie bezwartościowa, jak wszystkie formy sztuki, które zajmują się raczej zjawiskami niż ludźmi - stwierdził Richard bliski irytacji. - Ty, Dai, powinienes o tym wiedzieć. Przecież Walijszczy są życzliwi i serdeczni.

- Nie. Są nieczuli jak drewno - rzekł z dumą poeta. - Nieczuli jak ten oto Księżyc, który ma dla naszej planety znacznie większe znaczenie, niż kiedykolwiek będziecie w stanie zrozumieć, wy, sentymentalni heretycy, potomkowie Saksów i Normanów, pijacy pochrapający w knajpach,

zdegenerowani i mający obsesję humanitaryzmu.

Ruchem ręki wskazał elektrownię.

- Energia prosto od Mony.

- Dawidzie - nie wytrzymał wreszcie powieściopisarz. - Doskonale wiesz, że to cudo zbudowano tylko po to, żeby zatkać usta ludziom takim jak ja, przeciwnym - z obawy przed bombą - wszelkiemu stosowaniu energii atomowej, i proszę cię, nie nazywaj Księżycy Moną - to etymologia ludowa. Mona to wyspa walijska - inaczej Anglesey - nie ma natomiast walijskiego Księżycy. Dai wzruszył ramionami i dalej patrzył na blady, zachodzący Księżyc.

- Mona to ładne imię, a to jest najważniejsze. Cała cywilizacja to tylko smoczek, którym się zatyka usta niemowlęciu zwanemu ludzkością. A poza tym - dodał, uśmiechając się drwiąco - na Księżycu są przecież ludzie.

- Owszem - odparł chłodno Hillary. - Czterech Amerykanów i nieznana, ale niewielka liczba Rosjan. Zanim zaczniemy trwonić miliardy na podróże kosmiczne, powinniśmy zlikwidować nędzę i cierpienie.

- A jednak na Monie są ludzie zmierzający ku gwiazdom.

- Czterech Amerykanów. Mam więcej szacunku dla tego Lonera z Nowej Anglii, który w zeszłym miesiącu wypłynął z Bristolu na swojej łodzi. On przynajmniej nie twierdzi, że od sukcesu jego wyprawy zależy przyszłość świata.

Dai, wciąż patrząc na zachód, wyszczerzył zęby.

- Pal diabli Lonera, ten bezsensowny anachronizm! Pewno dawno utonął i ryby go pożarły. Ale Amerykanie piszą świetne książki fantastycznonaukowe i budują statki kosmiczne niewiele gorsze od radzieckich. Dobranoc, kochana Mono! Wróc z brudną twarzą, ale wróc koniecznie.

Rozdział 2.

Przez panoramiczny otwór w hełmie wypukłym jak kapelusz grzyba, wciąż do połowy spolaryzowany, żeby chronić oczy przed blaskiem słonecznym, porucznik Don Merriam z amerykańskiego lotnictwa kosmicznego obserwował, jak ostatni kolisty skrawek Słońca, zamglony już przez atmosferę ziemską, znika za solidną płaszczyzną ojczystej planety.

Ostatnie smugi pomarańczowego światła z niesamowitą wprost dokładnością przypominały Donowi, jak w zimie Słońce o zachodzie kryło się w plataninie czarnych gałęzi nagich drzew nie opodal farmy w Minnesocie, na której Don spędził dzieciństwo.

Odwracając głowę w prawo, w stronę miniaturowego pulpitu sterowniczego, językiem nacisnął guzik, żeby zmniejszyć polaryzację. ("Drogi do planet bez atmosfery uturują ludzie i długimi, giętkimi językami" - powiedział kiedyś komandor Gompert. "Może lepiej mrówkojady?" - podsunął Dufresne).

Na niebie wystrzeliły setki gwiazd - noc na pustyni zwielokrotniona, usiana cekinami. Perlista czupryna Słońca zlewała się z Drogą Mleczną.

Ziemię otaczał czerwony pierścień - światło słoneczne załamane przez gęstą atmosferę planety - który miał pozostać do końca zaćmienia. Pierścień, jaskrawy przy samej skorupie, przygasał o jedną czwartą średnicy Ziemi dalej, ale najjaśniejszy był przy tej krawędzi, za którą przed chwilą znikło Słońce.

Don nie zdziwił się, że środkowy obszar Ziemi jest czarniejszy, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć. W trakcie zaćmienia mleczna poświata Księżyca nie padała na Ziemię.

Don kucnął lekko odchyłony do tyłu i opierał się na lewej ręce - w tej pozycji lepiej mógł obserwować Ziemię, znajdującą się w połowie drogi do zenitu. Teraz jednak odepchnął się jedną ręką, a ruch ten, dopasowany do ospałej grawitacji Księżyca, wystarczył, żeby mężczyzna wstał. Don rozejrzał się dookoła.

Światło gwiazd i blask pierścienia nadały miedziany odcień ciemnoszarej równinie pokrytej miękkim pyłem sproszkowanego pumeksu i ferrytów magnetycznych.

Ongi, kiedy Cromwellowska Armia Nowego Wzoru rządziła Anglią, Heweliusz nazwał ten krater Wielkim Czarnym Jeziorem. Ale nawet w pełnym świetle Don nie zdołałby ujrzeć ścian Platona. Ten niemal półtorakilometrowej wysokości naturalny, kolisty watek, pięćdziesiąt kilometrów na wschód, północ, południe i zachód od Dona, według kierunków na Księżycu, ukryty był za wygięciem powierzchni Księżyca, powierzchni znacznie bardziej chropowatej niż ziemską.

Ten sam zawężony horyzont przysłaniał dolną część stacji księżycowej znajdującej się zaledwie sto metrów od Dona. Przyjemnie było widzieć między ciemną równiną a polem

gwiazdnym pięć małych błyszczących iluminatorów - a obok nich na tle gwiazd zarysy ściętych stożków trzech statków kosmicznych, stojących na trójnożnych podstawach.

- Jak się czujesz w tych egipskich ciemnościach? - odezwał się w słuchawce cichy głos Johannsena. - Odbiór.

- Ciepło i przytulnie. Nasza kochana Luna cię pozdrawia - odpowiedział Don. - Odbiór.

- A temperatura?

Kosmonauta spojrział przez otwór w hełmie na powiększone, fluoryzujące tarcze.

- Spadła poniżej dwustu stopni Kelwina - oznajmił, podając niemal dokładny odpowiednik siedemdziesięciu trzech stopni poniżej zera w skali Celsjusza.

- System SOS działa? - dopytywał Johannsen.

Don nacisnął językiem guzik i w hełmie rozległo się ciche, melodyjne buczenie.

- Głośno i wyraźnie, drogi kapitanie - powiedział wesoło.

- Słyszę - zapewnił go kwaśno Johannsen. Don wyłączył językiem aparat.

- Zebrałeś już plony? - padło następne pytanie. Johannsen miał na myśli małe, podtrzymywane na prętach kanistry, regularnie wystawiane na zewnątrz w różnych odległościach od stacji i zbierane po to, żeby sprawdzić przemieszczanie się pyłu księżycowego i innych substancji, między innymi specjalnie znaczonych atomów.

- Jeszcze nie naostrzyłem kosi - odparł Don.

- Nie śpiesz się - poradził mu Johannsen i z porozumiewawczym chrząknięciem wyłączył się. Rozmieszczanie i zbieranie kanistrów, jak obaj dobrze wiedzieli, stanowiło przede wszystkim pretekst do wystania kogoś z kosmonautów poza obręb stacji podczas największego zagrożenia wstrząsami sejsmicznymi - to znaczy wtedy, kiedy Ziemia i Słońce tak jak teraz przyciągały Księżyc od tej samej strony albo z dwóch przeciwnych stron, co miało nastąpić za dwa tygodnie. Sadzono, że skoro siła grawitacji wywołuje trzęsienie ziemi, może też powodować wstrząsy sejsmiczne na Księżycu. W bazie księżycowej nie notowano dotąd żadnych większych wstrząsów, jedynie leciutkie drgania, podczas których wahadło sejsmografu przytwierdzonego do pokrytej pyłem skały pod stacją prawie wcale się nie poruszało; mimo to Gompert postanowił wysłać kogoś ze stacji na kilka godzin co dwa tygodnie - w "nowiu Ziemi" i "pełni Ziemi" (to jest w czasie pełni lub w nowiu Księżyca, według terminologii ziemskiej, albo po prostu podczas pływów syzygijnych). Toteż gdyby zaszło coś nieprzewidzianego i stacja została poważnie uszkodzona, ktoś jednak mógłby się uratować.

Był to jeden z wielu przemyślnych środków ostrożności, jakie podjęto w bazie księżycowej w celu bezpieczeństwa. Ponadto miało się dobry, systematyczny sprawdzian wytrzymałości kombinezonów i zdolności personelu do pracy w pojedynkę.

Kosmonauta znów podniósł oczy i spojrzął na Ziemię. Otaczający ją pierścień stał się znacznie bardziej regularny. Nie mógł dojrzeć w ciemnym kole żadnego zarysu, chociaż wiedział, że wschodnia część Pacyfiku i obie Ameryki znajdują się po lewej stronie, Atlantyk zaś i zachodnie wybrzeża Afryki i Europy po prawej. Pomyślał o kochanej, nierozważnej Margo i o pocziwym nerwusie Paulu, ale doprawdy nawet i oni wydali mu się w tej chwili czymś nieistotnym - małymi zuczkami snującymi się pod korą atmosfery ziemskiej.

Spojrzął w dół - stał na lśniącej bieli. Powierzchnia Księżyca nie była w rzeczywistości biała, ale Don miał wrażenie, że świeżo spadły śnieg w Minnesocie, połyskujący w blasku gwiazd, został tu odtworzony z diabelską precyzją. Dwutlenek węgla ustawicznie wydobywający się przez miarki pumeks i ferryty z dna Platona skryształizował się w suche płatki, które tworzyły się bezpośrednio na warstwie pyłu lub od razu na nią opadały.

Don uśmiechnął się, czując się przez chwilę bliższy życiu na Ziemi. Luna jeszcze nie stała się dla niego matką - daleko jej było do tego - ale zaczynała z lekka przypominać oziębłą starszą siostrę.

Orzeźwiający morskie powietrze owiewało samochód, którym Paul Hagbolt, Margo Gelhorn i kotka Miau jechali szosą wzdłuż wybrzeża Pacyfiku. W regularnych odstępach czasu wylaniał się w blasku reflektorów podniszczony żółty znak drogowy, rósł, aż wreszcie ukazywał wyraźnie napis "Teren zagrożony" lub "Uwaga lawiny", po czym znikł w ciemnościach nocy. Szosa biegła po wąskim paśmie między plażą a niemalże pionowym, trzydziestometrowym urwiskiem skalnym, którego nawarstwienia wskazywały na bardzo wczesną erę geologiczną - skamieniały muł, piasek, żwir i inne osady - choć gdzieniegdzie sterczały większe kamienie.

Margo siedziała bokiem z podkurczonymi nogami, żeby móc lepiej obserwować przydymiony, miedziany Księżyc. Wiatr rozwiewał jej włosy. Na kolanach miała rozłożoną kurtkę, na której zwinięta w szary kłębek Miau spała smacznie, a przynajmniej doskonale udawała, że śpi.

- Zbliżamy się do Vandenberg Dwa - powiedział Paul. - Moglibyśmy obejrzeć Księżyc przez tamtejszy teleskop.

- Czy Morton Oppery tam jest? - zapytała Margo.

- Nie - odparł z lekkim uśmiechem Paul. - Ostatnio przebywa w Dolinie, w Vandenberg Trzy, i odgrywa wielkiego czarownika przed innymi teoretykami.

Margo wzruszyła ramionami i spojrzała w górę.

- Kiedy wreszcie Księżyc zniknie nam z oczu? - spytała. - Jest już ciemniejszy, ale wciąż po widać.

Paul wytłumaczył jej, dlaczego pierścień błyszczący.

- Ale jak długo trwa zaćmienie? - spytała, a kiedy Paul odpowiedział, że dwie rodziny, zaprotestowała:

- Myślałam, że to trwa kilka sekund. Wszyscy się denerwują, aparaty fotograficzne wypadają im z rąk, a tu już koniec.

- Tak się dzieje podczas zaćmienia Słońca - i to kiedy zaćmienie jest pełne.

Margo uśmiechnęła się i usiadła wygodniej.

- Opowiedz mi teraz o fotografiach gwiazd - poprosiła. - Nikt cię tutaj nie podsłucha. A ja jestem już znacznie spokojniejsza. Przestałam się martwić o Dona - po prostu znajduje się pod złocistą osłoną zaćmienia, a to mu niczym nie grozi.

Paul zawahał się.

Dziewczyna znów się uśmiechnęła. - Przyrzekam ci, że nie będę się denerwować. Chcę tylko zrozumieć, o co chodzi.

- Nie mogę obiecać, że coś zrozumiesz - odpowiedział. - Nawet wielkie sławy astronomiczne robiły tylko mądre miny i mruzczały pod nosem. Opperly też.

- Więc jak?

Paul wyminął obsunięte grudki żwiru i zaczął:

- Fotografie gwiazdne ogląda się zazwyczaj dopiero po latach, czasem w ogóle się ich nie ogląda, ale nasi w Biurze Projektu Księżycowego umówili się z kumplami z obserwatoriów, żeby ci im przekazywali zdjęcia, jeżeli będzie na nich coś niezwykłego. Mieliśmy fotografie już dzień po zrobieniu.

- Dodatek nadzwyczajny do atlasu gwiazdnego? - roześmiała się Margo.

- Właśnie! Pierwsza fotografia nadeszła tydzień temu. Przedstawiała pole gwiazdne i Plutona. Ale coś się stało podczas naświetlania i gwiazdy wokół Plutona znikły albo zmieniły pozycje. Sam widziałem tę fotografię - tam, gdzie najbardziej jaskrawe gwiazdy przy Plutonie zmieniły pozycję, zostały trzy niewyraźne wężyki. Czarne wężyki na białym tle, astronomowie oglądają tylko negatywy.

- Ściśle tajne - rzekła uroczystym tonem Margo. - Paul! - krzyknęła nagle. - W dzisiejszej gazecie był artykuł o człowieku, który twierdził, że widział, jak niektóre gwiazdy wirowały. Zapamiętałam tytuł artykułu: GWIAZDY SIĘ RUSZAŁY - MÓWI LEWOSTRONNY KIEROWCA.

- Czytałem ten artykuł - powiedział Paul i uśmiechnął się kwaśno. - Facet jechał kabrioletem i miał wypadek. Mówił, że tak go te gwiazdy zafascynowały. Okazało się, że był pijany.

- Tak, ale poparli go ludzie, z którymi jechał. A potem inni dzwoniли do planetarium,

meldując o tym samym.

- Wiem, do Biura Projektu Księżycowego też dzwoniли - rzekł Paul. - Zwykła masowa sugestia. Słuchaj, Margo, fotografię, o której ci mówiłem, zrobiono tydzień temu, a zjawisko można było dostrzec jedynie za pomocą niezwykle silnego teleskopu. Nie zwracajmy sobie głowy tym, co piszą gazety - zawsze w nich pełno bzdur typu latające talerze. A więc, mamy zdjęcie Plutona, przedstawiające trzy niewyraźne wężyki pozostawione przez gwiazdy. Ale słuchaj - Pluton wcale nie zmienił swojego miejsca! Na negatywie był czarną kropką!

- Co w tym takiego dziwnego?

- Zazwyczaj nikogo nie dziwi światło gwiazd ani nawet lekkie drżenie gwiazd. Powoduje to atmosfera ziemiska, tak jak w upalny dzień powoduje drżenie wzgórz - właśnie dlatego gwiazdy w ogóle migoczą. Ale w tym wypadku to, co zniekształciło światło gwiazd, musiało się znajdować za Plutonem. Po tej stronie gwiazd, ale za Plutonem.

- Jak daleko jest Pluton?

- Czterdzieści razy dalej od Ziemi niż Słońce.

- A co mogło zniekształcić światło gwiazd?

- To właśnie starają się rozgryźć nasi specje. Może jakieś pole elektryczne lub magnetyczne, ale musiałyby być niezwykle silne.

- No a co z innymi fotografiami? - zapytała Margo. Paul zamilkł na chwilę i wyprzedził warczącą ciężarówkę.

- Druga fotografia, zrobiona cztery noce temu przez naszego astrosatelitę i przesłana na Ziemię przez nadajnik telewizyjny, to właściwie ta sama historia, tylko że tym razem chodzi o Jowisza i pole zniekształceń jest większe.

- A więc to, co spowodowało zniekształcenie światła gwiazd, musiało być bliżej?

- Może. Ale warto dodać, że księżyce Jowisza nie zmieniły pozycji. Trzecia fotografia, którą oglądałem przedwczoraj, przedstawiała Wenus i jeszcze większe pola zniekształceń. Ale tym razem sama planeta zatoczyła wielki łuk.

- Jakby światło przesunęło się na tę stronę Wenus?

- Tak. Między Wenus a Ziemię. Oczywiście tym razem przyczyną mogły być drgania atmosfery, ale nasi sądzą, że to raczej wątpliwe.

Paul umilkł, - No - nalegała Margo - mówiłeś, że były cztery fotografie.

- Czwartą zobaczyłem dzisiaj - powiedział ostrożnie. - Zrobiona tej nocy. Jeszcze większe pole zniekształceń. Tym razem widać było skrawek Księżyca. Obraz Księżyca pozostał nie zmieniony.

- Paul! Na pewno właśnie to widział ten facet prowadzący wóz. To było dziś w nocy.

- Nie wydaje mi się - odpowiedział Paul. - Gołym okiem prawie wcale nie można dostrzec gwiazd w pobliżu Księżyca. Poza tym relacje laików nie mają żadnego z moczenia.

- A jednak wygląda na to, jakby coś się skradało coraz bliżej Księżyca. Najpierw Pluton, potem Jowisz, następnie Wenus, za każdym razem coraz bliżej.

Szosa skręcała na południe i miedziany Księżyc towarzyszący im w drodze zawisł teraz nisko nad Pacyfikiem.

- Poczekaj, Margo - zaprotestował Paul, podnosząc na chwilę lewą rękę znad kierownicy. - Mnie to samo przyszło na myśl, więc spytałem Van Brustera, co o tym sądzi. Twierdzi, że to całkiem nieprawdopodobne, żeby tylko jedno pole wędrujące po kosmosie spowodowało wszystkie cztery zniekształcenia. Przypuszcza, że w grę wchodzi cztery nie związane ze sobą pola - toteż nie ma mowy o tym, żeby coś się podkładało do Księżyca. Co więcej, Van Bruster twierdzi, że wcale go nie zdziwiły te fotografie. Mówi, że astronomowie od lat wiedzieli o teoretycznej możliwości istnienia takich pól, a że dopiero teraz uzyskujemy na to dowody, to nie przez przypadek, ale dzięki zastosowaniu po raz pierwszy w tym roku elektronicznie wzmacnianych teleskopów i błyskawicznych emulsji fotograficznych. Zniekształcenia można uchwycić na fotografiach migawkowych, natomiast nie byłoby ich widać przy robieniu zdjęć na czas.

- A co Morton Opperly o tym sądzi? - spytała Margo.

- On nic... Zaraz, czekaj, to właśnie on nalegał, żeby ustalić trasę zniekształceń od Plutona do Księżyca. Hej, minęliśmy szosę górską. Nowa, wspaniała droga przez góry Santa Monica do Vandenbergu Trzy, gdzie obecnie przebywa Opperly.

- Czy ta trasa biegnie po linii prostej? - spytała Margo, nie pozwalając mu zmienić tematu.

- Nie. To najbardziej zygzakowata linia, jaką można sobie wyobrazić.

- Ale czy Opperly coś powiedział? - nalegała dziewczyna.

Paul zawahał się, ale po chwili rzeki:

- Roześmiał się cicho i powiedział coś w tym rodzaju: "Jeżeli ich celem jest Ziemia albo Księżyc, to z każdym strzałem są coraz bliżej".

- Widzisz? - zawołała z satysfakcją Margo. - Widzisz? Cokolwiek to jest, celuje w planety!

Barbara Katz, młoda poszukiwaczka przygód i gorąca miłośniczka literatury fantastycznonaukowej, cofnęła się na trawnik i ukryła za grubym pniem palmy z dala od latarni ulicznych Palm Beach i światła latarki policjanta, nim zimny, jasny promień zdążył na nią paść. Podziękowała Mentorowi, bogowi science-fiction, że kupione dawno temu, wysokie, obcisłe buty, które ma na nogach pod czarnym kombinezonem, są również czarne - modny pastelowy kolor rzucałyby się w oczy nawet i bez światła latarki. Torba linii lotniczych Black Bali Jetline,

przewieszona przez ramię, też była czarna. O twarz i ręce mogła się nie martwić - była tak śniada, że wtapiała się w mrok nocy, a w ciągu dnia brano ją za Mulatkę. Barbara nie była rasistką, ale czasem żałowała, że tak szybko opala się na ciemny brąz.

Jeszcze jedno brzemię, które naród żydowski musi dźwigać bez szemrania - tak by powiedział jej ojciec, który by jednak nie pochwalał tego, że odważna dziewczyna poluje na milionerów w ich siedlisku na Florydzie, którą okupują wspólnie z aligatorami. Nie pochwalałby również tego, że ma bikini w pożyczonej torbie.

Policjant skierował latarkę na krzaki po przeciwnej stronie ulicy i dziewczyna sprężystym krokiem przebiegła przez trawnik. Doszła do wniosku, że właśnie z tego domu widziała błysk lornetki, kiedy się kąpała ukradkiem o zachodzie słońca.

Im bliżej była domu, tym gęstsze otaczały ją ciemności. Obchodząc następną palmę, usłyszała pomruk małego silnika elektrycznego i o mało nie wpadła na postać w białym garniturze, wpatrującą się w okular wielkiego białego teleskopu, który stał na białym trójnogu i skierowany był w niebo.

Postać wstała, przechylając się na bok tak, jakby człowiek w białym garniturze podpierał się laską, a drżący głos znad garnituru zapytał:

- Kto tam?

- Dobry wieczór - odpowiedziała Barbara najmilej i najuprzejmiej, jak potrafiła. - Pan mnie chyba zna. To ja się przebierałam w czarne bikini w żółte paski. Czy mogę razem z panem obejrzeć zaćmienie?

Rozdział 3

Paul Hagbolt patrzył na wzgórza, koło których szosa nadbrzeżna skręcała w stronę lądu i pięła się pod górę. Za najbliższym zakrętem, między szosą a morzem, majaczył stumetrowy płaskowyż z Vandenbergiem 2, siedzibą Projektu Księżycowego i najnowszą bazą amerykańskiego lotnictwa kosmicznego, służącą jednocześnie za wyrzutnię raketową i lądowisko. Stacja kosmiczna, otoczona drucianą siatką z kilkoma ciemnoczerwonymi światłami błyszczącymi na ciągnącym się w nieskończoność dachu, górowała tajemniczo nad obszarem między szosą a oceanem - złowieszczą twierdza przyszłości.

Przejeżdżali przez płaski betonowy most nad zalewem: koła samochodu zadudniły głośno i Margo nagle się wyprostowała. Miau drgnęła przestraszona. Dziewczyna obejrzała się.

- Paul, zatrzymaj się - poprosiła.

- Co się stało? - zapytał nie zwalniając. Szosa zaczęła się pięć pod górę.

- Mogłabym przysiąc - powiedziała Margo, wciąż odwrócona do tyłu - że widziałam tablicę z napisem „Latające talerze”.

- Latające talerze? Może to reklama nowych hamburgerów. W końcu mają taki sam kształt - stwierdził Paul.

- Nie, nie widziałam tam żadnego motelu ani baru. Tylko mały, biały znak. Tuż przed zalewem. Zawróćmy. Chciałabym zobaczyć, co tam jest.

- Jesteśmy prawie w Vandenbergu Dwa - zaproponował Paul. - Nie chcesz obejrzeć przez teleskop zaćmienia, póki jeszcze czas? Moglibyśmy też obejrzeć krater Platona, trzeba by tylko podnieść dach i zostawić Miau w samochodzie. Do Vandenbergu nie wolno wprowadzać zwierząt.

- Nie mam ochoty - powiedziała Margo. - Dostyc już mam okazywanej mi przez nich uprzejmości. A poza tym nie cierpię wszelkich instytucji, które nie chcą uznać, że koty to ludzie!

- No dobrze już, dobrze - roześmiał się Paul.

- Zawracajmy. Z tej strony lepiej będzie widać Księżyc.

Paul robił, co mógł, żeby minąć niepostrzeżenie białą tabliczkę, ale Margo kazała mu stanąć.

- To tutaj! Przy zielonej lampie! Zatrzymaj się! Kiedy samochód zjechał na wyboiste pobocze, Miau usiadła, przeciągnęła się i bez większego zainteresowania rozejrzała się dokoła.

Wzdłuż plaży biegła droga - szosa bowiem przy samym cyplu skręcała pod górę w stronę lądu, najpierw ku niewielkim wzniesieniom, a potem na płaskowyż Vandenberg 2.

Po jednej stronie drogi wisiała migocąca lampa naftowa, której płomyk osłonięty był zielonym szkłem. Po drugiej stronie w świetle reflektorów widać było białą tabliczkę ze starannie

wykonanym czarnym napisem: "Latające talerze - sympozjum".

- Coś takiego może się zdarzyć tylko w południowej Kalifornii - pokręcił głową Paul.

- Chodź, zobaczymy, co się tam dzieje - poprosiła Margo.

- Za nic w świecie! - zdenerwował się Paul. - Ty nie cierpisz Vandenbergu Dwa, a ja nie cierpię fanatyków latających talerzy.

- Ależ Paul, to nie wygląda na zebranie fanatyków - upierała się dziewczyna. - To ma pewien szyk. Spójrz, jak ten napis jest pięknie wykaligrafowany.

Wzięła na rękę Miau i wysiadła z samochodu, żeby się lepiej przyjrzeć tabliczce.

- Zresztą, nie wiemy, czy zebranie jest dziś! - zawołał za nią Paul. - Może było po południu albo nawet tydzień temu. Kto wie? Nie widać żadnych świateł, żadnych oznak życia.

On również wysiadł z samochodu.

- Zielona lampa świadczy o tym, że jest dzisiaj! - zawołała Margo, która wciąż stała przy tablicy. - Chodźmy tam, Paul.

- Zielona lampa pewnie nie ma z tym nic wspólnego. Margo odwróciła się do Paula i w blasku reflektorów pokazała mu czarny palec.

- Farba jeszcze nie wyschła - powiedziała.

Księżyc zapadał się coraz niżej w cień Ziemi, zbliżając się do swojego miejsca na linii łączącej trzy ciała niebieskie. Jak zawsze Księżyc i Słońce, choć Słońce ze znacznie mniejszą siłą, niewidzialnymi mackami grawitacji przyciągały planetę znajdującą się pośrodku - napinając skorupę ziemską i jej twarde jądro z żelaza wewnątrz, powodując zarówno olbrzymie, jak i drobne trzęsienia ziemi oraz wprawiając wody oceanów i mórz, zatok i kanałów, cieśnin i przesmyków, jezior i rzek w powolny, choć zróżnicowany rytm przyływów i odpływów, których pojedyncze wibracje są niewiele dłuższe od dnia lub nocy.

Po przeciwległej stronie kuli ziemskiej Bagong Bung, któremu krople potu spływały spod brudnego turbanu na śniade ramiona i pierś, krzyknął do swojego pomocnika i przyjaciela, skąpo ubranego Australijczyka, żeby wyłączył silnik ich kutra "Machan Lumpur". Jeżeli się pospieszą, zdążą dopłynąć do niewielkiej zatoki na południe od DonSon, zanim trzymetrowa fala przyływu zepchnie ich na mieliznę - tu w Zatoce Tonkińskiej nieujarzmiony potężny przyływ następuje raz na dwadzieścia cztery godziny. Może się nimi zainteresować patrolujący helikopter, jeżeli będą czekać przy wejściu do zatoki, zamiast wpłynąć do niej i dostarczyć broń i leki antykomunistycznemu podziemiu wietnamskiemu - a następnie popłynąć do Hanoi z głównym ładunkiem (również broni i leków) dla komunistów.

Woda przy dziobie uspokoiła się: zardzewiały kuter kołysał się teraz pośrodku szerokiej na trzysta kilometrów zatoki, która błyszczała jak jezioro roztopionego mosiądzu. Bagong Bung stał z

ręką opartą o mosiężną oprawę lunety wetkniętej za pas i mrużąc oczy wpatrywał się w lśniący horyzont - nie zaprzętał sobie jednak głowy zaćmieniem, bo po pierwsze, było teraz południe, a po drugie, Księżycyca i tak nie było tu widać. Jeżeli chodzi o ścisłość, to mały Malajczyk, jego wysłużony statek (na którym ciążył dług hipoteczny zaciągnięty u bankierów chińskich) i ciepła woda morską znajdowały się po drugiej stronie Ziemi, a słońce przypiekające mu turban, gdyby tylko mogło przenikać przez planetę, parzyłoby stopy milionom ludzi na przeciwległym kontynencie.

Bagong Bung rozmyślał o setkach zatopionych wraków leżących na dnie płytkich wód na południe i na wschód od jego kutra i o bogactwach, jakie z nich wydobędzie, kiedy zgromadzi dość pieniędzy z obrzydłego mu już przemytu, żeby kupić sprzęt i opłacić nurków.

Don Guillermo Walker pomyślał, że skupisko zamglonych światełek, nad którymi przed chwilą przeleciał, to na pewno Metapa. Ale ponieważ jego umiejętności astronawigacyjne nie przerastały jego zdolności aktorskich, z czasów gdy grywał w Europie role szekspirowskie, to równie dobrze mógł się znajdować nad półwyspem Zapata lub nad La Libertad, i co wtedy? Może to i lepiej; jeżeli ominie cel, ominą go tortury. Brodę i policzki miał zroszone potem.

Powinien był się ogolić - pomyślał. Jeżeli da się złapać, oprawcy wsadzą go do rozgrzanej celi i tam będą mu wymachiwać pod nosem kijem elektrycznym, a widząc brodę, uznają go za zwolennika Fidela Castro, za komunistę, a kartę skrajnie prawicowej organizacji politycznej im. Johna Bircha za sfałszowaną. Spalić mu la barba za pomocą la electricidad!

- A niech cię diabli, przez ciebie się w to wpackowałem, ty żigolaku w czarnych slipach, ty męska dziwko! - krzyknął don Guillermo do przydymionego, pomarańczowego Księżycyca. Transatlantyk "Prince Charles" i jacht Lonera "Wytrwały" wciąż płynęły w przeciwne strony po ciemnych wodach Atlantyku. Większość młodych pasażerów w obcisłych, miękkich botkach poszła spać - jedni wtulili się w kołdry, inni w ramiona kochanków i tylko kapitan Sithwise pełnił wachtę na mostku. Czuł dziwny niepokój. Mówił sobie, że to z powodu tych brazylijskich powstańców na pokładzie: ta nowa banda wywrotowców postępowała w sposób zupełnie nieodpowiedzialny - jakby stale pili eter.

Wolf Loner kołysał się na falach morza, a półtorakilometrowa warstwa słonej wody służyła mu za miękką poduszkę. Gęsta mgła, na której wschodni skraj wpłynął jacht "Wytrwały", okazała się niezwykle rozległa - ciągnące się za nią smugi sięgały do Edmonton i Wielkiego Jeziora Niewolniczego i od Bostonu na północ do cieśniny Hudsona.

Sally pozwoliła Jake'owi na nowe pieszczoty w ciemnym zakątku Salonu Grozy.

- Ty, pognieciesz mi spódnice - napomniała go. - Od czego jest to rozcięcie z tyłu?

- Majtki też masz magnetycznie zawieszane? - zapytał.

- Nie. Ale też mają znikające właściwości. Uważaj - i na miłość boską tylko mi nie mów, że mam pośladki jak okrągłe bochenki chleba, które piekła twoja matka. Dość tego dobrego, bo zamkną kolejkę, zanim zdążymy obejrzeć zaćmienie.

- Sal, jeszcze nigdy się tak nie interesowałaś astronomią, a ta kolejka góraska wcale nam nie jest potrzebna do szczęścia. Przecież masz klucze do mieszkania Hasseltinea, a mieszkanie stoi puste. Nigdy tam jeszcze nie byłem. Jeżeli drapacz chmur jest dla ciebie za niski...

- Co mi tam drapacz chmur. Ja chcę kolejkę wysokogórską! - zawołała dziewczyna. - Przestań, mówię!

Wyrwała mu się i przebiegła obok reklamy trzymetrowego wojownika z Saturna, który kierował na nią półmetrową lufę pistoletu - z lufy wydobywał się iskrzący niebieski płomień.

Asa Holcomb, nieco zasapany, wspiął się na szczyt niewielkiego płaskowyżu na zachód od Gór Zabobonu w Arizonie. W tej właśnie chwili pękła mu ścianka aorty i krew zaczęła się sączyć do klatki piersiowej. Nie czuł bólu, tylko osłabienie, ale wiedział, że coś się stało. Ostrożnie położył się na płaskiej skale wciąż jeszcze nagrzanej od słońca.

Nie był zaskoczony ani przerażony. Wiedział, że albo osłabienie minie, albo nie. Zdawał sobie sprawę, że marsz pod górę w poszukiwaniu dobrego miejsca, z którego mógłby obserwować zaćmienie, jest niebezpieczny dla jego zdrowia. Przecież już siedemdziesiąt lat temu matka ostrzegła go przed samotnymi wyprawami w góry, szczególnie niebezpiecznymi dla kogoś, kto ma aortę cienką jak bibułka. Ale zawsze gotów był wiele zaryzykować, żeby udać się samotnie w góry i móc obserwować niebo.

Przez jakiś czas patrzył z żalem na światelka osiedla, potem jednak odwrócił wzrok i spojrzał w niebo. Chyba już po raz pięćdziesiąty widział przysłoniętą Lunę, ale dziś w swej ciemnej szacie wydała mu się piękniejsza niż kiedykolwiek - przypominała owoc granatu, który Persefona zerwała w ogrodzie zmarłych. Osłabienie nie mijało.

Rozdział 4

Samochód, którym jechali Paul, Margo i kotka Miau lekko podskakiwał na wyboistym gruncie - po prawej stronie, tuż przy drodze, ciągnęły się nagie skały, a po lewej plaża. Z dala od szosy noc była znacznie ciemniejsza. Trójka pasażerów uświadomiła sobie wyraźnie samotność Księżyca wspinającego się po gwieździstym niebie. Nawet Miau usiadła, żeby mu się lepiej przyjrzeć. - Zdaje się, że ta droga biegnie między innymi na tyły Vandenbergu Dwa, do tak zwanej Bramy Plażowej - rozmyślał na głos Paul. - Oczywiście powinienem wjechać przez główną bramę, no ale w tej sytuacji... To śmieszne - dodał po chwili - że ci fanatycy latających talerzy zawsze spotykają się w bezpośrednim sąsiedztwie wyrzutni raketowych czy urządzeń atomowych. Jakby mieli nadzieję, że przypadnie im część blasku i chwały. Wiesz, kiedyś dowództwu wydało się to naprawdę podejrzane.

Światło reflektorów padło na osypisko zagradzające znaczną część drogi. Osypisko sięgało maski samochodu i sądząc po wilgotnych grudkach było tu od niedawna. Paul zatrzymał samochód.

- Koniec ekspedycji! - ogłosił radośnie.

- Innym udało się przejechać - zaprotestowała Margo, znów się prostując. - Widać, którzy objeżdżali.

- No, dobrze - powiedział z drwiącą rezygnacją Paul - ale jeżeli ugrzęźniemy w piasku, będziesz musiała szukać na plaży desek, żeby je podłożyć pod koła.

Koła zabuksowały, ale po chwili samochód bez trudu ruszył z miejsca. Wkrótce dojechali do płytkiego wgłębienia w skale: droga była teraz trzy razy szersza niż przedtem. Z dodatkowej wolnej przestrzeni skorzystało kilku kierowców, którzy zaparkowali swoje samochody jeden przy drugim, zderzakami do skały. Stała tu czerwona limuzyna, mikrobus i biała furgonetka.

Za ostatnim samochodem widać było następną zieloną lampę i starannie wykonany napis: **PARKOWAĆ TUTAJ, POTEM IŚĆ W KIERUNKU WSKAZANYM PRZEZ ZIELONE ŚWIATŁA.**

- Oznakowanie jak na stacji metra na Times Square - ucieszyła się Margo. - Na pewno wśród tych ludzi są nowojorczyści.

- Musieli bardzo niedawno przyjechać do Kalifornii - rzekł Paul, parkując obole ostatniego wozu i nieufnie patrząc na skałę. - Nic jeszcze nie wiedzą o tutejszych lawinach.

Margo, trzymając Miau w ramionach, wyskoczyła z samochodu. Paul wysiadł za nią i podał jej kurtkę.

- Jest ciepło - zaprotestowała Margo. Paul, nic nie mówiąc, przewiesił kurtkę przez ramię.

Trzecia zielona lampa stała na plaży obok kępy wysokiej trawy morskiej. Plaża była idealnie równa. Nareszcie usłyszeli szum fal. Kotka zamiauczała i Margo uspokoiła ją szeptem.

Tuż za parkingiem skały ostro skręcały w prawo i plaża ciągnęła się za nimi w głąb lądu. Paul uświadomił sobie, że najprawdopodobniej znajdują się przy zalewie, nad którym dwukrotnie przejeżdżali szosą. Dalej teren znów się wznosił. Na szczycie Paul dostrzegł mrugające czerwone światełko, a niżej błysk drucianej siatki. Te dwa dowody istnienia Vandenbergu 2 jakoś go dziwnie uspokoiły.

Mijając kępę trawy morskiej, szli w stronę oceanu i czwarte! lampy, której zielone światło było niewiele większe od dalekiej planety. Piasek skrzypiał lekko pod nogami. Margo wzięła Paula pod rękę.

- Wiesz, że zaćmienie wciąż jeszcze trwa? - szepnęła. Mężczyzna skinął głową.

- A gdyby tak gwiazdy wokół Księżyca zaczęły teraz wirować? - zapytała. - Za czwartą lampą widzę chyba białe światełko - powiedział Paul - poza tym jakieś postacie i niski budynek.

Szli dalej. Niski budynek mógł niegdyś być dużym, prywatnym domkiem plażowym albo siedzibą ośrodka wypoczynkowego. Teraz okna były zabite deskami. Zbliżając się do niego, zobaczyli niski, odsłonięty taras, który dawniej mógł służyć jedynie za parkiet do tańca. Ustawiono na nim kilkadziesiąt składanych krzeseł, z czego tylko ze dwadzieścia pierwszych było zajętych. Krzesła stały zwrócone do morza i do długiego stołu na niewielkim podwyższeniu, które niegdyś stanowiło podium dla orkiestry. Przy stole siedziały trzy osoby. Twarze ich oświetlało małe białe światełko - jedyne oświetlenie, nie licząc zielonej lampy w głębi.

Pierwsza z trzech osób miała brodę, druga, w okularach, była łysa, a trzecia zwracała na siebie uwagę frakiem z białą muszką i zielonym turbanem.

Brodacz coś mówił, ale Margo i Paul byli zbyt daleko, żeby go wyraźnie słyszeć.

Margo ścisnęła Paula za ramię.

- Ten w turbanie to kobieta - szepnęła głośno.

Drobna figurka podniosła się z piasku koło lampy i ruszyła w ich kierunku. Zapaliło się białe światło i w jego blasku ujrzeli dziewczynkę o szczupłej twarzy i jasnorudych warkoczach. Wyglądała najwyżej na dziesięć lat. W jednej, ręce miała plik kartek, palec wskazujący drugiej ręki przyłożyła do ust gestem nakazującym ciszę. Na piersi dziewczynki paliła się niewielka latarka. Mała podeszła zupełnie blisko, wyciągnęła do nich rękę z kartkami i szepnęła:

- Musimy być cicho. Już się zaczęło. Proszę wziąć program.

Na widok Miau oczy się jej zaiskrzyły.

- Och, macie kotkę - powiedziała szeptem. - Mam nadzieję, że Ragnarok nie będzie zły.

Margo i Paul wzięli kartki, po czym dziewczynka zaprowadziła ich do stopni na taras i

gestom wskazała, że mają usiąść w pierwszym rzędzie. Potrząsnęli z uśmiechem głowami i usiedli w ostatnim: mała wzruszyła ramionami i odeszła.

Margo poczuła, że Miau zeszywniała. Kotka wpatrywała się w coś, co leżało na dwóch bocznych krzesłach w pierwszym rzędzie.

Był to Ragnarok, duży owczarek niemiecki.

Pierwsze napięcie minęło. Miau uspokoiła się nieco, ale wciąż, z uszami po sobie, uporczywie wpatrywała się w psa.

Dziewczynka wróciła i stanęła za nimi.

- Mam na imię Anna. Ta pawi w turbanie to moja mama. Jesteśmy z Nowego Jorku - powiedziała cicho, po czym znów wróciła na swój posterunek przy zielonej lampie.

Generał Spike Stevenson i trójka jego podwładnych siedzieli ściśnięci obok siebie w ciemnym pomieszczeniu w rezerwowym sztabie amerykańskiego lotnictwa kosmicznego. Cała czwórka patrzyła na dwa ekrany telewizyjne ustawione jeden przy drugim. Na oba ekranach widać było ten sam obszar zaciemnionego Księżyca z uwzględnieniem Platona. Obraz na ekranie po prawej stronie transmitowany był przez bezzałogowego satelitę łączności i obserwacji, znajdującego się trzydzieści sześć tysięcy kilometrów nad Wyspą Bożego Narodzenia, dwadzieścia stopni na południe od Hawaj, natomiast obraz na ekranie po lewej stronie przesyłał podobny satelita, zawieszony nad równikiem, nad tym punktem Oceanu Atlantyckiego nie opodał wybrzeży Brazylii, gdzie znajdował się właśnie transatlantyk "Prince Charles".

Czwórka obserwatorów z dużą wprawą wpatrywała się jednocześnie w obydwa obrazy, które pochodziły z dwóch odległych od siebie o czterdzieści osiem tysięcy kilometrów punktów w kosmosie, zlewając je w jedną całość. Końcowy efekt był przesadnie trójwymiarowy z częścią ukazującą Księżyc wyraźnie wysuniętą do przodu.

- Konstruktorzy nowego elektro-wzmacniacza stanęli na wysokości zadania - stwierdził generał. - Obecnie, kiedy satelita znad wyspy nadaje bez zakłóceń, mamy nareszcie wyraźny obraz krateru. Jimmy, pokaż nam teraz cały sektor Księżyca bez powiększenia.

Pułkownik Mabel Wallingford splatając swoje długie, silne palce ukradkiem obserwowała generała. Ktoś jej kiedyś powiedział, że ma ręce dusicielki: patrząc na generała zawsze o tym pamiętała. Sprawiało jej niewątpliwą satysfakcję, że Spike, który przemawia i zachowuje się tak swobodnie i z taką pewnością siebie niczym Odyn obserwujący Dziewięć Światów z wieży Hlithskjalf w Asgardzie, w gruncie rzeczy wie o miejscu ich pobytu tylko tyle, co ona: mianowicie, że znajdują się w odległości niecałych stu kilometrów od Białego Domu i co najmniej pięćdziesiąt metrów pod ziemią. Przywieziono ich tu z zawiązanymi oczami, z zawiązanymi oczami zjechali na

dół windą, nie spotkawszy nikogo z tych, których mieli zastąpić.

Arab Jones, Duży Bundy i Pepe Martinez palili czwartego cienkiego skręta marihuany, podając go sobie z rąk do rąk i długo nie wypuszczając z płuc mocnego, słodkawego dymu. Siedzieli na poduszkach i dywanie przed niewielkim namiotem rozbitym na dachu domu w Harlemie nieopodal Lenox i Sto Dwudziestej Piątej Ulicy. Wejście do namiotu zasłaniały sznury drewnianych koralików. Patrzyli na siebie życzliwym wzrokiem braci narkomanów, a potem wszyscy trzej skierowali spojrzenia na zaćmiony Księżyc.

- Hej, on pewnie też sobie popala - powiedział Duży. - Widzicie ten brązowy dymek? Ci kosmonauci wkrótce będą chodzić na rzęsach.

- My pewnie też. Arabie, zaćmiło cię, co? - spytał Pepe.

- Ćmij peta i siedź cicho - odparł Arab.

Rozdział 5.

Margo i Paul słuchali tego, co mówi mężczyzna z brodą:

- Nadzieje, lęki i głęboki .niepokój człowieka zawsze będą zabarwiały to, co człowiek widzi na niebie - bez względu na to, czy będzie to samolot, planeta czy statek kosmiczny z innego świata. Innymi słowy, każdy latający talerz jest również symbolem.

Brodacz mówił spokojnie, ale w jego głosie brzmiał młodzieńczy zapach. Łysy, wysoki mężczyzna w grubych szklach i kobieta w turbanie słuchali w milczeniu. (Margo na oczekaniu wymyśliła przezwiska dla trójki dyskutantów i dla kilku osób z publiczności).

Brodacz mówił dalej:

- Świętej pamięci doktor Jung w swoim eseju "Ein Moderner Mythos von Dingen die am Himmel gesehen werden" zbadał dokładnie zagadnienie związane z ukazywaniem się na niebie latających talerzy - tytuł wymówił z autentycznym gardłowym niemieckim akcentem i natychmiast przetłumaczył: "Nowoczesny mit: O rzeczach, które widuje się na niebie".

- Kto to jest ten Brodacz? - Margo, zaintrygowana, zapytała Paula.

Paul usiłował sprawdzić w programie, ale w ostatnim rzędzie było za ciemno, żeby mógł cokolwiek przeczytać.

- Doktora Junga szczególnie interesowały latające talerze w kształcie koła podzielonego na cztery części - kontynuował Brodacz. - Kojarzył ten kształt z tym, co w buddyzmie nazywa się mandalą. Mandala to symbol całości psychicznej - umysłu ludzkiego w walce z obłędem. Ukazuje się zwykle w chwilach wielkiego napięcia i zagrożenia, w chwilach takich jak dziś, kiedy człowieka ogarnia strach przed zagładą atomową, przed utratą osobowości i przemianą w żołnierza-niewolnika czy konsumenta-robota, jednego z wielu w totalitarnym stadzie, oraz lęk przed utratą kontaktu z nauką, która mu się wymyka i rozszczepia na tysiące trudnych, choć niezbędnych, nowych specjalności.

Paul jak zwykle w takiej sytuacji miał wyrzuty sumienia. Jeszcze kilka minut temu nazywał tych ludzi fanatykami latających talerzy, a oto ma przed sobą człowieka, który mówi mądrze i do rzeczy.

Niski mężczyzna, który siedział na tym samym końcu pierwszego rzędu, co wilczur Ragnarok, teraz wstał.

- Przepraszam, panie profesorze - powiedział - ale według mojego zegarka zostało tylko piętnaście minut pełnego zaćmienia. Chciałbym przypomnieć wszystkim, żeby obserwowali niebo, oczywiście słuchając jednocześnie tego, co mówią nasi prelegenci. Pani Rama Joan mówiła o istotach z kosmosu, które potrafią myśleć o kilkunastu rzeczach naraz. Nie wierzę, żebyśmy nie

potrafili myśleć przynajmniej o dwóch! Przecież zorganizowaliśmy to spotkanie ze względu na wyjątkową sposobność oglądania latających talerzy, szczególnie tych niezbyt odważnych, które unikają światła. Nie traćmy tej okazji, a może zobaczymy “bojaźliwe talerze”, jak je nazywa Anna.

Kilka osób w pierwszym rzędzie posłusznie zadarło głowy, ukazując profile. Margo trąciła Paula.

- Rób, co ci każą - nakazała szeptem, rozglądając się pilnie.

- Pomyślnych łowów! Przepraszam, panie profesorze - zakończył niski mężczyzna i usiadł.

Zanim Brodacz mógł dalej mówić, musiał podjąć wyzwanie rzucone mu przez barczystego mężczyznę, który siedział sztywno wyprostowany z założonymi rękami - Margo przeważała go Drągalem.

- Panie profesorze, opowiedział nam pan mnóstwo ciekawych bajeczek - powiedział Drągal - dotyczą one jednak tylko tego, jak ludzie wyobrażają sobie latające talerze. To, że interesował się tym Jung, nie znaczy, że ja też mam się tym interesować. Mnie interesują prawdziwe latające talerze, takie jak ten, którym latałem i z którego załogą rozmawiałem.

Paul od razu poczuł się znacznie lepiej. Ci ludzie wreszcie zaczynają się zachowywać tak, jak powinni się zachowywać fanatycy latających talerzy!

Wypowiedź Drągala zbiła nieco Brodacza z tropu.

- Przykro mi, że odniósł pan takie wrażenie - rzekł. - Jak mi się zdawało, wyraziłem się jasno, że...

Nie skończył. Łysy podniósł głowę i jakby chciał powiedzieć: “Zostaw mi tego typu”, położył rękę na ramieniu Brodacza. Kobieta w turbanie spojrzała na niego uśmiechając się lekko i poprawiła białą muszkę. Łysy przesunął się do przodu i pochylił lśniąca czapkę i połyskujące okulary w stronę Drągala, jakby miał do czynienia z interesującym okazem entomologicznym.

- Przepraszam pana - zaczął oziębło - pan zdaje się twierdzi również, że latającym talerzem zwiedził pan inne planety - planety nie znane astronomom?

- Tak, to prawda - odrzekł Drągal i wyprostował się o następne dwa centymetry.

- A gdzie są te planety?

- One... no, istnieją - odparł. - Prawdziwe planety nie pozwalają, żeby nimi rządziła banda astronomów - dodał, co wywołało śmiechy na widowni.

Łysy nie zwracając na to uwagi, pytał dalej:

- Czy te planety są na granicy świata, czy są może planetami! jakiejś gwiazdy odległej o wiele lat świetlnych? - Mówił teraz tonem uprzejmym, a grube szkła błyszczały dobrotliwie.

- Ależ nie - odpowiedział Drągal. - Na Arletcie byłem tydzień temu, a podróż trwała tylko dwa dni.

Łysy nie dawał się odwieść od tematu:

- Może to małe planety, które są stale zaćmione, bo kryją się za Słońcem, Księżycem lub Jowiszem, tak jak ludzie za drzewami w lesie?

- Nie, to nie są małe planety - zapewnił go Drażal. Znow wyprostował ramiona, ale czuło się, że traci pewność siebie. - Nie kryją się za niczyją spódnicą, o nie. Po prostu istnieją, i wcale nie są małe, nie są mniejsze od Ziemi. Odwiedziłem już sześć takich planet.

- Hm - chrząknął Łysy. - A może one są ukryte w nadprzestrzeni i pokazują się tylko czasem - na przykład wtedy, gdy się pan do nich zbliża?

Słuchacze nagrodzili śmiechem Łysego, ale on i tym razem nie zwrócił na to uwagi.

- Jest pan sceptykiem - powiedział z wyrzutem Drażal - i w dodatku tylko teoretykiem. Mówię panu, że planety po prostu istnieją.

- Skoro istnieją - łagodnie, lecz stanowczo nalegał Łysy - to dlaczego ich nie widzimy?

Odrzucił głowę ruchem tryumfującym, choć może odrzucił ją tylko dlatego, że okulary zsunęły mu się z nosa. Nastąpiła długa cisza.

- Kompletny sceptyk - po chwili dodał wyniośle Drażal. - Byłoby stratą czasu wyjaśniać panu, że niektóre planety są niewidoczne dzięki specjalnym ekranom, które wyginają światło gwiazd. Nie będę z panem dłużej dyskutował.

- Chciałbym, żeby mnie wszyscy dobrze zrozumieli - powiedział ostro Łysy, zwracając się do zebranych. - Jestem gotów wysłuchać każdej, choćby najbardziej fantastycznej teorii, nawet jeżeli - ktoś twierdzi, że nieznaną planetę czai się gdzieś w naszym układzie słonecznym. Ale chcę usłyszeć jakieś racjonalne wyjaśnienie, choćby takie, że ta planeta istnieje w nadprzestrzeni. Charlesowi Fulbyemu - tu wskazał na Drażala - należy się pochwała za pomysł ekranów.

Łysy usiadł sapiąc zwycięsko. Niski mężczyzna siedzący obok Ragnaroka skorzystał z okazji, zerwał się z krzesła i powiedział:

- Zostało tylko dziesięć minut. Zdaję sobie sprawę, że ta dyskusja jest pasjonująca, ale proszę wciąż obserwować niebo. Należy pamiętać, że nas przede wszystkim interesują latające talerze. Latające planety też są niewątpliwie ciekawe, ale gdyby się nam wszystkim zebranych na tym sympozjum udało zobaczyć choć jeden mały latający talerz, byłby to prawdziwy sukces. Dziękuję.

Na płaskowyżu niedaleko Gór Zabobonu Asa Holcomb dawał sygnały latarką w stronę miasteczka. Koniec końców należało próbować się ratować. Teraz jednak, zmęczony tym wysiłkiem, znow spojrzał na gwiazdy błyszczące przy pełnym zaćmieniu jak diamenty i rozpoznał poszczególne konstelacje bez większego trudu; zapatrzył się bez reszty na pograżony w cieniu

Ziemi Księżyc, który znajdował się znacznie bliżej gwiazd i wyglądał jak wspaniałe godło Indian Hopi, wyklepane ze szerniałego ze starości srebra. Na niezmiennym nocnym niebie zawsze można było odkryć coś, czego się przedtem nie dostrzegło. Mógłby tu leżeć obserwując je całą noc i nigdy się tym nie znudzić. Ale był coraz słabszy, a skała, na której leżał, stała się bardzo zimna.

Pepe Martinez i Duży Bundy podnieśli się z poduszek i chwiejnym krokiem podeszli do brudnego ceglanego muru okalającego dach budynku. Ruchem ręki Pepe wskazał Księżyc.

- Jeszcze raz się zaciągnę i - puf! Wzniosę się na Księżyc tak jak John Carter - powiedział.

- Nie zapomnij kombinezonu - doradził mu Duży.

- Raz, ale porządnie, zaciągnę się tym skrzemem i to mi wystarczy - westchnął Pepe. - Zupełnie jak wystawa jubilerska, no nie? - spytał, wskazując na gwiazdy.

- Gdzie tam! To motocykle, stary, motocykle z brylantowymi reflektorami. Pędzą we wszystkie strony świata! - zawołał Duży.

Arab, który nadal siedział na poduszce przed namiotem i z cienkiego kieliszka do likieru sączył muskat, spytał:

- A noc was nie zachwyca, moi najdrożsi?

- Jest piękna jak jedwabisty wąż, szefuniu - odpowiedział Duży.

Księżyc nadal wędrował przez zimny, milczący cień Ziemi we własnym równomiernym tempie sześćdziesięciu pięciu kilometrów na minutę - jego wędrówka była tak samo nieodwracalna jak sączenie się krwi do klatki piersiowej Asy Holcomba, jak niespokojne wirowanie plemników Jake'a Leshera, jak adrenalina wydzielana przez nadnercza don Guillerma, jak rozszczipianie atomów napędzających silnik transatlantyku "Prince Charles", jak fale telewizyjne, przekazujące obraz głęboko pod ziemię Spikeowi Stevensowi, jak przyjmowanie i odrzucanie bodźców przez mózg pogrążonego we śnie Wolfa Lonera w rytm tego, co żeglarz nazywał równowagą psychiczną. Księżyc wędrował po niebie miliard lat temu, będzie wędrował również i za miliard lat. Według astronomów nieznanne siły pływowe przyciągną kiedyś Księżyc tak blisko Ziemi, że wewnętrzne napięcia rozsądzą jego skorupę, zamieniając go w coś na kształt pierścieni Saturna. Ale to, zdaniem astronomów, czeka nas dopiero za sto miliardów lat.

Rozdział 6.

Paul nerwowo trącił Margo, żeby przestała chichotać, a jednocześnie kobieta z drugiego rzędu zawołała do łysego mężczyzny na podium:

- Co to jest ta nadprzestrzeń, z której mogą nagle wyłaniać się planety?

- Właśnie, może by pan nam w skrócie wyjaśnił - tonem doświadczonego dyskutanta powiedział Brodac, zwracając się do Łysego.

- Nadprzestrzeń to pojęcie używane w fizyce teoretycznej, poza tym termin ten występuje również w wielu opowiadaniach fantastycznonaukowych - rozpoczął wywód Łusy. Poprawił okulary i przesunął ręką po lśniącej czaszce. - Jak wiadomo, zwykle za największą prędkość uważa się prędkość światła. Trzysta tysięcy kilometrów na sekundę wydaje się dużo, ale jest to żółwie tempo, jeżeli chodzi o ogromne odległości między gwiazdami i wewnątrz galaktyki - niezbyt dobra perspektywa dla podróży kosmicznych.

Ale jednak - ciągnął Łusy - istnieje teoretyczna możliwość, że czas międzyplanetarny jest tak spaczony i nierówny, iż odległe rejony naszego kosmosu stykają się w innym wymiarze - w nadprzestrzeni - tu właśnie można użyć tego słowa. Albo nawet, że każdy rejon styka się ze wszystkimi innymi rejonami. W takiej sytuacji podróżowanie szybsze od prędkości światła jest teoretycznie możliwe, gdybyśmy się przebili z naszego wszechświata w nadprzestrzeń, a potem wrócili z niej na dowolnie obrany punkt we wszechświecie. Mówi się oczywiście o podróżach w nadprzestrzeni tylko odnośnie do statków kosmicznych, ale nie widzę powodu, dlaczego odpowiednio wyposażona planeta nie mogłaby też tak podróżować. Oczywiście to tylko teoria. Naukowcy tacy jak Bernal i filozofowie tacy jak Stapledon, że nie wspomnę już o pisarzach takich jak Stuart i Smith, wysuwali teorie o wędrujących planetach.

- Teorie! - parsknął Drażał, dodając półgłosem: - Ale brednie!

- A co pan na to? - zapytał Brodac, - niemalże obojętnie kierując pytanie do Łysego. - Czy są jakieś konkretne dowody potwierdzające istnienie nadprzestrzeni lub podróży w nadprzestrzeni?

Siedząca za Łysym kobieta w turbanie z zaciekawieniem spojrzała na obu mężczyzn.

- Nie! Nie ma nawet najmniejszych - uśmiechnął się Łusy. - Usiłowałem namówić moich przyjaciół astronomów, żeby poszukali jakichś dowodów, ale nie potraktowali tego serio.

- To ciekawe - zastanowił się Brodac. - Jałcie to mogą być dowody?

- Sam się nad tym zastanawiałem - stwierdził z dumą Łusy. - Mam nawet pewien pomysł, mianowicie siła niezbędna do tego, żeby statek dostał się w nadprzestrzeń, a potem się z niej wydostał, może tworzyć chwilowe sztuczne pola grawitacyjne - pola tak silne, że w sposób widoczny zniekształcałyby światło gwiazd na tym odcinku przestrzeni. Powiedziałem znajomym

astronomom, żeby w bezchmurne noce obserwował, czy gwiazdy nie wirują - oczywiście przez teleskopy satelitarne - i żeby w migawkowych fotografiach astronomicznych szukali dowodów tego zjawiska - gwiazd na krótki czas gasnących lub wirujących w dziwny sposób.

Chuda kobieta odezwała się z drugiego rzędu:

- Czytałam w gazecie o mężczyźnie, który widział, jak gwiazdy wirują. Czy to byłby dowód?

- Obawiam się, że nie - uśmiechnął się pod nosem Łysy. - Może po prostu był pijany? Nie należy traktować wszystkich tych opowiastek zbyt poważnie.

Paul poczuł, że przechodzą go ciarki. Jednocześnie Margo złapała go za rękę.

- Paul - szepnęła podniecona. - Łysy przecież mówi o tym, co widziałeś na fotografiach.

- To brzmi podobnie. - Paul zadumał się, usiłując uporządkować myśli. - Nawet bardzo podobnie. Użył słowa "wirują" - dodał zdziwiony.

- Wiesz - powiedziała Margo - to, co on mówi, nie jest takie głupie.

- Opperly uważa... - zaczął Paul, ale nagle zdał sobie sprawę, że Łysy mówi do niego.

- Czy państwo w ostatnim rzędzie... przepraszam, nie wiem, z kim mam przyjemność... chcieliby coś dodać?

- Ależ nie - odparł natychmiast Paul. - Jesteśmy po prostu zafrapowani tym, co pan powiedział.

Łysy skinieniem ręki podziękował za słowa uznania.

- Kłamczuch - uśmiechnęła się Margo. - Mam wielką ochotę powiedzieć mu o wszystkim.

Paul nie zdobył się na to, żeby jej zabronić - i chyba postąpił słusznie. Nagle ogarnęło go znów silne, choć niejasne poczucie winy. Wiedział, że nie może ujawnić tajnych informacji i to komu jak komu, ale fanatykom latających talerzy. Ale zarazem trudno mu było pogodzić się z tym, żeby taki człowiek jak Łysy nic nie wiedział o fotografiach.

Wrócił myślami do dyskusji i znów przeszły go ciarki. Do cholery, to niesamowite, ale hipotezy Łysego pokrywają się z tym, co ukazują fotografie. Spojrzał niepewnie na ciemny Księżyc, i znów w myśli usłyszał pytanie Margo: A gdyby tak gwiazdy zaczęły teraz wirować?

Kanistry na pył księżycowy, wiszące na cienkich metalowych drążkach nad połyskliwą powłoką dwutlenku węgla, wyglądały jak dziwne mechaniczne owoce w zamrzniętym ogrodzie. Poruszając się w blasku reflektora umocowanego w hełmie, Don Merriam podszedł do pierwszego kanistra, stąpając najostrożniej jak tylko mógł, żeby nie wzbić tumanu trującego pyłu. Mimo to jego metalowe buty wznieciły kryształki suchego lodu, które raptownie opadły - zjawisko charakterystyczne dla pyłu i "śniegu" na pozbawionym atmosfery Księżycu. Merriam dotknął spustu, który hermetycznie zamykał kanister, zdjął kanister z drążka i wrzucił go do torby.

- Jestem najlepiej płatnym zbieraczem owoców po tej stronie Marsa - rzekł do siebie nie bez racji. - A mimo to pracuję za szybko jak na wymagania Gomperta, bossa naszego związku zawodowego i zwolennika wolnego tempa.

Znów spojrział w górę na czarną Ziemię otoczoną mosiężnym pierścieniem.

- Dziewięćdziesiąt dziewięć i dziewięć dziesiątych procent ludzi na Ziemi myśli, że się tu po prostu objam - powiedział sam do siebie. - Wydaje im się, że badanie przestrzeni kosmicznej to tylko roboty publiczne dla bezrobotnych, największe od czasu piramid. Albo od czasu budowy kolei żelaznej. Ziemskie mięczaki! Troposferyczne pąkle! - Wyszczrzył zęby w uśmiechu. - Słyszeli o kosmosie, ale wciąż nie wierzą, że kosmos istnieje. Nie byli tutaj i nie przekonali się na własne oczy, że Ziemi nie podtrzymuje żaden gigantyczny słoń, a słońca gigantyczny żółw. Kiedy mówię "planeta" i "statek kosmiczny", kojarzy im się to z horoskopem i latającym talerzem.

Podchodząc do następnego drążka z kanistrem, wzbil w górę fontannę kryształków, które zagrzecotały cicho o nogawki jego kombinezonu. Było to echo dawnych lat - przypomniały mu się mroźne dni w Minnesocie, kiedy suchy śnieg skrzypiał pod kaloszami.

- Niech pan sprawdzi, panie Kettering. Przy Koperniku widzę białe mrugające światło - oznajmiła Barbara Katz.

Knolls Kettering III, poskrzypując kośćmi stawów, zajął miejsce Barbary przy teleskopie.

- Ma pani rację - stwierdził. - To pewnie Rosjanie sprawdzają sygnały świetlne.

- Dziękuję - odparła dziewczyna. - Kiedy chodzi o Księżyc, nie mogę na sobie polegać.

Wciąż widzę światła Luny, Layportu czy innych miast z książek fantastycznonaukowych.

- Przyznam się pani, że ja też! A teraz widać czerwony sygnał.

- Mogłabym zobaczyć? Ale po co ma pan ciągle wstawać? Może lepiej usiądę panu na kolanach... jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu, a stołek wytrzyma.

Knolles Kettering III roześmiał się.

- Świetny pomysł, ale przy najmocniejszym nawet stołku plastikowa kość w moim biodrze chyba nie wytrzyma - powiedział z żalem.

- Och, serdecznie panu współczuję!

- Mniejsza o to. I tak możemy razem oglądać niebo. Tylko proszę mi nie współczuć.

- Dobrze - obiecała Barbara. - To zresztą całkiem romantyczne mieć plastikowe części, tak jak ci starzy żołnierze, którzy wykładają na akademiach kosmicznych w opowiadaniach Heinleina i E. E. Smitha.

Don Guillermo Walker zrozumiał w końcu, że lśniąca czerń przed nim to woda - małe jezioro, a nie to wielkie - bo w odległości mniej więcej piętnastu kilometrów ujrzał wreszcie

iskrzące się światła Managui. Nagle coś innego przyszło mu na myśl: za późno wystartował. Co będzie, jeżeli Księżyc wyjdzie z zaćmienia i oświetli go, dokładnie wskazując jego położenie odrzutowca el presidente i działom przeciwlotniczym? Będzie się wtedy czuł jak maszynista teatralny, który zmieniając po ciemku dekoracje na scenie, znajdzie się nagle w kręgu przedwcześnie zapalonego reflektora. Żałował, że nie fest w Chicago i nie występuje w jakiejś podrzędnej trupie, że nie zagrzewa do walki komórki organizacji Bircha pod hasłem “broń dla Południa”, że nie ma znów dziesięciu lat, jak wtedy, gdy w Milwaukee organizował na podwórzu własne przedstawienie cyrkowe i igrał ze śmiercią zjeżdżając na ziemię po zardzewiałym drucie z wysokości sześciu metrów.

Wspomnienia z dzieciństwa dodały mu otuchy. Skoro gotów był umrzeć dla podwórzowego cyrku, tym bardziej gotów jest zginąć bombardując latynoskie miasto! Włączył silnik na maksymalną prędkość: śmigło cięło teraz powietrze z nieco większą siłą.

- Guillermo geronimo! - krzyknął don Guillermo. - La Loma, strzeż się!

Rozdział 7.

Paul Hagbolt słuchał tylko jednym uchem mówców na podium. Dziwny zbieg okoliczności - fotografie gwiazdne i koncepcja Łysego o planetach wędrujących w nadprzestrzeni - odwrócił jego uwagę od dyskusji i pobudził wyobraźnię. Jak gdyby nagle duży zegar, który tylko on jeden słyszał, teraz właśnie zaczął tykać (raz na sekundę, a nie pięć razy jak małe zegarki na rękę czy większość zegarów sprężynowych), Paul wyraźnie zdawał sobie sprawę z upływu czasu i ze wszystkiego wokoło: ciasno zbitej gromadki ludzi, równej piaszczystej plaży, cichego szumu fal zalewających brzeg tuż za podium, starych, zabitych deskami domków plażowych, wznoszącego się za nimi Vandenbergu 2 z czerwonymi, migocącymi światłami, skał ciągnących się za trawą morską, ale przede wszystkim z ciepłej nocy napierającej z kosmosu i zmniejszającej do minimalnych rozmiarów wszystko oprócz Ziemi, czarnego Księżyca i błyszczących gwiazd.

Ktoś skierował pytanie do Ramy Joam. Kobieta, błysnąwszy zębami, spojrzała na Brodacza, a potem na publiczność, przyglądając się każdemu z osobna. Cerę miała równie bladą jak Anna, a ogromny, zielony turban ukrywający jej włosy podkreślał trójkątny kształt szczupłej twarzy. Wyglądała jak ale niedożywione dziecko.

Wciąż milcząc spojrzała na niebo, potem przez ramię obejrzała się na ciemny Księżyc wreszcie skierowała wzrok na publiczność.

Następnie głosem cichym, lecz chrapliwym, powiedziała:

- Cóż my naprawdę wiemy o kosmosie? Mniej niż człowiek od urodzenia wieziony w podziemnej celi wie o milionach ludzi żyjących w Kalkucie, w Hong Kongu, w Moskwie czy w Nowym Jorku. Zdają sobie sprawę, że niektórzy z was myślą, iż wyższe cywilizacje będą nas kochać i wielbić, ale ja hipotetycznie oceniam stosunek tych cywilizacji do człowieka na podstawie stosunku człowieka do mrówki. I na tej podstawie mogę wam powiedzieć jedno: tam w kosmosie są potwory. Diabły.

Rozległ się przytłumiony chrobot, jakby ktoś nakręcał stalowy mechanizm zegara. Kotka zeszytniała w ramionach Morgo i sierść zjeżyła się jej na karku. To zawarczał Ragnarok.

Rama Joon mówiła dalej:

- Gdzieś tam wśród gwiazd może znajdzie się Hindus, który nie zabija krów, albo nawet dzinista, który szczoteczką zamiata każdy przedmiot z obawy, żeby siadając nie zgnieść mrówki, i który na ustach nosi gazę, żeby nie połknąć muszki, ale w najlepszym razie będą to wyjątki. Reszta nie będzie się przejmowała jakimiś muchami, i w stosunku do nas będzie bezlitosna.

Dziwny, niesamowity nastrój ogarnął Paula. Wszystko wokół niego wydawało mu się aż nazbyt prawdziwe, a równocześnie mogło się lada chwila rozplątać w powietrzu - przypominało

zatrzymany w bezruchu, iluzoryczny obraz. Spojrzał na gwiazdy i Księżyc, stukając w nich oparcia, mówiąc sobie, że w dziejach ludzkości przynajmniej niebo się nie zmieniło, ale nagle usłyszał wewnętrzny, demoniczny głos: "A gdyby tak gwiazdy zawirowały? Na fotografiach widać było przecież, że zmieniły pozycję"

Sally prowadziła Jake'a zniszczoną, drewnianą kładką do piątego, a zarazem ostatniego wagonu kolejki w lunaparku. Byli jedynymi pasażerami prócz przestraszonej pary Portorykańczyków, która siedziała w pierwszym wagonie i już teraz kurczowo trzymała się poręczy.

- Boże, Sal, ile ja się muszę naczekać - westchnął Jake. - Wciąż muszę iść na ustępstwa tylko dlatego, że ty tak chcesz. Mieszkanie Hasseltina...

- Tss, kochasiu, tym razem nie idziesz na żadne ustępstwa. - Dziewczyna ściszyła głos, gdy mężczyzna z obsługi minął ich szybko, sprawdzając wagony. - A teraz słuchaj uważnie. Kiedy tylko ruszymy w górę, przesuń się trochę do przodu, a lewą ręką trzymaj się z całych sił oparcia siedzenia, bo prawą będziesz musiał mnie trzymać.

- Jak to prawą? Przecież ty siedzisz po lewej stronie.

- Tylko na razie - rzekła Sally i pogłaskała go pieszczotliwie.

Chłopak wytrzeszczył oczy, a potem uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Rób tylko, co ci mówię - powiedziała dziewczyna. Ze zgrzytem i chrzęstem kolejka zaczęła się piąć w górę. Kilka metrów przed szczytem Sally szybko wstała i zarzuciła nogi wokół bioder Jake'a. Jedną ręką trzymała go za szyję, drugą pospiesznie dopasowywała co trzeba.

- O rety, Sal - szepnął Jake, łapiąc oddech - pewnie się Ziemia poruszy jak w "Komu bije dzwon".

- Co tam Ziemia! - krzyknęła dziewczyna i niczym walkiria wyszczerzyła zęby w uśmiechu. Kolejka zwolniła na szczycie i nagle pomknęła błyskawicznie w dół. - Ja sprawię, że gwiazdy zawirują!

- Wydaje nam się - mówiła Rama Joan - że ludzie z gwiazd to istoty wyjątkowo urodziwe i równie fascynujące jak myśliwy dla dzikiego zwierzęcia, do którego jeszcze nikt nie strzelał. Sama chętnie o nich myślę, ale wiem, że dla nas byłiby równie okrutni i niedostępni jak dziewięćdziesiąt dziewięć procent naszych bogów. A kim są bogowie, jeżeli nie naszą wizją bardziej zaawansowanej cywilizacji? Jeżeli nie wierzycie mnie, przyjrzyjcie się dziejom ostatnich dziesięciu tysięcy lat. Zrozumiecie wtedy, że tam w górze... są diabły.

Ragnarok znów zawarczał. Miau wtuliła się mocno w ramię Margo i wczepiła w nie pazury.

- Koniec pełnego zaćmienia - oznajmił niski mężczyzna.
- Naprawdę, Ramo Joan, pani mnie zadziwia - powiedział Łysy.
- Nie bój się, Miau - szepnęła Margo.

Paul spojrział w górę i zobaczył, że wschodnia krawędź Księżyca się rozjaśnia. Poczuł ogromną ulgę. Nagle uświadomił sobie, że jego niepojęty lęk minie, z chwilą gdy skończy się zaćmienie.

Na wschód od Księżyca kilka gwiazd zabłysło i zawirowało wokół własnych osi, niby widmowe ognie bengalskie, i po chwili zgasło.

Na swym samotnym płaskowyzu Asa Holcomb widział, że gwiazdy w pobliżu Księżyca drgają jak gdyby poruszane podmuchem granej w kosmosie fanfary, i wtem na czarnym niebie otworzyła się wielka, złocisto-fioletowa brama, cztery razy szersza od Księżyca. Asa wyciągnął do niej rękę - piękno i dostojność bramy chwyciło go za serce. Aorta nie wytrzymała tego i pękła; Asa umarł.

Sally zobaczyła wirujące gwiazdy akurat w chwili, gdy na szóstym z dziesięciu szczytów kolejki górskiej na Coney Island, wspólnie z Jake'em tracąc chwilowo po dziesięć kilo na osobę, osiągnęła orgazm. W zaślepieniu aktu miłosnego, na pograniczu utraty świadomości, dziewczyna była pewna, że gwiazdy są kontynuacją jej samej - częścią Sally Harris, i zawołała ze śmiechem:

- Udało mi się. Mówiłam, że zawirują i zawirowały!

A kiedy po zapierającym dech w piersiach spadku w nadir i wędrówce w górę, znaleźli się na następnym szczycie i na miejscu wirujących gwiazd ukazała się żółto-fioletowa tarcza dwadzieścia razy większa od Księżyca, tarcza tak jaskrawa, że w jej świetle wyraźnie rysowały się prążki na garniturze Jake'a, który tulił twarz do piersi dziewczyny, Sally niczym walkiria odchyliła się na metalowej poręczy i krzyknęła z wycięsko:

- Jezu, ale atrakcja!

- O rany, co za numer! - wykrzyknął Duży Bundy. - Słuchaj, Pepe, po drugiej stronie kuli ziemskiej jest zwariowany stary Chińczyk, większy od King-Konga, który wymachuje do nas nogami i maluje grenadyną złote talerze, tak że wyglądają jak dwie pieprzące się krople deszczu, a potem ciska je w stronę Księżyca. Jeden właśnie zawisł nad nami.

- Fajne - odpowiedział Pepe. - Oświetla cały Nowy Jork. Talerzowe oświetlenie.
- Ja też to widzę! - zawołał Arab, który podszedł do nich. - Mmm, co za cudowne skręty!

W ciemnościach Palm Beach Knolls Kettering III, nie odrywając oczu od teleskopu, mówił trochę napuszonym v tonem:

- Rzeczownik "planeta", panno Katz, pochodzi od greckiego czasownika planasthai - błądzić. Z początku słowo to znaczyło "Wędrowiec", czyli ciało niebieskie, które wędruje między nieruchomymi gwiazdami.

Zamilkł na chwilę.

- Księżyc się rozjaśnia - ciągnął z przejęciem - i to nie tylko ta strona, która wychodzi! z zaćmienia. Tak, na pewno. Widać nawet kolory.

Dziewczęca dłoń spoczęła opiekuńczo na jego ramieniu i najcięższy głos, jaki kiedykolwiek zdarzyło mu się słyszeć - zupełnie jakby Barbara nagle przemieniła się w konika polnego - odezwał się:

- Ojczulku, proszę, nie odejmuj wzroku od teleskopu. Musisz się przygotować na silny wstrząs.

- Wstrząs? Nie rozumiem, panno Katz - powiedział niespokojnie, posłusznie patrząc przez okular.

- Nie jestem jeszcze pewna - ciągnął mikroskopijny głosik. - Niebo wygląda jak okładka starego pisma o dziwach kosmosu. Zdaje mi się, ojczulku, że przybył twój Wędrowiec - sądzę, że Grecy nie przypuszczali nawet, że on może być taki wielki. To chyba planeta.

Paul wzdrygnął się i dosłownie na dwie sekundy zamknął oczy. Kiedy je otworzył, ujrzał Wędrowca promieniującego jaskrawoczerwonym i złotym światłem.

Wędrowiec o średnicy cztery razy dłuższej od średnicy Księżyca zawisł na niebie o cztery długości Księżyca od niego na wschód; jego powierzchnia, szesnaście razy większa niż powierzchnia Księżyca, była faliście przecięta nierównym łukiem w kształcie litery S na dwie części, jedną złotą, drugą kasztanową, i zdawało się być miększa od aksamitu, mimo wyraźnych ostrych brzegów.

To wszystko Paul ujrzał w mgnieniu oka - nie było czasu na żadną analizę. W następnej chwili rzucił się na ziemię, skulił się, chowa! głowę - byle jak najdalej od Wędrowca. Miał wrażenie, że coś potężnego i ognistego wisi nad nim, jakaś ogromna bryła, która zaraz runie na Ziemię i go zmiażdży.

Margo, trzymając w ramionach kotkę, leżała obok niego na tarasie.

Zupełnie przypadkowo oczy Paula spoczęły na kartce, którą trzymał w ręce. Odruchowo przeczytał: "Nasz brodaty prelegent to Ross Hunter, profesor socjologii na Uniwersytecie Reeda w Portland w stanie Oregon" - zanim uświadomił sobie, że to blask Wędrowca umożliwia mu czytanie.

Dla don Guillermo, który ze wzrokiem utkwionym w "Pałac" i z lewą ręką opartą o poprzeczny uchwyt wyrzutnika bombowego zbliżał się do wzgórza z budynkami biurowymi, Wędrowiec był niczym innym jak odrzutowcem nikaraguańskich lojalistów, lecącym tuż za nim i oddającym do niego salwę bezgłośnych pocisków smugowych. Pochylił się na siedzeniu, zmrużył oczy, napiął mięśnie szyi i ramion - pewien, że zaraz przeszyją go kule. Kuł jednak nie było. Drań jest pewnie sadystą, pomyślał don Guillermo, chce przedłużyć moją mękę.

Zgodnie z planem skręcił w lewo w stronę dużego jeziora, a potem zmusił się, żeby spojrzeć za siebie. Do cholery, ten odrzutowiec to tylko potężny balon zaporowy, jakimś cudem nagle oświetlony, i pomyśleć, że go nabrali taką karnawałową zabawką! Zawróci i da im nauczkę! W tej samej chwili ujrzał oślepiający różowy blask wulkanu w La Loma i zdał sobie sprawę, że lewą ręką trzyma poprzeczny uchwyt, z którego zwisa teraz tylko urwany drut. W następnej sekundzie potężny niespodziewany wybuch wstrząsnął samolotem. Don Guillermo wyrównał kurs i machinalnie leciał dalej w stronę jeziora Nikaragua.

Ale w jaki sposób, zastanawiał się, balon utrzymuje to samo tempo, co jego stary grot? I dlaczego w dole jest tak jasno, jakby Ziemię oświetlał ogromny reflektor?

Bagong Bung stał oparty o balustradę mostka: słońce paliło go w głowę, a on wciąż miał przed oczami leżący w odległości trzydziestu siedmiu kilometrów obrośnięty wodorostami wrak pewien złota. Trwał w nieświadomości, nie czuł bowiem żadnej zmiany, kiedy front grawitacyjny nieznanego ciała niebieskiego uderzył! od spodu, targając każdą cząsteczką jego ciała. Ale ponieważ nieznanne ciało z kosmosu z jednakową siłą oddziaływało na jego kuter "Macham Lumpur", na Zotokę Tonkińską i na całą planetę, nie mąciło ono ani jednej z przyjemnych, pogodnych myśli Bagonga Bunga.

Gdyby patrzył na kompas, widziałby, jak wskazówka gwałtownie się porusza, a potem drgając wyznacza nowy kierunek odrobiną na północny wschód, ale mały Malajczyk rzadko patrzył na kompas - zbyt dobrze znał te płytkie morza. Poza tym od tak dawna miał do czynienia z oportunistami i różnymi krętaczami, zarówno z obozu komunistów jak i kapitalistów, że gdyby nawet widział, jak kompas zmienia kierunek, pomyślałby zapewne, że statek objawia swoją niestałość polityczną.

Wolf Loner skrzywił się przez sen, kiedy przepłynąwszy już połowę drogi dookoła świata, niewielki kompas jachtu "Wytrwały" zadrżał i wskazał ten sam kierunek, co kompas na "Machem Lumpur", a niebieski język ognia świętego Elma zamigotał na szczycie masztu. Loner poruszył się, ale się nie przebudził i po chwili znów zapadł w głęboki sen.

- Jimmy, zrób coś z tym ogniem, zanim rozwali nam ekran - warknął generał Stevens.

- Tak jest - odparł kapitan James Kelly. - Ale który ekran? Ogień widać na obydwu.

- Bo jest na obydwu - wtrącił ochryplym głosem pułkownik Griswold. - Spójrz na każdy z osobna, Spike. Widać go wyraźnie, jest nie mniejszy od Ziemi.

- Spike, a może to po prostu zadanie? - spytała podnieconym głosem pułkownik Mabel Wallingford. - Pierwsze Dowództwo może w każdej chwili podać nowe informacje, żeby sprawdzić, jak sobie radzimy.

- Słusznie - przyznał generał i kurczowo uchwycił się tej nowej sugestii.

Pułkownik Wallingford uśmiechnęła się z satysfakcją: Spike się boi.

- Jeżeli to rzeczywiście nowe zadanie - mówił generał - a tak mi się przynajmniej zdaje, to tym razem dali nam niezłą zagadkę. Za pięć sekund nasze urządzenia komunikacyjne będą pękać w szwach od danych o symulowanym niebezpieczeństwie. Dobra jest, zakładamy, że to nowe zadanie.

Zmuszając się do tego, żeby zerknąć w górę, Paul zorientował się, że Wędrowiec pozostaje nieruchomy i nie zmienia zarysów. Pomógł wstać Margo, po czym sam podniósł się, ale wciąż stał skulony jak człowiek, nad którym zawisała betonowa płyta, albo jak ktoś, kto za chwilę ma dostać pięścią w zęby.

Okazało się, że reakcja "padnij" była powszechna. Krzesła leżały porzucane i nie widać było żywej duszy - ani osób, które siedziały w pierwszym rzędzie, ani prelegentów.

Nie, reakcja jednak nie była zupełnie powszechna. Drażal stał wyprostowany i dziwnie spokojnym, wysokim głosem mówił:

- Nie bójcie się. To tylko wielki balon. Wykonany w Japonii, sądząc z deseni.

- Wzniósł się z Vandenbergu! - wołała histerycznie kobieta leżąca na podłodze. - Dlaczego się zatrzymał? Dlaczego się pali? Dlaczego nie leci wyżej?

Spod stołu dał się słyszeć jeszcze głośniejszy krzyk Łysego:

- Głupcy, nie wstawajcie! Nie wiecie, że to atomowa kula ognista? - A potem ciszej zwrócił się do Ramy Joan: - Gdzie są moje okulary?

Ragnarok z podkulonym ogonem obszedł taras, stanął prawie na samym środku między pustymi krzesłami, podniósł pysk w stronę Wędrowca i zaczął wyć. Paul i Margo wyminieli psa i zbliżyli się do podium.

Za ich plecami ukazała się Anna.

- Dlaczego wszyscy się boją? - zapytała wesoło. - To chyba największy latający talerz na

świecie! Teraz już mogę ją .zgasić - powiedziała, wyłączając latarkę.

- Japoński balon porusza się bardzo wolno - kontynuował Drągał głosem piskliwym i monotonnym. - Przelatuje nam teraz - nad głowami, ale proszę się nie obawiać, nie zatrzyma się tu na stałe.

Niski mężczyzna podszedł do Drągala, wyciągnął rękę do góry i potrząsnął go za ramię.

- Czy balon potrafiłby aż tak przyćmić gwiazdy? - zapytał. - Czy w jego świetle moglibyśmy rozróżnić kolory naszych samochodów? Czy Vandenberg byłby zielony? Czy zdołałby oświetlić Ocean Spokojny aż po wyspy Santa Barbara? Do jasnej cholery, odpowiedz mi, Charley Fulby!

Drągał rozejrzał się. Potem wywrócił oczy, aż widać było same białka, oparł się o krzesło i bezsilnie osunął na ziemię. Niski mężczyzna spojrział na niego uważnie i powiedział z namysłem:

- Cokolwiek to jest, nie jest to Arletta. Jednocześnie spod stołu ukazała się lśniąca czaszka i błyszczące okulary Łysego oraz owłosiona twarz Huntera, profesora z Uniwersytetu Reeda, którego Margo i Paul przezywali Brodaczem. Przez chwilę sprawiał! wrażenie dwóch dzielnych krasnali.

- To nie jest atomowa kula ognista - oznajmił Łysy. - Gdyby tak było, powiększałyby się. A poza tym od początku świeciłyby znacznie jaśniej.

Pomógł wstać Ramie Joan. Koniec jej zielonego turbanu był odwinięty. Bluzkę miała pogniecioną. Hunter również wstał.

Anna wyciągnęła rękę i pogłaskała Miao.

- Ona mruczy i wciąż patrzy na ten wielki talerz - powiedziała do Margo rudowłosa dziewczynka. - Jakby chciała go oblizać.

Wędrowiec nadal wisiał na niebie, miękki jak puch, a jednak o wyraźnie zarysowanych konturach; był .masywny, jego dwie połowy - kasztanowata i złota - układały się na kształt symbolu in-jang, symbolu światła i ciemności, mężczyzny i kobiety, dobra i zła.

Kiedy inni wpatrywał! się w nieznaną obiekty i zastanawiali się nad nim, niski mężczyzna wyjął z kieszeni na piersi niewielki notes i na czystej kartce starannie naszkicował schematyczny rysunek: wygładził nieregularne kontury i równoległymi kreskami zaznaczył kasztanowy odcień nowego ciała niebieskiego.

Don Merriam zdjął ostatni kanister i ruszył w stronę , stacji. Spojrział w gore na zaćmienie. Pierścień świecił jaskrawo po prawej stronie Ziemi. Za kilka sekund ukaże się tarcza Słońca, na Księżyc powróci upalny dzień, a ciemne koło Ziemi znów rozjaśni odbite przez Księżyc promienie Słońca.

Nagle zatrzymał się. Tarcza Słońca jeszcze się nie ukazała, a tarcza Ziemi, przed chwilą

ciemna, świeciła teraz dwadzieścia razy jaśniej niż kiedykolwiek w blasku Księżyca. Bez trudu rozpoznał kontury obu Ameryk, a w górnym prawym brzegu mały świetlisty punkt grenlandzkiej pokrywy lodowej.

- Don, spójrz na Ziemię - odezwał się w słuchawce donośny głos Johannsena.

- Właśnie patrzę, Jo. Co się tam dzieje?

- Nie wierny. Podejrzewamy, że gdzieś na Księżycu nastąpił potężny wybuch. Może pożar w bazie radzieckiej - wybuch paliwa raketowego.

- Nie byłoby tak jasno, Jo. No, ale może Amburcumian wynalazł sygnał świetlny o mocy dwudziestu Księżyców.

- Latarnia atomowa? - roześmiał się ponuro Johannsen. - Dufresne ma lepszą propozycję. Jego zdaniem wszystkie gwiazdy za nami zwiększyły jasność tysiąckrotnie.

- Może ma rację - odpowiedział Don, - Jo, co to za punkt nad Atlantykiem? - zapytał nagle.

Punktem, o którym mówił, była jasna żółto-fioletowa plama na spokojnej wodzie oceanu.

Richard Hillary opuścił zastanę, żeby poranne ostre promienie słońca nie wpadały do wnętrza, i wyciągnął się wygodnie w fotelu pośpiesznego autobusu, który właśnie nabierał szybkości w drodze do Bath, Autobus ten był miłą niespodzianką, w porównaniu z podskakującym na wyboistej drodze autobusem, którym jechał z Portishead do Bristolu. Nareszcie poczuł, że choroba morska mu mija: wewnętrzności, które niecałą godzinę temu skręcały mu się w węzowe sploty, teraz powoli się uspokajały.

Oto, co jeden wieczór spędzony z pijanym walijskim poetą może uczynić z wyobraźnią - pomyślał ironicznie. - Cholera, jakieś węzowe sploty! Starczy mi już tego na dłuższy czas!

Przy pożegnaniu Dai Davies był w wyjątkowo hałaśliwym nastroju, śpiewał głośno „Żegnaj, Mono”, improwizując poszczególne zwrotki pod wpływem alkoholu. Tworzył okropne neologizmy, takie jak “księżycyco-ciemność” i “ludzko-blask”, a do tego wszystkiego “dziewico-uroda”. Ulga, jaką czuł Richard, kiedy się pozbył Daviesa, była szczerą i głęboką. Nawet nie przeszkadzało mu (przynajmniej na razie), że kierowca autobusu ma włączone radio i zmusza pasażerów do słuchania przytłumionych dźwięków amerykańskiego neojazzu, równie bezsensownego, jak partia republikańska.

Richard wydał ciche, choć głębokie, westchnienie. Tak, na jakiś czas koniec z Dai, koniec z literaturą fantastycznonaukową, koniec z Księżycem. Tak, przede wszystkim z Księżycem.

- Przerwywamy program - odezwał się głos z radia - żeby podać państwu zeskakujące wiadomość! ze Stanów Zjednoczonych.

Rozdział 8

Hunter i Łysy rozmawiali, obserwując Wędrowca. Kiedy kędzierzawa głowa i bujna broda Huntera przysłoniła na chwilę złocistą część kuli, lśniąca czaszka Łysego przybrała dziwny karmazynowy odcień.

Paul pod wpływem nagłego przyływu energii wskoczył na podium i nie myśląc o konsekwencjach powiedział:

- Posiadam tajne informacje na temat fotografii gwiazdnych z polami zniekształceń, które całkowicie potwierdzają...

- Dosyć! Nie mam czasu wysłuchiwać bredni fanatyków! - krzyknął Łysy, po czym zwrócił się znów do Huntera:

- Mogę się założyć, Ross, że jeśli ten obiekt Jest w tej samej odległości od Ziemi, co Księżyc, musi być wielkości Ziemi. Na pewno. Ale...

- Zakładając, że to kula - przerwał mu ostro Hunter - bo może być płaski jak talerz.

- Oczywiście zakładając, że to kula. Ale to chyba naturalne i rozsądne przypuszczenie, prawda? Słuchaj, jeżeli jest tylko tysiąc sześćset kilometrów nad nami - na sekundę zamknął oczy - to jego średnica wynosi czterdzieści osiem kilometrów. Zgodzą się?

- Tak - odparł Hunter. - Trójkąty podobne i dwanaście tysięcy osiemset kilometrów dzielone przez dwieście pięćdziesiąt.

Łysy skinął głową tak energicznie, że gdyby nie przytrzymał okularów, spadłyby na ziemię.

- Jeżeli natomiast jest tylko sto sześćdziesiąt kilometrów nad nami - co oznaczałoby, że nie odbija promieni słonecznych, lecz świeci własnym blaskiem...

- To ma średnice długości cztery przecinek osiem kilometra - dokończył za niego Ross.

- Tale - zgodził się Paul. - Ale w takim razie okres jego obiegu po orbicie wynosi dziewięćdziesiąt minut, czyli cztery stopnie na minutę, a taki ruch będziemy w stanie zaobserwować i bez pomocy gwiazd.

- Ma pań całkowita słuszność - powiedział Łysy zwracając się do Paula jak do starego kolegi - Cztery stopnie to tyle, co Pas Oriona. Jeżeli ta kula rzeczywiście posuwa się z taką szybkością, zauważymy to niebawem.

- Ale skąd wiesz, że ona w ogóle posuwa się po orbicie? - zapytał Hunter. - Skąd możesz mieć tę pewność?

- Jeszcze jedna zrozumiała i, rozsądna hipoteza - odparł głośno i z pewną goryczą Łysy. - Tak jak to, że odbija promienie słoneczne. Nie wiem, skąd się tu wzięła, ale skoro jest w kosmosie, i dopóki się nie przekonamy, że jest inaczej, możemy przypuszczać, że podlega prawom kosmosu.

Co pan chciał powiedzieć o fotografiach gwiazdnych? - zwrócił się do Paula.

Paul zaczął opowiadać.

Margo nie weszła z Paulem na podium. Stała niżej - wokół niej ludzie tłoczyli się i z przejściem dyskutowali, dwie kobiety, kucając przy Drągalu, rozcierały mu nadgarstki, niski mężczyzna szukał czegoś między krzesłami - i wpatrywała się w dziwne ametystowotopazowe smugi za ciemną plażą, w odbicie Wędrowca w wodach Pacyfiku. Przyszło jej na myśl, że wszystkie widma jej przeszłości, a może przeszłości świata, przyjdą do niej tą szosą wybrukowaną drogimi kamieniami.

W polu jej widzenia ukazała się twarz kobiety w turbanie.

- Poznaję panią - powiedziała kobieta oskarżycielskim tonem. - Jest pani narzeczoną tego kosmonauty. Widziałam pani zdjęcie w „Life’ie”.

- Chyba ma pani racje - wtrąciła druga kobieta w jasnoszarym swetrze i spodniach. - Ja też widziałam to zdjęcie.

- Przyszła z jakimś panem - poinformowała je Anna, która stała koło Ramy Joan. - Są bardzo mili i mają kotkę. Widzisz, mamusiu, jak kotka wpatruje się w ten olbrzymi aksamitny talerz?

- Tak, kochanie - Rama Joan uśmiechnęła się krzywo. - Widzi diabły. Koty je lubią.

- I tak się boimy. Niech pani przestanie nas straszyć - wtrąciła ostro Margo. - To głupie i dziecinne.

- Pani myśli, że tam nie ma diabłów? - zapytała uprzejmie Rama Joan. - O, proszę się nie martwić o Annę. Jej się wszystko podoba.

Ragnarok podkradł się do nich, wspiął się na tylnych łapach i zawarczał na Miau.

- Siad, pies! - rozkazał niski mężczyzna, który wciąż szukał czegoś między krzesłami. Margo starała się przytrzymać wyrywającej się i drapiącą kotkę, natomiast Karna Joan odwróciła się i spojrzała na Wędrowca, a potem na Księżyc, który powoli wychodził z zaćmienia. Niski mężczyzna znalazł to, czego szukał, usiadł i położył na kolanach odnaleziony skarb - przedmiot wielkości teczki, ale o ostrzejszych krawędziach.

- Tak - mówił właśnie na podium Łysy do Paula. - Te fotografie rzeczywiście wskazują na to, że coś przywędrowało z nadprzestrzeni, ale... - grube szkła powiększały jego zmarszczone brwi - ale to nam w niczym nie pomoże. Nie powie nam, jak daleko od Ziemi jest to świństwo. - Jeszcze bardziej zmarszczył brwi.

- Rudolf! Słuchaj! - krzyknął do Łysego Hunter. Rudolf, czyli Łysy, chwycił złożony parasol.

- Przepraszam, Ross, ale muszę coś sprawdzić - powiedział i trochę niezdarnie zeskoczył z

podium.

Paul nagle zrozumiał: jego nagły przyptyw energii był po prostu podnieceniem, które ogarnęło też pozostałych.

- Ale to ważne - mówił głośno Hunter, zwracając się po części do Paula, a po części do Rudolfa. - Jeżeli kula jest tylko sto sześćdziesiąt kilometrów nad nami, to znajduje się w cieniu Ziemi i nie może odbijać promieni słonecznych. Ale przyjmijmy, że jest tylko szesnaście kilometrów nad nami. To wystarczy, żeby oświetlić spory obszar Ziemi. Wtedy ma średnicę zaledwie około czterystu pięćdziesięciu metrów. Rudolf, słuchaj, wiem, żeśmy się wszyscy śmieli z Charlie'ego Fulby, kiedy mówił o balonie, ale wiadomo, że balony ponad stumetrowej średnicy osiągały wysokość trzydziestu pięciu kilometrów. Przypuśćmy, że to ogromny balon z niezwykle silnym źródłem światła wewnątrz. Źródło to ogrzewa gaz i sprawia, że balon unosi się jeszcze wyżej... - nagle urwał. - Rudolf, co tam robisz, do diabła? - spytał.

Rudolf wbił głęboko w piasek parasol i kucając za nim patrzył na Paula i Huntera poprzez łuk rączki. Wędrowiec wyraźnie odbijał się w jego grubych szklach.

- Sprawdzam orbitę tego świństwa! - krzyknął do nich z dołu. - Staram się ustawić parasol na jednej linii z rogami stołu i kulą na niebie. Niech nikt nie rusza stołu!

- Mówię ci przecież - odparł Hunter - że ta kula może wcale nie mieć orbity, że może się tylko unosić w powietrzu! To po prostu może być balon wielkości pięciu boisk do piłki nożnej.

- Panie Hunter! - zawołała z lekką drwiną w głosie Rama Joan. Brodacze obejrzał się. Inni również.

- Panie Hunter - powtórzyła Rama Joan. - Dwadzieścia minut temu opowiadałeś nam o symbolach, które widzimy na niebie, a teraz każesz się nam zadowolić wyjaśnieniem, że to wielki czerwonożółty balon. Ale z was dzieci. Spójrzcie na Księżyc!

Paul śladem innych zasłonił ręką Wędrowca. Wschodnia, trzecia część Księżyca wyszła już z zaćmienia, ale nawet ją pokrywały kolorowe plamki, tymczasem zaś na ocienionych krawędziach widać było czerwone i złote smugi. Nie było najmniejszej wątpliwości, że światło Wędrowca pada na tę stronę Księżyca z równą siłą, co na Ziemię.

Ciszę przerwał nagły terkot. Niski mężczyzna ustawił na kolanach przenośną maszynę do pisania i zawzięcie w nią walił. Nieregularne stukanie wydało się Margo czymś tak samotnym i niewłaściwym jak stepowanie na płycie grobowej pośrodku cmentarza.

- Dobra, skoro Pierwsze Dowództwo nam to zleca, do roboty! - warknął generał Spike Stevens. - Jimmy, natychmiast przekaz mój rozkaz do bazy księżycowej: WYŚLAĆ STATEK NA LOT ROZPOZNAWCZY NOWEJ PLANETY, PRZYPUSZCZALNA ODLEGŁOŚĆ OD BAZY

CZTERDZIEŚCI TYSIĘCY KILOMETRÓW (tu podać księżycowe współrzędne przestrzeni),
INFORMACJE NIEZBĘDNE, PRZEKAZAĆ NATYCHMIAST.

- Spike - odezwał się pułkownik Griswold - nadajniki pokładowe mają za mały zasięg, żeby nadawać bezpośrednio na Ziemię.

- Niech nadają przez bazę.

- Nie da rady. Będą po tamtej stronie Księżyca. Generał strzelił palcami.

- Dobra - powiedział. - Każ im wysłać dwa statki, jeden wywiadowczy, a jakiś czas po nim drugi, który będzie przekazywał informacje do bazy. Zaczekaj! W bazie są trzy statki gotowe do akcji, tak? Niech wyślą dwa statki wywiadowcze, na północ i na południe nowej planety, a trzeci niech krąży wokół Księżyca, - niech je osłania i przekazuje informacje. Wiem, Will, w bazie zostanie jeden człowiek bez statku, ale dla zdobycia informacji gotów jestem zaryzykować.

W napiętej atmosferze podziemnego pomieszczenia pułkownik Mabel Wallingford poczuła nagle dreszcz niepokoju: a może to wcale nie jest zadanie? Wtedy Spike nie da sobie rady. Dzięki mnie odniósł to drobne zwycięstwo, ale zaraz je utraci.

Margo usłyszała, jak kobieta, o którą opierał się Drągal, mówi do niego:

- Charlie, nie wstawaj jeszcze.

Drągal spokojnie wpatrywał się w Wędrowca. Kącikami ust uśmiechał się lekko.

Margo odruchowo pochyliła się nad nim. To samo zrobiła Rama Joan, bezwiednie podwijając wystający koniec turbanu.

- Ispanie - wyszeptał osłabiony mężczyzna. - Och, Ispanie, jakże mogłem cię nie poznać? Pewnie nigdy nie zastanawiałem się, jak wyglądasz z daleka - a potem dodał głośniejszym głosem: - Ispan, fioletowy i złoty Ispan - Planeta Cesarska.

- Iszpan-Hiszpan - rzucił obojętnie niski mężczyzna, nie przerywając pisania na maszynie.

- Charlie Fulby, ty stary kłamczuchu - powiedziała niemal z czułością Rama Joan. - Dlaczego wciąż udajesz? Przecież wiesz, że nigdy w życiu noga twoja nie stanęła na innej planecie.

Kobieta podtrzymująca Drągala rzuciła Ramie Joan wściekłe spojrzenie, ale Drągal popatrzył na nią bez złości.

- To prawda, Ramo Joan - powiedział - nie byłem na żadnej planecie, ale od lat odwiedzam je w myślach. Jestem tak pewien ich istnienia jak Platon był pewien uniwersalii, a Euklides nieskończoności. Ispan, Arletta i Brima istnieją tak, jak istnieje Bóg. Czuję to. Ale żeby przekonać o tym ludzi w tym materialistycznym świecie, musiałem udawać, że na nich byłem.

- Dlaczego mi teraz mówisz prawdę? - zapytała łagodnie Rama Joan, jakby z góry znała odpowiedź.

- Bo teraz nie ma potrzeby udawać - odparł cicho Drągał. - Ispan tu przybył.

Niski mężczyzna wyciągnął kartkę papieru z maszyny, przypiął ją do bloku, stanął na podium i pukając w stół poprosił o ciszę:

- Po miejscu, dacie, godzinie i minucie mam tu, co następuje - zaczął czytać: - MY, NIŻEJ PODPISANI, WIDZIELIŚMY KOLISTY OBIEKT NA NIEBIE W POBLIŻU KSIĘŻYCA. ŚREDNICA OBIEKTU BYŁA MNIEJ WIĘCEJ CZTERY RAZY WIĘKSZA OD ŚREDNICY KSIĘŻYCA. OBIEKT SKŁADAŁ SIĘ Z DWÓCH CZĘŚCI: FIOLETOWEJ I ŻÓLTEJ, PRZYPOMINAJĄCYCH SYMBOL INJANG LUB LUSTRZANE ODBICIE CYFRY SZESĆDZIESIĄT DZIEWIĘĆ. JEGO ŚWIATŁO UMOŻLIWIAŁO CZYTANIE GAZETY. CO NAJMNIJ PRZEZ DWADZIEŚCIA MINUT OBIEKT NIE ZMIENIŁ POSTACI. Czy są jakieś poprawki? Jeżeli nie, proszę się podpisywać tu niżej, i proszę od razu podawać adresy.

Ktoś ciężko westchnął, ale Łysy zawołał ze swojego posterunku na piasku:

- Słusznie, Dodd. Niech się podpisują!

Niski mężczyzna podsunął blok dwóm kobietom stojącym najbliżej. Jedna roześmiała się histerycznie, druga wyrwała mu pióro i podpisała się.

- Zaobserwowałeś już ruch? - zapytał Paul Rudolfa.

- Nie jestem jeszcze pewien - odpowiedział Rudolf, wstając ostrożnie, żeby nie poruszyć wbitego głęboko w piasek parasola. - W każdym razie kula jest daleko od Ziemi.

Wszedł na podium.

- Czy ktoś ma teleskop albo lornetkę? - spytał głośno, ale bez większej nadziei. - Może choć teatralną? - czekał chwilę na odpowiedź, a potem wzruszył ramionami. - Co za ludzie! - powiedział do Paula, zdejmując okulary, żeby je przetrzeć i rozmasować skronie.

Brodąta twarz Huntera nagle się rozjaśniła.

- A może ktoś ma radio?! - zawołał.

- Ja mam - odparła chuda kobieta, siedząca na podłodze obok Drągala.

- W porządku, niech pani znajdzie jakąś stację - rzekł Hunter.

- Postaram się złapać KFAC. Tam nadają muzykę klasyczną i często przerywają program, żeby w skrócie podać wiadomości.

- Jeżeli w Nowym Jorku albo w Buenos Aires również widać tę kulę, będziemy mieli pewność, że jest ona bardzo wysoko - skomentował Hunter.

Margo, trzymając kotkę, znów patrzyła na Wędrowca. Nagle poczuła, że ktoś ją bierze za łokieć.

- Clarence Dodd - przedstawił się uprzejmie niski mężczyzna. - Pani...

- Margo Gelhorn - odparła Margo. - Czy ta potężna bestia to pański pies, panie Dodd?

- Tak - powiedział mężczyzna i uśmiechnął się lekko. - Czy mogłaby się pani tu podpisać?

- Niech mi pan da spokój - rzekła opryskliwie i znów spojrzała na Wędrowca.

- Będzie pani żałowała - zapewnił ją spokojnie Dodd. - Raz w życiu widziałem prawdziwy latający talerz i nie wziąłem pisemnych oświadczeń od czterech osób jadących razem ze mną samochodem. Po tygodniu wszyscy twierdzili!, że to było co innego.

Margo wzruszyła ramionami i podeszła do podium.

- Paul - powiedziała - zdaje mi się, że fioletowa część się zmniejsza, a na zewnętrznej krawędzi żółtej płaszczyzny widać fioletowe pasmo, którego przedtem nie było.

- Ona ma rację - odezwało się kilka głosów. Rudolf poprawił okulary, które wciąż zsuwały mu się z nosa, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, Hunter zawołał:

- Obraca się! To na pewno kula!

Paul, któremu dotychczas wydawało się, że Wędrowiec jest płaski, ujrzał nagle, że to bryła. Widok wyłaniającej się, dotąd ukrytej, nieznanej drugiej strony kuli wywarł na zebranych wielkie wrażenie.

Rudolf podniósł rękę.

- Obraca się na wschód - stwierdził. - A to znaczy, że kula kręci się w przeciwną stronę niż Ziemia i większość planet naszego układu słonecznego.

- Słyszysz, Bili? Zaczyna się lekcja astronomii - cicho, ironicznym tonem powiedziała szaro ubrana kobieta do siedzącego obok mężczyzny.

Chuda kobieta włączyła radio tranzystorowe: słyhać było wyraźnie tylko zakłócenia. Muzyka, a właściwie to, co można było wyłapać z zakłóceń, była skoczna i melodyjna. Po chwili Paul rozpoznał "Walkirię" Wagnera, która tu, na rozległym otwartym terenie brzmiała tak, jakby utwór grała orkiestra złożona z myszy.

Don Merriam był prawie w połowie drogi powrotnej do stacji; szybkim krokiem szedł ostrożnie po jaśniejszej równinie, wznosząc butami pył, kiedy w słuchawce usłyszał opanowany głos Johannsena. Zatrzymał się.

- Słuchaj uważnie, Don - powiedział Johannsen. - Masz nie wchodzić do stacji. Wsiadaj do statku A i przygotuj się do samotnego startu.

Don chciał zapytać, co się stało, ale się powstrzymał. Słyszając tę ciszę w słuchawce Johannsen roześmiał się z uznaniem i mówił dalej:

- Wiem, na tego typu statkach lataliśmy w pojedynkę tylko na próbnym, ćwiczebnym lotach, ale to rozkaz z góry. Dufresne jest już gotów. Będzie leciał statkiem B. Ja z Baby Jagi C będę przekazywał informacje Gornpertowi, który zostanie na miejscu i będzie je przysyłać

dowództwu na Ziemi. Ty i Dufresne wystartujecie, kiedy otrzymacie rozkaz. Ty zbadasz północną stronę żółto-fioletowego obiektu za Księżycem, a Dufresne południową. Aż mi się wierzyć nie chce, ale dowództwo z Ziemi mówi, że to...

Słowa Johannsena zagłuszył niski, świdrujący, niemal poddźwiękowy ryk: Don stopami wyczuł idące od dołu wibracje. Grunt księżycowy zachybotał mu pod nogami i Don stracił równowagę. W chwili gdy padał, myślał jedynie o tym, żeby zgiąć ręce w łokciach i osłonić hełm. Widział szarą warstwę pyłu, która falowała lekko niczym gruby dywan podnoszony wiatrem - to siła inercji utrzymywała pył nad rozdygotanym Księżycem.

Don runął na wznak. Łoskot wzmagął się: czuł przez kombinezon coraz silniejsze wibracje. Fontanny pyłu wzbily się wokół niego. Hełm na szczęście nie pękł.

Ryk ustał.

- Jo! Jo! - krzyknął Don, a potem językiem włączył alarm.

Fioletowo-żółty blask padał na niego od zachodniej strony Atlantyku, nie opodał wybrzeży Florydy.

Ze stacji nie było odpowiedzi.

Rozdział 9

Margo i Paul ruszyli za główną grupą z powrotem do samochodów. Nikt nie pamiętał, kto pierwszy zawołał: "Lepiej się stąd wynośmy", ale kiedy słowa te zostały wypowiedziane, prawie wszyscy natychmiast zgodnie ruszyli w drogę. Jedynie Rudolf chciał koniecznie zostać przy swoim astrolabium składającym się z parasola i rogu stołu, usiłował też przekonać kolegów-observatorów, żeby z nim zostali, ale w końcu wyperswadowano mu ten pomysł.

- Rudolf jest kawalerem - w charakterze wyjaśnienia zwrócił się Hunter do Margo, kiedy czekali wraz z kilkoma innymi osobami, aż Rudolf zbierze swoje rzeczy. - Może nie spać całą noc obserwując jakieś zjawisko, głowiąc się nad zadaniem szachowym albo usiłując poderwać jakąś aktoreczkę! - to ostatnie krzyknął do Rudolfa - ale my wszyscy mamy rodziny.

Skoro tylko padła propozycja odejścia, Paul chciał natychmiast pójść do Dowództwa Projektu Księżycowego. Postanowił, że wraz z Margo skręcą od razu w stronę Vandenbergu 2, właściwie już chciał powiedzieć, że pójdą pieszo do Bramy Plażowej - byłoby prędzej - ale przypomniał sobie, że sprawdzanie przepustek trwa tam dłużej.

Gdy jako jedni z pierwszych byli już gotowi do drogi, Miau nabrała odwagi widząc, że Ragnarok jest na smyczy, wyrwała się i zaczęła zwiedzać plażę pod tarasem. Anna, czekając aż Margo złapie kotkę, została z tyłu, a wraz z nią jej matka, Rama Joan. Tworzyły dziwną parę: spokojna dziewczynka z rudymi warkoczykami i kobieta o męskich rysach w wymiętym fraku.

Kiedy Rudolf przyłączył się do nich, cała grupka ruszyła szybkim krokiem, żeby dopędzić tych na przedzie.

Rudolf wskazał kciukiem Brodacza.

- Czy ten typ szkalował moje dobre imię? - zapytał Margo.

- Nie, wprost przeciwnie. Profesor Hunter robił panu jak najlepszą reklamę - odpowiedziała z uśmiechem dziewczyna. - Jeśli dobrze zrozumiałam, nazywa się pan Rudolf Valentino.

- Nie - roześmiał się Rudolf. - Po prostu Rudolf Brecht. Ale Brechtowie to również uwodziciele, hoho!

- Zapomniałeś parasola - wtrącił Hunter i jednocześnie chwycił Brechta za łokieć. - Nie, nie pozwolę po niego wracać.

- Nie mam zamiaru, Ross - odparł Rudolf. - Specjalnie go tam zostawiłem jako swojego rodzaju pomnik. Nawiasem mówiąc, należałoby jeszcze dopisać do tej kartki, że jesteśmy bandą głupców. Całą noc będziemy się musieli przedzierać przez korki uliczne zamiast zostać w tym wymarzonej miejscu i wykorzystać czas na owocne obserwacje. Zjedlibyśmy pyszne śniadanie na świeżym powietrzu.

- Nie jestem pewien, czy to rzeczywiście wymarzone miejsce - zaczął ponuro Hunter, ale Rudolf przerwał mu i wskazał ręką Wędrowca.

- Przypuśćmy, że to prawdziwa planeta - powiedział. - Czym według ciebie są więc te żółta i kasztanowate plamy? Moim zdaniem, żółte to pustynie, a kasztanowate to oceany fioletowych wodorostów.

- Suche obszary skryształizowanego jodu i siarki? - strzelił w ciemno Hunter.

- Których granic strzegą pewnie demony Maxwella? - zapytał z lekką ironią Rudolf.

Paul spojrział w górę. Fioletowe pasmo było teraz szersze, a żółta powierzchnia, która przesunęła się bliżej środka nieznanego ciała, przypominała kształtem opasły półksiężyc.

- A ja myślę, że to oceany ze złotą wodą i ziemia porośnięta fioletowym lasem - powiedziała Anna.

- Nie, moja panno, trzeba przestrzegać zasad gry - upomniał ją Rudolf. - A to znaczy, że nie można wymyślać rzeczy, których nie ma tu na Ziemi.

- Czy taką ma pan metodę badania spraw nieznanych? - spytała z rozbawieniem Rama Joan.

- Czy naprawdę w ten sposób podchodzi pan do wszystkiego?

- Tak. Do wszystkiego. To chyba najsluszniejsza zasada - odparł Rudolf. - Młoda damo - zwrócił się znów do Anny - jak się najlepiej wkraść w łaski twojej mamy? Nigdy jeszcze nie zabiegałem o względy buddystki, a to wielka pokusa.

Anna wzruszyła ramionami, jej rude warkocze podskoczyły. Rama Joan sama odpowiedziała na pytanie.

- Niech się pan nie spodziewa, że podzielam pańskie poglądy - rzuciła zgryźliwie.

Ściągnęła nagle turban, ukazując fale złocisto-rudych włosów - nareszcie widać było podobieństwo między matką a córką, a frak Ramy Joan wyglądał teraz jeszcze bardziej dziwnie.

Mijali kępy trawy morskiej i powoli zbliżali się do reszty piechurów. Paul spostrzegł ze zdziwieniem, że niemal wszyscy oddalający się od Wędrowca idą zgarbieni, a potem uświadomił sobie, że sam też idzie pochylony. Wyprzedził Długą i dwie idące przy nim kobiety. Jedną z nich była chuda kobieta z radiem. Wśród trzasków i zakłóceń słychać było Koncert a-moll Grega.

- Staralam się złapać inne stacje - wyjaśniła Hunterowi - ale zakłócenia były jeszcze większe.

Nagle muzyka ucichła. Wszyscy naraz się zatrzymali. Kilka osób na przedzie też stanęło.

- Podajemy komunikat z Sigalert - powiedział wyraźny głos. - Autostrady prowadzące do Hollywood i Santa Monica - nie, przepraszam - do Hollywood, Santa Monica i Ventury są zamknięte z powodu zatorów. Prosi się kierowców, żeby nie używali żadnej z tych autostrad aż do odwołania. Radzimy pozostać w domu. Nieznane ciało na niebie tonie jest wybuch atomowy.

Powtarzam: to nie jest wybuch atomowy. Przed chwilą rozmawialiśmy przez telefon z profesorem Humasonem Kirkiem, sławnym astronomem uniwersytetu w Tarzanie, który nam powiedział, że nieznany obiekt na niebie to bez wątpienia, - powtarzam bez wątpienia - wędrująca chmura pyłu metalicznego, odbijająca światło słoneczne. Nie ma się więc czego obawiać. Profesor sądzi, że to pył złota i brązu. Ogólna waga pyłu, jak zapewnia profesor, wynosi nie - więcej niż trzy kilogramy, a sam pył nie stanowi zagrożenia...

- Co za dureń! - nie wytrzymał Rudolf Brecht. - Pyłek! Meszek!

Kilka osób syknęło na niego, ale kiedy się uciszył, słyhać już było tylko zakłócany szmerami fortepianowy Koncert a-moll.

Don Merriam był około stu metrów od stacji, kiedy na Księżycu nastąpiły nowe wstrząsy - tym razem wstrząsy pionowe, zapowiedziane przez potworny świdrujący łoskot, jakby ktoś wypruwał z Luny wszystkie wnętrzości. Donowi zaczęły dzwonić zęby, a metalowe części kombinezonu wibrowały gwałtownie jakby w rytm dźwięków ogromnego, kosmicznego fortepianu.

Twardy grunt księżycowy umknął mu spod nóg, chwilę później uderzył z siłą w jego karbowane podeszwy, potem znów umknął i znów go rąbnał. Dywan pyłu podskakiwał i opadał wraz z Donem. Gdzieniedzie całe chmury tryskały w górę na wysokość ponad czterech metrów, po czym opadały raptowniej niż kurz na Ziemi.

Wstrząsy nie ustępowały. Don, jakby balansował na grzbiecie wierzgającego konia, walczył, żeby utrzymać równowagę, pomagając sobie nagłymi wyrzutami ramion. Raptownie unoszący się pył tworzył grube, ostre łuki na tle gwiazdnych pól. Światło słoneczne zmów zalewało równinę Platona.

Wstrząsy ustały. Kosmonauta nastawił polaryzację na cztery piąte i rozejrzał się, szukając stacji. Zaniechał już prób porozumienia się ze stacją przez nadajnik umieszczony w kombinezonie. Nie widział iluminatorów, ale w świetle słonecznym zawsze trudno było je dostrzec. Kierując się gwiazdami, obrał właściwą drogę i ruszył przed siebie. Zdawało mu się, że widzi błyszczące krawędzie dwóch statków kosmicznych, stojących na wysokich trójnogach.

Nowa seria poprzecznych wstrząsów sejsmicznych zwała Dona z nóg. Podniósł ręce w samą porę, żeby złagodzić upadek. Tym razem wstrząsy trwały dłużej - towarzyszyło im kilka wstrząsów ubocznych. Krater Platona falował aż po horyzont niczym jezioro szarego pyłu. Strumienie pyłu wznosiły się i opadały. W istocie bardziej przypominało to ziemskie wodotryski niż fontanny księżycowego pyłu. Fale pyłu piętrzyły się wokół spiczastych skał, a całe tumany opadały na hełm Dona.

Pionowe wstrząsy zawtórowały poziomym. Grzmot oszołomił Dona. Kombinezon pobrząkiwał na nim jak pusta puszcza w betoniarce.

Postanowił nie czekać dłużej i niczym pokryty srebrnym pyłem chrząszcz zaczął się czołgać w stronę statków. Żałował tylko, że nie ma tyle nóg co chrząszcz.

Zbliżając się do samochodów, które wyraźnie rysowały się u podnóża ciemnych skał, członkowie sympozjum rozdzielili się na grupy. Światło Wędrowca, złożone z harmonizujących ze sobą żółtości i fioletów, nadawało żółtawy odcień wszystkiemu z wyjątkiem lustrzanych powierzchni, takich jak tafla wodna, w której odbijała się cała planeta, albo krańców, gdzie cień przysłaniał jeden z kolorów.

- Pewnie wy z Projektu Księżycowego wiecie znacznie więcej od nas - z odrobiną zazdrości w głosie powiedział Hunter do Paula. - Macie przede wszystkim lepszy system informacji. A poza tym teleskopy satelitarne, radary i całą resztę!

- Nie jestem taki pewien, Ross - odparł Paul. - Praca to wyrabia u wszystkich wycinkowe spojrzenie.

Niski mężczyzna podszedł do nich - w prawej ręce na krótkiej smyczy trzymał Ragnaroka, w lewej blok.

- Pamięta mnie pani? Nazywam się Clarence Dodd. Może byłaby pani tak uprzejma teraz się podpisać? - zapytał przymilnie, wyciągając do Margo blok. - Jutro każdy będzie mówił: dlaczego się nie podpisałem? Ale będzie już za późno.

Margo, usiłując powstrzymać wyrywającą się kotkę, warknęła:

- Idiota! Niech się pan odczepi!

- Ja ci podpiszę, Dodd - zawołał wesoło Rudolf. - Tylko chodź tutaj i przestań drażnić zwierzęta!

Anna roześmiała się cicho.

- Wiesz, mamusiu, podoba mi się pan Brecht - powiedziała. Rudowłosa kobieta we fraku odpowiedziała jej ledwo dostrzegalnym uśmiechem.

- Świetnie! Może taka reklama przekona twoją mamę! - zawołał Rudolf.

Paul ujął Margo za łokieć i już miał ją zaprowadzić do samochodu, kiedy nagle coś go skłoniło, żeby stanąć i spojrzeć na Wędrowca. Otoczony fioletem żółty kształt był teraz wyraźny - szerszy u podstawy, zwężający się ku górze i ostro zgięty na czubku. Nowy kształt nie dawał Paulowi spokoju.

Clarence Dodd - lub "niski mężczyzna", jak go wciąż w myśli nazywał Paul - dał Rudolfowi do potrzymania smycz Ragnaroka i szybko narysował nowy, uproszczony rysunek,

poziomą linią zakreślając fioletową płaszczyznę. Pod rysunkiem napisał: Po godzinie.

Jeden z samochodów, czerwona limuzyna, ruszył, pozostawiając - innych daleko w tyle.

Z przodu rozległo się wołanie chudej kobiety:

- Proszę nam pomóc! Wanda chyba ma atak serca!

Ragnarok zaskomlał. Miau syknęła.

Naraz Paul uświadomił sobie, co mu przypomina żółty kształt: dinozaura o długich szczękach, stojącego na potężnych tylnych łapach. Poczul gęsią skórkę. Przeszył go nagle dreszcz - coś wstrząsało jego ciałem.

W dzieciennych latach Paul lubił stawać pośrodku huśtawki zawieszanej na ganku: była to solidna ławka wyłożona poduszkami, mieszcząca trzy osoby, i łańcuchem przymocowana do sufitu. Zdawało mu się wtedy, że zachowanie równowagi na huśtawce jest szczytem odwagi. Teraz nagle znów znalazł się na huśtawce - ziemia bowiem z przytłumionym łoskotem lekko chwiała mu się pod nogami, najpierw kilka centymetrów do tyłu, potem kilka centymetrów do przodu, potem znów do tyłu, On sam zaś musiał balansować, żeby utrzymać równowagę, jak to robił niegdyś na huśtawce.

Ponad krzyki i nawoływania wybił się rozkazujący głos Huntera:

- Jak najdalej od samochodów!

Margo przywarła do Paula. Miau, zgnieciona między nimi, pisnęła.

Wszyscy biegali zataczając się. Brązowa skała jak gdyby wypaczyła się, pokryła głębokimi rysami, wreszcie zaczęła się rozpadać, najpierw powoli, a potem coraz prędzej niczym pod druzgocącymi uderzeniami miota. Posypał się grad kamieni. Odłamek uderzył Paula w policzek. W powietrzu unosiła się chmura pyłu. Rozszedł się nagle silny zapach wilgotnej ziemi.

- Prędko! - krzyknął Hunter. - Niektórych zasypało! Paul rzucił jeszcze okiem na żółty pionowy kształt na fioletowej powierzchni kuli, która teraz znajdowała się znacznie bliżej Księżycy.

Król drapieżników - Tyranozaurus!

Pershing Square - zespół niewielkich fontann i wypielęgnowanej zieleni porastającej podziemny garaż miejski i schron atomowy - znajduje się w samym sercu starej dzielnicy Los Angeles, w której częściej widać napisy typu „Su credito es bueno” niż takie same informacje w języku angielskim.

Tej nocy pijacy, włóczędzy i anonimowi przechodnie, którzy oprócz ruchliwych wiewiórek i skrzydlatych gołębi są najczęstszymi bywalcami placu; mogli obserwować coś znacznie ciekawszego, niż zmierzwiowane brody kaznodziejów zapowiadających Powtórne Przyjście i

histeryczne gesty obdartych mówców.

Tej nocy bywalcy placu wylegli na róg ulicy Olive i Piątej Alei, gdzie frontem do hotelu Baltimore, do wzgórza Bunkera i do gmachu baptystów, który służył jako jeden z głównych teatrów w mieście, stoi posąg z brązu przedstawiający zamyślonego Beethovena. Światło Wędrowca zalewało twarze i oczy zwrócone w górę, obserwujące w milczeniu potężny znak na południowej części nieba; oczy Beethovena, który spoglądał w dół na swoją nie dopiętą kamizelkę, zaplamioną ptasimi odchodami, pozostawały jednak w cieniu krzaczastych brwi muzyka i jego wielkiej grzywy.

Przez chwilę panowała napięta, pełna grozy cisza, a potem rozległ się stłumiony odległy łoskot. Jakaś kobieta krzyknęła i zebrani oderwali oczy od nieba. Przez moment zdawało im się, że ulicą Olive prą potężne grzywacze zwieńczone żółto-fioletową pianą - ogromne fale czarnego oceanu, które wdarły się trzydzieści kilometrów w głąb lądu na północ od San Pedro, zalewając stocznię i autostradę w Long Beach.

Nagle zrozumieli, że to wcale nie ciemne strugi wody, a czarny asfalt, że to cała ulica faluje pod wpływem wstrząsów przesuwających się na północ. W następnej chwili łoskot zamienił się w przeraźliwy ryk stu odrzutowców, asfaltowe fale przewracały ludzi, a betonowe grzywacze niszczyły mury budynków.

Przez chwilę głęboko osadzone oczy gigantycznego, metalowego Beethovena błysnęły złowrogim fioletowym światłem, kiedy ciężki odlew wolno przewracał się.

Hunter, Paul i pozostali mieli sporo kłopotu starając się uporać ze skutkami wielkiego trzęsienia ziemi, które nawiedziło obszar od Los Angeles do Long Beach. Kiedy częściowo odkopali a częściowo wyciągnęli z gruzów trzy kobiety, które znajdowały się na skraju osypiska - w tym chudą kobietę z radiem - przeliczyli szybko osoby i okazało się, że wciąż trzech brakuje. Przez dziesięć minut zawzięcie kopali, posługując się trzema lśniącymi łopatami, które niski mężczyzna wy dostał ze swojego kombi: samochód miał jedynie zasypane tylne koła i trochę wgnieciony dach. Nagle ktoś przypomniał sobie o czerwonej limuzynie, która pierwsza odjechała, a ktoś inny, że to właśnie w niej przyjechały trzy brakujące osoby.

Kiedy odpoczywali, Paul, którego samochód był zasypany doszczętnie, wyjaśnił, że jest pracownikiem Projektu Księżycowego i zamierza udać się z Morgo do Bramy Plażowej Vandenbergu 2. zaproponował, że zabierze ze sobą tych, co chcą się do niego przyłączyć, i poręczy za nich strażnikom - chociaż nieszczęście, które ich spotkało, i tak powinno zapewnić im wstęp.

Rudolf Brecht entuzjastycznie poparł plan Paula, sprzeciwił mu się natomiast mocno zbudowany mężczyzna w skórzanej kurtce, Rivis; był on niezbyt pochlebnego zdania o wszystkich

instytucjach wojskowych i nie wierzył, żeby można było spodziewać się od nich jakiegokolwiek pomocy. Samochód Rivisa miał tylko zasypaną chłodnicę i przednie koła. Ravis, który miał również czwórkę rozkosznych dzieci, uroczą żonę i skłonny do hysterii teściową - znajdowały się one teraz w Santa Barbara - twierdził, że należy odkopać wozy i ruszać do domu.

Poparli go właściciele mikrobusu i białej furgonetki - oba pojazdy były tylko lekko przysypane ziemią. Szczególnie Właściciele furgonetki, schludni, przystojni Hixonowie, mąż i żona, którzy nosili oboje identyczne szare spodnie i swetry, nalegali, żeby jak najprędzej odjechać.

Dyskusja coraz bardziej się zaostrzała. Czy na szosie nadbrzeżnej będą zatory, czy też będzie zniszczona przez trzęsienie? Czy Paul jest tym, za kogo się podaje? Czy będą działały silniki, kiedy od kopie się samochody? (Ravis włączył silnik swojego wozu i udowodnił, że działa, jedynie w radio słychać było przeraźliwe trzaski). Czy Wanda naprawdę miała atak serca? ! wreszcie, czy prelegenci i ich podejrzani nowi przyjaciele to nie banda intelektualistów, którzy boją się, że od łopaty dostaną pęcherzy na delikatnych rączkach?

W końcu połowa członków sympozjum, przede wszystkim ci, których samochody były tylko lekko zasypane, poparła Rivisa i Hixanów, a w dodatku bezlitośnie odmówiła zaopiekowania się Wandą, która miała atak serca, choćby do chwili, kiedy Paul przyśle po nią z Vandenbergu 2 łazika.

Reszta ruszyła w stronę Bramy Plażowej.

Don Guillermo Walker widząc, że zarówno kula, jak i jej jaskrawe odbicie w czarnym jeziorze Nikaragua już od stu kilometrów towarzyszy mu w locie na południowy wschód i nie zmienia postaci - tyle że teraz znajduje się bliżej zachodniego horyzontu i trochę bliżej Księżyca - pewien był, że Wędrowiec musi być planetą. Na kuli ukazało się teraz coś, co przywiodło mu na myśl złotego kogucika, który pieje, żeby obudzić ze snu Simona Bolívara. Kiedyś chyba grałem w "Złotym Koguciku"? - zastanawiał się samotny pilot, bombowca. Nie, bo to opera albo balet.

Gdziekolwiek na zachodnim horyzoncie blask miał teraz różowy odcień i don Guillermo nie mógł zrozumieć dlaczego. Przelatując nad podłużną górzystą wyspą Ornetepe zobaczył w Alta Gracia więcej światła niż zwykle o północy. Wszyscy pewnie wstali, gapią się w górę, wariują albo pędzą do kościoła - pomyślał.

Nagle za miasteczkiem rozblęła czerwona luna i nastąpił wybuch - przez chwilę don Guillermo myślał, że niechcący zrzucił bombę. Potem jednak uświadomił sobie, że to musiał nastąpić wybuch jednego z wulkanów na Ometepe. Skierował samolot na wschód - dalej, byle dalej od wybuchu! Ten różowy blask - ależ całe wybrzeże Pacyfiku to jeden wielki wulkan, od zatoki Fonesca po zatokę Nicoya.

Don Merdam, potłuczony, wyczerpany czołganiem, podniósł się na rękach przy dumnie stojącym magnezowym maszcie flagowym i zamiast stacji ujrzał szeroką na sześć metrów przepaść - z jej przeciwległej, nierównej krawędzi sypały się wąskie strugi pyłu.

Jeden ze statków znikł wraz ze stacją, drugi leżał na boku niby most nad przepaścią - dwie z trzech resorujących nóg sterczały w górę jak nogi zdechłej kury - pod trzecią natomiast Babę Jagę niemal się wczołgał, zanim ją w ogóle zauważył.

Kosmonauci nazywali małe statki kosmiczne "Babami Jagami", ponieważ - Dufresne wpadł na to pierwszy - przypominały chatki na kurzych łapkach, które występowały w kilku popularnych utworach klasycznej muzyki rosyjskiej i które według podań ludowych chodziły w nocy. Słyszał natomiast, że kosmonauci radzieccy nazywają swoje statki "Jeepami".

Teraz jednak podobieństwo statków do wędrujących chat czarownic stawało się coraz bardziej realne - nieustające pionowe wstrząsy Księżycy, których Don już prawie nie czuł, sprawiły, że ostatnia Baba Jaga, kołysząc się na wszystkie strony, - wstała na blaszanych nogach. Jedna noga znajdowała się zaledwie o metr od przepaści i na oczach Dona zbliżyła się do niej o następne piętnaście centymetrów.

Kosmonauta podniósł się i kucnął w szerokim rozkroku. Powiedział sobie w duchu, że Dufresne pewnie odleciał brakującym statkiem, choć on sam nie widział błysków startującej Baby Jagi; że Johannsen leży martwy albo żywy w statku nad przepaścią, a Gompert...

Baba Jaga znów zrobiła krok w stronę przepaści. Don również zrobił kilka szybkich kroków - przemierzył wyboisty teren, wyprostował się i złapał za ostatni szczebel drabiny, która zwisała z kadłuba między trzema nogami statku.

Podciągnął się na rękach i wspiął do wjazdu umieszczonego między pięcioma dyszami podobnymi z kształtu do trąbek. Baba Jaga zachwiała się. Donowi przeszło przez myśl, że to pod wpływem jego ciężaru środek ciężkości przesunął się nieco ku dołowi, zmniejszając rozpiętość kroków Baby Jagi.

Rozdział 10

Sally i Jake jechali metrem, które zatrzymano przy Czterdziestej Drugiej Ulicy i kazano pasażerom wysiąść. Zatory uliczne były tak potężne, że Jake zostawił samochód na parkingu we Flatbush. Policjanci pomagali strażnikom metra opróżnić wagony i pospiesznie kierowali pasażerów na górę.

- Co się stało, co się stało? - dopytywał się Jake. - Musiało się stać coś strasznego!

- E, pewnie nic takiego - odpowiedziała Sally. - Gdyby wybuchła bomba, kierowaliby wszystkich na dół. Zresztą jesteśmy niedaleko mieszkania Hugona. Jestem taka podniecona, Joke!

Wychodząc z podziemia zobaczyli, że na Times Square jest wyjątkowo ludno jak na trzecią rano.

Patrząc na zachód od Czterdziestej Drugiej Ulicy widzieli Wędrowca zawieszzonego bez ruchu na niebie, a w pobliżu Księżyc, tak blisko, że go niemal dotykał. Dwubarwne światło padające z Wędrowca oświetlało na żółto ludzi stojących po południowej strofie ulicy, na fioletowo zaś tych, którzy stali po tej samej stronie, co Sally i Jake. Neony reklam migotały nieustannie, ale były jakby przyćmione potężnym blaskiem nowego Księżycy.

Na Times Square było również ciszej niż kiedykolwiek, ciszę jednak przerwał mężczyzna, który ukazał się za nimi krzyżąc:

- Dodatek nadzwyczajny! Przeczytajcie! Przeczytajcie o nowej planecie!

Jake za dwadzieścia pięć centów kupił gazetę "Daily Orbit". Na okładce był rysunek Wędrowca w jaskrawych, ostrych kolorach - żółtym i czerwonym - i sześć wierszy informacji, które każdy mógł zdobyć patrząc na niebo i na zegarek. Tytuł artykułu brzmiał: DZIWNA KULA WPRAWIA WSZYSTKICH W ZAKŁOPOTANIE.

- Jaka tam dziwna? - zawołała Sally, która wciąż była w doskonałym humorze. - To ja ją stworzyłam, i umieściłam na niebie! - dodała, śmiejąc się do Jake'a.

- To bluźnierstwo, młoda damo - skarcił ją cierpko mężczyzna z kwadratową szczęką.

- Pan myśli, że kłamię? - zapytała. - Udowodnię panu, że mówię prawdę. - Łokciami zrobiła sobie miejsce w tłumie i rzuciła Jake'owi kurtkę. Wskazała palcem mężczyznę z kwadratową szczęką i Wędrowca, a potem strzelając palcami i kołysząc się wyzywająco, zaczęła śpiewać dźwięcznym altem piosenkę, której słowa zapożyczyła z "Zielonych drzwi" i "Dziwnego owocu":

Dziwna kulo!... której niebo dźwiga brzemię

Dziwny blasku!... co padasz na Ziemię.

Don Merriam włączył silnik Baby Jagi, nim jeszcze zapiął pasy i zanim pompy zaczęły

tłoczyć anilinę i azot. Powód był prosty: czuł, że statek przekroczył krawędź przepaści.

Robił wszystko, co mógł, żeby zyskać na czasie. Nie czekając, aż śluz powietrzna, znajdująca się między zbiornikiem paliwa a zbiornikiem utleniacza, opróżni się i znów napelni, wszedł od środka i wypuścił ze statku powietrze. Szybko zatrzasnął za sobą klapy wjazdu i w pośpiechu musnął tylko ręką dźwignię wyzwalającą tlen, choć wiedział, że zapas tlenu w kombinezonie już mu się kończy.

Zimny silnik zapalił od razu. Strumień rozgrzanych do białości molekuł wystrzelił z ogona Baby Jagi z prędkością ponad trzech kilometrów na sekundę i po chwili oczekiwania statek wzniósł się, ale zamiast pionowo w górę, leciał bokiem niczym stary samolot przy starcie.

Błąd zapewne polegał na tym, że Don usiłował wyrównać lot - może statek równie skutecznie sam wszedłby na orbitę. Ale Don zdany był tylko na siebie i niepokoił go Widok spękanego, białego Księżyca wyrastającego tuż przed ekranem; wiedział, że im prędzej wyrówna lot, tym mniej zużyje paliwa, a nie był pewien, czy zbiorniki są pełne - właściwie to wciąż nie był pewien, którym z trzech statków leci - a poza tym, był już osłabiony i półprzytomny z braku tlenu.

Nie zważając na ciężenie wychylił się w bok, a musiał wychylić się daleko, ponieważ w warunkach normalnych było to czynnością robota albo drugiego pilota - i wcisnął klawisze, żeby odpalić trzy rakiety na paliwo stałe z prawej burty statku, bliższej Księżyca.

Siła odrzutu wyrzuciła kosmonautę z fotela. Drażek sterowy powoli i nieubłaganie wysuwał mu się z dłoni, Dań przeleciał kilka metrów i upadł ciężko - znacznie ciężiej, niżby upadł na Księżycu - uderzył głową o pokład, rozbijając hełm i tracąc przytomność.

Po dziesięciu sekundach zgasł anilinowo-azotowy silnik (w tego typu statkach następuje to automatycznie, kiedy pilot wypuszcza z rąk ster). Rakiety wypaliły się o ułamek sekundy wcześniej. Wyrównanie lotu, biorąc pod uwagę warunki, było niezwykle dokładne. Baba Jaga leciała prosto w górę z energią kinetyczną niemal wystarczającą, żeby wyzwolić się spod siły przyciągania Księżyca. Ale teraz ospała grawitacja Luni z sekundy na sekundę zaczęła zwalniać prędkość statku, który jeszcze przez długi czas miał się wznosić raptownie siłą bezwładu.

Hełm Dona leżał oparty o nie dokręconą klapy wjazdu. Wąski strumień białej pary wydostawał się przez pęknięcie w przedniej szybie hełmu. Wzdłuż pęknięcia osiadał szron.

- Za chwilę się zejda - powiedziała Barbara Katz do Knollsa Ketteringa III. Mówiąc "zejda się", miała na myśli chwilę, kiedy Wędrowiec zasłoni Księżyc albo Księżyc zasłoni Wędrowca, albo...

- Przepraszam pana - usłyszeli za sobą cichy męski głos. - Ale co się słonie, jeżeli się zderzą?

Barbara odwróciła się. W wielkim domu paliło się teraz światło. Na jego tle rysowały się sylwetki wysokiego Murzyna w liberii szofera i dwóch przytulonych do siebie Murzynek. Wyszli bezszelestnie na taras.

- Mówiłem wam już kilka godzin temu, żebyście poszli spać - powiedział z irytacją Kettering, siedzący obok Barbary. - Przestańcie się wreszcie o mnie troszczyć.

- Przepraszam pana - ciągnął uparcie Murzyn - ale w Palm Beach nikt nie śpi. Wszyscy obserwują niebo. Proszę pana, co się stanie, jeżeli się zderzą?

Barbara chciała się odezwać i wyjaśnić szoferowi i pokojówkom wiele spraw: że to Księżyc zbliża się do Wędrowca, bo teleskop, elektrycznie obracany i zsynchronizowany z ruchem Księżyca, wskazywał, że Księżyc znajduje się o pięć długości dalej na swojej orbicie niż zazwyczaj; że wciąż nie wiadomo, jaka odległość dzieli Wędrowca od Ziemi, choć musi być duża, skoro jedyne wyraźne kontury to kontury samej planety i nawet przez teleskop nie można dostrzec nic oprócz miękkiej, żółto-fioletowej płaszczyzny; że ciała niebieskie rzadko się zderzają w kosmosie - na ogół jedno zaczyna orbitować wokół drugiego.

Ale wiedziała, że mężczyźni - a więc chyba i milionerzy - sami lubią wyjaśniać sprawy naukowe; poza tym nie chciała popełnić nietaktu, a nie orientowała się w zwyczajach obowiązujących w Palm Beach wobec kolorowych. Spojrzała w górę i zobaczyła, że problem przestał istnieć.

- Nie zderzą się! - zawołała. - Księżyc przesuwają się przed Wędrowcem. - I dodała impulsywnie: - Och, ojcuzku, dopiero teraz zaczynam wierzyć, że to wszystko prawda!

Pokojówki odetchnęły z ulgą.

- Przed Wędrowcem? - zapytał cicho szofer. Teraz głos zabrał Knolls Kettering III:

- Wędrowiec - powiedział oschle - to nazwa, którą panna Katz i ja nadaliśmy tej nieznannej planecie. A teraz proszę iść spać.

- Hej, patrzcie, teraz się pieprzą! - krzyknął Arab Jones do Pepe Martinez i Dużego Bundy'ego, którzy po drugiej stronie dachu tańczyli walca, każdy po swojemu. - Księżyc włączy w nią jak sperma w fioletowe jajo.

Trzej bracia-narkomani, każdy innej narodowości, wypalili jeszcze cztery skręty, żeby godnie uczcić ukazanie się Wędrowca na niebie, i teraz oszołomieni marihuaną czuli się lekko jak latawca, bujali hen wysoko między satelitami, ale nie do tego stopnia, żeby zapomnieć o bożym świecie, bo Pepe właśnie krzyknął:

- Pewnie te stuknięte Meksykany klepią różańce, a w Rio czarnuchy tańczą na ulicach!

- Cuda na niebie, cudo na ziemi - podsumował Duży. - Zwińmy namiot i zstąpmy na dół,

bracia moi - powiedział Arab i zwrócił ku nim swoją brązową twarz oświetloną blaskiem Wędrowca. - Zmieszajmy się z przerażonym tłumem.

- Ale go Księżyc przygwoździł - rzekł Hunter do Brechta, wskazując biały krążek zasłaniający Wędrowca. - Właściwie, Rudolfie, wracając do trójkątów podobnych, zaczynam się zastanawiać, czy odległość Wędrowca od Ziemi nie wynosi na przykład czterech milionów kilometrów, a średnica stu dwudziestu ośmiu tysięcy.

- Jowisz przyleciał do nas z wizytą, co? - roześmiał się Rudolf i natychmiast zwrócił się do pozostałych: - No, a czy ktoś z was może mi teraz wskazać Jowisza? Co prawda - dodał po chwili - muszę przyznać, że nigdy nie słyszałem o tym, żeby Jowisz był fioletowy albo miał żółtą plamę w kształcie olbrzymiej kaczki.

- Pingwina! - poprawiła idąca z tyłu Anna.

Obaj mężczyźni należeli do niewielkiej procesji kroczącej z trudem po piasku i trawie morskiej w kierunku Bramy Plażowej Vandenbergu 2. Na czele szedł Paul, Margo z kotką i Rudolf Brecht. Hunter, Dągał i dwóch innych mężczyzn niosło składane aluminiowe łóżko - na nim, pojękując od czasu do czasu, leżała Wanda, gruba kobieta, która miała atak serca. Obok łóżka szła chuda kobieta; podczas trzęsienia zgubiła radio. Teraz szeptem uspokajała chorą. Straż tylna składała się z Rami Joan, Anny i Clarencea Dodda - niskiego mężczyzny - który prowadził na smyczy wystraszonego Ragnaroka.

Aluminiowe łóżko było jeszcze jednym z niezliczonych skarbów zgromadzonych w samochodzie Dodda. (Margo spytała go, czy ma prymus i naftę. Tak, ale uważam, że nie warto tego zabierać - odpowiedział bez zmruczenia oka).

Po tym jak Rudolf, nie bez kozery, wspomniał o Jowiszu, Rama Joan zawołała z tyłu, żeby znów spojrzeli na Wędrowca. Przez ostatnie czterdzieści minut zaobserwowali znaczne zmiany. Teraz kaczka (czy też dinozaur) przesunęła się cała na lewą stronę tarczy, tylko głowa jej wystawała w prawo niczym złocisty czepek bieguna północnego. Pośrodku fioletowej płaszczyzny, która właśnie ukazała się w polu widzenia, była spora plama zbliżona do trójkąta równobocznego albo do dużej litery D.

- Spójrzcie! - krzyknęła Rama Joan. - Za literą D widać cienki czarny łuk. Księżyc go prawie całkiem zasłania.

- To tylko cień, który Księżyc rzuca na nową planetę! - po chwili pełnej napięcia zawołał podniecany Brecht. - Jeżeli nawet Wędrowiec jest mniejszy od Luni, ja przynajmniej tego nie dostrzegam. Ross, te ciała niebieskie dzieli zaledwie kilka tysięcy kilometrów! Tym samym wiemy już, że Wędrowiec jest prawie tej samej wielkości, co Ziemia.

- Mamusiu, czy to znaczy, że się nie zderzyły? - spytała szeptem Anna. - Czy dlatego pan Brecht tak się cieszy?

- Niezupełnie, kochanie. Pewno z przyjemnością obejrzałby zderzenie. Pan Brecht cieszy się, bo lubi dokładnie wiedzieć, gdzie co jest, żeby potem nie błędzić.

- Ale przecież nie może błędzić po nowej planecie, mamusiu.

- Myślami może.

Mieszanka tlenu i helu ze zbiornika, który Don otworzył przesuwając dźwignię, wypełniła stopniowo kabinę Baby Jagi. Ciśnienie mieszanki zamknęło szczelnie wewnętrzną klapę wjazdu i otworzyło wywietrzniki w hełmie kosmonauty. W kabinie włączyły się niewielkie wiatraki, które - mimo że statek wciąż wznosił się siłą bezwładu - wprawiały w ruch świeże powietrze. Powietrze wdarło się do hełmu wypierając z niego dwutlenek węgla. Twarz Don'a drgnęła, dreszcz wstrząsnął jego ciałem. Oddychając głęboko, zapadł w zdrowy sen.

Baba Jaga osiągnęła szczyt swojej trajektorii, na chwilę zawisała bez ruchu, a potem zaczęła znów spadać na Księżyc. Spadając koziółkowała miarowo. Mniej więcej co trzydzieści sekund na ekranie ukazywał się Księżyc, a po piętnastu sekundach Ziemia. Przy każdym obrocie rakiety Don, w pokrytym pyłem kombinezonie, bardzo wolno przetaczał się po pokładzie.

- Nie chciałbym kwestionować pańskiej prawdomówności, panie Hagbolt! - krzyknął z tyłu do Paula niski mężczyzna - ale Brama Płazowa Vandenbergu Dwa jest znacznie dalej, niż pan twierdził. Uspokój się, Ragnarok!

- Jest tam, przy mrugającym czerwonym świetle - odpowiedział rażno Paul, myśląc skruszony, że wcale nie jest tak bardzo tego pewien. - Muszę przyznać, że w ciemnościach źle oceniłem odległość.

- Nie martw się, Dodd. Paul nas doprowadzi - rzekł z przekonaniem Brecht.

We trzech mieli właśnie zastąpić Huntera, Drągała i jeszcze jednego z mężczyzn, którzy nieśli łóżko z chorą.

- Jak się czujesz, Wando? - zapytała chuda kobieta, klękając na piasku przy łóżku. - Może ci dać jeszcze lanatosidu?

- Nie, dziękuję. Już mi trochę lepiej - szepnęła Wanda, otwierając oczy. Jej wzrok padł na Wędrowca. - O Boże - jęknęła, odwracając głowę.

Dziwna kula przekręciła się, ukazując nowe oblicze. Resztki dinozaura czy też pingwina utworzyły potężną literę C po lewej stronie planety, a żółte D przesunęło się na środek - końcowym efektem było D wpisane w C. Niski mężczyzna szybko nakreślił szkic, pod którym napisał: Po

dwóch godzinach.

- Moim zdaniem C to przewrócony na bok słomiany kosz, a D to kawałek ciasta z cytrynowym lukrem - powiedziała Anna. - A Księżyc to słodki melon!

- Widać, kto tu jest głodny - odezwała się Rama Joan.

- Albo D to uszko w potężnej fioletowej igle - dodała szybko dziewczynka.

Złoty wąż owija się wokół pękniętego jaja - pomyślał Drągal. - Wylęga się chaos.

Księżyc wraz ze swoim cieniem przemierzył w całości nową planetę. Wszyscy poczuli ulgę, kiedy skrawek nocnego nieba wyłonił się między dwoma ciałami niebieskimi.

Przy czwartym rogu łóżka Ignacy Wojtowicz, spawacz z szeroką twarzą, chcąc przedłużyć chwile odpoczynku, powiedział:

- Jednego nie rozumiem. Jeżeli to prawdziwa planeta wielkości Ziemi, dlaczego nie czujemy jej grawitacji - powinniśmy się chyba czuć jakoś lżejsi.

- Zupełnie tak samo - odparł szybko Hunter - jak nie czujemy przyciągania Księżyca czy Słońca. Poza tym, chociaż znamy wielkość planety, nie mamy pojęcia o jej masie. Oczywiście - dodał - jeżeli naprawdę przywędrowała tu z nadprzestrzeni, to w jednym momencie jej pole grawitacyjne dla nas nie istniało, a w drugim zaczęło nagle istnieć - zakładam, że front nowo powstałego pola grawitacyjnego przesuwa się z prędkością światła - ale żadnych skutków przejścia planety z nadprzestrzeni najwyraźniej nie było.

- Widocznych skutków - poprawił go Rudolf. - A nawiasem mówiąc, Ross, masz jakieś wątpliwości co do mojej teorii, że Wędrowiec przybył tu z nadprzestrzeni? Skąd się niby tu wziął?

- Mógł wejść do układu słonecznego zakamuflowany albo na jakiś czas wygaszony - stwierdził Hunter. - Powinniśmy rozważyć wszelkie ewentualne możliwości. To twoje własne słowa.

- Hm - chrząknął Rudolf. - Nie, sędzę, że to, co Paul powiedział nam o polach zniekształceń widocznych na fotografiach gwiazdnych, przeważa szale na stronę hipotezy Brechta o nadprzestrzeni. Poza tym w mojej teorii, oprócz samej planety, jej pola grawitacyjne też musiałyby wygasnąć. A swoją drogą możemy już wydedukować co nieco o masie planety. Jest teraz siedem po pierwszej czasu strefy Oceanu Spokojnego - powiedział, patrząc na zegarek. - Minęły dwie godziny od ukazania się nowej planety.

- Dwie godziny i pięć minut - poprawił go niski mężczyzna.

- Jesteś cudowny, Dodd. Dwudziesta trzecia zero dwa - niech ta godzina wyryje się wam w pamięci, może kiedyś wnuki zapytają was, o której dokładnie ujrzelście potwora wyskakującego z nadprzestrzeni. W każdym razie o pierwszej w nocy Księżyc w pełni powinien był już minąć zenit. O drugiej następuje zachód. Teraz jednak Księżyc wciąż jeszcze jest w zenicie. Trzy albo cztery

stopnie na wschód, czyli mniej więcej o sześć do ośmiu własnych średnic. Co by znaczyło, że pole grawitacyjne nowej planety przyspieszyło ruch Księżyca po orbicie. Ergo, przybysz to nie piórko.

- O rany! - zawołał z uznaniem Wojtowicz. - A jakie to przyspieszenie, gdyby przyjąć, że Księżyc jest, no, na przykład, rakieta?

- Od jednego kilometra na sekundę do... - Rudolf zawahał się, a potem dokończył, jakby sam nie dowierzał własnym obliczeniom - do sześciu albo i więcej kilometrów na sekundę.

Obaj z Hunterem spojrzeli na siebie.

- O rany! - powtórzył Wojtowicz. - Ale Księżyc krąży po dawnej orbicie, tyle że prędzej, tak? Odwala miesiąc w ciągu tygodnia?

Kiedy tak rozmawiali, czarny przesmyk między Księżycem a planetą trochę się poszerzył.

- Chyba powinniśmy już ruszać - powiedział Rudolf w zamyśleniu i nachylił się, żeby podnieść łóżko.

- Racja - poparł go krótko Hunter.

Wielkie pompy rotacyjne pracowały pompując wodę na lewą burtę transatlantyku "Prince Charles", żeby wyrównać ciężar pasażerów i załogi - wszyscy bowiem tłoczyli się przy iluminatorach z prawej burty i choć świt rozjaśniał niebo, wciąż patrzyli na Wędrowca i na Księżyc nad Atlantykiem. Gęsta atmosfera ziemską sprawiła, że fiolet planety poczerwieniał, a kolor złoty stał się pomarańczowy. Barwne pasy świetlne przecinające spokojne wody Atlantyku były niezwykle malownicze.

Inżynier radioelektryk zameldował kapitanowi Sithwise o dziwnych i wciąż wzmagających się zakłóceniach radiowych.

Mimo złamanej lewej lotki i kilku dziur wybitych albo wypalonych w skrzydłach przez nagrzane do czerwoności odłamki pumeksu, don Guillermo Walkerowi udało się wylądować na południowym brzegu jeziora Nikaragua, tuż przy ujściu rzeki San Juan. Miałeś, cholera, szczęście - pomyślał - że ten wielki głaz cię nie trafił!

Prawie osiemdziesiąt kilometrów na północny wschód od Walikera, do wulkanu na Ometepe przyłączył się wulkan na sąsiedniej wyspie Madera i razem wyrzucały w górę bliźniacze, ogniste słupy lawy. Wreszcie, choć don Guillermo przestał już w tak zwariowaną noc na cokolwiek liczyć, ujrzał nie dalej jak półtora kilometra od siebie dwa mrugające czerwone światełka, które, jak obiecywali mu bracia Araiza, miały wskazać mu drogę do łodzi. Caramfaa, que fidelidad! Już nigdy nie będzie podejrzewał żadnego Latynosa o lekkomyślność czy podstęp.

Nagle odbicie Wędrowca w czarnym jeziorze zadrgało i ruszyło na niego. Don Guillermo

ujrzał zbliżające się groźne masy wody podobne do szerokich schodów. Ledwo zdążył nakierować na nie samolot. Stary hydroplan, rozbryzgując wodę, z trudem pokonał pierwszą falę. Chyba gdzieś musiało być trzęsienie ziemi albo spadła lawina!

Rozdział 11

- Choćbyśmy byli tylko kilka kroków od Bramy Plażowej, muszę odpocząć - sapiąc ciężko rzekł Rudolf.

Postawił łóżko na piasku i ukląkł: rękę oparł na kolanie, opuścił głowę na piersi i otwartymi ustami chwycił powietrze.

- Rozpusta daje się we znaki - powiedział z lekką drwiną w głosie Hunter, a potem zwracając się do Margo szepnął: - Dajmy odpocząć staremu Casanovie. Zazwyczaj nie więcej zażywa ruchu niż kiełbasa salami.

- Ja mogę znów nieść - chętnie zaofiarował swoją pomoc młody chłopak o szczupłej twarzy, który przyjechał na sympozjum z Oxnard razem z Wojtowiczem i którego przy niesieniu łóżka niedawno zastąpił Rudolf.

- Najlepiej będzie, jeżeli wszyscy chwilę odpoczniemy, Harry - rzekł Wojtowicz, a następnie zwrócił się do Huntera: - Panie profesorze, zdaje się, że Księżyc znów zwolnił. Jakby wrócił do poprzedniej prędkości.

Wszyscy oprócz grubej kobiety spojrzeli na zachodnią część nieba. Nawet Rudolf, wciąż jeszcze sapiąc, podniósł głowę. Nie było najmniejszej wątpliwości, że czarny przesmyk między Wędrowcem a Księżycem nie poszerzył się podczas ich krótkiego marszu.

Mnie się zdaje, że Księżyc maleje - stwierdziła Anna.

- Mnie też - powiedział Dodd.

Przykucnął, objął ramieniem Rognaroka i głąskał go uspokajająco po wielkim czarnobrazowym łbie, patrząc jednocześnie na niebo.

- Wiem, że to zabrzmi zupełnie nieprawdopodobnie - dodał - ale mam wrażenie, że Księżyc staje się obły, spłaszczony u góry i u dołu, a wypukły po bokach. Może mam tylko zmęczone oczy, ale mógłbym przysiąc, że przybiera kształt jaja, szczególnie ten koniec, który jest zwrócony do Wędrowca.

- Tak, tak! - zawołała Anna. - Poza tym... taka cienusieńka kreska biegnie pionowo przez cały Księżyc.

- Kreska? - zapytał Dodd.

- Tak, jakby pęknięcie - wyjaśniła Anna.

Pęknięte jajo i narodziny straszliwego chaosu - pomyślał Drągal. - Spełnia się moja przepowiednia. Ispan-Wąż zapłodnią, a Biała Dziewica rodzi.

- Muszę się przyznać, iż nie widzę żadnej kreski - odparł Dodd.

- Trzeba się bardzo dokładnie przyjrzeć - rzekła Anna.

- Wierzę jej na słowo - wtrącił Wojtowicz. - Dzieci mają świetny wzrok.

- Jeżeli tam jest pęknięcie, które stąd widać, musi się ciągnąć kilometrami - powiedział z ożywieniem Rudolf, wciąż jeszcze zdyszany.

- Mnie się zdaje - powoli i z napięciem rzekł Hunter, jakby mówienie przychodziło mu z trudem - że Księżyc wchodzi na orbitę wokół nowej planety w obrębie strefy Rochea. Rudolf, czy w strefie Rochea ciała stałe rozpadają się tak jak ciała ciekłe?

- Tego chyba nikt nie wie - odpowiedział Brecht.

- Wkrótce się dowiemy - stwierdził Brodacz.

- Dowiemy się również, co czują mrówki, kiedy ktoś nadepnie na mrowisko - dodała Rama Joan.

- Czy... czy Księżyc ma się rozpaść? - przeraził się Wojtowicz.

Margo chwyciła Paula za rękę.

- Don! - krzyknęła. - O mój Boże, Paul, zupełnie zapomniałam o Donie!

Kiedy Wędrowiec ukazał się po raz pierwszy na niebie, znajdował się czterdzieści tysięcy kilometrów od Księżyca, czyli był dziesięć razy bliżej Księżyca niż Księżyc Ziemi. Toteż jego oddziaływanie na Księżyc - zniekształcenia i pływy - było tysiąc razy silniejsze niż oddziaływanie Ziemi na Księżyc, oddziaływanie jednego ciała na drugie jest bowiem odwrotnie proporcjonalne do odległości między ciałami podniesionej do trzeciej potęgi. (Gdyby było odwrotnie proporcjonalne do odległości podniesionej do drugiej potęgi, wówczas masa Słońca powodowałaby znacznie potężniejsze pływy na Ziemi niż Księżyc, choć obecnie pływy księżycowe są mniej więcej dwa

jedynie przy końcu był intensywnie żółty; i wreszcie błyszcząca ściana głębokiej Otchłani; ciągnącej się pionowo do samego środka Luny.

Don Merriam zorientował się, że jest najwyżej dwadzieścia pięć kilometrów nad powierzchnią Księżyca i że spada w dół z prędkością półtora kilometra na sekundę.

Miał stanowczo za mało czasu, żeby zmieniając kierunek statku i włączając główny silnik zahamować spadek.

Myśląc o tym Don włączył silniki korekcyjne i przynajmniej opanował koziołkowanie Baby Jagi. Zarówno ekran, jak i on sam znajdowali się teraz prosto nad otchłanią.

Jedyną nikłą nadzieję dawały mu zmieniające się wciąż barwy. Za Księżycem widział coś fioletowożółtego, świecącego z niesamowitą siłą. Teraz fioletowożółty sznur połyskiwał w ciemnościach wewnątrz Księżyca. Być może patrzy przez Księżyc?

Księżyc pęknięty niczym kamyk? jądra ciał niebieskich nie powinny pękać, powinny być płynne. Ale każda inna teoria oznaczają śmierć.

Ściany świeżo rozszczepionych skał pędziły na kosmonautę. Znajdował się zbyt blisko prawej krawędzi otchłani. Niewielka rakieta na paliwo stałe, wystrzelona z tej właśnie strony, skierowała statek na środek i zapoczątkowała by znów koziołkowanie, gdyby Don w porę nie włączył silników korekcyjnych.

W dzieciństwie czytał "Bogów Marsa" Edgara Ricea Burroughsa. W tej powieści fantastycznonaukowej John Carter, najlepszy szermierz dwóch planet, zamiast dać się unosić powoli i ostrożnie sile wyporu zbiorników promieniowych, wystrzelił marsjańskim statkiem prosto w wąski, wielokilometrowy szyb prowadzący w kosmos i wraz ze swoimi towarzyszami uciekł z rozległego, wulkanicznego podziemnego świata Czarnych Piratów Borsocuma z ich ohydny kultem Issus. Carter zrezygnował z jedynej rozsądnej linii postępowania, ale właśnie ten szaleńczy lot ku gwiazdzie, widocznej na końcu pionowego szybu, uratował życie jemu i jego towarzyszom.

Może bogowie Marsa sprawowali pieczę nad wszystkimi posunięciami Dona. W każdym razie Don wyczuł nagle w kabinie Baby Jagi niepokojącą obecność Czarnego Xodara - obwieszzonego klejnotami zdrajcy, Carthorisa - tajemniczego Czerwonego Marsjanina, Matai Shanga - okrutnego ojca oraz Phaidory, jego dzielnej i pięknej, choć zawsze zdradzieckiej córki, i prawdą jest, że kiedy Baba Jaga spadała w przepaść między skały po raz pierwszy od miliardów lat zalane światłem słonecznym, a Don włączył główny silnik, którego siła odrzutu wcisnęła kosmonautę głębiej w fotel, skąd dalej kierował statkiem za pomocą silników korekcyjnych i rakiet (usiłował lecieć środkiem między lśniącymi ścianami przepaści, mierząc w fioletowożółty sznur przecinający na dwie części czarne pasmo), nagle w kabinie rozległ się jego przeraźliwy krzyk:

- Trzymajcie się! Lecę prosto w otchłań!

Grupa wędrująca po plaży czuła, jak piasek pod nogami ustępuje miejsca twardej, wysuszonej ziemi, która wznosi się stromo pod górę do wysokiej metalowej siatki, otaczającej płaskowyż z Vandenbergiem 2. Ale tu, gdzie teraz stali - po stronie plaży, mierząc od masztu, na którego szczycie migotało czerwone światło trzydzieści metrów za siatką i przynajmniej sześćdziesiąt metrów nad nią - szeroki wąwóz przecinał wzniesienie, łagodząc jego pochyłość. Dno wąwozu pokrywały ślady opon i gąsienic. W miejscu, gdzie siatka dochodziła do drogi, była duża brama, a przy bramie przylegająca do siatki piętrowa wieża strażnicza. Brama była zamknięta, ale drzwi do wieży otwarte, choć wewnątrz nie paliło się żadne światło.

Widok ten podniósł na duchu Paula, który od razu wyprostował ramiona i poprawił krawat. Niewielka procesja zatrzymała się kilkanaście metrów przed bramą, a Paul, Margo i Rudolf Brecht podeszli bliżej. Ich czarne cienie były fioletowożółte przy krawędziach.

Z głośnika nad drzwiami rozległ się donośny głos:

- Proszę się zatrzymać. Teren wojskowy. Wstęp surowo wzbroniony. Nikomu nie wolno wchodzić. Proszę zawrócić.

- Do wszystkich diabłów! - wybuchnął Rudolf. Odkąd Harry McHeath zastąpił go przy niesieniu łóżka, w Rudolfa znów wstąpiła energia.

- Pan myśli, że jesteśmy czołówką zielonych ludzików?! - krzyknął w stronę głośnika. - Nie widzi pan, że jesteśmy normalnymi ludźmi?

Paul, nie zwalniając kroku, położył rękę na ramieniu Brechta i potrząsnął głową. Podchodząc do wieży, powiedział spokojnie:

- Nazywam się Paul Hagbolt, legitymacja numer 929CW, JR. Jestem w Vandenbergu Dwa etatowym rzecznikiem prasowym w randze kapitana. Proszę o wpuszczenie mnie i jedenastu dotkniętych nieszczęściem, znanych mi osób oraz o transport dla nich.

Żołnierz wyłonił się z ciemności wieży: oświetlał go teraz blask Wędrowca. Był to niewątpliwie żołnierz - na nogach miał ciężkie żołnierskie buty, na głowie hełm; nóż, pistolet i dwa granaty zwisały mu z pasa; w prawej ręce trzymał pistolet maszynowy, a na plecach - co zdziwiło Paula - miał zamocowany niewielki silniczek odrzutowy.

Żołnierz stał wyprostowany z kamiennym wyrazem twarzy. Prawe kolano drgało mu lekko - szybko i rytmicznie - jakby za chwilę miał rozpocząć taniec indiański albo, co było bardziej prawdopodobne, jakby bezskutecznie usiłował opanować nerwowy tik.

- CW i JR, tak? - zapytał podejrzliwie, choć z pewnym szacunkiem. - Czy mógłbym zobaczyć pańską legitymację...

W powietrzu unosił się ledwo wyczuwalny kwaśny zapach. Miau, która od czasu trzęsienia

zachowywała się nad wyraz spokojnie, spoglądała na żołnierza i syknęła.

Kiedy Paul podawał trzymane w pogotowiu dokumenty, poczuł, że ręce żołnierza drżą.

Żołnierz sprawdzał dokumenty przechylając je do przodu, żeby padało na nie światło Wędrowca; twarz nadal miał bez wyrazu, ale Rudolf spostrzegł, że co jakiś czas zerka na nową planetę.

- Wiecie już coś o tym? - spytał przyjaźnie.

Żołnierz spoglądał mu prosto w oczy i burknął:

- Tak, wiemy wszystko i wcale się nie boimy! Ale nie podajemy żadnych informacji, jasne?

- Oczywiście - odparł spokojnie Rudolf.

- W porządku, panie Hagbolt. Zadzwoń do bramy głównej i przekaż pana prośbę . - powiedział żołnierz i cofnął się do środka.

- Czy dobrze pan wszystko zapamiętał? - zawołał za nim Paul. Powtórzył prośbę, dodając, że sprawa jest ważna, i podał nazwiska kilku oficerów.

- Proszę też zawiadomić profesora Mortona Opperly - wtrąciła z naciskiem Margo.

- Jedna z obecnych tu osób - zakończył Paul - miała atak serca. Chcielibyśmy ją umieścić w wieży, tam jest cieplej, i poprosimy o wodę.

- Wykluczone. Muszą państwo zostać na zewnątrz - powiedział ostro żołnierz i, cofając się, lekko uniósł lufę pistoletu.

- Proszę pana! - zawołał po chwili do Paula. - Niech pan tu podejdzie.

Z ciemności wieży najpierw podał Paulowi koc, a potem dwulitrową butlę wody.

- Nie mam plastikowych kubków - wyjaśnił tłumiąc histeryczny śmiech. - Skąd wezmę plastikowe kubki!

Znikł w ciemnym pomieszczeniu, skąd dobiegł ich odgłos wykręcanego numeru.

Paul wrócił ze zdobyczą i wręczył koc chudej kobiecie. Wodę podawano sobie z rąk do rąk. Pili kolejno prosto z butelki.

- Będziemy musieli chwilę poczekać - szepnął Paul. - To na pewno równy facet, jest tylko trochę przestraszony. Wygląda, jakby sam jeden miał odeprzeć atak nowej planety.

- Miau wyczuła, że on się boi - powiedziała Margo.

- Gdybym ja był zupełnie sam, kiedy ukazała się ta kula - zaczął cicho Rudolf - i gdybym miał dostęp do broni, najpierw bym chyba wyłączył światło, a potem uzbroił się po zęby i też trząsnął się ze strachu. Myśmy byli w tej szczęśliwej sytuacji, że akurat szukaliśmy na niebie latających talerzy, rozmawialiśmy o nadprzestrzeni, no i w ogóle.

- A mnie się zdaje - odezwała się Anna - że gdyby się pan bał, zapaliłby pan wszystkie światła w całym domu.

- Nie, moja panno - odparł Rudolf - gdybym by! śmiertelnie przerażony, nie zapalałbym światła z obawy, że jakiś wielki, czarny, włochaty potwór zobaczy, gdzie się ukrywam, i mnie złapie.

Anna roześmiała się zadowolona.

- Księżyc chowa się za nową planeta... znika - stwierdził cicho, niemal obojętnie Dodd.

Oczy obecnych dostrzegły potwierdzenie jego słów. Fioletowożółty intruz zasłaniał brzeg Księżyca.

- Mój Boże... mój Boże - szepnął Wojtowicz.

Chuda kobieta zaczęła szlochać.

- Boże, dodaj nam odwagi - westchnęła Rama Joan.

- Don - szepnęła bezgłośnie Margo. Przeszył ją dreszcz i przytuliła mocniej Miau. Paul objął dziewczynę ramieniem, ale ona opuściła głowę i odsunęła się od niego.

- Księżyc posuwa się teraz po niewielkiej orbicie - powiedział Hunter. - Od Wędrowca dzieli go najwyżej pięć tysięcy kilometrów.

Bóle porodowe już się zaczęły - pomyśl! Długa! - Biała Dziewica szuka schronienia w szatach ispana.

Dodd złożył dłonie w kształt miseczki i Rama Joan nalała wody dla Ragnaroka.

Pułkownik Mabel Wallingford powiedziała ostro:

- Spike, rozmawiałam z generałem Vandamme'em. Mówi, że to wcale nie są manewry. Nie wtrącali się do nas, bośmy reagowali szybko i sprawnie. Twoje rozkazy zatwierdzono i przekazano dalej.

Spike Stevens spoglądał na dwa bliźniacze ekrany ukazujące Księżyc, który zniknął za Wędrowcem. Odgryzł koniec cygara i warknął:

- Dobra, niech mi to potwierdzi osobiście.

- Jimmy, połącz się z dowództwem - rozkazała pułkownik Wallingford.

Generał zapalił cygaro.

Na trzecim ekranie ukazał się uśmiechnięty, dystyngowany, łysy mężczyzna. Generał wyjął z ust cygaro i wstał. Pułkownik Wallingford poczuła przyływ szalonej radości, obserwując Spike'a, który zachowywał się teraz jak pokorny, grzeszny uczeń.

- Panie prezydencie - powiedział Spike.

- Ja nią należę do symulowanych danych o zagrożeniu, Spike - rzekł prezydent. - Aż trudno uwierzyć, że tak sądziliście, biorąc pod uwagę fakt, żeście sobie takie doskonale radzili.

- Nie tak znów doskonale - odpowiedział generał. Obawiam się, że straciliśmy bazę

księżycową. Przeszło godzinne nie mamy od nich żadnych wiadomości.

Twarz na ekranie spoważniała.

- Musimy być przygotowani na straty - rzekł prezydent. - Opuszczam teraz dowództwo, żeby spotkać się ze strażą przybrzeżną. Działajcie w dalszym ciągu aż do końca... - widać było, że szuka w myśli błyskotliwego i celnego sformułowania, z jakich był powszechnie znany - ...tego astronomicznego zagrożenia.

Obraz znikł z ekranu.

Patrząc na pozostałe monitory telewizyjne pułkownik Griswold powiedział:

- Bazę księżycową? Do diabła, Spike, straciliśmy Księżyc!

Rozdział 12

Don od piętnastu minut leciał przez środek Księżyca, z prędkością trzech kilometrów na sekundę, a fioletowożółta nić, która osiągnęła już szerokość wstążki, przestała się poszerzać. Nie wróżyło to nic dobrego, ale Don nie miał wyboru: musiał mknąć dalej między gładkimi ścianami rozszczepionego Księżyca - ten bowiem pękł równiutko! niby wprawnie rozłupany diament - wpatrzony uważnie przed siebie i targany okropnymi myślami, nad którymi nie miał siły zapanować.

Po pierwszym dużym wstrząsie włączył główny silnik, teraz jednak zapalał go tylko sporadycznie, sterując Babę Jagę silnikami korekcyjnymi.

Kosmonauta odbywał podróż przez środek Księżyca. Przeleciał już przez samo jądro: w drodze na przemian towarzyszyły mu połysk ścian, ciemność oraz fioletowa nić przecinająca ekran, który miejscami pokrywały mleczne plamy. Zaszło mu w gardle, piekły go oczy, czuł się jak krucha szklana pszczoła, która bzyząc usiłuje przelecieć przez niewielką szparę w stercie cienkich blach ciągnących się kilometrami, albo jak zaczarowany królewicz biegnący ciasnym zatrutym korytarzem... a gdyby tak niechcący dotknął ściany? Ach, byłby to wielki błąd!

Mniej więcej w połowie drogi ukazały się czarne jak sadza smugi i błysk zielonego ognia, ale Don - nie miał pojęcia, skąd pochodzą.

Co innego mleczne plamy na ekranie - to pozostałości po nagłych wirach rozrzedzonego pyłu, które w pewnej chwili niemal całkowicie zasłoniły Donowi kolorową wstęgę na dnie przepaści.

Wcześniej, niż się spodziewał, zgasło światło słoneczne i musiał kierować Babą Jagą jedynie przy słabym blasku połyskujących ścian. Blask ten jednak był zdradliwy, gdyż kolor żółty był znacznie ostrzejszy od fioletowego, toteż Don często nieświadomie za bardzo się oddalał od złościście połyskującej ściany przepaści.

Ale teraz fioletowa wstęga zaczęła się zwężać i Don poczuł, że to już koniec, koniec znacznie gorszy, niż gdyby roztrzaskał się o ścianę. Wyobraził sobie, jak rozdarte połowy Księżyca zwierają się za statkiem, zamykając dopływ światła słonecznego, po czym odbijają się od siebie, a następnie - poruszając się znacznie wolniej od niego, Dona, ale dość szybko, aby go wyprzedzić - pod wpływem potężnej siły przyciągania zwierają się przed dziobem statku.

Nagle, kiedy już był blisko, kiedy przebył odległość około trzech tysięcy kilometrów, fioletowa wstęga poczerniała.

I wtedy, zupełnie niespodziewanie, jakby po śmierci powrócił do życia, Don wyleciał z ciemności na światło: gwiazdy migotały ze wszystkich stron, a promienista czupryna Słońca

rzucala olśniewający biały blask.

Dopiero teraz ujrzał, co ma przed sobą.

Była to duża kula, nie mniejsza od Ziemi, widzianej z dwugodzinnej orbity. Prawa strona potężnej tarczy, za którą znajdowało się Słońce, była jaskrawofioletowa i żółta, lewa zaś strona czarna z trzema bladozielonymi, świetlistymi plamami, znikającymi 20 niewidoczną częścią globu.

Kosmonauta ujrzał, że wyraźnie zarysowano granica między jasną półkulą a tą na której panowała noc, powoli przesuwa się w prawo, gdy tymczasem Słońce zbliża się do fioletowego horyzontu. Zdał sobie sprawę, że kiedy był we wnętrzu Księżyca, stracił z oczu fioletową wstęgę nie dlatego, że zawarta sio nad nim otchłań Księżyca, ale dlatego, że ciemna strona nowej planety przesunęła się, zasłaniając sobą wszystko.

Odgadł niemal natychmiast, że kula jest potężną planetą i że Księżyc wszedł na ciasną orbitę wokół niej. Było to, jego zdaniem, jedynym rozsądnym i logicznym wytłumaczeniem tego, czego był świadkiem przez ostatnie trzy godziny: blasku zalewającego tę część Ziemi, na której panowała noc, jasnej smugi na wodach Atlantyku, a przede wszystkim pęknięcia Luny.

A zresztą nie było się nad czym zastanawiać - widział na własne oczy tę ogromną kulę i czuł, że to może być tylko planeta.

Don obrócił statek i oto zaledwie osiemdziesiąt kilometrów pod sobą ujrzał ogromną tarczę Księżyca: jedna połowa była czarna, druga olśniewająco biała od padającego na nią światła słonecznego. Widząc lśniący, skłębiony pył unoszący się w oświetlonej przez Słońce próżni, tuż przy ciemnej połowie Księżyca, oraz niemal surrealistyczną, porąbaną szachownicę utworzoną z mniejszych szczelin, przy których wznosiły się niewielkie chmury pyłu, Don zorientował się, że tu właśnie zawarły się za nim ściany otchłani.

Był osiemdziesiąt kilometrów nad Księżycem, który z każdą chwilą coraz bardziej przypominał bulgocący kamienny ocean.

Ale ponieważ nie chciał - przynajmniej jeszcze nie teraz - runąć z prędkością półtora kilometra na sekundę na ciemną połowę planety, do której był zwrócony dyszami, włączył główny silnik, żeby przyhamować - i sprawdzając wreszcie poziom paliwa i tlenu odkrył, że ledwo mu ich starczy na ten manewr. Ale manewr ten powinien go wprowadzić na orbitę wokół nieznanej planety, ciaśniejszą jeszcze od orbity Księżyca.

Baba Jaga i Luna razem skręcały w stożek cienia - w noc pełną tajemnic. Kosmonauta wiedział, że za chwilę Słońce zniknie mu z pola widzenia i że przeobrażony Księżyc znów wejdzie w zaćmienie.

Fritz Scher siedział sztywno wyprostowany przy biurku w hamburskim Instytucie Badań

Pływów. Z rozbawieniem, a jednocześnie z irytacją słuchał kretyńskich wiadomości poronnych z drugiej strony Atlantyku. Wyłączył radio, przekręcając gałkę z taką siłą, że omal jej nie oderwał, i zawołał do Hansa:

- Przekłęci Amerykanie! Potrzebni są nam tylko po to, żeby trzymać w szachu te komunistyczne świny, ale co za intelektualna degradacja dla Niemiec!

Wstał i podszedł do urządzenia zajmującego całą długość pokoju, służącego do prognozy pływów. Przez ruchome precyzyjne koła pasowe - każde z nich oznaczało jakiś czynnik, który działa na pływy w badanym punkcie hydrosfery - przechodził cienki drut zakończony igłą, która na bębnie z papieru milimetrowego rysowała krzywą, nieustannie podającą pływy.

W Delftach jest urządzenie elektroniczne, ale te niezguły Holendrzy inaczej nie daliby sobie rady.

- Księżyc orbituje wokół jakiejś planety, która się wzięła znikąd? - zawołał teatralnym głosem Scher. - Ha!

Znacząco stuknął w obudowę stojącego obok opływowego urządzenia.

“Machan Lumpur”, wskazując zardzewiałym dziobem kierunek nieco na południe od słońca zachodzącego nad Wietnamem, przepłynął nad mielizną przy wejściu do małej zatoczki na południe od Do-Son. Patrząc na dobrze mu znany układ korzeni mangrowych i na zniszczony, stary pał, który znał jak swoje pięć palców, Bagong Bung zauważył, że woda przypływu sięga o szerokość dłoni wyżej, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć w tych stronach. Dobry znak! Drobne fale tajemniczo marszczyły powierzchnię zatoki. Rozległ się krzyk wydrzyka.

Richard Hillary obserwował przez okno dużego, wygodnego autobusu, którym jechał do Londynu, jak powoli prostują się promienie słoneczne. Bath pozostało daleko w tyle, a teraz autobus właśnie mijał Silbury Hill.

Od niechcenia przysłuchiwał się rozbrzmiewającym wokół wywodom na temat podawanych przez radio bezsensownych wiadomości o latającym talerzu wielkości planety, który widziało w Stanach Zjednoczonych tysiące ludzi. Fantastyka naukowa doprawdy wszędzie daje się we znaki. W Beckhampton do autobusu wsiadła dziewczyna o nieco wulgarnej urodzie, ale w sumie atrakcyjna, ubrana w luźne spodnie, sweter i chustę. Usiadła przed nim i od razu wdała się w rozmowę z siedzącą obok kobietą. Z równym entuzjazmem rozprawiała na temat nowej planety i lekkiego trzęsienia ziemi, które nawiedziło niektóre obszary Szkocji, jak i na temat jajka, które jadła na śniadanie, oraz kielbasy i tłuczonych kartofli, które zje na obiad. Na cześć Edwarda Leara Richard od ręki ułożył limeryk o dziewczynie:

Młoda dziewczyna w szarawarach
Myślała tylko w dwóch wymiarach:
Większość myśli z talerza się brała,
Część jednak po Księżyc sięgała –
Taka była - dziewczyna w szarawarach.

Myśląc o limeryku, Richard uśmiechał się w duchu przez całą drogę aż do Savernake Forest, gdzie wreszcie zapadł w drzemkę.

Rozdział 13

O piątej nad ranem Times Square był równie zatłoczony, jak w czasie lądowania na Księżycu albo podczas fałszywego alarmu o wojnie ze Związkiem Radzieckim. Ruch kołowy już dawno ustał, ale na ulicach roilo się od ludzi. Wędrowiec, który wciąż był widoczny z Czterdziestej Drugiej Ulicy i z dwóch równoległych do niej głównych ulic, teraz znajdował się nisko na niebie: jego żółta płaszczyzna nieco przybladła, fioletowa zaś przechodziła w czerwień.

W porównaniu ze światłem Wędrowca neony reklam świeciły trochę jaśniej, szczególnie reklama dwudziestometrowego dzina szybko zonglującego trzema pomarańczami wielkości dużych koszy.

Ulice znów rozbrzmiewały gwarem. Tylko nieliczni ludzie stali nieruchomo, wpatrując się w zachodnią część nieba, większość bowiem kołysała się rytmicznie; niektórzy, trzymając się za ręce i energicznie przytupując, przedzierali się węzłem przez tłum. Tu i ówdzie młode pary tańczyły zapamiętałe. Prawie wszyscy nucili, śpiewali] lub wykrzykiwali słowa piosenki, która krążyła już w wielu wersjach, a której najnowszą wersję śpiewała sama autorka, Sally Harris. Sally wciąż tańczyła, teraz jednak oprócz Jake'a miała obstawę złożoną z dziesięciu modnie ubranych, energicznych młodzieńców. Piosenka, którą śpiewała wibrującym, zachrypłym altem, brzmiała następująco:

Dziwna kulo!... której niebo dźwiga brzemię,
Dziwny blasku!..., co padasz na Ziemię,
Choć widok może nas przerażać,
Nie będziemy na to zważać,
Grajcie nam, muzycy!

Złota!... jak statki ze skarbami,
Szkarłatna!... jak usta splamione grzechami,
Czerwiec nigdy nie nadejdzie,
Księżyc znikł i już nie wjejdzie,
Została tylko
Planeta!... na Czterdziestej Drugiej Ulicy!

Nagle wszyscy przestali tańczyć i śpiewać - asfaltowy parkiet zadrżał. Nastąpił niewielki wstrząs. Obsypało się trochę tynku i z dachów spadło parę dachówek, które roztrzaskały się o

ziemię. Kilka osób krzyknęło. Kiedy wstrząs ustał, okazało się, że dwudziestometrowy dżin stracił pomarańcze, choć nadal wykonywał ruchy zonglera.

Arab Jones i jego dwaj bracia-narkoman oddalili się od Lenox i teraz szli pośpiesznie Sto Dwudziestą Piątą Ulicą w kierunku, w którym zwrócone były twarze obserwujące zachód Wędrowca; Wędrowiec - wielki, błyszczący żeton pokerowy z ogromnym X na pomarańczowej płaszczyźnie - niemal całkowicie zasłaniał bladą, złocistą tarczę Księżyca. Wkrótce niebiańską parę skryją gmachy generała Granta, które swoim ogromem kontrastuje) z małomiasteczkowym charakterem Harlemu, z jedno - i dwupiętrowymi budynkami na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy.

Trzęsienie ziemi, które zmusiło do wyjścia na dwór tych nielicznych, co jeszcze siedzieli w domach, wzmogło podniecenie trzech braci-narkomanów, wywołane dużą ilością wypalonych skrętów z marihuaną.

Na wschodzie niebo było różowe: Słońce, które zatrzymało się u wrót horyzontu, czekając aż się otworzą, rozpędziło gwiazdy, a zarazem przyniosło na Manhattan świt. Ale nikt nie patrzył na wschód, nikt się nie ruszał, żeby iść do pracy albo położyć się spać. Wieże dolnego Manhattanu były niczym opuszczone miasto z bajki, miasto z zamczyskami.

Arab, Pepe i Duży już dawno zrezygnowali z próby przedostania się przez wpatrzony w niebo, milczący tłum na chodniku; zeszli na jezdnię, po której łatwiej się było poruszać, gdyż samochody nie jeździły, i mniej się tu gromadziło ludzi. Pepe miał wrażenie, że nowa planeta wyzwała siłę, która poraża ludziom mięśnie i blokuje silniki samochodów jak groźne promienie z komiksów, paraliżujące wszelki ruch. Przeżegnał się.

- Teraz dopiero naprawdę się do niej dowala - szepnął Duży Bundy. - Pokręcił się przed nią, doszedł do wniosku, że mu się podoba, i bum!

- Może on się schował, bo się boi. Tak jak my - zamyślił się Arab.

- My? Czego? - spytał Duży.

- Końca świata - odpowiedział Pepe Martinez głosem wysokim, przypominającym zawodzenie wilka.

Tylko krawędź Wędrowca wystawała nad gmachami generała Granta, które, w miarę zbliżania się do nich trzech braci-narkomanów, rosły w oczach.

- Chodźmy! - krzyknął nagle Arab, chwytając pod rękę przyjaciół. - Jeżeli ma być koniec świata, ja się stąd wynoszę. Byle jak najdalej od tych gapiących się trupów, czekających na dźwięk trąby. Jedna planeta się rozwali, to wsiądziemy na drugą! Chodźcie, zanim nam ucieknie! Złapiemy ją nad rzeką i tam się załadujemy!

Wszyscy trzech puścili się biegiem.

Margo, Paul i ich nowi przyjaciele siedzieli na piasku piętnaście metrów przed ciemną bramą, kiedy plażę wstrząsnęło drugie trzęsienie. Ziemia zakółsała się lekko, a ponieważ nic na to nie mogli poradzić, kołysali się wraz z nią, z przerażenia ledwie dysząc. Żołnierz wybiegł z wieży trzymając w ręce pistolet maszynowy, przystanął i po chwili cofnął się do środka. Nie odpowiedział, kiedy Rudolf zawołał do niego wesoło:

- Bomba, nie?

Po pięciu minutach odezwała się Anna:

- Mamusiu, teraz już naprawdę jestem głodna.

- Ja też - powiedział McHeath.

- Śmieszne - rzekł niski mężczyzna, głaszcząc uspokajająco zdenerwowanego Ragnaroka. - Mieliśmy się po zaćmieniu napić kawy i zjeść kanapki. Kawa była w czterech wielkich termosach - wiem, bo sam ją przywiozłem. Wszystko zostało na plaży.

Mimo sprzeciwów chudej kobiety, Wanda wstała i usiadła na łóżku.

- Skąd ten czerwony blask nad morzem? - spytała rozdrażniona.

Nie bez cienia ironii Hunter zaczął jej tłumaczyć, że to po prostu światło nowej planety, gdy wtem spostrzegł, że istnieje jakieś inne źródło światła, które rozsiewa groźny, czerwony blask niczym rozgrzany piec, a które dotychczas zasłaniał Wędrowiec.

- Może to zarośla się palą? - stwierdził ponuro Wojtowicz.

- Boże - westchnęła chuda kobieta - tego nam tylko brakowało. Jakbyśmy nie mieli dość kłopotów.

Hunter zacisnął usta. Nie chciał ich straszyć, że to może płonie Los Angeles.

Dodd znów zwrócił ich uwagę na niebo; fioletowożółty intruz zupełnie teraz zasłaniał Księżyc.

- Powinniśmy wymyślić nazwę dla nowej planety - powiedział. - Wiecie, to zabawne, raz zdaje mi się, że ta planeta jest dla mnie najwspanialszym cudem, a w następnej chwili jest tylko kawałkiem nieba, które mogę zakryć, wyciągając rękę.

- Proszę pana - zwróciła się Anna do Rudolfa Brechta - a co naprawdę oznacza słowo "planeta"?

- "Wędrowiec", kochanie - odpowiedziała Rama Joan.

Ispan jest znany człowiekowi pod setkami nazw - myślał Drağal - mimo to wciąż jest Ispanem.

Harry McHeath, który niedawno poznał mitologię staroskandynawską i "Eddę" islandzką, pomyślał: Pożeracz Księżycy - to by była dobra nazwa, ale dla większości zbyt przerażająca.

Mogłaby się nazywać “Don” - pomyślała Margo; przygryzła wargę i tak mocno przytuliła do siebie Miau, że kotka pisnęła. Dziewczynie łyzy się zakreśliły w oczach.

- “Wędrowiec” - to odpowiednia nazwa dla nowej planety - stwierdził Dodd.

Żółta płaszczyna, która dla Drągała uosabiała pęknięte jajo, a dla Anny ucho igły, znajdowała się przy lewej krawędzi Wędrowca. Żółte łaty na biegunach pozostały bez zmian, natomiast takie same łaty zaczęły się wyłaniać z prawej strony. W sumie: cztery żółte plamy wskazujące północ, południe, wschód i zachód.

Dodd wyjął notes i zaczął rysować.

- Fioletowa płaszczyna tworzy duży iks - powiedział Wojtowicz.

- Ukośny krzyż - rzekł Drągał, nareszcie mówiąc coś na głos. - Wyszczerbiona tarcza. Koło podzielone na cztery części.

- Mandala - odezwała się Rama Joan.

- Tak! - zawołał Wojtowicz. - Panie profesorze - zwrócił się do Huntera - pan nam mówił, że to symbole jakiejś tam całości.

- Całości psychicznej - wyjaśnił Brodacz.

- Symbole całości psychicznej - powtórzył Wojtowicz. - To dobrze - stwierdził rzeczowo - przyda nam się.

- Dzięki Bogu - szepnęła Rama Joan.

Para wielkich żółtych oczu wyjrzała znad brzegu wąwozu na terenie Vandenbergu 2. Słysząc było głuchy warkot. W stronę bramy pędził łazik, którego dygoczące reflektory oświetlały krzaki i wyboistą, wysuszoną drogę.

- Wstajemy - rozkazał Paul. - Wreszcie coś się zacznie dziać.

Patrząc na ekran Baby Jagi, Don widział gwiazdy, które układały się w kształt nieregularnej klepsydry z ledwie zaznaczonym wcięciem. Chmury pyłu, które osiadły na ekranie, kiedy Don leciał przez środek Księżyca, sprawiały, że miejscami obraz był zamglony.

Czarna bryła, wdzierająca się z lewej strony w klepsydrę, to był Księżyc, teraz zupełnie odcięty od Słońca przez potężne, nowe ciało niebieskie.

Wędrowiec, wdzierający się z prawej strony w gwiazdną klepsydrę, nie był całkiem czarny - kosmonauta dostrzegł na nim siedem lśniących, bladezielonych plam, z których każda miała mniej więcej pięćset kilometrów szerokości; najdalsze plamy miały kształt elipsy, najbliższe - koła. Plamy były idealnie płaskie, choć od czasu do czasu Donowi zdawało się, że widzi na nich fosforyzujące doły czy szyby. Nie miał najmniejszego pojęcia, co oznaczają te plamy: byłby równie bezradny, widząc podobne bladezielone plamki na czarnym brzuchu pająka.

Baba Jaga i Księżyc obracały się wokół Wędrowca, ale mały statek stopniowo dopędzał Lunę, ponieważ znajdował się bliżej Wędrowca i leciał po wewnętrznej, krótszej orbicie.

Don włączył radar. Echa impulsów fal radiowych świadczyły o bardziej nieregularnej powierzchni Księżyca, niżby to usprawiedliwiała obecność kraterów i gór; Don zrozumiał, że nawet podczas ostatnich pięciu minut powierzchnia Księżyca uległa daleko posuniętym zmianom i proces jego niszczenia trwa.

Niespodziewanie silne echo dochodzące z nieznannej planety świadczyło natomiast o kulistej, matowej powierzchni - w miejscach jasnozielonych plam echa impulsów były takie same jak na całej planecie, jak gdyby Wędrowiec był gładką kulą z kości słoniowej.

Planeta-intruz! - niemożliwe, a jednak prawdziwe. Don usiłował sobie przypomnieć fragmenty przeczytanych czy zasłyszanych rozważań na temat nadprzestrzeni: przypomniał sobie hipotezę, że wybuchając albo wchodząc w ponadwymiarowe kontinuum, którego nasz wszechświat jest tylko powierzchnią, obce ciało może przywędrować do nas z odległego kosmosu bez przechodzenia przez znane nam kontinuum dzielące te dwa obszary. Ale gdzie wśród nieprzebranego mnóstwa gwiazd i galaktyk znajduje się nadprzestrzeń? Dlaczego nadprzestrzeń ma być akurat w naszym wszechświecie? Ponadwymiarowe kontinuum ma nieskończenie wiele trójwymiarowych powierzchni, z których każda jest kosmosem.

Ale głos wewnętrzny powtarzał monotonnie:

Ziemia i Słońce są na prawo, za pokryta zielonymi plamami czarna kulą. Zaszły dziesięć minut temu, wszedł za dwadzieścia. Ja przeleciałem tylko przez Księżyc, nie przez nadprzestrzeń. Nie jestem w międzygalaktycznych ciemnościach, nie wpatruję się w gwiazdozbiór w kształcie wiązki siana czy klepsydry, gdy tymczasem siedem bladezielonych mgławic błyszczą po mojej prawej ręce...

Kosmonauta wciąż był w kombinezonie, teraz jednak zdjął pęknięty hełm i ostrożnie go położył. W szafce powinien być drugi.

- Do roboty - mruknął, ale głos ugrzązł mu w gardle. Odciął pasy, żeby przesunąć się w fotelu jak najbliżej ekranu. W kabinie było chłodno i ciemno, ale nie włączał ogrzewania ani światła, a nawet przyciemnił je na tablicy sterowniczej. W tej chwili najważniejsze było, żeby widzieć wszystko jak najdokładniej.

Wędrując po wewnętrznej orbicie wyprzedzał Księżyc, tak, to pewne. Skupisko gwiazd bardzo wolno się poszerzało, a czarna bryła zaćmionego Księżyca pozostawała w tyle.

Naraz zdało mu się, że na tle wysadzanej gwiazdami Drogi Mlecznej widzi cieniutkie czarne nici łączące szczyt Wędrowca - powiedzmy, biegun północny planety - Z wystająca krawędzią - powiedzmy, nosem - Księżyca. Wijące się w kosmosie czarne nici były ledwo

dostrzegalne, toteż, podobnie jak blado świecące gwiazdy, można je było ujrzeć patrząc nie bezpośrednio na nie, lecz gdzieś obok.

Don miał wrażenie, że Wędrowiec schwytawszy i obezwładniwszy Księżyc teraz snuje wokół niego czarną pajęczynę, jakby chciał wyssać z niego miąższ.

Nie trzeba było w ogóle myśleć o pająkach.

Głos wewnętrzny wciąż powtarzał:

Słońce i Ziemia są za pokrytą zielonymi pianami czarną kulą widoczną z prawej burty. Jestem porucznik Donald Bernard Merriam z amerykańskiego lotnictwa kosmicznego...

Po drugiej stronie kontynentu, pięć tysięcy kilometrów na wschód od miejsca pobytu członków sympozjum, Barbara Katz stojąc zwrócona plecami do Atlantyku zobaczyła mandale i pomyślała o kole z fioletowymi szprychami. Ogromne koło wykonało ćwierć obrotu i planeta zetknęła się z horyzontem.

- O rany, ojczulku, zupełnie jakby Wędrowiec się kładł - powiedziała nagle, zawiedziona i zrozpaczona, że nie ujrzy już nowego oblicza planety oni nie zobaczy wyłaniającego się z za niego Księżyca. - Trudno, pokażą to w telewizji. Ale czy na pewno? Czy w ogóle będzie jeszcze telewizja? - zastanawiała się, rozglądając się z niedowierzaniem. Nadchodzący świt, który miał nastąpić na wybrzeżu Pacyfiku dopiero za trzy godziny, tu już rozjaśniał niebo.

- Jestem bardzo zmęczony... Proszę... - powiedział Knolls Kettering III. Głos miał tak słaby jak nigdy przedtem.

Barbara wzięła go pod ramię: mężczyzna, chwiejąc się, oparł się o nią bezwładnie, nie był jednak zbyt ciężki. Pod białym garniturem jego skulone ciało było niczym brązowa łuska owada, a zapadłe policzki i pomarszczona twarz upodabniały go do sędziwej Indianki. Barbara wzdrygnęła się, ale zaraz przypomniała sobie, że to jej własny milioner, o którego musi dbać i którego ma hołubić.

Trzymała go delikatnie, jakby ramię starca było skorupką, którą niechętnie można skruszyć.

Starsza Murzynka, ubrana tak samo jak młodsza w szarą suknię z białym kołnierzykiem i białymi mankietami, podbiegła do nich i wzięła mężczyznę pod drugie ramię. Zirykowało to Ketteringa i jakby dodało mu sił.

- Hester - powiedział, opierając się mocniej o Barbarę - już dawno temu powiedziałem, że ty, Benjy i Helena macie iść spać.

- E tam! - roześmiała się Murzynka. - Nie zostawilibyśmy pana w ciemnościach przy teleskopie. Proszę iść ostrożnie. Plastikowe biodro zmęczyło się, służąc panu przez całą noc, proszę pana. Może się złamać.

- Plastik się nie męczy, Hester - odparł znużony.

- Akurat! Plastik nie jest talki silny jak pan - rzekła Murzynka i spojrzała pytająco na Barbarę. Barbara stanowczo skinęła głową. Przeszły z nim przez gruby dywan trawy, po trzech lśniących czystością betonowych schodkach i przez długą, chłodną kuchnię ze starą, ciężką płytą, na której śmiało można by gotować posiłki dla dużego hotelu.

W połowie szerokich schodów wewnątrz domu Kettering kazał im stanąć. Może olbrzymi salon przy schodach, w którym panował chłód, sprawił, że mężczyzna wrócił myślą do nocnego nieba.

- Panno Katz - powiedział - kiedy ciało niebieskie jest wysoko na niebie, wygląda tak, jakby stało, natomiast kiedy wschodzi albo zachodzi, ma się wrażenie, że leży. To samo dotyczy też konstelacji. Często zastanawiam się nad tym...

- Nie, proszę pana. Musi pan odpocząć - przerwała mu Hester, ale Kettering, zirytowany, potrząsnął ramieniem, które trzymała Murzynka, i ciągnął uparcie:

- Często zastanawiam się nad tym, że odpowiedzią na zagadkę Sfinksa: co rano chodzi na czworakach, w południe na dwóch nogach, a wieczorem na trzech, nie jest "człowiek", ale widoczny tuż przed gwiazdą Psa gwiazdozbiór Oriona, którego wzejście sygnalizowało wylewy Nilu.

Przy ostatnich słowach głos mu zadrżał, głowa opadła na ramię: Kettering dał się zaprowadzić na górę. Barbara z satysfakcją zauważyła, że starzec opiera się na jej ramieniu znacznie mocniej niż na ramieniu Murzynki, i pomyślała: Chyba wiem, ojczulku, dlaczego wieczorem myślisz o trzech nogach, a nawet o czterech.

Dziewczyna i Murzynka ułożyły go na łóżku w ciemnej sypialni, jeszcze większej od kuchni. Hester wyciągnęła coś spod poduszki i schowała do szuflady; po chwili jednak rozmyśliła się i pokazała Barbarze przedmiot, który ukryła.

Była to smukła, dość spora lalka z kruczoczarnymi włosami, ubrana w czarną koronkową bieliznę, czarne pończochy i długie czarne rękawiczki.

- Przez południe należy rozumieć północ - wymamrotał z trudem Knolls Kettering III.

Hester spojrzała znad lalki na czarne botki Barbary, na jej kruczoczarne włosy i uśmiechnęła się.

Barbara, mimo wysiłku, też nie mogła się powstrzymać od uśmiechu.

Rozdział 14

Paul spoglądał przez bramę Vandenbergu 2 na majora Humphreysa. Obok Paula stała Margo, trzymając na ręce Miau. Dziesięcioro pozostałych członków sympozjum tłoczyło się za nimi. Na srebrzystej metalowej siatce fioletowe i złote światełka migotały wokół konturów ich cieni.

Takie same światełka migotały również za nimi na Pacyfiku, gdzie Wędrowiec, który wciąż był wysoko na niebie, zaczynał opadać ku spokojnym wodom. Na jego tarczy nadal widniało to, co Rama Joan nazwała mandalą, ale w miarę jak planeta się obracała, żółta plama na zachodniej części Wędrowca powiększała się, a plama na wschodniej części kurczyła. Wędrowiec zalewał swym blaskiem porośnięte krzakami wybrzeże, sprawiając, że na szarzejącym niebie jaśniało zaledwie kilka gwiazd.

Łazik, którym major Humphreys zjechał z płaskowyżu Vandenbergu 2 na dno wąwozu, wciąż warczał, a reflektory nadal były zapalone. Jeden z dwóch żołnierzy, którzy przyjechali z majorem, siedział za kierownicą, drugi towarzyszył majorowi do bramy. Uzbrojony żołnierz stał na warcie w ciemnym wejściu do wieży strażniczej. Patrzył na majora. Pistolet maszynowy ukryty był w cieniu, jedynie na wylocie lufy błyszczał fioletowy pierścień.

Zamyśloni oczy majora i opuszczone kąski ust upodabniały go do starego nauczyciela, ale teraz twarz jego zdradzała ten sam stan ducha, co twarz wartownika: napięcie, pod którym kryje się strach.

Delikatna, ładna twarz Paula przybrała zdecydowany wyraz: czuł się odpowiedzialny za wszystkich.

- Miałem nadzieję, że właśnie pan przyjedzie, panie majorze - rzekł. - Zaoszczędzi to nam wielu kłopotów.

- Macie szczęście, bo wcale nie przyjechałem tu z waszego powodu - odparł ostro major, a potem dodał pośpiesznie: - Kilku naszych z Los Angeles przyjechało, zanim szosa nadbrzeżna uległa zniszczeniu. Liczymy, że innym uda się dotrzeć przez Dolinę, szosą przez góry Santa Monica albo przez Oxnard. W przeciwnym razie ściągniemy ich helikopterem - zwłaszcza tych z Kalifornijskiego Instytutu Technologii. Pasadena legła w gruzach podczas drugiego trzęsienia ziemi... - Humphreys nagle urwał, skrzywił się i potrząsnął głową, jakby zły na siebie, że za dużo powiedział. Po chwili mówił dalej, nie zważając na okrzyki przerażenia gromadki:

- No, Paul, śpieszy mi się. Nie mam chwili do stracenia. Dlaczego nie przyszedłeś do bramy głównej? Poznaję oczywiście pannę Gelhorn - skłonił się jej lekko - ale kto są ci pozostali?

Ogarnął wzrokiem zgromadzonych przy bramie członków sympozjum, zatrzymując

podejrzliwe spojrzenie na bujnej brodzie Huntera.

Paul zawahał się.

Brecht, który ze swoją łysiną i grubymi szklami wyglądał jak współczesny Sokrates o pociągłej twarzy, chrząknął i już miał zaryzykować mówiąc: Jesteśmy podwładnymi pana Hagbolta. Uważał, że jest to właśnie jedna z tych sytuacji, kiedy trzeba blefować.

Ale zastanawiał się o ułamek sekundy za długo. Dodd precyzyjnie się do przodu, stanął między nim a Wojtowiczem i spojrzał dobrotliwie na majora. Pewien siebie uśmiechnął się pod krótko przystrzyżonym wąsem i powiedział z wprawą doświadczonego adwokata:

- Jesteśmy członkami południowo-kalifornijskiej sekcji zrzeszającej badaczy meteorów i nie zidentyfikowanych obiektów latających. Ja jestem sekretarzem. Po otrzymaniu pisemnej zgody od właściciela i, choć to nie było absolutnie konieczne, zgody od waszego dowództwa, zorganizowaliśmy podczas zaćmienia symposium w domku plażowym Rodgersa.

Brecht jęknął cicho.

Major znieruchomiał.

- A więc fanatycy latających talerzy? - zapytał.

- Tak - z przywilnym uśmiechem odpowiedział Dodd. - Tylko bardzo proszę, nie fanatycy, a badacze. - Coś nagle pociągnęło go do tyłu i mężczyzna zaparł się piętami, żeby nie upaść: to Ragnarok niespokojnie szarpnął smyczą.

- Badacze - powtórzył z niedowierzaniem major, przyglądając się im tak - pomyślał Paul - jakby miał zamiar ich wszystkich wylegitymować.

- Podczas trzęsienia ziemi zasypało ich samochody - wstawił się za nimi żarliwie Paul. - Mój również, panie majorze. Bez ich pomocy panna Gelhorn i ja nie dotarlibyśmy tutaj. Ci ludzie nie mają dokąd iść. Jedna z kobiet miała atak serca. Jest też dziecko.

Spojrzenie majora zatrzymało się na Ramie Joan, która stała za Hunterem. Kobieta wysunęła się do przodu, uśmiechnęła się z powagą i lekko skłoniła - major ujrzał frak, białą muszkę i złocisto-rude włosy opadające na ramiona. Anna z identycznymi złocistorudymi włosami zaplecionymi w warkocze, podeszła do matki. Obie były dziwnie piękne i równie tajemnicze jak ilustracje Aubreya Beardsleya do kwartalnika "The Yellow Book".

- Ja jestem tym dzieckiem - powiedziała oziębłe Anna.

- Rozumiem. - Major szybko skinął głową i odwrócił się.

- Paul - rzekł pośpiesznie - przykro mi, ale Vandenberg Dwa nie może udzielać schronienia ofiarom trzęsienia ziemi. Rozważyliśmy sprawę i postanowienie jest nieodwołalne. Prowadzimy ważne badania, a w obecnej sytuacji musimy przedsięwziąć dodatkowe środki ostrożności.

- Mówi pan - wtrącił Wojtowicz - że w okręgu Los Angeles trzęsienie było silne?

- Nie widzi pan łuny pożarów? - burknął major. - Nie, nie mogę odpowiadać na żadne pytania. Wejdz przez wieżę, Paul. I panna Gelhorn również, ale nikt poza tym.

- To fachowcy, panie majorze - sprzeciwił się Paul. - Mogą nam się przydać. Dokonali już wielu ciekawych spostrzeżeń na temat Wędrowca.

Gdy tylko wspomniał o Wędrowcu, fioletowozłota kula, o której na chwilę wszyscy zapomnieli, znów zaprzątnęła ich myśli.

Major Humphreys uchwycił się rękami metalowej siatki i przysunął twarz do twarzy Paula. Głosem, który stanowił dziwną mieszaninę podejrzliwości, zaciekawienia i strachu, zapytał:

- Wędrowca? Skąd wiecie, że się tak nazywa? Co wiecie o tym... ciele niebieskim?

- Ciele niebieskim? - zdenerwował się Rudolf. - Teraz już każdy głupiec widzi, że to planeta. Księżyc obraca się wokół niej, a teraz jest właśnie za nią.

- Pretensje proszę kierować nie do nas - wtrąciła żartobliwie Rama Joan. - Nie wyczarowaliśmy jej.

- Tak, najwyraźniej spadła z nieba - dodał z przekąsem Brecht. - Potrzebna nam jak piąte koło u wozu.

Hunter kopnął go ukradkiem.

- Nazwaliśmy ją Wędrowcem, ponieważ słowo "planeta" znaczy "wędrowiec" - wyjaśnił uprzejmie Brodacz.

- Od biedy niech będzie Wędrowiec, choć prawdziwa nazwa brzmi Ispan - dobiegł ich głos Dągala, którego koścista twarz, oczodoły i ukryte w cieniu policzki wystawały znad ramienia Huntera. Po chwili dodał: - Zapewne mędrcy królewscy wylądowali już w Waszyngtonie.

Major Humphreys drgnął, jakby ktoś uderzył go między łopatki.

- Rozumiem - odparł krótko, po czym zwrócił się do Paula. - Możesz wejść. Panna Gelhorn również, ale bez kota.

- To znaczy, że nie wpuści pan tych ludzi? - zapytał Paul. - Mimo że za nich ręczę? Mimo że życie jednej z kobiet jest w niebezpieczeństwie?

- Profesor Opperly z pewnością oceni należycie pańskie postępowanie, panie majorze - wtrąciła ostro Margo.

- Gdzie jest chora? - zapytał Humphreys. Kolano zaczęło mu drgać podobnie jak przedtem wartownikowi.

Paul rozejrzał się za łóżkiem, ale właśnie w tej chwili tęga sylwetka Wandy stanęła między Hunterem a Ramą Joan.

- To ja - oświadczyła Wanda z dumą.

Brecht znów jęknął. Wojtowicz, pocierając ramię obolałe od noszenia łóżka, spojrział z

wyrzutem na grubą kobietę.

Major chrząknął.

- Wejdźcie, ale sami - powiedział do Paula i Margo i zawrócił do samochodu.

- Lepiej idźcie, zanim się rozmyśli - szepnął do dziewczyny Hunter. - To dla was najlepsze wyjście.

- Bez Miao? - oburzyła się Margo.

- Ja się nią zaopiekuję - zaproponowała Anna. Słowa dziewczynki rozwiały wszelkie wątpliwości Paula.

Może to zwykły sentymentalizm, żeby kot i bezinteresowność dziecka przeważyły szale, ale nagle krzyknął:

- Nigdzie nie idej - Przestań dramatyzować, Paul. Nie masz wyboru. Nie możesz porzucić Projektu - powiedział major ze źle ukrywaną zjadliwością.

Wolną ręką Margo objęła Paula i ścisnęła go, jakby chcąc dodać mu otuchy. Brecht szepnął mu do ucha:

- Mam nadzieję, że wiesz, co robisz.

- Właśnie, że mogę! - krzyknął Paul.

Major wzruszył ramionami i wsiadł do łazika. Wartownik zamknął drzwi do wieży i podszedł do grupy stojącej przed bramą.

- Proszę stąd odejść - powiedział z irytacją podsuwając ku nim lufę pistoletu. W lewej ręce trzymał zwisający koniec drutu - było to urządzenie sterujące silnikami.

Wszyscy oprócz Dodda cofnęli się przed pistoletem, nawet Ragnarok się odsunął, jego pan bowiem, patrząc z oburzeniem przez siatkę, wypuścił z ręki smycz.

- Majorze - zawołał Dodd - pańskie zachowanie jest skandaliczne i nieludzkie! Dopilnuję, żeby odpowiednie władze o tym się dowiedziały. Płacę podatki! I moje pieniądze idą właśnie na takie inwestycje jak Vandenberg Dwa, z moich pieniędzy płaci się pensje urzędnikom państwowym bez względu na to, czy noszą mundury, czy nie, bez względu na to, ile gwiazdek mają na tych mundurach. Miech pan się jeszcze zastanowi...

Wartownik podszedł do niego. Widać było, że chce się uporać z intruzami, zanim odjedzie major.

- Zamknij się pan wreszcie i jazda stąd - wycedził i lufą pistoletu szturchnął go lekko w bok.

Rozległ się warkot podobny do zgrzytu nie naoliwionych trybów: Ragnarok rzucił się i ciągnąc za sobą smycz skoczył wartownikowi do gardła.

Silniki na plecach wartownika buchnęły nagle dwoma językami ognia, jakby żołnierzowi

wyrośla para nowych, jaskrawopomarańczowych nóg. Wartownik zaczął się wolno wznosić w powietrze. Tu dał mistrzowski popis strzelania z lotu, wysyłając cztery kule prosto w napastnika. Wielki pies upadł i już się nie poruszył.

Wszyscy rzucili się do ucieczki, ale po chwili stanęli.

Wartownik przepląnął w powietrzu nad siatką i wrócił na ziemię - z silników znów na chwilę buchnął ogień, żeby zamortyzować wstrząs.

Dodd padł na kolana przy zwłokach psa.

- Ragnarok? - spytał niepewnie, po czym stwierdził z niedowierzaniem: - On nie żyje.

Wojtowicz wziął składane łóżko i podbiegł do psa.

- Nic mu już nie pomoże - szepnął Dodd.

- Nie może go pan tu zostawić - powiedział Wojtowicz.

Ułożyli martwa zwierzę na łóżku. Wędrowiec świecił teraz tak jasno, że w jego blasku ujrzeli kolor sączącej się krwi.

Margo podała kotkę Paulowi, zdjęła kurtkę i przykryła nią Ragnaroka. Dodd skinął głową w milczeniu.

Niewielki orszak ruszył z powrotem drogą, którą przyszedł. Był już świt, a gdzieś migotały fioletowe i złote światełka.

Harry McHeath wskazał ręką niebo nad oceanem.

- Patrzenie - powiedział. - Widać biały rąbek. Księżyc wyłania się zza Wędrowca.

Dona Merriama przeszył dreszcz, gdy ujrzął, że cienkie czarne nici łączące nos Księżycy z biegunem północnym Wędrowca stają się olśniewająco białe - były teraz bardziej widoczne i coraz bardziej przypominały pajęczynę. Nagle nos Księżycy też stał się olśniewająco biały: był niczym maty, biały stożek, który szybko się wydłuża i poszerza. Wydobywały się z niego białe nici, które unosiły się w górę.

W półksiężycu było coś dziwnie niepokojącego: w miarę jak rósł, stawał się coraz bardziej wypukły, jak gdyby Księżyc przybierał kształt piłki do rugby. Nadmiernie wypukły brzeg wcale nie był gładki na tle czarnej, nakrapianej gwiazdami przestrzeni kosmicznej, przeciwnie, był lekko wyszczerbiony. Łamana była też linia między widocznym półksiężycem a reszta ciemnej powierzchni. Co więcej, powierzchnię półksiężycy pokrywały rysy - Księżyc wyglądał jak na mozaikach bizantyjskich.

Nagle z prawej burty Baby Jagi wpadło do środka światło. Blask, odbity po lewej stronie ekranu, niemal oślepił Dona.

Kosmonauta zamknął oczy i po omacku zaczął szukać na półce okularów polaryzacyjnych.

Włożył je i nastawił polaryzację na maksimum. Uruchomił silniki korekcyjne i skierował statek nieco w lewo.

Tam lśniące Słońce, które właśnie wyłoniło się zza Wędrowca, błyszczało przy czarnej tarczy Ziemi - para ta wyglądała jak rozgrzana do białości dziesięciocentówka i zakopcony dolar. Baba Jaga również zakończyła już podróż po ciemnej stronie Wędrowca i teraz wyszła na światło słoneczne.

Don ustawił daszek przy okularach tak, żeby osłonić się przed światłem Słońca, po czym zmniejszył polaryzację, aby w blasku Wędrowca móc dojrzeć tę stronę Ziemi, na której panowała noc. We wschodniej części kontynentu północnoamerykańskiego był już dzień. Południowej Ameryki w ogóle nie było widać. Resztę kuli wypełniał Ocean Spokojny, tylko na dole, po lewej stronie, stopniowo wyłaniała się Nowa Zelandia - tam zapadał zmrok.

Kosmonauta zdziwił się, że widok rodzimej planety - odległej o marne ćwierć - miliona kilometrów, a nie zagubionej gdzieś po drugiej stronie kosmosu - sprawił mu tak wielką radość.

Mieszkańcy Nowej Zelandii i Wysp Polinezyjskich wybiegli z domów, zostawiając kolację na stołach i matach, żeby obserwować cud, który ukazał się na niebie wraz z nastaniem wieczoru. Wielu z nich podejrzewało, że Wędrowiec to Księżyc - monstrualnie zniekształcony, najpewniej na skutek amerykańskich czy radzieckich doświadczeń atomowych, a fioletowy i złoty blask to aura po wybuchu atomowym - i potrzeba było kilku godzin, aby przekonać ich, że się mylą. Większość mieszkańców Australii, Azji, Europy i Afryki pełniła swoje codzienne obowiązki, żyjąc w szczęśliwej nieświadomości: o Wędrowcu wiedziała tylko tyle, że to jakiś niepoważny wymysł dziennikarski, zjawisko typowo amerykańskie tak jak fundamentalizm religijny i coca-cola albo nowinki o senatorach czy gwiazdach filmowych. Bardziej przebiegli myśleli, że to reklama nowego filmu grozy albo pretekst do nowych żądań pod adresem Chin i Związku Radzieckiego. Jedyne kilku wyjątkowo bystrych obserwatorów dostrzegło związek między zwariowanymi komunikatami o Księżycu a niewątpliwie prawdziwymi relacjami o trzęsieniach ziemi.

Atlantyk był również po tej stronie kuli ziemskiej, na której panował dzień, ale tu sytuacja przedstawiała się inaczej, gdyż z większości samolotów i statków zaobserwowano Wędrowca podczas ostatnich godzin nocy. Załogi statków i samolotów szukały zawzięcie wśród zakłóceń atmosferycznych fali, na której podawano by jakieś wiadomości, i usiłowały połączyć się z właścicielami pojazdów lub z kierownictwem żeglugi morskiej, żeby złożyć sprawozdanie i zasięgnąć rady. Niektóre statki płynęły do najbliższych portów. Załogi innych mądrze i przezornie kierowały swoje jednostki na pełne wody.

Na transatlantyku "Prince Charles" nastąpiły dramatyczne wydarzenia. Grupa

faszystowskich powstańców brazylijskich z pomocą dwóch oficerów pochodzenia portugalskiego opanowała wielki luksusowy statek. Kapitan Sithwise siedział uwięziony we własnej kabinie. Powstańcy mieli dokładnie opracowany plan, ale kto wie, czy udałoby się im go zrealizować, gdyby nie ogólne podniecenie w związku z “zagrożeniem astronomicznym”. Niemal ze zgrozą odkryli, że kosztem życia sześciu mężczyzn - wśród swoich mieli tylko trzech rannych - mają w swojej władzy nie tylko statek wielki jak hotel w modnej miejscowości wypoczynkowej, ale również dwa reaktory atomowe, Wolf Loner zjadł w spokoju śniadanie i rozpoczął normalne zajęcia poranne - jego jacht, “Wytrwały”, wciąż leniwie płynął na zachód pod zwisającymi nisko na niebie chmurami. Samotny żeglarz wciąż rozmyślał o ładzie panującym w przyrodzie, gdy nie mąci go szybkie tempo współczesnego życia.

Kiedy czerwony blask poranny oświetlił dżunglę, don Guillermo Walker pruł już naprzód łodzią motorową braci Araiza: z jeziora Nikaragua wpłynął do rzeki San Juan i minął San Carlos. Teraz, gdy Wędrowiec znikł z nieba, don Guillermo nie zaprzętał sobie głowy wulkanami i trzęsieniami ziemi, a za to coraz chętniej myślał o tym, jak zbombardował fortecę el presidente, leżąc swoim małym samolotem, który obecnie spoczywa na dnie jeziora. Oby taki los spotkał wszystkich lewicowców, don Guillermo pokazał wreszcie, że jest lepszy od tych mięczaków od Johna Bircha!... - tak przynajmniej oceniał swój wyczyn.

Z dumą uderzył się w piersi i krzyknął:

- Yo soy un hombre!

Jeden z braci Araiza, który mrużył oczy przed blaskiem wschodzącego słońca, skinął głową i powiedział: - Si - ale brzmiało to mało entuzjastycznie, jakby to, że się jest człowiekiem, wcale nie było wielkim zaszczytem.

Rozdział 15

Paul musiał przyznać, że długi spacer po piasku jest męczący, nawet jeżeli się idzie w towarzystwie nowych przyjaciół, a na niebie lśni nowa planeta. Radość z postawienia na swoim wbrew majorowi Humphreys'owi i Dowództwu Projektu Księżycowego szybko minęła, a wyczerpujący marsz po plaży wydał mu się bezcelowy i niezwykle przygnębiający.

- Smutno ci, tak? - zapytała łagodnie Rama Joan. - Spaliłeś za sobą mosty i związałeś swój los - i los swojej dziewczyny - z kupą wariatów, którzy idą pogrzebać psa.

Szli na końcu orszaku, daleko w tyle za łóżkiem, które nieśli Clarence Dodd i Wojtowicz. Paul roześmiał się.

- Nie owijasz nic w bawełnę - powiedział. - Margo nie jest jednak moją dziewczyną, kocham ją, ale bez wzajemności. Jesteśmy tylko dobrymi przyjaciółmi.

- Naprawdę? - Rama Joan spojrzała na niego badawczo. - Cafe życie może ci zejść na takiej przyjaźni, Paul.

Paul skinął głową ze smutkiem.

- Wiem, Margo też mi to mówi. Twierdzi, że jestem szczęśliwy, mogąc ją otaczać matczyną opieką i zniechęcać innych mężczyzn. Oczywiście oprócz Dona. Uważa, że moje uczucia wobec niego, nawet jeżeli sam sobie z tego nie zdaję sprawy, są więcej niż braterskie.

Rama Joan wzruszyła ramionami.

- Może ma rację - powiedziała. - Cały ten układ - ty, Margo i Don - rzeczywiście wygląda dość dziwnie.

- Nie, na swój sposób wszystko jest najzupełniej naturalne - zapewnił ją Paul ze smętną satysfakcją. - Chodziliśmy razem do szkoły. Interesowały nas przedmioty ścisłe. Przyjaźniliśmy się. Potem Don skończył studia techniczne i został kosmonautą, ja zająłem się dziennikarstwem i zostałem rzecznikiem prasowym, a Margo zawsze pociągała nauki humanistyczne. Ale postanowiliśmy trzymać się razem, gdy więc Don dostał pracę w Projekcie Księżycowym, nam też udało się tam wkręcić, to znaczy mnie się udało. Wtedy Margo już wiedziała, że bardziej ode mnie lubi Dona, czy też kocha go, cokolwiek to znaczy, i zaręczyli się. No i tak już zostało - może dlatego, że nasze społeczeństwo krzywym okiem patrzy na trójkątne układy. Potem Don poleciał na Księżyc. My zostaliśmy na Ziemi. To wszystko aż do wczoraj, kiedyśmy was spotkali.

- Na pewno musiały w końcu nastąpić wybuch, Paul, taka sytuacja nie mogłaby trwać wiecznie - rzekła Rama Joan. - Powiem ci, skąd ja się tu wzięłam. Mogłabym sobie żyć wygodnie na Manhattanie jako żona kierownika działu reklamy. Anna chodziłaby do ekskluzywnej szkoły, a ja od czasu do czasu wygłaszałabym w klubie kobiet odczyty o mistycyzmie. Zamiast tego jestem

rozwódką i ledwo wiązę koniec z końcem, żyjąc z tego, co mi płacą za wykłady, i z procentów od niewielkiej sumy, którą odziedziczyłam. Noszę te dziwaczne, karnawałowe stroje - z lekceważącym uśmiechem wskazała ręką białą muszkę i frak żeby wzbudzić większe zainteresowanie mistycyzmem. "Męski protest" - żartowali kiedyś moi przyjaciele. "Nie - powiedziałam im - protest ludzki". Chciałam, żeby mi wolno było wyrażać swoje poglądy, żeby mnie nikt w tym nie ograniczał, żeby mogła mówić to, co naprawdę czuję. Chciałam, żeby Anna miała prawdziwą matkę, a nie ładnie ubraną kukłę.

- Czy naprawdę wierzysz w to wszystko, co mówisz? - zapytał Paul. - W buddyzm i tym podobne sprawy?

- Nie tak, jakbym tego pragnęła, ale w takim stopniu, na jaki mnie stać - powiedziała. - Bezgraniczna wiara to luksus. Ale jeżeli mówi się barwnie - i z werwą, przynajmniej nie naśladuje się innych. Nawet jeżeli się trochę udaje, nie ztraca się swojej osobowości. Jeżeli człowiek wciąż się stara, pewnego pięknego dnia może odkryć cząstkę prawdy - tak jak Charlie Fulby, kiedy przyznał się, że o istnieniu wędrownych planet wie tylko intuicyjnie, a nie dlatego, że był w kosmosie, jak dotychczas twierdził.

- To paranoik - odparł Paul, patrząc na Drągała, który szedł za łóżkiem mając po prawej ręce Wandę, a po lewej chudą kobietę. - Kto są te dwie - uczennice, opiekunki? - zapytał.

- Do pewnego stopnia jest paranoikiem - zaczęła wyjaśniać Rama Joan - ale nie sądzisz chyba, Paul, że ludzie normalni mają monopol na prawdę? A te dwie to chyba jego żony. Charlie należy do sekty uznającej wielożeństwo. Och, Paul, pewnie uważasz nas wszystkich za pomyłonych.

- Nie - zaprotestował. - Chociaż czuję się pewniej, mając świadomość, że większość ludzi myśli podobnie jak ja.

- Większość, to znaczy ci, co mają pieniądze i władzę - powiedziała Rama Joan. - No, rozchmurz się - z jednej strony większość, a z drugiej wariaci, ale wszyscy dążą do tego samego: do zaspokojenia podstawowych potrzeb. Wracamy do domku na plaży, bo wiemy, że tam czeka na nas kawa i kanapki.

Na czele pochodu analogiczna rozmowa toczyła się między Hunterem a Margo.

- Zacząłem chodzić na takie sympozja, bo prowadziłem badania socjologiczne - zwierzał się Hunter. - Spotykałem różnych ludzi: zwariowanych wizjonerów, jak Charlie Fulby, ludzi trzeźwo myślących oraz takich jak większość tutaj. Chciałem zbadać pewne zjawisko społeczne i napisać kilka artykułów. Ale po pewnym czasie wciągnąłem się.

- Dlaczego? - zapytała Margo, tuląc do siebie kotkę. Było jej zimno bez kurtki, a Miau grzała ją niczym butlą z gorącą wodą. - Czy zainteresowania te, podobnie jak pańska broda, miały

udowodnić, że jest pan nowoczesny i różni się od innych?

- Proszę mi mówić po imieniu. Nie, nie sędzę, choć niemałą rolę odegrała tu na pewno próżność. - Poglądził ręką brodę. - Po prostu spotkałem ludzi, którzy czymś się pasjonują i robią coś zupełnie bezinteresownie. To niesłychanie rzadkie w naszym materialistycznym, egoistycznym świecie, w którym liczą się tylko pieniądze i pozycja. Związałem się tak bardzo, że chciałem wnieść swój wkład - jakieś odczyty, dyskusje. Teraz podchodzę do tego z równym zapalem, co Brecht, który haruje sprzedając fortepiany - doszedł w tym do perfekcji - aby móc poświęcać resztę czasu na latające talerze, szachy i kobiety.

- Brecht jest kawalerem, a ty, zdaje się, mówiłeś, że masz rodzinę? - przypomniała mu nieco ironicznie dziewczyna.

- Tak - przyznał z pewną niechęcią. - W Portland została pani Hunter i dwóch chłopców, którzy są zdania, że tatuś stanowczo za dużo czasu spędza wśród fanatyków latających talerzy, bo pisze mało artykułów - i zaniedbuje swoją karierę naukową.

Chciał dodać: Teraz pewno jeszcze nie śpią i pytają, dlaczego tatusia nie ma w domu, kiedy niebo się przeobraziło, a latające talerze przestały być fikcją - ale spostrzegł, że doszli do zabitego deskami domku plażowego. Zobaczył wciąż palącą się zieloną lampę, obok niej stołek z niewielkim plikiem programów, puste krzesła ustawione w rzędy, porozsuwane na przedzie (czy Dodd kiedykolwiek odbierze pieniądze, które dali w zastaw, pożyczając te krzesła w zakładzie pogrzebowym prowadzonym przez Polaków w Oxnard?); zobaczył również płaszcz, który ktoś zapomniał zabrać, podłużny stół, przy którym siedzieli prelegenci, a pod nim tekturowe pudła, porzucone w ogólnym pośpiechu. Nie opodał, wetknięty głęboko w piasek, stał złożony parasol, który służył za część prymitywnego astrolabium, kiedy Brecht po raz pierwszy badał ruch Wędrowca.

Widząc to wszystko na tle nakrapianego fioletowozłotymi światełkami spokojnego Pacyfiku, Hunter poczuł niespodziewany przyływ radości i ulgi, zdał sobie nagle sprawę, dlaczego, zmuszeni do wędrówki przez lawinę i odpędzeni od bramy przez majora-służbistę, wrócili na to miejsce.

Po prostu miejsce to było dla nich domem - tu siedzieli razem, tu byli świadkami zmian, jakie zaszły na niebie; każdy czuł w głębi ducha, że, być może, jest to jego ostatni dom.

Wanda, chuda kobieta i Harry McHeath wolno ruszyli do pudeł pod stołem.

Wojtowicz i Dodd postawili łóżko z Ragnarokiem, na wpół przykrytym kurtką Margo.

Wojtowicz rozejrzał się, a potem, wskazując na parasol, powiedział stanowczo:

- To chyba najodpowiedniejsze miejsce, jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu? - skierował pytanie do Brechta, który całą drogę z Vandenbergu 2 szedł w milczeniu obok Dodda.

- Nie, to dla mnie zaszczyt - odparł tamten chrapliwie.

Przynieśli tu łóżko i Brecht wyciągnął z piasku parasol. Spod materaca Wojtowicz wyjął łopatę i zaczął kopać.

- Nic dziwnego, że mnie przez całą drogę coś kłuło! - krzyknęła z tarasu Wanda na widok łopaty.

Wojtowicz przerwał kopanie.

- Powinna być pani wdzięczna - zawołał do niej - za darmową jazdę, kiedy myślała pani, że ma atak serca!

- Dobrze wiem, kiedy mam atak serca! - odparła ze złością. - I dobrze wiem, kiedy mi mija!

- A niech tam pani będzie! - rzucił przez ramię Wojtowicz i mój zabrał się do kopania.

Piach skrzypiał cicho pod łopatą. Chuda kobieta i McHeath ocierali kubki z piasku i ustawiali je na stole. Pozostali patrzyli na Księżyc wyłaniający się zza Wędrowca, który, lekko przechylając się na bok, opadał nad oceanem.

Luna przybrała kształt przygniecionego stożka. Na jej tarczy zamiast gładkich konturów "mórz" widać było ledwo dostrzegalne linie, które chwilami odbijały kolorowe światło Wędrowca. Widok był odrażający, przywodził na myśl siatkę z jajkami pająka.

Poród kleszczowy - pomyślał Drągal. - Biała Dziewica zapłodniona przez Ispana odradza się - i wciąż w mękach musi się odradzać. Nie przyszło mi to do głowy.

Żałuję, że nazwałam ją dziwką... - pomyślała Margo.

- Jej narzeczony jest na Księżycu, prawda? - szepnęła Rama Joan do Paula. - Teraz więc może być twoją dziewczyną.

Wojtowicz wyprostował się.

- Głębiej już nie można - powiedział ochryplym głosem do Dodda - bo się dokopię do wody.

Podeszli do łóżka. Dodd odpiął smycz od ciężkiej, grubej obroży i patrząc na Margo, zdjął kurtkę okrywającą psa. Dziewczyna potrząsnęła głową i Dodd, uśmiechając się smutno, znów przykrył nią psa. Razem z Wojtowiczem i Brechtem zsunął owiniętego w kurtkę Ragnaroka do płytkiego grobu. Kotka leżąca w ramionach Margo podniosła główkę i spojrzała z zaciekawieniem.

Zawieszony nad Pacyfikiem Wędrowiec wyglądał tak, jakby przywdział świąteczne szaty. W przeciwieństwie do zniekształconego Księżycy stanowił idealną kulę. Żółta płaszczyzna po zachodniej stronie planety znikła z pola widzenia i na tarczy zostały tylko trzy żółte plamy. Najbardziej jednak rzucała się w oczy głowa fioletowej bestii z rozdziawionym pyskiem, która powstała, gdy dwa wschodnie ramiona fioletowego krzyża rozszerzyły się po obu stronach wielkiej żółtej plamy.

Wilk Fenris - pomyślał McHeath. - Teraz, kiedy "Księżyc jest przed rozwartym pyskiem, Wędrowiec naprawdę wygląda, jakby pożerał Księżyc.

- To mi przypomina wielkiego psa, który chce kogoś chapnąć - powiedziała zamyślona Anna. - Mamusiu, czy bogowie umieścili na nim Ragnaroka, tak jak umieszczali na gwiazdach greckich herosów i nimfy?

- Chyba tak, kochanie - odparła Rama Joan.

Dodd odruchowo wyciągnął notes i pióro i ze smutkiem spojrzał na czystą kartkę. Margo podała Paulowi kotkę, sama zaś wyjęła notes i pióro z rąk Dodda i zrobiła szkic Wędrowca, podobny do tych, jakie Dodd sam rysował.

Wąż pożera jajo - pomyślał Drągal. - A może to drogi, które się rozwidlają?

Wojtowicz pośpiesznie zasypał grób, najpierw suchym, potem mokrym piaskiem. Brecht wyjął Doddów i z rąk smycz, ciasno oplótł nią rączkę złożonego parasola i spał na górze. Kiedy Wojtowicz przyklepał piasek łopata i odsunął się, Brecht wetknął parasol głęboko w środek grobu.

- Tak, Dodd - powiedział, obejmując ramieniem niskiego mężczyznę. - Oznaczyłem grób. Ragnarok ma teraz coś w rodzaju kaduceusza.

Z podium dobiegło ich wołanie chudej kobiety:

- Chodźcie na kawę! Bo wystygnie!

Don Merriam znów znalazł się w ciemnościach. Tym razem Księżyc, mijając Wędrowca, odciał Babie Jadze źródło światła. Malutki statek kosmiczny krążył między dwoma ciałami niebieskimi. Leciał prędzej niż Księżyc, ale go jeszcze nie prześcignął.

Słońce, które przez pewien czas wpadało do kabiny, nagrzało jej wnętrze, ale zanim upał stał się nie do zniesienia, Księżyc wsunął się między Babę Jagę a Sionce. W kabinie jednak było jaśniej niż wtedy, gdy Księżyc zasłonił statek po raz pierwszy - tu i ówdzie przedzierał się odbity przez Słońce fioletowozłocisty blask Wędrowca. Blask ten pozwalał ujrzeć nieustannie wrzące skały na powierzchni Księżyca - wyglądało to jak burza na morzu, oglądana z samolotu w gwieździstą noc.

Znajdując się 2560 kilometrów nad Wędrowcem - sprawdził to za pomocą radaru - kosmonauta dostrzegł tylko jedną piątą planety. Przelatując nad jej powierzchnią, różnie nazywaną na Ziemi: x-em, wyszczerbioną tarczą, kotem, krzyżem Świętego Andrzeja i mandalą, widział jedynie żółtą plamę po zachodniej stronie i brzeg fioletu; żółta plama na wschodzie i plamy na biegunach były poza zasięgiem jego wzroku.

Obserwując, jak żółta plama wyłania się z nocnej strony Wędrowca i przesuwana na dzienną, Don upewnił się, że Wędrowiec obraca się i że jego dwa szczyty to istotnie bieguny, a oś jest mniej

więcej równoległa do osi Ziemi. Mierząc prędkość, z jaką ukazuje się żółta plama, obliczył, że pełny obrót Wędrowca trwa sześć godzin - czyli "dzień" na Wędrowcu równa się jednej czwartej dnia ziemskiego. Ponieważ zaś Wędrowiec obracał się w tym samym kierunku, co Baba Jaga i Księżyc, tyle że trzy razy wolniej, kolejne punkty odniesienia na jego powierzchni szybko zostały w tyle.

Zielone świetliste plamy na nocnej stronie Wędrowca znikwały, gdy planeta przechodziła na stronę dzienną - może były jakąś fosforescencją widoczną tylko w ciemnościach. Również, jak sobie przypomniał, na nocnej stronie nie sposób było odróżnić od siebie fioletowych i żółtych plam - a więc zapewne potrzebne było do tego światło słoneczne.

Ponad połowę olbrzymiej żółtej plamy zajmował czarny cień Księżyca, który miał niewątpliwie kształt wydłużającej się elipsy. Przyglądając mu się bacznie, Don zauważył, że blade jasnozielone światła ukazują się stopniowo na bliższej krawędzi cienia - najwyraźniej zielone światła, niewidoczne w świetle słonecznym, przesuwają się wraz z planetą.

Nagle zdał sobie sprawę, jak niesamowita i dziwna jest sytuacja, w której się znajduje - że on sam jest jak muszka zawieszona między czarną śliwką a różowym grejpfrutem, pędząca wraz z nimi przez kosmos.

Wyobraził sobie, że znów jest małym chłopcem. Jest wieczór i mrok zagląda do okna w Minnesocie, a on. Don, opowiada w kuchni matce: Wiesz, mamó, znalazłem w lesie wielką, czarną dziurę. Jestem pewien, że przechodzi aż na drugą stronę Ziemi, bo na dnie widziałem migocącą gwiazdę. Przestraszyłem się i... wiem, że mi nie uwierzysz, mamó, ale biegnąc do domu, ujrzałem za stodołą wielką żółtofioletową planetę.

Otrząsnął się z tych wspomnień. Bez względu na to, jak niesamowita jest sytuacja, z pewnością wydałaby mu się jeszcze dziwniejsza, gdyby przez miesiąc nie przebywał na Księżycu, a później nie przedzierał się przez niego statkiem.

Jego uwagę przyciągnęły białe nici wysuwające się z nosa Księżyca. Skierował statek tak, żeby mieć je przed oczami: wiły się między gwiazdami, najpierw się rozchodząc, potem schodząc, aż wreszcie zniknęły za fioletowym brzegiem Wędrowca.

Jeżeli nici łączą Księżyc z Wędrowcem, logiczne jest, że muszą łączyć go z biegunem planety. Gdyby były połączone z jakimś punktem na równiku, rozciągnęłyby się i pękły, albo - ponieważ Księżyc porusza się trzy razy prędzej, niż się obraca planeta - opłotłyby Wędrowca.

Połączyłyby! Opłotłyby! - przyłapał się na tym, że myśli o nich jak o prawdziwych niciach, jak gdyby dwa ciała niebieskie, Księżyc i Wędrowiec, były bombkami na choince.

Ale w takim razie czym są te nici?

Śledząc je wzrokiem, spojrział tam, gdzie zbiegały się z Księżycem. Baba Jaga wyprzedziła

Księżyc, ale wciąż znajdowała się w jego cieniu, razem z nim bowiem zachodziła teraz za Wędrowca. Czarna linia nocy, którą Don po raz pierwszy ujrzał przez otchłań Księżyca, była już w polu widzenia, odcinając sobą fioletowy brzeg horyzontu.

A więc nos Księżyca znajduje się w mroku, a jego miedziana powierzchnia burzy się. Kosmonauta sięgnął do półki po silną lornetkę i nastawił ostrość.

Na wzburzonym nosie Księżyca dostrzegł kilka głębokich szybów, których wnętrza obracały się szybko w kierunku wskazówek zegara. Sprawiały wrażenie wirów w pękającej skale.

Lśniące, białe nici, które w cieniu Księżyca nabierały barwy mosiądzu, wpadały do szybów i wirowały z tą samą prędkością, co ich ściany, zataczając na dnie maleńkie koła. Przy wirujących ośrodkach nici były nieco grubsze. Przypominały trąbę morską lub tornado.

Przy każdym szybie były trzy albo cztery jaskrawofioletowe lub cytrynowe kropki. Don widział już takie kropki na niciach. Przyszło mu na myśl, że najpewniej są to duże siatki kosmiczne z Wędrowca, które wytwarzają pola grawitacyjne.

Wniosek, jaki można było wyciągnąć patrząc na wirujące szyby i wpadające w nie nici, był prosty: materia księżycowa w postaci pyłu, żwiru, a nawet większych kamieni jest w jakiś sposób wysysana i niesiona w kierunku północnego bieguna Wędrowca.

Arab, Pepe i Duży stali nad brzegiem rzeki Hudson paląc wspólnego skręta, gotowi w każdej chwili wrzucić go do brudnej, pokrytej warstwą smaru wody, gdyby ktoś nadszedł niespodziewanie.

Ale nikt nie nadchodził. W mieście panowała wyjątkowa cisza nawet jak na szóstą rano. Duży rzucił byle gdzie niedopałek, Arab zapalił nowego skręta i znów wszyscy trzej zaczęli się zaciągać słodkim dymem.

Kiedy skręcili na północ za gmachy generała Granta, przeszli pod Henry Hudson Parkway i doszli nad rzekę, doznali wielkiego zawodu. Patrząc na zachód, widzieli szare niebo, dalekie falochrony, Edgewater i południowe zbocza Palisades. Poza tym nic więcej.

- Znikła gdzieś - stwierdził Duży. - Może już nawet zaszła.

Roześmiał się i skierował spojrzenie na południe, w stronę grobu generała Granta.

- Jak myślisz, generale? - zapytał Araba.

- Rzeka wezbrała, admirale - odparł Arab i marszcząc czoło zapalił trzeciego skręta.

- Chyba tak - przyznał mu rację Duży. - Patrzcie, woda zalewa dok!

- To nie dok - powiedział pogardliwie Arab. - To zatopiona barka.

- Zwariowałeś!

- Wiem, gdzie znikła! - krzyknął nagle Pepe. - Ta wielka fioletowa kula to połączenie

balona z łodzią podwodną. Zaburzyła się. I dlatego woda wezbrała. Bo ona jest na dnie i świeci w głębinach.

Arab i Duży zadrżeli z podniecenia na myśl o dziwnym zjawisku, Pepe natomiast złapał się za głowę i krzyknął:

- Nie! Czekać, to nie tak. To zamrożony wybuch atomowy. Najpierw robią wybuch, a potem zamrażają kulę ognistą. Płyne sobie taka kula najpierw w powietrzu, potem w wodzie, a kiedy się roztopi - bum! miasto wylatuje w powietrze! Patrzcie!

Po przeciwnej stronie rzeki na poziomie wody czerwone słońce odbijało się nisko w oknach budynków. Trzej bracia-narkomani uwierzyli naraz w wymyśloną przez siebie bombę atomową i wpadli w panikę - ogarnął ich nagły lęk, przed którym żaden narkoman nie potrafi się opędzić.

- Uciekajmy! - zawołał stłumionym głosem Arab.

Zawrócili i puścili się pędem w stronę Harlemu.

Jake wydał pogardliwie wargi, spoglądając na rzednący tłum. Wraz z zejściem Wędrowca i stopniowym nastaniem szarego świtu, na Times Square minęło ogólne podniecenie. Na Manhattanie gruzy spowodowane przez trzęsienie ziemi przypominały rumowisko po rozbiórce domu.

Prawie z niedowierzaniem, jakby to wszystko było przedstawieniem teatralnym, przypomniał sobie piosenkę Sally i tupot roztańczonego tłumu oświetlonego fioletowobursztynowym blaskiem potężnego reflektora na niebie. Uśmiechnął się, otworzył szeroko oczy, ale nie patrzył przed siebie - w jego wyobraźni rodził się pewien pomysł, pomysł zbliżony do snu, bo dla Jake'a sen i wyobraźnia były to pojęcia niemal równorzędne.

Sally nagle podeszła z tyłu i wsunęła mu rękę pod ramię. Przytulając się do niego, szepnęła do ucha:

- Uciekajmy, zanim ta sfora znów mnie dopadnie. To tylko cztery przecznice stąd.

- Przestraszyłaś mnie, Sal - powiedział niezadowolony. - Właśnie wpadłem na pomysł, jak zarobić kupę forsy. Dokąd mamy iść?

- Niedawno mówiłeś, że nic cię nie jest w stanie przestraszyć. Ha! Zabieram cię na śniadanie do mieszkania Hasseltinea - ja i mój mały klucz. Po tym trzęsieniu ziemi im będę wyżej, tym bardziej będę czuła się bezpieczna.

- Dłużej będziesz spadać - zauważył Jake.

- Tak, ale na mnie przynajmniej nic nie spadnie. Chodź, z pełnym żołądkiem ma się lepsze pomysły.

Wysoko na niebie ukazał się różowawy blask.

Rozdział 16

Brecht chrząknął zadowolony.

- Chętnie bym zjadł jeszcze jedną kanapkę - powiedział.

- Myśleliśmy, że lepiej będzie coś zostawić na później - rzekła przepraszająco chuda kobieta, siedząca przy drugim końcu długiego stołu.

- To był mój pomysł - przyznał się nieśmiało Harry McHeath.

- W porządku - odparł Brecht. - Wprost z "Robinsona Szwajcarskiego". Może ma ktoś ochotę na whisky?

Z kieszeni płaszcza wyjął ćwierćlitrowkę. Wanda prychnęła pogardliwie.

- Może się nam później przydać, Rudolfie - szepnął Hunter.

Brecht westchnął i schował butelkę.

- Pewnie Komisja Bezpieczeństwa Publicznego wydała również zakaz wypicia drugiej filiżanki kawy? - ryknął.

Harry potrząsnął nerwowo głową i pośpiesznie nalał kawy Brechtowi oraz innym chętnym.

- Rudolfie - odezwała się Rama Joan. - Zastanawiałeś się przedtem, skąd się wzięły barwy na Wędrowcu.

Anna, owinięta płaszczem, który ktoś zostawił, leżała na dwóch krzesłach z głową opartą o kolana matki. Rama Joan patrzyła na Wędrowca. Teraz fiolet otaczał żółtą płaszczyznę po wschodniej stronie, co psuło złudzenie rozdziawionego pyska. Dwie żółte plamy na biegunach zmniejszyły się, powoli znikając z pola widzenia. Planeta sprawiała wrażenie fioletowej tarczy strzelniczej z wielkim żółtym środkiem. Tymczasem pokryty siatką pęknięć Księżyc, który miał teraz wyraźny kształt rombu, doszedł już niemal do zachodniej krawędzi Wędrowca, kończąc swoje drugie okrążenie.

- Nie wydaje mi się, żeby barwy były naturalną cechą Wędrowca. Sądzę, że to... coś w rodzaju dekoracji - powiedziała Rama Joan i na chwilę urwała. - Jeżeli istoty na Wędrowcu potrafiły sprawić, żeby ich planeta przedostała się przez nadprzestrzeń, na pewno potrafią również ozdobić ją tak, aby według nich była atrakcyjna i oryginalna. Jaskiniowcy nie malowali swoich domów od zewnątrz, a my malujemy.

- To mi się nawet podoba - rzekł Brecht i aż cmoknął wargami. - Dwubarwna planeta. Niech nam zazdroszczą sąsiedzi z najbliższej galaktyki.

Wojtowicz i Harry McHeath roześmieli się niepewnie.

Powoli zaczynają doceniać piękno Ispana - pomyślał Drągal.

- Gdybyśmy doszli do takiego stopnia cywilizacji - powiedział Hunter głosem niskim,

łamiącym się z napięcia - nie sędzę, abyśmy w tym celu używali naturalnych planet. Projektowalibyśmy je i budowali od nowa. Rany, to czyste szaleństwo - dokończył szybko.

- Nieprawda - zaproponował Brecht. - Lepiej byłoby skorzystać z objętości gotowej planety, zapłacić jej wnętrze magazynami, sypialniami, generatorami. Oczywiście potrzebne byłyby gigantyczne dźwigary i wsporniki...

- Tylko wówczas, gdyby nie było antygravitacji - wtrąciła Rama Joan.

- O rany - westchnął Wojtowicz.

- Ale jesteś mądra, mamusiu - rzekła sennym głosem Anna.

- Gdyby się anulowało grawitację obracającej się planety - zauważył Hunter - trzeba by ją było bardzo solidnie skonstruować, w przeciwnym razie siły odśrodkowe rozdarłyby ją na części.

- Mylisz się - stwierdził Brecht. - Masa i pęd przestałyby istnieć.

Paul chrząknął. Siedział obok Margo. Zdjął płaszcz i przykrył nim dziewczynę. Chętnie by ją objął, choćby tylko po to, żeby samemu się trochę ogrzać, ale jakoś nie mógł się na to zdobyć.

- Gdyby rzeczywiście mieli tak rozwiniętą cywilizację, staraliby się chyba nie wyrządzać szkód i nie zakłócać biegu życia na innych zamieszkałych planetach? - zapytał Paul, po czym dodał niepewnie: - Mówię tak, jakby istniała szlachetna federacja galaktyczna czy jak ją nazwać...

- Kosmiczne ONZ - zauważył z przekąsem Brecht.

- Tak, młody człowieku. Masz zupełną rację - powiedziała stanowczo Wanda, a chuda kobieta sznurując usta skinęła głową. - Naszym podstawowym obowiązkiem jest troska i dbałość o wszelkie formy życia.

- A czy firma General Motors również uważa to za swój podstawowy obowiązek? - zapytał Hunter. - A generał Mao?

Rama Joan uśmiechnęła się drwiąco i zwróciła się do Paula:

- Kiedy jedziesz samochodem, czy stosujesz jakieś specjalne środki ostrożności, żeby nie przejechać kota albo psa? - zapytała. - Czy każde mrowisko w twoim ogródku jest oznakowane?

- Wciąż uważasz, że tam są diabły, co? - spytał Brecht.

Rama Joan wzruszyła ramionami.

- Diabłem może być każdy, kto uparcie dąży do celu, który koliduje z celem obranym przez nas.

- Więc kraksa samochodowa to już zło?

- Może. Ale pamiętaj, że są kierowcy nieostrożni, są nawet tacy, co ryzykowną jazdą starają się wyrazić swoją osobowość.

- Nawet jeżeli tym pojazdem jest planeta? - zapytał Paul.

Rama Joan skinęła głową.

- Hm. Ja tam własnym nagim ciałem wyrażam swoją osobowość - oświadczył Brecht i uśmiechnął się szelmowsko.

Margo, obejmując Miau, która spała na jej kolanach, wtrąciła ostro:

- Kiedy ja prowadzę, widzę każdego kota, choćby był trzy przecznice dalej. Kot to też człowiek. Dlatego bez Miau za nic bym nie weszła do Vandenbergu Dwa, nawet gdyby nas potraktowano bardziej przyzwoicie.

- Ale czy człowiek jest zawsze człowiekiem? - zapytał ją z uśmiechem Hunter.

- Nie jestem tego pewna - przyznała się, marszcząc nos.

Wanda znów prychnęła.

- Mam nadzieję - wtrąciła niewinnie Rama Joan - że kiedy sprawy przybiorą, no... gorszy obrót, też nie będziesz żałowała, że odrzuciłaś propozycję majora i zostałam z nami. Mogłaś skorzystać z okazji.

Nagle Wojtowicz zerwał się na nogi.

- Spójrzcie! - krzyknął. Wskazał ręką migocące na plaży światła reflektorów. Usłyszeli coraz głośniejszy warkot silnika.

- Paul, chyba major Humphreys zmienił zdanie i przysłał kogoś po ciebie - powiedział Hunter.

- Nie, nadjeżdża z przeciwnej strony - rzekł Brecht.

- Tak, ktoś tu jedzie od strony szosy. Pewnie objechał osypisko - dodał Wojtowicz.

Światło reflektorów zatoczyło łuk, na chwilę zgasło, potem znów rozbłysło. Oślepieni blaskiem nie mogli dojrzeć samochodu, mimo że był już świt.

- Ktokolwiek to jest, ugrzęźnie w piasku - stwierdziła Margo.

- Jeżeli będzie jechać z taką prędkością, to nie ugrzęźnie - rzekł Wojtowicz.

Samochód jechał wprost na nich, jakby się miał roztrzaskać o taras, jednakże piętnaście metrów przed domkiem zatrzymał się. Światła reflektorów zgasły.

- To furgonetka Hixonów! - krzyknął Clarence Dodd.

- Oto i pani Hixon - powiedział Brecht, widząc, jak niewyraźnie zarysowana sylwetka w szarych spodniach i swetrze wyskakuje z furgonetki i biegnie w ich stronę.

Wojtowicz, Hunter i McHeath ruszyli ku niej.

- Pomóżcie Billowi zaopiekować się Rayem Hanksem. Ray złamał nogę - powiedziała mijając ich pani Hixon i weszła na taras.

Jeszcze kilka godzin temu pani Hixon była zadbaną, elegancką kobietą, teraz ręce i twarz miała brudne, spodnie i sweter umazane błotem, włosy zwisały w strąkach, usta były szeroko otwarte, oczy wytrzeszczone. Z podbródka spływała jej krew. Kiedy przystanęła, widać było, że

cała drży.

- Szosa jest zablokowana z obydwu stron - oznajmiła, łapiąc oddech. - Zgubiliśmy pozostałych. Wydaje mi się, że nie żyją. Chyba cały świat się zawalił. O Boże. Macie coś do picia?

- No i wykrakałeś - zwrócił się Brecht do Huntera Wyciągnął butelkę whisky, do pustej filiżanki po kawie nalał sporą porcję i sięgnął po wodę, żeby rozcieńczyć alkohol. Nie zdążył jednak, bo pani Hixon, wciąż dygocąc, chwyciła filiżankę, poróżniła ją do dna i niema! natychmiast wzdrygnęła się i niesmakiem. Brecht objął ją mocno ramieniem.

- A teraz proszę nam wszystko szczegółowo opowiedzieć - poprosił. - Od samego początku.

- Odkopaliśmy trzy wozy. Rivisa, nasz i mikrobus Wentcherów. Inne były za głęboko w ziemi, ale do tych trzech zmieściliśmy się z łatwością. W furgonetce Jechałam tylko ja, Bili i Ray. Kiedy dojechalśmy do szosy, okazało się, że jest zupełnie pusta. To powinno było nas ostrzec, ale wtedy ucieszyliśmy się. Boże! Ravis skręcił na północ. My jechaliśmy do Los Angeles za mikrobusem. Mimo zakłóceń zdołaliśmy złapać dwie stacje. Ale słychać było tylko pojedyncze słowa. Coś o dużym trzęsieniu ziemi w Los Angeles i jakieś rady: zgasić światło, zakręcić wodę i tym podobne. Wciąż musieliśmy objeżdżać osypiska i głazy. Nadal nie widać było żadnych samochodów. Mikrobus był daleko na przedzie. Przy szosie, którą jechaliśmy, nie było plaży, jedynie urwisko i morze.

Nagle szosa zaczęła falować - mówiła dalej. - Ot tak bez żadnego ostrzeżenia. Wóz kołysał się jak statek. Drzwi się otworzyły i Ray wypadł. Ja uchwyciłam się Billa. Bill siedział wgnieciony w oparcie i hamował. Skąły zaczęły się osuwać. Olbrzymi głaz zwalił się przed nami i ściął trzymetrowy kawał szosy. Pamiętam, że przygryzłam sobie język. Billowi jakoś udało się zatrzymać wóz. Szosa przestała się kołysać. Krztusiłam się od kurzu, kiedy nagle przez chmurę pyłu chlusnęła na nas woda: głaz wpadł do morza. Czułam w ustach sól, krew i kurz. Miałam wrażenie, że mózg wyskoczy mi z czaszki.

Po chwili wszystko ucichło. Szosa przed nami była zatarasowana, gruzy sięgały zderzaków. Nie wiem, czy udałoby się nam wspiąć na osypisko i przedostać na drugą stronę, ale taki mieliśmy zamiar, bo nie wiedzieliśmy, co z mikrobusem, czy zasypało go, czy odjechał, i wtedy ziemia znów się zatrzęsała. Spadający głaz omal mnie nie trafił. Następny potoczył się z hukiem. Bili kazał mi wrócić do samochodu, sam ruszył pieszo przez nowe osypisko, mówiąc, jak mam wycofać wóz, żeby objechać wszystkie głazy, skały i wyrwy. Kaszał wciąż i przeklinał nową planetę.

Ktoś inny również miotał przekleństwami... na nas! Był to Ray. Zapomnieliśmy o nim. Nogę miał złamaną powyżej kolana, ale ułożyliśmy go na plandecy i przenieśliśmy do wozu. Ja zostałam z tyłu przy nim. Bill usiadł przy kierownicy i ruszyliśmy z powrotem.

Osypiska były tu większe, ale udało się nam przejechać. Mieliśmy nadzieję, że spotkamy

inne samochody, ale nikt nie nadjeżdżał. Bili zatrzymał się przy budce telefonicznej na szosie, ale aparat nie działał i światło w budce zgasło akurat wtedy, gdy starał się uzyskać sygnał. W radiu były same trzaski. Słyszeć było tylko jedno słowo: pożar! Ray i ja wciąż krzyczeliśmy na Billa, żeby jechał wolniej lub prędzej.

Minęliśmy drogę prowadzącą tutaj, ale czterysta metrów dalej szosa była znów zatarasowana skałami. Nie było widać żywej duszy, żadnego światła oprócz tego okropieństwa na niebie. Wróciliśmy. Nie mieliśmy innego wyjścia.

Oddychała ciężko.

- W jakim stanie jest droga przez góry Santa Monica? - zapytał Brecht. - Chodzi mi o autostradę - dodał. - Droga? - pani Hixon spojrzała na niego z niedowierzaniem, a potem zaczęła się śmiać, a jednocześnie szlochać. - Idioto, kretynie, te góry bulgotały jak gulasz!

Wciąż śmiała się historycznie. Brecht zatkał jej usta ręką. Przez chwilę usiłowała się wyrwać, potem głowa opadła jej bezsilnie. Wanda i chuda kobieta zaprowadziły panią Hixon na drugi koniec tarasu. Rama Joan poszła za nimi, ale przedtem poprosiła Margo, żeby usiadła na jej miejscu, aby Anna, która cicho jak myszka przyglądała się wszystkiemu, mogła oprzeć jej głowę na kolanach.

Paul zwrócił się do Brechta:

- Zastanawiam się, dlaczego inne samochody nie utknęły na tym odcinku? Aż dziwne.

- Pewnie się szybko stamtąd wydostały po pierwszych, mniejszych wstrząsach - odparł Brecht. - Wstrząsy na pewno zmusiły wszystkich kierowców, zamierzających tamtędy przejechać, żeby zawrócili. Ale mimo to niektórzy musieli przedostać się przez góry.

- Hej, wy tam, przynieście tu łóżko! - krzyknął Hunter. - Wyniesiemy Raya z furgonetki, a potem pojedziemy do samochodów.

Arab, Pepe i Duży, zdyszani i drżący po szaleńczym biegu obok ponurych gmachów generała Granta, odetchnęli z ulgą, kiedy spostrzegli, że są już w pobliżu murzyńskolatynoskiej dzielnicy, i zataczając się ze zmęczenia wolno ruszyli Sto Dwudziestą Piątą Ulicą, kierując się na wschód.

Chodniki, zatłoczone nie dalej niż dwie godziny temu, były teraz puste. Jedyne porozrzucane, zgniecione plastikowe kubki, papierowe torby, puste butelki po napojach orzeźwiających i butelki po alkoholu świadczyły o niedawnej obecności tłumu. Na ulicy nie było żadnego ruchu kołowego, gdzieniegdzie jednak stały byle jak zaparkowane wozy - silniki dwóch jeszcze pracowały, a z rur wydechowych buchały kłęby niebieskiego dymu.

Patrząc na wschód, trzech bracia-narkomani musieli mrużyć oczy przed blaskiem słońca, ale

jak się już zorientowali, długa ulica prowadząca do serca Harlemu była zupełnie wyludniona.

Z początku poza stukotem ich nóg i warczącymi silnikami samochodów słychać było jedynie grobowe dźwięki wydawane przez niewidzialne aparaty radiowe. Sądząc z tonu były to niesłychanie ważne wiadomości, ale z powodu trzasków i zakłóceń słowa były nieuchwytnie - zagłuszało je ponadto alarmowe, dalekie nawoływanie syren i trąbek.

- Gdzie się wszyscy podzieli? - zapytał szeptem Duży.

- To atak atomowy - stwierdził Pepe. - Rosjanie poszli na całego. Wszyscy pochowali się w piwnicach. Chodźmy do domu. - A potem głosem znów przypominającym wycie wilka, krzyknął: - Kula ognista wychodzi z wody!

- Nie - zaproponował cicho Arab. - Kiedy byliśmy nad rzeką, nastąpił sąd ostateczny. Stary kaznodzieja miał rację. Wszystkich porwano - biedacy nie zdążyli nawet wyłączyć silników i zgasić radia. Tylko myśmy zostali!

Wzięli się za ręce i na palcach, żeby nie czynić najmniejszego hałasu, przerażeni poszli dalej.

Sally i Jake bezszelestnie wysiedli z małej aluminiowej windy, którą przejechali ostatnie trzy piętra. Stali w półmroku, a wpadające przez okno promienie Wędrowca oświetlały ogromny fortepian. Nogi zapadały im się w gruby dywan na gąbce.

- Jest tu kto? - zawołała cicho Sally.

Drzwi windy z lekkim sykiem zaczęły się zasuwac, ale Sally przytrzymała je i unieruchomiła małym stolikiem ze srebrnym blatem.

- Co robisz? - zapytał Jake.

- Nie wiem - odpowiedziała. - Usłyszymy dzwonek, jeżeli ktoś inny będzie chciał tu wejść.

- Poczekaj chwilę. Jesteś pewna, że Hasseltinea nie ma?

Sally wzruszyła ramionami.

- Rozejrzę się, a ty zobacz tymczasem, co jest w lodówce. Tylko trzymaj łapy z dala od srebrnych sztućców. Pewnie ci już kiszki marsza grają?

Niczym mysz, która przyprowadziła drugą na ucztę, dziewczyna zaprowadziła chłopca do kuchni.

W malutkiej piwiarni w Severn, koło Portishead, do której udał się po dwugodzinnej drzemce, żeby nadrobić zaległości w picciu - bo nie pił przez cały ranek - Dai Davies ze złośliwą uciechą słuchał napływających przez radio dziwnych relacji o Wędrowcu. Od czasu do czasu barwnie je komentował, dodając własne spostrzeżenia, żeby rozweselić kompanów od kieliszka,

którzy jednak nie doceniali jego wysiłków.

- Fioletowa, z odcieniem przydymionego bursztynu, co?! - krzyczał na cały głos. - To wielka reklama amerykańska pisana ręką gwiazd, tak, chłopaki, reklama soku z winogron i piwa bezalkoholowego.

A po pewnym czasie wołał:

- To święty superbalon, moi mili, przysłany przez Rosjan. Wybuchnie nad Chicago, bo tam panoszy się bezprawie, i zasypie samo serce Ameryki ulotkami z najświętszym Manifestem Marksa!

Wiadomości - z drugiej strony Atlantyku nadchodziły drogą telegraficzną, jak oświadczył ironiczny głos w radiu, gdyż niezwykle silne burze magnetyczne na zachodzie spowodowały zakłócenia w odbiorze fal radiowych.

Dai żałował bardzo, że Richard Hillary wyjechał - te niebotyczne bzdury doprowadziłyby do szału takiego człowieka jak on, który nie cierpi lotów kosmicznych i literatury fantastycznonaukowej; poza tym Hillary lepiej by się poznał na wyszukanym dowcipie walijskiego poety niż posępni mieszkańcy Somerset.

Gdy jednak po wypiciu dwóch następnych kieliszków usłyszał w sprawozdaniach wzmianki o popękany i przechwyconym Księżycu - spiker mówił coraz bardziej ironicznym tonem, ale teraz w jego głosie czuło się zdenerwowanie, niemal histerię - Dai stracił humor, zaprzestał dowcipnych komentarzy i krzyknął gniewnie:

- Co, te łajdaki, Amerykanie chcą ukraść nasz kochany Księżyc?! Nie wiedzą, że Mona należy do Walii? Jeżeli tylko zrobili jej coś złego, popłyniemy do nich i rozwalimy im cały ten ich Manhattan!

Odezwało się kilka głosów:

- Zamknij się, pijaczyno, chcemy posłuchać!

- Do diabła z tym walijskim gadułą!

- To pewnie bolszewik!

- Więcej nie dostaniesz, jesteś pijany!

Te ostatnie słowa wyrzekł właściciel piwiarni.

- Tchórze! - zawołał na cały głos Doi, złapał kufel i zaczął wymachiwać nim niczym kastetem. - Jak nie przyłączycie się do mnie, to was wszystkich zleję!

Drzwi się otworzyły i na tle lekkiej mgły stanęła upiorna postać, przypominająca stracha na wróble, ubrana w kombinezon i nieprzemakalny kapelusz z szerokim rondem.

- Podają coś w radiu czy telewizji! o pływach? - zapytał upiór. - Jeszcze dwie godziny do odpływu, a woda w Kanale opada gwałtownie. Nie widziałem czegoś takiego nawet podczas

równonocnych pływów, kiedy wieje wschodni wiatr. Sami się przekonajcie. Jeśli tak dalej pójdzie, w południe wyschnie mokradło, a godzinę później cały Kanał będzie suchy!

- Świetnie! - krzyknął Dai i podczas gdy inni ruszyli do drzwi, pozwolił, żeby właściciel zabrał mu kufel, zgarbiony oparł się o bar i ciągnął dalej:

- Wy tchórze, zostawię was i sam przejdę pieszo te osiem kilometrów do Walii korytem Severn. Jak Boga kocham, tak zrobię!

- Krzyżyk na drogę - wymamrotał ktoś, a jakiś dowcipniś dodał:

- Jeżeli chcesz dotrzeć do Walii, idź na ukos i trochę na wschód trzymając się rzeki Severn i Usk. Ale to nie żadne osiem kilometrów, tylko osiemnaście. Na wprost nas jest Monmouth. człowieku, a nie Walia.

- Dla mnie Monmouth to Walia i niech diabli wezmą unię z 1535 roku - odpowiedział Dai, opierając brodę na bufecie. - A idźcie się gapić na ten cudaczny odpływ. Ja wam mówię, że Amerykanie najpierw zniszczyli i związali Księżyc, a teraz kradną nam ocean.

- Jimmy, połącz się ze stacją retransmisyjną - warknął generał Stevens. - Powiedz im, że obraz znad Wyspy Bożego Narodzenia też zaczyna falować.

Czwórka obserwatorów w podziemnym pomieszczeniu siedziała przed prawym ekranem, nie zwracając uwagi na drugi monitor, na którym już ponad godzinę widać było jedynie wirujące pasma zakłóceń.

Obraz, emitowany przez satelitę znad Wyspy Bożego Narodzenia, przedstawiał tarczę Wędrowca i zachodzącą za nią Lunę, jednakże teraz, kiedy na obrazie ukazały się elektroniczne zniekształcenia, zarówno planeta jak i Księżyc wyginały się i falowały.

- Staram się, panie generale, ale nie mogę dostać połączenia - powiedział kapitan James Kidley. - Radio i krótkie fale wysiadły. Ultrakrótkie zanikają. Zostały jeszcze przekaźniki kablowe i falowodowe, ale nawet te...

- Przecież jesteśmy kwaterą główną!

- Przykro mi, panie generale, ale...

- Połącz mnie z Pierwszym Dowództwem!

- Panie generale, oni nie...

W tej chwili podłoga zadrżała, rozległ się głośny trzask. Światła zamigotały, zgasły i znów się zapaliły. Pomieszczenie zakołysało się. Posypał się tynk. Znów zgasły wszystkie światła, jedynie prawy ekran świecił blado.

Raptem miejsce falującego obrazu astronomicznego zajęła olbrzymia kocia głowa z nastawionymi uszami i wyszczerzonymi kłami. Wyglądało to tak, jakby czarny tygrys zajrzał do

teleskopu umieszczonego w bezałogowym satelicie 36800 kilometrów nad Pacyfikiem. Przez chwilę obraz pozostawał bez zmian. Potem zaczął falować i ekran zgasł.

- O Boże, co to było? - krzyknął w ciemnościach generał.

- Ty też widziałeś? - zapytała pułkownik Wallingford i roześmiała się na pół histerycznie, na pół tryumfująco.

- Zamknij się, idiotko! - wrzasnął generał. - Jimmy?

- To przypadkowe zniekształcenie... - Głos młodego mężczyzny załamał się. - Plamy. To nie mogło być...

- Cicho! - rozkazał całej trójce pułkownik Griswold. - Posłuchajcie!

Usłyszeli odgłos tryskającej, chlupoczącej wody.

Na statku "Prince Charles" zakłócenia radiowe szczególnie wszystkich niepokoiły.

Zarówno powstańcy, którzy zawładnęli transatlantykiem, jak i członkowie starej załogi bezskutecznie usiłowali przekazać za pomocą krótkofalówki wiadomość o zagarnięciu statku - pierwsi swoim przywódcom rewolucyjnym, drudzy marynarce brytyjskiej. A o pięć tysięcy kilometrów na północ od nich Wolf Loner rozmyślał o tym, jak to dobrze, że nie ma gazet ani radia, i żałował, że wkrótce jego jacht dopłynie do Bostonu.

Pole magnetyczne Wędrowca, znacznie silniejsze od ziemskiego, oddziaływało w kosmosie z równą prędkością, co pole grawitacyjne, i niemal natychmiast zakłócało funkcjonowanie wrażliwych na jego działanie urządzeń. Jednakże oprócz potężnego pola magnetycznego, Wędrowiec kierował na tę stronę Ziemi, która była zwrócona w jego kierunku, dziwny strumień, który przedarł się przez pasy van Allena i zasypał Ziemię chmurą protonów i elektronów.

To potężne, bezpośrednie oddziaływanie nasiliło się jeszcze bardziej, kiedy Luna weszła na orbitę Wędrowca i zaczęła się rozpadać. Spowodowało to jonizację i inne mniej dostrzegalne skutki, z których najbardziej odczuwalnym było uniemożliwienie łączności elektromagnetycznej w stratosferze i w niższych warstwach atmosfery ziemskiej.

Kiedy pierwsza noc Wędrowca przesuwiała się w kierunku zachodnim, a właściwie, kiedy Ziemia wsuwała się w nią obracając się w kierunku na wschód, zakłócenia fal radiowych objęły cały świat - jak katastrofalna mgła, która odcinała kraj od kraju, miasto od miasta, człowieka od człowieka.

Rozdział 17

Podczas gdy pośpiesznie zebrana brygada sanitarna złożona z Brechta, Ramy Joan i Drągala przygotowywała się do nastawienia złamanej nogi Raya Hanksa, Dodd przewodził ekspedycji mężczyzn do zasypanych samochodów. Czterech z nich popchnęło furgonetkę i wóz bez większego trudu ruszył po piasku; ale ilekroć wszyscy naraz usiłovali wsiąść, silnik gasł. W końcu Hixon, Dodd i McHeath wsiedli do środka i odjechali, a Paul, Hunter i Wojtowicz poszli pieszo.

Kiedy byli w połowie drogi, minął ich McHeath, który biegł już z powrotem, niosąc szyny i bandaż z apteczki Brechta.

- Nie śpiesz się tak, mały! - krzyknął za nim Wojtowicz. - To nie olimpiada!

- Chłopak gotów paść ze zmęczenia - zwrócił się do Paula. - Obiecałem jego ciotkom, dwóm starym snobkom, że będę na niego uważał.

Kiedy po krótkim marszu doszli na miejsce, pomogli Doddowi i Hixonowi wyładować różne artykuły z nie zasypanego bagażnika kombi Dodda i załadować je do furgonetki. Znaleźli tam moc przydatnych rzeczy: puszki z jedzeniem i piwem imbirowym, koce, dwie skórzane kurtki, mały namiot, brykiety węgla drzewnego, naftę, prymus, a nawet siedmiokrotnie powiększającą lornetkę, którą natychmiast skierowali na Wędrowca. Szkła tylko wydłużały fioletowe i żółte plamy, mężczyźni jednak dostrzegli z przerażeniem, że rysy na spłaszczonym na biegunach, elipsoidalnym Księżycu, który teraz po raz drugi zniknął za Wędrowcem, są olbrzymie.

Z samochodu Dodda wyjęli dwie maczety (Paul roześmiał się cicho na myśl o romantyzmie sytuacji), dwa stare karabiny wojskowe i amunicję, ponadto trzy dwudziestolitrowe kanistry i kawałek węża gumowego, którym przelali benzynę ze zbiorników zasypanych samochodów do zbiornika furgonetki i napełnili do pełna kanistry.

Wojtowicz Wziął karabin, zrobił "na ramię broń" i zawołał :

- O rany, jakbym znów był w wojsku! Naprzód... marsz! Lubię się czasem powyglupiać - przyznał się szczerze Paulowi.

Obciążona furgonetka utknęła wprawdzie dwa razy w piasku, ale szczęśliwie dojechała do domku plażowego, Hixon nawet wykręcił ją niczym ślizgaczem i elegancko podjechał pod dom tak, żeby tylną klapę można było opuścić bezpośrednio na taras.

Brecht przyjrzał się skarbowi i skomentował: - Widzę, Dodd, że w razie czego mamy tu wszystko, brak jedynie alkoholu... i wody - dodał po chwili i czytając napis na puszcze z piwem imbirowym, pokiwał niedowierzająco głową.

- Jest za to duży zapas barbituranów i benzedryny - odparł Dodd.

- To nie to samo - westchnął Brecht. - Nie smakują mi te świństwa. Gdybyś miał, na

przykład, meskalinę, peyotl czy od biedy kilka skrętów z marihuaną...

Wanda spojrzała na niego ze zgorzaniem. McHeath roześmiał się nerwowo. Wojtowicz mrugnął ostrzegawczo do Brechta i rzekł z powagą:

- On tylko żartuje, Harry.

Brecht uśmiechnął się szeroko i zwrócił do chudej kobiety:

- Idę, nalej nam resztę gorącej kawy. Hixoliowie nic jeszcze nie pili ani nie jedli, a wszyscy pewno chętnie się napiją i zjedzą po kanapce. Dodd przywiózł mnóstwo kawy, można już więc nie oszczędzać. A poza tym termos przyda nam się na wodę. Jest w zbiorniku w domku plażowym - sprawdziłem, nadaje się do picia. Niektórzy z was pewnie myślą, że jestem wyłącznie amatorem C₂H₅OH, ale od czasu do czasu piję również H₂O.

Propozycja wypicia kawy została przyjęta jednogłośnie. Wszyscy byli tak zmęczeni, że z przyjemnością przeszli z piaszczystej plaży na taras, gdzie usiedli lub położyli się. Pośrodku ustawili składane łóżko, na którym leżał Ray Hanks: jego obandażowana noga wyglądała - według słów Wojtowicza - jak rura kanalizacyjna. Ranny mężczyzna, który dostał w charakterze leku resztkę whisky Brechta, leżał teraz stosunkowo spokojnie trzymany lekko za biodro przez Drągala, ten bowiem twierdził, że jego dotyk posiada moc uzdrawiającą.

Ida najpierw podała kawę Hixonom, którzy siedzieli objęci. Ci spojrzeli na siebie i z powagą stuknęli się kubkami. Wszystkim udzielił się uroczysty nastrój. W skupieniu zaczęli sączyć resztki zaparzonej kawy. Jak przewidział Hunter, każde z nich na swój sposób traktowało ten taras, jakby był ich domem, i lękało się chwili, kiedy trzeba będzie go opuścić. Tu na plaży nie było gór, które mogły się osunąć, budynków, które mogły się zawalić czy spłonąć, rur gazowych, które mogły pęknąć i wybuchnąć żółtym płomieniem, ani przewodów, które mogły się zerwać i ciskać oślepiające snopy iskier. (Co prawda, domek plażowy przekrzywił się, bo trzęsienie ziemi naruszyło jedną ścianę, ale był ciemny, niski i zabity deskami, można więc było w ogóle na - niego nie zwracać uwagi). Nie było tu obcych, którzy by im mówili, co mają robić, oni rannych, którzy by prosili o pomoc. Trzaski w radiu nie dopuszczały wieści o katastrofie, zagłuszały nakazy i zakazy, liczne polecenia policji, Czerwonego Krzyża i Obrony Cywilnej, przekazywane drogą radiową. Najlepiej więc byłoby tu zostać, jako zgodna mała kolonia plażowa: po prostu siedzieć, obserwując Wędrowca, który opadał nad Oceanem Spokojnym, i znów ukryty za nim Księżyc, i przyglądać się tej dziwnej planecie, której tarcza przedstawiała teraz fioletową głowę atakującego byka - żółty środek znikł niemal zupełnie, natomiast od dołu wylaniała się większa żółta płaszczyna. Przypadkiem, a może nawet umyślnie, dwie małe owalne kropki tworzyły oczy byka. Dodd odstawił kubek i zaczął rysować.

- El toro - powiedziała Margo.

- Głowa ośmiornicy - zauważyła Rama Joan. - Kreteńczycy dokładnie w ten sam sposób rysowali ją na swoich wazach.

- Jednakże za trzy, cztery godziny będziemy musieli stąd odjechać - rzekł nagle Brecht, jakby wyczytał z oczu pozostałych nie wypowiedziane na głos marzenie, żeby na zawsze zostać tu na plaży. - Przyływ - dodał.

Hunter spojrział na niego ostrzegawczo i Brecht pośpiesznie wyjaśnił:

- Proszę mnie źle nie rozumieć. W tej chwili nie grozi nam żadne Niebezpieczeństwo, wprost przeciwnie. Czas między przyływem a odpływem wynosi tu około dziesięciu godzin, to znaczy, że odpływ zaczyna się mniej więcej cztery godziny po tym, jak Księżyc dojdzie do zenitu. Innymi słowy, za godzinę będzie maksymalny odpływ. Widzicie, jak daleko odeszła woda? Mamy więc sporo czasu na odpoczynek, z którego ja przynajmniej zamierzam skorzystać.

- Nie rozumiem, Rudolfie. Co za przyływ? - zapytał Wojtowicz.

Hunter zmarszczył brwi i potrząsnął lekko głową.

- Ross - powiedział Brecht. - Właśnie teraz, kiedy nic nam nie grozi, trzeba spojrzeć prawdzie w oczy. - A potem, zwracając się do Wojtowicza, rzekł: - Wiesz, że Księżyc, właściwie masa Księżyca, powoduje pływy? Dobrze, mamy tam teraz Wędrowca. Jest na tej samej wysokości, co Księżyc, można więc przypuszczać, że rytm pływów będzie podobny.

- To dobrze - roześmiał się Wojtowicz. - Przez chwilę obleciał mnie strach.

Pozostali patrzyli na Brechta; daleko im było do śmiechu. Brecht westchnął i powiedział:

- Jednakże sądząc ze sposobu, w jaki Wędrowiec przyciągnął Księżyc, można przypuszczać, że ma tę samą masę co Ziemia, innymi słowy, osiemdziesiąt razy większą od Księżyca.

Nastąpiła długa cisza. Słowo "osiemdziesiąt" zawisło w powietrzu niczym szary głaz, który z każdą chwilą staje się coraz większy i cięższy. Jedynie na Drągalu i towarzyszących mu kobietach nie zrobiło to żadnego wrażenia. Hunter zmarszczył z niepokojem czoło i obserwował reakcje pozostałych. Rama Joan, której kolana znów służyły za poduszkę śpiącej córce, nagle uśmiechnęła się promiennie do Brechta. Pani Hixon podniosła ręce, jakby chciała zaproponować. Jej mąż położył je z powrotem na kolanach, objął mocniej żonę i z powagą, skinął Brechtowi głową. Paul poszedł w jego ślady i wreszcie objął Margo. Dodd schował notes do kieszeni i złożył ręce na piersi.

Brecht stał zamyślony i uśmiechał się do nich ze smutkiem.

Harry McHeath wreszcie ujął ich nieme pytanie w słowa:

- To znaczy, że przyływ nastąpi w tym samym czasie i w ten sam sposób jak przedtem, tylko będzie osiemdziesięciokrotnie większy?

- On tego nie powiedział! - wtrącił gorączkowo Hunter. - Rudolfie, nie bierzesz pod uwagę czynnika czasu. Możemy w każdym razie liczyć na jeden dzień spokoju. Poza tym pływy to zjawisko rezonansowe. Potrzeba czasu, żeby oceaniczne fale pływów zaczęły drgać ze zwiększoną amplitudą.

- Może i tak - odparł Brecht. - Jednakże - mówił coraz bardziej stanowczym tonem - ta planeta znajduje się nad nami i rozważania w niczym nie zmieniają jej masy. Widzicie przecież, co zrobiła z Księżycem. Czy zajmie to siedem godzin, czy tydzień, tak czy owa olbrzymi przypływ nastąpi, a kiedy to się stanie, będę się czuł bezpieczniej na jakiejś górze. Dlatego pytałem o szosę przez góry Santa Monica - wyjaśnił Hixonom. - Sądzę jednak - ciągnął dalej, podniesionym głosem usiłując powstrzymać komentarze wzburzonej grupy - że człowiek, którego czeka nie lada wysiłek, musi zebrać siły, tak jak ja za chwilę. Jeżeli ktoś chce tracić energię na gadanie, proszę bardzo, mnie to nie przeszkadza.

Wyciągnął się na czterech krzesłach, ręką zasłonił oczy i wkrótce głośno, niemal teatralnie zachrapał.

Przelatując po raz drugi za Wędrowcem, Don Merriam zdał sobie nagle sprawę, że sama obecność w kosmosie tej dziwnej planety może zagrażać Ziemi. Mogą przecież nastąpić trzęsienia, prawdopodobnie również ogromne pływy oceaniczne, choć nie był pewien, jak prędko może do tego dojść - oraz... nie, wydało mu się niemożliwe, żeby z tej odległości Wędrowiec mógł strzaskać Ziemię, ale mimo to żałował, że nie może teraz obejrzeć Ziemi przez lornetkę i upewnić się, czy nic jej nie grozi.

Uważał za swój obowiązek ostrzec albo przynajmniej postarać się ostrzec Ziemię bez względu na to, jak beznadziejnym mogło się to wydawać zadaniem. Włączył radio i na przemian zaczął nadawać i słuchać. Raz zdawało mu się, że słyszy odpowiedź, ale po chwili wszystko umilkło.

Zastanawiał się, czy jakaś istota na nakrapianej zieleni półkuli słucha tego, co on mówi.

O ile na plaży pod Los Angeles panowała jeszcze noc, o tyle na Manhattanie, gdzie znajdował się Arab Jones i jego dwaj bracia-narkomani, słońce świeciło już wysoko na niebie - linia dnia i nocy przesuwawała się na zachód w swoim zwykłym tempie tysiąca stu dwudziestu kilometrów na godzinę i przebiegała teraz przez Góry Skaliste. Nad płaskowyżem Asy Holcomba światło, na niebie krążyły myszołowy.

W pobliżu placu Roosevelta Arab wskazał na dachy i zawołał:

- Są tam!

Duży i Pepe spojrzeli w górę. Na niskich dachach roilo się od ludzi, co po części wyjaśniało zagadkę, dlaczego na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy było tak pusto. Kilka osób patrzyło z dachu na dół, niektórzy gorączkowo wymachiwali rękami i coś krzyczeli.

Nie sposób jednak było usłyszeć ich słów, ponieważ zagłuszał je warkot porzuconej, ukośnie zaparkowanej taksówki, która stała tak blisko, że Duży wsparł się o jej otwarte drzwi, żeby utrzymać równowagę.

- Wariaci. Myślą, że na dachu bomba ich nie dosięgnie - powiedział Pepe, zadzierając głowę. - Bomby spadają z góry, a nie z dołu.

- Jesteś pewien? - zapytał Duży. - A ta kula ognista wyskakująca z rzeki?

- Czekają na cudowną kulę ognistą! - krzyknął głośno Arab, wyciągniętą ręką wskazując na dachy. - To już trupy. Jak Manator. Muzeum figur woskowych na dachu! Cały Nowy Jork!

Kiedy mówił o figurach woskowych, poczuł niepokój - przestał udawać, że się boi, bo nagle ogarnął go prawdziwy strach, a myśl, że piętnaście metrów nad głową te ciemne, żywe woskowe mumie obserwują go, coś do niego trąkoczą i gwałtownie go do siebie przywołują, stała się nie do wytrzymania.

- Uciekajmy! - skrzyknął Duży. Wsunął się do taksówki na miejsce kierowcy. - Ja się stąd wynoszę!

Arab i Pepe usiedli z tyłu. Taksówka gwałtownie ruszyła z miejsca, drzwi zatrzasnęły się same, a szarpnięcie wcisnęło Araba i Pepe głębiej w zimne skórzane obicia. Duży skierował się na zachód i, nabierając prędkości, wymija! porzucone samochody.

Popłoch, który ogarnął oddziały policji nowojorskiej i straży ogniowej, zakłócając przygotowania, jakie szybko i sprawnie podjęto w obliczu katastrofy, spowodowany był kilkoma czynnikami: wyolbrzymionymi doniesieniami o powodzi w Heli Gate i o zniszczeniu centrum medycznego na Broadwayu przez trzęsienie ziemi, bezładnymi poleceniami wysyłanymi z podziemnego ośrodka nowego międzydziałowego systemu koordynacji przez komputer, w którym woda spowodowała zwarcie, i fałszywymi doniesieniami o rozruchach przy ośrodku sportowym.

Ale nerwy też odegrały tu swoją rolę - paniczny strach w połączeniu z brawurową chęcią dokonywania czynów bohaterskich. Zupełnie jakby to właśnie Wędrowca dotyczyły odwieczne przesady o Księżycu, a mianowicie, że jego promienie doprowadzają ludzi do szaleństwa. Na całej zachodniej półkuli - w Buenos Aires i w Bostonie, w Valparaiso i w Vancouver - zdarzały się takie obłąkańcze, bezsensowne wypadki.

Trzy przecznice na zachód od Lenox, Duży Bundy nacisnął gaz do deski, kiedy usłyszeli

ryk syren. Z początku narkomani nie mogli się zorientować, skąd pochodzi ryk, wiedzieli jedynie, że się zbliża, bo z każdą chwilą był coraz głośniejszy.

Kiedy taksówka przejeżdżała Ósmą Aleją, ochryple wycie przybrało na sile i kilkanaście metrów przed sobą trzech przyjaciele ujrzeli pędzące w ich stronę dwa wozy policyjne, a za nimi następne, z migocącymi czerwonymi światłami na dachu.

Duży dodał jeszcze gazu. Syrena powinna była ucichnąć na kilka sekund, kiedy budynki oddzielały taksówkę od wozów policyjnych. Ale nie ucichła. Przeciwnie, wycie stało się głośniejsze.

Na środku następnego skrzyżowania stał porzucony jakiś gruchot. Duży zamierzał objechać go prawą stroną. Od południa z Siódmej Alei wyskoczyły dwie limuzyny: wóz policyjny i wóz komendanta straży ogniowej. Pierwszy skierował się na lewą stronę gruchota, drugi na prawą. Duży wcisnął gaz do deski i nie zbacząc z wyznaczonej przez siebie trasy przeciął Siódmą Aleję za limuzynami i tuż przed maską ogromnego wozu strażackiego, który mknął za nimi. Pepe dojrzał olbrzymią czerwoną maskę i przerażoną twarz kierowcy tak blisko, że sam zakrył oczy.

Zanim taksówka dojechała do następnego skrzyżowania, na Lenox ukazały się nowe czerwone i czarne wozy, pędzące na północ. Świdrujący ryk syren przyprawiał o utratę zmysłów.

Gdyby trzech bracia-narkomani nie byli tak oszołomieni marihuaną, pewnie zdaliby sobie sprawę, że sznur wozów policyjnych i strażackich pędzących w popłochu nie ma z nimi nic wspólnego i że pojazdy wcale nie zatrzymają się na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy, tylko będą mknąć dalej na północ Manhattanu.

Ale Pepe, Arab i Duży byli oszołomieni marihuaną, toteż ogarnęło ich przerażenie, że są ścigani przez policję. Pepe obawiał się, że policja zrobi z nich kozły ofiarne i oskarży o podłożenie bomby w celu zniszczenia Manhattanu - zrewiduje ich i jeżeli nawet nie znajdzie materiałów wybuchowych, skaze za posiadanie zwykłej zapalniczki.

Arab czuł, że policja zawlecze ich na najbliższy dach i przywiąże wśród szczyrzących zęby woskowych mumii.

Duży natomiast myślał, że po prostu policja dowiedziała się - pewnie przez telepatię - że palili nad rzeką marihuanę. Nacisnął hamulec i zatrzymał taksówkę tuż przed Lenox. Wysiedli.

Ciemne wejście do stacji metra kusiło niczym jaskinia czy nora - nęciło bezpieczeństwem, którego szukają wszystkie przerażone stworzenia. Zagradzała je biała drewniana barierka, którą ominęli i hałaśliwie zbiegli po schodach.

Budka biletera była pusta. Przeskoczyli przez kołowrót. W podziemiu stał oświetlony pociąg z otwartymi drzwiami. W wagonach nie było nikogo.

Na stacji paliło się światło, ale ani na tym peronie, ani na następnym nie było żywej duszy.

Pociąg sapał cicho, a kiedy oddaliły się syreny, był to jedyny odgłos na pustej stacji.

Rozdział 18

Nikt oprócz Ramy Joan nie poszedł w ślady Brechta, który chcąc dodać innym animuszu chrapał głośno, ale nawet on po półgodzinie podniósł głowę i wsparł się na łokciu: zainteresowała go dyskusja Paula i Huntera o tym, jaką trasę w wyniku wzajemnych oddziaływań obiorą w kosmosie Ziemia i Wędrowiec.

- Już to sobie obliczyłem, oczywiście w przybliżeniu - wtrącił się Brecht do rozmowy. - Zakładając, że mają identyczną masę, będą się obracać wokół punktu leżącego pomiędzy nimi, a miesiąc będzie trwał dziewiętnaście dni.

- Sądzę, że krócej - zaproponował Paul. - Przecież gołym okiem widać, że Wędrowiec posuwa się bardzo szybko.

Wskazał dziwną planetę rzucającą kasztanowate i jasnopomarańczowe światło, która teraz, przechylona na bok, zmierzała w stronę oceanu, a tępy żółty nos Księżyca zasłaniał jej dolny brzeg.

Brecht roześmiał się.

- To Ziemia się obraca i dzięki temu mamy, wschód słońca - rzekł, a gdy Paul skrzywił się, zły na siebie z powodu takiej bezmyślności, Brecht dodał:

- Zrozumiała pomyłka, Paul. Mój umysł, odziedziczony podobnie jak kość ogonowa po przodkach-jaskiniowcach, również popełnia ten błąd! Ross, spójrz, jak daleko cofnęło się morze! Obawiam się, że pływy nastąpiły wcześniej, niżśmy się spodziewali.

Usiłując nie przerywać rozmowy, Paul jednocześnie starał się wyobrazić sobie osiemdziesięciokrotnie większe przypyływy, a co za tym idzie, osiemdziesięciokrotnie dalsze odpływy i to w sześciogodzinnych odstępach czasu.

- Poza tym - ciągnął Brecht - za jakieś dziesięć dni wpadniemy w dziewiętnastodniową orbitę, bo przyspieszenie ziemskie następuje z prędkością trzynastu setnych centymetra na sekundę. Kumulacyjne przyspieszenie Księżyca, również w stosunku do Wędrowca, wynosi teraz metr dwadzieścia na sekundę.

Chłodny wiatr z lądu owiał Paula. Nastawił więc kołnierz wiatrówki, którą zwróciła mu Margo, kiedy Clarence Dodd dał jej jedną z przywiezionych kurtek skórzanych. Dziewczyna, której było chłodno, tuliła do siebie pod kurtką Miau i spoglądała na długą, gładką plażę.

- Spójrz, jak lśni mokry żwir - powiedziała do Paula. - Wygląda tak, jakby ktoś rozsypał cały wagon ametystów i topazów.

- Cicho - syknęła gruba kobieta. - On odbiera wiadomości z kosmosu.

Obok Wandy siedział Drągal i z brodą wspartą na pięści w pozie przypominającej "Myśliciela" Rodina jak zahipnotyzowany wpatrywał się w Wędrowca.

- Cesarz mówi: "Ziemi nie stanie się nic złego - monotonnym głosem, jakby w transie, rzeki Drągal. - Jej rozhuśtane wody się uspokoją, oceany cofną się od brzegów".

- Istny król Kanut - szepnął Brecht.

- Ten twój cesarz powinien był się wcześniej zorientować i zapobiec trzęsieniom - zauważyła cierpko pani Hixon. Pan Hixon objął ją i szepnął coś do ucha. Kobieta wzruszyła ramionami i powstrzymała się od dalszych komentarzy.

Rama Joan otworzyła oczy.

- No i jak, Rudolfie, na kogo teraz stawiasz? - zapytała. - Na anioły czy na diabły?

- Poczekam, aż któryś podleci dość blisko, żebym mógł zobaczyć, jakie ma skrzydła, białe czy czarne - odparł, ale zaraz zdał sobie sprawę, że to, co powiedział, wcale w obecnej sytuacji nie jest śmieszne, i szybko spojrzał na Wędrowca. Przeszył go dreszcz. Wstał, rozprostował nogi i skierował wzrok na taras.

- Ha, widzę, że kiedy spałem, załadowaliście furgonetkę - skomentował ironicznie. - To ładnie z waszej strony. Nie zapomnieliście nawet o termosach z wodą. To pewnie twoja zasługa, Dodd. - Potem szeptem zapytał Huntera: - Jak tam Ray?

- Nawet się nie obudził, kiedy przenieśliśmy łóżko i przymocowali je w furgonetce. Przykryliśmy go dwoma kocami.

W górze rozległ się warkot. Wszyscy zamarli. Niektórzy podejrzliwie patrzyli na Wędrowca, jakby spodziewali się, że odgłos pochodzi stamtąd. Nagle McHeath zawołał podniecony:

- To helikopter z Vandenbergu... chyba...

Z daleka przypominało to ważkę, ale rzeczywiście był to helikopter patrolowy, który zniżył się nad morzem, zawrócił i teraz leciał wzdłuż plaży najwyżej piętnaście metrów nad Ziemią. Nagle skręcił w ich kierunku i zawisł nad tarasem. Warkot zamienił się w ryk. Podmucha obracanego przez śmigło powietrza rozwiął na wszystkie strony plik nie zużytych białych kartek.

- Wariat czy co? Chce na nas wylądować?! - rozzłościł się Brecht, który tak jak inni przykucnął i patrzył w górę.

Poprzez warkot usłyszeli donośny głos:

- Wynoście się! Wynoście się stąd!

- Cholera, co za bydlaki! - krzyknął Brecht, zagłuszając to, co dalej mówił głos z helikoptera. - Mało, że zatrasnęli nam drzwi przed nosem, teraz każą nam się wynosić z okolicy!

Stojący obok Brechta Dodd pod niósł pięść i groźnie nią potrząsnął.

- Wynoście się z plaży - dokończył głos. Helikopter zakręcił i poleciał dalej wzdłuż brzegu.

- Hej, Brecht! - wrzasnął Wojtowicz, łapiąc Brechta za ramię. - Może oni chcieli nas ostrzec

o przyptywie!

- Ależ przyptyw nastąpi dopiero za sześć godzin... - Brecht urwał, zdając sobie nagle sprawę, że ryk nie ucichł wraz z odlotem helikoptera. Zobaczył, że przez szpary w tarasie tryska w kilku miejscach woda.

Piasek wokół tarasu pokrywała jasna, falująca piana. Woda podeszła, kiedy oczy wszystkich były zwrócone do góry, a ryk helikoptera zagłuszał ryk fali.

- Ale... - zaczął z oburzeniem Brecht.

- To nie przyptyw, lecz tsunami! - krzyknął Hunter. - Fale wywołane podwodnym trzęsieniem ziemi!

Brecht stuknął się w czoło.

Sycząc i szczękając kamykami na piasku, woda zaczęła się cofać, pozostawiając za sobą łąty białej piany.

- Znów nadchodzi! - krzyknął Paul, patrząc z przerażeniem na zbliżającą się białą ścianę. - Włączcie natychmiast silnik!

Hixonowie już byli na przednim siedzeniu. Silnik zaturkotał i zgasł. Tylko zapłon był cicho. Hunter, Dodd, Brecht i McHeath zeskoczyli na piasek, ustawili się po bokach furgonetki i zaczęli ją pchać. Rama Joan pociągnęła Annę z tarasu i wepchnęła do wozu. Kiedy ta chciała wsiąść, uderzyła dziewczynkę w policzek.

- Siedź tu i trzymaj się mocno! - rozkazała groźnie. Wanda również chciała się usadowić koło Anny, ale Wojtowicz powstrzymał ją siłą.

- Nie tym razem, tłuściochu! - zawołał.

Paul podniósł otwartą klapę wozu, usiłując ją zamknąć.

Silnik wreszcie zapalił. Wojtowicz odepchnął Wandę i razem z Paulem podnieśli klapę: upadli na taras, kiedy wóz ruszył nieco do przodu. Tylne koła piszczały buksując na mokrym piasku. Mężczyźni znów popchnęli z dołu, wóz znów posunął się trochę do przodu, stanął, jeszcze jedno pchnięcie i nagle furgonetka ruszyła, kołysząc otwartą klapą i oświetlając tylnymi światłami ścigającą ją, oszronioną pianą falę.

Druga fala była taka wysoka, że zalała brzeg tarasu: taras się lekko zachybotał, ze szpar w podłodze trysnęła woda jak z fontanny. Kiedy fala się cofnęła, Paul chwycił Margo i pobiegli po śliskich deskach. Dziewczyna kurczowo przyciskała do siebie Miau. Paul zatrzymał się na krawędzi tarasu i spojrzał najpierw za siebie, a potem na mężczyzn na piasku, których woda zbiła z nóg.

- Uciekajmy! Prędko, zanim nadejdzie trzecia! - wrzasnął i wraz z Margo zeskoczył z tarasu. Inni ruszyli za nim, usiłując dopędzić furgonetkę.

Arab, Pepe i Duży spodziewali się, że tabun ubranych na granatowo policjantów pobiegnie za nimi na stację metra na Sto Dwudziestej Piątej Ulicy. Schowali się więc do toalety: Arab trzymał skręty z marihuaną, gotów wrzucić je do muszli, gdyby ktoś nadszedł, Duży miał w razie czego spuścić wodę, a Pepe nasłuchiwał przy drzwiach. Nie było to zbyt mądre, ale działali instynktownie.

Nikt jednak nie nadchodził, nie słychać było tupotu nóg ani krzyków policjantów - panowała zupełna cisza. Po kilku minutach wyszli z ubikacji.

Pusta stacja przypominała dom, w którym straszy, przez jakiś więc czas kręcili się po niej niepewnie. Pepe usiłował wyciągnąć czekoladę z automatu, ale automat się zaciął. Walnął w niego pięścią, ale przestraszył się hałasu. Wsiadli więc do ostatniego wagonu i przeszli do elektrowozu. Tam Arab zaczął manipulować jakimś drażkiem i po chwili go przekręcił. Drzwi zaczęły się zamykać, , pośpiesznie więc przesunął drążek z powrotem. Poruszył następnym drażkiem: warkot silnika wzmógł się, pociąg zadrżał - Arab szybko przesunął drążek na poprzednią pozycję.

- Lepiej tego nie ruszać - powiedział i roześmiał się nerwowo.

Patrzyli przez przednie drzwi w głąb czarnego, podwójnego tunelu, czekając, aż drugim torem nadjedzie pociąg, ale nic nie nadjeżdżało.

Im dłużej przebywali na pustej stacji, tym bardziej zdawało im się, że jest to ich własny, prywatny świat. Czując się jego panami, zapalili trzy skręty. Stali w kabinie motorniczego i zaciągali się.

- Ty, Duży, jak sądzisz, co się tu stało? - zapytał wreszcie Arab.

Duży zmarszczył czoło. Po chwili powiedział:

- Ruskie łodzie podwodne wynurzyły się przy parku Battery. Ruscy pokonali gliny w bitwie na placu Union Square, gliny cofają się na północ, tylna straż odpiera ataki wroga. Rosjanie wciąż posuwają się naprzód. Mój rozkaz dzienny: Żołnierze, kryć się. O niczym nie wiemy.

Arab skinął głową.

- A ty, Pepe? - zapytał.

- To kula ognista! To ono ukazała się w Battery, a potem przypląnęła ulicami do śródmieścia. Ludzie myślą, że to gazy trujące, i uciekają na dachy, ale to nie są gazy trujące, to dobry dym, słodka mieszanka makowa. Wszyscy uduszą się oprócz nas. Będą się bali oddychać. No, Arab, twoja kolej.

Poczuł lekki powiew z tunelu. Niósł on charakterystyczny dla kolei zapach metalu, suchego kurzu, nie my tych ciał, a nawet wyładowań elektrycznych.

- No, Arabie, przecież tyś zaczął - nalegał Pepe.

- Dobrze, już mi świta - powiedział Arab. - Woda w rzece przybrała, sami widzieliście, i wciąż przybiera. Zalewa Battery, występuje z brzegów i płynie na północ. Potop jak za Noego! Każą ludziom wejść na dachy i zamienić się w słupy soli. Opróżnić piwnice i stacje metra. Gliny wieją. Strażnicy czekają z węzami, ale z wodą przecież walczyć nie potrafią. Więc też wieją. A wody jest coraz więcej i więcej.

- Niezłe - stwierdził z przekonaniem Duży. - Całkiem prawdopodobne.

Powiew stał się mocniejszy, a wraz z nim wzmógł się smród z tunelu. Czuć było jakiś nieznany zapach. W głębi tunelu dostrzegli niebieski błysk.

- Pociąg nadjeżdża - rzekł Pepe.

I znów niebieski błysk. Potem następny. Wiało coraz silniej. Trzej narkomani rozpoznali obcy zapach - był to zapach wody. Usłyszeli coraz donośniejszy ryk.

- Ciemny pociąg jedzie po obu torach! - krzyknął Arab.

Niebieskie błyski zbliżały się coraz bardziej, stawały się coraz jaśniejsze. Słony, kwaśny wiatr był już teraz wichurą: papiery fruwały, kurz się unosił, ryk wzmagał się, jakby ryczało tysiąc lwów.

Przez chwilę, stojąc objęci mocno, widzieli pieniającą się, ciemną od brudu falę, zwieńczoną niebieskim błyskiem.

I wtedy uderzył w nich strumień naładowanej elektrycznością słonej wody.

Sally i Jake jedli jajecznicę ze srebrnej tacy ustawionej nad niebieskim płomykiem i kawior z kryształowej misy ustawionej wśród kostek lodu.

- Ale jesteśmy wysoko - powiedziała Sally, wyglądając przez okno. - Widać tylko Empire State Building, wieżę radia i gmach Chyrlera... a czy tamten daleki punkcik to Waldorf Astoria?

- Naliczyłem czterdzieści pięter, zanim wsiedliśmy do prywatnej windy Hasseltinea - odparł, smarując grzankę kawiozem.

Sally wzięła filiżankę kawy, podeszła do wysokiej, chromowanej balustrady i wychyliła się mocno do przodu.

- O rany! - zawołała. - Ludzie wyglądają jak mrówki. Biegną. Ciekawa jestem dlaczego? Jake, pytałam cię kiedyś, do czego służą te hydranty w budynkach - pamiętasz, myślałam, że gasi się nimi pożary samochodów albo powstrzymuje tłumy buntujących się robotników z zakładów odzieżowych.

- Nie, myje się nimi rano ulice - wytłumaczył chłopiec. Nalał sobie kawy z wysokiego, podłużnego dzbana z czerwonym światłem przy podstawie. Dziewczyna skinęła głową.

- Tak też myślałam - właśnie myją ulice.

- E, tam. Ulice myje się o czwartej rano. A teraz jest ósma.

Spojrzenie Jake'a było coraz bardziej nieobecne. Usiłował sobie przypomnieć pomysł na zarobienie pieniędzy, który przyszedł mu do głowy na Times Square.

- Może. Ale ulice są okropnie mokre - stwierdziła dziewczyna. Przez chwilę jeszcze patrzyła w dół.

- Jake? - odezwała się znów.

- Co takiego? Daj mi się skupić, Sally.

- Miałeś rację. Woda nie płynie z tych małych hydrantów. Płynie z metra.

Jake podskoczył do góry, a potem wyrznął piętami o podłogę, aż go zabołały. Podłoga zadrżała. Rozległ się potężny ryk, budynek przechylił się, wyprostował i znów się przechylił. Wymachując rękami, chwycił się wreszcie balustrady, przy której Sally kołysała się i wrzeszczała, przekrzykując ryk. Filizanka, którą upuściła, i kawałki tynku, które osypały się z fasady domu, widziane z góry wyglądały na chodniku jak mikroskopijne punkciki.

Huśtanie ustało i ryk ucichł. Sally wychyliła się i wskazała czarną wstęgę wydobywającą się na dole z ich budynku.

- Spójrz! - krzyknęła. - Dym! Och, Jake, co za wspaniały widok! - zawołała, kiedy chłopiec usiłował odciągnąć ją od balustrady. - Powinniśmy o tym napisać sztukę.

Mimo całego zamieszania Jake uświadomił sobie, że to jest właśnie ten pomysł, którego nie mógł sobie przypomnieć.

Za nimi czerwone światełko u podstawy dzbana do kawy zgasło, zbladł też pomarańczowy blask maszynki do grzanek.

Margo, Paul i ich współtowarzysze przebiegli przez trzy następne fale (Drağal i Ida niemal przez całą drogę wspólnymi siłami ciągnęli Wandę), w których było więcej piany niż wody i które sięgały zaledwie do łudek. Zdyszani zatrzymali się wreszcie na suchym piasku, dopóki potężne grzywacze nie zmusiły ich do dalszej ucieczki.

Przed nimi na tle nieba blednącego wraz z nadejściem świtu widniały potężne, czarne góry Santa Monica. Nieco bliżej, choć, bardzo już daleko, migotały malejące światła furgonetki. Hixon wybrał najkrótszą drogę z plaży, wiodącą między wielkim wzniesieniem z Vandenbergiem 2 a niższymi, rozbitymi skałami, które zasypały samochody, i reszta grupy pobiegła za furgonetką. Była to słuszna decyzja: gdyby Hixon wybrał inną drogę, biegliby bokiem do fal po niższej jeszcze plaży; kłopot jednak polegał na tym, że nawet ta droga przez długi czas prowadziła przez piasek i gładki piaszczysty teren - koryto wyschniętej rzeki.

Za nimi Wędrowiec dotykał już powierzchni oceanu. Zaokrąglony romb Księżycy znów go

z przodu zasłaniał. Tarcza planety przypominała symbol in-jang, tyle że teraz lekko przechylony na bok. Z trudem łapiąc oddech Brecht pomyślał: Właśnie od tego wszystko się zaczęło. Planeta wykonała pełny obrót - jej dzień trwa sześć godzin. Nagle jakiś czarny, kwadratowy kształt, wyszczerbiony po bokach, wzniósł się w górę i zasłonił mu Wędrowca.

Był to taras, na którym zorganizowali sympozjum, wyrwany z ziemi przez drugi potężny grzywacz.

I wtedy Brecht usłyszał ryk.

Inni zaczęli biec, biegł więc za nimi, czując, jak malutkie igielki kłują go w serce.

Wtem... zdawało się, że Wędrowiec jednym gwałtownym skokiem pokonał czterysta tysięcy kilometrów i zawisł tuż nad nimi, zasłaniając całe niebo oprócz szarego kolistego pasma horyzontu.

Zatrzymali się w pół kroku, nie zważając na ścigającą ich, ryczącą, spienioną falę, która w każdej chwili mogła ich zmiażdżyć gruzami tarasu.

Hunter pierwszy właściwie ocenił odległość i rozmiary i pomyślał: Nie, to tylko - mój Boże, tylko! - latający talerz o średnicy piętnastu metrów, ozdobiony fioletowozłotym symbolem in-jang i wbrew prawu ciężenia zawieszony cztery metry nad nami. I znów zaczął biec.

Pierwszy i najmniejszy z potężnych grzywaczy chlusnął na nich pianą i opadł, sięgając im ruchliwą wodą do kolan. Chociaż myślami byli przy obiekcie wiszącym nad nimi, wszyscy zareagowali na ten nagły atak wody. Ręce czepiały się śliskich rąk towarzyszy, chwytaly się mokrych talii i płaszczy. Wanda upadła i Wojtowicz dał nurka, żeby ją wyciągnąć z wody.

Margo wbiła paznokcie w szyję Paula i krzyknęła mu do ucha:

- Miau! Ratuj natychmiast Miau! - Drugą ręką wskazała wodę.

Paul zobaczył, jak koniec ogona i uszy Miau znikają w brudnej pianie. Bez namysłu wyciągnął ręce i rzucił się kotce na ratunek. Nie widział więc tego, co się w tej chwili stało.

Pośrodku talerza rozwarł się różowy, półtorametrowy właz - trzymając się ramy włazu spiczastym, chwytym ogonem i pazurami przednich łap, wychyliła się z niego zielonofioletowa puszysta istota...

- To diabeł! - krzyknęła Idą. - Rama Joan miała rację, że na planecie są diabły!

- Tygrys! - wrzasnął Harry McHeath. Słyszając ten okrzyk, Brecht pomyślał mimo woli: Boże, jak w komiksie! Tygrysy z Marsa!

- Władczyni! - zawołał Drağal, zziębnięte nagi ugięły się pod nim, a w nozdrzach mimo odoru mętnej wody poczuł lekki zapach niebiańskich perfum...

Duże fioletowe oczy o czarnych źrenicach zlustrowały szybko ich twarze, zarazem jednak istota spoglądała na nich jakby z pogardą.

Druga olbrzymia fala była nie dalej niż dziesięć metrów za nimi: taras niczym deska surfingowa pędził na jej grzbiecie, wokół niego huśtały się na wodzie krzesła, za nim płynął rozbity domek plażowy.

Z włazu wysunęła się zielona łapa z szarym pistoletem o zwężającej się lufie, wycelowała go w stronę morza i przesunęła nim w prawo i w lewo.

Nie było żadnego błysku, płomienia czy hałasu, ale olbrzymia fala zmaląła i woda opadła. Taras zsunął się z jej grzbietu i popłynął w bok. Zniszczony domek plażowy skręcił w stronę Vandenbergu 2. Piana cofnęła się i znikła. Woda kotłowała się niezdecydowanie. Kiedy wreszcie fala dotarła do miejsca, gdzie stali, nie miała już siły pierwszego grzywacza i sięgała im zaledwie do ud.

Szary pistolet wciąż posuwał się w prawo i w lewo.

Ze strony lądu powiał silny wiatr. Brecht stracił równowagę i z pewnością upadłby, gdyby nie podtrzymała go Rama Joan.

Głowa i ramiona Paula wynurzyły się z piany. Tulił do siebie zmkłą Miau.

Wiatr dął nadal.

Dziwna istota wychylająca się z różowego włazu wydłużyła się niewiarygodnie w stronę Paula, tworząc zielony łuk w fioletowe pasy.

Szary pistolet upadł, złapała go Margo.

Fioletowoszare pazury wbiły się w ramię Paula i jakaś siła, znacznie większa od siły mięśni ludzkich, wciągnęła mężczyznę wraz z kotką przez różowy właz. Margo, Brecht i Rama Joan trzymając się kurczowo za ręce, żeby zachować równowagę, widzieli to wszystko bardzo wyraźnie.

Fioletowozielona istota weszła do latającego talerza za Paulem i Miau.

Naraz, bez dostrzegalnego ruchu, talerz, nie większy teraz od Księżyca, znalazł się o setki metrów nad ich głowami, a właz stał się tylko ledwie widocznym punkcikiem.

Margo schowała szary pistolet pod kurtkę.

Wiatr z lądu ustał.

Punczik zgasł, latający talerz znikł.

Trzymając się za ręce, cała grupa ruszyła w stronę lądu - brnęli po kolana w wodzie, która ciągnęła ich z powrotem, w głąb oceanu.

Bagong Bung wychodząc na swoim kutrze "Machan Lumpur" z wezbranych wód małej zatoki na południe od DoSon, gdzie udało mu się wreszcie pomyślnie, acz z niemiłym w konsekwencjach opóźnieniem, dostarczyć na miejsce przemywany towar, ujrzał wkrótce po zapadnięciu zmroku, jak Wędrowiec wyłania się z przysłoniętej chmurami Zatoki Tonkińskiej. W

tym samym czasie po drugiej stronie kuli ziemskiej, na plaży, mała grupka, co umknęła przed falami tsunami, obserwowała, jak ostatni rąbek planety znika w Pacyfiku. Dla Bagonga Bunga znak in-jang był znanym symbolem chińskim - nazywał go w myśli "dwoma wielorybami" - a zniekształcony Księżyc, na który od razu skierował mosiężną lunetę, skojarzył mu się z olbrzymim worem żółtawych diamentów.

Tak więc dla Bagonga Bunga Wędrowiec, który wchodził na niebo tam, gdzie powinien był ukazać się Księżyc, nie był nieproszonym intruzem, lecz zwiastunem szczęścia, nadprzyrodzoną zachętą. Diamenty przywiodły mu na myśl zatopione statki pełne skarbów, leżące gdzieś tu, na dnie płytkich wód. Natychmiast powziął nieodwołalną decyzję, że kiedy nadejdzie świt, a wraz z nim odpływ, przynajmniej raz spróbuje nurkowania tam, gdzie, jak podejrzewa, leży zatopiony wrak "Królowej Sumatry".

- Wejź na pokład, CobberHume! - zawołał przez zardzewiałą tubę do Australijczyka, który był mechanikiem na "Machan Lumpur". - Mamy szczęście. E, co ci mam mówić. Chodź, to sam zobaczysz. O tak, zobaczysz!

Rozdział 19

Paul znalazł się nagle w morzu ciepła, w morzu słodkich, ostrych zapachów i wesołych pastelowych kolorów, wśród których przeważał żółty, choć gdzieś tam były jaskrawozielone plamy.

Przez pierwszych kilka sekund nie był pewien, czy rzeczywiście został porwany i umieszczony w pojeździe. Wydawało mu się to raczej nagłym przeniesieniem w inny wymiar, w inne miejsce we wszechświecie - miejsce senne i porośnięte dżunglą.

Nie widział właściwie latającego talerza. Kiedy talerz zawisł nad głowami uciekających, Paul, trzymając kurczowo Miau, krztusił się i zmagał ze słoną wodą, a kiedy został uniesiony w górę, pierwszą myślą, jaka przyszła mu do głowy, było przypuszczenie, że następna fala wyrzuciła go wysoko i on teraz płynie na jej grzbiecie.

Dopiero chwilę później przed oczami mignęły mu trzy krótkie, lecz niezwykle wyraźne obrazy: pierwszy - to ogromny, spiczasty, fioletowozielony pysk kota; drugi - para wpatrzonych w niego oczu o niesamowitej pięciopierściennej tęczówce, otaczającej czarne, pięcioramienne gwiazdy źrenicy; trzeci - długa, smukła łapa wielkości ludzkiej ręki, z wąskimi błękitnymi poduszczkami i czterema szponiastymi, fioletowoszarymi pazurami. Podejrzał, że te właśnie pazury wbiły mu się w kołnierz płaszcza, a może również w szyję, nagłąc do pośpiechu.

W następnej chwili płynął, wolno obracał się przez ciepłe, gdzieś tam nakrapiane zielenią, kwieciste, różowe morze.

I nagle w tym morzu ukazał się ciemny otwór, przez który ujrzał Margo - stała po uda w brudnej, spienionej wodzie, trzymała jakiś szary, błyszczący przedmiot i patrzyła w górę na niego - a obok niej Brechta pokrytego pianą, Ramę Joan ubrudzoną piaskiem i jej złocistorude włosy, mokre i poskręcane. Raptem trójka na dole zaczęła maleć z niesamowitą prędkością - Paul miał wrażenie, że ogląda ich przez odwrotną stronę lunety. W tej właśnie chwili uświadomił sobie, że znajduje się na pokładzie latającego talerza, który mu przedtem zaledwie mignął przed oczami, talerza, który leci teraz z prędkością większą niż pocisk mózdzierzowy, a mimo to nie czuje się żadnego przyspieszenia, i wtedy otwór zasłoniły różowe plamy, a właściwie dziwne różowe kwiaty, tak, różowe kwiaty.

Na myśl przyszło mu jedno słowo: antygravitacja. Jeżeli pojazd ma własne zerowe pole grawitacyjne - prawdopodobnie również zerową bezwładność - wyjaśniałoby to brak przyciągania i to, że unosi się - wraz z kroplami wody ze swojego ubrania - w spłaszczonym pokoju, porośniętym kwiatami i pachnącym perfumami. Lewa ręka zapiekła go, jakby użądlna przez osy: to Miau, przerażona dziwnymi wstrząsami i ociekająca wodą morską, z całych sił wbiła w niego pazury. W

nagłym przyplywie bólu Paul odrzucił od siebie mokrą kotkę, która przekręcając się w powietrzu znikła w kwietniku, wzbijając obłok żółtaworóżowych płatków.

W następnej chwili coś go chwyciło z tyłu i przewróciło: uderzył plecami o twardą, gładką jak jedwab kwiecistą powierzchnię. Najbardziej przeraziło go to, że łapa, która oplótła mu szyję - lśniąca, o niezwykłej sile, pokryta zielonym futrem w poprzeczne fioletowe pasy - miała dwa łokcie.

Tak szybko, że nie zdążył się jej przyjrzeć, zielonofioletowa tygrysia istota uczyniła coś z jego nadgarstkiem i kostkami u nóg. Łapy z fioletowoszarymi pazurami szczypały, nie zadając jednak bólu; w pewnej chwili poczuł się tak, jakby oplótł go wąż. Potem tygrysia istota odskoczyła i znikła w kwietniku za Miau, machając długim, puszystym ogonem w fioletowozielone prążki i wzbijając obłok płatków.

Paul usiłował się podnieść, ale okazało się, że może poruszać jedynie głową, i choć grawitacja była wciąż zerowa, leżał spętany, nie mogąc się oderwać od podłogi - co bardziej plastycznie sobie uświadomił, kiedy spojrzął w górę i niecałe trzy metry nad sobą (a może pod sobą lub z boku - nie wiedział, jak nazywać kierunki w miejscu, gdzie nie istnieje grawitacja) ujrzał swoje odbicie: leżał rozpostarty, mokry, oklejony piaskiem, blady, z wytrzeszczonymi oczami, a śmieszny ten i okropny widok potęgowały liczne, coraz mniejsze odbicia odbić.

Zaczął sobie stopniowo zdawać sprawę z kształtu i wyposażenia wnętrza pojazdu. Większość kwiatów, które widział, były to lustrzane odbicia. Sufit i podłogę tworzyły okrągłe, płaskie lustra - oddalone o trzy metry od siebie i mające sześć metrów średnicy. On sam leżał na środku jednego z nich. Ściany między lustrami zdobiły egzotyczne kwiaty o olbrzymich płatkach, kwiaty małe i duże, bladożółte, jasnoniebieskie, fioletowe, karmazynowe - przeważnie jednak różowe lub jasnoczerwone. Kwiaty wyglądały na prawdziwe: miały bowiem liście w kształcie sierpów, włóczni i powyginane łodygi - prawdopodobnie rama hydroponiczna wypełniała wolną przestrzeń między związającymi się, bocznymi krawędziami pojazdu.

Ale nie cały pojazd o przekroju trójkąta zajmowały rośliny, bo przed sobą Paul dostrzegł srebrzystoszarą tablicę sterowniczą, a w każdym razie płaski blat z gładkimi srebrnymi wypukłościami i geometrycznymi wzorami. Przekręcając z trudem głowę, ujrzał podobne tablice w pozostałych rogach. Wszystkie trzy ustawione były na wierzchołkach równobocznego trójkąta wpisanego w pojazd, a każdą z nich przysłaniały bujne kwiaty - podobnie jak przysłonięte bywają typowo użytkowe przedmioty jak piecyk, umywalka, telefon czy sprzęt stereofoniczny w ciasnym mieszkaniu kobiety, przywiązującej wagę do mody i estetyki wnętrza.

Całe pomieszczenie zalewało jasne, ciepłe światło wydobywające się... nie, Paul nie wiedział skąd. Jakby własne wewnętrzne słońce - dziwne to uczucie.

Jeszcze bardziej dziwne było wrażenie, że ktoś wtargnął do jego umysłu i czyta w jego myślach jak w kartach. Przypomnił sobie oklepane twierdzenie, że tonący w ciągu kilku sekund przeżywa całe swoje życie, zastanawiał się, czy to samo dzieje się z człowiekiem tonącym w kwiatach lub ukrzyżowanym przez tygrysa, który zamierza go rozszarpać i pożreć.

Jeszcze bardziej dziwne było wrażenie, że ktoś wtargnął prędko, że widział jedynie zamazane plamy i słyszał niewyraźne dźwięki: własne myśli, które powstawały i znikwały tak błyskawicznie, że nie mógł ich zatrzymać - co za upokorzenie! Kilka obrazów, które udało mu się dojrzeć pod koniec tej umysłowej "odprawy celnej", przedstawiało głównie zoo i balet.

Rozejrzał się wkoło: nie było jednak najmniejszego śladu ani tygrysiej istoty, ani Miau. Niewidoczne słońce wciąż grzało. Kwiaty zastygły w bezruchu, wydzierały duszący zapach perfum.

Don Merriam był w połowie trzeciego okrążenia Wędrowca. Po jego prawej ręce znajdowała się nakrapiana zielonymi plamkami nocna strona dziwnej planety, która wciąż przywodziła mu na myśl brzuch pająka. Przed sobą widział skupisko gwiazd, a po lewej stronie czarny, wydłużający się wciąż, elipsoidalny Księżyc z czarnymi pajęczynowatymi nićmi, ciągnącymi się z nosa Księżyca i odcinającymi się na lśniącym tle nieba. Don był zziębnięty i zmęczony, i już się nawet nie starał uzyskać połączenia radiowego z Ziemią.

Na tle Wędrowca, między planetą a statkiem, tuż przy skupisku gwiazd, ukazał się mglisty, żółtawy punkt. Punkt błyskawicznie zamienił się w żółtą poziomą kreskę, potem w dwie kreski, między którymi czarna przestrzeń wyglądała jak modne, fluorescencyjne reflektory samochodowe, a następnie w dwa żółte, rosnące wrzeciona.

Dopiero wtedy kosmonauta zdał sobie sprawę, że nie jest to wybrzuszenie na powierzchni Wędrowca, ale jakieś materialne obiekty, pędzące wprost na Babę Jagę. Wzdrygnął się i zmrużył oczy - i oto nagle, bez żadnego wyraźnego zwolnienia żółte wrzeciona zatrzymały się po obu stronach Baby Jagi tak blisko, że ekran nie obejmował ich w całości.

Wrzeciona wyglądały teraz jak dwa statki kosmiczne w kształcie talerzy - każdy długości dziesięciu do piętnastu metrów i szerokości trzech metrów. Don przynajmniej miał nadzieję, że to statki, a nie na przykład jakieś potwory kosmiczne.

Przypuszczenia co do ich kształtu znalazły wkrótce potwierdzenie, kiedy bez żadnego widocznego błysku z silników korekcyjnych statki zwróciły się w jego stronę, przybierając kształt kolisty - w jedno koło był wpisany żółty trójkąt, na drugim widniało fioletowe V, którego ramiona sięgały od środka do obwodu koła.

Don poczuł, że kombinezon przyklepa mu się do fotela: Baba Jaga wciągnięta została

między statki - eskortę, jak je nazwał Don - których tylko przednie krawędzie były widoczne teraz na ekranie. Odtąd pojazdy leciały dokładnie w tej samej pozycji, jak gdyby przywarły do małego statku kosmicznego, a także do samego Dona - dziwne to było uczucie.

Następnie spostrzegł, że jasnozielone plamki niczym fosforyzujące stonogi przesuwają się po czarnym wybrzuszeniu Wędrowca!

Potem zauważył, że skupisko gwiazd się rozszerza, a czarny elipsoidalny Księżyc pozostaje w tyle.

Zrozumiał wtedy, że eskorta Baby Jagi unosi ją w górę z prędkością około stu sześćdziesięciu kilometrów na sekundę. Nie czuł najmniejszego przeciążenia: gdyby było, cisnęłoby go o ścianę statku, może nawet przebiłoby nim ścianę na wylot.

Ani razu w ciągu ostatnich kilku godzin, nawet wtedy, gdy leciał przez Księżyc, kosmonauta nie pomyślał: To halucynacja. Ale przyszło mu to do głowy właśnie teraz. Przyspieszenie i cena, jaką się za nie płaci w paliwie i odkształceniach będących skutkiem przeciążenia - to były akurat podstawowe wiadomości z jego dziedziny. To jednak, co się teraz działo z jego ciałem i z Babą Jagą, nie tylko było czymś dziwnym i niezrozumiałym, ale również stanowiło całkowite zaprzeczenie wszystkiego, co wiedział o lotach kosmicznych i ich nieprzekraczalnych możliwościach. Przed chwilą leciał z prędkością ośmiu kilometrów na sekundę, a teraz leci z prędkością stu sześćdziesięciu kilometrów na sekundę pod kątem prostym do poprzedniej trasy. Nie czuje jednak prędkości ani pracy silnika raketowego, strzelającego płomieniem gorętszym od niebieskiej gwiazdy - to nie tylko niesamowite, to wprost niemożliwe.

A jednak zielone plamki w dole znikają z pola widzenia, a skupisko gwiazd w górze wciąż się rozszerzało, aż nagle Baba Jaga wyleciała powyżej Wędrowca na światło słoneczne. Promienie odbite z lewej strony ramy ekranu i z żółtej krawędzi lewego talerza raziły Dona. Zamknął oczy, po omacku poszukał okularów polaryzacyjnych, włożył je, po czym otworzył oczy i rozejrzał się.

Baba Jaga, uwięziona między eskortującymi ją strażnikami, z niesamowitą prędkością pięła się w górę wokół Wędrowca. Ekran przesunął się lekko w prawo i patrząc sponad planety, Don ujrzał Ziemię, głównie Ocean Spokojny, i olśniewającą biel słońca, którego promienie raziły go nawet przez okulary.

Na powierzchni planety znajdującej się pod nim była noc, wkrótce ukazał się znamionujący dzień żółty sierp, którego dalszy tylko brzeg był fioletowy.

Nad nim i wokół niego białe nici z Księżyca wiły się na tle migoczącego gwiazdami nieba. Dwie z nich były teraz grubsze - już nie nici, lecz sznury.

Hen przed nim wstęgi zbiegały się i skręcały w stronę bieguna północnego Wędrowca. Tam, ściśnione, choć wciąż pozostające oddzielnie, łączyły się z aksamitną powierzchnią planety,

niektóre po jej stronie dziennej, inne po nocnej - w sumie było ich kilkanaście. Przypominały teraz dziwne, bezlistne winorośle, wyrastające z czubka Wędrowca. W tym też kierunku mknęła Baba Jaga i jej eskorta.

Wtem, kiedy Don pewien był, że zaraz miną powiększające się łądygi albo na nie wpadną, jego ugruntowane dotychczas wiadomości o lotach kosmicznych znów okazały się mylne: Baba Jaga i jej eskorta w jednej chwili, bez żadnych odczuwalnych zmian, straciły prędkość, kierując się jednocześnie w czarnożółte miejsce, z którego wyrastały owe łądygi.

Albo eskorta Baby Jagi ma bezinercyjny napęd - hipoteza, z której śmieją się wszyscy oprócz autorów literatury fantastyczno-naukowej - i unosi Babę Jagę w swoim zerowym polu grawitacyjnym, albo on, Don, ma halucynacje, albo...

Zwrócił się w stronę tablicy sterowniczej, żeby za pomocą radaru ustalić odległość od powierzchni znajdującej się pod nim. Ku swojemu zdziwieniu natychmiast usłyszał echo.

Znajdował się pięćset kilometrów nad powierzchnią planety i zbliżał się do niej z prędkością szesnastu kilometrów na sekundę.

Odruchowo nastawił silniki korekcyjne, żeby obrócić Babę Jagę i w razie czego hamować głównym silnikiem, używając resztek paliwa, jakie mu zostały.

Jednakże Baba Jaga nie drgnęła. Ekran wciąż był zwrócony w kierunku planety. Kosmonauta teraz dopiero spostrzegł, że leci w dół po stronie dziennej, równoległe do jednej z nici, która przedtem zamieniła się w sznur, a potem w łądygę. Była teraz ogromna, szeroka może na półtora kilometra, wypełniająca jedną czwartą ekranu. Ale z tej niesamowitej perspektywy łądyga niczym karykatura kolumny projektowanej przez Wrighta - szeroka u góry, a coraz cieńsza u podstawy - zamieniała się niemal w punkt tam, gdzie stykała się z planetą po jej nocnej stronie tuż obok linii dnia.

Oglądając kolumnę z tak bliska, Don zauważył, że jest gładka tylko z wierzchu, a wypełniona ostrymi kamieniami, odłamkami skał i pyłem księżycowym, pochodzącym, jak się już przedtem zorientował, z wirujących szybów na nosie Księżyca.

Kamienie przemykały obok niego niczym pociąg, który jedzie po sąsiednim torze nieco prędzej niż ten, którym my jedziemy.

Oznaczało to, że kolumna spada w dół z tą samą prędkością, co Baba Jaga - szesnaście kilometrów na sekundę. Ale dlaczego w takim razie nie następuje olbrzymi wybuch, kiedy kamienie uderzają o powierzchnię Wędrowca?

Nagle kamienie zaczęły mu przelatywać z niebywałą szybkością przed oczami, tak że po chwili nie mógł ich odróżnić, jakby pociąg jadący po sąsiednim torze zamienił się w ekspres.

Albo kolumna zwiększyła prędkość, albo... Znów sprawdził radarem. Wysokość Baby Jagi i

jej eskorty zmniejszyła się do pięćdziesięciu kilometrów, ale teraz zbliżali się do planety już tylko z prędkością półtora kilometra na sekundę.

A więc to drugie - Baba Jaga zwolniła. Radar wskazywał, że prędkość już nie maleje. Przez ostatnie dwadzieścia minut Don szukał jakichś śladów na powierzchni pod nim. Ale nie znalazł nic - żadnych świateł po nocnej stronie planety, nic, oprócz gładkiej, cytrynowej równiny tam, gdzie był dzień. Potężna, szeroka kolumna z kamiennym pyłem nadal opadała.

Czas uciekał - kosmonauta był już w cieniu planety.

Zdjął okulary. Przednie krawędzie towarzyszących mu statków miały ten sam fosforyzujący żółty odcień, co wtedy, kiedy byli za planetą. Przez chwilę zdawało mu się, że widzi ich niewyraźne odbicie w ciemnej powierzchni w dole. Przygotowywał się na zderzenie i śmierć.

Wtem czarna powierzchnia znikła, jakby Baba Jaga wraz ze swoją eskortą przebiła się nie uszkodzona przez sufit olbrzymiego oświetlonego pokoju i znalazła się wysoko w górze nad inną, nową powierzchnią.

Nie ulegało wątpliwości, że powierzchnia na pewno jest daleko w dole, gdyż spadająca kolumna kamieni księżycowych, wciąż szeroka u góry, zwężała się do punktu przy zetknięciu z nową powierzchnią - ten dziwny skrót perspektywiczny sprawiał, że wyglądała teraz jak trójkąt.

Można było wyciągnąć jeden wniosek. Powierzchnia Wędrowca, którą widział do tej pory - powierzchnia, która tak dokładnie odbijała światło słoneczne i promienie radaru, która była żółta i fioletowa tam, gdzie panowała noc - to nic innego jak powłoka, powłoka tak cienka i delikatna, że malutki statek jak Baba Jaga mógł ją przebić lecąc z prędkością półtora kilometra na sekundę bez żadnego wstrząsu czy uszkodzeń, powłoka, która zasłania i maskuje sztuczne oświetlenie i prawdziwe życie Wędrowca, powłoka, która rozciąga się trzydzieści kilometrów nad prawdziwą powierzchnią planety - jeżeli to, na co teraz patrzy, jest prawdziwą powierzchnią, a nie kolejnym złudzeniem.

Była to prawdziwa powierzchnia, jeżeli złożoność i masywność można było przyjąć za kryteria. Ekran Baby Jagi wypełniała rozległa, lekko oświetlona równina, pokryta jeziorami, a przynajmniej jakimiś gładkimi, turkusowymi połaciami, równina, na której widać było błyszczące u dołu, okrągłe, półtorakilometrowe szyby, równina, zapełniona olbrzymimi bryłami wszystkich kolorów i kształtów geometrycznych, jakie można sobie wyobrazić: stożki, sześciiany, walce, spirale, półkule, zikkuraty, rozety - dla Dona było to czysto geometryczną abstrakcją. . Potężne budynki, maszyny, pojazdy, dzieła sztuki? Bryły mogły być każdą z tych rzeczy. Nasunęły mu się pewne porównania. Japońska sztuka układania kamieni na gigantyczną skalę. Okładki książek fantastycznonaukowych, przedstawiające ciągnącą się w nieskończoność podłogę, pokrytą abstrakcyjnymi rzeźbami, które wyglądają jak żywe.

Następnie wrócił myślami do wspomnień z wczesnego dzieciństwa. Przypomnił sobie, jak rodzice zabrali go z wizytą do babci w Minneapolis, przypomniał sobie kwaskowaty, cierpki zapach jej wysokiej bawialni, to, jak go ojciec podsadził, żeby obejrzał - broń Boże niczego nie dotykając - dziwaczny mebel, zastawiony, jak się później zorientował, muszlami kauri, chińskimi monetami, przyciskami do papieru, wyszlifowanymi okazami geologicznymi, kwiatami wtopionymi w plastik i innymi bibelotami, które dla małego Dona były dziwne i zagadkowe, choć niezwykle fascynujące. Teraz znów stał się małym Donem.

Między nim a równiną, choć nie bezpośrednio pod nim, wisiały małe, ciemne chmury o nieregularnych kształtach, a w nich, jak tęczowe jaja w gnieździe, leżały wielkie błyszczące kule, z których strzelało w górę światło o przeróżnych barwach.

Wkrótce chmury znikły, przypominając mu o tym, że Baba Jaga, której prędkość prawie wcale się nie zmniejszyła, zbliża się do imponująco zabudowanej powierzchni w dole. Widoczny na ekranie odcinek równiny też się raptownie kurczył, a piękne, nie zidentyfikowane bryły rosły w oczach. Don nie czuł jednak strachu - uczucie strachu przysło, kiedy przebił się przez powłokę Wędrowca.

Baba Jaga i jej eskorta kierowały się do punktu między dwoma dużymi szybami, znajdującymi się tak blisko siebie, że Don miał z początku wrażenie, że się stykają. Do jednego szybu wpadała kolumna kamieni. Z drugiego promieniowało charakterystyczne dla tych szybów mgliste światło.

Wreszcie dostrzegł przestrzeń dzielącą szyby - przypominała srebrzystą wstęgę. Jeden ze statków towarzyszących Babie Jadze leciał tak blisko spadającej kolumny kamieni, że przez chwilę kosmonauta myślał, że się z nią zderzy. W następnej sekundzie bez najmniejszego wstrząsu, zupełnie jak w transie, Baba Jaga zatrzymała się cztery metry nad matowosrebrzystym chodnikiem - chodnik był tak blisko, że Don bez trudu ujrzał wryte na nim wzory: kolistą, zawiłą arabeskę, otoczoną pierścieniami hieroglifów.

Wciąż w stanie nieważkości wisiał nad ekranem i patrzył w dół: czuł się jak ryba, która wygląda przez szklaną szybę akwarium.

Nagle Baba Jaga zaczęła się przekręcać, jakby włączono silniki korekcyjne albo jakby chwyciła ją jakaś potężna ręka. Don złapał się za fotel, żeby nie stracić równowagi.

Ruch ustal, kiedy dysze głównego silnika znalazły się prostopadle do srebrzystej powierzchni. Pole grawitacyjne powoli zaczęło oddziaływać zarówno na kosmonautę, jak i na statek. Kosmonauta usłyszał trzy lekkie uderzenia i jednocześnie poczuł trzy szarpnięcia: nogi statku osiadły na ziemi. Trzymał się kurczowo fotela, jego ciało zaś stawało się coraz cięższe, aż - o ile mógł być tego pewien po miesiącu spędzonym na Księżycu - osiągnęło wagę taką lub prawie

taką, jaką miało na Ziemi.

Jednakże Don dostrzegł te zjawiska jakby mimochodem, całą uwagę bowiem skierował na ekran, przez który widział niebo Wędrowca - spód powłoki, przez którą przebił się czterdzieści sekund temu.

W górze małe ciemne chmury, mniejsze niż przedtem, gdyż nie było już widać leżących w nich połyskliwych kul, powoli przesuwały się po niebie niczym małe chmury deszczowe, które, gnane lekkim zachodnim wiatrem, płyną nad pustynnymi obszarami południowoschodniej części Stanów Zjednoczonych. Spadająca kolumna kamieni, sięgająca samego nieba, teraz szeroka u podstawy, a zwężająca się ku górze, zasłaniała sporą część nieba.

Niebo nie było ani jasnofioletowe, ani żółte, ani czarne, ani gwiazdziste. Było powoli wirującą mieszaniną wszystkich ciemnych kolorów, mroczną tęczą po burzy, wciąż mieniącą się faliście. Miało w sobie harmonię i piękno nieustającej symfonii barw, jednocześnie zaś było naturalne, niosło obietnicę nowych, istotnych zmian. Don nie wiedział, skąd pochodzi światło - czy jest blaskiem planety, czy światłem wydobywającym się z niewidocznych już teraz kul na chmurach, czy może pochodzi z innego źródła. Kojarzyło mu się to z lśniącymi smugami rozlanego na wodzie oleju albo z pełnym dynamizmu obrazem van Gogha „Gwiazdzista noc”, ale najbardziej przypominało mu intensywne, błyszczące barwy, jakie przewijają się w ciemnościach przed oczami.

Kiedy tak rozmyślał, doznając wrażenia, jakby się znalazł wewnątrz czyjegoś gigantycznego mózgu, usłyszał cichy zgrzyt, od którego krew zastygła mu w żyłach. Odwrócił się w porę, żeby zobaczyć, jak ostatnia zasuwa na klapie wjazdu przesuwa się: klapa otworzyła się bez widomej pomocy, ukazując drabinę prowadzącą z kabiny na pustą, srebrny chodnik.

Głos, dziwnie miły i kuszący, zawołał z leciutkim obcym akcentem:

- Chodź! Zdejmij kombinezon i zejdz na dół!

W Australii, w Indonezji, na Filipinach, w Japonii i we wschodniej części Chin i Syberii nastąpiła już noc. Wędrowiec, w którym wszyscy widzieli symbol in-jang czy mandałę, poruszył religijne lub mistyczne struny w milionach ludzkich umysłów. Azja Wschodnia przyłączyła się do Ameryki, ostrzegając mieszkańców sceptycznych starych kontynentów, położonych dalej na zachód - centrum kultury świata - przed tym, co zobaczą, gdy zapadnie zmrok.

Rozdział 20

Niewidzialne słońce osuszyło już zupełnie Paula Hagbolta, który wciąż leżał nie mogąc się poruszyć i z musu wpatrując się w swoje odbicie, gdy nagle przy tablicy sterowniczej na wprost siebie ujrzał dwa zagadkowe kocie pyszczki, obserwujące go zza kwietnika. Mniejszy należał do Miau, drugi natomiast był wielkości twarzy ludzkiej. Koty z wdziękiem wypłynęły z mroku, nie potracając ani jednego różowego płątka czy zielonej łodygi, i nie zwracając najmniejszej uwagi na Paula zawisły naprzeciw siebie w powietrzu tuż przed kwietnikiem, profilami do więźnia.

Tygrysia istota trzymała małą, szarą kotkę na wyciągniętej łapie i szczupłym, zielonym drugim przedramieniu - Paul uświadomił sobie, że dodatkowy łokieć, który go z początku tak zaskoczył, to tylko zwykły koci nadgarstek znajdujący się nad wydłużonymi kośćmi łapy.

Futerko Miau było teraz suche i puszyste: kotka najwyraźniej nie czuła żadnego lęku, bo przekręciła się na wznak, szary ogonek położyła na łapie w fioletowe pasy i z powagą spojrzała w wielkie, fioletowe oczy swojej strażniczki, a raczej - sądząc z pozorów - w oczy nowej przyjaciółki.

Kotki do złudzenia przypominały matkę i małą córeczkę.

Stosunek Paula do tygrysiej istoty, a nawet jego pojęcie o niej uległy raptownej zmianie, gdy się jej dobrze przyjrzał. Myślał o niej teraz jako o istocie płci żeńskiej, ponieważ nie widział żadnych narządów płciowych oprócz pary małych fioletowych sutków ukrytych w zielonym futrze na wysokości piersi.

Jak na kotkę miała krótki tułów, łapy natomiast długie - z ziemskich kotów najbardziej przypominała budowę geparda, choć była znacznie od niego większa: miała wymiary człowieka. Ogólne proporcje jej ciała też były raczej ludzkie niż kocie - Paul podejrzewał, że w normalnych warunkach grawitacyjnych poruszałyby się z równą swobodą na dwóch łapach, co na czterech.

Szyję, pierś, podbrzusze i wewnętrzne strony łap okrywało zielone futro, pozostałe zaś części ciała futro zielone w fioletowe pasy.

Uszy miała stojące jak wszystkie koty, ale w przeciwieństwie do nich, wysokie i szerokie czoło, które jakby uwydatniało trójkątny kształt pyszczki; był to jednak pyszczek typowo koci aż po czubek niebieskiego noska i koniuszki jasnych wąsów. Poza niewielką zieloną maseczką wokół oczu futro na pyszczku było fioletowe.

Szczupłe łapy mimo drugiego przedramienia wyglądały teraz jak ręce - ręce z czterema palcami i kciukiem. Pazury były niewidoczne, najpewniej cofnięte i schowane.

Pasiasty fioletowozielony ogon zwisał wdzięcznie nad lekko ugiętą nogą.

Paul nagle zdał sobie sprawę, że w sumie - mimo ogona! - istota przypomina szczupłą,

wysoką kobietę w obcisłym kostiumie, w którym ma tańczyć rolę kotki w balecie. Kiedy o tym pomyślał, przeszył go niepokojący dreszcz.

W tej właśnie chwili tygrysia istota przemówiła - niezbyt poprawnie i z dziwnym akcentem, ale zupełnie wyraźnie, zwracając się zresztą nie do Paula, lecz do Miau.

Miał wrażenie, że śni, tak nieprawdopodobna była cała sytuacja.

- Chodź, maleńka - powiedziała tygrysia istota, lekko wydymając czerwone wargi. - My teraz przyjaciele. Nie bądź nieśmiała.

Miau wciąż patrzyła na nią z powagą i zadowoleniem.

- Ty i ja rodzina - ciągnęła przyjaźnie tygrysia istota. - Czuję, ty bez strachu. Więc mów. Pytaj.

Nastąpiła cisza. Paul czuł, że zachodzi wielkie nieporozumienie. Po chwili tygrysia istota znów się odezwała:

- Ty nieśmiała! Chcesz moje imię? Wiem twoje. A moje? Tygryska! Wymyśliłam dla siebie specjalnie. Ty myślisz, że ja okropny tygrys i piękna baletnica. Baletnice mają końcówki: "enKaź_ sđf nKj ż

- Ty traktujesz - maleńką - jak zwierzę - jak maskotkę?

Ostatnie słowo wymówiła z pogardą, tonem lodowatym, pełnym oburzenia.

Paul, oszalały z przerażenia, przypomniał sobie naraz, co wciąż powtarzała Margo, i krzyknął:

- Nie! Nie! Kot to też człowiek!

Niegdyś Don Merriam stał na brzegu Wielkiego Kanionu na Ziemi. Stał również na szczycie Gór Leibniza przy biegunie południowym Księżyca. Ale nigdy jeszcze - z wyjątkiem przelotu Babą Jagą przez Lunę - a z pewnością nigdy będąc na Ziemi nie widział czegoś tak głębokiego jak ten otwarty, okrągły szyb o średnicy półtora kilometra, znajdujący się zaledwie kilkanaście kroków od miejsca, gdzie na srebrzystym chodniku, z drabiną opuszczoną między trzema nóżkami, stała Baba Jaga.

Jaką głębokość ma ten szyb? Osiem kilometrów? Czterdzieści? Osiemset? Półtora-kilometrowa średnica ciągnęła się przez całą jego długość. Pusty szyb, przeciwieństwo spadającej kolumny kamieni księżycowych, zwężał się daleko w dół w małą, niewyraźną plamkę, nie większą od kropki, ale zwężenie było tylko złudzeniem optycznym, spowodowanym ograniczonymi możliwościami ludzkiego wzroku.

Donowi przeszło przez myśl, że szyb biegnie przez całą długość planety: jeżeli więc on sam skoczy w dół, nie osiągnie dna szybu, lecz po przebyciu około sześciu i pół tysiąca kilometrów - nużący, prawie dwudziestogodzinny lot, dość chyba długi, żeby człowiek umarł z pragnienia, jeśli przyjąć, że prędkość graniczna w atmosferze planety jest taka sama jak na Ziemi - przeleci kilkakrotnie tam i z powrotem przez środek planety, w stanie nieważkości zatrzyma się w miejscu i powoli dopłynie do ściany szybu, tale jak to było w kabinie Baby Jagi podczas swobodnego spadania - przez Księżyc.

Oczywiście tam w dół, sześć i pół tysiąca kilometrów niżej, ciśnienie powietrza w jednej chwili może go zmiażdżyć - może nawet zamienić tlen w tlen jednoatomowy - ale o n i z pewnością potrafią temu zaradzić, muszą mieć sposoby na to, aby na różnych głębokościach powietrze było tak rzadkie lub tak gęste, jak sobie tego życzą.

Myślał intensywnie w kategoriach ich możliwości, których przybywało za każdym razem, gdy tylko na coś spojrział, za każdym razem, gdy o czymś pomyślał, choć dotychczas nikogo z nich nie widział.

Znów wróciły wspomnienia rojeń z czasów dzieciństwa: przypomniał sobie dół, który odkrył na farmie swoich rodziców i który prowadził na drugą stronę Ziemi. Patrzył więc teraz do szybu, szukając gwiazdy, a raczej błysku dnia na antypodach pod przysłoną sztucznego nieba,

trzyście tysięcy kilometrów niżej. Szukał, choć wiedział, że jest to niepodobieństwo optyczne, a w każdym razie uniemożliwiłyby to światła, które płonęły, błyszczały i mrugały ze ścian na każdym piętrze szybu.

Najdziwniejszą i najbardziej nienaturalną właściwością szybu było właśnie to, że był nienaturalny: nie był zjawiskiem geologicznym ani szybem wywierconym w skałę - zresztą nie było tu w ogóle skał - lecz sztucznie wzniesioną budowlą, złożoną z pięter zdalnych do zamieszkania i ciągnących się w nieskończoność. Pierwsze piętra występowały mniej więcej trzydzieści metrów od krawędzi, a dalej nie było już między nimi większych przerw.

Był pewien, że widzi wyraźnie setki pięter, dopiero dalsze zlewały się i łączyły, ale to znów było skutkiem ograniczonych możliwości ludzkiego wzroku. Sądząc jednak po górnych piętrach, wszystkie były wysokie i przestronne, jakby toczyło się tu życie wspanialsze i bogatsze niż na Ziemi, mimo że u Dona ta mnogość pokoi i korytarzy budziła uczucie zbliżone do klaustrofobii.

Widok ten przywodził mu jedynie na myśl - choć te skojarzenia dalekie były od obrazu rzeczywistości - obramowane balkonami wewnętrzne dziedzińce wielkich domów towarowych lub biurowców albo też okienka w dachu ogromnej biblioteki, przez które widać niezliczone rzędy półek z książkami.

Zdawało mu się, że w dole dostrzega mata sterówce, które niczym leniwe chrząszcze - kilka nawet błyszczało jak fosforyzujące owady w krajach tropikalnych - latają w szybie w różnych kierunkach.

Chcąc zajrzeć głębiej do wnętrza szybu, wychylił się, trzymając się mocno gładkiej górnej poręczy balustrady otaczającej szyb. Nawet tak prosty szczegół jak balustrada był (intrygującym dowodem i c h możliwości, poręcze bowiem nie miały podpórek. Balustrada składała się z dwóch cienkich, srebrzystych poręczy, każda długości półtora kilometra, zawieszonych jedna pół metra, a druga metr nad krawędzią przepaści, jeżeli nawet miały niewidzialne podpórki, Don na żadną nie natrafił. Po pierwszych dwustu metrach poręcze znikwały w oddali niczym druty telegraficzne, przypuszczał jednak, że obiegają cały szyb.

Mając tyle śladów i dowodów i c h niemal magicznych możliwości, ich wiedzy i techniki, zarówno w szybie, jak i na górze, Don zastanawiał się, gdzie o n i są? Dlaczego tak długo pozostawiają go samego?

Odwrócił się plecami do szybu i niespokojnie rozejrzał wokoło, ale ani na srebrzystym chodniku, ani przy wznoszących się na nim bezokiennych, geometrycznych bryłach nie dojrzał żadnej żywej istoty czy czegośkolwiek, co mógłby uznać za żywe, a co z wyglądu przypominałoby człowieka, zwierzę lub roślinę.

Dwa fioletowożółte, wypukłe pośrodku talerze latające tak jak wtedy, gdy widział je po raz

ostatni, wciąż tajemniczo wisiały cztery metry nad chodnikiem, a Baba Jaga znajdowała się między nimi w tej samej pozycji, co wtedy, gdy opuszczał kabinę. Dotychczasowy bieg wydarzeń był następujący: kiedy ktoś przemówił do niego śpiewnie i z lekkim obcym akcentem, kosmonauta posłusznie, nawet ochoczo, zdjął kombinezon i prędko zszedł po drabinie, ale w dole nie ujrzał nikogo. Odczekał kilka minut, potem podszedł do szybu i tu stanął zafascynowany.

Teraz zaczął się zastanawiać, czy głos nie był po prostu złudzeniem. Przecież to nierozsądne przypuszczać, że by mieszkaniec obcej planety od razu, bez żadnej nauki, potrafił mówić w jego języku. Ale czy rzeczywiście takie nierozsądne? Ich możliwości...

Wziął głęboki oddech. Przynajmniej powietrze było prawdziwe.

Panowała grobowa cisza: dopiero gdy zamknął oczy i stanął bez ruchu, powoli wypuszczając powietrze, usłyszał odległe, przytłumione, głuche dudnienie. Pulsowanie krwi tej dziwnej planety? Czy pulsowanie własnej krwi? A może dudniący odgłos wydaje kolumna kamieni księżycowych, która wpada do szybu znajdującego się nie dalej od Baby Jagi i statków niewidzialnie zawieszonych w przestrzeni niż on sam, tyle że po ich przeciwnej stronie.

Na pierwszy rzut oka szara kolumna, zajmująca jedną trzecią horyzontu i zwężająca się raptownie w mały punkt na niebie, wyglądała jak potężna góra, ale kosmonauta wiedział, że kolumna spada z tak ogromną prędkością - przypuszczalnie nadal z prędkością szesnastu kilometrów na sekundę, tak jak nad powłoką osłaniającą atmosferę planety - iż nie sposób odróżnić jej poszczególnych składników.

Obserwując kolumnę, Don ujrzał zmiany stopniowo zachodzące w jej konturach: wybrzuszenia i szczeliny, które powstawały powoli i utrzymywały się przez kilka sekund, a potem wtapiały się w gładką całość. Przywodziło to na myśl dziwne, groteskowe kształty, jakie przybiera silny strumień wody z kranu - czasem dziwny kształt utrzymuje się tak długo, że ma się wrażenie, iż to nie bieżąca woda, lecz twardy kryształ.

Ale jak to możliwe, żeby kolumna spadająca z ponaddźwiękową prędkością - w dwie sekundy od nieba do chodnika! - przez powietrze, o którym wiedział, że istnieje, bo przecież nim oddychał, nie powodowała porywistej zawiei pyłnej i nie huczała jak dziesięć startujących rakiet czy jak dwadzieścia wodospadów Niagara?

O n i zapewne, stosując jakieś nie znane ludziom pole siłowe, stworzyli bezścienny kanał próżniowy, podobnie jak - przyszło mu to teraz na myśl - stworzyli bezścienną próżnię rurową, którą, po przebiciu się przez powłokę nieba, leciała Baba Jaga i jej eskorta... a nawet jeszcze przedtem, kiedy leciała przez rozrzedzone, plazmę i mikro meteoryty w przestrzeni.

Wciąż patrzył na tę dziwnie zwężoną u góry szarą kolumnę. Jak długo może trwać ten monstualny przerzut? Jak długo przy obecnym tempie eksploatacji będzie istniał Księżyc, nawet w

postaci elipsy z jasnego żwiru? Ile czasu minie, nim masa Księżyca w całości znajdzie Się na Wędrowcu?

Umysł Dona, obeznany z mechaniką i geometrią przestrzenną, natychmiast udzielił mu przybliżonej odpowiedzi, że potrzeba ośmiu tysięcy dni, aby jedna taka kolumna pędząca z prędkością szesnastu kilometrów na sekundę wchłonęła całą masę Księżyca. Kolumn tych widział dopiero kilkanaście.

Ale o n i mogą przyspieszyć prędkość kolumny, mogą uruchomić nowe kolumny, a poza tym niewykluczone, że inne już działają na biegunie południowym Wędrowca. Rozejrzał się i rzeczywiście zobaczył w oddali trzy następne: wyglądały jak olbrzymie, szare węże wijące się w górę.

Niebo było teraz ciemnoniebieskie, ciemnozielone i brązowe, a kolory wirowały na nim wolno jak skłębiona woda w olbrzymiej, groźnej rzece. Don spojrział na jaśniejsze bryły wznoszące się wszędzie na pustym srebrnym chodniku w pewnej odległości od szybów; przebieg! wzrokiem po tych potężnych, gładkich, pastelowych bryłach o przeróżnych kształtach, których krąg przerywała jedynie spadająca kolumna kamieni, i nagle doznał wrażenia, że odkąd patrzył na nie po raz ostatni, niektóre bardziej oddalone bryły zmieniły pozycję i kształt - a nawet przysunęły się bliżej.

Sama myśl, że olbrzymie budynki - albo czymkolwiek są te bryły - poruszają się, kiedy wokoło nie ma żadnych innych śladów życia, zaniepokoiła go: obrócił się w stronę otoczonego srebrnymi poręczami szybu i obserwując górne piętra zaczął rozpaczliwie szukać choćby najlżejszych oznak życia. Rozglądając się we wszystkie strony najpierw usiłował zbadać górne piętra bezpośrednio pod sobą, ale srebrny występ, na którym stał, wysunięty niczym okap dachu kilka metrów nad szybem, zasłaniał mu widok. Spojrział więc w okna i balkony po przeciwnej stronie i w następnej chwili wydało mu się, że widzi matę, ruchome postacie, ale z tej odległości nie mógł być pewien, czy się nie myli, tym bardziej że wszystko mu już wirowało przed oczami. Zastanawiał się, czy nie wrócić do kabiny po lornetkę, kiedy usłyszał za sobą miły, ale stanowczy głos:

- Chodź.

Kosmonauta obrócił się bardzo wolno. Przed nim stało - z gracją i dumnym spojrzeniem matadora - szczupłe, trochę wyższe od niego, czarne, dwunożne stworzenie nakrapiane czerwonymi cętkami: coś pomiędzy kotem a istotą człękkształtną. Wyglądało jak gepard z wysokim czołem, trochę wyższy od stojącego na dwóch łapach kuguara albo jak szczupły, czarny tygrys w czerwone łaty, ubrany w czarny turban i wąską czerwoną maskę - turban, to wypukłe czoło i skronie inne niż u kotów. Ogon niczym czerwona włócznia sterczał za plecami. Stworzenie

miało stojące uszy i wielkie spokojne oczy, których źrenice przypominały kwiaty.

Nie zmieniając prawie pozycji złączonych, szczupłych nóg, a jednak wdzięcznym, tanecznym ruchem, stworzenie zapraszającym gestem wyciągnęło rękę o czterech palcach, otworzyło cienkie usta w czarnej połowie maski i ukazując ostre końce kłów, powtórzyło łagodnie:

- Chodź.

Powoli, jak we śnie. Don podszedł. Kiedy się zatrzymał, stworzenie skinęło głową i nagle płyta chodnika, na której obydwójce stali - okrągła, srebrna płyta o średnicy mniej więcej trzech metrów - bardzo wolno zaczęła się zapadać. Stworzenie delikatnie oparło rękę na jego ramieniu. Donowi przypomniał się Faust i Mefistofeles zstępujący do piekła. Faust chciał zdobyć najwyższą wiedzę. Za pomocą magicznych luster Mefistofeles pozwolił mu wszystko ujrzeć. Ale jaki magiczny przyrząd daje zrozumienie?

Zapadli się do wysokości kolan, kiedy na niebie coś błysnęło. Za Babą Jagą zawisł nagle trzeci talerz latający i statek tak podobny do Baby Jagi, że Donowi dech zaparło w piersiach. Pomyślał, że to Dufresne. Ale po chwili ujrzał znaczne różnice w konstrukcji pojazdu i czerwoną, radziecką gwiazdę.

Płyta, na której stali, osunęła się niżej i srebrzysta krawędź chodnika przesłoniła mu widok.

Rozdział 21

Tylko niewielka ilość osób miała bezpośredni kontakt z Wędrowcem i jego mieszkańcami, nieco więcej ludzi obserwowało planetę w sposób naukowy, korzystając z teleskopów i urządzeń pomiarowych, ale przeważająca większość wiedziała o nowej planecie tylko tyle, ile zdołała dojrzeć gołym okiem i wywnioskować ze zniszczeń wyrządzonych przez przybysza. Pierwsza seria zniszczeń miała charakter wulkaniczny i diastroficzny. Skutki pływów, a właściwie naprężenia pływowego, znacznie prędzej ujawniły się w skorupie ziemskiej niż w hydrosferze.

W ciągu sześciu godzin od ukazania się Wędrowca w strefie sejsmicznej okalającej Pacyfik występowały trzęsienia ziemi, które przez środek Azji docierały do północnych brzegów Morza Śródziemnego. Ziemia pękała, miasta wabiły się w gruzy. Wulkany dymiły, pluły ogniem. Kilka wybuchło. Wstrząsy - spośród nich wiele podwodnych - nastąpiły w tak odległych od siebie miejscach jak Alaska i Antarktyda. Olbrzymie tsunami szalały po oceanach, a potężne, długie fale piętrzyły się i niczym gigantyczne pięści spadały na przybrzeżne mielizny. Ginęły setki tysięcy ludzi.

Mimo to istniało wiele obszarów, nawet w pobliżu morza, na których zniszczenia i spustoszenia były tylko znane z pogłosek, z nagłówków w gazecie czy też, póki Wędrowiec swoim ukazaniem się na horyzoncie nie zakłócił wszystkich fal radiowych, z wiadomości usłyszanych w radiu.

Richard Hilary spał prawie całą drogę przez Berks, nie pamiętał wcale Reading i dopiero teraz, gdy autobus po raz pierwszy przejeżdżał przez Tamizę nie opodal Maidenhead, zaczął się powoli budzić. Usiłował sobie wmówić, że zmęczył go nie tyle nocny spacer - był doskonałym piechurem - co literackie tyrady Dai Daviesa.

Dochodziło południe i autobus zbliżał się do ciemnych zarysów zakopconego Londynu i ujścia Tamizy. Richard podciągnął wreszcie zastanę i z upodobaniem rozpoczął smętne rozważania o zgubnych skutkach uprzemysłowienia, przeludnienia i wielkiej zabudowy, - Wiele pan stracił, przyjacielu - zagaił niski mężczyzna w meloniku, siadając obok Hillaryego.

Richard z grzeczności, choć bez entuzjazmu, zapytał, co się stało, a na to mężczyzna ochoczo zaczął mu streszczać bieg wypadków. Wieczorem na całym świecie nastąpiły liczne trzęsienia ziemi - podobno jakiś sejsmolog policzył zygzaki na bębnie i stwierdził: "Bezprecedensowe!" - w wyniku których istnieje również groźba wystąpienia pływów u wybrzeży Wielkiej Brytanii: ostrzeżono już rybaków, żeglarzy i rozpoczęto ewakuację ludności z niektórych nizinnych miejscowości nadmorskich. Kilku naukowców, zapewne dla wywołania sensacji i

popłochu, przepowiedziało ogromne pływy w niedalekiej przyszłość!, ale władze stanowczo zaprzeczyły tym mocno wyolbrzymionym doniesieniom. Ludzie o mentalności korektorów z radością wskazywali, że mylenie pływów z tsunami jest błędem powszechnym i starym jak świat.

W tym ogólnym podnieceniu nikt już przynajmniej nie mówił o ogromnym amerykańskim talerzu latającym. Żeby jednak nie pozostać w tyle. Związek Radziecki zaprotestował gwałtownie przeciw tajemniczemu, skutecznie odpartemu zamachowi na ich bezcenną bazę księżycową.

Richard nie po raz pierwszy zauważył, że przemysł telekomunikacyjny, którym chełpi się nasze stulecie, przede wszystkim napędza rządów i państwom śmiertelnego strachu, a zarazem sprawia, że ogarnia ich śmiertelna nuda.

Nie podzielił się tym spostrzeżeniem ze swoim sąsiadem, lecz kiedy autobus zwolnił, przejeżdżając przez Brentford, obrócił się do okna i zaczął obserwować miasto oczami powieściopisarza; od razu też został nagrodzony scenką rodzajową, którą można by nazwać „wyścigiem hydraulików” - naliczył trzy małe samochody z godłami firmy hydraulicznej i pięciu śpieszących mężczyzn z torbami na narzędzia i kluczami francuskimi w rękach. Uśmiechnął się na myśl o kłopotach trawiennych życia wielkomięjskiego.

Autobus zatrzymał się niedaleko targu, w pobliżu miejsca, gdzie uregulowany B ran t wpada do Tamizy. Do autobusu wsiadły dwie kobiety - jedna z nich mówiła do drugiej:

- Tak, właśnie dzwoniłam do mamy do Kew. Jest strasznie roztrzęsiona. Mówi, że cały trawnik jest zalany.

Potem coś się nagle stało: brunatna woda ze ścieków zaczęła się wylewać na ulice i równie brudna woda zaczęła tryskać z bram kilku budynków na chodniki.

Richard patrzy! na to z przerażeniem i odrazą: gdzieś w podświadomości żywił przekonanie, że to chore z przejedzenia domy wydalają z siebie - zupełnie niezależnie od ludzi je zamieszkujących - wszystko, czego nie mogły strawić. Biegunka architektoniczna. Nie przyszło mu na myśl, że często pierwszą oznaką powodzi jest wylewanie się ścieków.

Po chwili ukazali się pędzący w popłochu ludzie, ścigani przez strumienie czystej wody, sięgającej od krawężnika do krawężnika, która płynęła ulicą, zmywając z niej brud.

Woda najpewniej pochodziła z Tamizy, ze “słodkiej Tamizy” Spensera.

Dalsze i dużo Większe zniszczenia spowodował Wędrowiec oddziaływając na morza i oceany, zajmujące trzy czwarte powierzchni Ziemi. Może ta warstwa wody jest niczym w porównaniu z bezmiarem kosmosu, ale dla Ziemi od dawna stanowi symbol bezkresnych przestrzeni, głębi i mocy. Morza zawsze miały swoich bogów: fenickiego Dagona, egipskiego Nuna, celtyckiego Nodensa, skandynawską Ranę, boga Rigi, którego czcili autochtoni australijscy,

Neptuna i Posejdon. A muzyką mórz są pływy.

Strunami harfy, na której w skupieniu gra Diana, bogini Księżycy, są ogromne strefy morskich wód - głębokie na kilkanaście kilometrów, szerokie na kilkaset kilometrów, długie na kilka tysięcy kilometrów.

Na wielkich, rozległych obszarach Pacyfiku i Oceanu Indyjskiego, od Filipin do Chile, od Alaski do Kolumbii, od Antarktydy do Kalifornii, od Arabii Saudyjskiej do Australii, od królestwa Lesota do Tasmanii, ciągną się najdłuższe struny. Stąd pochodzą głębsze tony, a niektóre wibracje trwają cały dzień.

Atlantyk dostarcza tonów średnich, cantabile. Tempo jest tu szybsze i bardziej regularne, a takty południowe grają pływy znane kulturze zachodu. Główne struny sięgają od Nowej Fundlandii do Brazylii, od Grenlandii do Hiszpanii, od Południowej Afryki do Antarktydy.

Kiedy struny się krzyżują, dźwięki zanikają; dzieje się to na przykład przy węzłach pływowych u brzegów Norwegii, przy Wyspach Zawietrznych i na Tahiti, gdzie kontrolę nad małymi pływami sprawuje Słońce - muzyka dalekiego Apolla, słabiej od Diany uderzającego w struny, niezmiennie niesie ze sobą przyływ w południe i o północy, a odpływ o wschodzie i zachodzie słońca.

Wiolinowe dźwięki harfy oceanicznej powstają dzięki echem pływowym w zatokach, ujściach rzek, cieśninach i morzach osłoniętych przez ląd. Najkrótsze struny są na ogół najgłośniejsze i najbardziej dynamiczne - skrzypce przecież dominują nad wiolonczelą; te najkrótsze struny to wysoki przyływ w Zatoce Fundy, przy ujściu rzeki Severn, w okolicach północnej Francji, w Cieśninie Magellana i na Morzu Arabskim i Irlandzkim.

Pod dotknięciem delikatnych palców Księżycy struny wodne wibrują łagodnie - pół metra w górę i w dół, jeden metr, trzy metry, rzadziej sześć, bardzo rzadko wyżej niż sześć.

Ale harfę mórz wyrwano z rąk Diany i Apolla: teraz struny jej szarpia palce osiemdziesiąt razy silniejsze. Pierwszego dnia po ukazaniu się Wędrowca przyływy i od - pływy były od pięciu do piętnastu razy większe niż zazwyczaj, drugiego dnia większe od dziesięciu do dwudziestu pięciu razy - a woda błyskawicznie reagowała na wirtuoza Wędrowca. Dwumetrowe fale osiągnęły wysokość dwudziestu metrów, dziesięciometrowe - wysokość stu metrów i więcej.

Potężne pływy przebiegały mniej więcej tak jak dawniej: grał inny harfiarz, ale harfa była ta sama. Tahiti była tylko jednym z wielu terenów na Ziemi - nie wszystkie były cofnięte w głąb lądu - gdzie przybysz nie wyrządził szkód, a stanowił jedynie efektowne widowisko astronomiczne.

Wybrzeża powstrzymują morza wysokimi murami podmywanymi stale przez pływy. Jednakże gdzieś na Ziemi graniczą z morzem rozległe obszary nizinne - tu przyływ odbywa codziennie kilkukilometrową drogę w głąb lądu: to Holandia, północne obszary Niemiec,

kilka innych plaż i słonych moczarów oraz północno-zachodnia część Afryki.

Ale istnieje również wiele płaskich brzegów wznoszących się zaledwie kilka czy kilkanaście metrów nad oceanem. Tam wzmożone przez Wędrowca pływy wdzierały się od piętnastu do osiemdziesięciu - i więcej - kilometrów w głąb lądu. Ogromne masy wodne zmieszane z piaskiem i glebą zalewały wąskie doliny i pędziły, porywając i unosząc wszystko, co stało na ich drodze, tocząc z hukiem kamienie i głazy. W innych natomiast miejscach woda wdzierała się cicho jak śmierć.

Tam, gdzie przyływ był gwałtowny, a brzegi niemal pionowe, choć niezbyt wysokie - na przykład nad Zatoką Fundy i Kanałem Bristolskim, przy ujściu Sekwany i Tamizy - fale wzbijały się fontanną w górę i spadały na ląd.

Cofająca się woda strącała w oceaniczne głębiny piasek z niskich szelfów kontynentalnych. Z wody wyłaniały się głęboko osadzone rafy i wyspy, inne rafy i wyspy woda zatapiała. Z płytkich mórz i zatok, na przykład z Zatoki Perskiej, woda odpływała dwa razy dziennie. W cieśninach fale złościły głębsze koryta. Woda morska zalewała płytkie przesmyki, zatruwała solą tereny bogate w żyzną glebę, zmywała owce i bydło z pastwisk, równała z ziemią domy i miasta, zatapiała wielkie porty.

Mimo zaskoczenia i widma katastrofy, ludzie biorący udział w akcji ratowniczej, ryzykując życie, dokonywali cudów, przy których błędnie sławetna ewakuacja w Dunkierce. Straż przybrzeżna i Czerwony Krzyż, których zadaniem jest niesienie pomocy, rozwijały wspaniałą działalność; przygotowania na wypadek wojny atomowej lub innej klęski sownie się opłaciły.

Jednakże zginęły miliony ludzi.

Niektórzy wiedzieli, że należy uciekać, ponieważ sytuacja staje się coraz groźniejsza, i uciekli. Inni, nawet na terenach najbardziej zagrożonych, pozostali na miejscu.

Dai Davies kroczył z nieposkromioną energią, a zarazem ze skupieniem pijaka u szczytu upojenia alkoholem, przez rzędnącą mgłę po zaśmieconym, piaszczystym korycie rzeki Severn, tuż przy jej ujściu. Dwa razy pośliznął się i upadł, brudząc sobie ręce i ubranie, ale natychmiast się podnosił i nie tracąc chwili ruszał dalej. Od czasu do czasu oglądał się na pozostawione przez siebie ślady i widząc, że idzie krzywo, wyrównywał kierunek marszu. Również od czasu do czasu, nie zwalniając kroku, pociągał łyk z piersiówki.

Wybrzeże Sornerset dawno już znikło mu z oczu, jedynie w górze rzeki koło Avonmouth przez resztki mgły widział majaczące w oddali przetwórnice rybne. Dawno już ucichły nieszczerne okrzyki i obojętne przestrogi ("Wracaj, ty dumny Walijczyku, bo się utopisz!") mężczyzn, których spotkał rano w piwiarni.

Co pewien czas Dai śpiewał: "Idę do Walii, mijają mile, a odpływ przybiera na sile", chwilami urozmaicał piosenkę przekleństwami typu: "Parszywi somersetczycy, ja im pokażę!" albo "Ścierwo jankesi, Księżyc chcą nam ukraść!" i fragmentami swojej nie dokończonych piosenki "Żegnaj Mono": "Zziębnięta Mono w meteorze-skiffie... Pełna dziewiczo-blasku, choć stara jak Fomalhaut... Zanurza białe palce w moich stawach... Kołysze moje wody w przód i w tył..."

W oddali rozległ się przytłumiony ryk. Helikopter jak duch poleciał w dół rzeki, ryk jednak nie ustał. Dai szedł teraz przez wyjątkowo mulistą pochyłość: buty co rusz zapadały mu się w piasku aż po kostki i za każdym razem musiał uwalniać nogę mocnym szarpnięciem. Pomyślał, że jest nad kanałem Severn i idzie po piaszczystym dnie rozlewiska Welsh Grounds.

Ryk przybrał na sile; wędrówka stała się łatwiejsza, gdyż piaszczyste dno znów zaczęło opadać; ostatnia zasłona mgły znikła i drogę zatarasowała nagle wartka, mętna rzeka, ponad stumetrowej szerokości. Jej pokryte pianą grzywacze wgryzały się chciwie w piaszczyste brzegi po obu stronach koryta.

Dai oniemiał. Po prostu nie przyszło mu do głowy, że przy najmniejszym nawet przypiływie Severn znów stanie się rzeką. Uświadomił sobie, że nie przebył jeszcze nawet jednej czwartej kanału.

W górze rzeki, tam gdzie Avon wpada do większej rzeki, dostrzegł - tak, bez wątplenia! - groźne, rozhukane, białe fale.

Daleko w dole rzeki dojrzał pochyłą rufę parowca, który osiadł no mieliźnie. Nad nim unosił się helikopter. Dał się słyszeć daleki odgłos syreny.

Dai odskoczył w tył, kiedy zwał ziemi z brzegu spadł przed nim. Mimo to dzielnie zdjął płaszcz - czekała go przecież przeprawa przez wodę - i wyjął z niego butelkę. Czarna, obłamana belka z przybitymi do niej listwami, podobna do wielkiego scyzoryka z otwartymi ostrzami, popłynęła z pluskiem w dół rzeki. Dai przyłożył butelkę do ust. Była pusta.

Przeszył go dreszcz. Poczuł, że jest bezradny jak mrówka, choć ambicje ma isticie napoleońskie. Ogarnął go strach.

Obejrzał się. Ślady butów na piasku były teraz niewyraźnymi wgnieceniami. Piasek połyskiwał od wody, której przed kilkoma minutami jeszcze nie było. Zaczął się przypiływ.

Dai odrzucił butelkę i pobiegł czym prędzej po śladach, dopóki jeszcze były widoczne. Nogi zapadały mu się głębiej, niż kiedy szedł w ,tę stronę.

Jake Leshner kilkakrotnie nacisnął kciukiem przełącznik, choć wiedział już, że w budynku nie ma prądu. Stał w ciemnym salonie i patrzył na windę. Podczas ostatniego wstrząsu winda obsunęła się o około piętnaście centymetrów i przekrzywiła na bok. Padający na nią cień sprawiał,

że aluminiowe ściany wyglądały jak pomarszczone. Chłopcu zdawało się, że widzi wydobywające się z niej czarne nici dymu - wrócił więc w półmrok tarasu.

- Jest coraz więcej dymu, a nawet widać płomienie! - zawołała do niego Sally, wychylając się przez balustradę. - Płomienie pną się w górę i ludzie obserwują je z okien (naprzeciwko, ale poziom wody wzrasta chyba jeszcze prędszej. Istny wyścig. Ramy, Jake, zupełnie jak powódź biblijna, o mieszkanie Hugona to nasza arka Noego. Na tym pomysle osnujemy naszą sztukę. Pożar też tam będzie.

Jake chwycił dziewczynę za ramię i potrząsnął nią.

- Ty idiotko, to nie są żarty! My się tu usmażymy!

- Ależ, Jake - zaprotestowała Sally - sztuka musi być oparta na autentycznych wydarzeniach. Czytałam o tym.

Na całym świecie ludzie nie zdawali sobie sprawy ze zmian, jakie zachodziły w pływach. Ci w głębi kontynentu na ogół wątpili w to, czego nie mogli obejrzeć na własne oczy, albo pomniejszali rozmiary katastrofy, nie mówiąc już o tym, że wielu z nich nigdy w życiu nie, widziało oceanu. Ci znów na morzu, z dala od lądu, nie widzieli fali pływu unoszącej ich statek - ledwo wyczuli fale spowodowane trzęsieniem ziemi - toteż zupełnie się nie orientowali, czy fala przyływu, na której płyną, jest kilka czy kilkanaście metrów wyższa, a odpływu niższa, niż być powinna.

Powstańcy, którzy opanowali statek "Prince Charles", mieli ręce pełne roboty - musieli pilnować porządku na wielkim transatlantyku, zajmować się pasażerami i niweczyć próby załogi, która chciała odzyskać kontrolę nad statkiem - postanowili więc mianować czterech kapitanów o równych prawach. Minęło wiele godzin, zanim rewolucyjna rada dyrektorów skierowała statek na kurs w kierunku Cape St. Roque i dalej do Rio de Janeiro, gdzie ich przywódcy mieli w nocy obalić rząd - jednakże z powodu zakłóceń radiowych wiadomość ta nie została potwierdzona. Powstańcy zbyli śmiechem usilne prósy uwięzionego kapitana Sithwisea, żeby skręcić w stronę węzła pływowego przy Wyspach Zawietrznych, traktując je jako oczywisty podstęp, aby zbliżyć ich do statków marynarki brytyjskiej.

Na jachcie "Wytrwały" Wolf Loner obserwował gęsty obłok mgły, który opadał coraz niżej, niemal całkowicie zasłaniając widoczność. W tym mikrokosmosie, składającym się z jachtu, wody i niewyraźnej bieli, znów zaczął sobie wyobrazać, że cały świat oprócz jego jachtu znikł, niewykluczona, iż wybuchła wojna atomowa i miasta znikają z powierzchni ziemi niczym kawałki węgla w piecu, albo że na wszystkich kontynentach rozpowszechniła się plaga złośliwych, sztucznie wyhodowanych, bakcyli i że on, Loner, będzie jedyną żywą osobą, kiedy zejdzie na ląd w

Bostonie. Uśmiechnął się spokojnie.

- Pilnuj własnych atomów - powiedział do siebie.

Niektórzy mieszkańcy Ziemi nie chcieli przyjąć do wiadomości najbardziej nawet oczywistych faktów. W Instytucie Badań Pływów w Hamburgu Fritz Scher wyjaśniał ku swojemu całkowitemu zadowoleniu - i ku całkowitemu prawie zadowoleniu Hansa Opfela - każdy zaskakująco odmienny dla danego rejonu zapis pływów, jaki nadchodził. Albo nowy zapis miał precedens, bo takie pływy wystąpiły na danym terenie czterdzieści lub czterysta lat temu, albo woda wzniosła ślą na skutek sztormu, którego tępacy z instytutu meteorologicznego nie zanotowali, albo ktoś znany z niedbalstwa źle odczytał zapis, ktoś znany z braku równowagi psychicznej zwariował, a ktoś znany z komunistycznych przekonań nakłamał.

- Zobaczysz - powiedział Fritz, uśmiechając się do Hansa Opfela, kiedy ten wskazał wzrastający plik raportów o Wędrowcu i zniszczeniu Księżyca. - Zobaczysz. Kiedy zapadnie noc, nasz stary znajomy znów ukaze się na niebie i będzie się z nas śmiał!

Oparł się lekko o gładką powierzchnię urządzenia prognozującego pływy i poklepał je pieszczotliwie, z miłością.

- Ty przynajmniej wiesz, jacy to idioci, prawda? - szepnął czule.

Byli jednak ludzie, którzy jasno zdawali sobie sprawę z tego, co się dzieje.

Barbara Katz zjadła ze smakiem jajko, parówkę i naleśnik polany syropem klonowym, przesunęła filiżankę na drugi koniec wielkiego stołu kuchennego w stronę Hester i westchnęła z wdzięcznością. Na zewnątrz w świetle słonecznym ćwierkały ptaki. Duży zegar ścienny z rzymskimi cyframi wskazywał pół do dziesiątej. Pod zegarem wisiał duży kalendarz z widokiem parku Everglades na Florydzie. Hester dołała Barbarze doskonałej, mocnej kawy i uśmiechając się szeroko, powiedziała:

- Dobrze, że stary KKK ma wreszcie prawdziwą, ładną dziewczynę zamiast tej lalki. Bardziej to naturalne i zdrowe.

Młodsza Murzynka, Helena, zachichotała, odwracając rozbawiony i trochę zawstydzony wzrok, ale Barbara bynajmniej się nie spieszyła.

- Ten model lalki nazywa się chyba "Barbara" - powiedziała. - Tak się składa, że ja też mam na imię Barbara. Barbara Katz.

Hester parsknęła śmiechem, a Helena znów zachichotała.

- Dlaczego mówisz o nim "stary KKK"? - zapytała Barbara.

- Bo na drugie imię ma Kelsey - wyjaśniła Hester. - Knolls Kelsey Kettering III. A ty Katz... jeszcze jedno K - i znów się roześmiała.

Rozległo się długie, ciche skrzygnięcie.

- Zamknij drzwi, Benjy - powiedziała ostro Hester, starając się zapanować nad śmiechem, ale wysoki Murzyn nie ruszył się z miejsca. Stał w otwartych drzwiach siatkowych, ubrany w białą koszulę i srebrzystoszare spodnie z ciemnymi lampasami. U góry siatki tkwił kawałek waty - współczesny fetysz, mający odstraszać muchy.

- Jest ogromny odpływ, jak nigdy dotąd - powiedział z przejęciem Murzyn. - Ludzie idą przed siebie, jakby suchą nogą chcieli dojść do Wysp Bahama. Niektórzy mają już całe kosze świeżych ryb!

Barbara wyprostowała się, odstawiała kawę i strzeliła palcami.

- U innych radia i telewizory również nie działają - dodał Benjy, patrząc na dziewczynę. Hester i Helena też na nią patrzyły.

- O której zaczyna się odpływ? - zapytała szybko Barbara.

- Około pół do ósmej - odparł bez chwili wahania Benjy. - Godzinę temu. Z tyłu na kartce kalendarza tak jest napisane.

- Zerwij górną kartkę - rozkazała dziewczyna i zaraz spytała: - Jaki samochód ma pan Kettering?

- Tylko te dwa RollsRoyesy - rzekł Benjy.

- Przygotuj większy do długiej podróży - powiedziała stanowczym tonem. - Zgromadź jak największy zapas benzyny, opróżnij zbiorniki drugiego wozu! Potrzebne nam też będą koce, wszystkie lekarstwa pana Ketteringa, dużo jedzenia, termosy z kawą,, i kilka butelek wody mineralnej.

Patrzyli na nią ze zdziwieniem. Udzieliło im się jej podniecenie, ale wciąż nie wiedzieli, o co chodzi.

- Po co, moje dziecko? - zapytała Hester. Helena znów zaczęła chichotać.

Barbara spojrzała na nich z powagą i rzekła:

- Bo wkrótce nastąpi olbrzymi przypływ. Tak wielki jak ten odpływ, a może nawet większy!

- Przez... Wędrowca? - zapytał Benjy, podając jej kartkę, o którą prosiła.

Czytając, dziewczyna stanowczo skinęła głową. Po chwili powiedziała:

- Pan Kettering ma mniejszy teleskop. Nie wiecie, gdzie on może być?

- Teleskop? - powtórzyło uśmiechając się ze zdumieniem Hester. - A po co... ach, tak, pewnie... oboje interesujecie się astronomią. Drugi teleskop, ten, którym stary podgląda dziewczyny, jest chyba w pokoju myśliwskim.

- W pokoju myśliwskim? - oczy Barbary zaiskrzyły się. - A gotówka? - spytała.

- W którymś z sejfów - odpowiedziała Hester i zmarszczyła lekko brwi.

Rozdział 22

Po nieoczekiwanej kąpieli i wyścigu z falami, grupka na plaży poczuła, że nareszcie znów żyje. Mężczyźni zebrali deski wyrzucone przez morze, rozpalili ognisko przy niskim betonowym moście nad małym zalewem, tuż przy pustej szosie nadbrzeżnej, i teraz wszyscy się suszyli, tłocząc się koło ognia, dzieląc się sprawiedliwie ubraniami i suchymi kocami z furgonetki.

Rama Joan obciąła nogawki mokrych spodni, robiąc i nich krótkie spodenki, bezlitośnie usunęła z zakietu rękawy i tylne poty, zieloną chustę, która dotychczas służyła za turban, zawiązała na szyi w miejscu zniszczonego gorsu i białej muszki, a złocistorude włosy zebrała w koński ogon. Anna i Brecht patrzyli na nią z podziwem.

Wszyscy wyglądali żałośnie. Margo zauważyła, że Ross Hunter jest jakby schludniejszy od pozostałych mężczyzn, ale po chwili uświadomiła sobie, że podczas gdy innym dopiero teraz zaczął się ukazywać lekki zarost, Hunter od początku miał bujną brodę, której zawdzięczał swój przydomek Brodacza.

W miarę jak niebo jaśniało i stawało się coraz bardziej niebieskie, humor się wszystkim poprawiał i ledwo mogli uwierzyć, że to, co wydarzyło się w nocy, nie było złudzeniem i że fioletowozłota planeta w tej właśnie chwili terroryzuje Japonię, Australię i wyspy po drugiej stronie Oceanu Spokojnego.

Ale widzieli potężną skałę blokującą szosę niecałe dwieście metrów na północ, a Brecht pokazał im w odległości mniej więcej półtora kilometra zniszczony domek plażowy i taras oparty o lśniącą siatkę Vandenbergu 2.

- Jednakże sceptycyzm ludzkości wobec własnych przeżyć wzrasta z upływem czasu - stwierdził Brecht. - Dodd, może byśmy podpisali następane oświadczenie?

- Wszystkie wydarzenia zapisuję wodoodpornym atramentem - zapewnił go niski mężczyzna. - Jeżeli ktoś chce przeczytać, służę w każdej chwili.

Na poparcie swoich słów wyjął notatnik i zaczął wolno przewracać kartki.

- A jeżeli ktoś uważa, że się gdzieś pomyliłem, chętnie wniosę poprawkę, ale pod warunkiem, że osoba, która ma zastrzeżenia, pod nią się podpisze.

Wojtowicz, zaglądając mu przez ramię do zeszytu, powiedział:

- Wiesz, Dodd, Wędrowiec wyglądał trochę inaczej niż na twoich rysunkach.

- Bo wygładziłem kontury - przyznał Dodd. - To są schematy. Ale rysowałem je z... natury. Jeżeli jednak chcesz narysować nową planetę z pamięci - i podpisać rysunki - to proszę.

- Nie, dziękuję, kiepski ze mnie rysownik - odparł z uśmiechem Wojtowicz.

- Zresztą w nocy będziesz się mógł przekonać - rzekł Brecht.

- Nie przypominaj mi o tym! - Wojtowicz zasłonił ręką oczy i aż zachwiał się w udanym przerażeniu.

Jedynie Drągał był smutny: siedział na szerokiej balustradzie mostu, wpatrując się tęsknie w horyzont, za którym znikł Wędrowiec.

- Wybrała jego - mruknął z żalem. - Ja wierzyłem, a jednak mnie pominęła. Jego wciągnęła do latającego talerza.

- Nie przejmuj Się, Charlie - usiłowała go pocieszyć Wanda, kładąc pulchną dłoń na jego chudym ramieniu. - Może to wcale nie była cesarzowa, tylko jej służebnica i pomyliły się jej rozkazy.

- To było naprawdę okropne, kiedy ten talerz zawisł nad nami - powiedział Wojtowicz. - Ale jedna rzecz nie daje mi spokoju - czy jesteście pewni, że Paula porwano? Nie chcę krakać, ale może zniósł go fale: bo przecież nas wszystkich o mało nie zmyły.

Brecht, Rama Joan i Hunter przysięgli, że na własne oczy widzieli całe zajście.

- Mnie się zdaje, że jej bardziej chodziło o kotkę niż o Paula - dodała Rama Joan.

- Dlaczego? - zapytał Dodd. - I skąd wiesz, że to "ona"?

Rama Joan wzruszyła ramionami.

- Sama nie wiem. Nie zauważyłam u niej żadnych narządów płciowych, a z wyglądu przypominała kotkę.

- Ja też nie zauważyłem - poparł ją Brecht - choć to nie była odpowiednia chwila, żeby wypatrywać ich chciwym, lubieżnym okiem.

- Myślisz, że ten talerz miał napęd bezinercyjny tak jak pojazdy w książkach E. E. Smitha?

- zapytał Brechta Harry McHeath.

- Sądząc ze sposobu, w jaki przyleciał, myślę?, że tak. Zresztą w obecnej sytuacji fantastyka naukowa jest naszym jak na razie jedynym źródłem informacji. Ale z drugiej strony...

Margo skorzystała z chwili, gdy wszyscy byli zajęci rozmową, i znikła w krzakach, które wcześniej pełniły funkcję damskiej toalety. Weszła na niewielkie wzniesienie przy 15M zalewie i stanęła na usianym głazami, szerokim występie skalnym sześć metrów nad plażą.

Rozejrzała się dokoła. Była sama. Spod skórzanej kurtki wyjęła szary pistolet, który wypadł z talerza. Po raz pierwszy mogła spokojnie obejrzeć broń. Ukrywanie jej podczas suszenia ubrania stanowiło niemały kłopot.

Gładki, opływowy pistolet był matowoszary - sądząc z lekkości zrobiony z aluminium albo magnezu. W zwężającej się lufie nie było żadnego otworu, przez który mogłaby wylecieć kula. W miejscu cyngla znajdował się owalny guzik. Kolba była dopasowana do chwytu dwoma palcami i kciukiem. Po lewej stronie pistoletu, trzymanego przez Margo w prawej ręce, widniał wtopiony w

kolbę i przypominający termometr wąski, pionowy pasek, który bez mała na całej swej długości lśnił fioletowym blaskiem.

Margo na próbę objęta palcami kolbę. Tuż przed lufą, na skraju występu leża! półmetrowy głaz. Serce zaczęło jej walić. Wycelowała pistolet i nacisnęła spust. Nic się nie stało. Nacisnęła trochę mocniej, jeszcze mocniej, i na - raz - mimo że przy strzale nie było odrzutu - głaz razem z metrowym odłamom skalnego występu wznosił się w powietrze i spadł cicho trzydzieści metrów dalej, wzbijając w górę fontannę piasku. Margo poczuła na plecach lekki powiew. Ze zbocza posypał się żwir.

Wzięła głęboki oddech, przełknęła ślinę i uśmiechnęła się szeroko. Fioletowy pasek, jeżeli w ogóle zmałał, to tylko o milimetry. Schowała pistolet pod kurtkę i zapięła pas o jedną dziurkę dalej. Zmarszczyło brwi w zamyśleniu.

Przeszła z powrotem przez wzniesienie i tam, po drugiej stronie, zobaczyła Huntera - promienie słońca znad wzgórz barwiły mu wąsy na kolor miedziany.

- Oj, profesorze! - zawołała. - Ładnie to tak?

- Co? - spytał Hunter i chyba się uśmiechnął, ale Margo nie była pewna, gdyż broda zasłaniała mu usta.

- Podglądać dziewczynę, kiedy odchodzi na bok.

Hunter spojrzał na nią. Margo przyglądała jasne włosy.

- Wiesz doskonale, że każdy mężczyzna musi się tobą interesować - powiedział tonem światowca, a potem dodał: - Zdawało mi się, że słyszałem jakby małą lawinę.

- Tak, kawałek, skały stoczył się na plażę - odparła, mijając go - ale nie wierzę, żebyś słyszał hałas.

- Słyszałem - odparł i ruszył za nią ze zbocza. - Zdejmij kurtkę. Jest ciepło.

- Ja bym potrafiła wymyślić subtelniejszy pretekst - powiedziała z ironią dziewczyna.

- Ja też - zapewnił ją Hunter.

- Tak, chyba tak - przyznała po chwili Margo. Zatrzymała się u podnóża zbocza i spytała: - Ross, czy znasz wybitnego naukowca, ściślej mówiąc, światowej sławy fizyka, który swoją wiedzą chce tylko przysłużyć się ludzkości?... Który jest człowiekiem o dużej wyobraźni, a zarazem prawym i dobrym?

- Trudne pytanie. No, jest Drummond, Stendhal - ale jego trudno uważać za fizyka - Rosenzweig... no i oczywiście Morton Oppery.

- O niego mi właśnie chodziło - powiedziała Margo.

Dai Davies zastukał w oszkloną część drzwi - złożoną z czworokątnych płytek ujętych w

ołowiane ramki - małej piwiarni koło Portishsad. Kolana mu dygotały; twarz miał trupioblada; mokre czarne włosy wisiały w strąkach; ubranie ociekało wodą - nie było jednak zabłocone mimo licznych upadków, gdyż błoto zmyła z niego woda, kiedy Dai, uciekając przed nadciągającym przyływem, pokonał wpływ ostatnie sto metrów Kanału Bristolskiego.

Energia, jaka wstąpiła w niego pod wpływem alkoholu, wyczerpała się już - gdyby musiał wykonać jeszcze kilka rozpaczliwych ruchów ramionami i nogami, nie dopłynąłby do brzegu, nie wy dostałby się z rwącej, spienionej wody przyływu pędzącej w górę Severn. Potrzebny mu był tera? mocny trunek: alkohol, spirytus! - tak jak choremu, który uległ ciężkiemu zatruciu tlenkiem węgla, potrzebne jest transfuzja.

Ale ci dranie z Somerset z niewiadomego powodu zamknęli drzwi i ukryli się - a ponieważ w tych godzinach piwiarnia powinna być czynna, nie wątpił, że chcą mu po prostu zrobić na złość nie wpuszczając go, bo nienawidzą Walijczyków i poetów. Przysiągł sobie, że powiadomi odpowiednie władze o zamknięciu lokalu! Przywarł twarzą do jednej z oprawnych w ołów, matowych szyb w drzwiach, usiłując dojrzeć ukrywających się w tej norze tchórzy, ale ciemna sala była pusta, światła wygaszone.

Zawrócił chwiejnym krokiem, zabijając ręce, żeby się rozgrzać, i krążąc po ulicy wołał ochrypłym głosem:

- Gdzieście się podziali? Wyłaście! No, wyłaście!

Ale nikt nie wyszedł, ani jedne drzwi się nie otworzyły, ani jedna blada, wroga mu twarz nie wyjrzała przez okno. Był zupełnie sam.

Drżąc na całym ciele, wrócił do drzwi piwiarni, obiema rękami chwycił się framugi, żeby nie stracić równowagi, z trudem podniósł nogę, w którą, gdy płynął przez kanał, złapał go kurcz, i obcasem mocno kopnął w drzwi. Szyby w trzech okienkach pękły, szkło posypało się do środka. Opuścił nogę, kucnął przy drzwiach, przez okno wsadził rękę aż po ramię, przez chwilę szukał zamka, znalazł go i zaczął nim kręcić. Drzwi się otworzyły i Dai, uwalniając rękę z pękniętej szyby i wypaczonych ołowianych ramek, wpadł do wnętrza: zrobił cztery kroki w stronę baru i, bliski omdlenia zatoczył się na środek sali.

Stał tak, chwiejąc się na nogach i z trudem łapiąc oddech, a kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, ogarnęło go cudowne uczucie. Wydało mu się nagle, że nic lepszego na świecie nie mogło mu się przytrafić niż to, że akurat w tej chwili jest tu sam jeden; marzył o tym od dawna i marzenia jego właśnie się spełniły.

Nie zwraca! najmniejszej uwagi na przytłumiony ryk, a że ani razu nie obejrzał się za siebie, nie widział, jak na zewnątrz brudna, spieniona woda powoli wzbiera w Kanale Bristolskim. Patrzył jedynie na bursztynowe i zielone butelki stojące na półkach za barem i na ich zachwycające

etykiety. Butelki, jak cenne książki, były dla niego źródłem wszelkiej wiedzy, przyjaciółmi w samotności, a bar - piękną biblioteką, z której należało czerpać i smakować dzieła, które - jak Dai dobrze wiedział - nigdy mu się nie znudzą.

Zbliżając się do nich powoli, szczęśliwy i uśmiechnięty od ucha do ucha, zaczął cicho i melodyjnie odczytywać z etykiet tytuły swoich ukochanych książek.

Zamiast powieści Stendhala miał przed sobą ukochane whisky Black and White, a inne nazwy na etykietach butelek - Old Smuggler, Teachers. White Horse - kojarzyły mu się z podobnie brzmiącymi tytułami dzieł Richaraa Blackmorea, C. P. Snowa i G. K. Chestertona.

Brnąc przez zimną, słoną wodę, generał Stevens minął szyb windy, w którym woda wzbierała tak gwałtownie, aż trzeszczały metalowe drzwi. Latarka zawieszona na szyi generała oświetlała wodę sięgającą do ud oraz ścianę oklejoną tapetą z historycznymi bitwami. Tuż za generałem ukazały się trzy następne latarki.

- Zupełnie jak banda złodziei z jakiejś komedii muzycznej - stwierdził pułkownik Griswold.

Generał obmacał ścianę, rozdarł palcami tapetę i otworzył półmetrowej szerokości drzwiczki, za którymi ujrzeli płytką wnękę z dużą czarną dźwignią.

Obrócił się twarzą do pozostałych.

- Uprzedzam was - rzekł pośpiesznie - wiem tylko, gdzie są drzwi do wyjścia zapasowego. Ale tak jak wy, nie mam pojęcia, dokąd prowadzą, bo miejsce naszego pobytu miało być tajemnicą i jest tajemnicą. Miejmy nadzieję, że prowadzą do jakieś wieży, bo jesteśmy sześćdziesiąt metrów pod ziemią, zalani wodą morską. Jasne? No, to otwieram.

Odwrócił się do nich plecami i zaczął opuszczać dźwignię. Pułkownik Mabel Wallingford stała tuż za nim, pułkownik. Griswold i kapitan James Kidley kilka kroków dalej.

Dźwignia przesunęła się odrobinę i zacięta się. Generał uczeplił się jej obiema rękami i niemal zawisł na drążku. Pułkownik Wallingford podeszła bliżej, również chwyciła dźwignie i z całej siły zaczęła ją ciągnąć w dół.

- Czekajcie! - krzyknął! Griswold. - Jeżeli się zacięta, to znaczy...

Dźwignia opadła o dwadzieścia centymetrów. Niecały metr dalej rozerwała się tapeta, otworzyły się niewielkie drzwi i czarny strumień wody lunął do środka, zbijając z nóg kapitana Kidleya i pułkownika Griswolda - pułkownik Wallingford zobaczyła, jak latarka Griswolda zapada się coraz głębiej.

Wody wciąż przybywało - jeden wielki, potężny strumień. Napierała na pułkownik Wallingford i generała Stevensa, którzy trzymali się kurczowo dźwigni.

Rozdział 23

Margo i Clarence Dodd stali oparci łokciami o górną poręcz betonowego mostu i patrzyli na wzgórze, usiłując odgadnąć, skąd się bierze zasłona rozrzedzonego dymu napływającego z południa, która sprawia, że sionce ma czerwony odcień i wszędzie rzuca złowrogi miedziany blask. Margo przysła tu głównie po to, żeby uciec od Rossa Huntera.

- Może to tylko zarośla płoną w kanionach i w górach - powiedział Dodd. - Wydaje mi się jednak, że to coś poważniejszego. Czy pani mieszka w Los Angeles? zapytał.

- Wynajmuję domek w Santa Monica. Na jedno wychodzi.

- Sama pani tam mieszka?

- Tak, zupełnie sama.

- To dobrze. Bo jeżeli nie spadnie deszcz... - Niech pan spojrzy - powiedziała, patrząc w dół na zalew. - Woda i To chyba znaczy, że w głębi łądu pada deszcz.

Ale w tej właśnie chwili Hixon, który udał się na zbadanie terenu, wrócił naciskając tryumfalnie klakson furgonetki, a za nim podjechał nieduży, kanciasty, żółty autobus szkolny. Oba pojazdy zatrzymały się na moście. Z autobusu wyskoczył Wojtowicz z karabinem. Za Wojtowiczem ukazał się Brecht: stanął na stopniu w drzwiach autobusu niczym na podium.

- Z prawdziwą przyjemnością ogłaszam, że znaleźliśmy transport! ~ obwieścił głośno i radośnie. - Za moją namową pojechaliliśmy obejrzeć szosę prowadzącą przez góry Santa Monica i tam, w małej dolinie, niecałe sto metrów od szosy ujrzałem ten oto uroczy autobus, który właśnie czekał pusty na pasażerów. A tymi pasażerami będziemy dzisiaj my! Zbiorniki są pełne, a poza tym znajduje się w nim olbrzymi zapas kanapek z masłem orzechowym i marmoladą oraz kartony napromieniowanego, fluoryzowanego mleka. Proszę szykować się do drogi. Odjazd za pięć minut!

Zszedł ze stopnia i obszedł żółtą maskę pojazdu.

- Dodd - powiedział - to nie jest woda deszczowa, ale woda przypływu. Spójrz tylko na drugą stronę mostu, a zobaczysz lśniąca taflę, która ciągnie się aż do Chin. Wszystko sprzymierza się przeciwko nam. Dodd, ty pojedziesz z Hixonami, bo masz drugi karabin. Ida pojedzie z wami, żeby opiekować się Hanksem. A ja obejmę komendę w autobusie.

- Proszę pana - spytała Margo - czy zamierza pan jechać przez góry aż do Doliny?

- Jeżeli damy radę. Chciałbym, żebyśmy dojechali przynajmniej do tych wzniesień sześćset metrów nad poziomem morza. A potem...

Brecht wzruszył ramionami.

- Vandenberg Trzy jest na końcu tej szosy - powiedziała Margo. - Właśnie na zboczach. Jest tam Morton Opperly, który kieruje teoretyczną stroną badań związanych i Projektem

Księżycowym. Sądzę, że powinniśmy się z nim skontaktować.

- Niezły pomysł - przyznał Brecht. - Opperly powinien mieć więcej rozumu niż te oficerki z Vandenbergu Dwa i może chętnie przyjmie do siebie trzeźwo myślących rekrutów. Tak, to całkiem rozsądne, żebyśmy w tej niemal surrealistycznej sytuacji skupili się wokół najwybitniejszych naukowców. Ale Bóg jeden wie, czy uda nam się dojechać do Vandenbergu Trzy, a jeżeli tak, to czy zastaniemy tam jeszcze Opperlyego - dodał, znów wzruszając ramionami.

- To nie ma znaczenia - powiedziała dziewczyna. - Jeżeli tylko istnieje jakaś szansa porozumienia się z nim, proszę, żebyście mi pomogli. Mam bardzo ważny powód, którego na razie jednak nie mogę wyjawiać.

Brecht spojrział na nią badawczo i uśmiechnął się.

- Dobrze - obiecał.

Hunter i inni zaczęli się tłoczyć wokół Brechta zarzucając go pytaniami i własnymi propozycjami.

Margo natychmiast wsiadła do autobusu i zajęła miejsce za kierowcą. Był to starszy człowiek z nachmurzoną twarzą i podbródkiem tak bardzo cofniętym, jakby starzec w ogóle nie miał zębów.

- To miło z pana strony, że zechciał pan nam przyjść z pomocą - zagadnęła.

- Ja? - spytał kierowca i spojrział na nią z niedowierzaniem, ukazując storę, żółte siekacze i rzadkie czarne zęby trzonowe połyskujące plombami. Wskazał palcem Brechta, który stał przy drzwiach, i rzekł: - On mi powiedział o stusześcdziesięcioletniej fali, która mnie zatopi, jeżeli czym prędzej nie wydostanę się z doliny. Przedstawił to bardzo obrazowo. A potem powiedział, żebym się nie głowił nad decyzją, bo on ma za sobą faceta z karabinem. Pani uważa, że to miło z mojej strony? Nie miałem innego wyjścia. A poza tym - dodał - lawina zatarasowała drogę na południe, którą miałem jechać. Pomyślałem sobie, że od biedy mogę się przyłączyć do waszej zwariowanej paczki.

Margo roześmiała się zażenowana.

- Przyzwyczaj się pan do nas - zapewniła go.

W tej chwili do autobusu wsiadł Dągał, wołając do Brechta:

- No dobrze, Wanda i ja pojedziemy tym wehikułem, ale kategorycznie odmawiam picia mleka z opadem promieniotwórczym i trutką na szczury!

Kierowca spojrział na Margo.

- Może - odparł kwaśno.

Reszta pasażerów również wsiadła. Podczas gdy kierowca rozmawiał z Margo, Hunter usiadł koło niej. Margo ostentacyjnie przesunęła się, ale Hunter nawet na nią nie patrzył. Brecht

stanął w drzwiach i policzył pasażerów.

- Jesteśmy w komplecie - oznajmił. Wychyli! się .i krzyknął do Hixona: - Dobra, jedziemy! Skręcaj i ruszaj za nami!

Autobus i furgonetka zawróciły na moście. Margo zauważyła, że poziom wody w zalewie podniósł się o metr. Nadciągnęła niewielka fala zwieńczona pianą. Plaża, na którą Margo zestrzeliła głaz, też była zalana. Jaszczce w nocy morze było prawie o kilometr od szosy, teraz zaledwie sto metrów dzieliło szosę od fal.

Brecht usadowił się w strategicznym miejscu, które sobie zarezerwował - naprzeciw Huntera i tuż przy drzwiach. Położył nogę na wolnym siedzeniu obok siebie.

- Kierunek: góry Santa Monica - powiedział do kierowcy. - Niech pan jedzie pięćdziesiątką i uważa na głazy. Po sześciu kilometrach szosa nadbrzeżna skręca w góry, mamy więc dość czasu, żeby uciec od Pacyfiku, gdyby zechciał nas wchłonąć. Pamiętajcie - zwrócił się do wszystkich - że pływy na wybrzeżu Pacyfiku są zmienne. Całe szczęście, że dziś rano przyptyw nie jest zbyt duży. Harry! - zawołał przez ramię - będziesz naszym oficerem łącznikowym. Pilnuj, żeby furgonetka nie znikła nam z oczu. Hej, nie tłoczcie się wszyscy po stronie morza I Autobus ma być równo obciążony, kiedy wjedziemy w góry. Przyptyw już nas nie dogoni - nie grozi nam to.

- Chyba że nastąpią nowe... - zaczęła Margo, ale zaraz ugryzła się w język. Chciała powiedzieć: "nowe fale wywołane trzęsieniem" albo "tsunami".

Hunter uśmiechnął się do niej.

- Masz rację. Lepiej nie wywoływać wilka z lasu - szepnął jej do ucha, a potem niewiele głośniej powiedział do Brechta: - Rudolfie, skąd wytrzasnąłeś te stusześcdziesięciometrowe fale?

- Dwumetrowa amplituda pływu w Los Angeles razy osiemdziesiąt - odparł. - Szczerze pragnę, aby się okazało, że przesadzam, ale musimy wiedzieć, czego się z grubsza spodziewać. Ach, życie na fali, dom w wirującej głębi, lalalalala...

Margo wzdrygnęła się, słysząc ochryply głos Brechta, który śpiewał, chcąc dodać wszystkim otuchy - jak śpiewał, to zupełnie inna sprawa - i zaczęła żałować, że to nie jest głos Paula. Złożyła ręce na piersi i spojrzała na oparcie siedzenia kierowcy. Chociaż było świeżo wyszorowane, mogła na nim odczytać różne napisy typu: "Ozzie to śmierdziel", "Jo-Ann ma sztuczne cocyki" i "Dziadek ma trzynaście zębów".

Mimo zapewnień Brechta, że nic im nie grozi, w autobusie panował niepokój, napięcie rosło - pasażerowie pilnie obserwowali ścigające ich fale, patrzyli na zamglony horyzont: Margo poczuła, że napięcie osłabło w chwili, kiedy autobus skręcił na czarną, dwupasmową szosę, która pięła się w górę, ale potem znów wzrosło, gdy wszyscy natychmiast zaczęli obserwować drogę, wypatrując na niej osypisk i wyrw. Przypomniała sobie nagle niezwykle sugestywny opis pani

Hixon i zdanie: "Góry bulgotały jak gulasz". Ale przynajmniej pierwszy odcinek drogi, prowadzący pod niezbyt wysokie wzgórze, był pusty i gładki.

- Furgonetka skręca za nami! - zawołał z tyłu McHeath niczym żołnierz, który zdaje raport.

- W porządku, Harry! - krzyknął do niego Brecht, a potem zadowolony zwrócił się do Huntera i Margo i głośno, tak żeby wszyscy słyszeli, powiedział:

- Liczę na tę szosę górską. Niewiele o niej pisano w prasie, ale prawdę mówiąc jest to olbrzymi krok naprzód w historii budownictwa dróg.

- Hej, Brecht! - zawołał Wojtowicz. - Gdyby ta szosa była nie uszkodzona aż do Doliny, nie byłaby taka pusta.

- Jesteś dziś spostrzegawczy - zauważył Brecht. - Ale nam chodzi o to, żeby była nie uszkodzona tylko przez pięć kilometrów. Wtedy będziemy już dwieście metrów nad poziomem morza. A pozostałe trzydzieści pięć kilometrów już nas nie obchodzi. Właściwie byłoby lepiej dla nas, gdyby dalej droga rzeczywiście była zatarasowana.

- Rozumiem. W przeciwnym razie ugrzęźniemy wśród pięćdziesięciu milionów wozów.

- Mamusiu, przed nami niebo jest czarniejsze - powiedziała Anna, która wraz z Ramą Joan siedziała za Brechtem. - Wielki pióropusz dymu.

- Jesteśmy między ogniem a wodą - oznajmił Draǵal, którego znów ogarnął marzycielski nastrój. - Ale bądźcie dobrej myśli. Ispan wróci.

- Tego się właśnie obawiam - rzekł półgłosem Hunter do Margo i patrząc na jej zapiętą na suwak kurtkę, dodał tym samym tonem: - Może byś mi pokazała to, co ci zrzuciła ta kocica? Widziałem, jak złapałaś jakiś szary przedmiot, dziś rano wypróbowałaś go, prawda? Dobrze działa?

Margo nie odpowiedziała, ale Hunter ciągnął dalej:

- Możesz nic nie mówić, jeżeli przez to czujesz się bezpieczniej. Słyszałem twoją rozmowę z Brechtem i z całego serca cię popieram. W przeciwnym razie natychmiast bym ci to odebrał.

Margo nawet nie spojrzała na niego. Może i uczesał brodę, ale wciąż Jeszcze załatywało od niego piźmem i potem.

Autobus wjechał na pierwsze wzniesienie, wziął powolny zakręt w dół i zaczął się piąć pod następną, bardziej stromą górę. Na drodze wciąż nie było widać żadnych skał ani nawet kamieni.

- Szosa przez góry Santa Monica - powiedział głośno Brecht - biegnie niemal po samych ich szczytach. Zbudowana jest ze wzmocnionego asfaltu, przez co jest bardziej solidna i wytrzymała na wstrząsy tektoniczne. Dowiedziałem się tego wszystkiego myszkując po różnych pismach technicznych. Nie ma to jak wszechstronny geniusz

- Wszechstronny gaduła - mruknął ktoś z tyłu. Brecht obejrzał się, uśmiechając się oziębło,

i spojrzął podejrzliwie na Ramę Joan.

- Jesteśmy już sto metrów nad poziomem morza - oznajmił.

Autobus skręcił i zaczął się piąć pod drugą górę - stąd rozciągał się ostatni widok na szosę nadbrzeżną. Szosa była zalana. Fale rozbijały się o krzaczaste zbocza.

Dai Davies z lekceważącą obojętnością, niczym zafascynowany poezją syn Posejdona w bibliotece swojego ojca, obserwował szeroki, szary Kanał Bristolski, który w zamglonym, srebrzystym świetle zachodzącego słońca lśnił gdzieś jak stal, podczas gdy woda powoli podnosiła się, zalewając porośnięte głoziem zbocze po drugiej stronie ulicy.

Kiedy po raz ostatni wyglądał przez okno, dwa frachtowce i jeden statek płynęły w dół kanału, zmagając się z powodzią. Teraz już ich nie było: na powierzchni unosiły się jedynie pojedyncze deski, o w oddali mała łódź - Dai uznał, że nie warto się jej nawet przyglądać.

Przed półgodziną włączył radio i słuchał wygłaszanych załamującym się głosem komunikatów o monstualnych pływach; nerwowo powtarzanych wyjaśnień, że pływy spowodowane zostały olbrzymimi wstrząsami, które nawiedziły skorupę ziemską podczas ostatnich kilku godzin; rozpaczliwych instrukcji dla marynarzy, kierowców autobusów i maszynistów, żeby robili to, owo i co tylko w ich mocy; i ponurych, histerycznych nawoływań, skierowanych do mieszkańców całej Anglii, żeby - z tego, co zdołał wywnioskować - udali się gdziekolwiek, a najlepiej na szczyt góry Snowdon.

Pomyślał, że wcześniejsza seria rozpaczliwych ostrzeżeń kazała tutejszym tchórzliwym mieszkańcom pozamykać bary i uciec z miasta, ale po chwili odzyskał humor i zaczął tańczyć i śpiewać głośno: "Kto się boi przypyływu i fali? Na pewno nie ja, Dail".

W tym momencie z zielonkawobiałym błyskiem zgasło światło, a wraz z nim umilkło radio. Chcąc stworzyć weselszy nastrój, Dai poszukał świec i roztopioną stearyną przykleił artystycznie aż siedem do lady baru.

Spojrzał na nie - wszystkie pięknie płonęły, płomyki tańczyły niczym siedem srebrzystozłotych dziewic, rzucając ciepły blask na wspaniałe, zielone i bursztynowe książki, starannie oznakowane etykietami.

- Zaraz, zaraz, może by poczytać Hardyego - powiedział do siebie, mijając dziewicze płomyki i spoglądając na butelkę Old Bushmills. - Ale kusi mnie "Pieśń LXIX" Ezry Pounda - spojrzął na whisky Vat 69. - Hm, co by tu wybrać? A może obcego autora, na przykład Heinricha Heinego? O, właśnie! - i uśmiechnął się do butelki z etykietą Kirschwasser.

Generał Stevens i pułkownik Mabel Wallingford leżeli obok siebie mniej więcej pół metra

od betonowego sufitu na dużym jak łożko wierzchu metalowej szafy. Pułkownik Wallingford zgubiła latarkę, ale generał w dalszym ciągu miał swoją, zawieszoną na szyi. Oświetlała OTIO nieruchomą taflę wody, którą dzieliło zaledwie piętnaście centymetrów od górnej krawędzi szafy.

Sami też leżeli bez ruchu. W głowach szumiało im od ciśnienia rozgrzanego, sprężonego powietrza.

Na ścianie i na suficie nie było nic, na czym mogliby zatrzymać spojrzenie, oprócz kraty wentylatora znajdującego się za głową pułkownik Wallingford.

Głosem dziwnie niskim, a jednocześnie bardzo dalekim generał powiedział:

- Nie rozumiem dlaczego, skoro jest takie ciśnienie, powietrze nie wylatuje tędy - tu wskazał wentylator - wtedy byłoby po wszystkim. Pewnie jest zablokowany. Może wyłączył się wentyl bezpieczeństwa na wypadek opadu radioaktywnego?

Pułkownik Wallingford potrząsnęła głową. Leżała na wznak, kątem oka patrząc na kratę.

- Trzeba się dokładnie przyjrzeć - powiedziała cicho. - Szyb wentylacyjny jest pełen wody, a w kracie są wybrzuszenia przypominające czarne poduszki albo czubki dużych czarnych palców. Ciśnienie wody w górze i w dole zrównało się, przynajmniej na razie, póki nic nie zakłóci napięcia powierzchniowego na kracie.

- Masz przywidzenia - odparł - i luki w hydrostatyce. Ciśnienie wody pod nami jest bez wątpienia większe. I powinno wypychać powietrze.

- Może szyb windy jeszcze nie jest całkiem zalany - rzekła pułkownik, lekko wzruszając ramionami. - I nie mam żadnych przywidzeń.

Podniosła rękę, wsadziła palec w najbliższy otwór wentylatora i prędko go wyciągnęła, kiedy gruby jak cygaro strumień wody trysnął z kraty i z głośnym pluskiem uderzył o gładką powierzchnię poniżej - mogło się zdawać, że to słoń oddaje mocz.

Generał potrząsnął Mabel za ramię.

- Ty głupia dziwko, niech cię szlag trafi - warknął, po czym spojrzał jej w twarz, wsunął palec za kołnierzyk jej bluzki i chwycił materiał tak mocno, jakby miał zamiar go rozerwać.

- Tak - oznajmił ochryłym głosem i skinął głową. - Czy chcesz, czy nie.

Zawahał się, a potem przepaszająco, ale stanowczo dodał:

- Wszystkie drogi są odcięte, tylko tak możemy szukać zapomnienia.

Pułkownik Wallingford błysnęła zębami w uśmiechu.

- Musimy to dobrze rozegrać, ty sukinsynu - powiedziała, mrużąc lekko oczy. - Nie ma już dla nas ratunku - ciągnęła z namysłem, wymawiając dobitnie każdą sylabę. - Jeżeli uda nam się osiągnąć orgazm w chwili, gdy będziemy tonąć... Musimy chyba poczekać, aż woda nas zaleje... Nie wolno się śpieszyć...

- Świetnie, Mabel! - zawołał głośno pochylony nad nią generał, szczerząc zęby niby upiorna czaszka.

Mabel zmarszczyła brwi.

- To jeszcze nie wszystko - rzekła cicho, ale na tyle wyraźnie, że generał usłyszał ją mimo szumu tryskającej wody. (Z kraty leciały teraz trzy strumienie). - Jest jeszcze coś. Ale na razie możemy zaczynać, o tamtym powiem ci później.

Rozpięła mokry płaszcz, bluzkę i zdjęła stanik. Latarka zawieszona na szyi oficera oświetliła jej piersi. Generał przywarł do Mabel i przystąpili do roboty.

- Nie śpiesz się, ty sukinsynu - szepnęła.

Kiedy ja przytulił wgniatając w jej ciało latarkę, zdawało się, że słaby, czerwony blask wydobywał się z jej piersi. Gdy woda była tylko dwa centymetry od wierzchu szafy, generał i Mabel zatrzymali się na chwilę.

- Jak szczury w pułapce - westchnęła czule.

- Jak na szczura masz całkiem fajne futerko - rzekł generał. - Zawsze myślałem, że jesteś lesbijką.

- Jestem - odparła. - Ale nie tylko lesbijką.

- Pamiętasz, jak nam się zdawało, że widzimy czarnego tygrysa...

- Wcale nam się nie zdawało - powiedziała Mabel i nagle uśmiech rozjaśnił jej twarz. - Śmierć przez uduszenie nie jest ciężka.

Zanurzyła rękę w wodzie, jakby leżało na wznak w kajaku - przez chwilę generał miał wrażenie, że tak jest w istocie.

- To cytat z "Księżnej d'Amalfi", generale. Słowa księcia Ferdynanda. Ładne, - prawda? - A kiedy generał w zamyśleniu zmarszczył brwi, Mabel, wciąż uśmiechając się błogo, dodała: - Kilka razy czytałam, że wisielec zawsze ma orgazm przed śmiercią, a duszenie i wieszanie to prawie to samo. Nie wiem, czy to również dotyczy kobiet, może tak, zresztą kobiety zawsze muszą ryzykować. Duszenie w każdym razie przyspieszy działanie wody, a gdyby nam się jeszcze udało zgrać to z orgazmem... No jak, generale, sprawi ci przyjemność zabicie kobiety? Jestem lesbijką i spałam z dziewczynami, których - nigdy nie zdobyłeś. Pamiętasz tę małą rudą z działu statystyki, która mrużyła lewe oko, kiedy na nią krzyczałeś?

Naraz woda trysnęła nad szafą i wyrwała ze ściany wentylator; otwór na przemian wyrzucał syczący strumień wody i wsysał strumień powietrza. Szafa zatrzasnęła się.

Znów wzięli się do dzieła.

- Z początku nie będę cię dusił zbyt mocno, ty nędzna lesbijo! - krzyknął jej do ucha generał. - Postaram się pamiętać, że jesteś kobietą.

- Tak myślisz? - usiłowała przekrzyczeć hałas Mabel. Wyciągnęła ręce i zacisnęła mu na szyi długie, silne palce dusicielki.

Rozdział 24

Zerowa grawitacja była pewnym udogodnieniem, ale Paula i tak bolały przeguby i wszystkie mięśnie od leżenia w rozpostartej pozycji. Uskarżał się trochę w myśli na ból, w nadziei, że Tygryska jakoś zareaguje, ale bez skutku. Kiedy ochłonął z przerażenia i przestał się jej lękać, zaczął narzekać i zadawać jej pytania. Ona jednak stwierdziła: “małpi jazgot” i na chwilę przyłożyła mu do ust puszystą, fioletową łapę: dziwny paraliż poraził Paulowi gardło i dolną część twarzy - jakby ktoś wsadził mu do ust niewidzialny knebel.

Ale ból pozwolił mu przynajmniej zapomnieć o upokorzeniu. Był teraz nagi. Kiedy się Tygryska zorientowała, że prymitywny umysł w pojeździe należy do Paula, a nie do Miau, z pogardą odczytała jego myśli, po czym błyskawicznie ściągnęła z niego mokre ubranie, uwalniając na chwilę jego kostki i przeguby rąk z niewidzialnych pęt. Następnie przystąpiła do inspekcji anatomicznej Paula z taką obojętnością, jakby miała do czynienia z trupem, i wreszcie - co Paul uznał za szczyt zniewagi! - przymocowała mu do krocza dwa urządzenia sanitarne.

Odchodzące od nich rurki prowadziły do tej samej srebrzystoszarej tablicy, do której Tygryska wrzuciła jego mokre ubranie. Paul nazwał tablicę Tablicą Odpadów.

W ciepłej kabiny wygodniej było leżeć nago, ale mimo to wciąż czuł się upokorzony.

Kiedy Tygryska uporała się z nim, nie kryjąc, że jest to dla niej wyjątkowo niemile zadanie, zabrała się do własnych spraw. Wyczyściła sobie i Miau długim, spiczastym, jasnofioletowym językiem, przypominającym bardziej język żaby niż kota, oraz dwoma srebrnymi grzebieniami, którymi posługiwała się z równą łatwością wszystkimi czterema łapami, jak i chwytnym ogonem. Pociągając rytmicznie grzebieniem, nuciła cicho - trzema głosami naraz - dziwną, nieharmonijną melodię. Włosy, które wypadają przy czesaniu, rzucała do Tablicy Odpadów.

Następnie ze wzniosłą albo po prostu okrutną obojętnością wobec znajdującego się w dole cierpiącego świata - Paul nie był właściwie pewien, czy latający talerz wciąż wisi nad południową Kalifornią, czy w ogóle wisi nad Ziemią - nakarmiła Miau. Z drugiej z trzech tablic - Paul nazwał ją Tablicą Żywności - Tygryska wyjęła grubą, ciemnoczerwoną glistę, która, według Paula, wyglądała na sztuczną. Glista poruszyła się nieco, budząc olbrzymie zainteresowanie Miau, która obserwowana przez Tygryskę, bawiła się chwilę robakiem, unosząc się w stanie nieważkości, a potem z wielkim apetytem zaczęła go jeść.

Następnie Tygryska podeszła do trzeciej tablicy, którą Paul nazwał tablicą sterowniczą, i wróciła do swoich normalnych obowiązków, polegających zapewne na obserwacji.

Kiedy lustro znajdujące się naprzeciw niego po raz pierwszy stało się przezroczyste, Paul rad był z przymocowanych urządzeń sanitarnych.

Kilometr pod nim burzyło się i kipiało gniewne, szare morze: ujrzał samotną, skalistą wyspę i duży, długi tankowiec miotany falami, które zalewały jego dziób.

Ściana po przeciwnej stronie talerza była idealnie przezroczysta. Patrząc na nią, Paul miał uczucie, że zaraz spadnie przez olbrzymi pierścień kwiatów prosto w odmęty. Po chwili na ścianie znów ukazało się lustro. Sytuacja powtórzyła się kilka razy w krótkich odstępach czasu, jedynie odległość talerza od Ziemi za każdym razem była inna. Paul, zawieszony kolejno nad morzem, wybrzeżem i lądem, czuł ściskanie w dołku. Raz zdawało mu się, że rozpoznaje północną część Doliny San Fernando z górami Santa Monica, ale nie był stuprocentowo pewien.

Jednakże co do następnego widoku nie miał żadnych wątpliwości. Znajdował się przynajmniej osiem kilometrów nad Ziemią, a prawie całą szerokość dziesięciometrowego okna wypełniało zalane blaskiem słonecznym miasto, które od zachodu otaczał ocean, od północy i wschodu góry - niestety szyba w kabinie nie obejmowała obszaru na południe.

Przez miasto biegło sześć równoległych pasm dymu powstałych jakby za pociągnięciem pędzla; zaczynały się nad morzem i tam miały kolor cynobrowy, ale w miarę, jak dym przesuwiał się w głąb czarnego łądu, ku górom, nabierał brunatnoczarnego zabarwienia.

Los Angeles płonęło. Statek tym razem zawisł dość nisko nad miastem, aby Paul mógł bez trudu rozpoznać główne ośrodki pożaru: Santa Ana, Long Beach, Torrance, Inglewood, Los Angeles Civic Centre i Santa Monica. Ogień w Santa Monica, liżąc południowe stoki gór, docierał do Beverly Hills i Hollywood.

Paul przypuszczał, że zarówno jego mieszkanie, jak i domek Margo w Santa Monica już się spaliły.

Z tej wysokości mógł sobie jedynie wyobrazić pędzące w popłochu samochody i tarasujące jezdnię wozy strażackie, które z góry wyglądały jak ruchliwe czerwone chrząszcze.

Coś się stało z wybrzeżem na południe od Los Angeles. To woda Pacyfiku sięgała miejscami zbyt daleko w głąb łądu.

Paul zaczął się dusić i naraz uświadomił sobie, że poprzez niewidzialny knebel usiłuje krzyknąć do Tygryski, żeby coś zrobiła.

Tygryska nawet na niego nie spojrzała - odsunęła się od tablicy sterowniczej, przykucnęła na niewidzialnej podłodze i obserwowała południowy wschód i morze.

Trzy kilometry pod statkiem nad zmienionym nie do poznania wybrzeżem pędziła po niebie ciężka szara chmura, ciągnąc za sobą ciemny ogon. Kiedy ogon zetknął się z ogniem na Long Beach, dym stał się biały - deszcz! Ulewny deszcz!

Paul zerknął ku innym pożarom, buchającym na drodze chmur i ujrzał dwa srebrnocynobrowe odrzutowce wojskowe, lecące w jego kierunku. Dym wydobywał się im spod

skrzydeł. Po chwili zobaczył cztery rosnące w oczach rakiety, wycelowane w latający talerz.

Naraz zdało mu się, że Los Angeles obniża się raptownie o piętnaście kilometrów. Pole obserwacji powiększyło się trzydziestokrotnie. Paul ujrzał nowe pasma dymu, malutkie z tej wysokości i ciągnące się wzdłuż wybrzeża w stronę Bakersfield. Po chwili widok przesłoniła mu zielona jak stół bilardowy ściana, tym razem bez lustro - zapewne dla odmiany.

Tygryska wsunęła długą łapę do kwiecistego zagajnika i wyciągnęła Miau. Przytuliła do siebie matą kotkę i, na pół odwrócona od Paula, powiedziała głośno:

- Widzisz, my uratowały dla niego małpie miasto. Zawołały duży talerz nad morze. Zrobiły deszcz. Małpy niewdzięczne. Pomagaj małpie, a małpa strzela.

Miau zaczęła się wrywać, jakby wołała wrócić do zabawy wśród kwiatów, ale Tygryska długim jak sztylet językiem polizała jej pyszczek i kotka przeciągnęła się z rozkoszą.

- Nie lubimy go, prawda? - zamruczała Tygryska głosem, w którym dźwięczał okrutny śmiech, i spod oka zerknęła na Paula. – Małpy! Tłumy tchórzliwych, skrzeczących małp! Bez indywidualności, bez polotu!

Paul chętnie by ją udusił, zacisnął ręce na gładkim zielonym futrze jej szyi. Tak, chętnie by zacisnął ręce na jej szyi i...

Tygryska mocniej przytuliła do siebie Miau i szepnęła głośno:

- On śmierdzi. Jego myśli też śmierdzą.

Nieszczęśliwy Paul przypomniał sobie, jak kiedyś myślał, że Margo się nad nim znęca. Ale wtedy nie znał jeszcze Tygryski.

Don Merriam znajdował się w małym pokoju o ścianach w spokojnych, pastelowych kolorach: siedział na brzegu łóżka, a właściwie na brzegu olbrzymiej, sprężystej poduszki.

Przed sobą na wysokości kolan miał niski stolik, na którym stał przezroczysty kubek, dzban z wodą i przezroczysty talerz pełen małych, białych, gąbczastych sześcianów o chropowatej powierzchni. Spragniony, napił się wody i tylko dla próby wziął do ust kęs sześcianu, mimo że jedzenie miało smak i zapach chleba.

Oprócz stołu i łóżka w pokoju był sedes i prysznic - a raczej metr kwadratowy podłogi w kącie pokoju, gdzie padał deszcz, woda jednak nie przyskała na ściany ani nie zalewała reszty pokoju. Don nie skorzystał jeszcze z prysznicy, chociaż rozebrał się już do bielizny.

Temperatura, wilgoć i oświetlenie pokoju były tak idealnie dopasowane do Dona, jakby pokój stanowił przedłużenie jego ciała.

Zanim zasuwane drzwi koloru ściany zamknęły się za jego gospodarzem czy też strażnikiem, dwunożny, czerwono-czarny tygrys powiedział:

- Napij się. Zjedz. Załatw się. Umyj się i dobrze wypocznij.

Były to jedyne słowa tygrysa, odkąd przywołał do siebie Dona. Podczas krótkiej jazdy windą i przejścia wąskim korytarzem stworzenie nie odezwało się ani razu.

Kosmonauta poczuł ulgę, kiedy stworzenie odeszło, ale zły był na siebie o to, że strach i nieśmiałość powstrzymały go od zadawania pytań: teraz pragnął niemal, żeby stworzenie wróciło.

Radość i smutek z powodu odejścia gospodarza były tylko jednym z wielu mieszanych uczuć, jakie go ogarnęły - był bowiem zmęczony, a zarazem niespokojny; czuł, że jest tu bezpieczny, a jednocześnie wyobcowany; chciał puścić wodze wyobraźni, a przy tym zachować jasność myśli; pragnął spojrzeć prawdzie w oczy, a równocześnie uciec w świat złudzeń.

Pokój ten równie dobrze mógłby być separatką w szpitalu albo kajutą na wielkim transatlantyku. No bo czyż planeta nie jest swego rodzaju statkiem płynącym przez kosmos? A w każdym razie ta planeta z niezliczoną ilością pokładów...

Zmęczenie wzięło górę, światła przygasły, Don wyciągnął się na łóżku, jego umysł jednak stał się naraz zdumiewająco aktywny. Miał wrażenie, że majaczy, ale majaczenie nie było chaotyczne.

W sumie wrażenie było całkiem przyjemne i Don czuł się tak, jakby był pod działaniem narkozy. Zapomniał przynajmniej o bólu i lęku.

Przyszło mu na myśl, że oni wdzierają mu się do mózgu i badają go, ale było mu to obojętne.

Zafascynowany obserwował, jak jego myśli, wiedza i wspomnienia ustawiają się w szeregi niby na rewii wojskowej i maszerują przed trybuną honorową.

Wreszcie obrazy zaczęły migać zbyt prędko, żeby mógł za nimi nadążyć, ale i to mu nie przeszkadzało, ponieważ zamazana plama, jaką tworzyły, i ciemność, która ogarnęła jego umysł i wzięła go w objęcia, były ciepłe, tkliwe, obezwładniające.

Rozdział 25

Niezliczone, ogromne fale rozkołysane przez Wędrowca szalały na całym świecie.

Prądy w Cieśninie Florydzkiej oraz w cieśninach Dover, Malakka i Juan de Fuca były zbyt silne, żeby statki mogły tam kursować. Woda wciągała małe statki jak młynówka wciąga kawałki drewna.

Wysokie, solidne mosty, które dotąd wystawione były tylko na porywy wiatru, teraz zostały poddane próbie skłębionej wody. Stały się zaporami dla statków, które wpadały na nie i zrywały je.

Przycumowane statki wyrzywały doki albo odrywały się od cum i grzęzły na ulicach miast portowych, rozbijając ściany wieżowców.

Woda odrywała latarniowce z grubych łańcuchów, czasem zaś łańcuchy wciągały statek pod wodę. Zatapiała latarnie morskie. Latarnia u wybrzeża Kornwalii jeszcze przez kilka godzin po zatopieniu świeciła głęboko pod wodą.

Słona woda podmyła i stopiła zmarzlinę u wybrzeży Syberii i Alaski. W Stanach Zjednoczonych i w Związku Radzieckim zalała podziemne wyrzutnie rakietowe niszcząc pociski atomowe. (Jedna z wychodzących jeszcze w głębi lądu gazet proponowała, żeby za pomocą bomb atomowych odeprzeć wodę). Linie wysokiego napięcia, na których nastąpiło zwarcie, wynurzyły się po sześciu godzinach pokryte szlamem.

Na Morzu Śródziemnym małe zazwyczaj fale urosły do tego stopnia, że czyniły takie same szkody, jakie huragany oraz ogromne pływy księżycowe systematycznie wyrządzają w nisko położonych portach oceanicznych.

Słodka woda z Missisipi pokryła cienką warstwą słony przypyływ z Zatoki Meksykańskiej, który wdarł się w jej deltę i zalał ulice Nowego Orleanu.

Podobne zjawisko zaobserwowali bracia Araiza i don Guillermo Walker na rzece San Juan. Późnym popołudniem nurt rzeki zmienił kierunek, woda zalała dżunglę po obu brzegach i przybrała słonawy smak. Mężczyźni ujrzeli różne szczątki płynące w górę rzeki. Zaklęli zdumieni - Latynosi z pewnym respektem, don Guillermo teatralnie, posługując się cytatami z "Króla Leara" - i zawrócili łódź w stronę jeziora Nikaragua.

Mieszkańcy olbrzymich miast portowych szukali schronienia na wzgórzach w głębi lądu albo - co było mniej bezpieczne - na górnych piętrach wysokich budynków, gdzie toczyli zawzięte boje o każdy kawałek wolnej przestrzeni. Helikoptery wojskowe ratowały na chybiłtrafił kogo się dało. Niektórzy bohaterowie lub po prostu uparciuchy czy też sceptycy trwali na posterunku. Jednym z nich był Fritz Scher, który przez całą noc nie opuszczał Instytutu Badań Pływów. Hans Opfel, mimo niewielkiej powodzi zalewającej ulice Hamburga, wyszedł na kolację, obiecując, że

wróci z kiełbasą i dwoma butelkami piwa, jednakże albo zmoęła go powódź, albo odezwał się instynkt samozachowawczy, bo już nie wrócił.

Toteż Fritz nie miał się z kogo wyśmiewać, kiedy pod wieczór przyplływ zmałał. A później, około północy, zostało mu tylko urządzenie prognozujące pływy, któremu mógł tłumaczyć, dlaczego - zgodnie z tym, co podają coraz to nowsze doniesienia - woda opada aż tak nisko. Ale to mu nawet odpowiadało, ponieważ jego uczucie do długiej, gładkiej maszyny stawało się coraz gorętsze. Przynął biurko bliżej maszyny, żeby móc ją ciągle głaskać. Od czasu do czasu podchodził do okna i wyglądał na zewnątrz, ale niebo pokrywały gęste chmury, to też nic nie mąciło jego przekonania, że Wędrowiec nie istnieje.

Wiele osób uciekających przed falami napotkało inne przeszkody, które kazały im zapomnieć o niebezpieczeństwie grożącym ze strony przyplwy. W południe według czasu miejscowego autobus szkolny i furgonetka, którymi jechali członkowie sympozjum, prowadziły wyścig z ogniem. Pasażerowie widzieli przed sobą płomienie wspinające się po grzbiecie górskim i dążące szybko do punktu, w którym szosa przecina grzbiet.

Podczas gdy Benjy uparcie prowadził samochód z irytującą monotonią pięćdziesięciu kilometrów na godzinę, Barbara obserwowała niewielką falę, która wybieęła spod lewego przedniego koła RollsRoycea, rozlewała się po szosie i znikaała w wysokim sitowiu. Jako kapitan ekspedycji, przynajmniej we własnym odczuciu, Barbara wiedziała, że powinna była usiąść z przodu, ale sądziła, że ważniejsza w tej chwili jest opieka nad milionerem, siedziała więc za Benjym obok starego KKK. Hester siedziała po drugiej stronie Ketteringa, a Helena z przodu razem z Benjym i stosem walizek.

Kiedy tak jechali na zachód przez bagniste tereny Florydy, słońce, które było wysoko na niebie, zaczęło przez przednią szybę wpadać do wozu. Wszystkie okna po stronie Barbary były pozamykane, w samochodzie panował upał. Wiedziała, że gdzieś na prawo i trochę bardziej na północ powinno być jezioro Okeechobee, ale na razie wszędzie ciąęnęło się bezkresne zielone sitowie, urozmaicone tu i ówdzie kępami ciemnych, ponurych cyprysów i wąską, lustrzaną taflą wody, pokrywającą prostą, gładką jezdnię - w najpłytszych miejscach woda sięęgała dwóch centymetrów, w najgłębszych - jak dotąd - dziesięciu.

- Miała pani rację z tym wysokim przyplwyem, panno Barbaro! - zawołał wesoło Benjy. - Wszystko jest zalane. Nie pamiętam, żeby przyplływ sięęgał tak daleko.

- Cicho, Benjy - zwróciła mu uwagę Hester. - Pan Kettering jeszcze śpi.

Barbara jednak nie podzielała zaufania, jakie w niej pokładał Benjy. Sprawdziła godzinę na dwóch zegarkach Ketteringa, które miała na lewej ręce: było dziesięć po drugiej, a według kartki z kalendarza, drugi wysoki przyplływ miał nastąpić w Palm Beach o trzynastej czterdzieści pięć. Ale

chyba przypyływ zaleje ląd później niż wybrzeże? Pamiętała, że tak jest z wodą w rzekach. Pomyślała, że jej wiadomości stanowczo są zbyt skąpe.

Samochód z opuszczonym dachem, który jechał dwa razy prędzej od nich, minął ich, ochlapując RollsRoycea wodą. Pędził szybko naprzód, rozbryzgując i burząc gładką taflę wody. W samochodzie siedziało czterech mężczyzn.

- Pirat drogowy! - warknęła Hester.

- O rety, całe szczęście, że nasz Rolls nie kurczy się od wody - ucieszył się Benjy. - A to dlatego, że pokryłem go obficie smarem.

Helena zachichotała.

Rozmowa ta obudziła KKK - starzec spojrział na Barbarę zaczerwienionymi oczkami, które otaczała siatka zmarszczek; sprawiał wrażenie, jakby przespał wszystko, co się działo do tej pory. Wprawdzie brał udział w przygotowaniach do odjazdu, ale znajdował się w stanie odrętwienia. Napędziło to stracha Barbarze, ale Hester wcale się nie przejęła.

- Jeszcze się nie wyspał. Nic mu nie będzie - wytłumaczyła Barbarze.

Teraz Kettering rozkazał rzeško:

- Panno Katz, proszę zadzwonić na lotnisko i zarezerwować dwa bilety na najbliższy lot do Denver. I proszę im powiedzieć, że płacę potrójną premię recepcjonistom, pilotowi i linii lotniczej. Denver leży pięćset metrów nad poziomem morza, jest poza zasięgiem przypyłwu i mam tam przyjaciół.

Barbara spojrzała na niego przerażona i ruchem ręki uświadomiła mu, gdzie się znajdują.

- A tak, zaczynam sobie przypominać - powiedział po chwili Kettering pośepnie. - Dlaczego nie pomyślała pani o samolocie? - zapytał z wyrzutem, patrząc na czarną torbę linii Black Bali Jetline leżącą na jej kolanach.

- Pożyczyłam to od przyjaciółki. A całą drogę z Bronx przebyłam autostopem. Rzadko latam samolotami - przyznała się z zalem Barbara, w duchu okropnie na siebie zła. Tak dzielnie zaczęła ratować swojego milionera, ale oszołomiona RollsRoycem nie pomyślała o najlepszym sposobie ucieczki i tym samym skazała może ich wszystkich na zagładę. Dlaczego nie, myślała kategoriami milionerów!

Nagle zaintrygowało ją, czy stary KKK przejęczył się, mówiąc o dwóch biletach. Z pewnością chodziło mu o pięć - przecież traktował Hester, Helenę i Benjy'ego jak własne dzieci.

- A przynajmniej wzięliśmy ze sobą dość pieniędzy? - spytał kwaśno Kettering.

- Tak, proszę pana, wzięliśmy wszystkie pieniądze z sejfów ściennych - zapewniła go Barbara, czerpiąc pewną pociechę z myśli o grubych plikach banknotów, które dawały się namacać przez materiał torby.

RollsRoyce zwolnił. Samochód, który ich niedawno minął, stał w sitowiu z maską do połowy zanurzoną w wodzie, a jego czterej pasażerowie po kostki w wodzie zastępowali drogę i wymachiwali rękami.

Widok ten wyrwał Barbarę z zamyślenia.

- Nie zwalniam! - krzyknęła, chwytając fotel kierowcy. - Jedź prosto przed siebie!

Benjy jeszcze trochę zwolnił.

- Słuchaj się panny Katz, Benjaminie. Gazu! - rozkazał stary KKK głosem tak ochrypłym, że zakrzuszył się wymawiając ostatnie słowo.

Barbara zobaczyła, jak Benjy chowa głowę w ramiona, i wyobraziła sobie, że naciskając gaz mruży oczy. Mężczyźni stali nieruchomo, ale kiedy dzieliło ich już tylko kilka metrów od RollsRoycea, odskoczyli na bok, gniewnie pokrzykując. Nie udało im się ta sztuczka.

Barbara obejrzała się i zobaczyła, że jeden z nich mocuje się z drugim, który wyciągnął pistolet.

Może źle postąpiłam? - pomyślała.

Na pewno nie!

Dai Davies siedział na ladzie patrząc, jak ze świeczek, którym nadał żeńskie imiona, spływają ostatnie strugi białych łez, ich dziewicze mleko, i jak czarne knoty opadają i toną w woskowych kałużach. Gwen i Lucy już się wypaliły, teraz przyszła pora na Gwyneth. Dla Daviesa była to podwójna strata, potrzebne mu było ich ciepło i światło: słońce bowiem już zaszło, a przez szybki w oknach i drzwiach widział jedynie zalaną szarą wodą rozległą łąkę, którą ogarniał gęsty mrok. Miał nadzieję, że ujrzy światła w odległej Walii, ale tam też panowały Ciemności.

Woda przypiływu już dość dawno temu wtargnęła do piwiarni - sięgała teraz tak wysoko, że Dai siedział z podkurczonymi nogami. Powoli, zataczając koła, pływały po niej dwie szczotki, zmywak na kiju, wiadro, pudełko od cygar i kawałki drzewa opałowego. W pewnej chwili Dai wpadł na pomysł opuszczenia piwiarni i na wszelki wypadek wsadził do bocznej kieszeni dwie półlitrowki. Przypomniawszy sobie jednak, że jest to najwyżej położony punkt w całej okolicy, że ma tu ciepły, wesoły blask świeczek, a poza tym sam dobrze wiedział, że jest zbyt wstawiony, aby rażno ruszyć w drogę.

Tak czy owak najlepiej udawać, że się jest królem Kanutem na trumnie krokodyla. Jeszcze pięć centymetrów i woda zacznie opadać - pomyślał nagle i głośno rozkazał wodzie, żeby się cofnęła.

Bo przecież o pierwszej lub trochę po pierwszej był odpływ, teraz więc jest już najwyższy przypiływ - oczywiście, jeżeli ta szalona woda w ogóle przestrzega starych zasad.

Wciągnął głęboko powietrze, wachając piętą otwartą butelkę, którą trzymał w ręce - Kentucky Tavern, import ze Stanów - i spojrzął na Elizę. Eliza zadrżała i przygasła, ale po chwili nieoczekiwanie buchnęła jaskrawym, niebieskim płomieniem.

Ołowiane ramki w oknach wygięły się pod naporem nowej fali. Woda wdarła się przez dziurę, którą wybił w drzwiach, Dai nagle zdał sobie wyraźnie sprawę z tego, że bar się kołysze - właściwie, że porusza się cały budynek. Pociągnął z butelki łyk gorzkiego, ciepłego płynu i zawołał ze śmiechem:

- Przynajmniej raz zatacza się knajpo, nie Dai!

Wtem jednak spowaźniał, bo wreszcie zrozumiał, co się dzieje, i krzyknął z dumą i uniesieniem:

- Umieraj, Dai. umieraj! Zejdź z tego świata. Ale umieraj dzielnie! Umieraj z butelką whisky w ręce, wzywając ukochaną, żeby znów przybyło do Cardiffu. Ale... - zawahał się i po raz pierwszy pokonując w sobie małosłowną zazdrość, jaką czuł do Dylana Thomasa, rzekł: - "Nie wchodź łagodnie do tej dobrej nocy. Buntuj się, buntuj, gdy światło się mroczy".

W tej właśnie chwili, gdy Eliza zgasła, a nad szarą równiną znikły ostatnie perliste smugi światła, rozległo się głośne, stanowcze trzykrotne stukanie do drzwi.

Ogarnął go dziki strach, a jednocześnie dodał mu sił, żeby mimo zamroczenia alkoholem skoczyć do lodowatej wody i brnąć w niej, zanurzony po uda, podejść do drzwi i je otworzyć. Tuż za drzwiami w przygasającym blasku Mary, Jane i Leonie zobaczył oparty o framugę długi, ciemny, pusty skiff.

Człapiąc po wodzie, która z jednej strony pomagała mu utrzymać równowagę, a z drugiej hamowała ruchy, Dai wrócił do baru, lewą ręką zgarnął trzy nie rozpoczęte butelki i cofając się do drzwi podniósł z wody dwie pływające szczotki.

Skiff czekał. Dai wrzucił do niego szczotki, ostrożnie ustawił butelki i chwytając się rękami nadburcia, oparł się o łódź. Czuł, że traci przytomność, gdy nagle zimna woda chlusnęła mu w krocze. Dai podskoczył niezgrabnie, przekręcił się i przesunął, aż wreszcie znalazł się w skiffie, twarzą do mokrych drewnianych desek, i dopiero wtedy stracił przytomność. Ładując się do łodzi niechęć kapnął nogą framugę i wypchnął skiff na pełne wody.

Słońce już zachodziło, a Richard wciąż maszerował poboczem, kilka metrów od zatłoczonej wozami szosy. Samochody jechały wolno trzema pasami, jeden przy drugim, zderzak za zderzakiem, uniemożliwiając ruch w przeciwnym kierunku. Richard wiedział, że nie ma sensu zatrzymać wozu, prosząc o podwiezienie, bo we wszystkich jest komplet pasażerów, a nawet gdyby znalazło się wolne miejsce, natychmiast zająłby je ktoś, komu się rzeczywiście bardziej

należało, albo ktoś idący bliżej drogi. Zresztą szedł niema! tak prędko, jak jechały samochody, i znacznie prędzej niż większość pieszych.

Byli teraz za Uxbridge i dążyli w kierunku północno-wschodnim. Wszyscy poczuli ulgę, kiedy zaszło jaskrawe słońce, choć każdy znak mijającego czasu działał jak bodziec: piesi na chwilę przyspieszali kroku, kierowcy tłoczyli się jeszcze ciaśniej.

Nigdy jeszcze - ani w życiu osobistym, ani w biegu wydarzeń toczących się wkoło niego, ani nawet podczas nalotów, które pamiętał z dzieciństwa - Richard nie doświadczył tak nagłych i drastycznych zmian, jak w ciągu ostatnich sześciu godzin. Najpierw autobus skręca na północ z małej, zalanej wodą uliczki w Brentford... kierowca głuchy na protesty pasażerów wciąż powtarza: "Zarządzenia służby ruchu"... potem sprawozdania radiowe o jeszcze większej powodzi w samym sercu Londynu, o amerykańskim talerzu latającym, widzianym również nad Nową Zelandią i Australią, gdzie go uznano za planetę... zakłócenia radiowe akurat w chwili, gdy ktoś podaje listę „zaleceń dla ludności cywilnej”... zdenerwowani pasażerowie, którzy martwią się o rodziny, i Richard, który z jednej strony żałuje, a z drugiej strony czuje ulgę, że nie istnieje nikt, o kogo musiałby się niepokoić. Potem autobus zatrzymuje się przy szpitalu West Middlesex i kierowca informuje pasażerów, że ma rozkaz przewiezienia pacjentów... dalsze bezskuteczne protesty... rada dla pasażerów, żeby udali się na północny zachód, "byle dalej od wody"... pasażerowie nie mogą uwierzyć w to, co się dzieje... błąkają się chwilę po terenie nowego uniwersytetu... coraz więcej samochodów i przerażonych ludzi, uciekających ze wschodu... helikopter skrętnie rozrzucający ulotki... świeżo wydrukowana ulotka: "Do mieszkańców Western Middlesex: udać się na wzgórze Chiltern. Wysoki przyptyw przewidywany dwie godziny po północy"... I wreszcie przyłączenie się do wciąż rosnącego sznura pojazdów i pieszych, sunących na północny zachód, i wmieszanie się w otumaniony, maszerujący tłum.

Richard pomyślał, że idzie już dwie godziny. Był zmęczony: szedł z głową opuszczoną, ze wzrokiem utkwionym w zabłocone buty. Na niżej położonym odcinku, który niedawno minął, były wyraźne ślady powodzi: mętne kałuże i leżąca trawa. Nie wiedział dokładnie, gdzie, jest, poza tym, że daleko za Uxbridge, że przeszedł mostem przez Colne i kanał Grand Junction i że w oddali widać wzgórze.

Mimo zmroku było dziwnie jasno. Richard o mało nie wpadł na grupkę ludzi, którzy zatrzymali się i patrzyli w niebo. Odwrócił się, żeby zobaczyć, na co patrzą, i tam, nisko, na wschodniej części nieba ujrzał wreszcie sprawcę ich nieszczęść - kulę co najmniej wielkości Księżyca widzianego we śnie. Była żółta, jedynie przez środek biegła szeroka fioletowa linia, z której końców wystrzelały ostro załamane fioletowe ramiona tworzące literę D.

D jak desperacja, D jak dewastacja, D jak destrukcja - pomyślał.

Obiekt mógł być planetą, był jednak brzydki - jego jaskrawe kolory upodobały go do znaków ostrzegawczych w fabryce materiałów wybuchowych.

Pomyślał o Ziemi, która przez tyle milionów lat obracała się samotnie w kosmosie, bezpieczna niczym dom, do którego nigdy nie wchodzi obcy, i o tym, jak niepewne było to jej odosobnienie. Przyszło mu na myśl, że ludzie, którzy przez długi czas żyją samotnie, przyzwyczajają się do swoich nawyków, stają się ekscentryczni i egoistyczni.

Ale dlaczego - zastanawiał się ze złością - kiedy wreszcie następuje mordercza inwazja z drugiego końca wszechświata, intruz przypomina tandetną, krzykliwą reklamę umieszczoną na okrągłej tablicy?

I nagle przyszło mu na myśl: D jak Dai. Przypomniał sobie, że w Avonmouth przy pełni Księżyca fale przyływu osiągają wysokość piętnastu metrów, i przez chwilę myślał o swoim przyjacielu i o tym, jak on sobie teraz daje radę.

Kiedy Davies odzyskał przytomność, leżał zziębnięty, twarzą do deski. Oparł się łokciami o deskę - kołysząc nią, mimo woli zdał sobie sprawę, że jest to ławka skiffu - podniósł twarz i wsparł głowę na rękach. Za burtą widział tylko ciemną równinę nabrzmiałego wodą Kanału Bristolskiego i kitka dalekich światełek, które mogły pochodzić z Monmouth, Glamorgan czy z Somerset albo nawet z łodzi, trudno jednak było je odróżnić od rozsianych po niebie zamglonych gwiazd.

Poczuł na piersiach zimną, podłużną butelkę. Zdjął nakrętkę i pociągnął haust whisky. Nie rozgrzało go to, ale jakby trochę ożywiło. Butelka wypadła mu z ręki, zawartość wylała się na dno skiffu. Umysł Daviesa nie był jeszcze sprawny. Docierało do niego tylko jedno - że znaczna część Walii wraz z eksperymentalną elektrownią pływową nad Severn znajduje się teraz pod nim. Walia przywiodła mu na myśl Dylana Thomasa i wiersz, którego urywki zaczął mamrotać:

- "Tylko głębokie, zatopione dzwony kaplic i dzwonki owiec... mrok mielizny świętych pól wynurzy... Pod gwiazdami Walii... Krzyk: tak zakrzykną niezliczone arki! (Skiffarka! Samotny Noe!)... łądy pokryte wodami... Hej, stary lisie o chodzie matrosa... myszko Dai!... potop rozkwita teraz" .

Skiff kołysał się miarowo. Myślenie przychodziło Daviesowi z trudem, ale nareszcie zdał sobie sprawę, że niewielkie fale są zapewne resztkami potężnych grzywaczy na Atlantyku, nadsięgających w górę Kanału w przeciwną stronę niż przyływ. Ale dlaczego ich malutkie grzbiety pokryte są burgundem i piwem, krwią i złotem?

Fala obróciła skiff o sto osiemdziesiąt stopni i na wschodniej części nieba ujrzał fioletową kulę Wędrowca, na której leżał zwinięty w kłębek złoty smok. Przed smokiem unosiła się trójkątna, złota tarcza. Spoza obcej kuli stopniowo wyłaniało się grube, białe wrzeciono niczym lśniący

kokon potężnej białej ćmy. Daiowi przypomniały się relacje radiowe ze zwariowanej Ameryki i nasunęły się pewne skojarzenia: ćma, ćma-Luna, Luna - uświadomił sobie nagie, że wrzeczono to nic innego jak Księżyc, z którym on i Richard Hillary pożegnali się piętnaście godzin temu.

Dai, wstrząśnięty, siedział bez ruchu i wpatrywał się w niebo, aż wreszcie nie mógł tego dłużej znieść. Kiedy ogarnęły go konwulsyjne dreszcze, a skiff płynął coraz prędzej kołysany przez fale, podniósł prawie pustą butelkę i ostrożnie pociągnął z niej haust. Wyprostował się, usiadł, wziął dwie szczotki, wsadził je w dulki i powoli zaczął wiosłować.

Trzeźwy, a może wciąż pijany, tyle że z nowym zapasem energii po odpoczynku, miał szansę uratowania się, mimo że znajdował się bliżej kanału Severn niż wybrzeża Somersset i przyływ szybko przybierał na sile. Ale wiosłował szczotkami od niechcienia, byle tylko, skiff płynął na zachód, na otwarte morze i byle on sam mógł obserwować ten dziwny cud na niebie. Patrząc na kulę, mrucał i nucił:

- Mona, droga kochana Mona... znalazłaś nowego kochanka... groźny władca przybył zniszczyć wodą świat... zgwałcona i zhańbiona, Mono kochana, piękniejsza niż kiedykolwiek, z rozpaczy rodzi się twój nowy kształt... czy chcesz być białym pierścieniem?... Wciąż jestem twym poetą, poetą Luny, samotny... samotny walijski żeglarz... jak Wolt Loner powiosłuję dziś w nocy aż do Ameryki, żeby na ciebie patrzeć... u Lloyd'a dzwon bije zatopionym statkom i miastom, dopóki i jego nie uciszą fale, a wówczas jego stłumione dźwięki będą się rozchodziły z głębi wód po całym świecie.

Fale rosły, pienily się złocistą czerwienią. Gdyby się Doi odwrócił, zobaczyłby, że pół kilometra za dziobem morze burzy się gwałtownie, a sieć nakrapianych brylantami fal rozbryzguje się wysoko nad szalejącą wodą.

Kiedy Wędrowiec zachodził nad Wietnamem, a słońce wschodziło nad wyspą Hainan, Bagong Bung - malutki przy wielkim mechaniku z Australii - obserwował, jak pięćdziesiąt metrów za dziobem "Machan Lumpur" powoli, metr po metrze, wyłania się z połyskującej wody przeżarty rdzą i porośnięty wodorostami komin.

Silny prąd napierał na podziurawiony komin, woda pniąc się tryskała wyżartymi przez rdzę otworami; fale zniosłyby nawet "Machan Lumpur", gdyby śruba parowca ale obracała się bez przerwy. Tymczasem zaś w Zatoce Tonkińskiej następował odpływ i woda cofała się do Morza Południowo-chińskiego.

Z południa dobiegł niski, donośny dźwięk niby grzmot odległego odrzutowca. Dwaj mężczyźni nie zwrócili na niego uwagi. Skąd mogli wiedzieć, że to dwie i pół godziny temu wybuchł Krakatau, wulkan w Cieśninie Sundajskiej.

Na powierzchnię wody wypłynął pokryty szlamem i muszlami pomost wraku. Prąd zaczął słabnąć. Kiedy w polu widzenia ukazał się cały statek, Bagong Bung poznał, że to “Królowa Sumatry”.

Mały Malajczyk padł na kolana, złożył niski ukłon Wędrowcowi na zachodniej części nieba, a tym samym niezamierzenie w kierunku Mekki, i powiedział cicho:

- Terima kasi, bagus kuning dañ ungu.

Kiedy już podziękował żółtofioletowemu cudotwórcy, wstał pośpiesznie i wskazując wrak żartobliwym, wielkopańskim gestem, zawołał wesoło:

- O, Cobber-Hume, bait sobat, przywiążemy kuter do statku ze skarbami i wejdziemy na pokład jako królowie! Wreszcie, mój przyjacielu, “Machan Lumpur” został Tygrysem Błot!

O zmierzchu Sally oparła się o balustradę tarasu i westchnęła.

Światło zachodzącego słońca zlewało się z blaskiem płonącej ropy naftowej, która wylała się ze zniszczonych powodzią zbiorników i unosiła się na słonej wodzie zalewającej Jersey City.

- Co tak patrzysz, Sally! - zawołał Jake z pokoju, w którym siedział popijając koniak i zajadając różne gatunki sera. - Znów pożar w budynku?

- Nie, chyba się już nie pali. Woda sięga do połowy domu i ciągle jej przybywa.

- I to ci nie daje spokoju?

- Nie wiem, Jake - rzekła przygnębiona. - Patrzę, jak kościoły znikają pod wodą. Nie wiedziałam, że jest ich aż tyle. Kościół Świętego Patrycego, i Trzech Króli, i Jezusa Chrystusa, i Świętego Bartłomieja, i Najświętszej Marii Panny, i Męki Pańskiej, w którym rozpoczęto kampanię antyalkoholową, i Wszystkich Świętych, i Świętego Marka w Bouwerie, i Mały Kościół na rogu, a także Synagoga i Świątynia Aktorów.

- Przecież ich wszystkich stąd nie widać - zaprotestował Jake. - Nie widać nawet potowy.

- Widzę je w wyobraźni.

- Przestań o tym myśleć! - rozkazał. - Spójrz, Sally, na planecie, która wznosi się teraz nad Empire State Building, siedzi KingKong. Jak ci się podoba ten pomysł? Może uda mi się umieścić go w sztuce.

- Na pewno ci się uda - ożywiła się Sally. - A skończyłeś już piosenkę o Arce Noego?

- Jeszcze nie. Ojej, Sally, muszę przecież odpocząć po pożarze.

- Odpoczywałeś przez pół butelki koniaku. Wracamy do pracy!

Rozdział 26

- Wsiadamy! Przerwa na rozprostowanie nóg i spacerek do lasku! - zawołał ochryple Brecht, siląc się na wesołość. - Wojtowicz, tak jak przepowiadałeś, droga jest zatarasowana.

Pojękując trochę, wszyscy chętnie wysiedli z autobusu: górskie powietrze było chłodne i wilgotne. Zachodzące słońce rzucało ukośne, dziwnie zielone promienie - grupa jednomyślnie uznała, że przyczyną tego zabarwienia jest pył wulkaniczny gromadzący się w stratosferze, jedynie Drągał przypisywał je emanacji planetarnej.

Nie uległo wątpliwości, że wiele przeżyli podczas dnia, który teraz dobiegał końca, toteż skutki nie przespanej nocy srogo dawały się we znaki.

Na żółtej farbie autobusu i białym lakierze furgonetki, stojącej tuż obok, widniały czarne smugi pozostawione przez ogień, przed którym pojazdy ledwo zdołały uciec. Clarence Dodd miał obandażowaną lewą rękę, którą oparzył, kiedy przytrzymał plandekę, żeby osłonić Raya Hanksa, Idę i siebie przed buchającymi, syczącymi płomieniami.

Wychodząc z autobusu Hunter zaklął, gdyż o mało się nie przewrócił o leżące w przejściu łopaty, którymi przez dwie nużące godziny kopali piasek i żwir, wyrównując zasypany odcinek szosy, ażeby mogły nią przejechać oba pojazdy. Wepchnął łopaty pod siedzenie i zaklął jeszcze raz.

Kilką osób miało mokre ubrania, a czarne smugi na autobusie i furgonetce były miejscami rozmyte przez ogromną ulewę, która wraz z szarymi chmurami nadciągnęła z zachodu i złapała grupę dziesięć minut potem, jak ta zakończyła zwycięski wyścig z ogniem. Wielkie, ciemne zasłony chmur wciąż zasłaniały niebo na wschodzie, natomiast zachodnia część nieba już się gdzieś rozpuściła.

Przebyli trzydzieści kilometrów po górach: teraz znajdowali się na przedostatnim grzbiecie górskim, przed końcowym zjazdem w dół do Doliny Vandenbergu 3 i na autostradę 101, ciągnącą się z Los Angeles na północ w kierunku Santa Barbara i San Francisco.

Brecht, który niczym pelerynę wojskową zarzucił na ramiona mokry, pożyczony płaszcz, szedł na czele grupy, a Rama Joan i Margo tuż za nim.

Doszli do miejsca, gdzie szosa biegła po terasie powstałym - po części w wyniku naturalnej erozji, po części na skutek wysadzenia skały dynamitem - w zboczu skalistej góry, które ciągnęło się pod kątem trzydziestu stopni aż do ostrego szczytu znajdującego się pięćdziesiąt metrów wyżej, tworzyło ów poziomy taras, następnie przez kilka metrów znów opadało, tyle że pod trochę większym kątem, i wreszcie zamieniało się w niemal pionowe urwisko, nad którym nie sposób było nic dojrzeć oprócz niewielkiej ściany skalnej oddalonej prawie o kilometr.

Groźne, szare, skaliste zbocze, pokryte jasnozielonymi, pomarańczowymi, szaroniebieskimi i

czarnymi porostami było pokarbowane, pocięte szczelinami i kotłami, z których tu i ówdzie wystawały głazy wielkości bez mała furgonetki.

Jeden z takich olbrzymich głazów spadł na sam środek szosy wrzynając się w nią głęboko. Trochę wyżej brak porostów wskazywał miejsce, z którego osunął się - przypuszczalnie na skutek trzęsienia ziemi.

- Tak, nieźle ją zatarasował! - zawołał do Brechta Wojtowicz. - Niech to cholera!

Tuż przed głazem ujrzeli zaparkowany bokiem czerwony wóz marki Corvette z otwartym dachem. Samochód stanowił zuchwały kontrast z ponurym krajobrazem. W pobliżu jednak nie było nikogo i na wesołe pozdrowienie Brechta odpowiedziało tylko echo.

Ida podbiegła do Brechta mówiąc:

- Ray nie wytrzyma już dziś dalszej jazdy. Podłożyliśmy mu koc pod plecy, mówi, że to mu sprawia ulgę, ale i tak wciąż go boli, a poza tym ma gorączkę.

Brecht obszedł maskę wozu, nagle stanął jak wryty, a potem wyprostował się i cofnął, jakby niewidzialny bosak pociągnął go do tyłu. Kiedy się odwrócił do pozostałych, twarz miał jeszcze bardziej zieloną od zielonkawego blasku słońca. Podniósł rękę i powiedział:

- Nie ruszajcie się. Niech nikt tu nie podchodzi. Ściągnął z ramion płaszcz od deszczu i przykrył nim coś, co leżało za samochodem.

Ida z cichym, bolesnym jękiem osunęła się na asfalt.

Po chwili opierając się o maskę wozu, żeby nie stracić równowagi, Brecht znów spojrzał na współtowarzyszy; drżącą ręką otarł czoło i wymamrotał niewyraźnie, z trudem, jakby z całych sił powstrzymywał torsje:

- To młoda kobieta. Nie umarła śmiercią naturalną. Rozebrano ją do naga i torturowano. Pamiętacie sprawę Czarnej Dalii? Ta wygląda podobnie.

Margo również poczuła, że ogarniają ją mdłości. Zanim Brecht przykrył ciało jasnym płaszczem, dostrzegła trupioblada twarz z policzkami rozciętymi tak, że usta zdawały się sięgać od ucha do ucha.

Rama Joan, zasłaniając Annie oczy, wspięła się na palce i zawołała:

- Po tamtej stronie głazu stoją dwa samochody. Wewnątrz nie widać nikogo.

Clarence Dodd stanął za nią.

- Gdzie masz karabin, Dodd? - zapytał Brecht.

- Zostawiłem go w furgonetce. Tą ręką i tak nie mogę strzelać - odparł. - Ledwo mogę pisać w notatniku.

- Ja mam swój! - zawołał Wojtowicz. Ruszył pośpiesznie naprzód, potknął się i byłby upadł, gdyby nie oparł się kolbą o asfalt. Kiedy odzyskał równowagę, spostrzegł, że trzyma broń za

lufę niczym pielgrzym laskę.

Nagle usłyszeli ostry męski głos i słowa dobrze znane z filmów kryminalnych:

- Stać. Mamy was na muszce. Najmniejszy ruch, a strzelam.

Spoza skały tuż nad szosą ukazał się mężczyzna, dwóch innych wyszło zza głązu nieco poniżej. Pierwszy trzymał dwa rewolwery i wodził nim: wolno po stojących, dwaj pozostali skierowali karabiny na Wojtowicza. Na twarzach mieli jaskrawoczerwone, jedwabne maski z dużymi otworami na oczy. Mężczyzna z rewolwerami, szczupły i starannie ubrany, nosił nasunięty na czoło młodzieżowy czarny filcowy kapelusz, ale mimo to wyglądał bardziej na dziarskiego, energicznego starca niż na młodego człowieka.

Pewnym krokiem zszedł prędko ze zbocza. Jego oczy, podobnie jak lufy rewolwerów, przesuwaly się nieustannie po grupie podróżnych.

- Z Czarną Dalią trafiliście w sedno - rzeki szybko, ale wyraźnie, wymawiając dobitnie każde słowo. - To był mój młodzieńczy wyczyn. Tym razem obejdzie się bez przykrych scen - każde z was ma szansę ocalenia - jeżeli facet z karabinem natychmiast rzuci broń.

Wojtowicz rozluźnił palce i karabin zadrgał dziwnie, nim spadł na ziemię.

- I jeżeli mężczyźni odsuną się od kobiet i staną trochę dalej, tak żeby...

Dwa metry od mężczyzny w czarnym kapeluszu i czerwonej masce z głązu tarasującego drogę posypały się odłamki. Niemal jednocześnie rozległ się świst i trzask strzału z karabinu. To Ray Hanks leżący na łóżku w furgonetce zdołał wystrzelić.

Wojtowicz chwycił z ziemi karabin i strzelił z biodra do dwóch zamaskowanych mężczyzn na zboczu. Obaj natychmiast pociągnęli za cyngla i Wojtowicz upadł.

Margo tymczasem wyciągnęła spod kurtki szary pistolet, wycelowała go w mężczyznę w czarnym kapeluszu i nacisnęła spust. Mężczyzna, wyrzucając ręce na boki, z całych sił uderzył plecami o głąz. Rewolwery wypadły mu z rąk. Głąz zakołysał się lekko.

Ktoś krzyczał dziko, tryumfująco.

Wojtowicz wypalił z ziemi, mężczyźni z karabinami znów strzelili, ale Margo od razu wycelowała w nich pistolet: mężczyźni nagle wylecieli w górę, koziolkując w powietrzu - karabiny ich wirowały osobno - dopóki nie znaleźli się kilka metrów nad przepaścią i nie znikli z pola widzenia.

Mężczyzna w czarnym kapeluszu powoli osunął się z głązu zostawiając czerwoną plamę w miejscu, gdzie uderzył głową. Margo podbiegła do głązu, skierowała na niego pistolet: mężczyznę zwiąło z urwiska - spadł za swoimi! kompanami, a za nim potoczyły się trzy niewielkie głązy.

Brecht, który był najbliżej linii strzału, wyciągnął przed siebie ramiona i zawirował, jakby tańczył walca; zrobił trzy duże kroki w stronę przepaści, lecz wreszcie udało mu się zatrzymać,

wpierając się nogami w niewielki występ skalny. Hunter podbiegł do Margo, jedną ręką chwycił pistolet, drugą oderwał jej dłoń od kolby.

- To ja! - krzyknął jej prosto w twarz.

Dopiero wtedy dziewczyna zaprzestała krwiożerczych wrzasków i zdyszana, wciąż uśmiechnięta szatańsko, skinęła głową.

Drągał podbiegł do Idy.

Harry ukląkł przy Wojtowiczu, który wciąż powtarzał:

- Ojej. Ojej.

Po chwili jednak dodał:

- Wiesz, po pierwszym strzale i tak zamierzałem paść na ziemię. Kula chyba drasnęła mnie w ramię. Lepiej od razu sprawdzić.

Brecht jednym susem znalazł się przy Hunterze i Margo.

- Co to za pistolet? - spytał. - Znalazłem się tylko jednym ramieniem w jego zasięgu, ale miałem takie wrażenie, jakbym rzucał młotem i zapomniał wypuścić go z rąk.

- Nie martw się, nie zużyłam całego ładunku - rzekła pośpiesznie Margo do Huntera. - Jeszcze jest do połowy naładowany. O, widzisz tę fioletową kreskę?

- Pokaż... - zaczął Brecht, ale nagle wyprostował się i prędko rozejrzał wkoło. - Harry! - zawołał. - Przynieś karabin Wojtowicza. Rama Joan, zajmij się Wojtowiczem. Hixon, weź broń Hanksa, jeżeli nasz bohater zechce ci ją oddać. Ross, oddaj Margo pistolet. Ona umie się - nim posługiwać. Margo, ty i ja zbadamy teren. Musimy sprawdzić, czy nie ma tu więcej tych drani. Idź po mojej lewej ręce i strzelaj do każdego, kto ma broń. Tylko uważaj, jak celujesz.

Margo, która podczas strzelaniny zbladła, teraz znów się uśmiechnęła i zgodnie z poleceniem Brechta stanęła ostrożnie, na lekko zgiętych nogach, po jego lewej ręce. Wanda, która szła do Drągała, żeby pomóc mu ocucić Idę, spojrzała na Margo i od razu odsunęła się od niej jak najdalej.

- Sądzę, że to rzeczywiście był morderca Czarnej Dalii - powiedział z namysłem Dodd. - A teraz już nigdy się nie dowiemy, jak naprawdę wyglądał. Może by się nawet udało go rozpoznać.

Wojtowicz, który skrzywił się z bólu, kiedy Rama Joan rozdarła zębami zakrwawioną koszulę i ściągnęła mu ją z ramienia, warknął na Dodda:

- Ot, brednie!

Rama Joan oblizwała krew z ust.

- Proszę przynieść apteczkę - zwróciła się do Dodda. Brecht wziął karabin McHeatha, wprowadził nowy nabój do komory i wchodząc na zbocze zawołał do Margo:

- Chodźmy, póki jest widno. Musimy dbać o bezpieczeństwo naszego obozu.

Barbara Katz starała się nie okazywać lęku, kiedy ogromny policjant wsadził głowę i latarką przez okno samochodu po jej stronie i głośno, choć spokojnie, zapytał:

- Gdzieście, czarnuchy, ukradli ten samochód?

Dziewczyna zaczęła mu pośpiesznie tłumaczyć, że jest sekretarką i opiekunką Knollsa Kelseya Ketteringa III, jednocześnie zaś przesuwiała ręką po framudze okna, żeby zwrócić uwagę policjanta na banknot studolarowy, który trzymała w dłoni, ale on wciąż świecił im latarką w oczy, nie reagując na pieniądze.

Kiedy blask latarki padł na Ketteringa, Barbara spostrzegła ze zdumieniem, że pokryta siatką zmarszczek twarz milionera upodabnia go do starego Murzyna. Jakiś czas temu Kettering znów zapadł w odrętwienie - upał był dla niego zbyt męczący. Ale teraz małe, bladoniebieskie oczy otworzyły się i łamliwy, choć stanowczy, głos rozkazał:

- Przestań świecić mi w twarz, ty durniu!

To zadowoliło policjanta, bo zgasił latarkę i Barbara poczuła, jak delikatnie wyciąga jej z ręki banknot. Cofnął głowę i rzekł dobrodusznie:

- W porządku, możecie jechać. Ale powiedzcie mi, przed czym właściwie uciekacie? Większość przejeżdżających twierdzi, że przed powodzią, ale huraganu przecież nie ma. Niektórzy mówią, że coś nadciąga od strony Kuby. Uciekacie jak króliki. Nic z tego nie rozumiem.

Barbara wysunęła głowę przez okno.

- Naprawdę uciekamy przed powodzią - wyjaśniła. - Nowa planeta spowodowała ogromny przyływ.

Spojrzała za siebie na szosę, którą jechali: na niebie wschodził Wędrowiec, fioletowy z olbrzymią żółta bestią pośrodku tarczy. Lśniące wrzeciono zniekształconego Księżyca - jeden koniec wrzeciona wydawał się krótszy wskutek zaokrąglenia orbity - wyglądało jak wór, który dźwiga olbrzymia bestia.

- A, więc o to chodzi - powiedział policjant i uśmiech ukazał się na jego twarzy. - Przecież to jest wysoko na niebie i niczym nam nie grozi. Myślałem, że uciekacie przed czymś tu, na Ziemi.

- Ale Księżyc się rozpada - zaproponowała Barbara.

- Księżyc ma inny kształt - tłumaczył jej cierpliwie policjant. - Księżyc jest gdzie indziej.

- Ale ta nowa planeta naprawdę powoduje ogromne przyływy - upierała się Barbara. - Pierwszy nie był aż tak groźny, ale następna będą coraz większe. Nawet najwyżej położone tereny Florydy są zagrożone. Fale mogą zalać cały stan.

Policjant rozłożył ręce, jakby wzywał na świadka spokojną noc, pachnącą kwieciem pomarańczy, i roześmiał się wyrozumiale.

- Ostrzegam pana - powiedziała Barbara. - Ta planeta zwiastuje zagładę.

Policjant wciąż się śmiał. Barbara zawrzała ze złości.

- W takim razie - zapytała - jeże!! nic takiego się nie dzieje, dlaczego zatrzymuje pan wszystkie samochody?

Uśmiech znikł z twarzy policjanta.

- Pilnujemy porządku w Citrus Centre - odparł szorstko i odchodząc do następnego samochodu dodał: Niech pani każe kierowcy jechać, zanim zmienię zdanie. A pani szef nie powinien pozwalać, żeby jakaś Murzynka mówiła w jego imieniu. Wy, czarnuchy po studiach, jesteście najgorsi. Zdobywacie wiedzę, a potem wam się to wszystko miesza z głupimi afrykańskimi zabobonami.

Jechali w milczeniu na północ. Wędrowiec był coraz większy, Księżyc-wrzeciono przesunął się teraz na środek tarczy, a olbrzymia bestia zamieniła się w fioletową literę D.

Knolls Kelsey Kettering III oddychał z trudem.

- Musimy zatrzymać się na noc. Powinien się położyć - rzekła Hester.

Benjy zwolnił i przeczytał napis: "Witamy na terenach wyżynnych". Roześmiał się radośnie.

- To brzmi zachęcająco! - zawołał.

Wyżyny... czy aby na pewno dostatecznie wysokie? - zamyśliła się Barbara.

Richard Hillary obudził się obolały i zziębnięty. Kiedy spał, niechcący rozrzucił słomę, którą się przykrył. A do tego słoma, na której leżał, była zupełnie zgnieciona i ciągnęło od ziemi. Chłodno w tych Chiltern Mills - pomyślał na pół zbudzony. Na niebie świeciła nieznana planeta, która po zakończeniu pełnego obrotu znów przedstawiała złowieszczą literę D. Przypomnił sobie inne oblicza planety, które widział: X ze zgrubiałym środkiem oraz fioletową tarczę z dużym żółtym środkiem - oba były równie brzydkie i wyglądały bardziej na znaki czy zabawki używane do testów niż na naturalną strukturę powierzchni. Teraz jednak planeta znów była wypukła jak prawdziwa kula, nie zaś, jak przedtem, płaska niczym tabliczka reklamowa. Jej zaokrąglony biały pierścień miał w sobie piękno przywodzące na myśl "Ptaka w przestrzeni" Brancusiego. Czy to możliwe, że biały półpierścień to Księżyc, jak zapewniał Hillaryego współtowarzysz wędrowki? Chyba nie. A jednak Księżyc odbył w nocy podróż po niebie, więc gdzież miał się teraz znajdować?

Richard usiadł; starając się rozgrzać, wtulił głowę w ramiona, nastawił kołnierz i zapiął płaszcz pod szyją. Wszystko to nie na wiele się zdało. Sterta słomy, z której wziął kilka wiązek na postanie, znikła. Kiedy dwie i pół godziny temu kładł się spać, na palu leżało najwyżej dziesięć

osób, teraz ujrzał wokół siebie dziesiątki niskich, słomianych pagórków, z których każdy służył za posłanie przynajmniej jednej osobie. Nie słyszał, kiedy przyszli - pewnie uciszali się nawzajem, zgarniając słomę i otulając się nią - zapóźnieni goście domu noclegowego pod gołym niebem. Hillary zazdrościł ciepła przytulonym do siebie parom i z tęsknotą myślał o młodej dziewczynie w szarawarach, która przedtem wydała mu się tak głupia i ordynarna. Przypomniał sobie również kielbasę i tłuczone kartofle, które miała zjeść na obiad.

Spojrzał w stronę wiejskiej chaty: w nocy kupił tam talerz zupy i zapłacił za słomę. Światło wciąż się paliło, ale na oknach rysowały się nieregularne cienie. Uświadomił sobie z lekkim zdumieniem, że to ludzie, szukając ciepła, niczym pszczoły oblegają ściany chaty. Zapewne ci, co późno przybyli, są głodni, a jedzenia, podobnie jak słomy, już nie ma. A może żona wieśniaka coś piecze? Wciągnął nosem powietrze, ale czuł tylko zapach, czegoś słonego. Może kobieta otwiera beczkę peklowanej wołowiny? Zdał sobie sprawę, że ponosi go wyobraźnia.

W ciągu dwóch godzin tłum śpiących powiększył się znacznie, ale teraz nikt już nie nadchodził. Hillary zerknął na bramę - droga, na której panował ruch i zgiełk, kiedy kładł się spać, była pusta i cicha.

Wstał i spojrzał na wschód. Dolinę, którą nie tak dawno przemierzył, spowijała teraz ciemna, srebrzysta mgła, a jej smugi otaczały wzgórze - miejsce jego odpoczynku, zalegając wąwozy porośnięte trawą.

Mgła wisiała nisko i lśniła jak szary metal. Ujrzał sunące tajemniczo dwa światełka - czerwone i zielone.

Uświadomił sobie, iż są to światła łodzi i że mgła jest nieruchomą taflą wody - wody przyływu.

Rozdział 27

Brecht i Margo przeszukali zbocze skalistej góry aż do jej szczytu, przeszli dwieście metrów za samochody, dokładnie badając teren, nie spotkali jednak nikogo, spłoszyli tylko cztery jaszczurki i jastrzębia. Dolina między ostatnimi dwoma grzbietami górskimi była czarna. Widać było jedynie mokre spopieliałe wrzosowce i juki oraz zwęglone szkielety karłowatych dębów. Najpewniej przed kilku godzinami wszystko spalił doszczętnie pożar - co by tłumaczyło fakt, dlaczego nikt od tej strony nie nadjeżdżał. Clarence Dodd i Harry McHeath przyśpieszyli akcję wywiadowczą, przyłączając się na ochotnika do Margo i Brechta. McHeath zszedł po lewym zboczu na brzeg przepaści i stwierdził, że spada ona pionowo w dół przez dwieście metrów aż do występu skalnego, a dalej jest strome, kamieniste zbocze, porośnięte krzakami.

Nie znaleźli żadnego z rewolwerów mężczyzny w czarnym kapeluszu - albo spadły w przepaść, albo utkwily między nierównymi, popękkanymi skałami.

W dwóch samochodach za skałą znaleźli klucze, które Brecht schował do kieszeni. Ponieważ zapadał już zmierzch, Dodd oświetlił wnętrza wozów latarką i z kart rejestracyjnych wsuniętych za kierownicę spisał nazwiska właścicieli, zastanawiając się, czy jeden z nich nie jest właśnie sadystą, który zamordował Czarną Dalię. Zapewne mężczyzna w czarnym kapeluszu i jego dwaj pomocnicy jechali tymi wozami, kiedy samotna dziewczyna w czerwonej Corvecie ukazała się z przeciwka - przypadkowe spotkanie przy głazie na drodze - i wtedy, chyba jeszcze przed deszczem, kiedy płomienie buchały, tworząc prawdziwie szatańską zasłonę... nie, lepiej było o tym nie myśleć. Tymczasem Hunter i Hixonowie owinęli zwłoki zamordowanej dziewczyny pożyczonym płaszczem Brechta i małą brezentową oliwkowobrazową płachtą z furgonetki. Wciągnęli zwłoki trzydzieści metrów pod górę i ułożyli w niewiele większej od trumny jaskini, którą znalazł McHeath. Do brezentu przypięli krótką, sporządzoną wodoodpornym atramentem Dodda, relację o okolicznościach śmierci dziewczyny, stawiając znak zapytania przy jej nazwisku i adresie, które to dane spisali z karty rejestracyjnej wozu. Drażal odprawił krótkie, dziwne nabożeństwo, po czym nakreślił sobie na czole zakończony pętlą znak krzyża, podobny do egipskiego klucza życia. Wszystkim od razu zrobiło się raźniej, choć teraz, gdy nie czuli już lęku, a napięcie minęło, zdali sobie sprawę, że padają ze zmęczenia i chcą nie chcą muszą tu zanocować. Zaczęli się przygotowywać do wypoczynku: większość grupy - w tym oczywiście dwaj ranni mężczyźni - miała spać w autobusie, ponieważ było chłodno, a przed świtem mogło się jeszcze bardziej oziębic. Hixon obawiał się, czy w razie nowego trzęsienia ziemi skały znów się nie osuną ze zbocza, ale Brecht wyjaśnił mu, że skoro dotychczas nie spadły, to już nie spadną, i dodał, że wstrząsy, które w ciągu pierwszych godzin spowodowało pole grawitacyjne Wędrowca, już się

zakończyły.

Brecht postanowił, za dwie owinięte kocami osoby, uzbrojone w karabin i szary pistolet Margo, będą w nocy pełniły straż w płytkiej niszy między skalami, nieco poniżej szczytu zbocza i niemal dokładnie nad skałą blokującą drogę. Oznajmił, że Dodd i McMeath będą pełnić straż do północy, numer i Margo od północy do pół do trzeciej nad ranem, a on sam i Karna Joan od pół do trzeciej do świtu. Hixon z drugim karabinem będzie spał w autobusie na fotelu kierowcy, a kobiety - po zejściu z warty - w furgonetce razem z Anną. Wanda zaczęła wydziwiać na ten koedukacyjny układ, ale cięta riposta Brechta od razu zamknęła jej usta.

Rozpalili prymus i zagotowali wodę, żeby zrobić kawę. Na kolację wypili kawę z mlekiem i zjedli kanapki z masłem orzechowym i marmoladą, znalezione w autobusie. Z początku Margo myślała, że nie zdoła przełknąć tych słodkich, dziecięcych specjałów, ale po pierwszym kęsie poczuła taki głód, że spałaszowała trzy kanapki i wypła dwa kubki kawy z mlekiem. Czuła się radośnie podniecona, jak po alkoholu - przed oczami raz po raz stawał jej widok trzech zamaskowanych sadystów zmiecionych ze skały strzałami z jej pistoletu - i beztróska mówiła ludziom wszystko, co jej w danej chwili przychodziło do głowy.

Za autobusem zobaczyła Drągała i spytała go wprost: - Czy to prawda, że Ida i Wanda obie są pańskimi żonami?

Drągał, bynajmniej nie speszony tym pytaniem, skłonił siwą głowę i odparł:

- Tak, to prawda. Zgodnie z naszą wiarą obie są moimi żonami, a ja ich żywicielem. Związek ten daje nam dużo zadowolenia. Ożeniłem się z Wandą dla jej powabów cielesnych - była wtedy tancerką rewii - a z Idą dla jej zalet duchowych, teraz oczywiście trochę się to wszystko zmieniło...

Nachmurzony stary kierowca usłyszał odpowiedź Drągała, burknął coś pogardliwie i odwrócił się do nich plecami.

- Co, zazdrościsz mu, dziadku? - spytała Margo przyjaźnie, choć nieco złośliwie.

Tygryska po raz trzeci nakarmiła Miau i spojrzała na Paula. Potem gestem rozmyślnie ludzkim, jak podejrzewał, drwiąco wzruszyła pięknymi, fioletowozielonymi ramionami, bardziej giętkimi od ramion tenisisty czy tancerki hinduskiej, wróciła do Tablicy Żywności i po chwili przypląnęła do niego z torbą w jednej ręce, a dwiema wąskimi rurkami w drugiej. Zawisła nad nim i zmierzyła go wzrokiem, jakby nagle niepewna, czy wepchnąć mu przemocą jedzenie do ust, czy też wprowadzić je dożylnie albo przez odbytnicę.

Mięśnie bolały go teraz okropnie, gardło piekło strasznie z pragnienia, kręciło mu się w głowie - nie tyle zresztą z głodu, co z nadmiaru wrażeń. Jednakże najbardziej irytowała go zmiana

w zachowaniu Tygryski. Kiedy Miau jadła. Tygryska tańczyła, był to wspaniały szybki, rytmiczny taniec - wielka kotka robiła piruety i gwiazdy, odbijając się na przemian od sufitu i podłogi pojazdu. Jednocześnie dziwna muzyka wypełniała kabinę, a zagadkowe światło słoneczne drgało miarowo.

Paul uświadomił sobie teraz, że Tygryska z natury porusza się na czubkach palców jak baletnica, bo jest stworzeniem palcochodnym, a nie stopochodnym; zauważył, że jej stopy składają się z samych palców, a wyżej umieszczona pięta jest odpowiednikiem niższego łokcia w ramieniu ziemskich czworonogów.

Jej taniec oczarował go do tego stopnia, że zapomniał o bólu i lęku.

Teraz piękna tancerka znów była nieczułą, sadystyczną pielęgniarką - co za ohydna metamorfoza!

Toteż mimo pragnienia potrząsnął ze smutkiem głową, usiłując zacisnąć odrętwiałe, spieczone wargi. Zmarszczył brwi i spojrzał na nią z powagą, oczami prosząc o litość - zdawał sobie sprawę, że wygląda teraz jak zakneblowana, związana małpa, która błaga, żeby ją uwolniono.

Tygryska uśmiechnęła się, nie rozchylając długich warg - był pewien, że znów naśladuje drwiąco człowieka - i nadal bacznie mu się przyglądała.

Była teraz noc, znajdował się więc na statku już dwanaście godzin, gdy bowiem ostatni raz patrzył na Ziemię, widział - nie miał co do tego żadnych wątpliwości - San Francisco, nad którym zapadał zmrok; widział czarne zgliszcza, budynki osmalone dymem pożarów, zagaszonych przez ulewne deszcze, oraz dziesiątki statków przy Złotych Wrotach. Potem latający talerz przechylił się i Paul ujrzał wschodzącego Wędrowca z tarczą przypominającą mandalę - planetę otaczał asymetryczny, lśniący pierścień, czyli, jak Paul sobie po chwili uświadomił, tyle tylko, co zostało z Księżyca.

Tygryska przysunęła się bliżej, wierzchem zielonej łapy dotknęła nadgarstka prawej ręki Paula, po czym znów się odsunęła. Paul z ogromnym zadziwieniem poczuł, że rękę ma wolną. Poruszył palcami, zgiął a następnie wyprostował łokieć, doznając przy tym nie tak silnego bólu, jak się spodziewał, i już miał podnieść rękę do ust, gdy nagle się zawahał.

Jeżeli dotknę ust - pomyślał - ona może opacznie zrozumieć ten gest i natychmiast wsadzi mi rurkę do gardła.

Dotknął więc czoła, po czym płynnym ruchem opuścił rękę do ust i wskazał jej spiczaste uszy. Pod wpływem natchnienia przesunął rękę z jej uszu na usta, a następnie wskazał własne uszy.

- Chcesz mówić, tak? - zapytała Tygryska. - Małpa i kot wielka rozmowa?

Potrząsnęła powoli zielonym pyszczkiem.

- Nie! Będziesz jazgotać i pytać - jeden pytanie, dziesięć, pięć tysięcy! Znam małpy.

Paul stracił nadzieję. Jednocześnie ogarnęła go niczym nie uzasadnioną pewnością, że gdyby chciała, Tygryśka potrafiłaby mówić zupełnie poprawnie, ale nie chce - takie jak utalentowany Europejczyk, który mimo że mógłby bezbłędnie posługiwać się każdym obcym językiem, mówi ze swoim rodzimym akcentem, używając takich struktur gramatycznych, jakie stosował, gdy zaczynał się uczyć danego języka, po to jedynie, aby podkreślić swoją odrębność i wyrazić swój krytyczny stosunek do dziwolągów językowych obcej mowy.

- Ja powiem - rzekła Tygryśka, idąc na kompromis. Po czym w tempie stenotypistki w sądzie, monotonnym głosem, jakby wszystko ją bardzo nudziło, powiedziała:

- Ja wyższa cywilizacja galaktyczna. Czytam myśli, przekazuję myśli, wędruję w nadprzestrzeni, żyję na wieczność, jeżeli chcę, robię wybuchy słońc - tego rodzaju rzeczy. Wygląd zwierza - przyjęłam postać jak moje przodki. Umysł mały rozmiar, ale ogromna pojemność (psychofizjotransminiaturyzacja! My zawsze będzie wyższa cywilizacja). Nie wierzysz? Słuchaj. Rośliny jedzą substancje nieorganiczne - są wyżej! Zwierzęta jedzą rośliny i są bardziej wyżej! Koty jedzą świeże mięso - są najwyżej! Małpa je wszystko - ohyda!

Wędrowiec podróżuje w nadprzestrzeni - ciągnęła dalej. - Tak, fotografie gwiazdne, wiem. Potrzebuje paliwo, dużo materii dla konwertorów. Wasz Księżyc dobre źródło. Zgnieść go, sproszkować, wyssać masę. Napełnić zbiorniki i w drogę. Wy, małpy, niepotrzebnie boicie i gorączkujecie.

Kiedy umilkła, Paul przez pięć długich sekund kipiał ze złości, wściekły na nią, że wszystko tak bezdusznie upraszcza. Po chwili uświadomił sobie, że nic nie może na to poradzić. Powoli zaczerpnął tchu, starając się uspokoić: miał nadzieję, że nie jest już tak zaczerwieniony. Przycisnął rękę mocno do ust i raptownie ją odsunął, jakby chciał powiedzieć: "Precz z kneblem".

Przyszło mu do głowy, że skoro ona zna jego myśli, nie ma sensu bawić się w gestykulację, ale prawie natychmiast zdał sobie sprawę, że to wszystko jest przecież zabawą. Koty lubią się bawić, lubią igrać bezradnymi, słabymi istotami i Tygryśka nie stanowiła tu wyjątku.

Potwierdziła jego przypuszczenia, gdy powoli i z uśmiechem potrząsnęła głową - zmarszczyła górną wargę i ostre koniuszki wąsów zetknęły się jej nad nosem, tworząc małe kółko.

Postanowił spróbować jeszcze raz. Powtórzył ruch oznaczający "precz z kneblem", ale potem od razu podniósł do ust rękę, jakby trzymał w niej szklankę, i przechylił ją, udając, że pije. Wreszcie przyłożył palec wskazujący do ust.

Gwiazdziste źrenice Tygryśki zwały się do dwóch kropek, kiedy spojrzała Paulowi w oczy.

- Dam ci pić, ale ty nie mówisz? Ani jedno słowo?

Paul skinął uroczyście głową.

Kotka wyjęła z torby białą plastikową butelkę, mniej więcej ćwierćlitrową, i przysunęła ją do ust.

- Delikatnie naciśnę, ty ssij - powiedziała i wierzchem drugiej łapy pogładziła go po policzku i brodzie.

Odrętwienie minęło, a jednocześnie chłodny powiew przyniósł ulgę jego spierzchniętym wargom. Po chwili poczuł smak mleka. Pachniało piżmem. Zastanawiał się, czy jest to mleko kocie, czy też syntetyczne i czy jest zdatne do picia dla człowieka, ale doszedł do wniosku, że musi zaufać Tygrysce.

Kiedy zaspokoił pierwsze pragnienie, wyciągnął rękę po butelkę. Kotka ani nie odtrąciła jego ręki, ani też sama od razu nie cofnęła swojej, przez kilka więc sekund Paul czuł przy palcach jej poduszczeni miękki jak aksamit, elastyczne, jedwabiste futro oraz wygięty, schowany twarde pazur. Po chwili Tygryśka cofnęła łapę, mówiąc jedynie:

- Pamiętaj, delikatnie.

Kiedy wysał mleko do końca, oddał Tygrysce butelkę i odruchowo chciał jej podziękować, ale zanim zdołał cokolwiek powiedzieć, kotka uderzyła go lekko łapą i znów zakneblowała mu usta.

Zastanawiał się posępnie, czy knebel to tylko autosugestia, czy może niewyczuwalna błona, czy też nagła elektroforeza tkanki - w terminologii medycznej koto... nie, kataforeza! - a może coś zupełnie innego, ale umysł jego szybko ogarnął letarg. Zmęczenie czy środki nasenne? Nie wiedział, bo ten wysiłek umysłowy też był ponad jego siły.

Zasypiając spostrzegł, że niewidzialne słońce przygasa i w kabinie zapada zmrok. Przez sen czuł, jak puszysta łapa Tygryśki uwalnia mu z pęt lewą rękę i nogę, zostawiając niewidzialny węzeł tylko na prawej kostce.

Zwinął się w kłębek niczym embrion w łonie matki i zapadł w głęboki sen.

Usłyszał jeszcze głos Tygryśki, która rzuciła obojętnie:

- Dobranoc, małpo.

Rozdział 28

Mieszkańcy Ziemi po raz piąty ujrzeli na tarczy Wędrowca symbol in-jang. Wędrowiec już od dwudziestu czterech godzin unosił się nad Ziemią. W Międzynarodowej Stacji Badawczej na biegunie południowym, gdzie akurat była zima i noc ciągnęła się nieprzerwanie miesiącami, meteorolodzy widzieli, że Wędrowiec zatoczył koło po bezsłonecznym niebie, zawsze utrzymując jednakową wysokość nad lodowatym horyzontem i teraz znów zawisł w miejscu, w którym ukazał się po raz pierwszy, to znaczy nad Górą Królowej Maud i Ziemią Marie Byrd. Silny zielony blask odbijał się od śniegu i oświetlał krajobraz.

Nieznana planeta odnowiła wierzenia w siły nadprzyrodzone i wywołała u ludzi różnego typu maniakalne obsesje.

W Indiach, które jak dotąd uniknęły poważnych trzęsień ziemi i doznały niewielkich tylko szkód na skutek powodzi, tłumnie czczono Wędrowca podczas całonocnych obrzędów. Niektórzy byli zdania, że jest to niewidzialna planeta Ketu, wypluta nareszcie przez węża. Bramini przyglądali się Wędrowcowi w milczeniu, napomykając, że może zwiastuje on początek nowej ery.

W Republice Południowej Afryki Murzyni traktowali planetę jako zapowiedź krwawego, zwycięskiego powstania przeciwko Burom.

W krajach protestanckich tysiące ludzi, którzy nigdy dotąd nie czytali Biblii ani nawet do niej nie zaglądali, teraz studiowało Apokalipsę.

W Rzymie nowy papież – jezuita-astronom - zwalczał zabobonne interpretacje wydarzeń, reporterzy szukali odpowiednich filmów i obiektywów, żeby móc fotografować na tle Wędrowca gwiazdy filmowe oraz inne znane osobistości, gdy tymczasem Ostia broniła się przed powodzią, a nowy przypływ z Morza Śródziemnego sunął w górę Tybru.

Pewien teozof angielski mieszkający w Egipcie rozpoznał w kociej istocie, która wyrzała z latającego obiektu, dobrą boginię Bast, toteż kult kotów rozpoczął się od nowa. Zdaniem teozofa, nowa planeta była bliźniaczką bogini Bast, niszczycielką Sachmet, okiem Ra.

Niesamowite wydarzenia miały również miejsce w Paryżu, gdzie dwie kocie istoty, popełniając ten sam błąd, co Tygryśka, uwolniły z ogrodów zoologicznych wszystkie tygrysy, lwy, lamparty i inne drapieżniki. Kilka drapieżnych kotów pokazało się w kafejkach na lewym brzegu Sekwany. Również w Tiergarten w Berlinie, gdzie zwierzętom groziła powódź, kocie istoty powypuszczały je z Zoo.

Aż dziw pomyśleć, że w tym samym czasie Don Merriam spał wygodnie w małej kabinie na Wędrowcu, a Paul spał równie smacznie w pojeździe Tygryśki.

Z jednej strony Wędrowiec wywołał ogromny popłoch i doprowadził wielu ludzi do

szaleństwa, z drugiej zaś strony jego nagłe ukazanie się i spowodowane przez niego katastrofy podziały jak terapia wstrząsowa. W wielu szpitalach psychiatrycznych na oddziałach dla furiiatów chorzy odzyskali zdrowie.” W ich psychice nastąpiła przemiana, gdy ujrzeli, iż rzeczy niewiarygodne, nieprawdopodobne stają się rzeczywistością i sieją panikę wśród pielęgniarek i lekarzy. Zrozumieli, że w porównaniu z zaburzeniami kosmicznymi psychoza czy nerwica są nieistotne.

Niektórym ludziom w ostatnich minutach ich życia Wędrowiec otworzył oczy na prawdę, jeżeli nawet nie dał im możliwości ucieczki przed jej skutkami. Nad ranem Fritz Scher, zanurzony po pas w wodzie, wyrzwał w Hamburgu przez okno Instytutu Badań Pływów i zobaczył, że chmury na zachodniej części nieba podniosły się nieco, niczym na pół podciągnięte zasłony: spoza nich wynurzył się Wędrowiec i zaświecił mu prosto w twarz. Gdy Fritz wreszcie dokładnie wszystko rozumiał, zalał go nowy strumień wody i odepchnął od okna. Przepływając obok maszyny prognozującej pływy, Fritz na próżno usiłował chwycić się “jej gładkich krawędzi. Do ostatniego tchu powtarzał nieustannie:

- Trzeba pomnożyć wszystko przez osiemdziesiąt!

Kiedy zakołysał się hotel, a wraz z nim ciemny pokój na drugim piętrze, Barbara poczuła, jak łóżko na kółkach porusza się lekko. Już chciała z niego wyskoczyć, ale zapanowała nad tym odruchem, przesunęła się tylko bliżej starego Ketteringa i dotknęła ręką Helefy, która leżała po jego drugiej stronie. Godzinę temu starzec miał gwałtowne dreszcze. Po południu dokuczał mu upał, a teraz, kiedy lodowata woda Atlantyku zasilą Florydę, zimno nie dawało mu spokoju.

Benjy, z twarzą trupioblada w blasku Wędrowca, stał przy oknie.

- Woda zalała już parter - biadolił - i wciąż szybko przybiera. O, płynie domek letniskowy. Słyszycie, jak rąbie w ścianę hotelu? Chrzęst jak cholera.

- Właż do łóżka, Benjy, i prześpij się trochę! - zawołała z rogu pokoju Hester. - Jak się hotel ma zawalić, to się zawali. Jeżeli woda zapuka, nie powiesz jej: “Wstęp wzbroniony”.

- Nie jestem tok spokojny jak ty, Hester - odparł Benjy. - Powiniennem być zostać przy samochodzie i pilnować, żeby nikt nie zabrał go z pagórka. Chociaż woda pewnie lada chwila tam dojdzie.

- Niech no tylko ktoś odważy się dotknąć Rollsa! - szepnęła z przejęciem Barbara. - Parking na pagórku jest wliczony do pięciu tysięcy, które płacimy za apartament.

- Ciekawa jestem, czy ci dusigrosze zabrali z dołu kasę, bo jeżeli nie, to woda na pewno ją porwie - parsknęła śmiechem Helena.

- Cicho! - zawołała Hester. - Benjy, wracaj do łóżka.

- Co mi z tego przyjdzie? - zapytał ponuro, nie ruszając się od okna. - Helena śpi ze starym i go grzeje, A od tej grubej warstwy pudru, który nałożyła mi panna Barbara, swędzi mnie cała twarz.

- Przestań narzekać, Helena i ja możemy od biedy uchodzić za pielęgniarki, ale ciebie trzeba było trochę wybielić, i tak wiadomo, że nie jesteś biały, ale to jednak coś daje. Przynajmniej widać, że się starasz, a dobra wola i tysiąc dolarowy banknot może daleko zaprowadzić.

- Znow widać tego potwora na Wędrowcu - powiedział Benjy, podnosząc głowę i patrząc w niebo. - Szybko się obraca.

Pokój za kołysał się. Belki zaskrzypiały.

- Woda znow podniosła się o kilka centymetrów - oświadczył Murzyn. - Budynek chyba się przechyla na bok.

Helena usiadła na łóżku.

- A może powinniśmy... - zaczęła niepewnie przerażonym głosem.

- Cicho! - rozkazała ostro Hester. _ Macie być cicho, a ty, Benjy, włącz do łóżka! Musimy odmieszkać te pięć tysięcy dolarów. Kiedy już będziesz po szyję w wodzie, możesz się odezwać, ale ani o minutę wcześniej! Dobranoc.

Leżąc w ciemnościach, Barbara myślała o torze wyścigowym w Sebring oddalonym o niecałe dwa kilometry, o sprawnych, prędkich wozach zalanych wodą morską, która zmyła z nich tłustą, warstwę oleju. A może kierowcy zorientowali się w porę i teraz czerwanoniebieskozielonożółtsrebrny sznur samochodów pruje na północ w poszukiwaniu bezpieczniejszego miejsca? Wyobraziła sobie motorówki ścigające się na torze w Sebring. Wyobraziła sobie zatopione rakiety sto pięćdziesiąt kilometrów dalej, na Przylądku Kennedyego.

Stary Kettering jęknął cicho i zaczął coś mamrotać. Barbara głaskała go po suchym, pomarszczonym policzku, ale mamrotanie nie ustało. Palce, które trzymał modlitewnie przy piersi, poruszały się lekko. Barbara sięgnęła pod łóżko, podniosła lalkę w czarnej bieliźnie i podała mu ją. To go uspokoiło. Barbara uśmiechnęła się.

Pokój się zakołysał.

Sally włożyła naszywaną perłami obcisłą suknię wieczorową, którą znalazła w bogato zaopatrzonej szafie w sypialni przylegającej do sypialni Hasseltinea. Jake wystroił się w granatowy, wełniany, nieco przydługi garnitur, w którym wyglądał jak elegant z lat pięćdziesiątych. Siedzieli przy fortepianie, na którym stały niskie kieliszki do wina i dwie butelki szampana.

Pokój oświetlały dwadzieścia trzy świece - wszystkie, jakie udało się Sally znaleźć - i dwie latarki. Ciemne kotary zasłaniały okna, zepsuta windę, a przede wszystkim drzwi balkonowe.

Przez kotary sączyła się złowroga, przejmująca cisza - kładła się ciężarem na sercu, ścisnęła za gardło, mroziła płomyki świec. Po chwili jednak Jake uderzył mocno w klawisze i głośna, żywa przygrywka rozproszyła ciszę. Sally wstała i kołysząc się rytmicznie, zaczęła śpiewać głośno i wyraźnie:

Jestem dziewczyną w Arce Noego
Tyś mym starym Królem Mórz,
Nasza miłość jest większa niż ocean szeroki,
Drabina Józefa czy Ara rat wysoki,
Uwiłeś mi gniazdko pośrodku zatoki!
Kochamy się, no i już...

Lewą ręką Jake improwizował akompaniament, drugą podał Sally kartkę papieru.

- Zaśpiewaj drugą zwrotkę - powiedział.

- Rety, Jake! - zawołała Sally. - Tu są jakieś zwariowane słowa. I jak mam śpiewać twoje kleksy?

- Te zwariowane słowa znalazłem w ciekawej "liście najważniejszych obiektów niebieskich" w jednej z tych grubych ksiąg twojego przyjaciela intelektualisty. Musimy stworzyć odpowiedni nastrój, !który by pasował do tej nowej planety.

- Planety-szmianiety. Gdyby nie Hugo, byłbyś już dawno pod wodą. Ciekawa jestem, gdzie on teraz jest? No dobrze, Jake, graj.

Trzymając kartkę przed oczami, zaczęła znów śpiewać:

Jestem dziewczyną w Arce Noego
Tyś mym starym Królem Burz,
Nasza miłość jest większa niż wszystkie słońca,
Niż Orion czy Messiera gwiazda lśniąca,
Dałeś mi wieżowiec, co szczyty chmur tracą,
Kochamy się, no i już...

Jake uśmiechnął się promiennie.

- To będzie przebój! Zbierzemy gorące oklaski!

- To dobrze - powiedziała Sally, wyciągając rękę po szklanę.. - Bo pewnie będziemy występować w zimnym, wilgotnym teatrze.

Richard Hillary czuł dziwne podniecenie, kiedy maszerował - kierując się na zachód od Islip - poboczem drogi, na której wysychały kałuże słonej wody. Przed sobą, na zabłoconej, mokrej trawie ujrzał dwie srebrzyste rybki i małego, zielonego raka pełznącego niezdarne po zwoju mokrej, czarnej tkaniny, który mógł być togą studencką. Patrząc na południe, widział szare wieże Oxfordu, a na nich wyraźny brunatny ślad pozostawiony przez wodę w czasie przypływu. Wstrzymał oddech, podniósł do góry ręce i stanął tak, jakby zamierzał skoczyć i trampoliny - wyobraził sobie, że płynie jak szalony po wodach Morza Północnego lub Irlandzkiego, które przed kilku godzinami zalało okolice Oxfordu.

Wciąż podniecony, roześmiał się drwiąco, opuścił ręce i zaczął iść normalnie. Czasami niedobrze mu się robiło na widok tego, co wyrzuciła na brzeg woda, zwłaszcza na widok zwłok ludzkich czy trupów koni i psów. Twardo jednak trzymał się zasady, którą bodajże stosowali również inni piechurzy: „nie patrzeć na to, co się nie rusza”. Podczas ostatniego kilometra musiał kilkakrotnie przypominać sobie o niezłomności tej zasady. Jak dotychczas, żadna z mokrych, leżących postaci nie poruszyła się.

Richard miał szczęście, bo niedaleko pola na skraju Chiltern Hilis, gdzie spał, udało mu się zatrzymać samochód, który go podwiózł spory kawałek drogi. Wyruszył w nocy, oj raz po tym, jak na wschodzie zobaczył wodę; z szosy zabrała go para małżeńska jadąca Bentleyem z Letchwork. Jechali do Oxfordu po syna, o którego się niepokoiili. Nie widzieli powodzi, toteż skłonni byli ją bagatelizować. Poczęstowali Richarda kanapką. Po pewnym czasie na drodze znalazło się mnóstwo samochodów i jazda stała się wolniejsza, a kiedy nad ranem dojechali wreszcie do zalanej równiny pod Oxfordem i ugrzęźli na zabłoconej drodze w korku ulicznym, Richard podziękował przygodnym znajomym i wysiadł. Korek ciągnął się bez końca, a Richard nie mógł już patrzeć bez współczucia na właścicieli Bentleya, którzy siedzieli oszołomieni i zrozpaczeni, nie wiedząc, co począć.

Trzeba mieć plan - myślał, maszerując szybko w grupie innych podróżnych i patrząc na podwójny sznur opryskanych błotem samochodów, sunących wolno na zachód. Przeszedł przez zatłoczony most, który dzielił niecały metr od wzburzonej wody, na drugą stronę rzeki Cherwell. Zastanawiał się, czy woda jest słona, ale nie zatrzymał się, żeby sprawdzić.

Zastanawiał się również, czy woda, która spowodowała powódź w nocy, wpłynęła w głąb lądu korytem Tamizy, czy może dotarła tu z odległej o sto pięćdziesiąt kilometrów zatoki Wash na zachodnim wybrzeżu Anglii, gdzie przypływ zazwyczaj sięga dziesięciu metrów, zalewając po drodze nizinę Fenlands, wzniesienie między Daventry i Bicester, a nawet wąwozy w górach Cotswolds. Ale podobne rozważania nie przyczyniały się do obmyślenia planu, a słońce paliło go w

plecy.

Rozległ się cichy, stłumiony warkot i ludzie przysunęli się bliżej drogi: dwieście metrów dalej mały helikopter zniżył się do lądowania. Pilot, młoda kobieta w zabłoconym fartuchu pielęgniarki; wysiadła i podbiegła do jedynej żywej osoby, której nie przestraszyła lądująca maszyna: do młodej kobiety siedzącej w błocie z dzieckiem na rękach. Zabrała dziecko, zmusiła kobietę, żeby wstała, zaprowadziła ją pośpiesznie do helikoptera i pomogła jej wsiąść. Po czym, nie odpowiadając na krzyki i pytania ludzi z tłumu, sama szybko wsiadła i helikopter odleciał.

Richard, zły na siebie, potrząsnął głową i ruszył naprzód. Podobne sceny napawały go smutkiem i wcale nie zbliżały do powzięcia decyzji.

Wkrótce jednak obmyślił pewien plan. Postanowił, że zanim znów wzbierze woda, musi dojść do gór Cotswolds, tam przeczekać przypyływ, ruszyć podczas odpływu w kierunku Tewkesbury, przemierzyć równinę Severn i dotrzeć do gór Malvern; tak, krok po kroku, do Black Mountains w Walii, gdzie nie dosięgnie go chyba największy nawet przypyływ. Ożywienie, które chwilowo osłabło, teraz znów powróciło.

Oczywiście, byłoby może rozsądniej wrócić do Chiltern Hills albo wspiać się na niezbyt wysokie góry, znajdujące się na wschód od Islip. Richard doszedł jednak do wniosku, że miejsca te będą zajmować tłumy uciekające wciąż na zachód z Londynu. Poza tym największą niechęć budziła w nim myśl, że miałby się teraz gdzieś zatrzymać, choćby w bezpiecznym miejscu na górze, i tam czekać beczynnie. Byłoby to nie do zniesienia - czuł, że musi wciąż iść, iść przed siebie. Ponadto chciał przecież wykonać plan, który z takim wysiłkiem ułożył.

Powiedział o zamierzonej trasie Cotswolds-Malvern Hills-Black Mountains dwóm starszym mężczyznom, z którymi szedł od paru godzin. Pierwszy orzekł, że plan jest całkowicie nierealny, wariacki pomysł i tyle; drugi stwierdził, że w ten sposób można by uratować pół Anglii, wobec czego trzeba natychmiast powiadomić odpowiednie władze (zaczął też gwałtownie dawać znaki laską w kierunku krążącego nad nimi helikoptera).

Richard stracił do nich sympatię, zwłaszcza do tego drugiego, przyśpieszył kroku i zostawił ich, pochłoniętych zaciętą, głośną sprzeczką. Ożywienie nagle minęło i uświadomił sobie, że jego plan - i w ogóle cały proces myślowy, który go skłonił do wyboru tej właśnie trasy - miał na celu tylko usprawiedliwienie pragnienia ucieczki na zachód, równie pozbawionej sensu, jak wędrówki stad lemingów przez Półwysep Skandynawski do Oceanu Atlantyckiego, gdzie czeka ich śmierć. A może, zastanawiał się, wstrząs i dezorientacja, której uległ zarówno on sam, jak i wszyscy dokoła, obnażyła ukryty dotąd pod nawarstwieniami cywilizacji pierwotny instynkt, który po prostu każe ludziom reagować na ten sam zew natury, co lemingom?

Nie zwalniając kroku, zbliżył się do drogi i zaczął obserwować przejeżdżające samochody,

szukając wolnego miejsca, czy choćby stopnia, na którym mógłby podjechać dalej. Mniejsza o lemingi, bo lepszego planu przecież nie ma. W dodatku przypomniał sobie najbardziej przekonywający kontrargument pierwszego z napotkanych mężczyzn - do gór Cotswolds jest co najmniej dobre czterdzieści kilometrów.

Nad ranem nowy przyływ, znacznie większy od nocnego, wdarł się do Kanału Bristolskiego i zalał tereny nad rzeką Severn, niosąc na swoich falach wraki statków, poszarpane stogi siana, boje zerwane z kotwic, słupy telegraficzne wlokące za sobą druty, zdemolowane domy i zwłoki topielców - a wraz z przyływem Dai Davies, który do ostatnich chwil życia pozostał romantycznym poetą walijskim, minął Glamorgan, Monmouth i wrócił w ojczyste strony wirując i obracając się piętnaście metrów pod wodą niczym martwy fenicki marynarz z wiersza T. S. Eliota.

Rozdział 29

Margo i Hunter, każde owinięte własnym kocem, pełnili straż w malej okrągłej pieczarze, którą McHeath i Dodd po wygarnięciu wody deszczowej jako tako osuszyli. Nad nimi na zachodzie pośród rozsianych na niebie chmur migotały gwiazdy, wschodnia zaś i środkowa część nieba wciąż była czarna. Pod nimi wąski promień światła zalewał zamknięte samochody i szosę prowadzącą do Doliny. Ponieważ Dodd miał zapas baterii do latarki, Brecht wpadł na pomysł, żeby ustawić ją na gładzie tarasującym drogę.

- Tym na straży łatwiej będzie dojrzeć, czy nikt się nie podkrada od strony Doliny - powiedział. - jeżeli ktoś nadejdzie, światło go zaciekawi, i jeśli nie będzie miał złych zamiarów, na pewno krzyknie: "hop, hop". Nie strzelajcie jednak do kogoś tylko dlatego, że milczy. Weźcie go na cel i każcie mu się zatrzymać. A potem obudźcie mnie.

Margo i Hunter siedzieli i palili, ogniki papierosów kolidowały co prawda z regułami idealnej zasadzki, ale mieli nadzieję, że nikt tego nie zauważy. Margo zaciągnęła się lekko i rozżarzony koniec papierosa oświetlił jej wpadnięte policzki i jasne, gęste włosy, gładko zaczesane po wczorajszej kąpieli w słonej wodzie.

- Wyglądasz jak walkiria, Margo - powiedział cicho Hunter.

Blask papierosa padł teraz na szary pistolet, który Margo wyjęła spod kurtki i trzymała w ręce.

- Czuję się jak walkiria - szepnęła zadowolona. - Nie lubię się rozstawać z tym pistoletem, chociaż spostrzeżenia Dodda są ciekawe.

Podczas gdy Dodd i McHeath stali na warcie, niski mężczyzna oświetlił latarką pistolet i dokładnie go zbadał za pomocą małej, ośmiokrotnie powiększającej lupy: równoległe do fioletowej linii dostrzegł niezwykłą precyzyjną skalę.

- Wykonały to istoty obdarzone znacznie lepszym wzrokiem niż my - stwierdził.

Odkrył jeszcze coś, czego Margo nie zauważyła: miniaturowy drążek w zagłębieniu kolby, skierowany na równie miniaturową, okrągłą skalę umieszczoną na końcu lufy. Nikt nie wiedział, do czego służy drążek, ale wszyscy zgodnie uznali, że nie należy robić z nim jakichkolwiek eksperymentów.

- Ciekawe, na ilu planetach zabijano z tej broni? szepnęła Margo.

- Tak - rzekł Hunter. - Wyglądasz jak walkiria, która niczym westalka strzeże świętego ognia tej broni.

Przysunął się bliżej. Margo poczuła zapach potu przywodzący na myśl piżmo.

- Szzz... słyszałeś? - zapytała oddychając szybko. Zgasili papierosy i rozglądając się,

czekali w napięciu. Hunter cicho podczołgał się na szczyt wzniesienia drogą, którą przedtem zapamiętał, aby sprawdzić, czy nikogo tam nie ma, mimo że po drugiej stronie wzniesienia było pionowe, dziesięciometrowe urwisko.

Z autobusu i furgonetki nie dobiegał żaden szmer i nie widać było, żeby ktoś obcy poruszał się po terenie, ale poszum wiatru przypomniał im o grobie skalnym niecałe pięć metrów dalej. Po pewnym czasie wrócili do pieczary i znów zapalili papierosy.

- Wiesz, Margo - powiedział Hunter, kończąc poprzednią myśl - wydaje mi się, że zabijając tych mężczyzn ożyłaś, jakbyś się obudziła po raz pierwszy w życiu. Takie gwałtowne przeżycie zmienia człowieka.

Margo uśmiechnęła się do siebie i z powagą skinęła głową.

- Teraz wszystko nabrało znaczenia - odparła szeptem. - Rzeczywistość stała się bardziej konkretna. Rozumiem ją, czuję, że jest mi bliższa. A przede wszystkim rozumiem ludzi. To wspaniałe uczucie.

- I dzięki temu jesteś piękna - powiedział Hunter, biorąc ją za rękę. - Jeszcze piękniejsza. Piękna westalka. Walkiria.

- Ależ, Ross - szepnęła z powagą - można by pomyśleć, że się do mnie zalecasz.

- Bo tak jest - odparł, ściskając mocniej jej rękę.

- Masz żonę i dwóch synków w Oregonie - powiedziała i odsunęła się od niego, ale nie na tyle, żeby uwolnić rękę.

- Oni się nie liczą, chociaż wciąż się o nich martwię. Ale teraz żyjemy z dnia na dzień, z sekundy na sekundę. Każda godzina może być ostatnią. Margo, chciałbym cię pocałować.

- Poznaliśmy się dopiero wczoraj, Ross. Jesteś o kilkanaście lat starszy ode mnie.

- Najwyżej o dziesięć - szepnął, dysząc ciężko, Margo, dawne zasady i przesady już nie obowiązują. Tak jak powiedział Rudolf, rzeczywistość przestała być realna.

Wtem wiatr rozwiął nad nimi chmury i ujrzeli Wędrowca z mandalą na tarczy, na pół opasanego lśniącem Księżycem. Piękno złocistofioletowej kuli zaparło im dech w piersiach, ale po kilku sekundach Ross Hunter objął dziewczynę ramieniem i przytulił do siebie. Margo wyrwała mu się i wskazała palcem na niebo.

- Tam jest mój narzeczony - powiedziała. - Był stacjonowany na tej... na tych roziskrzonych szczątkach. Ale może udało mu się uciec? Może jest teraz na Wędrowcu?

- Słyszałem o twoim narzeczonym - rzekł Hunter, patrząc na jej twarz, którą teraz, w blasku Wędrowca, widać było i bez żarzącego się papierosa. - Czytałem nawet o waszym romansie w jakimś piśmie. Na zdjęciu uśmiechałaś się wyniośle i wyglądałaś na okropną snobkę. Pomyślałem sobie - ona jeszcze nie wie, co to życie, przydałby się jej prawdziwy mężczyzna, - Taki jak ty, co?

No, a poza tym jest Paul - mówiła szybko - którego porwał ten talerz i zabrał nie wiadomo dokąd. Kocha mnie, ale ma okropne kompleksy. Może to, co się teraz dzieje, wyleczy go z nich...

- Oni mnie nic nie obchodzą - przerwał jej Hunter i ukląkł przy Margo, wciąż ją obejmując.

- Nie mam wyrzutów sumienia wykorzystując kłopotliwą sytuację, w jakiej znajdują się zakochani w tobie młodzieńcy. Jesteś piękna i kto cię pierwszy zdobędzie, ten jest górą. Poza tym znam cię lepiej niż oni, znam obudzoną ze snu złotowłosą walkirię i jeszcze bardziej od nich szaleję za tobą. Teraz nic się nie liczy, tylko ty i ja. Och, Margo...

- Nie! - zaprotestowała dziewczyna i wstając odepchnęła Rossa od siebie. - Cieszę się, że ci się podobam, ale nie jesteś mi potrzebny. Ani ty, ani żaden inny mężczyzna. Ta nowa rzeczywistość w zupełności mi wystarcza, nie chcę nic więcej, po prostu nie mam już sił. Rozumiesz?

Ross kilka razy odetchnął głęboko i powiedział:

- Tak. Nic innego mi nie pozostaje. - Po chwili dodał: - Skorzystajmy ze światła Wędrowca i rozejrzyjmy się wokoło. Ty patrz w tamtą strefę. Zaraz ci się wzrok przyzwyczai do ciemności.

Po dłuższej chwili, kiedy stali zwrócenii do siebie plecami, Hunter, nie oglądając się, zaczął cicho:

- Jesteś tak pochłonięta sobą, że wątpię, czy kiedykolwiek naprawdę byłaś zakochana. Paul pozwalał ci sobą dyrygować, a ty go wyzyskiwałaś - widać było od razu. Wyobrażam sobie, że... no, jak mu tam? Aha, Don... Dona podporządkowałaś sobie, pochlebiając jego męskiej dumie.

- Ciekawe - wyszeptala Margo.

- Tak, chyba żaden z nich dwóch nie jest dla mnie groźnym rywalem - ciągnął Hunter. - Morton Opperly może być bardziej niebezpieczny, bo jest dla ciebie substytutem ojca, złowieszczę pięknym magiem, który - pewnie o tym marzysz - pewnego dnia porwie naszą młodą walkirię do swojego ponurego zamku w krainie Wyższej Matematyki. Kazirodztwo z wydźwiękiem einsteinowskim.

- Bardzo ciekawe - skomentowała dziewczyna. - Na wschodzie widać słaby, niewyraźny blask. Może to szosa?

Po pięciu minutach Hunter - udając, że ten pomysł dopiero teraz przyszedł mu do głowy - zawołał:

- Cholera, ale zimno! Od razu byłoby nam cieplej, gdybyśmy się grzecznie przytulili do siebie i owinęli kocem i...

- O, nie, żołnierzu - przerwała mu. - Miłość i warta nie idą w parze.

- Wprost przeciwnie. Idą w parze znakomicie. Człowiek się ożywia, świadom jest wszystkiego, co się wokół dzieje.

- Powiedziałałam, że nie, Ross.

- Naprawdę nie miałem nic złego na myśli - zaprotestował. - Po prostu jestem realistą, i trzęsę się z zimna.

- To owiń się szczelniej - poradziła Margo. - Mnie piecyk nie jest potrzebny. - Spojrzała na niego i uśmiechnęła się. - W tej chwili jestem cała rozpalona, jakbym płonęła ogniem, i czuję pełnię życia - bez twojej pomocy.

- Suka - rzucił jej w odpowiedzi Hunter.

- Mów sobie, co chcesz - odparła z radosnym uśmiechem. - Idę teraz na zwiady jakieś trzydzieści metrów za wozy. Wezmę karabin. Ty zostań tu z pistoletem... i osłaniaj mnie.

- Suka - powtórzył rozgoryczony, gdy Margo ruszyła na ukos ze zbocza.

Chmura zasłaniała Wędrowca, kiedy obudzili Brechta, żeby objął po nich wartę. Chwilę pojękiwał cicho, rozprostowując zeszywniałe nogi, ale potem odzyskał humor.

- Muszę zmienić baterie w latarce - powiedział. - Mam je w kieszeni. Cholera, gdybym przedtem ustawił wozy w tę stronę, byłoby jaśniej. A teraz za późno na to, wszystkich bym obudził.

Kiedy Margo zajęła w furgonetce miejsce Ramy Joan, Wędrowiec znów lśnił na niebie, tym razem z pyskiem na tarczy. Anna nie spała. Od chwili okropnych przeżyć po południu dziewczynka, której "wszystko się podobało", stała się poważna i zamyślona. Margo zaczęła się z obawą zastanawiać, o czym myśli mała, patrząc na nią, morderczynię, swoimi wielkimi oczami. Ale Anna spytała tylko zaniepokojonym tonem:

- Dlaczego mamusia wyszła?

Margo wyjaśniła jej, że wszyscy po kolei muszą pełnić wartę.

- Mamusia chyba lubi towarzystwo pana Brechta - stwierdziła ze smutkiem dziewczynka.

- Spójrz, kochanie, na Wędrowca - powiedziała Margo. - Widzisz Księżyc zmienia się w pierścień. Rozerwał kokon i teraz rozpościera skrzydła.

- Jest piękny - odparła Anna, a w głosie jej wreszcie znów zabrzmiały marzycielskie nutki. - Fioletowy las i złote oceany... Cześć, Ragnarok...

W autobusie pani Hixon, Która siedziała tuż za fotelem kierowcy, nachyliła się do przodu i szepnęła do ucha swemu mężowi:

- Bili, a co będzie, jak się dowiedzą, że nie jesteśmy małżeństwem?

- Nie zrobi im to żadnej różnicy, kochanie - odpowiedział szeptem.

Pani Hixon westchnęła.

- Masz rację, ale mimo wszystko miło jest uchodzić za jedyne ślubne małżeństwo w tej całej gromadzie.

Paul obudził się w czarnym kosmosie samotny niczym anioł-włóczęga i tak wysoko nad Ziemią, że kiedy spojrzął na czarny łuk horyzontu, zdawało mu się, iż gwiazdy lśnią znacznie gęściej, niż kiedykolwiek zdarzyło mu się widzieć, gęściej niż na pustyni. Był jednak wypoczęty i w dobrym humorze, a przejście od snu do jawy nastąpiło tak łagodnie, że wcale nie doznał lęku. Ponadto wyciągając rękę mógł dotknąć niewidzialnej, ciepłej, szklistej powierzchni. Osłona ta chroniła go przed wrogim kosmosem, a fakt, że był uwiązany za nogę, dawał mu poczucie bezpieczeństwa. Uwagę jego pochłoniął wspaniały widok Ziemi na dole.

Była noc: znajdował się - tak mu się przynajmniej wydawało - około dwustu kilometrów nad Arizoną, patrząc zaś na wschód, widział całą południową Kalifornię, północno-zachodnią część Meksyku, w tym również cypel Półwyspu Kalifornijskiego, a dalej Pacyfik. Tak, nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości.

Widział również światła San Diego - a przynajmniej jakieś światła tam, gdzie powinno było się znajdować San Diego - i uświadomił sobie, że w myśli kieruje za to do Boga banalne, choć szczere słowa podziękii.

Niebo było bezchmurne. Wędrowiec z głową byka na tarczy, opasany strzaskanym Księżycem, tkwił na zachodniej części nieba. Światło Wędrowca rzucało szerokie fioletowe i złote smugi na wody Pacyfiku i lśniło po północnej stronie Zatoki Kalifornijskiej, uwydatniając linię wybrzeży.

Łąd odbijał rozproszone żółte światło podobne do zwielokrotnionej poświaty Księżyca, ale efekt był tu znacznie słabszy niż na migocącej wodzie.

Następnie Paul zauważył, w pierwszej chwili z niedowierzaniem, a potem ze wzrastającym przerażeniem, że Zatoka Kalifornijska sięga co najmniej sto pięćdziesiąt kilometrów dalej na północny zachód, niż powinna, tworząc lśniąca wstęgę, która z początku się zwęża, a potem rozszerza. Tu też nie miał wątpliwości, co się stało.

Albo ma skutek trzęsienia ziemi, albo na skutek przyływu, albo na skutek jednego i drugiego słona woda z Zatoki Kalifornijskiej wdarła się na ląd i zalała tereny leżące poniżej poziomu morza od Imperial Valley i wysychającego jeziora Salton Sea do Palm Springs. Przypomnił sobie nazwy dwóch miast znajdujących się teraz zapewne pod wodą, jedno to Brawley - miasto dość duże - a drugie Volcano...

Nagle zamiast kosmosu wyrosła przed nim różowa ściana i usłyszał obojętny głos:

- Dzień dobry, małpo.

Mrużąc oczy, przekręcił się powoli, ostrożnie obracając nogę uwięzioną w niewidzialnych pętach. Tygryska unosiła się obok tablicy sterowniczej - zgięta, jakby siedziała na niewidzialnej huśtawce. Na kolanach trzymała Miau, która swoim malutkim, różowym jęczyzkiem pracowicie

myła zielone kolana większej kotki.

Paul przełknął ślinę i zdziwiony podniósł palec do ust. Knebla nie było.

Tygryska uśmiechnęła się do niego.

- Ty spał siedem godzin - powiedziała. - Lepiej czuje się?

Chrząknął, ale natychmiast zamknął usta i tylko spojrzał na nią, nie odwzajemniając uśmiechu.

- Oho, nauczył rozumu, co? - zamruczała kotka. - Małpa nie jazgocze, my lepsze stosunki. Ale teraz mów, Paul milczał.

- Nie dąsaj, Paul - rzekła. - Wiem, że wy jako tako cywilizowali, ale ja cię więzę, knebluję, nazywam małpa, żeby dać małą nauzkę: że wy wcale nie tacy ważni we wszechświecie, że inni mogą traktować was, jak wy traktujecie potencjalnie wyższe zwierzęta w rodzaju Miau. Poza tym, żeby dać ci doświadczenie wtórnych narodzin, które, jak powie każdy psycholog, jest ci potrzebne.

Patrzył na nią kilka sekund, po czym potrząsnął głową.

- Jak to? - spytała ostro Tygryska. - Ty myślisz, że jakie moje powody?

Paul, wymawiając każdą sylabę wolno i z naciskiem, jakby uczył w szkole poprawnej wymowy, powiedział:

- Twierdzisz, że masz umysł znacznie bardziej rozwinięty od mojego i pod wieloma względami z tobą się zgadzam, ale wczoraj co najmniej przez dwadzieścia minut przypisywałaś moje myśli temu uroczemu zwierzątku, które trzymasz na kolanach, a które mię potrafi ani mówić, ani myśleć. Byłaś zła na siebie, że popełniłaś taki głupi błąd, i wyładowałaś na mnie swoją złość.

- To wierutne kłamstwo! Nie popełniłam żadnego błędu - odparła natychmiast Tygryska, zapominając o obcym akcencie i niepoprawnych formach gramatycznych.

Zesztywniała i obnażyła pazury. Miau przestała ją myć, Po chwili Tygryska jednak opanowała się, wyciągnęła wygodnie i roześmiała wesoło. Z gracją wzruszyła fioletowozielonymi ramionami.

- Masz rację - przyznała. - Złość trochę mnie kierowała. W kosmosie mało kotów, dałam się ponieść nadziei. A ty zauważyłeś. Cwana małpa.

- Mimo to popełniłaś błąd. Poważny błąd - powiedział cicho Paul. - Jak mogłaś przypuszczać, że zwierzątko tak małe jak Miau jest zdolne do logicznego myślenia?

- Sądziłam, ona ma zminiaturyzowany mózg - odparła prędko Tygryska. - Gdybym zbadła to wcześniej, wiedziałabym, że nie, ale polegałam tylko telepatia. - Poglaskała Miau. - Następne małpie pytanie? Paul znów milczał chwilę, a potem rzekł:

- Twierdzisz, że należysz do wyżej rozwiniętej kultury galaktycznej, a mimo to dajesz dowody niesamowitej ksenofobii. Sądziłem, że dobry obywatel galaktyki potrafi się porozumieć ze

wszystkimi inteligentnymi stworzeniami, zarówno z tymi, co mieszkają w wodzie, jak i przedstawicielami gromady owadów Tub stawonogów, ze zwierzętami kopytnymi, skrzydlatymi i mięsożernymi, takimi jak wilki czy ty sama... no, i z małpami.

Gdy wymienił ją jednym tchem z wilkami, Tygryśka wzdrygnęła się, ale zaraz się opanowała i stwierdziła niewinnie:

- Małpy najgorszy gatunek ze wszystkich, Paul. - A po chwili dodała zdławionym głosem: - Poza tym kosmos wcale nie taki miły i kochany, jak myślisz.

Zaczęła głąskać rytmicznie Miau, masując jej łopatki.

- Skłonny jestem w to uwierzyć - odparł Paul. - Udajesz, że jesteście wszechwiedzący i że się troszczycie o wszelkie żywe istoty. Chwaliłaś się, że uratowałaś od ognia dwa małpie miasta - a mimo to, kiedy zniszczyliście Księżyc, żeby zdobyć paliwo, nie zastanawialiście się nad tym, że na Księżycu są ludzie. Był wśród nich mój najlepszy przyjaciel.

- To przykre, Paul - wyraziła oziębłe współczucie Tygryśka. - Ale oni na planecie bez powietrza, oni mieli statki. Mogli uciec.

- Miejmy nadzieję, że udało im się w porę wydostać - powiedział równie oziębłe Paul, - Wyście jednak nie wiedzieli, że oni tam są! Nie wierzę, żebyście wiedzieli, wyłaniając się z nadprzestrzeni, że Ziemia jest zamieszkaana przez istoty rozumne. A jeżeli nawet wiedzieliście, nic was to nie obchodziło.

Tygryśka wciąż wyglądała spokojnie, tylko nieco prędzej głąskała futerko Miau, podobnie jak zdenerwowana kobieta mocniej zaciąga się papierosem.

- Tu też masz trochę racji, Paul - przyznała mu kotka. - Dzieje się niedobrze w nadprzestrzeni: burze i tak dalej. Nam bardzo potrzebne paliwo. Nadprzestrzeń opuściliśmy wyczerpani. Poza tym ostatnie badania galaktyczne nie pokazały, że tu jakieś rozumne stworzenia, tylko obiecująca rasa kotów.

Wykrzywiła się do niego i poklepała Miau.

Nie zwracając uwagi na jej docinki, Paul mówił dalej:

- Mam jeszcze jeden dowód waszej bezduszności i bezmyślnego pośpiechu: uratowałaś od fali Miau, przy okazji i mnie, sądząc zapewne, że jestem używanym przez nią zwierzęciem pociągowym, ale zostawiłaś na dole wielu wartościowych ludzi, między innymi moją narzeczoną, zdając ich na łaskę losu.

- To okropne kłamstwo, Paul! - odparła Tygryśka. - Uciszyłam dla nich fale i oni wydostali się bezpiecznie. Nawet straciłam pistolet.

- Jeszcze jeden błąd nadziemskiej istoty? - zapytał Paul. - No dobrze, tym razem możemy ci go zaliczyć na plus. Ale...

Urwał, nagle bowiem zdał sobie sprawę, że sytuacja, w której się znajduje, jest doprawdy śmieszna. Oto on, nagi, z przykutą nogą, z przyczepionymi rurkami sanitarnymi, zabawia się w prokuratora, usiłując przyłapać na kłamstwie najbardziej niezwykłą "madame X", jaka kiedykolwiek stanęła na podium dla świadków.

I najpiękniejszą - dodał w myśli zażenowany. - A może to wszystko - zastanawiał się - jest tylko starym jak świat dowcipem o małpie przekomarzającej się z lampartem?

Jednakże zaraz przypomniał sobie Brawley i Volcano.

- To teraz masz narzeczoną, tak? - wtrąciła zjadliwie Tygryska. - Naprawdę? Margo wie? Ty taki uczciwy... a to uczciwe wobec Dona?

Paul z godnością zlekceważył złośliwe docinki Tygryski. Mówił dalej z coraz większym przejęciem:

- Najlepszym dowodem na to, że jesteś w Wodzie, wynosząc pod niebiosa waszą wrażliwość i wysoką kulturę, jest fakt, że ludzie giną tylko dlatego, że Wędrowiec zniekształcił ziemskie pole grawitacyjne - zniekształcił że dlatego, że potrzebne wam było paliwo, a nie zadaliście sobie trudu, aby poszukać innego źródła, takiego jak księżyc Jowisza czy Saturna. Owszem, zagasiliście kilka pożarów, ale przedtem setki, a raczej tysiące ludzi zginęły podczas trzęsień ziemi i w wywołanych przez nie pożarach.

A teraz, również za waszą sprawą, całe miasta znikają z powierzchni Ziemi, zalane wodą. Jeżeli tak dalej pójdzie...

- Dość, małpo! - warknęła Tygryska, wyciągając pazury i opierając tylne łapy o tablicę sterowniczą. Miau odskoczyła na bok. - Słuchaj, Paul - powiedziała Tygryska, z trudem panując nad sobą. - Ja nigdy nie twierdziłam, że jestem humanitarna, małpotarna, kosmotarna! Nasz świat czasem okrutny. Inne cywilizacje też okrutne! Śmierć część życia. Niektórzy zawsze ucierpią. Uzupełnić paliwo to dla nas normalny bieg rzeczy. To tylko...

Urwała i marszcząc brwi spojrzała na palec, który Paul wyciągnął w jej stronę. Twarz Paula promieniała, bo nagle zrozumiał, dlaczego Tygryska z takim zapalem i najwidoczniej szczerze usiłuje bronić siebie i swoich towarzyszy.

- Nie wierzę ci - oznajmił. - Podejrzewam, że wasz bezmyślny pośpiech, wasze niedostateczne przygotowanie i niedokładne informacje, a przede wszystkim nieudolne i spóźnione próby naprawienia wyrządzonych krzywd świadczą o tym, że coś, czego się bardzo obawiacie, zmusiło was do szybkiego działania.

Tygryska, warcząc, skoczyła na Paula, przygniotła go do ściany, jedną łapą chwyciła za gardło, druga łapa - niczym grabie z ostrymi zębami - zawisła kilka centymetrów nad jego twarzą.

- To ohydne kłamstwo! - zawołała z nieskazitelnym akcentem. - Żądam, abyś natychmiast

je cofnął!

Paul zaczerpnął tchu, następnie potrząsnął głową.

- Nie - rzekł z uśmiechem, mimo że z oczu płynęły mu łzy. - Jesteście śmiertelnie przerażeni.

Don Guillermo Walker opędzał się od komarów i z łodzi, która wracała do jeziora Nikaragua, obserwował zalane dachy domów w San Carlos, czerwone w blasku wschodzącego słońca. Nocą prąd w rzece San Juan znów zmienił kierunek, hamując prędkość łodzi, lecz don Guillermo dopiero teraz zrozumiał, że przyczyną zmiany nurtu jest przybór wody w samym jeziorze - jednakże dlaczego woda wezbrała, pozostało dla niego zagadką.

Niebo też stanowiło tajemnicę. Na wschodzie było jasne, słońce świeciło ciepło, ale na zachodzie biała gęsta mgła niby mur unosiła się znad pasma łądu między jeziorem a oceanem i ciągnęła się w nieskończoność na północ i na południe.

Chociaż zeszłej nocy don Guillermo widział kilka wybuchów wulkanicznych, nie przyszło mu na myśl, że tutaj podobnie jak na innych terenach, gdzie woda wdarła się w szczeliny po wulkanach, unosi się zastana pary wodnej.

Zapytał braci Araiza, dlaczego płyną na północ, a oni odparli, że chcą wrócić do domu w Granadzie. Ich ostry, szorstki ton powstrzymał go od sprzeciwiania się tej decyzji.

Nie powstrzymał go jednak od tego, żeby trochę później opowiedzieć im - i to po raz nie wiadomo który - jak ponad sto lat temu jego pradziad wylądowawszy w Nikaragui na czele zaledwie pięćdziesięcioosobowego oddziału śmiałków, wkrótce zaatakował i zdobył Granadę.

Kiedy słońce wschodziło nad jeziorem Nikaragua, po drugiej stronie kontynentu Bagong Bung patrzył, jak złota kula zachodzi nad Zatoką Tonkińską, która niecałe dwanaście godzin temu zmaląła znacznie na skutek olbrzymiego odpływu, a teraz wraz z nadejściem przyływu była wielka i ogarniała chyba cały Wietnam. Pomyślał o sejfie w kajucie "Machan Lumpur" i o jego zawartości: o małym woreczku złotych monet i dwóch trochę większych woreczkach monet srebrnych - była to skromna zdobycz z "Królowej Sumatry". Dotknął żółtej, jedwabnej chusty, którą zawiązał na głowie niczym pirat, i uśmiechając się łobuzersko do CobberHumea, powiedział:

- Warto by oblać tak wspaniałą zdobycz!

- Piję ja, pijesz ty - zaczął wysoki Australijczyk - ...nie, ty nie pijesz, ty palisz opium, bo religia ci tego nie zabrania.

Bagong Bung uśmiechnął się, ale po chwili spoważniał i rzekł cicho i z napięciem:

- Pagi dañ ayer sutut!

Ranek i odpływ! Ledwo mógł się doczekać. Dawno już postanowił sobie, na który wrak wtedy zapoluje; na pełen skarbów, legendarny statek hiszpański, "Lobo de Oro". Tygrys Błot zmierzy się ze Złotym Wilkiem.

Pierwszą reakcją Barbary na widok dubeltówki, która wsunęła się przez okno po stronie kierowcy i dotknęła zgarbionych pleców Benjy'ego, była myśl, że to zapewne deska czy też kawałek drewna wyrzucone przez wodą na brzeg, jakich było pełno na każdym kroku. Na początku podróży wciąż natrafiali na różne przeszkody na drodze: grubą warstwę piaszczystej gleby, liście i paprocie, splątane łodygi turzycy, wyrwane z ziemi drzewka i krzaki, gnijące kwiaty, pośród których przeważały szkarłatne poinsecje. Widzieli leżące na poboczu ludzkie i zwierzęce zwłoki ("Nie zatrzymuj się, Benjy!" - wołała wtedy Barbara). Mijali również wraki samochodów i sprzęt rolniczy, różne druty (szczególnie niebezpieczne były druty kolczaste) oraz domy i stodoły, zarówno zniszczone, jak i prawie nienaruszone - w pewnej chwili musieli ułożyć deski na wyrzuconym przez wodę ogrodzeniu z drutu kolczastego, żeby nie przedziurawić opon, innym razem szukać bocznej drogi, żeby objechać potężny zwal budowli. Był upał i wszystko parowało, jakby szybko rozwiewająca się mgła wydobywała się spod ziemi. Oczywiście widzieli też żywych ludzi, choć wcale nie tak wielu - niektórzy byli bezradni i oszołomieni, inni pracowali wytrwale, umacniając domy i podpierając belkami wysokie drzewa, jeszcze inni jechali gdzieś samochodami lub konno. Raz niewielki samolot z głośnym, świdrującym warkotem przeleciał nad ich głowami.

Drugą reakcją Barbary na widok lufy było uświadomienie sobie, że oto jest ta zła chwila, której się obawiała, i Bogu niech będą dzięki, że w opuszczonej nisko prawej ręce ścisła rewolwer kalibru 38. Miała nadzieję, że w razie czego zdąży go podnieść i strzelić przez okno - ale, przemknęła jej myśl, gdyby na skutek tego siedząca z przodu para Murzynów miała zginąć, na nic by się to nie zdało, mimo że silnik Rollsa mruczał cicho. Gdyby mieli choć kilka - sekund na to, żeby ruszyć...

Trzecia reakcja na widok dubeltówki była optymistyczna; Barbara dostrzegła na lufie ślad świeżej rdzy i pomyślała, że jeśli naboje są mokre, ona ma przewagę i może nawet nie strzelać, wystarczy postraszyć - ale pewności przecież nie miała.

Głos spoza lufy, leniwy, a zarazem groźny, miał w sobie coś z bzykania muchy końskiej, która fruwa tam i z powrotem po tylnej szybie wozu.

- Punkt kontrolny. Inkasujemy należność za przejazd. Co państwo robili...
- Zmienialiśmy tylko oponę - wtrąciła szybko Barbara.
- ...W Trilby? - dokończył świszczący głos.

A więc - pomyślała - tak się nazywa to okropnie zniszczone miasteczko z zatarasowaną w

wielu miejscach główną ulicą, przez którą z trudem przejechali dwadzieścia minut temu. Powinno by się nazywać Svengali! Ale na głos powiedziała szybko:

- Jedziemy z Palm Beach. Chętnie zapłacimy za przejazd.

Kiedy jednak sięgnęła lewą ręką do torby na kolanach, dwie żylaste, spalone słońcem ręce wsunęły się prędko przez okno - jedna chwyciła torbę, druga podniosła twarz dziewczyny do góry i przez ułamek sekundy Barbara widziała chudą, nie ogoloną twarz z wytrzeszczonymi oczami; musiała zapanować nad sobą, żeby nie strzelić w twarz albo nie ugryźć ręki. Po chwili jednak ręce się cofnęły, zabierając ze sobą torbę, a głos powiedział:

- Stary pryk musi być milionerem z Palm Beach, Torba jest wypchana banknotami.

- On jest bardzo chory - rzekła Barbara. - Nieprzytomny. Chcemy go zawieźć do...

- Albo bogaczem z północy - przerwał głos - który przyjechał tu na południe, udaje ważniaka, płaci czarnuchom tyle, co białym, a kiedy Bóg wystawia nas na próbę, tchórzliwie ucieka. Forsa pójdzie na Fundusz Zwycięstwa, a dla siebie weźmiemy te dwie czarne - w nocy będzie nam weselej. No, wy dwie, wyłazić, prędko! Bo podziurawię tego Mulata za kierownicą!

Mężczyzna wsadził lufę Benjy'emu między zębra.

Teraz albo nigdy - pomyślała Barbara, ale gdy zaczęła wyciągać rewolwer, poczuła, że palce starego KKK zaciskają się na jej ręce z zadziwiającą siłą. Kettering chrząknął groźnie i powiedział głośno - głośniejszym niż Barbara kiedykolwiek słyszała - tonem stanowczym i nie znoszącym sprzeciwu:

- Czyżby jakiś dumny osioł kwestionował kolor skóry mojego syna, Benjy'ego? Myślałem, że mam do czynienia z południowcami, a nie z bandą rzezimieszków.

Przy samochodzie dały się słyszeć szepty, gniewne, ale jakby speszone. Dubeltówka się cofnęła. KKK, wykrzywiając twarz niby stary sęp, spojrzął na mężczyznę w kombinezonach i zaintonował znacząco:

- Kiedy nadejdzie kres Czarnej Nocy?

Ten z bzykającym głosem, wolno, jakby ktoś wyciągał z niego słowa wbrew jego woli, odpowiedział:

- Kiedy zaświta Białe Zwycięstwo.

- Alleluja! - krzyknął stary KKK. - Proszę przekazać Wielkiemu Kogutowi Miasta Dade pozdrowienia od Wielkiego Koguta Okręgu Dade. Benjaminie, jedziemy!

Ruszyli naprzód, najpierw wolno, potem coraz prędzej. Hester wciąż powtarzała: "Benjy, uwaga"; samochód skręcał w bok, wracał na szosę, znów skręcał, jechali jeszcze prędzej, a Benjy wciąż zanosił się od śmiechu, ale teraz był to śmiech dość histeryczny. Wreszcie wyrzucił:

Stary KKK w sam raz dobrze się nazywa! - Obejrzał się za siebie. - Przepraszam... tato!

- On ciebie nie słyszy, Benjy - powiedziała Hester. - Znow stracił przytomność. To był za duży wysiłek.

- Nigdy nie przypuszczałam, że on należy do Ku-Klux-Klanu - szepnęła ze zdumieniem Helena.

- Dziękuj Bogu, że należy, dziewczyno - odparła Hester.

Rozdział 30

Kiedy świt, z początku zielonkawy, potem bananowy, stał się wreszcie żółty, Rudolf objął komendę nad obozem rozbitym przy skalnym zboczu. Wszystko, co robił, było wysoce zagadkowe i z pewnością byłoby jeszcze bardziej drażniące, gdyby nie jego sardoniczna wesołość. Przede wszystkim nie chciał odpowiadać na żadne pytania dotyczące następnego celu podróży i zatarasowanej drogi, dopóki nie będą gotowi do wyruszenia.

Zmniejszył o jedną trzecią porcję śniadaniowa, które przynieśli mu do zaaprobowania Ida i McHeath, rozpalonemu, niespokojnemu Hanksowi dał penicylinę, upewniwszy się, że ten nie jest na nią uczulony, a gdy Hixon zaproponował, żeby rozbić tu obóz i oddalać się tylko celem uzupełnienia zapasów, Brecht potrząsnął głową.

Przeszukali samochody morderców. W pierwszym znaleźli nabity rewolwer kalibru 32, a na tylnym siedzeniu czarny kapelusz. Brecht przywłaszczył sobie zarówno rewolwer, jak i kapelusz, który od razu włożył, i z całym spokojem oświadczył:

- Pasuje.

Wojtowicz oparł rękę na biodrze, żeby odciążyć zabandażowane ramię, i zaprotestował:

- Nie, Rudolfie. Nie noś tego kapelusza, bo może przynieść nieszczęście.

Drażał zaś dodał ponuro:

- Ja bym nie chciał, żeby aura mordercy i sadysty kalęła mi głowę.

- Wolę łupież mordercy niż porażenie słoneczne - odparł ze śmiechem Rudolf.

Kiedy przekręcił kluczyk w stacyjce i nacisnął gaz, silnik pierwszego wozu od razu zawarczał, ale w drugim akumulator widocznie był wyładowany. Brecht nie pozwolił Wojtowiczowi zajrzeć pod maskę, lecz gdy opróżnili zbiorniki z benzyną i olejem, spuścił hamulec ręczny, zablokował kierownicę i zawołał Innych, żeby mu pomogli zepchnąć wóz ze skalistego zbocza.

Samochód, szorując podwoziem o kamienie, stoczył się w przepaść, a po pięciu sekundach spadł z hukiem na dno wąwozu. W górę wleciały trzy myszołowy.

Brecht klasnął w dłonie i mruknął:

- Nie chciałem przeszkadzać im w śniadaniu, które chyba właśnie jadły.

Słyszając to, pani Hixon skrzywiła się z niesmakiem.

Następnie wypróbował Corvette; ruszył z brawurą naprzód, a potem do tyłu, jadąc niebezpiecznie blisko krawędzi przepaści.

- Piękna zabawka - ocenił wysiadając. - W sam raz dla mnie.

Kiedy śniadanie dobiegało końca, dyskretnie przywołał do siebie Huntera, Margo, Ramę

Joan i Dodda, po czym zaprowadził ich za furgonetkę.

- Co robimy dalej? - spytał. - Jedziemy do Doliny czy zawracamy do Mulholland, a stamtąd udajemy się do Cornell albo Malibu Heights? Nie wolno nam się zatrzymywać, bo ogarnie nas apatia.

- Drogę do Doliny blokuje przecież głąz - stwierdził Dodd.

- Spokojnie, Dadd - odparł Brecht. - Wszystko w swoim czasie.

- Może najpierw kilka osób pojedzie zbadać Dolinę - zaproponował Hunter.

- Nie możemy się rozdzielać - sprzeciwił się stanowczo Brecht. - Jest nas za mało.

- Znam kilku malarzy w Malibu - rzekła z wahaniem Rama Joan.

- A ja na Cape Cod - Brecht uśmiechnął się i mrugnął do niej. - Pewnie w tej chwili zmagają się z falami, walcząc o życie.

- Chciałam powiedzieć - rzekła Rama Joan, odpowiadając na mrugnięcie zabawną miną - że głosuję za Doliną.

- Czy ktoś z was wie, jak wysoko leży Dolina? - zapytał Dodd. - Bo może jest już zalana.

- Zobaczymy - powiedział Brecht, wruszając ramionami.

- Musimy jechać do Doliny - wtrąciła Margo. - Vandenberg Trzy znajduje się na końcu szosy. Przecież wiecie, że chcę dać Opperlyemu pistolet.

Brecht przyjrzał się wszystkim uważnie.

- W porządku, jedziemy do Doliny - oświadczył. - Sądzę, że lepszą nazwą będzie pistolet impetu - zwrócił się do Margo.

- Ale głąz... - zaczął Dodd. Brecht powstrzymał go ruchem dłoni.

- Chodźcie - powiedział, obszedł pojazdy i ruszył w stronę głązu.

Kiedy mijali pozostałych, Hixon spytał niby to żartem, a jednak niezbyt przyjaźnie:

- No cóż, panie Brecht, czy komitet wykonawczy obmyślił już plan na dziś?

- Jedziemy do Doliny - odparł. - Tam uzupełnimy zapasy i skontaktujemy się z wybitnymi naukowcami z Projektu Księżycowego. Są jakieś sprzeciwy?

Nie czekając na odpowiedź, stanął na zboczu tuż nad głązem i ruchem ręki przywołał Margo.

- Widziałem, jak głąz drgał, kiedy strzelałaś do tego rewolwerowca. Celuj stąd i trzymaj palec na spuście przez trzy sekundy. Na pewno stoczy się z drogi. Odsuńcie się wszyscy!

Margo wyjęła spod kurtki pistolet, ale nagle oddała go Hunterowi.

- Strzelaj ty - powiedziała. Uświadomiła sobie z radością, że bez pistoletu też jest pełna radości życia i ma poczucie bezpieczeństwa. Zrozumiała, że sama jest swoją najlepszą bronią - bronią, na której może polegać, którą w każdej chwili może się posłużyć. Zauważyła również z

zadowoleniem, jakim głodnym wzrokiem wpatrują się w nią podkrążone oczy Huntera.

Hunter przykucnął i oburącz ujął pistolet. Wiedział od Margo, że nie będzie odrzutu, ale wolał nie ryzykować, napiął wszystkie mięśnie. Kątem oka widział, że Brecht daje mu znak ręką. Nacisnął spust.

Niezależnie od siły czy pola przyciągania, które wyzwalał pistolet, efekt następował z opóźnieniem, jakby gład musiał najpierw wchłonąć obce promienie. Przez chwilę nic się nie działo i Hixon aż krzyknął:

- Patrzcie, wcale...

Ale gład zaczął się naraz podnosić od strony Huntera, najpierw z wolna, potem coraz prędzej.

- Rusza się! - zawołał McHeath.

Gład przekreślił się. Hunter zdjął palec ze spustu. Gład z potężnym hukiem spadł ma kamieniste zbocze i z prędkością nieco większą od normalnie spadających karni arii potoczył się w stronę przepaści.

Całe zbocze zatrzęsło się. Niektórzy z przerażeniem uczepili się tych, co stali najbliżej.

Rozległ się jeszcze jeden huk i gład runął w przepaść, odrywając od jej krawędzi płaski, szeroki odłam skalny.

Dodd wyjął notatnik i powiedział głośno:

- Najbardziej nieprawdopodobne zjawisko fizyczne, jakie kiedykolwiek...

Potężny, donośny huk zagłuszył jego słowa. Skaliste zbocze znów się zatrzęsło, kiedy gład uderzył o dno wąwozu.

Hunter spojrzął na podziałkę pistoletu.

- Została jeszcze przeszło jedna trzecia ładunku - oświadczył.

Rudolf zbadał teren, na którym przed chwilą leżał gład. Pozostał po nim półmetrowy dół, głębszy od strony przepaści, gdzie wypchnięty asfalt utworzył wstęgę łączącą się gładko ze skalnym podłożem. Brecht z zadowoleniem skinął głową.

- Niezbyt mi się to podoba - oświadczył Hunter, schodząc ze zbocza. - Samochód może zarzucić w bok i...

Ale Rudolf szedł już szybko w stronę swojego nowego wozu.

Dwa myszołowy - przypuszczalnie te same, które tu już były - wyłoniły się z przepaści, oddalając się od szosy. Naprzeciw, od strony Doliny, leciał z warkotem duży helikopter wojskowy, którego przedtem, podczas całego zamieszania, nikt nie zauważył. Ptaki skrzyły i zawróciły.

Hixon zaczął dawać znaki karabinem, ale Rudolf go powstrzymał.

- Sami sobie poradzimy - oznajmił. - Zresztą oni i tak nas widzą. A skoro nie zareagowali

na grzmot, to już na nic nie zareagują.

Helikopter poleciał w stronę morza. Rudolf wsiadł do Corvetty i krzyknął:

- Z drogi!

Wóz ruszył: kiedy przejeżdżał przez dół, zarzuciło go lekko. W tej samej chwili dwa myszolowy przefrunęły szybko dwadzieścia metrów nad szosą i znikły za zboczem.

Rudolf zatrzyma! wóz tuż za limuzyną mordercy.

- Wsiadajcie z autobusu! - zawoła!. – I niech dziadek tu podjedzie.

Po czym, zwracając się do Huntera, Marga i Ramy Joan, którzy podeszli do niego, dodał; - Ja będę jechał pierwszy. Potem kolejność będzie następująca: limuzyna, autobus, a na końcu furgonetka. Ty, Joan, pojedziesz ze mną, ale Annę zostaw lepiej w autobusie. Ross, poprowadzisz limuzynę. Zawróć wóz. od razu. Margo, wsiadaj z Rossem i pilnuj swojego pistoletu. Gdyby się coś stało, pamiętaj, że jesteś naszą ciężką artylerią, ale czekaj na mój rozkaz. Dodd, jak tam twoja ręka, bo tylna straż też musi mieć broń.

- Harry umie strzelać - powiedział Dodd. – I można na nim polegać.

Brecht skinął głową.

- Dobrze - zgodził się. - Powiedz mu, że dostał awans. Drugi karabin niech weźmie Hixon.

Dziadek, kierowca autobusu, zaczął narzekać, że nie da rady przejechać przez dół.

- Tylne opony są stare i zupełnie zdarte - tłumaczył. - Mogę wpaść w poślizg i...

Ale Brecht zamaszystym krokiem szedł już z powrotem. Wsiadł do autobusu i bez większych trudności przeprowadził go przez dół.

Następnie Hixon przeprowadził furgonetkę. Raya Hanksa przeniesiono wraz z łóżkiem, a ponieważ tak bardzo się upierał, że nie chce jechać autobusem, umieszczono go w furgonetce. Do furgonetki wsiadła również Ida i McHeath, który z surową miną trzymał karabin w pogotowiu.

Kiedy pozostali zajęli miejsca w autobusie, Brecht zwrócił się do Clarencea Dodda:

- Pilnuj tu porządku i uważaj na dziadka.

Gdy wrócił do Corvetty, zobaczył, że Anna siedzi na przednim siedzeniu obok Ramy Joan. Oparł ręce na biodrach, potem jednak uśmiechnął się, wzruszył ramionami i usiadł za kierownicą.

- Cześć, mała - powiedział i potargał jej włosy. Anna odsunęła się od niego.

Brecht włączył silnik, wstał i odwrócił się.

- Uwaga! - krzyknął w stronę pozostałych pojazdów. - Jedziemy w odległości dwudziestu metrów od siebie! Będę jechał wolno. Jeżeli zatrąbię trzy razy - macie zwolnić, cztery razy - stanąć. A jeżeli ktoś z was zatrąbi pięć razy, to znaczy, że coś się stało. Jasne? W porządku! Ruszamy!

Ludzie na Ziemi różnie reagowali na katastrofy spowodowane przez Wędrowca, zależnie od

tego, w jakiej sami znajdowali się sytuacji. W Putnam, w Dutchess County I na południowych zboczach Catskills po drugiej stronie rzeki Hudson powstał niemal drugi Nowy Jork - przyjeżdżali tu uchodźcy i ustawiali namioty, zakładano szpitale udzielające pierwszej pomocy oraz prowizoryczne lotniska, z których prowadzono akcję ratowniczą.

Mieszkańcy Chicago, którzy znaleźli się nad jeziorem Michigan, nie mogli się nadziwić, widząc półtorametrowy przypyływ - zazwyczaj bowiem przypyływ był tu tak niewielki, że w ogóle go nie dostrzegali. Spoglądali chwilami w górę na sznur awionetek lecących z Meigs Field na wschód w ramach erkę i i ratowniczej. Samochody pędziły po szosie jak każdego innego dnia.

Na Syberii powódź zalała wyrzutnie atomowe, powodując ogromny wybuch - na uciekających ludzi spadł pył radioaktywny.

Fale przypyływu zatopiły wyspy koralowe na Pacyfiku, zmuszając tubylców, aby śladem swoich dzielnych przodków wyruszyli pirogami na poszukiwanie nowych lądów.

Wolf Loner, pewien swoich obliczeń, płynął śmiało przed siebie w kierunku Bostonu. Rozmyślał leniwie o tym, dlaczego jasny blask Księżycy, który w nocy dwa razy wyrzwał spoza chmur, ma lekko fioletowy odcień.

Transatlantyk „Prince Charles” płynął wzdłuż wybrzeży Brazylii, kierując się na południe. Czterej kapitanowie powstańcy dowodzący statkiem zlekceważyli ostrzeżenia kapitana Sithwisea, który radził, żeby omijać z daleka ujście Amazonki.

Paul Hagbolt oglądał kontynent europejski z wysokości ośmiuset kilometrów. Europę zalewało światło słoneczne i widoczność była dobra, jedynie znad Oceanu Atlantyckiego nadciągała w stronę Irlandii szeroka, biała chmura.

Bezpośrednio pod sobą Paul miał Morze Północne, które z tej wysokości wyglądało jak na mapie w atlasie; woda w morzu była matowoszara, z wyjątkiem miejsca przy Cieśninie Dover, gdzie słońce rzucało jaskrawy blask.

Wyspy brytyjskie, południowa część Półwyspu Skandynawskiego, północne tereny Niemiec i południowe obszary Szkocji zajmowały następne strony w atlasie - na Iowo, na prawo i na południe od Morza Północnego.

Szkocja i Norwegia pozostały nie zmienione, natomiast na południe Szwecji wdarła się woda Bałtyku.

Poniżej Danii pas wody niczym szabla z klingą skierowaną na południe zalał Holandię i północne tereny Niemiec. No cóż - pomyślał Paul - nie jest to pierwsza powódź w dziejach Holandii.

Spojrzał teraz na Anglię: i tu woda miejscami za bardzo wdzieriała się w ląd, a ze wschodniego wybrzeża jakby wygryzła duży kęs. Co to jest? Tamiza?... Humber? Paul zawstydził

się, że nie potrafi od razu podać prawidłowej odpowiedzi, ale z geografii nigdy nie był mocny. Gdyby Tygryska zajrzała do mojej podświadomości, mogłaby mi dać odpowiedź - pomyślał, rozglądając się z irytacją, ale kotka spokojnie czesała się srebrnym grzebieniem i myła futra długim, cienkim jak sztylet językiem.

Oskarżenia Paula i gwałtowna reakcja Tygryski zakończyły się szybko i bez rezultatu. Tygryska schowała groźne pazury, obróciła się na pięcie i wróciła do tablicy sterowniczej, gdzie przez następne pół godziny siedziała bez ruchu, czasem tylko manipulując srebrnymi gałkami. Potem rozpoczęła nową serię manewrów, żeby móc obserwować Ziemię.

Po pewnym czasie przerwała swoje czynności, bez słowa podeszła do Paula, uwolniła mu nogę i zdjęła przymocowane urządzenia sanitarne. Następnie, łamana mową, zwięźle i oschle wyjaśniła mu podstawowe zasady poruszania się w zerowej grawitacji i sposób korzystania z Tablicy Odpadów i Tablicy Żywności. Po czym wróciła do swoich obowiązków, a Paul poczuł się jak intruz w nowoczesnie wyposażonym biurze. Przedtem jeszcze zjadł szybko posiłek złożony z małych ciasteczek o dużej zawartości białka, popijając je wodą niby proszki od bólu głowy. Wciąż jeszcze leżały mu kamieniem w żołądku.

Z początku obserwacja Ziemi była niezwykle frapująca, ale wkrótce go znużyła.

Starał się myśleć o Margo znajdującej się po drugiej stronie kuli ziemskiej w południowej Kalifornii i o Donie będącym również po drugiej stronie Ziemi na zmiążdżonym Księżycu - może jednak udało mu się uciec statkiem kosmicznym? - ale był zbyt zmęczony, żeby się nad tym zastanawiać.

Z niemałym wysiłkiem zmusił się do dalszej obserwacji Ziemi - oderwał spojrzenie od niepokojąco czarownego widoku Tygryski przy toalecie i skupił uwagę na żywym atlasie widocznym przez przezroczystą podłogę, która miała gdzieś tam niewielkie uchwyty - przez dwa takie uchwyty przesunął palec ręki i nogi.

Zaraz, zaraz, ten wygryziony kęs Anglii to chyba coś, co tam nazywali zatoką Wash, otoczony nizina, którą nazywali Fenlands... Paul westchnął.

- Martwisz o swoją planetę, Paul? - zawołała do niego Tygryska. - Ludzie cierpią i tak dalej?

Paul wzruszył ramionami i potrząsnął głową.

- Za dużo tego wszystkiego - odpowiedział. - Nie jestem już w stanie nic odczuwać.

- Zmniejszyć odległość? - spytała. Wstała od tablicy sterowniczej i powoli przysunęła się do niego.

- Po co?

- A może martwisz o kogoś bliski? - spytała. - Dziewczyna? O nią martwisz?

- Nie wiem - odparł. - Margo nie jest właściwie moją dziewczyną.

- A więc martwisz o to, co najbliższe: o siebie - rzekła, zatrzymując się koło niego. Położyła fioletową łapę na jego nagim ramieniu. - Biedny Paul - zamruczała. - Wszystko pogmatwane. Biedny, biedny Paul.

Jej dotknięcie przejęło go podniecającym dreszczem. Zły na siebie, cofnął ramię i śląc w jej stronę lekki powiew powietrza, machnął ręką, żeby się do niego nie zbliżała.

- Nie jestem maskotką - powiedział gniewnie. - I nie jestem żadną chorą małpą. Jestem mężczyzną!

Tygryska błysnęła zębami w uśmiechu, wąsy przesunęły się jej na fioletowe policzki, a czarne źrenice oczu zmniejszyły się do kropek. Celując fioletowoszarą łapą w serce Paula, krzyknęła:

- Paf!

Po chwili Paul roześmiał się ze smutkiem.

- No dobrze. Tygryska - westchnął. - Skoro jestem dla ciebie istotą niższego rzędu, zajrzyj w moje myśli i powiedz, co się ze mną dzieje? Dlaczego wszystko jest takie zagmatwane?

Źrenice jej oczu rozszerzyły się, przybierając kształt gwiazd - czarnych, lśniących gwiazd na tle fioletu nieba.

- Ależ, Paul - rzekła z powagą - odkąd zmusiłeś mnie, żebym cię traktowała jak istotę inteligentną - prymitywną, ale inteligentną, z własnym światem wewnętrznym - jest mi coraz trudniej przeniknąć do twoich myśli. Chodzi nie tylko o twoją zgodę. Ale poczyniłam pewne spostrzeżenia i jeżeli chcesz, mogę ci powiedzieć, co o tobie sędzę.

Paul skinął głową.

- Powiedz - poprosił.

- Masz mi za złe, Paul, że traktuję cię jak maskotkę, ale ty w podobny sposób traktujesz otaczających cię ludzi, Trzymasz się na uboczu, obserwujesz wyrozumiale ich szaleństwa, dbasz o tych, których kochasz, strzeżesz ich i im służysz: Margo, Donowi, swojej matce i kilku innym osobom. Schlebiasz im. oczekując czegoś w zamian. Uważasz, że to przyjaźń, ale w rzeczywistości to egoizm i wyrachowanie. Szanująca się kotka nigdy by tak nie postępowała wobec swoich kociąt.

Za często obserwujesz siebie z dystansu - mówiła dalej. - Zamieniasz się w obserwatora, którego z kolei obserwuje następny obserwator, tego następny i tak dalej. Patrz! - Okna zamieniły się w lustra. Tygryska wyciągnęła łapę, oddzielając jakoś pierwsze sześć odbić od pozostałych.

- Widzisz? - szepnęła. - Każde odbicie obserwuje to na wprost siebie. Tak, wiem, wszystkie rozumne istoty obserwują się z dystansu. Ale ty, Paul, żyjesz w swoich lustrzanych odbiciach. Powinno się żyć poza lustrem, wówczas zyskuje się odwagę, nie wolno się zamieniać we własnego

obserwatora z lustra. Uważaj, żebyś nie stał się obserwatorem numer sześć.

Poza tym wydaje ci się, że inni obserwują cię tak jak twoje odbicia. Odsuwasz się od nich, a potem ich krytykujesz. Ale oni cię nie obserwują. On! mają własnych lustrzanych obserwatorów, którzy obserwują tylko ich. Żeby polubić innych, trzeba najpierw polubić siebie.

Jeszcze jeden sprawa - dodała na zakończenie, znów mówiąc niepoprawnie. - Twój refleks walki słaby. To samo taniec. To samo seks. Małe doświadczenie. To wszystko.

- Masz rację - bąknął Paul cicho i jakby z przymusem. - Staram się zmienić, ale...

- Dość myśleć o sobie. Patrz! Jeden z naszych statków uratował wam miasto.

Sufit i podłoga znów stały się przezroczyste. Talerz opadał gwałtownie nad ciemnymi rozwidleniami zlewającymi się z jasną szachownicą, z której środka brunatne pierścienie bieły w stronę okrągłej, brązowej obręczy z szaroniebieskim brzegiem. Wysoko nad pierścieniami unosił się fioletowozłoty talerz latający, który, sądząc po chmurach dzielących go od talerza Tygryski, musiał być olbrzymi.

Zbliżyli się do szachownicy - okazało się, że to miasto, a kwadraty - to budynki.

Brunatne pierścienie tworzyła zamulona woda, wypompowywana z miasta.

Paul poznał olbrzymie budynki zakładów "Elektrosiła", które widział na zdjęciach, Instytut Energetyki, niebieskozielony teatr imienia Kirowa i Pałac Zimowy. Rozwidlenia tworzyła delta Newy, a miastem był Leningrad.

- Widzisz? Ratujemy wasze ukochane miasta - powiedziała zadowolona z siebie Tygryska. - Silnik pędu z dużego talerza odciąga tylko wodę. Bardzo sprytne urządzenie.

Zawisnęli nagle tak nisko nad miastem, że Paul ujrzał bruk ulic, ścieki pełne błota i wyciągnięte na ziemi, pokryte mułem, sine ciała kobiety i dziewczynki. Po chwili zalała je niska brunatna fala: z brudnej piany wyłoniło się martwe szare ramię i sina brodata twarz.

- Ratujecie? - spytał z oburzeniem. - Może. Ale najpierw zabiliście miliony ludzi, i wcale nie jestem pewien, co jest groźniejsze w skutkach: wasza pomoc czy katastrofa! Tygryska, jak mogliście zniszczyć - naszą planetę tylko po to, żeby prędzej zdobyć paliwo? Co was tak przestraszyło?

- Nie poruszaj tego tematu, Paul - syknęła Tygryska.

Richard Hillary szybko kuśtykał naprzód - niewidoczny punkcik w atlasie oglądanym przez Paula, a jednocześnie żywy, przerażony człowiek. Pot spływał z niego strumieniami, słońce świeciło mu w oczy. Oddychał ciężko i przy każdym kroku krzywił się z bólu.

Niczym szybki wóz na autostradzie, wyprzedził jedną grupę pieszych, ale inie dotarł jeszcze do grupy na przedzie, jeżeli taka w ogóle istniała. Ostatni znak drogowy, który minął, wskazywał

drogę do najbliższego miasteczka, które - całkiem stosownie - pomyślał Richard, nazywało się Mała Rzeź.

Mrużąc oczy widział, że kilkaset metrów dalej droga zaczyna się piąć na wysokie, porośnięte drzewami wzgórze.

Natomiast oglądając się za siebie, oślepiiony blaskiem słonecznym, widział jedynie wijące się węze wody i zalane pola.

Największym węzem była szosa, po której szedł, a którą nagie zaczęła zalewać woda z rowu po lewej stronie. Poziom wody nie przewyższał paru centymetrów, ale sam jej widok przestraszył Richarda.

Po prawej stronie, nieco wyżej od szosy, znajdowało się pole młodego jęczmienia, które ciągnęło się aż do wzgórza. Nie zważając na to, że drut kolczasty drze mu ubranie, przeszedł przez ogrodzenie i ruszył naprzód przez szeleszczący jęczmień. Z jęczmienia wyłoniła się wrona, zatrzepotała gwałtownie skrzydłami i odfrunęła, krocząc ochryple z niezadowolenia. Richarda bolały nogi, przyspieszył jednak kroku.

Usłyszał przytłumiony, daleki grzmot. Grzmot nie ucichł, przeciwnie, wzmagał się, stając się coraz głośniejszy. Richard niezbyt wierzył we własne siły, ale puścił się biegiem pod górę. Usłyszał za sobą króliki uciekające wielkimi susami. Obejrzał się i zobaczył kilkanaście takich podskakujących, białych kulek.

Kątem oka dojrzał ścigającą go ścianę wody, zwieńczoną brunatną pianą. Grzmot był tak głośny, jakby przejeżdżało dziesięć pociągów ekspresowych. Poczł nagle, że żółta piana bulgocze mu wokół nóg, a w następnej chwili zdawało mu się, że wzburzona fala odetnie mu drogę.

Jednakże zdołał dobiec na szczyt wzgórza, woda opadła, a grzmot przycichł.

Richard stał na wzgórzu, chwiejąc się ze zmęczenia i chwytając ustami powietrze - czuł w piersiach ból, jakby go „ktoś kopnął” - gdy nagle spomiędzy drzew ukazał się sztywno wyprostowany, niski starszy pan z dubeltówką.

- Stać! - krzyknął, celując w niego. - Bo strzelam.

Miał na sobie szare pumpy, lila pulower i brązowe kamasze. Twarz - wąska, pomarszczona, o niemal przezroczystych oczach - wyrażała najwyższą dezaprobatę.

Richard nie ruszył się, choćby dlatego, że był zdyszany i obolały. Grzmoty ustały całkowicie, a mętna woda spływała na pole.

- Proszę się wytłumaczyć - powiedział starszy pan. - Jakim prawem depcze pan mój jęczmień? I dlaczego zalał pan moje pole?

Zaczerpnąwszy wreszcie tchu, Richard uśmiechnął się jak najuprzejmiej i odparł:

- Proszę mi wierzyć, że nie zrobiłem tego z rozmysłem.

Sally, ubrana w połyskujące w blasku słonecznym bikini poprzątkane złotymi nićmi, wyglądała przez balustradę i Informowała Jake'a o wszystkim, co się dzieje na dole.

Jake pił kawę po irlandzku, na której wygaszał właśnie płomień whisky, i palił długie, zielonkawe cygaro. Od czasu do czasu marszczył brwi. Przy filiżance kawy leżał notatnik otwarty na czystej, nie zapisanej stronie.

- Woda sięga o dziesięć pięter wyżej niż przedtem! - wołała Sally. - Na dachach aż roi się od ludzi. Z każdego okna, jakie widać, wyglądają ze trzy twarze. Ludzie nawet stoją na parapetach. Mamy szczęście, że u nas był pożar i winda nie działa. Ktoś wygraża pięścią i to do mnie! Dlaczego, co ja ci zrobiłam? Ktoś inny właśnie skoczył do wody - ojej, rąbnął brzuchem! Ale silny prąd - spycha łódź policyjną. Hej, ty tam, przestań wskazywać mnie laską! Są matki z dziećmi...

Rozległ się świst i trzask: poręcz balustrady zabręczała. Sally odskoczyła, jakby ją coś ugryzło, i odwróciła się do Jake'a.

- Ktoś do mnie strzelał! - oznajmiła z oburzeniem.

- Odsuń się od balustrady - poradził jej Jake. - Ludzie zawsze zazdroszczą tym na górze.

Rozdział 31

Członkowie symposium usłyszeli cztery krótkie sygnały klaksonem. Powietrze przesiąknięte było kwaśnym, gryzącym dymem, unoszącym się znad spalonej ziemi, dymem ostrzejszym niż przedtem, bo z południowego wschodu zerwał się ciepły, wilgotny wiatr. Słońce przypiekało, ale z południa nadciągały wielkie, czarne chmury.

Hunter zatrzymał limuzynę tuż za wozem Brechta, który dojechał do wzniesienia: droga tutaj biegła między naturalnymi, pięciometrowymi słupami skalnymi.

Brecht stał wsparty o siedzenie samochodu i obserwował teren przed sobą. W czarnym kapeluszu na głowie, którego rondo z tyłu opadało na kark, a z przodu było podwinięte, wyglądał jak pirat. Wyciągnął prawą rękę i Rama Joan podała mu lornetkę. Teraz badał teren za pomocą siedmiokrotnie powiększających soczewek. Rama Joan i Anna też wstały.

Hunter zgasił silnik, zablokował hamulec i kiedy - nadjechał autobus, on i Margo wysiedli z samochodu, pośpiesznie ruszyli naprzód i po chwili zobaczyli to, na co patrzył Brecht.

Lekko pofałdowane zbocze ciągnęło się w dół przez pół kilometra, po czym przechodziło w szeroką równinę, a następnie znów się wznosiło, choć już nie tak wysoko.

Zbocze po lewej stronie było czarne, a po prawej zielonkawobrunatne. Szosa wiła się po nim zakosami, raz po raz przecinając granicę między terenem spalonym a nie spalonym.

U podnóża zbocza, tuż przy granicy pożaru, szosa przebiegała obok trzech białych budynków stojących na dużym podwórzu, wysypanym żwirem i otoczonym wysoką metalową siatką, po czym skręcała w rozpostartą po obu stronach szeroką równinę, która łagodnie wznosiła się pod górę, znikając między wzgórzami.

Przez środek równiny ciągnęło się coś, co wyglądało jak pokryty łuską, spłaszczony wąż długości pięciu kilometrów, a szerokości trzydziestu metrów. Łuski, których w każdym lśnięcym po brzegach rzędzie mieściło się osiem czy dziewięć, były przeważnie niebieskie, brązowe, beżowe i czarne, choć gdzieś widać było czerwoną lub zieloną. Z lśniących srebrnych boków można było wnosić, że wąż ma srebrny brzuch.

Wojtowicz podszedł do Brechta.

- Jezu! - zawołał. - Dojechaliśmy. O rety! Wężem była autostrada 101, na której zderzak przy zderzaku stały gęsto samochody.

- Muszę pomówić z Doddem i McHeathem - rzekł chrapliwie Brecht.

- Anno, zawołaj panów - poleciła Rama Joan córce. Dziewczynka przecisnęła się do drzwi i wyskoczyła z samochodu.

Kiedy Margo i Hunter przestali błędzić oczami po równinie i zatrzymali spojrzenie na

najbliższym punkcie, dostrzeżone szczegóły upewniły ich, że to bynajmniej nie jest wąż. W wielu miejscach samochody stały na poboczu, tuż przy metalowej siatce. Niektóre miały podniesione maski, a po bokach jakieś białe plamy - Hunter zorientował się, że są to żałosne, pokorne prośby o pomoc: ręczniki, koszule, chusty i chusteczki wywieszane przez kierowców, zanim powstał zator.

Gdzieniedzie pogięte albo ustawione w poprzek łuski oznaczały wozy nie usunięte po kraksie, a także nieudane próby kierowców, którzy usiłowali zawrócić na trawie dzielącej pasy autostrady albo na poboczu i odjechać drogą, którą przybyli.

W trzech miejscach siatka była mocno wgnieciona przez maski samochodów: zapewne i wtedy kierowcy chcieli wydostać się z zatoru. Jedna próba powiodła się do pewnego stopnia - siatka pękła, ale dalszą drogę tarasowały rozbite i leżące w rowie samochody, dwa z nich jeden na drugim.

Niektórzy kierowcy wciąż nadaremnie starali się wydostać, podjeżdżając metr do przodu, potem cofając się metr do tyłu. Duszący zapach spalin mieszał się z zapachem dymu niesionym przez wilgotny wiatr i południowego wschodu.

Hunter usiłował sobie wyobrazić, co tu się działo w nocy, tuż zanim powstał ogromny zator: widział te pięć tysięcy samochodów, dziesięć tysięcy połyskujących i migocących reflektorów, dziesięć tysięcy zderzaków wpadających na siebie z brzękiem, kilka wozów policyjnych, starających się utrzymać porządek na drodze, która z każdą chwilą stawała się coraz bardziej zatłoczona, pięć tysięcy silników, spaliny buchające z rur wydechowych, klaksony... a jeszcze ze sto tysięcy samochodów między tym miejscem i Los Angeles.

Rozmyślenia przerwał mu głos Dągala:

- Dolina suchych kości. Panie latających talerzy, imituj się nad nimi.

Stojąca przy samochodzie Rama Joan powiedziała cicho:

- Nawet złoczyńca jest szczęśliwy, dopóki jego zły czyn nie zaowocuje. A kiedy zaowocuje...

Największa i najgroźniejsza kraksa miała miejsce tuż za trzema budynkami, tam gdzie szosa prowadząca przez góry Santa Monica łączyła się z autostradą 101: zderzyło się tu ponad sto samochodów, kilka leżało kołami do góry, kilka na boku, a trzydzieści najbliższych było osmalonych ogniem. Hunterowi przyszło na myśl, że tutaj zapewne wybuchł pożar, od którego zajął się las i zarośla.

Dopiero po jakimś czasie (choć może upłynęła tylko sekunda, gdy tak stali, z niedowierzaniem rozglądając się wkoło) Margo i Hunter ujrzeli ludzi - jak gdyby jakieś prawo natury nie pozwalało im dostrzegać drobniejszych elementów, zanim ogarnęli całość.

Ludzie! - przynajmniej trzy lub cztery osoby na każdy samochód. Wielu - mój Ty Boże! -

wciąż siedziało w worach. Niektórzy stali albo chodzili między samochodami, inni stali lub siedzieli na dachach, które przykryli pledami. Na lewo za spalonymi wozami sporo osób przeszło przez siatkę i rozłożyło się biwakiem, zasłaniając się od słońca ręcznikami plażowymi i kocami. Ale mało kto oddalał się od autostrady i olbrzymiego zatoru; może liczyli na to, że za kilka godzin, czy choćby za dzień, zator zostanie zlikwidowany. Również mało kto spacerował - wszyscy na ogół chronili się w cieniu.

Hunter przypomniał sobie stary dowcip, że mieszkańcy Los Angeles, którzy w odwiedziny do sąsiadów mieszkających po przeciwnej stronie ulicy jeżdżą samochodami, zapomnieli, do czego służą nogi - był to jeden z tych dowcipów, które nie odbiegają zbyt od prawdy.

Na lewo od kraksy i miejsca, w którym szosa górską łączyła się z autostradą 101, kilka czarnobiałych wozów policyjnych, niczym furgony osadników, ustawiło się półkolem na pustym poboczu. Owa barykada z wozów tarasowała dwumetrową dziurę w siatce, najwyraźniej wyciętą nożycami. Przy dziurze stało pięciu policjantów: jeden z nich właśnie wsiadł na motocykl, wyjechał przez otwór w siatce, skręcił i popędził na północ po równym terenie za ogrodzeniem. Kilka osób wyszło z cienia i usiłowało go zatrzymać, ale on jechał dalej wzbijając tumany kurzu, które rosły i kłębiły się wokół biwakujących.

Po prawej stronie autostrady, gdzie wielkie czarne chmury raptownie unosiły się do góry, biwakowało znacznie mniej osób, więcej zaś - a były to na ogół osoby młode i szczupłe - wymachiwało rękami, skakało, zbierało się w gromadki, rozchodziło z znów zbierało. Z tej również strony dolatywały ciche dźwięki instrumentów: trąbki, klarnetu i perkusji.

Dwie grupy, tak bardzo różne w zachowaniu, dzielił stumetrowy pas zieleni, przez który biegła szosa górską, a na którym, pora dziesięcioma osobami leżącymi na ziemi, nie było nikogo - nawet samochody były puste. Hunter zaczął się zastanawiać, dlaczego te osoby w taki upał leżą na słońcu, gdy nagle uświadomił sobie, że nie żyją.

Pochłonięty obserwowaniem równiny, zapomniał prawie o swoich współtowarzyszach, którzy zebrali się dokoła. Teraz usłyszał kroki i głos Dodda:

- Spójrzcie tylko na te chmury! Po raz pierwszy zdarza mi się widzieć, żeby w południowej Kalifornii wilgotny wiatr nadciągał ze wschodu.

Usłyszał też odpowiedź McHeatha:

- Może woda wdarła się w głąb lądu i zalało jezioro Salton Sea i inne nisko położone obszary? A przy stukilometrowym zalewie musi być ogromne parowanie.

Hunter znów skierował spojrzenie na przerażający widok w dole.

Trzech młodzieńców z grupy szczupłych i aktywnych weszło na skraj ziemi niczyjej, poruszając się prędko dziwnym, chwiejnym krokiem. Jeden z nich, sądząc po ruchach, niósł

butelkę, którą wciąż podnosił do ust. Uszli niecałe pięćdziesiąt metrów, kiedy od strony wozów policyjnych rozległy się strzały. Jeden młodzieniec upadł - z tej odległości Hunter nie widział, czy leży bez ruchu, czy zwija się z bólu. Dwaj pozostali przeskoczyli przez najbliższe samochody i ukryli się za nimi.

Objął mocno ramieniem Margo.

- Na miłość boską, Rudolfie, co się tam dzieje? - zapytał.

- Właśnie - wtrącił Wojtowicz. - Powiedz, co widzisz przez lornetkę. Wygląda na wojnę.

- Masz rację - odparł krótko Brecht. - A teraz kto chce, niech słucha - powiedział głośno, wciąż patrząc w dół przez lornetkę - bo nie będę powtarzał po raz drugi i nie mamy czasu na przekazywanie sobie lornetki. Toczy się wojna, a przynajmniej wielka potyczka między grupą młodych ludzi i grupą starszych, a raczej między młodymi i policją, której pomaga kilka starszych osób. Pozostali są chyba neutralni, a w każdym razie nie wtrącają się. Nastolatki przeciw policji ochraniającej rodziny. Nastal chyba dzień młodych. Ci szczupli to właśnie młodzież, nastolatki. Piją - rozbili ciężarówkę z alkoholem i wyciągają z niej butelki. Na otwartej przestrzeni gra zespół jazzowy. Gdzieś tam biją się - na noże i pięści. Banda z młotami bez żadnego powodu tłucze szyby w samochodach i gniecie maski.

W swojej relacji Brecht świadomie nie wspomniał o nagich parach kopulujących w samochodach - zapewne ze względu na cień, a nie dlatego, żeby się wstydzić - o dwóch dziewczynach tańczących nago przy zespole jazzowym, o bezsensownym biciu i atletach przemocy oraz o kilkusobowej grupie, która stała z dala od muzyków i z chłodnicy samochodów chciała pić wodę... Brecht miał nadzieję, że nie jest zatruta.

- Ale w swej agresywności nie poprzestają tylko na tym - ciągnął dalej. - Teraz skradają się między pustymi wozami w stronę policjantów. Kilku z nich ma broń, reszta butelki. Ale zdaje się, że policja zastawiła na nich pułapkę. W każdym razie dwóch policjantów schowało się za samochodami pośrodku zatoru. Zanim jednak zacznie się bitwa, my już będziemy w drodze powrotnej do Mulholland - stwierdził, podając lornetkę Ramie Joan i spoglądając na zebranych. - Dodd! McHeath! Powiedźcie dziadkowi i Hixonowi, żeby zawrócili autobus i furgonetkę. Droga jest dość szeroka...

- Maimy stchórzyć i wiać? - zapytał donośnym głosem Hixon. Stał przy Drągalu, trzymając w ręce karabin. - Kiedy porządnym ludziom grozi niebezpieczeństwo? Kiedy za pomocą pistoletu z latającego talerza moglibyśmy im pomóc? Sam byłem kiedyś policjantem. Koniecznie musimy im pomóc.

- Nie! - krzyknął Brecht. - Musimy się troszczyć o siebie i dostarczyć pistolet ludziom nauki - póki jeszcze jest naładowany. Margo, ile zostało ładunku?

- Mniej więcej jedna trzecia - odpada dziewczyna, sprawdzając długość fioletowej linii.

- No widzisz? - zwrócił się Brecht do Hixona. - Zostało ładunku na cztery, najwyżej na pięć strzałów. A na autostradzie są dziesiątki tysięcy tych szaleńców. Jeżeli się wtrącimy, to t małej potyczki wywiąże się wielka bitwa. Przyznaję, że to, co się tam dzieje, jest okropne, ale to samo dzieje się teraz na całym świecie i nic na to nie poradzimy. Jedno wiadro wody nie uratuje płonącego miasta! Wracamy! Hixon, zawróć furgonetkę...

- Chwileczkę! - przerwała mu tym razem Margo. Podeszła bliżej i stanęła przed Corvetta.

- Tam w dole jest Vandenberg Trzy - powiedziała, wskazując pistoletem trzy białe budynki.

- Może jest tam jeszcze Morton Opperly. Musimy sprawdzić.

- Na pewno go tam nie ma! - warknął Brecht. - Jestem tego najzupełniej pewien. Mogę się założyć, że dowództwo przysłało po niego helikopter, może akurat ten, który widzieliśmy rano. Wracamy!

- W środku widziałam poruszające się postacie - skłamała Margo. - Sam mówiłeś, że trzeba mu dostarczyć pistolet. Musimy sprawdzić.

Brecht potrząsnął głową.

- Nie! Ryzyko jest zbyt wielkie, a nie mamy żadnej pewności, czy on tam w ogóle jeszcze jest.

Margo uśmiechnęła się.

- Ale to ja mam pistolet - rzekła, przyciskając broń do piersi. - ! ja go tam dostarczę, choćbym miała pójść pieszo.

- Brawo! - poparł ją gorąco Hixon.

- Posłuchaj mnie, bohaterko - zaczął Brecht, nachylając się do niej. - Jeżeli wyruszysz z tym pistoletem, obojętne pieszo czy samochodem, a jakiś zwariowany strzelec wyborowy cię zastrzeli albo napadną cię jakieś bandziory, to nie Opperly dostanie pistolet, tylko oni. Ale mam pomysł: jedź tam, jeżeli chcesz, ale bez pistoletu - na wszelki wypadek mogę ci dać mój rewolwer - i przywieź tu Opperlyego albo sprawdź, czy on tam jeszcze jest, a dalej się zobaczy. No?

Margo spojrzała na Huntera.

- Zawieszysz mnie? - spytała.

Hunter skinął głową i ruszył do samochodu. Margo podeszła do Brechta i wyciągnęła swój pistolet.

- Zamieniamy się - powiedziała.

Zamienili broń. Hunter włączył silnik i podjechał do nich.

- Jadę z wami - zaofiarował swoją pomoc Hixon.

- Zgadzasz się? - spytał Brecht. Margo skinęła głową.

- Pamiętaj, że jedziecie tylko po to, żeby odszukać Opperly'ego - rzekł do Hixona.

- Dobrze, chociaż nie wiem nawet, co to za jeden - mruknął Hixon.

- W porządku, reszta zostaje na miejscu. Dość ochotników! - krzyknął Brecht widząc, że McHeath również chce jechać. - Daj mi karabin i wdrap się tam - wskazał niższy słup skalny przy szosie - i pilnuj, żeby nas nie otoczyli... nawet policjanci!

Hixon usiadł na tylnym siedzeniu wozu, Margo zajęła miejsce z przodu, obok Huntera. Brecht podbiegł do nich i opierając łokieć na drzwiczkach od strony dziewczyny, powiedział:

- Poczekajcie chwilę. - Spojrzał na równinę, na której właśnie wybuchła bójka.

Młodzi wyskoczyli pomiędzy samochodów tuż przy barykadzie policyjnej, rzucili czymś i trafili w jeden z wozów. Rozległy się strzały - trzy osoby upadły. Wóz stanął w płomieniach.

- Butelki z benzyną - szepnął Hixon, przygryzając wargę.

- Ruszajcie - rzekł Brecht. - Dopóki są zajęci sobą. Wsunął głowę przez okno.

- Tylko, do jasnej cholery, macie wrócić cali i zdrowi! - warknął na pożegnanie.

Barbara siedziała niby na szczeblu drabiny na najwyższym z wielkich jasnych konarów olbrzymiej, uschniętej magnolii. Słońce zachodzące na błękitnym niebie grzało ją w plecy, a ona patrzyła na wschód, czekając aż fale Atlantyku nadciągną z Daytona Beach i jeziora George i zaleją Florydę. Od czasu do czasu usiłowała odczytać liczby z pogniecionej i zaplamionej potem karty godzin przyływu i odpływu, którą Benjy poprzedniego dnia zerwał dla niej z kalendarza, chociaż wiedziała, że dane nie pokrywają się z rzeczywistością. Ale o trzeciej nad ranem był olbrzymi przyływ, sądziła więc, że następny powinien być około trzeciej po południu.

Na niższym rozgałęzieniu, przywiązany resztkami koca do grubego pnia, który chronił go przed słońcem, siedział stary KKK. Obok Ketteringa siedziała Hester, która podtrzymywała jego opadającą głowę i robiła, co mogła, żeby staremu było wygodnie. Niższe konary zajmowali Benjy i Helena. Benjy trzymał sznur, którym wciągnęli na drzewo Ketteringa oraz kilka niezbędnych rzeczy.

Siedząc wysoko na wielkim, prawie bezlistnym drzewie, trójka Murzynów w brudnych, podartych ubraniach przypominała mokre, żałośnie wyglądające ptaki z brązowym grzebieniem na głowie.

Drzewo stało na niewielkim pagórku pokrytym niemal w całości wystającymi z ziemi grubymi, szarymi korzeniami, na których Benjy zaparkował ochlapanego błotem RollsRoycea.

Na południe od pagórka znajdował się mały cmentarzyk - część pokrytych piaskiem drewnianych tabliczek leżała na ziemi, wszystkie zaś były oklejone wodorostami naniesionymi przez nocny przyływ. Na końcu cmentarza stał drewniany kościółek, niegdyś pomalowany na

biało. Woda przesunęła go o kilka metrów od murowanych fundamentów, nadwerżyła i powyginała jego ściany, ale nie zdołała go rozbić. Brunatny ślad wody pozostał na wysokości trzech metrów, dochodząc prawie do niedawno namalowanego, choć już łuszczącego się czarnego napisu nad drzwiami: Kościół Jezusa Zbawiciela.

Barbara zamrużyła oczami. Zdawało się jej, że połacie niebieskiego nieba na wschodzie opadły na płaską, brązowozieloną ziemię - przypominało to lustrzaną taflę wody, jaka w upalne dni jawi się w oddali na równej, betonowej szosie. Niebieskie plamy rosły i zlewały się ze sobą. Nieświadoma tego, że wciąż mruga, Barbara wpatrywała się w horyzont niemal jak w transie. Sekundy i minuty płynęły niepostrzeżenie, jak gdyby czas, który dotychczas pędził niczym rączy rumak, nagle stanął, albo może to tylko zatrzymało się coś w niej, w Barbarze, bo nie słyszała już tętentu jego kopyt.

Była tak pochłonięta dziwnym zjawiskiem - niebem zalewającym ziemię - że nie słyszała ryku ze wschodu, który wzmagał się coraz bardziej, ani przerażonych nawoływań trzech wielkich ptaków siedzących niżej na drzewie; nie czuła, że drzewo chybocze się i wygina, nie widziała wody, która napiera na pień, nie słyszała też rozpaczliwego krzyku Heleny.

Miała natomiast wrażenie, że cały świat przechyla się i wznosi ku niebu, podczas gdy błękit z oszałamiającą szybkością pędzi ku ziemi. Odchyliła się w tył, odchylała się coraz bardziej i spadłaby z drzewa, gdyby nagle ktoś mię znalazł się u jej boku i czyjeś silne ramię jej nie wsparło.

- Uwaga, panno Barbaro! - krzyknął jej do ucha Benjy. - Tak się pani zapatrzyła, że spadłaby pani.

Spojrzała na wodnistą równinę. Floryda znikła. Kościół Jezusa Zbawiciela płynął wywrócony, a osiem słupków, na których go zbudowano, sterczało krzywo do góry.

Znów spojrzała w dół. Magnolia, teraz do połowy zanurzona w wodzie, była niczym samotna wysepka na morzu. Barbarze przypomniał się RollsRoyce i parsknęła śmiechem.

- Jeszcze nie wiadomo - powiedział Benjy, odgadując jej myśli. - Wyjąłem akumulator, tablicę rozdzielczą i kilka innych części. Resztę porządnie naoliwiłem - może to coś da. Zbiorniki z benzyną i olejem zatkałem mocno z obydwóch stron. Jak woda spłynie, to może ruszymy, chociaż sam bym się zdziwił.

Fala zakołysała drzewem. Helena pisnęła i Hester objęła ją. Benjy roześmiał się, a raczej zapał jak kogut.

- Ale ciągle jeszcze nie tracę nadziei - powiedział Barbarze,.

Rozdział 32

Ross Hunter, jadąc prędko, choć ostrożnie, wziął ostatni zakręt. Odtąd droga biegła prosto wzdłuż wysokiej metalowej siatki otaczającej Vandenberg 3.

Margo dotknęła jego ramienia i wskazała ręką małą otwartą furtkę przy pierwszym rogu ogrodzenia.

Hunter jednak nie zwolnił.

- Za mała - powiedział. - Musimy poszukać bramy, przez którą przejedzie samochód.

Krajobraz stał się nagle widmowy. Olbrzymie chmury zasłoniły słońce. Zagrzmiało. Poprzez grzmoty dobiegł odgłos strzałów. Wóz policyjny wyjechał z płonącej barykady przez otwór w siatce dzielącej szosę od Vandenbergu, zjechał po niewielkim poboczu, podskakując na wybojach minął wozy spalone podczas kraksy i skierował się w stronę nadjeżdżającego Huntera. Drugi wóz policyjny wyjechał tyłem z otworu i jadąc na wstecznym biegu, ruszył za pierwszym.

Hunter zwolnił. Zobaczył dużą bramę z pustą budką wartownika. Brama była otwarta. Skręcił w nią akurat w chwili, gdy trzeci wóz policyjny opuszczał barykadę.

Hunter pędził po szarym żwirze w kierunku szerokich czarnych drzwi w największym z trzech białych budynków.

Po drugiej stronie Margo dostrzegła młodzież wspinającą się na siatkę i przepychającą się przez małą furtkę.

Hunter zatrzymał wóz. Margo i Hixon wysiedli. Ujrzeni trzy betonowe schodki, wąski ganek, czarne dwuskrzydłowe drzwi, a na nich białą kartkę papieru.

Wbiegli po schodkach. Margo nacisnęła klamkę. Drzwi były zamknięte na klucz. Hixon uderzył w nie kolbą i krzyknął:

- Otwierać!

Hunter zawrócił samochód.

Pierwszy wóz policyjny z piskiem opon wjechał przez bramę i skierował się w ich stronę. Nie zważając na chmury pyłu wzbite przez pierwszy wóz, drugi wóz, wciąż pędząc na wstecznym biegu, również minął bramę.

Hixon podbiegł do najbliższego okna, kolbą wybił szybę i zaczął obtłukiwać wystające, ostre krawędzie szkła.

Pierwszy wóz policyjny, trzęsąc się na resorach, wpadł w trzymetrowy poślizg i z piskiem hamulców zahamował przy samochodzie Huntera. Z wozu wyskoczyło dwóch policjantów: twarze mieli umazane sadzą, oczy rozbiegane. Jeden skierował lufę pistoletu maszynowego na Margo i Hixona.

- Rzucić broń! - rozkazał. Drugi wycelował w Huntera.

- Wysiadać! - zawołał.

Hixon, z lufą karabinu skierowaną w dół, krzyknął:

- Jesteśmy po waszej stronie!

Policjant strzelił dwa razy - kule przeleciały nad głową Hixona i utkwily w sztukaterii. Hixon rzucił broń.

Margo trzymała rewolwer Brechta za plecami.

Hunter wysiadł z wozu i z rękami podniesionymi do góry wszedł po schodkach na garnek.

Drugi wóz policyjny podjechał do nich na wstecznym biegu. Znow wysiadło kilku policjantów. Trzeci wóz policyjny zatrzymał się przed bramą.

Coś wpadło przez okno do samochodu Huntera i spadło na siedzenie. Coś innego rozbiło przednią szybę wozu policyjnego - buchnęły syczące, niebiesko-żółte płomienie.

Policjanci zaczęli strzelać tam, skąd rzucono butelki. Odpowiedział im ogień trzech niewidocznych strzelców.

Margo spojrzała na białą kartkę, przypiętą do drzwi. Zerwała ją i zgmiotła wkręcę.

Z pierwszego wozu policyjnego wyskoczył kierowca, ramionami osłaniając twarz przed ogniem. W wozie Huntera też huczał ogień.

Hunter z rękami podniesionymi do góry podszedł do Margo i Hixona.

Butelka, która wpadła do jego wozu, teraz wybuchła. Z okien wystrzeliły wielkie niebiesko-żółte płomienie.

- Uciekajmy! - krzyknął Hunter. Przez tę furtkę, którą widzieliśmy jadąc tutaj.

Rzucili się do ucieczki. Nikt do nich nie strzelał. Policjanci wsiedli do drugiego wozu. Znow zagrzmiało, tym razem znacznie głośniej.

Przebiegli koło ostatniego białego budynku, kiedy zza rogu wypadła banda nastolatków. Ich szaleńcza brawura była zaraźliwa i przez moment Margo zdawało się, że jest po stronie młodzieży. Ale po chwili kawałki żwiru rozprysły się przed Hunterem i rozległ się trzask: dziewczyna uświadomiła sobie, że to strzela do nich ktoś z młodych. Banda wymachiwała butelkami i nożami. Do niewielkiej furtki było jeszcze około pięćdziesięciu metrów.

Banda biegła za nimi, wrzeszcząc i krzycząc. Jakaś dziewczyna rzuciła butelką.

Nie zatrzymując się, Margo strzeliła do nich trzy razy, ale nikogo nie trafiła. Kiedy jednak celowała po raz trzeci, przewróciła się na żwir. Butelka upadła koło niej i roztrzaskała się. Margo podniosła rękę, żeby uchronić twarz przed ogniem, poczuła jednak tylko zapach whisky.

Hunter podał jej rękę i znow pobiegli. Przed nimi Hixon wskazywał na coś i krzyczał.

Banda nastolatków nie biegła już prosto za nimi; kilkanaście osób poleciało na ukos do

furtki, żeby im odciąć drogę.

Margo i Hunter ujrzeni to, co Hixon zobaczył chwilę przedtem: jasnoczerwony wóz, który z piskiem opon pędził w ich stronę szosą górską, i czarny kapelusz na głowie kierowcy.

Banda odcięta im wyjście przez furtkę. Rama Joan, która siedziała obok kierowcy, wstała i wycelowała w nastolatków szary pistolet. Ich oszalałe twarze przysłoniła chmura kurzu i żwiru; zaczęli się słaniać na nogach, zataczać, przewracać, jakby ogromny wiatr dął im prosto w oczy. Siatka wygięła się do tyłu.

Brecht również wstał.

- Biegiem! Prędszej! - krzyknął do Margo i obu mężczyzn.

Wybiegli przez furtkę i wcisnęli się na malutkie tylne siedzenie. Brecht obrócił kierownicę i skierował wóz w przeciwną stronę.

Zobaczyli, że drugi wóz policyjny, który wydostał się z terenu Vandenbergu 3, wraca i podskakując na poboczu mija spalone samochody.

Trzeci natomiast pędził wprost na nich, równolegle do siatki.

Rama Joan wycelowała w niego pistolet impetu.

- Nie! - krzyknął Hixon. - To przecież policjanci!

Czarno-biały wóz zatrzymał się raptownie, pasażerowie jednak zamiast wylecieć do przodu jak przy nagłym hamowaniu, polecieeli! do tyłu. Wóz również zaczął się ślizgać do tyłu. Rama Joan opuściła pistolet.

Czerwona Corvette mknęła pod górę.

- Nie tak prędko - zaprotestował Hunter.

- To jest prędko? - zapytał Brecht.

- Nie widzieliście, jak gnałem wam na ratunek?

- Ja widziałem! - roześmiał się Hixon. - Jak błyskawica, panie kapitanie.

Za nimi wóz, który Rama Joan zatrzymała za pomocą pistoletu, zawrócił i teraz oba wozy policyjne jechały na północ po zewnętrznej stronie siatki. Płomienie buchające z opuszczonej barykady pięły się coraz wyżej. Ogień przenosił się na inne samochody.

- Nigdy już nie dom się nabrać na tak bezcelową, bohaterką wyprawę - warknął Hunter i spojrzał gniewnie na Margo.

Znów zagrzmiało. Spadło kilka dużych kropli deszczu. Margo wyjęta zza stanika zgniecioną kulkę papieru i rozwinęła ją.

- Bezcelową? - spytała, uśmiechając się do Huntera. Wyciągnęła kartkę między Brechta a Ramę Joan tak, żeby Hunter również mógł ją zobaczyć.

Pośpiesznie napisana wielkimi literami wiadomość brzmiała: „Van Bruster, Comstock i

cała reszta! Zabierają nas helikopterem do Vandenbergu 2. Przyjedźcie tam szosą przez góry Santa Monica. Powadzenia!”.

Kartkę podpisał Qpporly.

Duża kropla deszczu spadła na papier. Deszcz był cznry.

Don Guillermo Walker i bracia Araiza byli już na środku jeziora Nikaragua. Wkrótce mieli minąć wyspę Ometepe. Z dwóch wulkanów na wyspie wydobywały się czarne kłęby dymu, same zaś ich wyloty zwieńczone były ogniem jasnoczerwonym nawet w blasku słońca.

Światło słoneczne wpadało przez szeroki otwór w kurtynie mgły widocznej na zachodzie. Don Guillermo miał nadzieję, że przez otwór zobaczy La Virgiin i Rivas w przesmyku Rivas między jeziorem Nikaragua a Pacyfikiem, jednakże cały teren pokrywała ciągnąca się w nieskończoność woda.

Bracia Araiza poinformowali go, że przyływ na przesmyku - czyli u wybrzeży Oceanu Spokojnego - przy miastach Brito i San Juam del Sur sięga zazwyczaj tylko trzech metrów.

Wniosek był niewiarygodny, ale prawdziwy. Spotęgowane przez Wędrowca pływy zalały przesmyk Rivas, łącząc jezioro Nikaragua z Oceanem Spokojnym. Dlatego podniósł się poziom wody w jeziorze i woda miała słony smak. Tam, gdzie niegdyś kursowały błękitno-białe dyliżanse spółki Korneliusza Vanderbilta, przewożące poszukiwaczy złota oraz ich bagaże z Virgin Bay do San Juon del Sur, teraz rozciągały się niebieskie wody Pacyfiku. Kanał Nikaraguański, o którym marzyło tak wiele ludzi, dwa razy dziennie stawał się rzeczywistością.

Czerwony blask ukazał się na samym środku gęsto porośniętego stożka Madery. Prawie natychmiast zaczął się wydobywać jasny dym. Po chwili czerwony błysk, a po nim dym opadł w dół. Don Guillermo pomyślał, że to zapewne rozgrzana do czerwoności lawa wycieka ze szczeliny i spływa do jeziora.

Łódź płynęła dalej. Don Guillermo dziwił się, że woda jest tak spokojna. Nie przyszło mu na myśl, z jaką ogromną siłą woda napiera na całe wybrzeże, nie widział też nic groźnego w braku zasłony pary wodnej, choć gdyby się zastanowił, zrozumiałby, że para wodna wytwarza się wciąż głęboko pod wodą.

Nic konkretnego się nie zdarzyło, ale nagle trzech mężczyzn spojrzeli na siebie.

Don Guillermo zabił komara na szyi.

Od strony zatopionego przesmyku Rivas ogromna góra wody niczym szary grzyb zaczęła wyrastać z gładkiej lustrzanej tafli i w ciągu trzech sekund bezgłośnie osiągnęła kilometrową wysokość i półkilometrową szerokość.

Coś, co zmieniało kolor tafli z jasnej na matową, płynęło w stronę łodzi.

Trzej mężczyźni! patrzyli z niedowierzaniem.

Fala podmuchowa rozerwała im błony bębenkowe w uszach i przewróciła łódź.

Na chwilę, zanim woda zalała jego i jego dwóch towarzyszy, don Guillermo zdążył ujrzeć wielką, pionową górę wody, wypieraną przez parę wodną. Po wodzie pływało mnóstwo koronkowych, szarych, matowych wodorostów. “Jak ten chrust na wrzosach. Tam Makbet z naszych ust dowie się o swych losach. Słyszę głos arcywiedźmy” - pomyślał don GuiHermo.

Znikł również przesmyk Rivas. Kanał Nikaraguański stał się rzeczywistością.

Rozdział 33

Don Merriam posilił się i znów zasnął w malutkiej kabinie na Wędrowcu, a kiedy obudził się, był już zupełnie spokojny. Popatrzył leniwie na pastelowy sufit rozjaśniony niewidzialnym światłem.

Nie czuł, że leży na łóżku ani że ma ciało, gdyż receptory prawie wcale nie odbierały bodźców. O ile mógł się zorientować, leżał na wznak z rękami luźno wyciągniętymi wzdłuż boków.

Naraz ogarnęła go bezgraniczna ciekawość, chciał poznać wielki statek, na którym był mimowolnym pasażerem. Pragnął tylko jednego: zobaczyć i zrozumieć, a jeżeli to niemożliwe, przynajmniej zobaczyć. Ale choć pragnienie było niezwykle silne, nie mógł się zdobyć na najmniejszy gest, ruch czy wysiłek, żeby je urzeczywistnić.

Bez żadnego ostrzeżenia sufit - nagle się obniżył.

Don usiłował zeskoczyć z łóżka, ale zamiast tego przekręcił się na brzuch bardzo płynnym ruchem i patrząc na podłogę przy ścianie i na kąt z prysznicem zdał sobie sprawę, że zawieszony jest w powietrzu na wysokości dwóch metrów.

Sufit się nie poruszył. To on lewitował, najpierw na plecach, a teraz na brzuchu, tuż pod sufitem.

Brodę miał zadartą do góry, a głowę - choć nie czuł, aby mu ciążyła - tak mocno odchyłoną do tyłu, że linia wzroku pokrywała się z osią jego ciała. Usiłował spojrzeć w dół na łóżko znajdujące się pod nim, żeby się przekonać, czy leży tam jego ciało - prawdziwe lub urojone - ale nie potrafił.

Nie potrafił też podnieść rąk, żeby na nie spojrzeć. Nie czuł ich, toteż nie wiedział, czy stracił tylko zdolność poruszania nimi, czy też w ogóle ich nie ma.

Nie wiedział również, czy to jego ciało unosi się w powietrzu, czy ciało urojone, a może on sam jest tylko lewitującym punktem obserwacyjnym, który wyobraża sobie, że ma ciało.

To ostatnie przypuszczenie potwierdził fakt, że Don nie dostrzegał czubka nosa, brwi i policzków, które - choć nie zwraca się na nie uwagi - zawsze są w polu widzenia. Ale może działa się tak dlatego, że wyteżając wzrok wciąż patrzył tylko prosto przed siebie.

Nagle raptownie przesunął się i ruszył - głową naprzód - w stronę ściany. Zamknął oczy - przeszło mu przez myśl, że przynajmniej potrafi zamknąć oczy, a kiedy je otworzył, mimo że nie było żadnego zderzenia i nie czuł żadnego oporu, płynął srebrnym korytarzem, pokrytym arabeską i hieroglifami, który prowadził bezpośrednio do jednego z wielkich szybów czy też studni. Ogarnęło go uczucie radości i wkrótce zaczął spadać w dół.

Tutaj rozpoczęła się seria dziwnych przeżyć, które mogły być niezwykle sugestywnym snem albo snem sprowadzonym na Dona przez jego porywaczy, a zarazem gospodarzy, albo też pozazmysłowym obrazem zesłanym mu w postaci snu; miał wrażenie, że jego ciało - na skutek obcych procesów fizyczno-chemicznych mogące przenikać przez ściany, gazy i inne przeszkody, odporne na grawitację oraz działanie innych sił - przekręca się i porusza, po części mimo woli, a po części kierowane nieposkromioną ciekawością, odbywając wspaniałą, choć koszmarną podróż.

A może - przeszło mu przez myśl - to wszystko odbywa się w jednej, krótkiej sekundzie poza granicami czasu?

Nie wiedział, czy odgadł, co się z nim dzieje, czy też prawda jest zupełnie inna. Na razie musiał lecieć, koziołkować i czekać.

Z początku leciał tylko pustymi korytarzami i szybami. Jeżeli nawet żyły w nich jakieś istoty albo jeździły pojazdy lub statki kosmiczne, nie mógł ich dostrzec, gdyż na skutek ogromnej prędkości, z jaką mknął, widział tylko zamazany obraz. Przez kilka sekund pędził - a tak mu się przynajmniej zdawało - niemal z prędkością światła, świadom tylko ogólnych zarysów i rozmiarów korytarza; następnie przez krótki odcinek przestrzeni posuwał się wolno, przyglądając się wszystkiemu, co go otaczało; potem znów mknął przed siebie, po części mimowolnie, po części dlatego, że czuł neodparte pragnienie, żeby ujrzeć coś nowego. Proces ten powtarzał się bez końca, jak gdyby czas wydłużał się w nieskończoność, Don jednak nie był zmęczony, nie czuł też znużenia.

Stopniowo w jego umyśle powstawał trójwymiarowy obraz Wędrowca. Planeta była sztucznym tworem, złożonym z coraz mniejszych, koncentrycznych kul - było ich przynajmniej pięćdziesiąt tysięcy - wszędzie połączonych korytarzami: przypominała wielką srebrną gąbkę. Wiele z dużych studni przecinało planetę na wylot, krzyżując się w olbrzymiej pustej kuli, która miała własne ciemne niebo oświetlone tu i ówdzie przypominającymi gwiazdy światłami, rozmieszczonymi między ciemnymi połyskującymi szybami o kilometrowej średnicy.

Budowa Wędrowca coraz silniej pobudzała wyobraźnię Dona, ale jeden szczegół konstrukcji planety dręczył go, G nawet przerażał, bardziej zresztą tym, co w sobie krył, niż tym, jak wyglądał; była to trzydziestometrowej grubości srebrna powłoka z ciemnego metalu, która stanowiła posrebrzony dach kuli - pokład, na którym wylądowała Baba Jaga i radziecki statek kosmiczny - oraz kilometrowej średnicy okrągłe, metalowe płyty tej samej grubości, które mogły w każdej chwili zasłonić szyby, zamieniając planetę w fortecę.

Złowieszczy nastrój potęgowały olbrzymie zwoje otaczające niektóre z szybów; świadczyły one o tym, że szyby mogą służyć tutaj jako monstrualne akceleratory liniowe.

Don wzdrygnął się na widok groźnego pancerza i po chwili znalazł się w samym środku

migocącej gwiazdami ogromnej centralnej kuli. Chociaż kula miała zaledwie trzydzieści kilometrów średnicy, zdawało mu się, że jest wszechświatem, a wielkie dziury w jej gwieździstym niebie korytarzami prowadzącymi do innych wszechświatów; czuł, że wokół niego są niewidzialne stworzenia, niewyczuwalne, myślące obłoki, które żyją w zimnych międzygalaktycznych głębinach kosmosu; uczucie to wywołało w nim strach znacznie silniejszy niż ten, który go przejął, gdy patrzył na ochronną warstwę planety.

Może to właśnie ten nowy, dojmujący strach kazał mu wyruszyć na drugą ekspedycję po Wędrowcu. Nie leciał już teraz korytarzami, lecz bez lęku przenikał ściany, wędrując tak szybko z sali do sali, że najgrubsze ściany pokonywał w ciągu ułamka sekundy. Kiedy się zatrzymywał, to zawsze w pobliżu żywych istot. Owe żywe istoty nie należały do jednego gatunku, lecz do wielu.

Koty, a właściwie kocie istoty, tafcie jak przewodnik Dona, przebywały na ogół blisko powierzchni planety i choć było ich dużo, stanowiły mniejszość wśród załogi Wędrowca, złożonej z różnorodnych stworzeń, które zdawały się być końcowym wytworem ewolucyjnym każdej ziemskiej i nie tylko ziemskiej rasy. Były tu konie z wielkimi łbami i chwytymi wyrostkami ukrytymi wewnątrz kopyt; gigantyczne pająki o niezmaconym spojrzeniu i żyłach prześwitujących przez stawy, żyłach, w których wyraźnie pulsowała krew; węże z dużymi i małymi chwytymi mackami pokryte lśniącą łuską; człekokształtne jaszczurki z pięknymi grzebieniami; toczące się po ziemi stworzenia kształtem przypominające grube koła, których mózg i ośrodek zmysłów obracały się w przeciwną stronę; naziemne kałamarnice dumnie stojące na trzech lub sześciu mackach; stworzenia przywodzące na myśl różne potwory mitologiczne, jak na przykład bazyliuszki czy harpie. Te ostatnie Don ujrzał głęboko we wnętrzu planety - fruwały po sali podobnej do gigantycznej ptaszarni. Ogromne, zajmujące kilka pięter pomieszczenie imitowało jakby świat; porośnięte było cienkimi drzewami o wielkiej ilości gałęzi z malutkimi liśćmi, a oświetlone przez olbrzymie, pływające w powietrzu lampy-słońca.

Turkusowe jeziora, które widział z Baby Jagi, były równie szerokie jak głębokie; żyły w nich wieloryby o wielkich oczach i przypuszczalnie potężnych mózgach, mające zamiast płetw macki przypominające kable ze sterzącymi na końcu drutami. Oprócz wielorybów pływały tam inne stwory morskie o inteligentnie wyglądających, wyrazistych pyskach.

Kosmonauta chciał się zatrzymać, obejrzeć te stwory, przyjrzeć się dokładnie ich zachowaniu, ale jak zawsze przeważało pragnienie, żeby ujrzeć jeszcze bardziej zagadkowe i jeszcze ciekawsze formy życia, więc zatrzymywał się tylko na moment, tak jak wtedy, gdy leciał pustymi korytarzami. Istoty, które obserwował, najwyraźniej były nieświadome jego obecności.

Nie dzieliły ich też chyba żadne bariery rasowe czy gatunkowe: Don widział, jak kocie istoty prowadzą w ptaszarni przyjazne rozmowy z mniejszymi od siebie harpiami, widział, jak

gigantyczne pająki w przezroczystych strojach nurków poruszając odnóżami pływają w głębokim jeziorze zamieszkanym przez wieloryby.

Wydało mu się nagle nieprawdopodobne, że planeta wielkości Ziemi może pomieścić taką różnorodność i mnogość stworzeń, ale po chwili uświadomił sobie, że biorąc pod uwagę wszystkie piętra, powierzchnia Wędrowca jest piętnaście tysięcy razy większa od powierzchni Ziemi.

Mimo swojej liczebności i różnorodności wszystkie stworzenia, które widział, nieustannie pracowały. Nawet te, które się nie poruszały, w skupieniu prowadziły obliczenia i szukały rozwiązań. Wszędzie wyczuwało się lęk i zagrożenie.

Od czasu do czasu, może myląc kierunek lotu, a może tylko dla wytchnienia. Don zatrzymywał się tam, gdzie nie było żywych istot: widział wtedy wielkie zbiorniki zapełniane się materią księżycową; hale ze stojącymi nieruchomo lśniącymi maszynami; rury, przez które przepływały wielobarwne ciecze; pokoje, w których, oświetlone słonecznymi lampami, rosły dziwne - może nawet myślące - rośliny; sale z gładkimi bryłami geometrycznymi, które wyglądały niemal jak żywe, podobnie jak te na powierzchni Wędrowca; kuliste pomieszczenia wypełnione czystą, surową, ognistą materią przypominającą plazmę słoneczną, która jednak ani nie parzyła, ani nie oślepiała.

Pracę fizyczną wykonywały też protoplazmatyczne istoty, przypominające olbrzymie ameby, które zależnie od wykonywanej pracy miały różne nibynóżki i narządy zmysłów. W innym pomieszczeniu widział metalowe roboty przypominające pająki i stworzenia kota - niektóre z nich, tak jak wielkie bryły, a szczególnie gigantyczne mózgi elektronowe, wyglądały jak żywe. Ich przezroczyste ścianki ukazywały ciemną galaretowatą substancję, w której migotały splecione srebrne niteczki cieńsze od włosów, jakby roboty zależnie od potrzeby mogły wypuszczać nowe nerwy i zwiększać objętość mózgu.

Im większą Don widział różnorodność myślących istot, tym bardziej stawał się wrażliwy na ich obecność. Gdy zatrzymał się w środkowej gwieżdzistej kuli, ujrzał wirujące jasnofioletowe, wieloramienne obłoki nieustannie zmieniające swoje kształty: zimne stworzenia żyjące w poragwiedznych ciemnościach. A pewnego razu, gdy na chwilę wzniosł się na górny pokład, zobaczył, jak jedna z wielkich, barwnych, abstrakcyjnych brył pęka niczym jajo i jak wyłania się z niej mnóstwo różnych stworów.

Jednakże im bardziej uświadamiał sobie, że na planecie istnieją inteligentne formy życia, tym bardziej dręczyła go myśl, że otacza go rój istot, których nie jest w stanie dojrzeć; miał wrażenie, że na Wędrowcu przebywa więcej duchów niż widzialnych członków załogi.

Zatrzymał się w pomieszczeniu, w którym panował zupełny bezruch, w pomieszczeniu z wieloma balkonami i nie kończącymi się rzędami szaf z małymi szufladami - przyszło mu na myśl,

że jest to katalog biblioteczny. Pajęczynowate dróżki prowadziły z szuflad do urządzeń obserwacyjnych, które wyglądały jak olbrzymie mikroskopy, i Donowi zdało się nagie, że widzi ruch na tym mrowiu pajęczyn; doszedł do wniosku, że to usłużne bakterie i wirusy porządkują i układają molekuly, na których wyryta jest wiedza, kultura i historia wszystkich światów. Osiągnięcia i kultura Europy - pomyślał - bez trudu zmieściłyby się w jednej szufladce. Czuł się tak, jakby otarł się o trwałą, wszechogarniający punkt widzenia wieczności, utożsamiony często z Bogiem, Pomknął do następnego pomieszczenia, w którym panował znacznie większy ruch: było tu mnóstwo pulpitych dowodzenia, map, wykresów, ekranów i gablot do oglądania trójwymiarowych obrazów. W gablotach widać było wciąż zmieniające się obszary dotknięte katastrofą: krajobrazy i miasta zniszczone trzęsieniami ziemi, spustoszone ogniem, zalane przez wielkie fale i niespodziewane przyływy. Przez chwilę Dań patrzył zafascynowany, aż nagle z przerażeniem uświadomił sobie, że ogląda własną planetę, Ziemię, zdewastowaną przez pływy wywołane masą Wędrowca - a przecież wiedział, że mieszkańcy Wędrowca mogą dowolnie włączać i wyłączać grawitację.

Chciał zatrzymać się i dokładnie wszystko obejrzeć, a przynajmniej tak mu się zdawało, szybko jednak odleciał i pokonując kilka ścian znalazł się w sali, która była jedną wielką, ciemną gablotą obserwacyjną otoczoną przez dziwne istoty z dwoma, trzema, a nawet ośmioma oczyma. W gablocie wisiały modele Ziemi i Wędrowca oraz krzywa, nabrzmiała ćwiartka pierścienia - to, co pozostało z Lany. Gdzieś tam, na ogół w pobliżu dwóch planet, widać było fioletowe i żółtawe świetne punkciki, które, jak się domyślił, były statkami kosmicznymi.

Planety - kosmonauta nie potrafił powiedzieć, czy są to makiety, czy trójwymiarowe obrazy - dzieliła prawidłowa odległość, trzydzieści razy większa od ich średnic. Złudzenie było tak silne, że Don miał wrażenie, iż płynie przez kosmos, w którym miejsca konstelacji zajmują twarze dziwnych istot.

Nagle, bez żadnego ostrzeżenia, zaczęły się ukazywać pojedynczo lub pacami inne planety - zielone, szafę, złote, a niektóre tak dziwnie ubarwione jak Wędrowiec. Między nimi powoli przesuwały się jasne smugi: było to światło, które normalnie porusza się z prędkością trzystu tysięcy kilometrów na sekundę, zwolnione proporcjonalnie do wielkości modelu. Następowaly małe wybuchy. Don zobaczył wojujące floty statków kosmicznych, nie większych od świetlnych punkcików. A potem wszystkie planety oprócz Ziemi zaczęły szybko przesuwać się z miejsca na miejsce, jakby toczyły kosmiczną bitwę.

Ale nie doczekał się końca planetarnych zmagania, gdyż dziwna siła, która kierowała nim podczas zwiedzania Wędrowca, zaczęła go ponaglać, jak gdyby zbliżał się kres podróży. Po raz pierwszy poczuł zmęczenie.

Minął pośpiesznie trzy następne pomieszczenia - były to również gabloty obserwacyjne; na tle ich czarnych gładkich ścian rysowały się obce twarze widzów. W pierwszym pomieszczeniu zobaczył spiralny profil jasnych punkcików i skupisk światła - galaktyka - pomyślał - chyba Droga Mleczna.

W drugiej gablocie ujrzał mrowie małych, puszystych, kolistych obłoków świetlnych, które dzieliła odległość trochę większa od ich średnic. Zaobserwował tu dziwne zjawisko - przestrzeń w tej gablocie zakrzywiała się w tajemniczy sposób, i gdy przez nią przelatywał, wszystko zmieniało się bardziej, niż powinno. Zanim odleciał, przyszło mu na myśl, że patrzy na kosmos pojedynczych gwiazd - na jedność, na wszech świat.

Wyobrażenia zaczęła mu podsuwać różne myśli zupełnie nie związane z tym, co widzi: ta sztuczna planeta... pępek kosmosu... centralny mózg... wiekuiste oko... księga przeszłości... macica... i zygota przyszłości... wszechmocna jak Bóg, choć Bogiem nie jest...

Ocknął się i znów stał się sobą, a raczej tym ruchomym punktem obserwacyjnym, jakim był od początku wędrówki: miał teraz przed sobą wielką czarną gablotę obserwacyjną i ze zdziwieniem spostrzegł, że ten sam kosmos, który jeszcze niedawno oglądał - rozpoznał go po zagadkowym zniekształceniu - jest tylko małym, jasnym i samotnym obłokiem świetlnym. Powoli zaczęły się ukazywać następne obłoki o różnych kształtach i kolorach, które po chwili znikaly - jedne prędko niczym świetliki, drugie nieco wolniej. Kosmonauta zastanawiał się sennie, czy są to inne kosmosy znane mieszkańcom Wędrowca. A może mieszkańcy Wędrowca tylko podejrzewają, że te kosmosy istnieją... może ich szukają... ale w ich widmowości i szybkości, z jaką znikaly, było coś hipotetycznego... a zresztą gwiazdy, galaktyki i wszechświaty są tok nierealne... jak ciemne kropki, które wirują przed oczami, zanim zapadnie się w sen..

Nagle jeden wszechświat zaczął drgać i wirować niczym liść podczas zamieci !i Don, wciąż senny, pomyślał, że przecież wszechświat powinien być stabilny... ale po chwili wszystkie widmowe kosmosy też zaczęły wirować, hipotetycznie...

Donowi zdawało się, że już nic nie jest w stanie rozwiać jego senności, ale widok następnej sali otrzeźwił go na chwilę. Był prawie pewien, że to wszystko ma jakieś znaczenie, ale jego zmęczony umysł nie potrafił odgadnąć jakie. W ogromnej sali, swoistym świecie podobnym do pomieszczenia harpii, niebo czerwone jak rozgrzane żelazo rozciągało się nad łąką, gdzieniegdzie upstrzoną kamieniami i kępami drzew. Małe, zgrabniejsze od saren zwierzęta kopytne, których głowy ozdabiał cienki róg, skubały delikatnie trawę. Ptaki o rubinowym, topazowym i szmaragdowym upierzeniu, o wyszukanych grzebieniach i kolorach fruwały nisko nad ziemią, często siadały w wysokiej trawie i na drzewach, jakby szukały nasion i owoców.

Naraz trzy ptaki trzepocząc silnie skrzydłami wyleciały z trawy, a najbliższa grupa

jednorożców dygocząc zamarła w bezruchu, zaczęła węszyć i rozglądać się z lękiem, po czym wielkimi susami uciekać. Jednocześnie spoza kamienia wyskoczyła kocia istota podobna do przewodnika kosmonauty, tyle że futro miała brązowe w szare pasy. Pomknęła za jednorożcami, a jej długie nogi tylko migwały w locie; rzuciła się na ostatniego w grupie, zwała go na ziemię, chwyciła za pierś i brodę, a następnie wbiła mu się zębami w gardło.

Topazowy ptak przefrunął obok kępy drzew, z której wyskoczyła kocia istota o zielonym futrze - było to stworzenie płci żeńskiej, sądząc po jej niższym wzroście i nieco innej budowie ciała. Wzbiła się z wdziękiem w powietrze, podskakując niesłychanie wysoko, niczym baletnica wykonująca grand jęte. Choć jej długa łapa tylko musnęła ptaka, trzy długie pazury wbiły mu się głęboko w pierś. Trzymając go za grzebień, kotka z dużą wprawą wgryzła się w jego nastroszoną piórami szyję.

Kiedy podniosła głowę znad żółtych piór i dużymi oczami o zielonych tęczęwkach spojrzała w stronę Dona, kosmonauta ujrzał krew na jej matowooliwkowych ustach i na długim, odsłoniętym, białym kle. Może był to tylko zbieg okoliczności, ale kosmonauta miał wrażenie, że kotka go również zobaczyła. Stojąc na tle krwistoczerwonego nieba i wsysając krew ptaka, kotka uśmiechnęła się.

I wtedy Dona ogarnęło nieprzewyciężone zmęczenie, obraz stał się zamazany, barwy pastelowe: Don zdał sobie sprawę, że znów unosi się w swojej małej kabinie. Usiłował spojrzeć na łóżko, ale tak jak poprzednio nie potrafił. W następnej chwili leżał już na łóżku, a na całym ciele czuł jego uspokajający dotyk. Wszystkie obrazy znikły mu sprzed oczu, wszelki ruch i pęd ustał, pozostawiając go samego, żeby odpoczął w ciemnościach.

Rozdział 34

Brecht zatrąbił czterokrotnie i zatrzymał wóz przy skalistym zboczach, gdzie obozowali w nocy. Hixon znów prowadził furgonetkę, natomiast w samochodzie obok Brechta siedziały Anna i Rama Joam, a na tylnym siedzeniu Margo i Hunter.

Cała piątka rozmawiała z ożywieniem, mimo, a może właśnie dlatego, że miała umazane na czarno twarze, a ubranie mokre i brudne od dziwnego, ciepłego, czarnego deszczu, który niedawno przestał padać. Doszli do wniosku, że deszcz jest czarny od popiołów wulkanicznych niesionych przez wiatr z Meksyku i innych terenów na południu.

- Albo od wodorostów wyrzuconych przez odpływ i wessanych przez trąbę powietrzną - zaryzykował hipotezę Brecht. - Ma słony smak.

Niebo pokrywały zwały ciemnych chmur, które wchłaniały jasne, srebrne światło.

- Wysiadać! - zawołał wesoło Brecht. - Ross, sprawdź, czy w wyrwie nie ma wody. Chciałbym przejechać, zanim minie obleci strach.

Hunter ruszył pośpiesznie, Margo pobiegła za nim.

Furgonetka zatrzymała się za Corvetą, a za nią autobus, na którego żółtej powierzchni odcinały się czarne zacieki.

- Powiedz swoim, żeby wysiedli! - zawołał Brecht do Hixona - Musimy przejechać na drugą stronę, tak jak dziś rano. Harry, powiedz Doddowi, żeby czym prędzej wypędził wszystkich z autobusu. Nie mamy chwili do stracenia. Sam stan przy autobusie i obserwuj drogę za nami.

Anna przytuliła się do Brechta.

- Czy mogę zostać z panem w samochodzie? - zapytała. - Ja się nie boję, że spadniemy.

- Przykro mi, kochanie, ale twoja mama powiedziała, że kuszę Kali, boginię zła - odparł i nachylając się dotknął umazanym policzkiem policzka dziewczynki. Rama Joan uśmiechnęła się przyjaźnie i zabrała roześmianą Annę z samochodu.

- Wody nie ma! - krzyknął do nich Hunter, ale w tej samej chwili stracił grunt pod nogami i upadł na ziemię. - Ale ślisko jak diabli - dodał, patrząc na Margo, która uśmiechała się ironicznie, i wstał. - Ta warstwa mokrego popiołu jest zdradliwa.

Uśmiech znikł z twarzy Ramy Joan.

- Może byśmy zasypali wyrwę kamieniami albo przynajmniej oczyścili z błota ten kawałek - powiedziała nerwowym szeptem do Brechta.

Brecht wychylił się przez okno i odrzekł cicho i pośpiesznie:

- Nie, moja miła. Ci pijani chuligani wkrótce wydostaną jakieś wozy z zatoru i ruszą w stronę plaży. Nie będą z nami robić ceregieli - zabijanie jest ich drugą naturą. Nie mamy chwili do

stracenia.

Oparł się wygodnie o siedzenie, zatrąbił i nacisnął gaz.

- Z drogi! - krzyknął.

Jechał prędko: samochód przeskoczył przez wyrwę bez najmniejszego poślizgu. Brecht zatrzymał wóz z dala od urwiska i biegiem wrócił do Ramy Joan, Margo i Huntera, którzy stali nad wyrwą. Anna rozmawiała przy autobusie z McHeathem i oglądała z zainteresowaniem jego karabin.

- Nie myślałem, że tak gładko pójdzie - powiedział. - Na starość staję się tchórzliwy.

Margo i Hunter wybuchnęli śmiechem. Rama Joan uśmiechnęła się niepewnie.

- Proszę pana! - zawołała piskliwie Ida, która stała przy furgonetce. - Ray Hanks nie chce, żeby go znów wynoszono.

Brecht rozejrzał się, po czym wzruszył ramionami.

- Będzie prędzej - mruknął, a potem krzyknął: - Dobra, zaryzykujemy i Ruszaj, Hixon!

Furgonetka również nabrała prędkości. Dopiero kiedy podskakując przejechała bezpiecznie przez wyrwę, zobaczyli, że pani Hixon nie wysiadła, lecz pochylona nad łóżkiem Hanksa, trzymała się ściany furgonetki.

Wojtowicz wysiadł z autobusu i stąpnął przy McHeathie i Annie. Pozostali pasażerowie autobusu: Drągał, Wanda, Ida oraz dyskutujący zawzięcie Dodd i dziadek, ruszyli w kierunku wyrwy.

Brecht nacisnął ma czoło zabrudzony czarny kapelusz i energicznie ruszył im naprzeciw.

- Wiem! Wiem! - powiedział, zanim dziadek zdążył otworzyć usta i ukazać swoje szczerbate uzębienie. - Tylne koła są zdarte i tak dalej. Rudolf rajdowiec zaraz się tym zajmie.

- Jeden cylinder wysiadł! - zawołał za nim dziadek, ale Brecht nawet się nie obejrzał.

Clarence Dodd spojrział na zabrudzone twarze otaczającej go grupki.

- Ten deszcz uradowałby serce Charlesa Forta, miłośnika niesamowitości - powiedział z uśmiechem. - Wyglądacie tak, jakbyście mieli uczestniczyć w indiańskim pogrzebie.

Rama Joan nagle ruszyła za Brechtem w stronę autobusu. Stojąca przy Rudolfie Anna pomachała jej ręką.

- Mamusiu! - zawołała.

Rama Joan stanęła i niepewnie pomachała do córki.

Anna zaczęła chichotać, a McHeath i Wojtowicz roześmieli się z czegoś, co powiedział Brecht wsiadając do autobusu. Silnik zawarczał i autobus nabrał prędkości, po chwili jednak jakby go zarzuciło.

- Drugi bieg czasem się zacina - mruknął dziadek.

Autobus powoli wjechał w wyrwę. Kiedy z niej wyjeżdżał, przednie koła za bukso wały, a tylne zaczęły się prędko zsuwać na bok. Brecht dodał gazu. Koła zapiszczały jak śliskiej, kamiennej drodze. Brecht zahamował raptownie. Autobus staczał się do tyłu.

McHeath rzucił Wojtowiczowi karabin i pobiegł szosą do autobusu, potykając się na wyboinach i wzniesieniach.

Autobus zatrzymał się na skraju dwustumetrowej przepaści, gdy przednie koło natrafiło na niewielki głaz leżący w wyboinie. Wszyscy widzieli, jak Brecht stara się podnieść z przechylonego do tyłu siedzenia, jak usiłuje stanąć na pochyłej podłodze i chwyta za klamkę, żeby otworzyć przednie drzwi.

Hunter chwycił Morgo za ramię, wsadził rękę pod jej kurtkę i wyciągnął pistolet impetu.

McHeath był już niemal przy krawędzi przepaści. Wojtowicz nie wiedział, co chłopak właściwie chce zrobić - może zaprzeć się mocno nogami i podać rękę Brechtowi, żeby ten nie stracił równowagi, skacząc na śliskie zbocze.

Brecht otworzył drzwi i wysunął głowę. Niewielki głaz, który przytrzymał koło, stoczył się w przepaść, tylne koła zjechały z krawędzi, podłoga przechyliła się jeszcze bardziej, utrudniając Brechtowi ucieczkę, i autobus, trąc zgrzytliwie podwoziem o skraj urwiska, powoli zaczął się zsuwać.

Hunter nacisnął mały zwrotny drążek umieszczony na kolbie pistoletu i przekręcił go tak, żeby strzałka była skierowana w przeciwną stronę niż lufa.

Brecht wysunął się do potowy, kiedy nagle pojazd przechylił się gwałtownie i mężczyzna wpadł z powrotem do środka. Autobus zsunął się z krawędzi i runął w przepaść, a wraz z nim Rudolf Brecht, który zdążył jeszcze spojrzeć na przyjaciół stojących na zboczu, zdjąc czarny kapelusz i nim machnął.

Hunter wycelował pistolet i nacisnął spust.

Twarz Brechta i jego podniesiona ręka znikły z pola widzenia, tylko czarny kapelusz, niesiony chłodnym wiatrem, przypłynął z krawędzi.

McHeath rzucił się na skraj urwiska i trzymając się skalnej krawędzi, spojrział w dół.

Zbocze zadrgało, usłyszeli huk, kiedy autobus uderzył o dno wąwozu.

Chłodny powiew przybrał na sile. Czarny kapelusz podleciał prosto do Huntera i zawisł na lufie pistoletu. Niewielki głaz zaczął się toczyć pod górę. Hunter zdjął palec ze spustu. Niewielki głaz zawrócił i potoczył się w dół. - Nie żyje! - zawołał McHeath załamującym się głosem. - Wypadł z autobusu. Widziałem, jak spadał. Przygniół go autobus.

- Gdybym o sekundę wcześniej... - szepnął Hunter.

- Przekręciłeś strzałkę o sto osiemdziesiąt stopni, żeby wytworzyć pole przyciągania, tak? -

spytał Clarence Dodd, a kiedy Hunter skinął ze smutkiem głową, dodał: - To logiczne.

Hunter chwycił czarny kapelusz z lufy pistoletu, jakby chciał go rzucić na ziemię i podeptać. Ale tylko na niego spojrział.

Dobiegł ich daleki głuchy odgłos: niewielki głaz uderzył o ziemię dwieście metrów niżej.

W Arizonie na słonecznym płaskowyżu, przypominającym parsyjską Wieżę Ciszy, sępy zdzierały ostatnie kawałki mięsa z twarzy Asy Holcomba, odsłaniając nagą, czerwoną czaszkę.

Paul Hagbolt siedział wsparty wygodnie o ciepłe, gładkie okno zajmujące potową pojazdu Tygryski. Patrzył na pękającą pokrywę lodową na biegunie północnym Ziemi i na olbrzymie kry unoszone przez potężne fale szalejące na Morzu Grenlandzkim, w Zatoce Baffina i w Cieśninie Beringa. Cała niemal Arktyka zalana była światłem słonecznym, gdyż na północnej półkuli Ziemi było lato.

W pojeździe panował półmrok; do wnętrza wpadało trochę światła odbitego przez ośnieżony lód, na którym lśniły jasne punkciki - gwiazdy na białym niebie - ilekroć fale obracały kry pod odpowiednim kątem do słońca.

Tygryska również leżała wyciągnięta przy oknie nie opodal Paula. Głaskała Miau, która nagle wysunęła się spod jej trójpalczastej łapy o fioletowych poduszkach, odbiła się tylnymi łapami od zielonego ramienia w fioletowe pasy i skoczyła nad Paulem do kwietnika po drugiej stronie pojazdu - przypuszczalnie po to, żeby go znów zwiedzić, tym razem w tajemniczym blasku pokrywy lodowej. Miau szybko przystosowała się do nowych warunków grawitacyjnych i z radością unosiła się między roślinom! i grubymi łądygami, od czasu do czasu wystawiając znad liści i kwiatów malutki, uśmiechnięty pyszczek.

Tygryska wydała krótki, melodyjny pomruk, podobny do westchnienia. Paulowi przyszło na myśl, że kotka skierowała statek nad biegun północny zapewne po to, aby móc spokojnie patrzeć na Ziemię bez przykrego uczucia, że tam giną ludzie. Chciał już jej powiedzieć, że na biegunie północnym jest, a raczej była do wczoraj, radziecka stacja meteorologiczna, ale doszedł do wniosku, że w końcu Tygryska, jeżeli zechce, sama może to wyczytać z jego myśli.

Talerz bez ostrzeżenia zaczął się nagle wznosić z ogromną prędkością. Najpierw raptownie zmaląła pokrywa lodowa, a potem cała Ziemia.

Paul starał się nie okazać zdziwienia. Wiedział, że koty nie lubią gwałtownych reakcji, a zresztą zdążył się już przekonać, że Tygryska potrafi operować tablicą sterowniczą nie dotykając jej ani na nią nie patrząc.

Wokół zabłyśły gwiazdy. W miarę jak Ziemia malała, w polu widzenia ukazywał się

stopniowo Wędrowiec. Wędrowiec również miał swego rodzaju biegun północny - żółty, pochyły obszar - na fioletowym tle - z którego wystawała żółta szyja, szyja dinozaura. Z tej odległości żółty kształt przypominał topór wojenny.

Wznosili się pod kątem prostym do promieni słońca, toteż promienie nie wpadały bezpośrednio do kabiny. Ziemia i Wędrowiec, po którego słonecznej stronie widać było sierp pękniętej Luni, wyglądały jak dwie półkule.

Kiedy przygasł blask odbity przez pokrywę lodową, w kabinie zapadł zmrok. Planety, które wreszcie Jakby się zatrzymały, wyglądały teraz jak dwa małe, prawie nieuchwytnie dla oka, sąsiadujące ze sobą półksiężycy na tle po! gwiazdnych - konstelacji przeważnie Paulowi nie znanych, gdyż można je było oglądać tylko z południowej półkuli Ziemi. Bez większego zdziwienia zdał sobie sprawę, że pojazd w ciągu niecałej minuty wzbił się kilka milionów kilometrów w górę - z prędkością niewiele mniejszą od prędkości światła.

Było to tak, jakby przeszedł z Tygryśka przez miasto, skręcił do dużego, nie oświetlonego parku i patrzył teraz na światła miasta poprzez hektary ciemnych trawników i drzew. Po pewnym czasie jednak przytłoczyło go straszliwe osamotnienie.

- Czujesz się Bogiem? - zapytała szeptem Tygryśka. - Ziemia u twoich stóp - dodała.

- Sam nie wiem - odparł. - Czy mogę zmienić to, co się już stało? Czy mogę wskrzesić umarłych?

Tygryśka nie odpowiedziała, ale w ciemnościach Paulowi zdawało się, że kotka potrząsa głową.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Tygryśka znów wydała melodyjny pomruk, coś niby westchnienie.

- Paul - powiedziała cicho.

- Słucham? - zapytał spokojnie.

- My jesteśmy okrutni. Wyrządziliśmy wiele złego twojej planecie. Tak, boimy się - rzekła nagle, jeszcze ciszej niż przedtem.

Urwała, po chwili jednak mówiła dalej, tym razem trochę tak, jak mała dziewczynka, która przyznaje się, że była niegrzeczna.

- My jesteśmy jak wasi pisarze straconego pokolenia, jak węgierscy uchodźcy, anarchiści i czciciele szatana, jak bitnicy i upadłe anioły, jak zbiegli więźniowie albo młodociani przestępcy. Uciekamy, wciąż uciekamy. Każdy nasz krok - miliard lat świetlnych - dudni na pustym, planetarnym chodniku pod zimnymi latarniami gwiazd.

Paul wiedział, że Tygryśka bierze słowa, pojęcia i obrazy z jego myśli, choć zupełnie tego nie czuł.

- Wędrowiec - mówiła - jest dla nas jak samochód albo jak pociąg, którym możemy uciekać - jak piękny nowoczesny statek ewakuujący żołnierzy z Dunkierki. Pięćdziesiąt tysięcy pokładów, na których można się bawić i miło spędzać czas. Niebiosa, które zadowolą każdy gust! Zachody słońca na zamówienie! W każdej kabinie ciepła i zimna bieżąca grawitacja! Do wyboru, do koloru! Gwiazda Potępionych! Arka Szatana!

Teraz mówiła jak nieco starsza dziewczynka, która brawura, świadomym użyciem ponurych, obrazów, a zarazem żartobliwym tonem stara się ukryć poczucie winy.

- Och, szykowna planeta wyklętych! Malujemy nasze niebo, żeby odciąć się od reszty świata. Nie spodobało się to mieszkańcom słonecznych slumsów, do których wlecieliśmy. Ci szarzy konformiści myślą, że mamy coś do ukrycia pod naszą dwubarwną, piękną powłoką, i mają rację! - Malowana planeta - powiedział Paul, usiłując wpaść w jej nastrój i przynajmniej raz użyć jakiegoś zwrotu, zanim ona go użyje.

- Tak - odparła. - Jak wasza pustynia, i jak wasze kobiety z prymitywnych szczepów, które malują swoje ciała. Kolor fioletowy i żółty jak zorza na pustyni. Nawet statki malujemy na ten sam kolor, co planetę - statki znacznie większe niż wasze transatlantyki i małe, takie jak ten. Tak, jesteśmy u szczytu cywilizacji, my, pasażerowie Arki Szatana, my, zastępy piekielne, my, upadające anioły.

Uśmiechnęła się przelotnie, marszcząc pyszczek, ale po chwili znów spojrzała przez okno na gwiazdy, na dwa półksiężycy w dole i trochę spoważniała.

- Wędrowiec płynie przez autentyczną próżnię - nadprzestrzeń. Wyboista droga, okrutne morze, sztorm, przy którym huragan jest łagodnym wietrzykiem, a blask miliona gwiazd zaledwie iskierką - to właśnie jest nadprzestrzeń! Bezkształtna jak chaos, wroga wszystkiemu, co żywe. Nie ma światła, atomów ani nawet energii, z której my, super-istoty, moglibyśmy korzystać! Jak dotąd! Jest jak lotne piaski, przez które trzeba brnąć, albo jak pustynia bez wody, na której można zginąć, ale którą trzeba przebyć, żeby dotrzeć do cienistej oazy. Czarne złowrogie niby-morze, które tak się ma do przestrzeni jak podświadomość do świadomości. Uliczki, do których nie dociera światło latarni, ślepe zaułki pełne niebezpiecznych zakrętów, brudne zaułki śmierci. To ciemna, zimna woda pod dokiem pokryta warstwa olejów, którą mącą olbrzymie fale. Morze Sargassowe statków gwiazdnych! Cmentarzysko zagubionych planet! Urocze morze - w sam raz dla Arki! Szatana, morze, które sprawia, że jego aniołowie dostają mdłości i mają koszmarne sny - ogniste, lodowate, bezkształtne Morze Piekieł!

Cały ten gwiazdzisty wszechświat, ten kosmos, który tobie wydaje się niezmienny i wieczny jak Bóg, miotany jest przez nieskończoną, burzliwą nadprzestrzeń niczym kartka papieru unoszona przez trąbę powietrzną. A Wędrowiec żegluje w pięści wiatru, który dzierży kartkę.

Ostrożni z nas żeglarze, zawsze trzymamy się blisko brzegów.

Paul spojrział na rozsiane po niebie samotne gwiazdy i zaczął się zastanawiać, dlaczego zawsze sądził, że symbolizują one ład.

- Po to, żeby dostać się w tę próżnię - ciągnęła Tygryska - potrzeba siły miliarda reaktorów, a znacznie większej siły, ścisłych umiejętności i dużo szczęścia, żeby się z niej wydostać. Wędrowiec zjada księżycy na śniadanie, a asteroidy na przekąskę. A raczej wchłania je próżnia - istny pożeracz neutrino. Musimy rzucić jedzenie potworom nadprzestrzeni, żeby nas przepuściły dalej. Sama podróż przez nadprzestrzeń jest krótka, natomiast czasochłonny jest start i lądowanie - jakiegóż sprytu wymaga znalezienie portu, ile trzeba się naczekać, zanim się wróci do wszechświata i - ma się wrażenie, że się błądzi po nieznanym wybrzeżu podczas gęstej mgły. W nadprzestrzeni są ślady naszego kosmosu - cienie słońc, planet, księżyców, kurzu, pyłu, pustki - ale znacznie trudniej jest się w nich rozeznąć, niż odebrać radarem sygnały poprzez niebo zasłonięte metalową folią czy odczytać dziwne, niewyraźne hieroglify w pradawnej jaskini.

Z ostatniej podróży wróciliśmy wyczerpani i zmęczeni - mówiła dalej. - Brakowało nam masy i światła słonecznego. Nasza izolacja ochronna zmalała do zera, straciliśmy prawie całkowicie nasze niebo i atmosferę, nikt nie mógł wchodzić na górne pokłady oprócz zamieszkujących je nieorganicznych olbrzymów - kwarcowych mózgów podobnych do kolorowych wzgórz.

A co gorsze jeszcze dwa razy usiłowaliśmy bezskutecznie dostać się do waszego układu słonecznego, za każdym razem kosztowało to nas sporo kilometrów sześciennych paliwa, którego wcale nie mieliśmy w nadmiarze, i za każdym razem musieliśmy zawracać, bo albo warunki były nieodpowiednie, albo wektory błędne, a punkty wejściowe, jak na nasze potrzeby, za daleko od Słońca czy jakiegóż księżycy.

- Tylko dwa razy? - wtrącił odruchowo. - Były cztery fotografie z wirującymi polami gwiazdnymi.

- Cztery fotografie, ale tylko dwie nieudane próby. Raz w pobliżu Plutona, raz w pobliżu Wenus - odparła stanowczo Tygryska. - Nie przerywaj mi, Paul. Wreszcie udało nam się wypłynąć koło waszego Księżycy, bo trzy ciała - Ziemia, Słońce i Księżyc - ustawiły się na jednej linii podczas zaćmienia, tworząc idealny cień. Wynurzyliśmy się na powierzchnię z morza nadprzestrzeni. Ale wtedy prawie już nie mieliśmy paliwa. Gdybyśmy na przykład mieli stoczyć bitwę, ledwo by się nam udało anulować grawitację Wędrowca, żeby móc manewrować.

- Tygryska! - zawołał Paul. - To znaczy, że mogliście anulować pole grawitacyjne Wędrowca, tak żeby na Ziemi nie było wstrząsów i pływów - i nie zrobiliście tego?

- Nie jestem kapitanem Wędrowca! - warknęła w odpowiedzi. - Czy nie rozumiesz, że

potrzebna nam była pełna grawitacja, żeby przyciągnąć Księżyc i go zmiażdżyć? Pełna grawitacja powiększona o lokalne zawirowania pól i masę momentu obrotowego. Nawet w najbardziej krytycznych sytuacjach musimy mieć zapas paliwa na wypadek bitwy. To chyba oczywiste?

- Ależ, Tygrysko - zachnął się Paul. - W porównaniu z Wędrowcem nasze lotnictwo kosmiczne i broń atomowa to dziecinne zabawki. Nie rozumiem, jakiej bitwy...

- Paul, mówiłam ci przecież, że się boimy. - Odwróciła głowę, a jej tęcza-kwiaty rzuciły fioletowy blask. - Wędrowiec nie jest w tym wszechświecie jedyną planetą dalekiego zasięgu.

Rozdział 35

Ross Hunter zatrzymał się, żeby jeszcze raz spojrzeć w kierunku przepaści, po czym minął furgonetkę, podszedł do Corvetty i usiadł za kierownicą. Rama Joan i Margo stanęły przy samochodzie. Reszta pasażerów zajęła już swoje miejsca: Anna i Wanda w wozie Huntera, Hixonowie i Ida w kabinie furgonetki, a pozostałych pięciu mężczyzn stłoczyło się na platformie przy Rayu. Hunterowi nie podobało się to rozmieszczenie, ale od śmierci Brechta nic mu się nie podobało: wszystko było zimne, twarde i niewygodne - podobnie jak jego - własne ciało.

Nie chciał objąć dowództwa, proponował, żeby to zrobił Dodd, ale Hixon spojrzął mu prosto w oczy i powiedział:

- Sądzę, że Rudolf wybrałby ciebie.

Nie było innej rady, więc zgodził się. Hunter nie znosił podejmowania ostatecznych decyzji, ale musiał na przykład odrzucić propozycję Hixona, który za pomocą pistoletu chciał przesunąć skały tak, żeby zagradzały szosę; uzasadnił swoją odmowę tym, że w pistolecie, jeżeli nie mylą się co do funkcji fioletowej podziałki, została zaledwie jedna ósma ładunku. Musiał też postanowić, czy mają jechać do Mulholland, czy zawrócić do Vandenbergu 2: zwlekał z decyzją aż do owego skrzyżowania i przez całą drogę musiał słuchać wyrzutów Margo, która uważała za rzecz oczywistą, że pojedą śladami Mortona Opperlyego, szczególnie teraz, gdy mają kartkę z wiadomością, że profesor odleciał do Vandenbergu 2. Mówiła, że Hunter powinien był od razu wyraźnie wszystkim o tym powiedzieć, żeby później nie było nieporozumień.

O Brechcie nie padło ani jedno słowo, ale to tylko wzmogło ponury nastrój. Dopiero po dłuższym czasie Hunter zapytał szeptem Wojtowicza, jakie były ostatnie słowa Brechta, wtedy przy autobusie, gdy się razem śmiali, a ten odparł:

- Prosiłem go, żeby zdjął czarny kapelusz, bo to przynosi nieszczęście, ale on roześmiał się i powiedział: "Wojtowicz, kiedy będziesz taki łysy jak ja i nie będziesz mógł tego w żaden sposób ukryć, wtedy dopiero poznasz, co to jest nieszczęście".

Drażał, którego doleciały fragmenty tej rozmowy, ze smutkiem pokiwał głową i rzekł:

- Ja też go ostrzegałem - a potem wymamrotał coś, co zabrzmiało jak "grzech pychy".

Słyszając to Wojtowicz oburzył się na Drażala, a Dodd wtrącił się usiłując załagodzić sytuację.

- Jestem pewien, że Charles Fulby miał na myśli hybris - czyli wrodzoną hardość i zuchwałość. Bogowie tak bardzo nienawidzili obdarzonych nim greckich bohaterów, że ich zabijali.

- Nic mnie Grecy nie obchodzą! - wybuchnął Wojtowicz. - Nie pozwolę, żeby ktoś źle

mówił o Brechcie!

Hunter spojrział na pomięty, czarny kapelusz, który trzymał od chwili nieszczęśliwego wypadku, i pomyślał o Rudolffie leżącym na dnie przepaści wraz z trzema mordercami - wspólny żer dla myszołowów.

- Boże - westchnął z goryczą. - Nawet głupi kundel Dodda ma nagrobek, a on nic, absolutnie nic.

Zastanawiał się, czy może powiesić gdzieś kapelusz, ale to nie miało sensu. Wygładził rondo i kiedy wiatr się uspokoił, cisnął kapelusz w dół zbocza. Przez chwilę myślał, że kapelusz zatrzyma się na skraju przepaści, a on sam wyjdzie na wielkiego niezgrabiasza, ale kapelusz potoczył się dalej i wkrótce znikł im z oczu.

Rama Joan chwyciła go mocno za ramię, drugą ręką objęła Margo. Jej twarz i mokre rude włosy wciąż były czarne od deszczu, a pognieciony, brudny strój wieczorowy przypominał kostium wędrownego kłowna.

- Bóg widzi, że niewielki to pomnik - powiedziała cicho, ochryłym głosem - ale dziś w nocy kochaliśmy się tu z Rudolfem.

Hunterowi Izy napłynęły do oczu.

- Stary rozpustnik - wykrztusił.

W oddali usłyszał stłumiony warkot silnika, zbliżający się od strony Doliny.

- Słyszysz, Ross?! - krzyknął McHeath, który przykucnął za furgonetką, trzymając w pogotowiu karabin. Hunter przypomniał sobie słowa Brechta, że "ci pijani chuligani" wkrótce tu będą.

Pobiegł za Margo i Ramą Joan do samochodu. Kiedy siadał za kierownicą - Margo usiadła z tyłu, a Rama Joan obok Anny na przednim siedzeniu - pomyślał: Brecht by nie biegł. Zresztą, kto wie? Przynajmniej coś by powiedział. Włączył silnik, po czym odwrócił się i podniósł trawą rękę.

- Jeżeli ktoś nadjedzie, wyprzedź mnie! - krzyknął do Hixona. - Wtedy będziemy mogli użyć pistoletu. Jeżeli zaczną w nas celować, strzelamy od razu! Dobra, w drogę!

Nie najlepiej to wypadło - pomyślał, wrzucając bieg. - No, ale trudno.

Richard Hiliary poznał Werę Carlisle w Tewkesbury: dziewczyna siedziała w błocie i płakała cichutko.

Ostatnio coraz częściej widuje się ludzi w błocie - pomyślał - ale prawdę powiedziawszy lepiej, gdy ktoś siedzi w błocie, niż gdy leży w nim martwy.

Dziewczyna siedziała w bocznej uliczce, skulona jak myszka, i płakała tak cicho, że Richard nie dostrzegłby jej, gdyby nie to, że dwie godziny po zachodzie słońca wciąż było tak widno. Trzymała radio tranzystorowe, które tuliła do piersi jak niemowlę.

Podczas ostatnich trzydziestu sześciu godzin Richard kilka razy widział, jak obcy ludzie udzielają sobie pomocy, jak w tłumie odnajdują się członkowie rodziny, jak spontanicznie bywają zawierane przyjaźnie, i nagle uświadomił sobie, że on też chciałby się z kimś zaprzyjaźnić. Pragnął z całego serca, żeby nikt nie usłyszał cichego płaczu dziewczyny, żeby nikt nie podszedł, dopóki ona nie przestanie płakać, przynajmniej aż do pierwszego gestu porozumienia.

Kiedy się do niej zbliżał, myślał o tym, jak zimno się robi i jak ciepło było wczoraj przytulonym parom śpiącym pod słomą, a także o tym, że następuje właśnie koniec świata, a w każdym razie jego niezła imitacja, zarazem jednak zdawało mu się, że wszystkie te myśli nie oddają w pełni pobudek, które nim kierują.

Dał dziewczynie kawałek chleba - jeden z kilkunastu zrzuconych z helikoptera koło Cleeve - ale okazało się, że Werze najbardziej dokucza pragnienie. Zdobycie wody na terenach niedawno zalanych przypiływem nie było sprawą prostą - woda w zbiornikach, studniach i źródłach była słona. Świeża woda płynęła jeszcze w niektórych rurach, ale nie wiedział, gdzie jej szukać.

Przypomniał sobie, że kilka przecznic wcześniej widział piwiarnię, którą właśnie rabowano; ruszył z dziewczyną w tym kierunku, a kiedy mijali drewniane domy noszące ślady przypiływu i hotel "Królewski Chmiel", Richard odkrył, co jeszcze trapi dziewczynę: odpadł jej obcas, a zresztą spiczaste pantofle na wysokich obcasach i tak nie nadawały się do wędrówki, która ich czekała.

Przed piwiarnią była kolejka szabrowników. Ach, my, praworządni Brytyjczycy - pomyślał Richard - nawet po to, żeby szabrować piwiarnię, ustawiamy się w kolejce. Przypomniał sobie, że tuż obok jest sklep obuwniczy, bez wahania włamał się do środka - co nie było zbyt trudne, zważywszy, że przypiływ uczynił to przed nim - i wśród parujących pólek z butami znalazł dla Wery parę tenisówek i dla nich obojga ciepłe skarpety. Wszystkie te rzeczy były oczywiście mokre, ale to nie miało moczenia. Kiedy wrócił do piwiarni, kolejka znacznie zmalała i wkrótce pod baczynym okiem krzepkiego mężczyzny, który może nawet był właścicielem, choć się do tego nie przyznawał, Richard wziął po butelce piwa dla siebie i Wery i jedną małą butelkę rumu.

Na ulicy jakiś gruby mężczyzna nagle zawołał: - Patrzcie, jest ta cholera!

Był to Wędrowiec z dużym X na wypukłej tarczy, niemal symetrycznie otoczony białymi odłamkami Księżyca.

Wera spojrzała na Wędrowca i zaciskając mocno usta odwróciła wzrok. Spodobało się to Richardowi. Dziewczyna lekko wygięta ramię w jego stronę. Richard wziął ją stanowczo pod rękę i poprowadził w tym samym kierunku, w którym szedł poprzednio - z początku szli wolno, pijąc piwo i jedząc chleb. Nie mówił jej nic o swoim planie dotarcia do Malvern Hills. Pomyślał, że będzie miał na to czas, kiedy przejdą przez stary, stalowy most w Telfordzie na drugą stronę huczącej rzeki Severn.

Wera włączyła radio, lecz na wszystkich stacjach słychać było tylko zgrzyty przypominające skwierczenie bekonu na rozgrzanej patelni. Już chciał jej powiedzieć, żeby wyrzuciła radio, ale zamiast tego spytał, czy tenisówki są wygodne, a ona uśmiechnęła się i odparła:

- Są cudowne.

Jeszcze godzinę temu wędrował sam pośród tłumu obcych, myślał o milionach lub setkach milionów tragicznie zmarłych na całym świecie i zastanawiał się, czy to w ogóle ma jakieś znaczenie.

Myślał wtedy: czy światu potrzebna jest taka masa ludzi? Weźmy na przykład tłum wokół mnie - zdziesiątkowany przez powódź, a jednak większość to stereotypowi durnie, bez których świat mógłby się obyć. Ilu potrzeba ludzi, żeby utrzymać jako tako bogatą kulturę? Czy cała reszta nie jest po prostu zbędna? Czy miliony stereotypów to nie za wysoka cena, jaką trzeba płacić za istnienie garstki ludzi wartościowych? Czy samo pojęcie ludzkości rozmnażającej się bez końca i bez żadnej kontroli, ludzkości, która, gdy zabraknie miejsca na Ziemi, wylegnie na gwiazdy, nie jest wielkim nieporozumieniem? Czy to bezsensowne rozmnażanie się obchodzi kogoś oprócz samych ludzi? Konieczny jest wielki odsiew - świat zasłużył na ten kataklizm!

Ale teraz przyszło mu na myśl, że gdyby powódź zabrała jeszcze jedną ofiarę, mogłaby nią być Wera. Wiedział, że teoretycznie takich Wer są dziesiątki tysięcy, ale Richard Hillary znalazł tylko jedną. Ścisnął mocniej jej ramię.

Rozdział 36

Patrząc w bezdenne ciemności, Paul miał wrażenie, że okrągłe okno, na którym leży, jest górną szybą wielkiego akwarium, a gwiazdy i dwa małe półksiężyce - Ziemia i Wędrowiec - tajemniczymi morskimi światełkami, albo że okno jest szkiełkiem pod mikroskopem, a gwiazdy diamentowymi drobnoustrojami.

Usłyszał lekki szelest i cichy pisk - to Miau, pełznąca w stanie nieważkości między kwiatami, donosiła Tygryscę o czymś, co odkryła.

Siedząca obok Pawia Tygryska mówiła dalej:

- Nie należy sądzić, że tylko dlatego, iż ludzkość jest młoda, wszechświat także jest młody. Wprost przeciwnie, jest stary, bardzo stary. "Ciągle to jutro, jutro i znów jutro... od dnia do dnia... do ostatniej głoski czasokresu... opowieścią idioty"... tak!

Tobie się wydaje, że kosmos jest pusty, ale to nieprawda. Jest przepełniony. Wasz układ słoneczny to jeden z niewielu pierwotnych terenów, jakie zostały, niby mała działka porośnięta chwastami, przeoczone przez architektów, działka w samym centrum olbrzymiego starego miasta, które rozrosło się we wszystkie strony.

W galaktyce, w której powstał Wędrowiec, każde słońce jest tak gęsto otoczone planetami, że jego promienie nie przedostają się na zewnątrz; tworzą się slumsy kosmiczne, zatłoczone miasta-galaktyki. Dewizą naszych architektów, dumnych ze swojego dzieła, jest: "Tam, gdzie dociera choć promień słońca, budujemy planetę". Albo ustawiają pola tak, żeby zawrócić promienie słońca.

Dziesiątki tysięcy planet przy każdym słońcu, których pływy wywołują na sąsiednich planetach dziesiątki tysięcy zakłóceń - dlatego najważniejszym zadaniem naszych architektów, jest harmonizacja pływów. Planety krążą tak blisko siebie po tej samej orbicie, że wyglądają jak eliptyczny sznur pereł, w którym każda perła jest odrębnym światem. Widziałeś zapewne filigranowe koncentryczne kule rzeźbione w kości słoniowej przez Chińczyków? Jest ich tak wiele, że trzeba wyteńczyć wzrok, żeby znaleźć środek, i ma się wrażenie, że w rzeźbie zawarta jest cząstka nieskończoności. Tak właśnie wygląda większość układów słonecznych.

Powiem ci jeszcze coś, o czym nie wiesz tylko dlatego, że światło porusza się w tak żółwym tempie. Gdybyś żył miliard lat, przekonałbyś się, że i czasem galaktyki stają się coraz ciemniejsze i to nie dlatego, że gwiazdy gasną, ale dlatego, że właściciele gwiazd świadomie nie przepuszczają ich światła, tylko skrętnie gromadzą je dla siebie.

Prawie wszystkie planety, poza małą garstką, są sztuczne. Żeby je utworzyć, czerpano materię z niezliczonych miliardów wygasłych słońc, zimnych księżyców i planetarnych gigantów

gazowych - wasze piramidy egipskie pomnożone przez nieskończoność. Naturalne placety są taką samą rzadkością jak oryginalne myśli.

Wasza galaktyka, Droga Mleczna, nie stanowi wyjątku. Wielka ciemna chmura będąca zagadką dla waszych astronomów, powstała głównie w wyniku odcięcia światła słońc przez placety.

Drobnoustroje z równą niemal szybkością zapełniają staw, co kałużę z brudną wodą. Zajęce niemal tak prędko potrafią rozmnożyć się na całym kontynencie, jak na niewielkim polu. Inteligentne istoty mogą zaludnić wszechświat aż do krańców - do krańców, które są wszędzie równie szybko, jak osiągają dojrzałość na jednej planecie. Konstruktorzy statków kosmicznych równie prędko mogą zaludnić planety biliona słońc, co planety jednego słońca. Dziesięć trylionów galaktyk może się zarazić jedną myślą - wielka epidemia kosmiczna - równie prędko, jak pojedyncza planeta.

Inteligentne istoty mnożą się prędzej od zarazy. A nauką i technikę trudniej opanować niż raka. Na każdej niezakłóconej, naturalnej planecie życie toczy się wolno przez miliardy lat, aż nagle wszystko rozkwita; nasiona, które spadną gdziekolwiek, rosną niczym chwasty, pokonując rozległe czarne przestrzenie, a potem ich nasiona lecą dalej aż po krańce kosmosu.

Zetknięcie z innymi formami życia jest zawsze pasjonujące - jest wstrząsem, często zaskoczeniem. Ale wkrótce nazbyt prędko - powraca apatia.

Bрудna kałuża, w której wczoraj pływało kilka ameb, dziś aż wre życiem - staw również. Glony lśnią niczym drogocenne kamienie. Ale wkrótce stów staje się czarny. Te diamenty, które tam widzisz - Tygryska wskazała pazurem w stronę skupisk gwiazd - już nie świeca. Słońca, które wysyłały jaskrawe promienie, są teraz osłonięte. Tygryska odwróciła pyszczek od gwiazd na niebie i rzekła patrząc Paulowi w oczy:

- Wszechświat jest przepelniony, Paul. Inteligentne formy życia są wszędzie, ich planety przyciemniają blask gwiazd, ich architekci lekkomyślnie zużywają energię słoneczną na to, żeby stworzyć odpowiednie warunki dla mózgu - spalają materie, żeby otrzymać energię i wciąż budują nowe formy, nowe struktury, nowe umysły. Słowo - jeżeli tak nazwiemy umysł - zostaje rozpowszechnione i wkrótce nie pozostanie nic oprócz słowa. Zamienia w gigantyczne slumsy wszechświat, a wraz z nim rozległe przestrzenie i cudowne pustkowia i - czego tamci nie dostrzegają - umiera z nadmiaru szarych komórek, tak jak płytka słoneczna zatoka ginie od nadmiaru istot żywych.

Osiągnęliśmy nieśmiertelność. Umysł nie jest już niczym skrępowany. Twój świat, Paul, jest jedną z niewielu wysp śmierci w tym wielkim morzu wiecznego życia.

Przy podróżach w nadprzestrzeni i porozumiewaniu się pozazmysłowym krawędzie

wszechświata są bliżej siebie niż planety w waszym układzie słonecznym. Dalekie galaktyki są bardziej scentralizowane niż państwa na Ziemi, niż poszczególne stany w Stanach Zjednoczonych. Sprawami wszechświata zajmuje się demokratyczny rząd, który jest bardziej dobrotliwy, a jednocześnie bardziej okrutny niż którykolwiek z wymyślonych bogów.

Może wasz prymitywny obraz nieba, a szczególnie dwoisty do niego stosunek - niebo jest wspaniałym cudem i zarazem szczytem nudy - jest słusznym, intuicyjnym wyobrażeniem o naszym rządzie.

Dewizą rządu jest ład i bezpieczeństwo. Jest to rząd konserwatywny, kierowany przez najstarszych wiekiem, którzy wszędzie stanowią przeważającą większość, odkąd uzyskaliśmy nieśmiertelność. Są pracownicy, cierpliwi, sprawiedliwi, litościwi - ale tylko dla słabych! - i nieskończenie uparci. Same akta rządowe, zapisane na molekułach, zajmują powierzchnię sztucznych planet w dwóch skupiskach gwiazdnych. Głównym celem rządu jest pamiętać i zachować - ale tylko w pamięci! - wszystko, co się kiedykolwiek zdarzyło.

Każda rasa, która nie zagraża innym, nawet rasa o niskim poziomie inteligencji, może liczyć na poparcie rządu. Rząd jest przeciwny użytkowaniu energii na inne cele niż ochrona i bezpieczeństwo; sprzeciwia się badaniom nadprzestrzeni, a na podróże po niej zezwala tylko policji. Najbardziej boi się tego, że coś może uszkodzić albo w ogóle zniszczyć wszechświat, bo teraz, gdy wiemy, że nieskończoność i tereny niezbadane - pomijając już nadprzestrzeń - mogą nam zagrażać, wszystkich ogarnął lęk.

Ale skoro nawet nieśmiertelni muszą się rozmnażać, choćby w minimalnym stopniu, żeby utrzymać złudzenie, że wciąż jeszcze naprawdę żyją, rząd musi nieustannie szukać miejsca dla nowych istot. Wkrótce zagarnie wasz układ, Paul. Poglądy rządu na temat obcych, wolnych światów uległy zmianie. Przedtem takie światy traktowano jako osobliwe rezerwaty, uważano, że należy je chronić, dopóki ich rozwój nie osiągnie odpowiedniego pułapu. Ale teraz potrzebna jest ich powierzchnia, ich zasoby i energia ich słońc. Światy te mają być włączone do supercywilizacji kosmicznej. Za jakieś dwieście lat was też to czeka. Oczywiście obejdą się z wami pieczołowicie, troskliwie i dobrotliwie, ale na pewno nie będzie to proces powolny - gdy się już zacznie, nie minie pół wieku, a rząd zagarnie wszystkie wolne światy i włączy je do ogólnego układu.

Słowem, celem rządu kosmicznego jest ochrona inteligentnych form życia, dopóki kosmos nie wymrze. Był czas, kiedy myśleliśmy, że to się nigdy nie stanie, teraz jednak wiemy, że to nastąpi wtedy, gdy umysł osiągnie ostateczne granice, gdy cała istniejąca materia zostanie podporządkowana ochronie inteligentnych form życia, a proces entropii zostanie odwrócony o tyle, o ile jest to możliwe w naszym wszechświecie.

Oni sądzą, że czeka nas złoty wiek, my wiemy, że czeka nas śmierć.

Wędrowiec jest planetą wolną - jego mieszkańcy należą do młodszych ras, takich jak moja, która wywodzi się z samotnych myśliwych, bardziej obeznanych ze śmiercią i bardziej od bezpieczeństwa ceniących piękno i wolność; ras namiętych z sadystyczną żyłką albo chłodnych i obiektywnych - dla tych zdobywanie wiedzy jest ważniejsze od życia.

My wyżej stawiamy postęp od nieśmiertelności, przygodę od bezpieczeństwa. Ryzyko i niebezpieczeństwo to dla nas fraszka.

Chcemy częściej podróżować w czasie. Chcemy nie tylko zobaczyć przeszłość, ale również ją zmienić, wzbogacić, przywrócić do życia niezliczone rzesze umarłych, żyć w dziesięciu - nie, w stu teraźniejszościach - a nie tylko w jednej, cofnąć się do początków i wszystko budować od nowa.

Podróżując w czasie, chcielibyśmy też zbadać przyszłość nie po to, żeby się upewnić, czy rzeczywiście gaśnie wesoły ogień na kominku - dogorywająca cywilizacja na łożu śmierci - ale po to, żeby stworzyć nowy kosmos, w którym moglibyśmy żyć!

Chcemy dokładniej poznać mózg - tę pomarszczoną masę w naszych czaszkach, mieniącą się wszystkimi barwami tęczy. Chociaż telepatia i porozumiewanie się pozazmysłowe są u nas na porządku dziennym, wciąż nie wiemy, czy po drugiej stronie zbiorowych wewnętrznych ciemności istnieją inne światy, a jeżeli istnieją, to jak się do nich dostać. Na razie są to tylko nieśmiałe marzenia.

Zmienilibyśmy wszystko: badalibyśmy bezmiary ducha niczym nieznanne kontynenty, płynęli przez nie jak przez kosmos, starali się odkryć, czy nasze umysły, drobne tęczowe muszle, wszystkie spoczywają na brzegach jednego czarnego, burzliwego morza podświadomości. Może właśnie tam leżą niezdobyte światy. Chcemy też urządzeń, dzięki którym można by zamieniać myśli w czyny - ale nikt ich jeszcze nie wynalazł.

Najważniejsze jest to, że otworzylibyśmy nadprzestrzeń - nie tylko po to, żeby odbywać po niej krótkie podróże nadbrzeżne, żeglując na skraju niebezpiecznie falującej próżni i nigdy nie spuszczać z oka przyłądka własnego kosmosu... ale po to, żeby odważnie wypłynąć poza szelf wszechświata w nieznanne czarne, dalekie przestrzenie, w których szaleją groźne sztormy. Jest to właściwie zadanie dla galaktyk, nie dla jednej planety, czy nawet stu, ale jeżeli będziemy musieli, odważymy się na samotną podróż.

Jesteśmy pewni, że oprócz nas niezliczone ilości wszechświatów wędrują po wirach próżni nadprzestrzennej - miliard bilionów liści miotanych huraganem, miliard bilionów śnieżynek pędzonych wicherą. Sądzymy, że te wszechświaty różnią się od naszego, że podstawą ich konstrukcji są inne cząsteczki - albo nawet nie cząsteczki, lecz zmienne kontinuum. Planety bezświatne. Planety, na których światło porusza się tak wolno jak słowo mówione albo tak prędko

jak myśl. Planety, na których materię żywi się myślą, tak jak u nas mózg najwyraźniej żywi się molekułami.

Światy, w których nie ma murów między umysłami, i światy, w których mury są jeszcze mocniejsze niż u nas. Światy, w których myśl jest rzeczywistością, a każde zwierzę bogiem. Płynny wszechświat, gdzie planety są bańkami, i światy, które rozgałęziają się w czasie niczym olbrzymia winorośl.

Światy, w których zamiast migocących gwiazd występują krzyżujące się pajęczyny - kosmos pełen winorośli lub szos. Kosmos z substancji stałej, lecz bez grawitacji, światy mające mniej albo więcej wymiarów niż nasz, światy, którymi rządzą inne prawa fizyki i chemii - skala kosmosów, spektrum tworzenia.

Jeżeli nie znajdziemy żadnych światów w nadprzestrzeni, sami je tam zbudujemy: stworzymy monstrualną cząstką, która zrodzi nowy świat i wyłoni się z naszego - nawet gdyby miała go unicestwić - jak poczwarka z kokonu.

Takie są nasze główne cele. Jeżeli chodzi o inne sprawy - chcemy mieć powłokę, za którą można się ukryć. Nie chcemy, żeby ktoś kontrolował naszą planetę i nasze myśli. Chcemy tyle broni, ile nam będzie potrzeba. Żądamy prawa do prowadzenia wszystkich badań i utrzymywania ich w tajemnicy. Żadnej inspekcji i Chcemy podróżować naszą planetą, gdziekolwiek nam się spodoba, nawet jeżeli nie czeka na nas z góry wynajęta orbita. Jeżeli przyjdzie nam ochota, chcemy żyć między gwiazdami w zimnej, ciemnej dziczy, spalając wodór niczym trawę w prerii, albo w oceanicznych głębiach przestrzeni między samotnymi galaktykami. Podróżować w nadprzestrzeni, z której teraz wolno korzystać tylko policji i członkom rządu. Chcemy, żeby wolno nam było narażać życie i cierpieć, żeby wolno nam było postępować niemądrze, żeby wolno nam było umierać.

Takie plany są nienawistne dla rządu, dla którego jednakową wartość ma każda przerażona mysz, ranny wróbel i tygrys gorejący w gęstwinie nocy. Rząd chce, żeby przy każdym słońcu migotało niebieskie światelko komisariatu, żeby każdą planetę patrolował policjant, żeby wozy policyjne krążyły po międzygwiazdnych ciemnościach - gliny, wszędzie gliny, mączące jasne, czyste jak kryształ gwiazdy.

Tysiące lat temu rząd chciał ograniczyć wolność - nam, istotom wolnym, krnąbrnym i nieujarzmionym - ciągnęła Tygryska. - Przenieśliśmy się na jedną, wspólną planetę, zdobyliśmy uznanie i władzę, zachowaliśmy swoje tajemnice, żyliśmy po swojemu, zdawało nam się, że wszystko jest w porządku - aż tu nagle okazało się, że mieszkając razem, stanowimy łatwy i idealny cel dla policji.

Sto lat temu postawiono nas pod sąd. Wkrótce stało się jasna, że przegramy sprawę i, co za

tym idzie, rząd ograniczy naszą wolność, zabroni tajnych badań i podróży w nadprzestrzeni, nie pozwoli samodzielnie rozwiązywać problemów wszechświata.

Mieliśmy się poddać czy umrzeć? Uciekliśmy.

Od tej pory trwa nieustanny pościg. Psy gończe niebios wciąż są na naszym tropie: jesteśmy planetą prześladowaną przez inne planety. Żadne miejsce w kosmosie nie jest dla nas bezpieczne. Nie ma dla nas schronienia, została tylko nadprzestrzeń ze sztormami, których nie umiemy jeszcze poskromić - rzeczywistość to huragan.

Wyobraź sobie, że morze jest nadprzestrzenią, jego powierzchnia znanym nam wszechświatem, statki planetami, a Wędrowiec łodzią podwodną.

Wyływamy na powierzchnię przy pustym Słońcu, nie zabudowanym jeszcze wokół sztucznymi planetami. Kiedy zbliżają się nasi prześladowcy, musimy się zanurzyć. Czasem nie zdążymy w porę uciec i wtedy, zanim znikniemy w okrutnych ciemnościach próżni, musimy stoczyć bitwę. Zniszczyliśmy trzy słońca - znajdowały się w dalekich galaktykach - tylko po to, żeby ich zmylić! Może też zniszczyliśmy planetę - nie jestem pewna.

Czasem nasi bezlitośni prześladowcy ogłaszają rozejm i prowadzą rokowania, mając nadzieję, że przekonają nas . ich racje, którymi, niczym światłem lamp łukowych, przepojone jest kosmiczne więzienie, ale wkrótce znów wymierzają w nas rakiety i śmiertelne promienie.

Dwa razy stawialiśmy wszystko na jedną kartę, aby znaleźć inny kosmos - uciekliśmy w nadprzestrzeń i płynęliśmy na oślep, ale wichura szalejąca w nadprzestrzeni zagnała nas do tego samego wszechświata, z którego wypłynęliśmy - mieliśmy uczucie, że się przedzieramy przez zaklęty, kolczasty las wokół zamku albo bniemy przez tunel, który dziwnym trafem prowadzi do więzienia, z którego zaczęto go kopać.

Jesteśmy wielopiętrową planetą kosmiczną; niczym rycerze objeżdżamy wszechświat - a po wygiętych łukach nadprzestrzeni wciąż trwa nieustający pościg.

Staramy się nie odbiegać od swoich zasad, ale nie zawsze się nam to udaje. Niepotrzebnie wyrządziliśmy tyle złego na twojej planecie, Paul, tak mi się przynajmniej zdaje, ale pewna być nie mogę, bo jestem tylko służką na Wędrowcu. Powiem ci jedno, wolałabym, żebyśmy, zanim zginie przez nas choćby jeszcze jedna istota, zanurzyli się na zawsze w ciemnych falach nadprzestrzeni. Podobno za trzecim razem się tonie - oby tak było! Głos jej się nagle załamał i wybuchnęła:

- Och, Paul, chcemy bronić naszych pięknych ideałów, a wyrządzamy tylko krzywdę innym. Czy cię to dziwi, że wabi nas śmierć?

Tygryska umilkła. Po chwili głosem spokojnym, lecz zimnym, jak gdyby ponownie zamknęła się w sobie, rzekła:

- Powiedziałam już małpie wszystko. Jeżeli małpa chce, może się teraz uważać za

szlachetniejszą od kota.

Paul bardzo cicho wciągnął w płuca i wypuścił powietrze. Serce mu waliło. W innych warunkach może zakwestionowałby słowa Tygryski i starałby się wyjaśnić wątpliwości, ale teraz miał tylko przed oczami jej opowieść, jak gdyby wrytą w lśniących wokół gwiazdach, brylantowy scenariusz potwierdzający wszystko.

Kabina - to niesamowite orle gniazdo - tak bardzo przypominała senne widziadło lub, jak to się żartobliwie mówi, obraz oglądany "oczyma duszy", że Paul nie wiedział, czy to, co przeżywa, jest wytworem jego wyobraźni, czy też on sam naprawdę znajduje się w wielkim gwieździstym kosmosie: po raz pierwszy wyobraźnia i rzeczywistość były nierozdzielne.

Bez najmniejszego wysiłku odepchnął się ramionami od dużego, ciepłego okna i spojrzał na tę fantastyczną istotę, która kształtem bardziej niż kiedykolwiek przypominała szczupłą baletnicę w stroju kotki. Leżała na brzuchu z wyciągniętymi nogami i przednimi łapami podierała wysoko podniesioną głowę - przyglądając się jej z profilu, Paul ujrzał zadarty nos, wysokie czoło i spiczaste uszy. Koniuszek ogona powoli i miarowo poruszał się na tle gwiazd. Wyglądała jak smukły, czarny sfinks.

- Tygryska - powiedział cicho - kiedyś na mojej planecie żyła długowłosa małpa, która często bywała głodna i młodo umarła. Nazywała się Franz Schubert. Skomponowała setki małych pieśni, ballad i lamentów. Do jednej z nich słowa napisał Schmidt von Lubeck - małpa, o której dziś już nikt nie pamięta. Przyszło mi do głowy, że ta piosenka jest jakby napisana dla ciebie i twoich towarzyszy. W każdym razie tytuł jest na cześć twojej planety - Der Wanderer... Wędrowiec. Zaśpiewam ci ją... "Ich komme von Gebirge her..." - zaczął.

- Nie - powiedział urywając. - Zaśpiewam ci ją w moim języku, trochę zmieniając niektóre obrazy, żeby je lepiej dopasować do twojej sytuacji, ale ogólny nastrój piosenki i główne fragmenty pozostaną bez zmian.

Wszystkie słowa i frazy przypomniał sobie bez trudu.

Usłyszał ciche, szeleszczące zawrodo i melodię na kilka głosów, wysokość tonu była idealna; zdał sobie sprawę, że Tygryska odczytała z jego myśli akompaniament fortepianowy i teraz go odtwarza, uzyskując wrażenie smutku, którego nie zdołałby wywołać nawet fortepian.

Zaczął śpiewać przy szóstym takcie:

Przybywam smutny z gwiazd odległych

Z głębi wyjących dróg rozległych,

Wędruję dalej, zupełnie sam,

"Którędy droga?" - pytanie mam.

Przestrzeń jest mroczna, słońce szare,
Kwiaty pobladłe, życie stare,
Cichną rozmowy, narasta krzyk,
Gdziekolwiek jestem, nie zna mnie nikt
Gdzie jest ten kosmos wymarzony,
Kraina marzeń niespełnionych,
Wszędzie nadzieją rozkwitniony,
Gwiazd punkcikami umajony.
Ziemio dla braci mych gotowa,
Gdzie zmarli ożyją od nowa,
Tam, gdzie rozbrzmiewa bliska mowa,
Gdzie jesteś?
Wędruję dalej, zupełnie sam,
“Którędy droga?” - pytanie mam.
Straszną odpowiedź przestrzeń mi śle:
“Tam twoje miejsce, gdzie nie ma cię”.

Kiedy zaśpiewał ostatnie słowa przy akompaniamencie Tygryski, kotka westchnęła i powiedziała cicho:

- Talk, to o nas. Ta małpa Schubert musi mieć w sobie coś z kota. Schmidt również. Ty zresztą też, Paul...

Patrzył przez chwilę na jej smukłą postać rysującą się na tle gwiazd, po czym wyciągnął rękę i położył jej na ramieniu. Pod ciepłym, krótkim, puszystym futrem nie wyczuł żadnego napięcia, żadnej złości. Prawie nieświadomie - może futro samo dawało wskazówki jego palcom - zaczął ją delikatnie drapać w szyję, tak jakby drapał Miau.

Tygryska nie poruszyła się, choć Paulowi zdawało się, że czuje, jak kotka rozluźnia mięśnie. Dobięło go ciche, ledwo słyszalne mruczenie - jakby lekki szelest - i kotka odchyliła głowę, ocierając się uchem o jego rękę. Kiedy zaczął głaskać jej kark, kotka podniosła głowę i mruczając coraz głośniejsze przechylała ją z boku na bok. Następnie odsunęła się i przez ułamek sekundy Paul myślał, że każe mu przestać, ale uświadomił sobie, że chce, aby ją drapać pod brodą. Nagle jedwabisty palec spoczął mu na szyi i wolno zaczął przesuwając się po ciele - Paul zdał sobie sprawę, że Tygryska głaszcze go koniuszkiem ogona.

- Tygryska... - szepnął.

- Tak, Paul - powiedziała cichutko.

Odpychając się lekko łokciami i kolanami od ciepłego, przezroczystego okna, zbliżył się do niej i objął jej szczupłe, puszyste plecy - czuł, że kotka wciąż go głaszcze końcem ogona i że jej miękkie poduszeczki ze schowanymi pazurami delikatnie spoczywają na jego ramionach. Wtem usłyszał, jak Miau mruczy żałośnie.

- Jest zazdrosna - powiedziała Tygryska, śmiejąc się cicho i ocierając się policzkiem o policzek Paula. Paul poczuł, jak wąskim ostrym językiem lekko dotyka jego ucha i liże go po karku.

Wszystko, co dotąd robił, robił z powagą, jakby każdy ruch był częścią rytuału, który trzeba wykonać prawidłowo i spokojnie, ale teraz obejmując to cudowne stworzenie - Wenus w Futrze - zdał sobie sprawę, że jest podniecony. Różne obrazy przychodziły mu na myśl: poddał się nastrojowi, nie tracąc jednak panowania nad sobą. Obrazy napływały z dziwną systematycznością, jak wtedy, gdy Tygryska po raz pierwszy odczytywała jego myśli, tym razem jednak wędrowały przez jego umysł tak wolno, że mógł je dokładnie i szczegółowo obejrzeć. Przedstawiały one mężczyzn, kobiety i zwierzęta. Przedstawiały miłość erotyczną, gwałty, tortury i śmierć - ale Paul wiedział, że nawet tortury i śmierć mają tylko podkreślić intensywność zbliżenia, cudowne pogwałcenia wszystkich tajemnic ciała, pełnię kontaktu między dwiema istotami; obrazy miały bardziej jeszcze upiększyć zespolenie dwóch ciał. Widział na przemian obrazy i niezwykle symbole przypominające wspaniałe klejnoty i wzorzyste tkaniny lub pełne znaczenia barwne układy w kalejdoskopie. Po pewnym czasie symboli było więcej niż obrazów: tętniły jak wielkie bębny, drżały i wibrowały jak czynele; miał wrażenie, że otacza go wszechświat, że sam mknie we wszystkich kierunkach kosmosu, że na wznoszącej i opadającej fali, która pędzi wśród gwiazd w stronę gęstych ciemności, wędruje ku doskonałości.

Po pewnym czasie wypłynął z miękkiego, bezdenne go czarnego łoża, znów ujrzał gwiazdy i pochyloną nad sobą Tygryskę, a w świetle gwiazd zobaczył jej fioletowe kwiaty-tęczówki, brązowozielone policzki i rozchylone czerwone wargi beztrosko ukazujące lśniące białe kły. Tygryska recytowała:

Biedna mała małpko, dziś chora jesteś znów,
Przykrej rozmowy ton rozpałił twe czoło,
A może lew wyśniony przestraszył cię, mów.
Albo wąż przerażenia oplótł cię wkoło?
Ty kaszlesz, ty wzdychasz, dzwonią ząbki twoje,
Cóż za słowa mamrociesz w niespokojnym śnie?
Wojna, tortura, nienawiść, wściekłe boje.

Biedna mała małpko, chodź, przytulę cię.
Mądrzejsze od ciebie i starsze stworzenia
Też z braku nadziei ciężko chorowały,
Szukały Boga, klęły los i mury więzienia
I jak ty, mała małpko, kiedyś umierały.
Wiatr gałęziami kołysze, noc nastaje,
Spij, mała małpko, sen zapomnienie daje.

- Tygrysko, zacząłem pisać ten sonet kilka lat temu - zdziwił się sennie Paul. - Ale napisałem tylko trzy linijki. Czyżbyś...

- Nie - odparła szeptem. - Sam go dokończyłeś. Ja go tylko znalazłam, leżał w mroku twojego umysłu, ciśnięty w kąt. A teraz śpij, Paul, śpij...

Rozdział 37

Kiedy dojechali do skrzyżowania, to, co ujrzeli, sprawiło, że Hunter nie musiał podejmować decyzji, którą mają dalej jechać. Szosę do Mulholland tarasowały bowiem trzy zachlapanie błotem drogie wozy - ostatnie z wypuszczonych modeli. Pasażerowie wysiedli z nich przypuszczalnie po to, żeby naradzić się, w którą stronę skręcić. Mimo że byli też ochlapani błotem, sprawiali wrażenie ludzi bogatych - zapewne pochodzili z Malibu.

Czekanie, aż tamci zwolnią drogę, zajęłoby sporo czasu, a Hunter zdawał sobie sprawę, że nie mają ani chwili do stracenia, bo z każdą minutą nieubłaganie zmniejsza się odległość między nimi a rozwścieczoną grupą nastolatków, która, trąbiąc złowrogo, ściga ich z Doliny.

W samym środku łańcucha górskiego szosa ciągnęła się przez kilometr po prostym odcinku między czarnymi, osmalonymi szczytami. Corvetta i furgonetka były zaledwie w połowie tego odcinka, kiedy spoza ostatniego zakrętu wyłoniły się dwa jadące obok siebie zatłoczone wozy sportowe, a za nimi następne. Hunter lekko przyhamował i dał znak Hixonowi, żeby go wyprzedził. Hixon, pamiętając o poleceniu Huntera, nacisnął gaz i ruszył do przodu. Hunterowi mignęły przed oczami posępne twarze mężczyzn stojących z tyłu: Fulbyego, dziadka, Dodda, Wojtowicza i McHeatha, który kuczał trzymając jedyny karabin, jaki im został.

W wozie Huntera panowało pełne napięcia milczenie. Anna, która siedziała między kierowcą a Ramą Joan, przytuliła się do matki.

Hunterowi znów mignęły przed oczami twarze, tym razem twarze stojących przy eleganckich wozach bogaczy, którzy patrzyli ze zdziwieniem i wyrzutem, jakby chcieli powiedzieć: "co za brak wychowania, żeby przejechać nie skinąwszy nawet ręką - i to teraz, kiedy w obliczu katastrofy obowiązuje powszechna zyczliwość".

Hunter nie życzył im źle, ale miał jednak nadzieję, że odwrócą uwagę ścigającej ich grupy i opóźnią nieco szaleńczy pościg z Doliny. Kiedy usłyszał za sobą pisk hamulców i strzał, ściągnął usta w grymas, który po części wyrażał zadowolenie, a po części wyrzuty sumienia. Furgonetka Hixona znikła za zakrętem, pierwszym z serii ostrych zakrętów prowadzących pod górę, który Hunter zapamiętał z wczorajszej jazdy. Skrzywił się i zmrużył oczy przed zielonkawobiałym blaskiem zachodzącego słońca, po czym zaczął się rozglądać za charakterystycznym układem terenu, który również wczoraj zapamiętał. Ujrzał go przed następnym zakrętem: skupisko dużych głazów przy szosie. Zatrzymał się tuż za zakrętem i wyskoczył z samochodu.

- Daj pistolet! - krzyknął do Margo, chwycił broń i zaczął się wspinać po stromym, spalonym, czarnym zboczu, nad którym unosił się kwaśny zapach, aż wreszcie znalazł się za głazami. Wycelował i strzelił. W pierwszej chwili ogarnął go strach, że głazy się nie poruszą i że

ostatni ładunek pójdzie na marne, ale po kilku sekundach głązy obróciły się, zgrzytając i objając się o siebie potoczyły się ze zbocza, aż wreszcie rąbnęły o asfalt. Hunter zbiegł ze zbocza, żeby przez klęby unoszącego się pyłu sprawdzić, czy nie trzeba ich trochę przesunąć, ale okazało się, że droga jest szczelnie zatarasowana.

Z góry rozległy się pełne radości okrzyki; podniósł głowę i zobaczył furgonetkę na prostej drodze za czwartym zakrętem. Wrócił biegiem do samochodu, zanim jednak oddał Margo pistolet, rzucił okiem na podziałkę - zostało jeszcze trochę ładunku. Odjeżdżając, usłyszał pisk hamulców i gniewne krzyki.

- Oni nie będą mogli już tedy przejechać, prawda? - zapytała Anna.

- Nikt nie będzie mógł przejechać, kochanie - powiedziała jej Rama Joan.

- Miejmy nadzieję - wtrąciła ironicznie Margo, która siedziała z tyłu. - Jak ci poszło, Ross?

- Skały od zbocza do zbocza - odparł krótko. - Dwie z nich pewnie trzeba będzie usuwać dźwigiem.

- Ale mnie chodzi o tych miłych ludzi, których minęliśmy na skrzyżowaniu - dodała Anna.

- Moją własną szosę, tę, którą przyjechali! - burknął Hunter. - Poza tym, mogli przecież zawrócić i czym prędzej stąd się wynieść. A jeżeli zostali na miejscu, to tylko świadczy o ich głupocie!

Anna odsunęła się od niego i przytuliła do matki. Hunter wściekły był na siebie, że wyładował złość na Bogu ducha winnym dziecku. Brecht nigdy by się tak do Anny nie odezwał - pomyślał.

- Profesor Hunter postąpił jak najbardziej słusznie, Anno - poparła go stanowczo Wanda. - Mężczyzna musi przede wszystkim myśleć o bezpieczeństwie towarzyszących mu kobiet.

- Bogowie zawsze mieli kłopoty z magiczną bronią, kochanie - rzekła łagodnie do Anny Rama Joan. - Wiemy o tym z mitologii.

Hunter, wpatrując się piekącymi oczerni w krętą drogę, miał ochotę im powiedzieć, żeby przestały gadać, ale się w ostatniej chwili pohamował.

Minęło dobre dwadzieścia minut, zanim dogonili furgonetkę. Hixon zatrzymał się przy bocznej drodze.

- Jest tabliczka „Do Vandenbergu”! - zawołał, wskazując na znak, kiedy wóz Huntera zatrzymał się obok. - Zdaje mi się, że prowadzi no skróty przez góry. Skoro i tak jedziemy tam, żeby znaleźć Opperly'ego, myślę, że ta droga będzie lepsza, i znacznie krótsza niż szosa nadbrzeżna.

Hunter uniósł się z siedzenia. Boczna droga wyglądała całkiem dobrze, w każdym razie krótki odcinek przed nim pokryty był asfaltem tak jak droga, którą dotychczas jechali. Przez chwilę

nikt się nie odzywał.

Wtedy z południowego wschodu przemknął im nad głowami odgłos przejmujący, lecz cichy jak westchnienie. Mię istniał taki słownik, który by przełożył ten dźwięk na słowa wyjaśniające, że to właśnie trzy i pół godziny temu znikła powierzchnia Ziemi przesmyk Rivas, don Guillermo Walker oraz Jose i Miguel Araiza.

Hunter potrząsnął głową i rzekł donośnie:

- Nie, jedziemy dalej szosą przez góry Santa Monica.

Jechaliśmy nią wczoraj i wiemy, w jakim jest stanie - nie ma tam żadnych osypisk ani zatorów. Po nowej drodze nie wiemy, czego się spodziewać.

- Czyżby? - wtrącił Hixon. - Przedtem też nie chciałeś mnie słuchać, a potem jednak zatarasowałeś szosę głazami.

- Zgadza się - odparł niezbyt uprzejmie Hunter. Żadna inna odpowiedź nie przyszła mu na myśl.

- Poza tym, jak mi Dodd przypomniał, będzie przyływ - ciągnął dalej. - Musimy wziąć to pod uwagę jadąc szosą nadbrzeżną.

- Nic nam nie grozi, jeżeli dojedziemy tam przed zachodem słońca - powiedział Hunter. - Odpyły jest o piątą. To znaczy, jeżeli nic się od wczoraj nie zmieniło.

- Właśnie... jeżeli się nie zmieniło - wtrącił z przekąsem Hixon.

- Wszędzie nad morzem musimy się liczyć z pływami - rzekł Hunter. Stopniowo tracił panowanie nad sobą. - Wsiadamy i jedziemy - rozkazał. - Ja pojedę pierwszy.

Usiadł za kierownicą i ruszył szosą górską. Po chwili Margo powiedziała uspokajająco:

- Hixon jedzie za nami.

- Niechby tylko spróbował się odłączyć! - warknął Hunter.

Od czterdziestu godzin Wędrowiec powodowa! coraz większe i wyższe pływy nie tylko na morzach, ale również w atmosferze, w której wyzwał fale ciepła cztery razy większe od normalnych wywoływanych rozgrzaniem powietrza przez słońce. Poza tym wybuchy wulkanów i parowanie wody nad rozległymi terenami zalanyymi przyływem miały olbrzymi, nie spotykany dotąd wpływ na pogodę. W powietrzu tworzyły się wiry. Zrywały się burze. Na Morzu Karaibskim, Celehes, Sulu i Południowochińskim oraz na kilku innych bardziej zagrożonych obszarach siła wiatru wzmagala się jak nigdy dotychczas.

Transatlantyk atomowy "Prince Charles" minął port Cayenne i płynął śmiało na południowy wschód. Ciemne zarysy Cape d'Orange, odcinające się na tle zachodzącego, czerwonego słońca, były wskazówką dla załogi, że statek mija ujście rzeki Oyapock i zbliża się do

Amazonki. Kapitan Sithwise cztery razy przekazywał wiadomość kapitanom-powstańcom, błagając ich, żeby jak najdalej od płynęli od lądu i skierowali statek na południowy Atlantyk. Ci go jednak wyśmieli.

Wolf Loner płynął po wodach nie tkniętych jeszcze wiatrem Wędrowca i w szarzejącej mgle szukał zarysów Race Point lub Cape Ann, migoczącego nierównomiernie światła latarni Mota albo błyskającej dwukrotnie i regularnie co sześć sekund latarni Gravesa w przedporciu Bostonu. Wiedział, że zbliża się do kresu podróży, ale dziwiły go różne szczątki unoszące się na wodzie, nie spodziewał się bowiem, że jest aż tak blisko brzegu. Nie pozostało mu nic innego, tylko płynąć dalej, rozglądając się uważnie wokoło.

Barbara wzięła niewielki teleskop i wspięła się na dach unieruchomionego RollsRoycea, skąd miała lepszy widok na niski las mangrowy, ciągnący się po obu stronach wąskiej drogi, pokrytej wyrzuconymi przez fale wodorostami. Był już zmrok, jedyne światło dawał żółty odbłask po zachodzącym słońcu, który odbijał się w chmurach gnanych po niebie zimnym południowo-wschodnim wiatrem. W ciągu ostatnich dwudziestu minut pogoda zmieniła się raptownie.

Hester wychyliła się przez okno i głośnym szeptem powiedziała:

- Niech pani przestanie tupać, panno Barbaro, i pozwoli staremu KKK odpocząć. Biedak ledwo żyje.

Helena, przykucnąwszy obok samochodu, podawała Benjy'emu narzędzia - Murzyn leżał pod wozem usiłując wyciągnąć długi kawałek grubego drutu, który owinął się ciasno, zwój na zwoju, wokół osi tylnego lewego koła, co zauważyli dopiero wówczas, gdy koło się zablokowało.

Benjy wyczołgał się spod wozu i przykucnął obok Heleny; oparł głowę na rękach i oddychając ciężko, potrząsnął nią.

- Chyba wie dam rady - powiedział, - Nie mam nożyc, a ten drut jest cholernie mocny. Owinął się wokół koła ze dwieście razy.

Barbara, która stojąc na dachu lustrowała teren - starała się utrzymać równowagę na wietrze, nie zmieniając pozycji nóg - i tak uważała to za cud, że Benjy w ogóle zdołał uruchomić zalany wodą wóz, a potem przez całą godzinę prowadzić go po śliskiej, mokrej, niebezpiecznej drodze na północ, nim zaczęły się te nowe kłopoty.

- Postaraj się, Benjy - przynagliła go ostro Hester. - To jest najniżej położony teren, przez jaki przejeżdżaliśmy, a w razie następnej powodzi, nawet jak się wdrapiemy na te krzywe drzewka, nic z nas nie zostanie.

- Hester, naprawdę nie dam rady - odparł Benjy. - To robota co najmniej na dwie, trzy godziny.

- Słuchajcie! - zawołała nagle Barbara. - Taon dalej przy drodze, niecałe dwa kilometry stąd, widać na czubku drzewa biały trójkąt! Jesteśmy uratowani!

- I co nam przyjdzie z białego trójkąta, moje dziecko? - zapytała Hester.

- Benjy, czy mógłbyś skombinować jakieś nosze dla pana Ketteringa? - poprosiła Barbara. - Albo nieść go ze dwa kilometry?

- Czemu nie? - mruknął Murzyn. - To jedyne, czego dziś jeszcze nie robiłem.

Bagong Bung zanurzony po łydki w brudnym, cuchnącym rybami! szlamie zawzięcie kopał krótkim szpadlem. Co pewien czas odrzucał szpadel na bok i przebierał rękami muł, a ilekroć znalazł mały zabłocony przedmiot, chował go nie oglądając do płóciennego worka i znów zabierał się do kopania.

Na jego nogach widniały pręgi pozostawione przez meduzy, lewą rękę miał spuchniętą, ponieważ ugryzł go jakiś głowonóg, nie zwracał jednak uwagi na ból, choć od czasu do czasu poświęcał chwilę na to, żeby bezlitośnie zmiażdżyć szpadlem groźnie wyglądającego robaka albo odepchnąć zielonego kraba, który przypełzał za blisko.

Kopał prawie na samym środku spiczastego rombu trzydziestometrowej długości i sześciometrowej szerokości, którego granice wyznaczały wystające gdzieś czarne, zgniłe deski, porośnięte muszlami i koralami. Może nie był to wrak "Lobo de Oro", ale z (pewnością były to szczątki jakiegoś starego statku.

Niecałe dwadzieścia metrów dalej Cobber-Hume stał pochylony na klapie od wjazdu z "Machan Lumpur" i energicznie pracował, usiłując pompką rowerową napompować jasnopomarańczową łódź pontonową, która dopiero w jednej czwartej napełniona była powietrzem. Obok leżały dwa pomarańczowe zbiorniki z gazem, które powinny były napełnić ponton, ale okazały się zwietrzałe.

Dwadzieścia metrów od Cobber-Hume'a leżał płasko na boku "Machan Lumpur", ukazując żałośnie pordezewiały, pokryty wodorostami kadłub.

Słońce, które wzeszło niedawno, co jakiś czas rzucało na osuszoną przez odpływ Zatokę Tonkińską groteskowo wydłużone cienie dwóch mężczyzn i niewielkiego parowca i oświetlało znikającego na zachodzie Wędrowca, którego tarcza przedstawiała właśnie głowę byka - besar sapi, czyli "wielką krowę", jak to obrazowo sformułował Bagong Bung.

Pierzaste chmury pędziły na północ z niesamowitą szybkością, gnane wiatrem, który świstał, uderzając o przewróconego Tygrysa Błota. Nagły poryw zaskoczył Cobber-Humea - mężczyzna zachwiał się i pośliznął na chybotałej klapie.

Bagong Bung przerwał kopanie, wsparł się łokciami na kolanach i z trudem chwycił

powietrze.

- Lekas, lekas! - powiedział po chwili do siebie z nagance w głosie i znów zabrał się do kopania. Wyciągnął szpadlem zżarty przez wodę kawał kutego żelaza, który niegdyś mógł być narożnikiem skrzyni, i to kazało mu podwoić wysiłki.

- Przestań szukać skarbów, sobat, przynieś ze statku trochę żarcia i świeżej wody - zawołał Cobber-Hume - albo pomóż mi napompować ponton! Cholera by to wzięła! Wkrótce nadejdzie ogromny przypływ - wiatr go przyspiesza - a wtedy nie pomogą nam żadne złote wilki oni nawet platynowy dingo.

Ale jedyną odpowiedzią Bagonga Bunga było:

- Lekas, lekas!

Mały Malajczyk kopał i przeszukiwał piasek, wysoki Australijczyk pompował, a tymczasem gęste chmury gromadziły się między Ziemią i niedawno weszłym Wędrowcem, wiatr zaś gwizdał coraz głośniej.

- O, tam! - zawołała Barbara, przekrzykując wycie wiatru.

Ta sama błyskawica, której blask rozjaśnił górne gałęzie drzew mangrowych kołyszących się na tle ciemnych, pędzących chmur, oświetliła również biały trójkąt dziobu żagłówki, która utknęła co najmniej pięć metrów nad ziemią w konarach dwóch rosnących blisko siebie drzew.

Barbara przełożyła ciężki termos do lewej ręki, w prawą wzięła dużą latarkę, zapaliła ją i podeszła do drzew, nad którymi sterczał dziób łodzi. Zobaczyła kil wgnieciony między niższe gałęzie.

Benjy położył na szosie owiniętego kocem KKK.

Hester i Helena postawiły torby i stroskane kucnęły przy starcu.

Benjy, zasapany, podszedł do Barbary.

- Niech pani... oświetli kadłub - powiedział z wysiłkiem.

Przedarli się przez niskie podszybie i Barbara skierowała latarkę wpierw na jedną stronę kilu, potem na drugą. Odczytała nazwę łodzi: "Albatros".

- Dziur nie widać - stwierdził po chwili Benjy. - Ale pewnie ma złamany maszt, bobyśmy go wcześniej zauważyli. Pewnie fale ją tu przyniosły. Nie wiem, czy nie za mocno siedzi między drzewami, ale chyba nie. Mogę się wspiąć po gałęziach, a was wciągnąć tym sznurem - dotknął ręką zwoju zawieszzonego na szyi.

Kiedy wiatr trochę się uspokoił, Benjy złożył ręce w trąbkę i zawołał:

- Hej tam! Jest kto na pokładzie? Wiatr znów zaczął wyć.

- Chyba słyszę zawodzenie. Inne od wiatru - rzekł Benjy.

- Ja też - powiedziała Barbara, dzwoniąc zębami. Mówiła sobie, że to tylko ,z zimna. Skierowała latarkę do góry.

- O mój Boże! - zawołała.

Promień latarki oświetlił wychyloną przez burtę białą wykrzywioną twarzyczkę z szeroko otwartymi ustami.

- To dziecko! - krzyknął Benjy.

- Benjy, w razie czego łap je - rozkazała mu Barbara.

- Ależ to jeszcze maleństwo! - zawołała Helena, która do nich podeszła. Pomachała ręką do małej, zapłakanej twarzyczki. - Siedź tam, malutki. Nie wypadnij. Zaraz do ciebie przyjdziemy.

Sally i Jake zmrużyli oczy i cofnęli się przed silnym strumieniem powietrza z wielkich wirników, który targał im ubranie i rozwiewał na wszystkie strony płomień suchego paliwa rozpalony przez nich w misce, jako sygnał SOS.

Na zewnątrz panował zmrok, powietrze jednak było rześkie, a złocistofioletowe promienie wschodzącego Wędrowca z pyskiem dinozaura na tarczy migotały na czarnych falach, które niemal sięgały tarasu, czasem go nawet zalewając, mimo że podmuch obracających się wirników spychał je w przeciwną stronę.

Duży helikopter zasłaniał szare niebo nad głowami, a śmigła rysowały w powietrzu ciemne koła.

Z helikoptera spuszczone białą sznurową drabinkę i donośny głos zawołał:

- Mogę zabrać tylko jedną osobę...

Jake chwycił się drabinki jedną ręką, drugą rękę wyciągnął po Sally, ale kiedy dziewczyna zrobiła krok naprzód, potrafiła stojącą pomiędzy nimi miskę, w której rozpalili ogień - gorące paliwo zasyczało przy zetknięciu z wodą i buchnęło wielkim oślepiającym płomieniem, który zmusił Sally do cofnięcia się. Płomień zaraz zgasł, ale drabina ciągnęła już Jake'a do góry. Jake odwrócił się i obiema - rękami chwycił się najniższego szczebla. Nogi jego dotknęły tarasu. W następnej chwili puścił drabinkę i upadł obok balustrady, przy której kłębiły się niewielkie fale.

Helikopter zniżył się gwałtownie. Fale uciekały od śmigieł, które prawie ich dotykały. Drabinka spadła z helikoptera i teraz pływała po wodzie niczym szkielet olbrzymiej stonogi.

Helikopter wzbił się w górę i nie czekając odleciał na północ.

Jake z trudem wstał i spojrzał na znikające światelka.

Sally stanęła za nim.

- Dlaczego Skoczyłeś, Jake?

- Batem się, że połamię nogi o balustradę - powiedział z niesmakiem. - To było silniejsze

ode mnie.

Dziewczyna przywarła do niego.

Rozdział 38

Kiedy Corvette powoli zjeżdżała z przedostatniej góry, zbliżając się do szosy nadbrzeżnej, szmaragdowe słońce zachodzące nad horyzontem wciąż jeszcze świeciło dość jasno, aby widać było plażę - zarówno starą plażę, jak i tę nową, która ciągnęła się chyba ze dwa kilometry, aż do linii spokojnego morza. Hunter wyszczerzył zęby w uśmiechu, nie zwracając uwagi na niesamowite, zabarwione na zielono twarze jadących z nim kobiet. Chciał odwrócić się do Hixona i jak dziecko krzyknąć:

- A nie mówiłem! Miałem rację, że będzie wielki odpływ. Spójrz tylko przed siebie!

- Patrz, mamusiu - odezwała się Anna. - Na drodze rośnie winorośl.

Hunter wiedział, że to nie może być winorośl, ale na pewno była to jakaś roślina, może gałąź oderwana z drzewa przez wczorajszą wicherę i przywiana aż tutaj. Kiedy przez nią przejeżdżali, rozległ się cichy trzask. Samochód zarzuciło, Hunter jednak wyprowadził go z poślizgu i lekko przyhamował. Zrobił to niemal odruchowo, bo jak wszyscy pozostali patrzył oniemiały na odsłonięte dno morskie. Doszedł do wniosku, że źle ocenił odległość - dwa kilometry to stanowczo za mało. Z początku widok plaży go zdziwił, potem zafascynował, wreszcie napelnił lękiem.

Ponieważ zjeżdżali z góry, mieli wrażenie, że słońce zachodzi prędzej niż zwykle. Mimo że morze było daleko, czuć było zapach wody i zdechłych ryb. Wieczór był bezwietrzny i gdyby nie warkot dwóch silników, panowałyby idealna cisza. Hunter spostrzegł, że na szosie nadbrzeżnej nie ma żadnych pojazdów, i po chwili zdał sobie sprawę, iż wciąż żywi niedorzeczną nadzieję, że je spotka.

Zjeżdżali z ostatniego wzgórza. Samochód znów wpadł w niewielki poślizg i tym razem Hunter wrzucił niższy bieg.

- Nie pamiętam tego zniszczonego domu - powiedziała z namysłem Rama Joan.

- A ja nie pamiętam tej starej łodzi na polu - dodała z tyłu Margo.

Dobiegł ich nagle pisk.

- Spójrzcie na te białe ptaki, które dziobią coś na wzgórzu! - zawołała głośno Idą. - To chyba mewy!

- Jeszcze jedna winorośl - poinformowała ich Anna. - Nie, dwie. O, i ryba.

W tym momencie Huntera ogarnęło przerażenie, krajobraz zamienił się w koszmar, choć przez chwilę mężczyzna sam niezbyt wiedział dlaczego - jego umysł przestał funkcjonować, jakby nie chciał przyjąć do wiadomości oczywistego faktu. Z tyłu Hixon naciskał na klakson. Czy ten głupiec chce wyprzedzać? Raz - dwa - trzy - cztery. Cztery klaksony coś oznaczały, ale Hunter nie

mógł sobie przypomnieć co, bo wreszcie zdał sobie sprawę, na czym polega ów koszmar. Miał wrażenie, że jada pod wodą: wszystko się zgadzało - cisza, ponure zielone światło, czarna droga, która stopniowo, prawie niedostrzegalnie zamienia się w gładką, śliską, pokrytą szlamem pochyłość, odór ryb („O, i ryba!”), pęcherzyki wodorostów („winorośli”) pękające z trzaskiem pod ciężarem kół...

“Na cztery klaksony zatrzymujemy się” - przypomniał sobie wreszcie słowa Brechta. Natychmiast, choć bardzo ostrożnie nacisnął hamulec. Z początku samochód prawie wcale nie zwolnił. Potem, obracając się w koło, mimo że Hunter wciąż panował nad kierownicą, stanął - stanął, ponieważ koła pchały przed sobą zwały mułu, który pokrywał szosę gładką warstwą grubości trzech albo i więcej centymetrów.

Hunter miał teraz przed oczami drogę, którą przybyli, po prostu dlatego, że samochód odwrócony był o sto osiemdziesiąt stopni; dwadzieścia metrów przed sobą widział furgonetkę, zieloną w blasku ostatnich już promieni zachodzącego słońca: Oparte na kierownicy ręce trzęsły mu się, serce waliło jak młotem.

Wreszcie Rama Joan ujęła w słowa przerażający, lecz oczywisty fakt.

- Chyba od pięciuset metrów jedziemy po terenie zalanym podczas przyływu.

Nagle Hunter zdał sobie sprawę z tego, co powoduje drżenie mięśni i mocne bicie serca - i powoli zaczął się uspokajać: była to świadomość, że niecałe sześć godzin temu woda morska osiągając wysokość kilku, a może nawet kilkunastu metrów, zalała szosę, na której się obecnie znajdują, a potem cofnęła się, pozostawiając po sobie faunę morską i odkryte dno; że za sześć godzin znów nastąpi przyływ; świadomość, że w czasie odpływu woda córa się pod szelfy kontynentalne, a podczas przyływu pędzi naprzód, zatapiając podnóża gór.

Pomyślał, że kobiety przyjmują to wszystko z niepojętym spokojem. Wydawałoby mu się bardziej naturalne, gdyby krzyczały.

Hixon, Dodd, Wojtowicz i McHeoth wysiedli z furgonetki i szli w ich kierunku. Wyglądali dziwnie - poruszali się na sztywno wyprostowanych nogach, łokcie mieli odchylone od ciała. No tak - pomyślał Hunter - droga jest zabłocona i na pewno bardzo śliska.

Hixon i Dodd zatrzymali się przy nim, pozostali dwaj mężczyźni poszli dalej.

- To... - zaczął Dodd patrząc na morze, ale najwidoczniej zabrakło mu słów.

Znikł ostatni rąbek zielonego słońca, ale niebo nadal było zielone - na zachodzie jasne niczym przezroczyste . fale, na wschodzie ciemne jak las.

Hunter poczuł miarowe pulsowanie. Zdał sobie sprawę, że silnik wozu wciąż pracuje. Przekręcił kluczyk w stacyjce.

Dopiero wtedy uświadomił sobie, że wszyscy są tak samo oszołomieni jak on.

Po kilku minutach zaczęli wracać do równowagi. Prawie wysiedli już z samochodów i stali w błocie.

Wojtowicz i McHeath wrócili pod górę. Harry miał spodnie mokre i brudne, a na butach wielkie grudy błota.

- Nie da rady tędy przejechać - oznajmił wesoło. - Warstwa szlamu jest coraz grubsza.

Wojtowicz skinął energicznie głową.

- Harry poszedł znacznie dalej niż ja - rzekł. - I tylko spójrzcie na niego.

- To wszystko woda wyrzuciła zaledwie podczas trzech przypiływów - powiedział Dodd i z niedowierzaniem potrząsnął głową. - Niesamowite.

- Nie mamy wyjścia - stwierdził Hunter. - Musimy wracać i jechać drogą, przy której stała tabliczka "Do Vandenbergu". Miałaś rację - dodał patrząc na Hixona.

Ten skinął głową. Spojrzał na zanurzone w błocie koła Corvetty.

- Chyba uda mi się was wyciągnąć - rzekł. - Mam linę holowniczą. A przy furgonetce warstwa błota jest znacznie mniejsza i błoto jest prawie suche. Koła nie powinny buksować. A w razie czego mam łańcuchy.

- Odpukać, ale jeżeli zawrócimy - rzekł Dodd - istnieje niebezpieczeństwo, że natrafimy na chuliganów z Doliny.

Hixon wzruszył ramionami.

- Musimy zaryzykować. Została nam tylko ta jedna droga. Miejmy nadzieję, że zator skalny Rossa ich powstrzymał i skręcili do Malibu. Przyniosę linę.

Do Vandenbergu jest tylko sześć kilometrów - powiedziała Margo do Huntera. - Nie moglibyśmy pójść pieszo? Nawet gdybyśmy mieli brnąć przez błoto, zajęłoby to najwyżej kilka godzin.

- Nie pleć głupstw - szepnął chrapliwie Hunter. - Za kilka godzin szosa będzie pod wodą. Nawet w tym miejscu, gdzie stoimy, woda będzie sięgać dwudziestu metrów albo i więcej.

- Nie pomyślałam - westchnęła zmęczona. - Szkoda, że... - zaczęła, ale nie dokończyła.

- Nie bawi cię już samodzielność i ta wspaniała nowa rzeczywistość? - spytał sarkastycznie Hunter.

- To prawda, Ross - przyznała. - Już mnie to wcale nie bawi.

- Gdybyśmy szli pieszo - wtrącił Dodd - musielibyśmy nieść Hanksa. Z nim jest coraz gorzej, Ross. Dałem mu tyle barbituranów, ile uważałem za bezpieczne. Zasnął, kiedy stanęliśmy, ale gdy tylko ruszymy, pewnie znów się obudzi. Bardzo cierpi.

Dziadek, kuśtykając, zbliżył się do nich.

- Proszę pana - powiedział do Huntera - ja już dłużej nie wytrzymam w tej furgonetce.

Kości nie mogę rozprostować.

Hunter miał już na końcu języka ciętą odpowiedź, ale Ida odezwała się pierwsza:

- Mogę się z panem zamienić. Wy, mężczyźni, nie umiecie się opiekować chorym, a zresztą to moje zadanie.

Hixon rzucił im koniec liny.

- Przymocuj ją gdzieś z przodu - polecił Hunterowi. - Poradzisz sobie?

- Ja to zrobię - rzekł Wojtowicz, chwytając linę.

- Chyba kończy się wam benzyna - zauważył Dodd.

- Tak, proszę pana - odpowiedziała mu Anna, która stała przy Ramie Joan. - Obserwowałam strzałkę. Była na zerze.

- Zaraz przyniosę zapasowy kanister - rzekł.

Hunter skinął głową. Był wściekły, a jednocześnie bezradny. Wszyscy przejmowali sprawy we własne ręce. Brecht w podobnych okolicznościach powiedziałby coś śmiesznego, ale on nie był Brechtem. Spojrzał na Margo wpatrzoną w odległe morze i poczuł gniewne pożądanie.

Sally i Jake owinęli się w koce i dla większego bezpieczeństwa wsparli łokciami o niską krawędź dachu. Niecały metr pod nimi drobne fale lśniły w świetle Wędrowca, którego tarcza wyglądała teraz jak ucho igły. Jake nadał własne nazwy różnym obliczom planety i tak: "zwinionego węża" na tarczy nazywał "szponiastą łapą", a "pęknięte jajo" - "plackiem niebiańskim".

- A myśmy myśleli, że uda nam się o tym napisać sztukę - westchnęła cicho Sally.

- Tak - odparł Jake. - Fantastyczny spektakl. Ale wtedy siedzieliśmy w mieszkaniu.

Sally spojrzała na czarną wodę nad Manhattanem i na kilka nielicznych już, pojedynczych wieżyc wystających gdzieniegdzie znad wody.

- Spójrz, w niektórych oknach pali się jeszcze światło - powiedziała.

- Pewno na strychu mają własne generatory - szepnął Jake. - Albo baterie.

- Ciekawa jestem, co to za budynek. Simger Building czy Irwing Trust?

- Co za różnica?

- Chcę wszystko dokładnie zapamiętać... a jeżeli to już koniec, to przynajmniej wiedzieć teraz.

- Daj spokój, Sally. Spójrz, mam Napoleona. Chcesz łyk?

- Miły jesteś - powiedziała, dotykając lekko jego zimnej ręki. Sama miała rękę niewiele cieplejszą. Po chwili zaczęła śpiewać cichutko, jakby się bała, że może przestraszyć wznoszące się coraz wyżej fale:

Jestem dziewczyną w Arce Noego,
Tyś mym rozbitków królem, no cóż.
Nasza miłość jest mniejsza od ziarenka maku.
Od włoska norki czy kolca na krzaku.
Zostałeś jednak ze mną i dałeś mi koniaku,
Kochamy się, no i już.

Richard Hillary i Wera Carlisle leżeli na świeżym sianie w pewnej odległości od siebie - siano wzięli z niewielkiego stogu, który stał na wysoko położonych terenach Malvern Hills. Wczoraj była słoma - myślał Richard, nie mogąc zasnąć - a dzisiaj jest siano. Stoma, sucha, baz nasion - jak śmierć. Siano, kwaśno-słodkie - jak życie.

Z zachodu spoglądał na nich Wędrowiec, którego tarcza znów przedstawiała rozdęty X. Planeta stała się już tak dobrze im znana jak tarcza zegara. Mniej więcej godzinę temu Wera powiedziała:

- Patrz, kwadrans po D.

Wieczór nie był chłodny. Z południowego wschodu wiał ciepły wiatr - wiatr dziwny, niezwykły, pobudzający.

Zdawałoby się, że widok ogromnego wału wodnego z Severn zalewającego dolinę i jego ryk podobny do grzmotów przy otwarciu ósmej pieczęci w Apokalipsie może zupełnie przytępić człowiekowi zmysły. Ale jak Richard się właśnie przekonał - zmysły działają na zupełnie innej zasadzie. Najbardziej nawet niesamowite zjawiska wyostwiają je i pobudzają do działania.

A może byli po prostu tak obolali i zmęczeni trudami podróży, że nie mogli zasnąć.

W drodze Wera opowiedziała Richardowi o sobie. Podczas drugiego przypływu uratowano ją z dachu londyńskiego biurowca, w którym pracowała w księgowości jako maszynistka i kiedy Richard maszerował po błotnistej równinie, podwożony od czasu do czasu przygodnymi samochodami, ona siedziała w niewielkiej motorówce, która płynęła po zalanych terenach w stronę doliny Severn; jednakże koło Deerhurst wał wodny roztrzaskał łódź i, jak podejrzewała, z całej załogi uratowała się tylko ona jedna.

Nieco później Richard poprosił ją, żeby opowiedziała mu to wszystko bardziej szczegółowo, ale Wera odmówiła, tłumacząc się, że jest zbyt zmęczona. Przez pewien czas słuchała zakłóceń w radiu.

- Wyrzuć to - poprosił.

Nie usłuchała, ale radio wyłączyła. A teraz leżąc na Sianie powtarzała:

- Nie zasnę, już nigdy nie zasnę. W głowie mi wszystko wiruje i wiruje...

Richard przekręcił się, objął ją delikatnie w pól, pochylił się nad nią., ale nagle się zawahał.

- No, na co czekasz? - spytała, patrząc na niego z dziwnie gorzkim uśmiechem. - A może masz proszki nasenne?

Zastanawiał się przez chwilę, po czym odparł uroczystym tonem:

- Nawet gdybym miał, wolałbym ciebie.

Wera parsknęła śmiechem.

- Jesteś taki poważny - powiedziała.

Przytulił ją do siebie i pocałował. Leżała sztywno i bez ruchu.

- Wera - szepnął. Potem dodał obejmując ją z determinacją: - Pieszczotliwie będę do ciebie mówił Weronal.

Znów parsknęła śmiechem - Richard pomyślał, że śmieje się z mego, nie z jego dowcipu - ale ciało dziewczyny stało się mniej sztywne. Nagle wbiła mu palce w plecy.

- Na co czekasz? - szepnęła mu do ucha. - Jestem doskonałym środkiem nasennym ka.

Barbara była z początku niezadowolona, że jedyna kajuta na „Albatrosie” jest niska i wąska, powoli jednak zaczęła doceniać jej zalety, ponieważ za każdym razem, gdy łódź się zakołysała albo mocniej przechyliła na bok, można się było czegoś uchwycić. Czuła się pewniej pod tym lekko łukowatym, niskim dachem, szczególnie wtedy, gdy zalewała go wzburzona gniewna fala.

W kajucie panowały egipskie ciemności i tylko od czasu do czasu, kiedy na przykład Barbara włączała latarkę lub gdy przez cztery małe iluminatory wpadał blask błyskawicy, w środku było trochę widniej.

Stary KKK leżał przywiązany kocem do niewielkiej koi, przy nim siedziała Hester, trzymając na ręce znalezione dziecko; Helena, której zbierało się na wymioty, pojękując wyciągnęła się na drugiej koi, Barbara zaś usiadła w nogach łóżka naprzeciw Hester. Co pewien czas wkładała rękę do otworu w podłodze, sprawdzając, czy nie przecieka poszycie. Jak dotąd wszystko było w porządku.

Woda zalałaby „Albatrosa”, gdyby pędząca fala nie uwolniła go ze splotu czarnych gałęzi drzew mangrowych. Potem wysokie drzewo omal nie wywróciło żaglówki. Jednakże podróż była całkiem przyjemna, dopóki nie rozszalały się olbrzymie fale, które zmusiły wszystkich oprócz Benjy’ego do udania się pod pokład.

Po dłuższym milczeniu - gdy słyhać było tylko płacz dziecka, skrzypienie desek, plusie fal i wycie wiatru - Barbara zapytała:

- Jak się czuje pan Kettering, Hester?

- Umarł przed chwilą, panno Barbaro - rzekła Murzynka. - Cicho, malutki, niedawno dałam ci mleka z puszki.

Przez moment Barbara myślała o tym, co jej powiedziała Hester. po czym znów zwróciła się do Murzynki.

- Owińmy go w coś i połóżmy tam przy ścianie, akurat wystarczy miejsca. Wtedy ty będziesz mogła się położyć na koi.

- Nie, panno Barbaro - sprzeciwiła się Hester. - Nie chcę, żeby staremu KKK znów pękła kość biodrowa czy stało się co innego. Teraz jest w dobrym stanie, tyle że nie żyje. I jeżeli będzie leżał na koi, nic mu się więcej nie stanie. Będziemy mogli dowieść, że dbaliśmy o niego najlepiej, jak mogliśmy.

- O Boże! Trup w kajucie! - zawołała Helena, podrywając się z koi. - Uciekam stąd!

- Kładź się, idiotko! - rozkazała Hester. - Pani ją przytrzyma, panno Barbaro.

Nie było to jednak konieczne, Helenę bowiem znów chwyciły mdłości.

Chwile później fale miotające łodzią stały się słabsze Woda przestała zalewać dach kajuty.

- Zaniósę Benjy'emu kawy - powiedziała Barbara.

- Niech pani tam nie chodzi - rzekła Hester.

- Właśnie, że pójdę.

Kiedy ostrożnie otworzyła malutką i klapę z tyłu kajuty i wysunęła głowę, pierwszą rzeczą, jaką ujrzała, był Benjy, który klęczał w szerokim rozkroku przy sterze. Chmury rozstały się, tworząc wąską szparę, przez którą świecił Wędrowiec z tarczą przedstawiającą głowę byka.

Barbara wyczołgała się z kajuty. Od strony dziobu dął wiatr, nie był jednak zbyt silny, toteż dziewczyna zamknęła za sobą klapę i podpełzła do Benjy'ego.

Benjy napił się kawy z małego termosu, który przyniosła, i podziękował jej skinieniem głowy.

Spojrzała za siebie na niska zrębnice kokpitu. W ostatnich znikających za chmurami promieniach Wędrowca widać było tylko ogromne fale.

- Myślałam, że woda się uspokoiła! - zawołała do Benjy'ego, usiłując przekrzyczeć wycie wiatru.

Benjy wskazał głową dziób żaglówki.

- Znalazłem materac! - krzyknął. - Przymocowałem go liną do dziobu i wrzuciłem do wody! Dzięki temu łódź jest ciągle zwrócona dziobem do wiatru i fali.

Barbara przypomniała sobie fachową nazwę takiego urządzenia: dryfkotwa.

- Jak sądzisz, Benjy, gdzie jesteśmy? - zapytała.

Śmiech Benjy'ego zagłuszyło wycie wiatru.

- Nie wiem, panno Barbaro, może na Atlantyku, może w Zatoce Meksykańskiej, nie mam pojęcia! Ale w każdym razie jesteśmy jeszcze na powierzchni.

Sally i Jake zsunęli się z dachu. Wciąż dygotali z zimna. Fale za balustradą opadały tak szybko, że było to widać gołym okiem.

Sally zajrzała do salonu oświetlonego blaskiem Wędrowca, którego tarcza przedstawiała teraz pysk.

- Co za bałagan - powiedziała do Jake'a. - Wszystkie meble przewracane. Fortepian leży do góry nogami. Czarny dywan jest pofałdowany, a kotary doszczętnie przemoczone - przypomina to kostnicę, przez którą przeszła burza. Poszukajmy jakichś desek czy świec, żeby rozpaścić ogień. Jest mi okropnie zimno.

Rozdział 39

Symbol in-jang ukazał się na tarczy Wędrowca po raz dziewiąty. Już dwa dni i dwie noce Wędrowiec dręczył Ziemię, powodując pożary, powodzie, wstrząsy, a teraz burze. Bagong Bung odrzucił szpadel, chwycił zabłocony wór i skoczył na pomarańczowy ponton, który pędził na spienionej fali. Cobber-Hume przytrzymał go za ramię. Czterej kapitanowie atomowca "Prince Charles", przerażeni wichurą, która wyjął niczym dziesięć tysięcy niewidocznych samolotów nadszła ze wschodu, i wysokimi falami, które jak czarne formacje grenadierów napływały gnane wichrem, ze względu na bezpieczeństwo skierowali wielki transatlantyk do jednego z wielu ujść Amazonki. Mimo dryfotwy fale znów zaczęły zalewać "Albatrosa", ale Barbara nie chciała zejść pod pokład. Od czasu do czasu zimne podmuchy wiatru marszczyły wodę w niewielkich kałużach na tarasie, toteż Sally i Jake ukryli się w zalanym wodą salonie. Na jachcie "Wytrzymały" Wolf Loner ujrzał w świetle latarni zawieszanej na szczycie masztu dwa ciała unoszące się na wodzie pośród desek i belek.

Wóz Huntera i furgonetka Hixonów z włączonymi reflektorami jechały ostrożnie po szosie przez góry Santa Monica, mijając od czasu do czasu znaki wskazujące drogę do Vandenbergu. Już dwa razy stłoczeni na Siedzeniach pasażerowie musieli wysiadać, żeby usuwać z drogi kamienie i żwir - osypiska bowiem były zbyt małe, aby marnować na nie resztki ładunku w pistolecie. W ostrym świetle reflektorów Corvetty lada chwila mogło się wyłonić nowe osypisko. Na tylnych kołach furgonetki rytmicznie pobrzękiwały łańcuchy.

Szczęśliwie się składało, że wschodni wiatr z gór, który wiał im w plecy, był ciepły, bo wszyscy, poza Hixonami i dziadkiem, siedzieli w otwartej furgonetce zmęczeni i przemarznięci.

Jedynym odgłosem oprócz warkotu silników i turkotu kół było ciche, miarowe syczenie w oddali.

Wędrowiec wszedł dwie godziny po zachodzie słońca i teraz towarzyszył im w drodze, unosząc się na bezchmurnym szarym niebie nad wschodnim grzbietem górskim, a jego ciepłe złociste światło stwarzało złudzenie, że to planeta jest źródłem przyjaznego wiatru. Wędrowiec nie był już okrągły jak przedtem, lecz przypominał zwichrowane nieco koło, jak Księżyc w dwa dni po pełni. Wąski czarny rożek zasłaniał skraj fioletowej płaszczyzny na tarczy i symbolem in-jong, gdy Wędrowiec, naśladując ruch zniszczonego przez siebie Księżyca, obracał się na wschód wokół Ziemi, a ściślej mówiąc, wokół punktu między sobą a Ziemią. Zdobywczy pierścień z księżycowych szczątków, który lekko opasywał równik planety, lśnił i migotał niczym zwiewny szal przetykany brylantami.

Droga łagodnie pięła się pod górę ku szerokiej przełęczy, której piaszczyste zbocza zakończone były płaskim kamienistym grzbietem. Kiedy dotarli na szczyt przełęczy, Hunter zjechał na prawe pobocze, zatrąbił cztery razy, zgasił reflektory i zatrzymał wóz. Furgonetka zjechała na lewe pobocze, stanęła równolegle obok nich i Hixon również zgasił światła.

Większość pasażerów przynajmniej raz w życiu oglądała ze szczytu góry lub z samolotu mgłę lub niską warstwę chmur, przez którą przebijają się pojedyncze szczyty, i dziwiła się, że jest taka płaska i rozległa - prawdziwy ocean chmur. Teraz przez sekundę, a może dwie, ogarnęło ich złudzenie, że znów oglądają taki widok, tyle że w świetle Wędrowca.

Ten iluzoryczny, nocny ocean chmur zaczynał się pięćdziesiąt metrów opodał, ze ledwie dwadzieścia metrów poniżej i ciągnął się wzdłuż gór aż po zachodni horyzont. Pośrodku była tylko jedna wyspa, niska i płaska, ale tak duża, że sięgała ,za północne krańce ciemnych zboczy, a dalej znikwała z pola widzenia. Na wyspie paliły się gdzieś czerwone i białe światełka, a blask Wędrowca oświetlał dwa skupiska niskich jasnych budynków.

Po chwili usłyszeli cichy warkot i zobaczyli .znizające się od południa czerwone i zielone światełka - to mały samolot lądowa] na wyspie. Półkilometrowa cieśnina dzieliła ją od lądu.

Nagle złudzenie przyszło i każdy z nich zdał sobie sprawę z tego, że to wcale nie ocean chmur rozciąga się przed nim, lecz ocean słonej wody, że patrzy nie na mgłę, Jęcz na wodę, której fale rytmicznie uderzają o zbocza gór i zalewają szosę pięćdziesiąt metrów przed nim; że wyspą jest Vandenberg 2, a woda w cieśninie odcięła, między innymi, szosę nadbrzeżną w miejscu, gdzie ta skręca w głąb lądu w stronę Dowództwa Projektu Księżycowego, siedziby Mortona Opperly, majora Buforda Humphreysa oraz Paula Hagbolta i Donalda Merriama, choć tych dwóch teraz tu nie ma.

Hunter, który siedział za kierownicą Corvetty, poczuł, że ktoś kładzie mu rękę na ramieniu, a po chwili wpija się w nie palcami. Przykrył rękę swoją dłonią, odwrócił głowę i spojrzał na Margo, na jej prosto opadające, jasne włosy, szerokie usta, wpadnięte policzki i wpatrzone w niego ciemne oczy.

Nie cofając ręki, zawołał do Hixona w furgonetce:

- Rozbijemy tu obóz. A kiedy woda spłynie, pojedziemy do Vandenbergu.

Don Merriam spojrzał w górę na widoczny przez szyb windy skrawek nieba, na którym harmonijnie kłębiły się czerwono-czarne chmury - miał wrażenie, że kolor chmur został tak dobrany, aby pasował do futra przewodnika, który w milczeniu stał obok.

Skrawek nieba powiększał się, najpierw wolno, potem coraz prędzej, aż nagle winda zatrzymała się, a jej podłoga znów stała się pokrytym arabeską, srebrnym chodnikiem.

Nic się nie zmieniło. Spadająca kolumna kamieni księżycowych wciąż górowała nad otoczeniem - szara wieża cztery razy wyższa od Mount Everestu. Dalej na pustym chodniku wielkie plastikowe bryły wznosiły się niczym armia abstrakcyjnych rzeźb. Zawieszane w powietrzu srebrne poręcze otaczały szyb.

Nagie Don spostrzegł, że tylko jeden latający talerz z fioletowożółtym znakiem in-jang znajduje się przy Babie Jadze. Statek kosmiczny lśnił teraz, jak gdyby był świeżo wypolerowany, a zamiast drabinki, pod włazem wisiała krótka, lecz szeroka metalowa rura rozsuwana niczym teleskop.

Za Babą Jagą stał radziecki statek kosmiczny, który również był świeżo wypolerowany i również miał rozsuwaną, metalową rurę wystającą spod włazu umieszczonego przy dziobie.

Kocia istota lekko dotknęła ramienia Dona i powiedziała obcym, dziwnym akcentem:

- Zabieramy cię do przyjaciela z Ziemi. Dokonałiśmy przeglądu twojego statku i zaopatrzyliśmy go w paliwo, ale najpierw pojedziesz ze mną moim pojazdem. Przesiądziesz się w kosmosie. Nie obawiaj się niczego.

Paul obudził się nagle, wyrwany ze snu przez Tygryskę, która warczała:

- Wstawaj! Ubieraj się! Mamy gościa! Przestraszony, odskoczył od okna, przy którym spał i przez chwilę pływał bezradnie w zerowej grawitacji, usiłując się rozbudzić.

Wewnętrzne słońce znów świeciło, okna znów były różowe i wraz z kwiatami stwarzały cieplarniano-buduarowy nastrój.

Tygryska pośpiesznie wyciągała jakieś rzeczy przez drzwiczki w Tablicy Odpadów i rzucała je w stronę Paula.

- Ubieraj się, małpo!

Jedna z rzeczy zaczepiła się o jej pazury, kotka oderwała ją z furią i cisnęła w jego stronę.

Paul, zupełnie odruchowo i bez najmniejszego trudu, przechwytywał rzeczy, bo kotka rzucała wyjątkowo celnie. Było to jego ubranie, świeżo wyprane, pachnące i uprasowane, choć spodnie nie miały kantów. Trzymając je niezręcznie, powiedział głosem wciąż ochrypłym i zaspanym:

- Ależ, Tygrysko...

- Pomogę ci, ty głupia małpo!

Podpłynęła szybko do niego, chwyciła koszulę i zaczęła mu wpychać nogę do rękawa.

- Tygrysko, co się stało? - zapytał, nie starając się nawet jej pomóc. - Po tym, co zaszło dziś w nocy...

- Nie waż mi się wspominać dzisiejszej nocy, małpo! - warknęła. Koszula rozdarła się.

Tygryska chwyciła następną część ubrania, jak się okazało płaszcz, i znów zaczęła wpychać nogę Paula do rękawa.

- Zachowujesz się tak, jakbyś była zła i wstydzisz się tego, co się stało - powiedział niepomny jej gorączkowych wysiłków.

Tygryska znieruchomiała: unosili się w powietrzu, gdy nagle kotka chwyciła Paula za ramiona i z wściekłością spojrzała mu w oczy swoimi fioletowymi! źrenicami.

- A czego się tu wstydzisz! - krzyknęła, a potem spytała oziębło: - Czy masturbowałeś kiedy zwierzę niższego gatunku?

Paul spojrzał na nią oniemiały, czuł, jak napinają mu się mięśnie, szczególnie mięśnie szyi.

- Nie udawaj niewiniątka! - warknęła rozdrażniona. - Na waszej planecie to jest na porządku dziennym. W ten czy inny sposób doprowadzacie byki i ogiery do ejakulacji, żeby zdobyć nasienie do sztucznego zapłodnienia!

- Więc to, co zaszło między nami, nie miało nic wspólnego z miłością? - zapytał cicho.

Tygryska syknęła jak ziemski kotka i powiedziała szorstko:

- Z prawdziwego uścisku miłosnego nie wyniosłbyś cało marnych ludzkich genitaliów. Zrobiłam głupstwo, nudziło mi się, żal mi było ciebie. To wszystko.

Nagle Paul wyraźnie zdał sobie sprawę z tego, że nadstworzenia tak jak ludzie mogą mieć nerwice, chwile słabości, robić to, czego nie wypada, nudzić się, trwonić czas i uczucia. Uświadomił sobie, jak bardzo musiałby być samotny i nieszczęśliwy, żeby kochać się z kotką, wyobrażając sobie, że to dziewczyna, żeby myśleć o Miau jako o partnerce, która budzi w nim pożądanie...

Wtem Tygryska! uderzyła go łapą i warknęła:

- Zejdź z obłoków, małpo! Ubieraj się!

Powoli zaczynał rozumieć Tygryskę, gdy nagle jej ostre słowa zepsuły wszystko. Nie dał jednak tego po sobie poznać, bo nadal pytał cicho i spokojnie:

- A więc dzisiejsza noc nic dla ciebie nie znaczyła? Po prostu chciałaś być "miła" dla bezbronного zwierzątka?

- Zrobiłam to głównie z nudy i litości - odparła stanowczo.

- Czy tylko? - nalegał Paul.

Tygryska spuściła wielkie oczy.

- Nie wiem, Paul. Po prostu nie wiem - rzekła stłumionym głosem i znów chwyciła płaszcz.

- Sam się ubierz - syknęła po chwili rozjątrzona i skoczyła do tablicy sterowniczej. - Ale pośpiesz się! Nasz gość zaraz tu będzie.

Nie usłuchał. Mimo udręki poczuł złośliwą chęć odwetu. Wolno wyjął nogę z rękawa

płaszcz.

- O ile sobie przypominam - powiedział - wszystko zaczęło się od tego, że to ja ciebie potraktowałem jak zwierzątko, jak zwykłą kotkę; drapałem cię w szyję, głaskałem twoje futro, a tobie to sprawiało rozkosz...

Różowa podłoga podskoczyła nagle. Paul wyrznął o nią plecami.

- Włączyłam grawitację taką, jaką macie na Ziemi, żebyś mógł się wreszcie ubrać! - krzyknęła Tygryska. - Och, gdybyś tylko wiedział, co to znaczy przebywać w towarzystwie kogoś, kto ma ohydne, łyse ciało, bez porównania niższą inteligencję, przy kim wciąż trzeba męczyć gardło wydawaniem kretyńskich dźwięków...

Paul zaczął się wreszcie ubierać: powoli, bez pośpiechu odnalazł slipy i spodnie i położył je na podłodze. Jednocześnie zastanawiał się, jak by dopiec Tygryscę - chciał się na niej zemścić, wszystko jedno jak. Wkrótce znalazł sposób.

- Tygryska, chelpisz się tym, że się nigdy nie mylisz - rzekł wolno; nie mógł się przyzwyczaić do ciężaru własnego ciała, chociaż było mu całkiem wygodnie, gdy tak siedział na różowo-fioletowej podłodze, wciągając slipy i spodnie. - Nie przeczą, twój umysł pracuje znacznie prędzej od mojego. Zapewne masz ejdetyczną pamięć - pamiętasz wszystko, co się dzieje wokół ciebie, a nawet to, co się dzieje w moim mózgu. A jednak, kiedy wczoraj wspomniałem o czterech istotnych fotografiach gwiazdnych, które widziałem na własne oczy - dopiero teraz zdaję sobie sprawę, że przedstawiały one planetę bezskutecznie usiłującą wyjść z nadprzestrzeni - zapewniłaś mnie, że były tylko dwa pola zniekształceń, jedno przy Plutonie, drugie przy Wenus. Ale bez względu na to, co myślisz, były cztery pola, czyli jeszcze dwie nieudane próby wyjścia z nadprzestrzeni...

Poczuł nagle, że Tygryska wkrada się mu do mózgu, żeby sprawdzić, czy nie kłamie. Mimo to mówił dalej:

- Pola, o których nie wiedziałaś, widać było wyraźnie na drugiej i na czwartej fotografii. Znajdowały się przy Jowiszu i przy Księżycu.

Odpowiedź Tygryski zaskoczyła go:

- Masz rację - rzekła krótko. - Muszę natychmiast połączyć się z Wędrowcem. To może być... właśnie to, czego się obawiamy.

Odwróciła się gwałtownie do tablicy sterowniczej. W warunkach normalnej grawitacji stała na tylnych łapach.

- A ty przywitaj naszego gościa!

Naprzeciw Paula pośrodku różowej podłogi otworzyła się kłapa, w której ukazał się mężczyzna w mundurze oficera amerykańskiego lotnictwa kosmicznego. Czując działanie

sztucznego pola grawitacyjnego, mężczyzna oparł się łokciami o krawędź podłogi, ale najwidoczniej nie bardzo go to zaskoczyło, bo szybko podciągnął się do góry.

Paul, który ledwo zdążył włożyć koszulę, wstał skwapliwie - i zanim kłapa się zamknęła, ujrzał wewnątrz szerokiej metalowej rury, jakby zrobionej z blachy falistej.

Przybysz spojrzał na Tygryskę, po czym rozejrzał się dokoła.

- Don!

- Paul!

- Myślałem, że zginąłeś na Księżycu. Jak...

- A ja myślałem, że ty... sam nie wiem. Ale jak... Zapadło niezręczne milczenie, każdy czekał, aż tamten pierwszy przemówi. Paul uświadomił sobie, że Don przygląda mu się zaintrygowany. Podciągnął szybko spodnie i zapiął koszulę.

Don znów spojrzał na Tygryskę - przyglądał się jej dłuższą chwilę. Potem spojrzał na kwiaty i wystrój wnętrza, a następnie skierował wzrok na Paula; uniósł brwi, wyciągnął bezradnie ręce i uśmiechnął się znacząco, jakby chciał powiedzieć: "Co mi tam, że układ słoneczny się rozpada, że jesteśmy w niezwykłym polu grawitacyjnym w niezwykłym statku, pośród pustki kosmosu, ale to, co widzę, jest zabawne jak buduarowa farsa".

Paul poczuł, że się rumieni. Zły był na siebie.

Tygryska odwróciła się na chwilę od tablicy sterowniczej i powiedziała:

- Witam, Donaldzie Merriam. Wybacz małpie, wstydzi się własnej nagości. Ty pewnie zresztą też. Doprawdy, powinniście mieć futro!

Rozdział 40

Dla grupy Huntera tarcza Wędrowca wskazywała "kwadrans po dinozaurze", jakby to określiła Anna, która teraz jednak spała. Tym samym Wędrowiec był o godzinę i piętnaście minut wyżej na niebie niż wtedy, gdy Hunter i Hixon zatrzymali wozy na przełęczy, żeby móc obejrzeć przypływ. Wszyscy zjedli późną kolację, oczyścili i obandażowali różne skaleczenia i zadrapania nabyte przy usuwaniu z szosy kamieni i teraz większość już spała w wozach lub koło nich, owinięta, płaszczami i kocami lub przykryta wielką brezentową płachtą, mimo że noc była stosunkowo ciepła.

Przy prymusie, na którym gotowała się woda na kawę, były jeszcze trzy osoby: dziadek, Drągał i Clarence Dodd. Dziadek, zwinięty w kłębek niczym wąż, badał swoje nędzne uzębienie poprzez pergaminowe policzki z taką powagą i niezadowoleniem, jakby Bóg był dentystą, któremu dziadek zamierzał wytoczyć proces o fuszerkę. Drągał siedział w pozycji półłotosu - z prawą kostką na lewym udzie, a prawym kolaniem na lewej kostce - i wpatrywał się w dinozaura, w tę złocistą bestię o fallicznym kształcie, obracającą się na Wędrowcu, jak gdyby była pępkiem kosmosu, Dodd zaś siedział w kucki i korzystając ze światła Wędrowca, spisywał w notatniku wydarzenia i spostrzeżenia minionego dnia.

Hunter i Margo, którzy szli obok siebie, trzymając się za ręce, podeszli do Dodda. Hunter położył mu rękę na ramieniu i powiedział cicho:

- Margo i ja idziemy na zbocze po przeciwnej stronie szosy. Gdyby się coś stało, .zatrąb pięć razy.

Dodd spojrział na nich i skinął głową.

Dziadek, leżący po drugiej stronie prymusa, zerknął na koc, który Margo trzymała pod pachą, odwrócił oczy i prychnął pogardliwie, dając tym samym do zrozumienia, że potępia takie postępowanie.

Drągał przerwał kontemplację i spojrział na dziadka.

- Przestań - powiedział cicho i spokojnie. Potem popatrzył na Huntera i Margo, i na Wędrowca świecącego nad nimi: jego zamyślona twarz fanatyka rozbliżyła uśmiechem.

- Niech Ispan pobłogosławi waszą miłość - powiedział, kreśląc na kolanie palcem wskazującym prawej ręki maleńkie egipskie klucze życia.

Dodd pochylił głowę i dalej coś pisał. Usta miał mocno zaciśnięte, jakby chciał ukryć uśmiech albo jakby powstrzymywał się, żeby nie parsknąć śmiechem.

Hunter i Margo przeszli na drugą stronę szosy. Anna i jej matka owinięte kocem leżały za furgonetką - Hunterowi zdawało się, że Rama Joan ma oczy szeroko otwarte i uśmiecha się do

nich, ale kiedy podeszli bliżej, zobaczył, że kobieta śpi. Nagle kątem oka ujrzał wysoką, ciemną postać, stojącą w cieniu furgonetki. Nawet twarz jej była ciemna, przysłonięta czarnym kapeluszem z opuszczonym rondem.

Huntera przeszły ciarki, nie miał bowiem wątpliwości, że to Brecht. Chciał, żeby Brecht coś powiedział, żeby Ukazał twarz, ale postać podniosła tylko rękę do kapelusza, nasunęła go głębiej na czoło i znów cofnęła się w mrok.

W tej samej chwili Hunter poczuł, że palce Margo zaciskają się mocniej na jego ramieniu - odwrócił się i spojrzał w cień furgonetki. Nikogo już tam nie było.

Szli dalej - nic o tym nie mówiąc. Trawa szeleściła im pod nogami, kiedy wspinali się na zbocze; była północ, Wędrowiec wisiał wysoko na niebie. Ani na chwilę nie zapominali o morzu, które zawładnęło wzgórzami - przyptyw zatrzymał się pięćdziesiąt metrów od nich, ale fale wciąż uderzały o zbocza - o Wędrowcu, który zawładnął niebem, a raczej przestrzenią wokół Ziemi, zamieniając niebo w ciemną, szarą powłokę; o grozie, która zawładnęła życiem wszystkich ludzi na całym świecie.

Weszli na niski, skalisty próg, z niego na następny i ujrzeni przed sobą płaski, prostokątny, szary gład wielkości gigantycznej trumny. Margo rozłożyła koc i oboje uklękli na nim twarzami do siebie. Patrzyli skupieni i poważni, a kiedy Się wreszcie uśmiechnęli, były to uśmiechy okrutne, drapieżne. Chwile ciszy między jednym a drugim uderzeniem fali wypełniało pulsowanie ich krwi, głośniejsze od huku wody. Góry jak gdyby rozbrzmiewały echem bicia ich serc i niemal drżały, a niebo tętniło w tym samym rytmie. Margo zdjęła kurtkę, położyła obok niej pistolet i zaczęła rozpinać bluzkę, ale Hunter ją w tym wyręczył. Dziewczyna dotknęła jego brody, chwyciła garść sztywnych włosów, zacisnęła palce i przycisnęła pięść do jego podbródka. Mieli wrażenie, że czas się zatrzymał, a przynajmniej, że nie - nagli i nie pędzi tak szybko; że wąski, niski korytarz, który trzeba czym prędzej - przebyć, zamienił się w rozległą równinę, na której można przystanąć. Wszystko - morze, skały, wzgórza, niebo, otaczające ich chłodne powietrze i wielka mieniąca się planeta - na swój sposób ożyło, zapadając się na zawsze w ich myślach, choć to może Ich umysły były teraz bardziej chłonne niż kiedykolwiek przedtem. Im bardziej Margo była świadoma ciała Huntera, a Hunter ciała Margo, tym bardziej - a nie, jakby się zdawało, tym mniej - byli świadomi wszystkiego, co ich otacza, rzeczy dużych i małych, - nawet tak małych jak kil ku milimetrowa fioletowa kreska na podziałce pistoletu, rzeczy zarówno widocznych, jak i niewidocznych, tego, co żywe, i tego, co martwe. Ich ciała i niebo stanowiły jedność - jaskrawe słońce zabiegające o względy ciemnego półksiężyca wreszcie się z nim połączyło. Czuli, że w ich ciałach szaleje wściekły przybój, że ogarnia je burzliwe, rozhuśtane morze, ale wiedzieli, że po burzy nastąpi cisza. Czas mijał, upływał niepostrzeżenie - przynajmniej raz nie szumiał o śmierci, lecz

harmonijnie jednoczył śmierć z życiem. Nad ich głowami złocista bestia w kształcie fallusa, która obracała się w prawo po ciemnofioletowej płaszczyźnie Wędrowca, w ciągu następnej godziny zamieniła się w złotego węża owiniętego wokół pękniętego jaja - w samicę, która walczy z zapładniającym ją samcem, owija się wokół niego i wreszcie go miażdży - a odłamki zniszczonego Księżyca lśniły i tańczyły wokół planety-intruza niczym miliony zaciekle ze sobą rywalizujących plemników wokół jaja.

Don zrelacjonował pokrótce Paulowi swoje przeżycia w kosmosie i na pokładzie Wędrowca. Obserwacje Merriama na ogół pokrywały się z tym, co Paul słyszał od Tygryski, i - choć wciąż (był smutny i dotknięty nagłą zmianą uczuć kotki - na chwilę odzyskał nastrój, jaki Tygryska zdołała stworzyć, opowiadając mu swoją historię. Teraz on z kolei opowiadał Donowi, co się działo tej nocy, gdy ukazał się Wędrowiec - mówił o symposium, na które poszedł z Margo, o zajściu przy bramie Vandenbergu 2, o falach spowodowanych wstrząsami - kiedy nagle Tygryska wtrąciła ostro:

- Skończcie już, proszę! Chcę wam zadać kilka pytań. Kotka stała przy tablicy sterowniczej pośród różowych kwiatów - przypuszczalnie bez słów porozumiała się ze swoimi zwierchnikami. Paul i Don siedzieli na różowej podłodze, a naprzeciw nich Miau od czasu do czasu wyskakiwała z kwietnika, najwyraźniej bardzo zaintrygowana, a przynajmniej podniecona sztuczną grawitacją ziemską.

- Czy dobrze cię traktowano tutaj i podczas pobytu na mojej planecie? - zapytała Merriama.

Don spojrzał na Tygryskę, myśląc o tym, jak bardzo mu przypomina kocią istotę - różniła się tylko kolorem futra - która schwytała wielkiego ptaka o topazowym upierzeniu i niczym baletnica, posilająca się po wieczornym przedstawieniu, piła jego krew.

- Kiedy uciekłem z Księżyca - powiedział - a to chyba zawdzięczam tylko sobie, podleciały do mnie dwa wasze statki kosmiczne, które zawiozły mnie na Wędrowca. Tam bodajże przez dwa dni trzymano mnie w wygodnym pokoju, po czym przywieziono tutaj. Nikt ze mną właściwie nie rozmawiał, ale miałem wrażenie, że ktoś wywraca na nice i bada mój mózg. Za sprawą sennych widziadeł pokazano mi wiele rzeczy, i to by było wszystko.

- W porządku, dziękuję. A czy ciebie, Paul, dobrze traktowano?

- Hm... - zaczął Paul, uśmiechając się do niej pytająco.

- Tak czy nie? - warknęła Tygryska.

- A więc tak.

- Dziękuję. Pytanie drugie: czy widzieliście jakieś oznaki pomocy okazywanej przez nas ludziom na Ziemi podczas przypływów?

- Kiedy lecieliśmy nad Los Angeles, San Francisco i nad Leningradem, widziałem, jak deszcz gasi pożary, a coś - może jakieś pole siłowe - cofa wody przyływu - powiedział Paul.

- Podczas wizji czy też snu widziałem chyba podobne rzeczy na monitorze telewizyjnym, mieszczącym się w jednej z wielkich sali na Wędrowcu - odparł Don.

- Ta wizja była zgodna z prawdą - zapewniła go Tygryska. - Pytanie...

- Tygrysko - wtrącił Paul. - Czy to wszystko ma związek z tymi dwiema fotografiami, które nie pokrywają się z próbami wyjścia Wędrowca z nadprzestrzeni? Czy boicie się, że dogonią was wasi prześladowcy? Przygotowujecie obronę (na wypadek, gdyby was oskarżono o szkody wyrządzona na Ziemi)?

Don spojrział ze zdziwieniem na Paula, który jeszcze nic mu nie mówił o opowieści Tygryski, ale kotka odparła spokojnie:

- Przestań gadać, małpo... to znaczy, człowieku. Tak, to możliwe. Ale mam jeszcze jedno pytanie: z tego, co wam wiadomo, czy wasi bliscy ucierpieli z powodu Wędrowca ?

- Trzech moich towarzyszy z bazy księżycowej zginęło, gdy Księżyc się rozpadł - odparł szorstko Don.

Tygryska skinęła szybko głową i powiedziała:

- Jeden z nich chyba się uratował - sprawdzamy to teraz. Na ciebie kolej, Paul.

- Właśnie rozmawiałem z Donem na ten temat, Tygrysko - zaczął Paul. - Margo i - inni członkowie sympozjum żyją, to znaczy żyli, kiedy ich ostatnio widziałem. Uciekali przed falami, któreś ty w jakiś sposób zmniejszyła. Ale to było dwa dni temu.

- Jeszcze żyją - powiedziała stanowczo kotka. Jej fioletowe oczy rozbliły, a wąskie usta ułożyły się w cienki, ludzki uśmiech. - Mam ich ciągle na oku - dodała. - Wy, śmiertelnicy, nie zdajecie sobie nawet sprawy, jak bardzo bogowie troszczą się o was, myślicie tylko o pożarach i trzęsieniach ziemi. Nie każę wam wierzyć mi na słowo - udowodnię wam! Wstańcie, obydwaj! Wyślę was na Ziemię, żebyście się sami przekonali.

- Pojedziemy Babą Jagą? - zapytał Don wstając. - Na pewno wiesz, że jest połączona z twoim statkiem za pomocą rury przestrzennej, a mnie dano do zrozumienia, że będę mógł... to znaczy, że będziemy mogli, Paul i ja... wrócić na Ziemię. Dalibyśmy sobie radę, gdybyś wypuściła nas tuż nad atmosferą bez zbytniej prędkości orbitalnej i...

- Nie - przerwała mu. - Babą Jagą pojedziecie później, za godzinę czy dwie, i wylądujecie na terenie waszego Vandenbergu Dwa, który znajduje się osiemset kilometrów pod nami. Teraz jednak wyślę was na Ziemię znacznie szybszym sposobem. Stańcie twarzą do tablicy sterowniczej! Przysuńcie się bliżej do siebie!

- Zupełnie jakbyś chciała zrobić nam zdjęcie - stwierdził Don z niewesołym uśmiechem.

- Właśnie to zamierzam zrobić - odpadła Tygryska. Światło słoneczne w kabinie przygasło. Miau, jakby przeczuwając, że dzieje się coś niezwykłego, wybiegła z kwiatów i zaczęła ocierać się o nogi Paula. Pod wpływem nagłego impulsu Paul wziął ją na rękę.

Margo i Hunter ubrali się, zwinęli koc i trzymając się za ręce ruszyli w dół zbocza - upojeni wspólnym przeżyciem czuli się zjednoczeni ze sobą i z całym kosmosem. Nagle usłyszeli ciche wołanie:

- Margo! Margo!

U podnóża góry przy dwóch wozach zobaczyli obóz. Nikt się nie ruszał. Blask promieniujący z tarczy Wędrowca, ukazującej węża owiniętego wokół jaja, oświetlał jedynie przykryte kocami śpiące postacie. Furgonetka wciąż rzucała cień, ale znacznie mniejszy niż przedtem, gdyż Wędrowiec był teraz wyżej na niebie.

Wołanie nie pochodziło z obozu, lecz z góry. Spojrzeli na morze, które cofnęło się o dziesięć metrów, pozostawiając za sobą szeroki mokry pas na wzgórzu, tam, gdzie jeszcze niedawno sięgał przypyływ. Woda, dzieląca ich od Vandenbergu 2, wyglądała teraz jak szeroka rzeka, z której gdzieniegdzie wyłaniały się wysepki. Skierowali spojrzenie w górę i na tle ciemnego szarego nieba ujrzeli dwie nisko świecące postacie mężczyzn, którzy sztywno wyprostowani, nie poruszając nogami, opadali coraz niżej, płynąc szybko jakby w stanie nieważkości, aż wreszcie w połowie drogi między Hunterem, Margo a obozem zapadli się pod ziemię.

Margo i Hunter przywarli do siebie: drżeli, czuli ciarki na całym ciele - obydwójce pamiętali postać, którą widzieli w cieniu furgonetki, i teraz przemknęło im przez myśl, że jedną ze zniżających się postaci jest Brecht, a całe wydarzenie albo wyraźniejszym, choć bardziej widmowym powtórzeniem pierwszego, albo jego kontynuacją. Kiedy się przekonali, że nic się nie dzieje, zrobili kilka kroków do przodu; nagle Margo spojrzała w dół zbocza, przerażona wciągnęła powietrze i trzymając Huntera za rękę, cofnęła się, jakby ujrzała na drodze zmię.

Przed nimi ze zbocza wystawały głowy dwóch mężczyzn, których ciała aż po ramiona tkwiły w ziemi. Chociaż rysy twarzy były zamazane, Hunterowi zdawało się, że jedna postać mu kogoś przypomina, ale nie wiedział kogo. Zorientowali się, że jeden mężczyzna jest kosmonautą, a drugi - ten ze znajomą twarzą - cywilem. Hunterowi przyszło na myśl, jak bardzo cała sytuacja przypomina spotkanie Odyseusza z duchami zmarłych w Hadesie, z tą tylko różnicą, że tych dwóch duchów nie przyciągnął zapach krwi tryskającej z byka, lecz głośnie pulsowanie krwi jego i Margo, gdy trwali w uścisku miłosnym.

Naraz postacie zaczęły wynurzać się z ziemi, nie wskutek własnych wysiłków - bo w ogóle się mię poruszały - ale za sprawą jakiejś zewnętrznej siły, która podnosiła je coraz wyżej, aż

wreszcie nogami dotykały powierzchni ziemi, a raczej unosiły się tuż nad powierzchnią w odległości zaledwie paru metrów od Margo i Huntera. Zamazane twarze stały się wyraźne i Margo, chwytając mocno za rękę Huntera, który w tej samej chwili rozpoznał drugą postać, krzyknęła:

- Don! Paul!

Postać, przedstawiająca Paula, uśmiechnęła się i otworzyła usta: głos idealnie zsynchronizowany z ruchem warg, choć nie wydobywający się z gardła, powiedział:

- Cześć, Margo. Dzień dobry, profesorze... pan wybaczy, ale nie pamiętam pana nazwiska. Nie, nie jesteśmy zjawami. To po prostu bardziej zaawansowany system porozumiewania Się.

Postać Dona, poruszając w ten sam sposób ustami, powiedziała :

- Paul i ja jesteśmy teraz w kosmosie w małym talerzu latającym, zawieszonym między Ziemią a Wędrowcem, choć trochę bliżej Ziemi. Cieszę się, że cię znów widzę, kochanie.

- Tak jest - wtrącił Paul. - To .znaczy, jesteśmy rzeczywiście w latającym talerzu. W tym samym, co porwał mnie z Ziemi. Widzisz? - Podniósł coś, co trzymał w ręku. - Mii a u jest z nami.

Kotka przez chwilę leżała spokojnie, potem ściągnęła pyszczek, wydając zsynchronizowany z ruchem warg syk i przebijając szybko łapkami, znikła w ciemnościach.

Postać Paula skrzywiła się, na moment podniosła rękę do ust, jakby ssła palec, po czym rzekła:

- Przestraszyła się. To wszystko jest dla niej takie dziwne.

Margo puściła rękę Huntera, uwolniła się z jego objęć, zrobiła krok naprzód, wyciągając jedną rękę do Paula, a drugą usiłując pogłaskać po policzku Dona. Jednocześnie uniosła twarz, żeby go pocałować. Kiedy zamiast dotknąć policzka Dona, przecięła ręką powietrze, wydała cichy okrzyk - nie tyle ze strachu, co ze złości na siebie - i wróciła do Huntera.

- Jesteśmy tylko trójwymiarowymi obrazami - T przelotnym uśmiechem wytłumaczył Paul.

- System ten niestały nie transmituje dotyku. Tu w kabinie widzimy wasze obrazy - teraz są nawet dość wyraźne, ale przedtem były okropnie zamazane. To wszystko, że tak powiem, jest naprawdę niesamowite, panie profesorze...

- Nazywam się Ross Hunter - powiedział Hunter, który odzyskał wreszcie mowę.

- Przykro mi, kochanie, że jestem zbyt ulotny, żeby można mnie było pocałować - rzekł Don. - Ale nadrobię wszystko, kiedy się znów zobaczymy. Wiesz, byłem na Wędrowcu.

- A ja rozmawiałem z jedną z mieszkanek Wędrowca - dodał Paul. - Niezwykła istota. Szkoda, że jej nie możesz zobaczyć, Margo. Chciała, żebyśmy...

- Byliście na Wędrowcu? - przerwał mu Hunter. - Rozmawialiście z nimi? Kim oni są? Co wyprawiają? Czego od nas chcą?

- Nie mamy czasu odpowiadać na pytania - odpad Paul. - A więc tak jak mówiłem, nasza...

hm, zdobywczy... chciała, żebyśmy się przekonali na własne oczy, czy przetrwaliście powódź i czy jesteście bezpieczni. To jeden z dwóch powodów naszej wizyty.

- Jesteśmy bezpieczni, jeżeli w ogóle można teraz mówić o bezpieczeństwie na Ziemi - powiedziała cicho Margo.

- Wszyscy z naszej grupy jak dotąd żyją - dodał głośno Hunter - oprócz Rudolfa Brechta, który zginął w wypadku w górach.

- Brechta? - spytał niepewnie Paul, marszcząc brwi.

- Wiesz, ten, którego przezywaliśmy Łysym •• przypomniała mu Margo.

- Tak, tak - powiedział Paul. - A tego śmiesznego starego pomylenca przezywaliśmy Drągalem, a profesora Huntera Brodaczem. Oj, przepraszam, panie profesorze.

- Drobiazg - odparł niecierpliwie Hunter. - A jaki jest drugi powód waszej wizyty? - zapytał.

- Chcieliśmy wam powiedzieć, że jeśli wszystko pójdzie dobrze, za kilka godzin wylądujemy w Vandenbergu Dwa, przylecimy prawdopodobnie Babą Jagą.

- A przynajmniej Don tam wylądował - dodał Paul. - Musimy jeszcze zostać w kosmosie. Wędrowiec jest może w niebezpieczeństwie. Sytuacja jest bardzo poważna.

- Wędrowiec w niebezpieczeństwie? - powtórzyła z niedowierzaniem, niemal ironicznie Margo. - Sytuacja jest poważna? A Ziemia nie jest w niebezpieczeństwie? jak myślisz, co się tu działo podczas ostatnich dwóch dni?

Hunter zwrócił się do Dona:

- Jak pan zapewne wie, Vandenberg Dwa leży tuż obok. Pojedziemy tam najprędzej, jak tylko się uda.

- Chcemy odnaleźć Mortona Oppery'ego - wtrąciła odruchowo Margo.

- To dobrze - powiedział Don do Huntera. - Łatwiej będzie się wam dostać, jeżeli powiecie, że macie wiadomości o mnie. Powiedzcie staremu, że Wędrowiec ma akceleratory liniowe długości trzynastu tysięcy kilometrów i cyklotron tej samej średnicy. To mu powinno dać do myślenia! Poza tym łatwiej mi będzie lądować, jeżeli oni będą na to przygotowani. - Spojrzał na Margo i dodał: - Wkrótce będę mógł cię pocałować, kochanie.

- Ja ciebie też - rzekła, patrząc na niego. - Ale wiele się tu zmieniło. Ja się zmieniłam. - Przynęła się do Huntera, żeby nie było wątpliwości, co ma na myśli.

Hunter zmarszczył brwi, ściągnął wargi, ale objął dziewczynę mocniej ramieniem, skinął głową i rzekł:

- To prawda.

Zanim Don zdołał odpowiedzieć - jeżeli w ogóle miał taki zamiar - Ziemię nagle zalał

jaskrawoczerwony blask, który na chwilę przygasł, a potem znów się ukazał. Cały krajobraz też na przemian czerwieniał, ciemniał i znów czerwieniał, jak gdyby w regularnych odstępach czasu oświetlała go bezgłówna, czerwona błyskawica. Hunter i Margo spojrzeli w górę i raptownie odwrócili wzrok od oślepiających, czerwonych punktów świetlnych, które zapalały się i gasły na północnym i południowym biegunie Wędrowca, miarowo zabarwiając na czerwono swoje bieguny i całe niebo nad Ziemią. Nigdy w życiu nie widzieli tak jaskrawego monochromatycznego światła.

- Stało się - powiedziała postać Paula, przez którą przenikało czerwone światło, tworząc jeszcze bardziej nieprawdopodobną wizję.

- Wędrowiec wzywa swoje statki - rzekła postać Dona. - Zawiadomimy Vandenberg - powiedział stanowczo Hunter. - Akceleratory liniowe długości trzynastu tysięcy kilometrów i cyklotron tej samej średnicy! Do prędkiego zobaczenia na Ziemi, i powodzenia!

Dwie postacie nagle znikły. Nie rozplynęły się we mgle, nie odpłynęły, tylko po prostu zgasły.

Hunter i Margo spojrzeli na oświetlone czerwonym światłem zbocze. Nawet fale były czerwone - pieniała się morską lawą. Przy wozach panował ruch: małe postacie chodziły, zbierały się w gromadki, wskazywały w górę.

Jedna osoba stała bliżej. Spoza głazu, niecałe siedem metrów od nich, Drągał, którego twarz w regularnych odstępach omywało czerwone światło, patrzył na nich z zadumą, z oczu wyczierała mu zazdrość.

Rozdział 41

Osiemdziesiąt kilometrów od Ziemi kosmonauta Tigran Biriuzow, który wraz z pięcioma towarzyszami odbywał na trzech statkach pierwszą radziecką podróż międzyplanetarną, orbitując wokół Marsa, widział wyraźnie czerwone sygnały. Dla niego Ziemia i Wędrowiec były dwiema jasnymi planetami, które dzieliła taka sama mniej więcej odległość, co sąsiadujące gwiazdy w Plejadach. Ale nawet w kosmosie pozbawionym atmosfery radziecki kosmonauta gołym okiem nie dostrzegwał, że obie planety mają kształt półksiężyca.

Łączność radiowa z Ziemią została przerwana z chwilą ukazania się Wędrowca i przez dwa dni sześciu mężczyzn zachodziło w głowę, nie wiedząc, co się stało na sąsiedniej orbicie. Zgodnie z harmonogramem powinni byli wylądować na powierzchni Marsa już dziesięć godzin temu, jednakże lądowanie odroczyli.

Patrząc przez teleskopy, widzieli dość wyraźnie to, co zaszło na niebie - schwywanie i zniszczenie Księżyca, ukazanie się dziwnych deseni na powierzchni Wędrowca - ale poza tym nic więcej.

Tigran widział dokładnie nią tylko czerwone sygnały, ale również jego ciemnoczerwone odbicia na nocnej stronie Ziemi. "Krasnyje Mołnii" - zaczął pisać, ale po chwili! odłożył pióro, stuknął się pięścią w policzek, wściekły, że nie może zaspokoić swojej ciekawości.

Czerwone błyskawice! - myślał. - O rany! Co robić?

Członkowie sympozjum mieli mnóstwo pytań do Margo i Huntera na temat ich krótkiej, choć niezwyklej rozmowy z Pauliem i Donem. Kiedy wreszcie para zdołała odpowiedzieć na wszystkie pytania, czerwone sygnały zgasły, a opadający szybko przypyływ odsłonił następną sporą część drogi do Vandenbergu, jak również odcinek szosy nadbrzeżnej.

Hixon podsumował rozmowę, wskazując kciukiem Wędrowca.

- A więc mają latające talerze, o czym wiedzieliśmy już przedtem. Mają pistolety, których promienie mogą rozstrzaskać góry, a nawet podziurawić planety. Mają również telewizję, znacznie lepszą od naszej, bo trójwymiarową. To wszystko rozumiem. Ale że grozi im niebezpieczeństwo? Tego nie rozumiem. Skąd grozi to niebezpieczeństwo?

- Może ściga ich inna planeta? - rzekła domyślnie Anna.

- Anno, proszę cię, wszystko, tylko nie to - zaproponował żartobliwie Wojtowicz. - Jedna niesamowita planeta w zupełności wystarczy.

Naraz cały krajobraz rozjaśnił się i Clarence Dodd, który jeden tylko z całej grupy patrzył na wschód, wydał zdławiony jęk, jak gdyby chciał coś zawołać, lecz głos uwiązł mu w gardle.

Dodd skulił się, wskazując jednocześnie ręką niebo nad wschodnim grzbietem gór.

A tam, między Wędrowcem a górzystym horyzontem na wschodzie, wisiał jasny, stalowoszary obiekt, podobny do zwichrowanego koła, o pół średnicy szerszy od Wędrowca, z małym błyszczącym światłem pośrodku.

Zaraz niebo się zawali, jest zbyt przeciążone - pomyślała Margo.

A głos niczym trąba rozbrzmiał i Baranek otworzył następną pieczęć... i następną... i następną... i następną... - myślał Drağal.

- Mój Boże! - zawołał cicho Wojtowicz. - Anna miała rację. To rzeczywiście następną planeta.

- Jeszcze większa - zauważyła pani Hixon.

- Ale nie jest okrągła - wtrącił niemal ze złością pan Hixon.

- Jest okrągła - sprostował Hunter - tylko częściowo znajduje się w cieniu, bardziej niż Wędrowiec, gdyby się tu akurat znajdował.

- Jest o siedem średnic Wędrowca niżej od niego rzekł Dodd, który szybko otrząsnął się z pierwszego wstrząsu i właśnie wyciągnął notatnik. To znaczy o piętnaście stopni, czyli o godzinę.

Zdjął nasadkę z pióra i spojrzał na zegarek.

- A to światło jest odbiciem słońca - stwierdziła Rama Joan. - Powierzchnia planety to jakby matowe lustro.

- Nie podoba mi się ta nowa planeta - powiedziała Anna. - Wędrowiec to nasz przyjaciel, taki śliczny i złoty, ale ta nowa planeta jest opancerzona.

Rama Joan przytuliła do siebie córkę i nie odrywając oczu od nowej planety, zauważyła z przejęciem:

- Zdaje mi się, że bogowie toczą wojnę. Nowy diabeł przybył, żeby stoczyć walkę z diabełem, którego już znamy.

Dodd, który pisał już zawzięcie, rzucił uradowany:

- Nazwijmy go Nowy. To do niego pasuje. Moglibyśmy go nazwać "Wilkiem" - pomyślał Harry McHeath - chociaż nie, to by się nam myliło z "Pyskiem".

- Na miłość boską - zirytowała się para Hixon. - Skończcie z tymi romantycznymi rozważaniami. Nowa planeta oznacza nowe przyływy, nowe trzęsienia Ziemi i licho wie, co jeszcze!

Przez cały ten czas Ray Hanks wołał płaczliwie z furgonetki :

- O czym mówicie? Ja nic nie widzę. Niech mi ktoś wreszcie powie, co się dzieje?

Harry McHeath cieszył się, że żyje, że jest tu akurat w tej chwili, że może oglądać te niezwykle, fascynujące zjawiska, i współczuł tym, którzy ich nie widzą. Nic więc dziwnego, że

właśnie on zareagował na wołanie Hanksa. Wskoczył do budy furgonetki, wziął do ręki lusterko i tak je ustawił, żeby Hanks mógł w nim zobaczyć Nowego.

Wanda, Ida i Drażal stali obok siebie. Nagle Wanda usiadła, wsparła głowę na rękach i zaczęła przejmująco jęczeć:

- Tego dla mnie za wiele. Znów chyba dostanę ataku serca.

Ida natomiast uderzyła Drażala w ramię i zapytała:

- Co to jest, Charlie? Jak &n się naprawdę nazywa? Powiedz!

Udręczony Drażal spojrzał na Nowego i wreszcie głosem, w którym brzmiała rezygnacja, a zarazem dziwna ulga i zrozumienie, powiedział:

- Nie wiem, Ido. Po prostu nie wiem. Wszechświat jest większy, niż sądziłem, nie potrafię ogarnąć go myślą.

W tej samej chwili z Nowego wystrzeliły dwie jasne smugi - tak proste, jak gdyby narysowano je przy użyciu linijki lśniącego, (niebieskim atramentem - które w ciągu ułamka sekundy dotarły do Wędrowca: jedna minęła go z przodu, druga z tyłu i pomknęły dalej po szarym niebie, choć teraz ich prędkość chyba nieco zmalała. Tam, gdzie niebieska smuga minęła Wędrowca z przodu, nastąpił wybuch białych, niemal oślepiających promieni.

Jedna ze smug wydobywała się z ciemnej strony Nowego i rzucając niebieski odbłask na jego czarny rąbek, podkreślała kulistość planety.

- Boże, to naprawdę wojna. - Wojtowicz znów odezwał się pierwszy.

- Lasery - powiedział Dodd. - Wiązki twardego światła. Takie wielkie - aż niewiarygodne.

- A my widzimy je tylko z boku - dodał Hunter, który oniemiał ze zdumienia. - Przecieki. A wyobraź sobie, co by było, gdyby skierowano je prosto na nas. Siła miliona słońc!

- A przynajmniej setki - rzekł Dodd. - Ale gdyby jeden taki promień choć przez ułamek sekundy padał na Ziemię...

Kolory niebieski i stalowy nasunęły Hixonowi pewne skojarzenia.

- Wiecie co? - zawołał podniecony. - Nowa planeta to policja! Przybyła aresztować Wędrowca za szkody, które wyrządził na Ziemi.

- Bili, chyba upadłeś na głowę! - krzyknęła do niego pani Hixon. - Zaraz powiesz, że to anioły.

- A niech walczą! A niech się zabijają! - wołał piskliwym głosem dziadek i drżąc na całym ciele, wygrażał im pięściami. - A niech wypalą sobie wszystkie wnętrza.

- Co to, to nie - zaprotestował Wojtowicz, który wciąż chodząc w kółko, patrzył na niebo. - A jak w nas trafią? Podobałoby ci się, gdyby strzelano na twoim podwórku? A co, gdyby cię trafiła zabłąkana kula?

- Promień z naszej strony chyba nie bije w Wędrowca, tylko w pierścień z odłamków Księżyca - powiedział szybko Hunter. - Odłamki rozpadają się, gdy ich dotyka.

- Tak - stwierdził spokojnie Dodd. - Zdaje mi się, że oni specjalnie strzelają obok Wędrowca, jak gdyby go chcieli ostrzec.

Na to Hixon wtrącił z ożywieniem:

- Mówiłem, że chcę go aresztować. Wiecie, jeden ruch i kula w łeb.

Na Nowym widocznie przerwano wysyłanie olśniewająco niebieskich promieni, bo zgasły one równie błyskawicznie, jak przedtem wystrzeliły. Został po nich na tle szarego nieba żółty powidok, który migotał patrzącym jakby pod powiekami!. Jednakże pierwsze dwa niebieskie promienie, choć malały raptownie i bladły w oddali, wciąż jeszcze gnały za Wędrowcem - proste niebieskie kreski, mknące w szarą nieskończoność.

- Mój Boże, myślałem, że to się nigdy nie skończy. Trwało dobre dwie minuty - zauważył Hixon.

- Dokładnie siedemnaście sekund - poinformował go Dodd, spoglądając na zegarek. - Jest faktem stwierdzonym, że czas trwania katastrofy podawany przez świadków zajścia bywa bardzo różny i zeznania ich zwykle są sprzeczne. Musimy o tym pamiętać.

- Masz rację, Dodd, musimy zachować trzeźwość - powiedział głośno i całkiem wesoło Wojtowicz, który teraz niemal skakał w kółko. - Oni wciąż zasypują nos niespodziankami, a nam nie pozostaje nic innego, jak się z nimi godzić. Hurra! Zupełnie jakbym był na froncie i krył się podczas bombardowania.

Naraz, jakby na dźwięk słowa "bombardowanie", ktoś pociągnął za cyngiel, rozległ się przytłumiony grzmot, potem dudnienie i szosa zakołysała się im pod nogami. Resory Corvetty i furgonetki piszczały i zgrzytały. Ray Hanks zaskomlał z bólu, a McHeath, który wciąż stał przy nim, oparł się o ścianę furgonetki, żeby nie upaść.

Gdyby ktoś obserwował ich z powietrza, odniósłby wrażenie, że wszyscy, slaniając się na nogach, przyłączyli się do tańczącego Wojtowicza., Jedna z kobiet wrzasnęła, pani Hixon zaklęła nieprzyzwoicie, a Anna krzyknęła:

- Mamusiu, głazy się osuwają!

Morgo usłyszała krzyk Anny, zerknęła na zbocze, gdzie niedawno była z Hunterem, i ujrzała, że głazy - między innymi również gigantyczna trumna, na której przedtem rozłożyli koc - odbijając się i podskakując, toczą się szybko w dół. Sumienie nagle ukłuło ją boleśnie, a mimo to natychmiast jedną ręką wyciągnęła spod kurtki pistolet impetu, drugą zaś oparła się o samochód, żeby nie stracić równowagi, choć niewiele to dało, bo Corvetta też kołysała się na wszystkie strony. Głazy toczyły się coraz szybciej. Hunter odgadł zamiar dziewczyny, podbiegł do niej i (krzyknął:

- Czy strzałka jest zwrócona w stronę lufy?

- Tak!

I kiedy głązy, niczym pędzące wielkimi susami szare bestie, zbiły się w gromadę, Margo wycelowała w nie pistolet i starając się utrzymać równowagę, nacisnęła spust.

Wstrząsy zmniejszyły się i ucichły, jednocześnie zaś spadające głązy zwolniły straszliwe, groźne tempo, zamieniając się niemal w wielkie szare poduszki - nie pędziły już po zboczu, lecz toczyły się wolno, coraz wolniej, aż wreszcie zatrzymały się przy szosie u stóp dziewczyny, a gigantyczna trumna spoczęła w miejscu, gdzie przedtem padał cień furgonetki.

Hunter zdjął palce Margo ze spustu i spojrzął na podziałkę na kolbie. Ładunek był wyczerpany.

Spojrzał teraz na szosę prowadzącą przez góry Santa Monica, - którą dzieliło pół kilometra od szosy nadbrzeżnej - dziwnym trafem nie było na niej żadnych głązów, woda znikła, choć w oddali burzyły się jeszcze fale. Po przeciwnej stronie szosy nadbrzeżnej ujrzał lśniąca metalową siatkę, otaczającą płaskowyż z Vandenbergiem 2, a u wylotu szosy górskiej potężną bramę wjazdową.

Na niebie świecił Wędrowiec i Nowy: Wędrowiec obracał się, ukazując na tarczy trzy płaszczyzny - fazę półgodzinną między węzłem i jajem a mandalą - natomiast Nowy lśnił zimno i obojętnie, jakby jego pole grawitacyjne nie miało nic wspólnego z niedawnym trzęsieniem ziemi.

Zaległa dojmująca cisza, którą przerwała Ida.

- Oj, maja noga - jęknęła.

- Co teraz robimy? Jaki jest następny numer programu? - spytał ironicznie Wojtowicz.

- Nic nie robimy, ty bałwanie! - krzyknęła na niego pani Hixon. - To już koniec!

Hunter wepchnął Margo do samochodu, sam usiadł za kierownicą, potem wstał i zatrąbił, żeby zwrócić uwagę pozostałych.

- Wsiadajcie! - zawołał głośno. - Wrzucie szybko do furgonetki to, co chcecie zabrać, jedziemy do Vandembergu!

Wiele ludzi na Ziemi zareagowało na Widok Nowego w ten sam sposób, co Wonda i pani Hixon: "To już koniec" lub "Tego już za wiele". Ci spośród pesymistów, którzy mieli pewne przygotowanie naukowe, zauważyli, że Nowy jest dość blisko Wędrowca - zaledwie sześć i pół tysiąca kilometrów, jeżeli dzieliła go taka sama odległość od Ziemi - aby jego pole grawitacyjne wzmogło raczej, niż zmniejszyło, olbrzymie pływy spowodowane przez Wędrowca.

Sporo jednak osób cieszyło się jak dzieci z nowej, stalowoszarej planety, która wysyła te niezwykle promienie. Przynajmniej na chwilę fascynujący spektakl astronomiczny odwrócił uwagę

od innych kłopotów i zmartwień, od problemów życia i śmierci. Na wzburzonym morzu, gdzieś w pobliżu Florydy, Barbara Katz, stojąca na dziobie "Albatrosa", zawołała:

- Jak w komiksie fantastycznonaukowym!

Tak, panno Barbaro, to naprawdę wspaniale! - przyznał z powagą Benjy.

- O rety, długo musieliśmy czekać na drugi akt - powiedział rozgoryczony Jake do Sally. Znów siedzieli na tarasie i owinięci wilgotnymi kocami, popijali dla rozgrzewki Hunters Friend - na rękach mieli nowe rękawice narciarskie, znalezione wśród rzeczy Hasseltine'a.

- Jeżeli akcja nie będzie się rozwijała prędzej, nasza sztuka zrobi klapę już w Filadelfii! - dodał.

W nie tkniętym wstrząsami obserwatorium astronomicznym w Andach siedemdziesięcioletni astronom francuski, Pierre Rambouillet-Lacepede, zatarł radośnie ręce, po czym chwycił ołówek i papier. Wreszcie naprawdę ciekawy przypadek trzech oddziaływujących na siebie ciał! - pomyślał.

Jednakże wiele osób po nocnej stronie Ziemi w ogóle nie widziało nowej planety z powodu gęstych chmur lub innych zakłóceń, nie mówiąc o tym, że niektórzy dotychczas nie widzieli nawet Wędrowca. Poprzez chmury, które opadały na dół w postaci gęstej mgły, Wolf Loner dojrzał niewyraźne, żółte światło. Kiedy podpłynął bliżej, zobaczył, że światło pochodzi z lampy naftowej umieszczonej kilka metrów nad wodą w oknie wysokiej murowanej budowli zwieńczonej kopułą. Gdy "Wytrwały" podpłynął jeszcze bliżej, Loner ujrzał wąski, żółty mur, a nad nim ciemną wieżę - rozpoznał miejsce, bo na tę wieżę wspinał się nieraz, ale mimo to nie mógł uwierzyć własnym oczom. Przekreślił ster, odwiązał grotzagiel, "Wytrwały" stuknął lekko w wąski daszek pod oknem. Woda przy murowanej budowli była spokojna, a żagiel łagodnie trzepotał na wietrze. Loner chwycił cumę, wskoczył na daszek, wszedł przez okno do środka, ostrożnie odsunął lampę naftową i rozejrzał się dokoła. Nie miał już najmniejszych wątpliwości: znajdował się w dzwonnicy kościoła Old North. Naprzeciw niego, oparta o mur, jakby się chciała w niego wtopić i zniknąć, stała ciemnowłosa, mniej więcej dwunastoletnia dziewczynka, wyglądająca na Włoszkę; dzwoniąc głośno zębami patrzyła bez słowa na Lonera. Nie odpowiadała na jego pytania - nawet gdy zadawał je łamaną hiszpańszczyzną lub po włosku, choć tym językiem też wcale nie władał biegle - potrząsała jedynie głową, ale to równie dobrze mogło być z zimna i przerażenia. Toteż po pewnym czasie, wciąż trzymając cumę, Loner podszedł do dziewczynki i choć mała cofnęła się lekliwie, wziął ją delikatnie, ale stanowczo na ręce i wyszedł przez okno. Ostrożnie ustawił z powrotem na parapecie lampę, wsiał na jacht, położył dziewczynkę w ciasnej kajucie i owinął ją kocem. Zauważył, że woda cofa się w kierunku, z którego przyplłynął. Potrząsnął z namysłem głową, patrząc tom, gdzie powinien był znajdować się cmentarz, odcumował jacht i korzystając z

odpływu, wyprowadził jacht z bostońskiego North End, kierując go na otwarte wody.

Z niezamierzoną, szatańską precyzją kapitanowie-powstańcy skierowali transatlantyk "Prince Charles" prosto na Parowca. Ten przypluwowy wał wodny na Amazonce w normalnych warunkach jest półtorakilometrowej długości wodospadem, wysokości około pięciu metrów, który płynie w górę rzeki z prędkością dwudziestu kilometrów na godzinę, rycząc tak głośno, że słyhać go na odległość piętnastu kilometrów. Teraz jednak nie był to wodospad, lecz bulgocąca góra, wysokością równa połowie długości "Prince Charlesa": góra ta pchała przed siebie pochylony pod kątem dwudziestu stopni wielki statek-miasto - niewiele co mniejszy od Manhattanu - po najgroźniejszej ze wszystkich rzek, teraz wezbranej pod wpływem Wędrowca i nowej planety. Huragan ryczał, wtórując grzmotom wału, a wichura zwiększała fale. Na wschodzie burza całkowicie przysłaniała niebo. Na zachodzie kłębiły się ciemne, poszarpane chmury. Kapitan Sithwise wszedł na mostek kapitański - przejście na powrót statku w tym kataklizmie odbyło się bez oporu - chwycił ster i zaczął przesyłać rozkazy do maszynowni atomowych. Z początku prowadził statek orientując się według kierunku i błysku wału wodnego, ale później - ponieważ jasny, nieruchomy blask planet wyraźnie przebijał się przez skłębione ciemne chmury - coraz bardziej zaczął polegać na jaskrawych światłach nawigacyjnych zawieszonych na niebie Nowego i niżej pod nim Wędrowca.

Paul i Don patrzyli na nową szarą planetę i otoczonego resztkami Księżyca Wędrowca przez przezroczysty sufit pojazdu Tygryski, który znajdował się osiemset kilometrów nad Vandenbergiem 2.

Sztuczne pole grawitacyjne wciąż było włączane, toteż mężczyźni leżeli na podłodze. Podłoga również była przezroczysta. Patrząc w dół, widzieli w świetle słonecznym, odbitym przez dwie planety, które przywędrowały z nadprzestrzeni, ciemne obszary południowej Kalifornii, gdzieś gdzie zalanej ciemnym srebrzystym morzem, a obok Kalifornii jaśniejszy obszar Pacyfiku, zarówno jednak woda, jak i ląd były trochę zamazane przez warstwę atmosfery ziemskiej.

Obraz w dole był z jednej strony przysłonięty. Z niewidocznego teraz włazu pośrodku przezroczystej podłogi wystawała gruba rura, która łączyła statek Tygryski z Babą Jagą, znajdującą się poza polem widzenia. Światło odbite przez Nowego i Wędrowca przenikało przez dwie nieruchome, przezroczyste płaszczyzny i lśniło po obu stronach metalowej rury, Oświetlając pierwsze dwa wewnętrzne uchwyty, służące do poruszania się w niej w stanie nieważkości.

Obaj mężczyźni starali się nie patrzeć w dół. Wprawdzie sztuczne pole grawitacyjne, jak ich zapewniła Tygryska, obejmowało tylko kabinę, sprawiało jednak, że głębia w dole budziła dreszcz przerażenia.

Paul i Don mieli taki sam widok na Nowego i Wędrowca jak grupa Huntera na Ziemi, dla nich wszakże planety świeciły znacznie jaskrawiej i tłem ich nie było stalowoszare niebo, lecz usiana gwiazdami czerń kosmosu.

Widok był dziwny, porywający, nawet "cudowny", ale ponieważ mężczyźni zdawali sobie sprawę - może jednak niezbyt dokładnie i nie w pełni - z tego, czym sytuacja grozi, czuli wzrastające napięcie. Wysoko nad nimi świecił Zbieg i Prześladowca, Buntownik i Policjant, Kłusownik i Leśniczy - jeden i drugi niepewny chwilowego rozejmu, czujny i wyczekujący.

Obły trójkąt w fioletowym uchu igły na tarczy Wędrowca i jasny krąg promieni słonecznych na większej, ciemnoszarej kuli Nowego sprawiały wrażenie oczu dwóch cyklopów, usiłujących zmusić jeden drugiego do spuszczenia wzroku.

Napięcie było ogromne i niezwykle wyczerpujące, tak wyczerpujące, że mężczyźni - mimo że we dwóch było im raźniej - marzyli o tym, żeby rozpląnąć się w powietrzu, zapaść się coraz niżej i niżej, pod wszystkie warstwy atmosfery, pod kamieniste ciało matki Ziemi i skryć się w jej czarnym łomie. To pragnienie było znacznie silniejsze od chęci oglądania niezwykłych cudów.

- Tygryska, dlaczego nie wróciłaś na Wędrowca? - zapytał z niemal dziecięcym wyrzutem Paul. - Czerwone sygnały dawno już zgasły. Inne statki pewnie już wróciły.

Z ciemności otaczających tablicą sterowniczą, dokąd nie docierał ani jeden promień światła Wędrowca czy Nowego, dobiegła ich odpowiedź Tygryski:

- Jeszcze nie czas.

- Czy nie lepiej, żebyśmy... Paul i ja... wsiedli do Baby Jagi? - spytał ze złością Don. - Skoro nie będę miał prędkości orbitalnej, poradzę sobie jakoś ze spodkiem przez atmosferę, choć to nie będzie łatwe, ale jeżeli będziemy zwlekać, to...

- Na to też jeszcze nie czas! - krzyknęła. - Najpierw musicie coś dla mnie zrobić. Uratowano was od okropieństw kosmosu i od powodzi. Macie długi wdzięczności wobec Wędrowca.

Wychyliła się z ciemności: blask planety oświetlił połowę jej fioletowo-zielonego pyszczka, szyi i piersi, druga połowa ciała wciąż była w cieniu.

- W ten sam sposób, w jaki wysłałam was na Ziemię - zaczęła cicho, lecz stanowczo - wyślę was teraz na Nowego jako świadków obrany. Stańcie obok siebie pośrodku kabiny, twarzą do mnie.

- Chcesz, żebyśmy się za wami wstawili? - zapytał Paul, gdy wraz z Donem odruchowo wykonał jej polecenie. - Żebyśmy powiedzieli, że wasze statki robiły wszystko, co w ich mocy, aby ratować ludzi i ich domy? Nie zapominaj o tym. Tygryska, że widziałem również wiele katastrof, którym nie zapobiegliście - znacznie więcej niż przykładów waszej akcji ratowniczej.

- Po prostu opowiecie wszystko, całą prawdę - odparła kotka, odrzucając głowę do tyłu. Oczy jej zabłyśły. - Weźcie się za ręce i nie ruszajcie się. Zaraz zgaszę światła w pojeździe. Promienie, które was ogarną, będą czarne. Będzie to dla was podróż bardziej prawdziwa niż ta na Ziemię. Wasze ciała pozostaną w kabinie, chociaż wam będzie się, zdawało, że ją opuściły. Nie ruszajcie się. Gwiazdy zasnuł mrok, Ziemia znikła, zgasły dwie fioletowe isierki w oczach Tygryski. Mieli wrażenie, że trąba powietrzna wyważyła drzwi, a ich, Paula i Dona, niesie przez kosmos, z prędkością myśli, i po sekundzie czy dwóch zostawia ich samych, trzymających się za ręce, na rozległej ciągnącej się bez końca równinie, płaskiej jak słona pustynia przy Wielkim Słonym Jeziorze, na lśniącej srebrzystoszarej równinie, wysuszonej promieniami, których ciepła nie czują.

- Myślałem, że Nowy jest kulą - powiedział Paul, na próżno usiłując przekonać samego siebie, że wciąż znajduje się w latającym talerzu Tygryski.

- Nie zapominaj, że Prześladowca jest większy od Ziemi - odparł Don. - A będąc na powierzchni Ziemi, też nie zdajesz sobie sprawy, że jest ona kulą.

Przypomniał sobie, że na Księżycu linia horyzontu jest zawsze blisko, ale przede wszystkim myślał o tym, jak niezwykle podobne jest to przeżycie do sennej podróży, którą odbył po Wędrowcu, i zaczął się zastanawiać, czy oba zjawiska wywołane są w ten sam sposób.

Niebo było usianą gwiazdami półkulą, obramowaną u góry słabym, postrzępionym blaskiem Słońca. Kilka średnic od Słońca widać było ciemną Ziemię otoczoną niebieskawym rąbkiem. Znad ciemnoszarego horyzontu wylaniał się Wędrowiec, który widziany z tej odległości był ogromny, pięć razy szerszy od Ziemi - srebrna linia horyzontu przecinała na pół żółte ucho igły, toteż planeta wyglądała tak, jakby mrużyła oko i jeszcze bardziej przenikliwie obserwowała przeciwnika.

- Sądziłem, że nas przekażą do wewnątrz - powiedział Paul, wskazując lśniącą metalową płaszczyznę u ich stóp.

- Z tego wniosek, że tu zatrzymują do kontroli celnej nawet widmowe obrazy - roześmiał się Don.

- Jeżeli jesteśmy falami eteru, to te fale przenoszą też naszą świadomość - rzekł Paul.

- Zapominasz, że wciąż jesteśmy w pojeździe Tygryski - zaproponował Don.

- Ale w takim razie, jaki aparat sięga obiektywem aż tutaj i transmituje obraz do talerza latającego? - zastanawiał się Paul.

Don bezradnie potrząsnął głową.

Na metalowej równinie między nimi a fioletowo-żółtą półkulą Wędrowca ukazał się biały błysk, który natychmiast znikł. Po chwili, nieco dalej, nastąpiły dwa kolejne błyski.

Zaczęła się walka - pomyślał Paul.

- Meteoryty! - zawołał Don. - Tutaj nie ma atmosfery, która by je zatrzymała.

Ciemnoszara powierzchnia rozstała się i nagle znaleźli się w ciemnościach. Ściślej mówiąc, ujrzeli krótki czarny błysk - trwający zaledwie ułamek sekundy - i zawisnęli pośrodku olbrzymiego, przyćmionego, kulistego pomieszczenia, z którego wszystkich ścian patrzyły na nich wielkie oczy.

Takie było ich pierwsze wrażenie. Potem przyszło im - na myśl, że wzorzyste otwory to nie są prawdziwe oczy, ale ciemne, okrągłe iluminatory, otoczone szerokimi różnobarwnymi pierścieniami. Znow się teraz czuli nieswojo, wydawało im się bowiem, że przeróżne oczy wpatrują się w nich przez otwory iluminatorów.

Obu im nasunęło się identyczne wspomnienie z czasów, gdy jako uczni szkoły podstawowej wzywano ich do gabinetu kierownika.

Nie byli sami w tym olbrzymim pomieszczeniu. Setki osób, lub trójwymiarowych obrazów, unosiło się pośrodku wielkiej kuli - niewiarygodne skupisko przedstawicieli ludzkości. Byli tu ludzie wielu narodowości: oficerowie państw afrykańskich i azjatyckich, dwóch kosmonautów radzieckich, śniady Maorys, Arab w białym burnusie, półnagi kulis, kobieta w futrze i wiele innych osób, których nie potrafili rozróżnić w tej ciżbie.

Srebrny, cienki jak igła promień światła wystrzelił z jednego z czarnych iluminatorów, które migotały cały czas tak, jakby kryły się za nimi oczy, ogarnął swoim blaskiem postacie znajdujące się po drugiej stronie pomieszczenia i nagle ktoś, chyba ten, na kogo padł promień, zaczął mówić szybko, choć spokojnie. Na dźwięk tego głosu Dona przeszył dreszcz, poznał bowiem mówiącego.

- Jestem porucznik Gilbert Dufresne z amerykańskiego lotnictwa kosmicznego. Byłem stacjonowany na Księżycu i w chwili, gdy miałem wyruszyć jednoosobowym statkiem, żeby zbadać nieznaną planetę, zaczęły się wstrząsy sejsmiczne. O ile mi wiadomo, trzech moich towarzyszy zginęło. Orbitowałem wokół Księżyca trasą wschód-zachód i wkrótce ujrzałem trzy olbrzymie kuliste statki kosmiczne. Jakieś pole siłowe, tak bym je przynajmniej określił, otoczyło mnie i mój statek i wciągnęło do jednego z pojazdów. Tam ujrzałem nie znane mi istoty. Przesłuchiwano mnie stosując jakiś rodzaj odczytywania myśli, zadbano też o moje potrzeby. Później zaprowadzono mnie na mostek nawigatora czy też do kabiny kontrolnej statku, gdzie pozwolono mi obserwować różne operacje.

Statek oddalił się od Księżyca i zawisł nad Londynem, gdzie przypyływ spowodował powódź. Pole siłowe albo jakieś pole energii z naszego statku cofnęło wodę. Poproszono mnie, żebym wraz z trzema osobnikami przesiadł się do mniejszego statku. Zniżyliśmy się nad jakimś

budynkiem - rozpoznałem British Museum. Jedna z obcych istot zaprowadziła mnie na górne piętro muzeum. Tam przywróciła do życia pięciu mężczyzn, którzy wydawali mi się martwi. Zatrzymaliśmy się jeszcze kilka razy, po czym wróciliśmy do dużego pojazdu.

Z Londynu poleciliśmy na południe do Portugalii, Lizbona była w gruzach na skutek potężnego trzęsienia ziemi. Tam zobaczyłem...

Dufresne mówił dalej, a Paula (który znał go tylko ze słyszenia) stopniowo zaczęło ogarniać uczucie, że bez względu na to, ile prawdy zawierają te słowa, są one w sumie zbędne i zupełnie niepotrzebne - puste dźwięki na marginesie wielkich wydarzeń, które i tak będą się toczyć własnym torem. Miał wrażenie, że oczy-iluminatory patrzą na to wszystko z szyderczą ironią albo też są chłodne i obojętne jak oczy gadów. Kierownik szkoły podstawowej słucha, lecz nie słyszy ucznia, mimo że ten mówi szczerą prawdę.

Widocznie Paul nie pomylił się w swoich przypuszczeniach, bo nagle, bez najmniejszego ostrzeżenia, wszystko znikło, ustępując miejsca znanej mu, jasno oświetlonej kabinie, iktórej podłoga i sufit były teraz zielone, i Tygryscie stojącej wśród kwiatów przy srebrnej tablicy sterowniczej.

- Wszystko na nic - powiedziała kotka. - Nie uwzględnili naszej obrony. Wsiadajcie do swojego statku i wracajcie na Ziemię. Prędko! Odłączę się od was, gdy tylko wsiadziecie do Baby Jagi. Dziękuję za pomoc. Do widzenia, Donie Merriamie, i powodzenia! Do widzenia, Paul.

W zielonej podłodze uniosła się okrągła zielona klapa. Don bez słowa wszedł do włazu głową w dół i zaczął się przeciskać przez rurę.

Paul spojrzał na Tygryskę.

- Prędko! - powtórzyła kotka.

Miau przysunęła się. niepewnie do Paula. Pochylił się nad nią, a kiedy kotka zerknęła na Tygryskę, nagle chwycił ją na ręce. Idąc do włazu gładził szare, najeżone futerko. Naraz zatrzymał rękę i odwrócił się.

- Nie idę - powiedział.

- Musisz, Paul - odparła Tygryska. - Twoje miejsce jest na Ziemi. Pośpiesz się.

- Wyrzekam się Ziemi i mojego gatunku - rzekł. - Chcę zastać z tobą. - Miau wierceła mu się w ramionach, usiłując się wyrwać, ale Paul tylko ją mocniej do siebie przytulił.

- Proszę cię, wyjdź natychmiast - powiedziała Tygryska i podeszła bliżej. Spojrzała mu prosto w oczy. - Nie możemy być ze sobą.

- Zostaję, słyszysz! - oznajmił jej tak głośno i gniewnie, że Miau przestraszyła się i zaczęła go drapać w ręce, żeby się uwolnić. Paul trzymał ją kurczowo i mówił dalej: - Nawet jako twoja maskotka, jeżeli już tak musi być. Ale nie ruszę się stąd.

Tygryska stanęła twarzą do niego.

- Nawet jako moja maskotka wie możesz tu zostać - rzekła. - Na to różnica między naszymi umysłami jest za mała. Och, wynoś się, ty głupcze!

- Tygrysko - powiedział szorstko Paul, patrząc w jej fioletowe oczy. - Mówiłaś, że dzisiejszej nocy przespałaś się ze mną głównie z nudów i litości. Czy naprawdę tylko dlatego?

Tygryska spojrzała na niego z wściekłością, jakby doprowadzona do ostateczności. Nagle jak błyskawica skoczyła do przodu, wyrwała mu z rąk Miau i z rozmachem uderzyła go w twarz. Gdy cofnęła łapę, na policzku Paula zostały centymetrowej długości jasnoczerwone ślady po jej trzech pazurach.

- Masz! - warknęła, obnażając kły.

Paul zrobił krok w tył, potem następny i znalazł się w metalowej rurze. Sztuczne pole grawitacyjne wepchnęło go do środka. Będąc już w stanie nieważkości, spojrzał w górę i ujrzał zagniewany, wykrzywiony pyszczek Tygryski. Krew spływająca mu po policzkach zawisła w pofalowanej srebrnej rurze, tworząc czerwone kulki. Zielony wąż zamknął się.

Rozdział 42

Członkowie sympozjum wjechali na teren Vandenbergu 2 bez przeszkód i bez fanfar, słowem, Ich przybycie było całkiem pozbawione romantyzmu - niby przybycie robotników do fabryki na nocną zmianę.

Nikogo nie było przy metalowej siatce, która tak niedawno znajdowała się głęboko pod wodą, ani przy wysokiej bramie, otwartej teraz szeroko - właściwie nie było nic, prócz dwudziestocentymetrowej warstwy śmierdzącego błota, toteż grupka podróżników minęła bramę - większość szła pieszo, żeby odciążyć wozy - i ruszyła rampą w górę na płaskowyż.

Hunter prowadził wóz, na którego tylnym siedzeniu, ledwo się na nim mieszcząc, leżała Wanda sapiąc ciężko. Nawet krzyk Wojtowicza nie powstrzymał jej nowego ataku serca.

Furgonetkę prowadziła pani Hixon, ponieważ Bill Hixon chciał obserwować planety - Wędrowca z mandalą na tarczy i Nowego, zbliżających się do zenitu - a ona, jak już nie raz mówiła, miała w nosie te astronomiczne cuda. Siedziała sama w kabinie furgonetki - dziadek chciał z nią zostać, ale powiedziała mu wprost, że śmierdzi nieprawdopodobnie, że pojazd jest własnością jej męża i że ona nie życzy sobie takiego towarzystwa.

We wnętrzu furgonetki jechał Ray Hanks i Ida, która troszczyła się zarówno o jego złamaną nogę, jak i o swoją spuchniętą stopę. Nie miała zaufania do proszków nasennych, toteż szpilkowała siebie i słabo protestującego Hanksa olbrzymią ilością aspiryny.

- Ssij - mówiła mu. - Jest taka gorzka, że o wszystkim zapomnisz.

Pozostali szli koło pojazdów. Już trzy razy musieli pchać furgonetkę przez bardziej błotniste miejsca, a furgonetka dwa razy musiała pchać wóz Huntera, kiedy buksowały koła. Wszyscy byli umorusani, buty mieli oblepione błotem; koła furgonetki zablocone były do tego stopnia, że łańcuchy nawet już nie pobrzękiwały.

Światło planet, zalewających swoim blaskiem błotnisty krajobraz, przeciął niebieski promień. McHeath, który z racji młodego wieku był bardziej spostrzegawczy od innych, krzyknął:

- Znów się zaczęło! Obaj strzelają!

Cztery cienkie, jaskrawo-niebieskie promienie przecięły szare niebo od Nowego w kierunku Wędrowca. Zamiast go minąć jak poprzednio, promienie zbiegły się. Nie uderzyły jednak w Wędrowca, tylko zatrzymały się tuż przed nim - widać było między nimi a planeta wąsiki, szary skrawek nieba - tworząc cztery niewyraźne, półkoliste, niebiesko-białe wachlarze.

Pewnie natrafiły na jakieś pole - domyślił się Clarence Dodd.

- Zupełnie jak w komiksach! - krzyknął podniecony Harry.

Trzy fioletowe promienie wystrzeliły z Wędrowca w stronę Nowego i też zostały

zatrzymane. Niebieskie i fioletowe promienie krzyżowały się między dwiema planetami, tworząc na niebie olbrzymią, regularną sieć.

- Zaczęło się! - ryknął Hixon.

Wojtowicz tak się zapatrzył w niebo, że spadł z rampy. McHeath zauważył kątem oka, że Wojtowicz znika z pola widzenia, i popędził co tchu do krawędzi rampy.

- Nic mi nie jest - odparł uspokajająco Wojtowicz, słysząc zaniepokojone wołanie McHeatha. - Pośliznąłem się, ale tu nie jest głęboko. Podaj mi rękę, bo nie chcę stracić z oczu nieba.

- Żałuj, że tego nie widzisz, kochanie. To wprost niesamowite! - krzyknął Hixon do żony.

- Sam sobie oglądaj te sztuczne ognie! Ja prowadzę - odpowiedziała z furgonetki pani Hixon i gniewnie zatrąbiła na Huntera, myśląc, że ten chce stanąć.

Hunter, choć zwolnił, wcale nie miał zamiaru się zatrzymać. Kilka razy zerknął szybko na wojujące planety, ale wciąż uważał, że najważniejszą sprawą jest dotarcie do Vandenbergu 2, dopóki trwa zamieszanie i planety są zajęte sobą. Chciał tam wreszcie dojechać i dać Opperly'emu pusty pistolet impetu - podobnie jak Margo, miał już obsesję na tym punkcie. Margo, która szła po lewej stronie maski samochodu, najwyraźniej myślała o tym samym.

- Hej! - zawołał Hunter. - Skręcamy w prawo! Uważajcie na rampę!

Skierował samochód na płaskowyż.

Wreszcie ujrzeli kogoś z obsługi - trzech żołnierzy, którzy, sądząc po karabinach opartych o ścianę blaszanej budki, powinni byli stać na warcie, a którzy przykucnąwszy, zafascynowali przyglądali się międzyplanetarnej bitwie. Jeden z nich pstryknął palcami.

Kiedy furgonetka wjechała za Corvetą na płaskowyż i oba pojazdy zatrzymały się, Margo podeszła szybko do żołnierzy i stanęła za nimi.

Na niebie trzy nowe niebieskie promienie i dwa fioletowe przyłączyły się do ognia zaporowego, komplikując rysunek sieci.

Margo dotknęła najbliższego żołnierza, a kiedy ten nie zareagował, potrząsnęła go za ramię. Obrócił do niej podnieconą, spoconą twarz.

- Gdzie jest profesor Opperly? - spytała. - Gdzie są naukowcy?

- Chryste, nie mam pojęcia - odparł. - Są gdzieś tam - wskazał ręką bliżej nie określone miejsce na płaskowyżu. - Niech mi pani nie przeszkadza!

Odwrócił się, skierował spojrzenie w niebo i uderzył jednego z kumpli w ramię.

- Tony! - zawołał. - Stawiam następne dwa dolce, że Złoty dołoży Kuli Armatniej.

- Przegrasz!

(Cztery tysiące kilometrów na wschód Jake chwycił Sally za ramię i krzyknął: - Och, Sally,

gdybym się tylko mógł z kimś założyć, który z nich wygra!).

Margo pomaszerowała naprzód. Pani Hixon znów zatrafiła. Hunter ruszył wolno za dziewczyną.

- W drogę! - krzyknął ostro do piechurów przy wozach. - Możecie patrzeć, ale nie stójcie w miejscu.

Przed nimi reflektory oświetlały białe ściany, na których tle rysowały się stojące postacie mężczyzn, stłoczonych w gromadki i nieruchomo wpatrzonych w niebo.

Na niebie wystrzeliły następne dwa promienie: nie pochodziły jednak z Nowego, lecz z punktów - może z ogromnych pancerników (kosmicznych - pół średnicy od planety. Jeden z nowych promieni przeszył Wędrowca. Krawędź górnej żółtej płaszczyzny mandali naraz rozbłysła, a gdy oślepiające białe światło zgasło, na fioletowo-żółtej powierzchni Wędrowca ukazała się podłużna, czarna dziura o poszarpanych brzegach.

Milczenie przerwała Anna, w której głosie brzmiała rozpacz:

- Mamusiu, oni ranią Wędrowca! Nienawidzę ich! Dziadek, który szedł potykając się, znów wymachiwał pięściami i krzyczał zadowolony:

- Spalcie się! Tak, spalcie się! Na co czekacie? Pozabijajcie się tam!

Nagle dziewięć niebieskich promieni zbiegających się tuż przed Wędrowcem rozstało się, tworząc jasnoniebieską półkolistą zasłonę - mglistą kurtynę, przez którą ledwo było widać fioletowe i złote płaszczyzny planety. Fioletowe promienie Wędrowca znikły.

- Chcą go zatopić! - krzyknął podekscytowany Hixon. - Zaraz zginie!

- Chyba nie. Wydaje mi się, że Wędrowiec ma nową tarczę ochronną - powiedział Dodd.

Pięć jaskrawych białych światełek rozbłysło na ciemnej powierzchni Nowego.

- Pociski! - domyślił się McHeath. - Wędrowiec odpiera ataki Drągał, który oddychając ciężko, szedł trzymając się furgonetki, zawołał z rozpaczą:

- Ale jaki stąd wniosek? Że nienawiść i śmierć rządzą kosmosem i że nawet istoty na najwyższym szczeblu nie potrafią temu zapobiec?

Nie odrywając spojrzenia od nieba, Rama Joan, która trzymała za rękę Annę, odpowiedziała szybko na pytanie Drągała głosem dźwięcznym i donośnym:

- Bogowie trwonią bogactwa gromadzone przez wszechświat, poddają próbom cuda, a potem je niszczą. Dlatego są bogami! Mówiłam, że to diabły.

- Och, mamusiu - rzekła z wyrzutem Anna. Zgodnie z przypuszczeniem McHeatha pięć białych światełek rozrosło się, tworząc bladą półkulę - front wybuchów - przez którą Widać było nietkniętą szarą powierzchnię Nowego.

- Ja się tam nie znam na diabłach, ale wiem na pewno, że zawsze będą wojny - oświadczył

Hixon i wskazał ręką niebo. - Oto najlepszy dowód.

- Nareszcie mówisz do rzeczy, Bili! - zawołała z furgonetki pani Hixon. - Ale co komu z tego?

- Kiedy najpotężniejsze... najmądrzejsze istoty... - mamrotał Draǵal. - Czy naprawdę nie ma ratunku?

Pytanie Draǵala zadane głosem tak pełnym rozpaczyny pobudziło imaginację McHeatha: na chwilę wyobraził sobie, że siedzi we wszechpotężnym jednoosobowym statku kosmicznym zawieszonym w połowie drogi między Wędrowcem a Nowym, gasi promienie obu planet i doprowadza do zaprzestania walki.

- Może ratunek musi nadejść z dołu. Może trzeba im stale i wiecznie pomagać - rzekł Dodd tak cicho, jakby mówił do siebie.

Ale Wojtowicz usłyszał go i nie odrywając spojrzenia od nieba, spytał:

- Jak to z dołu, Dodd? Chyba nie myślisz, że od nas? Dodd spojrzał na niego.

- Owszem. Od zwykłych szarych ludzi, takich jak ty i ja - odparł, parskając śmiechem na samą myśl o tym, jak zabawne muszą się wydawać jego słowa.

- O rety - roześmiał się Wojtowicz i potrząsnął głową. - Nic z tego nie rozumiem.

Szli dalej, z każdym krokiem zbliżając się do oświetlonych reflektorami ścian budynku. Młody mężczyzna w podkoszulku minął Margo, chwycił za rękę jakiegoś majora i krzyknął mu do ucha:

- Opperly kazał zgasić te przekłete reflektory. Psują nam obserwację!

Hunter mimo woli pomyślał o Archimedesie, który, gdy nieprzyjacielski żołnierz stanął na nakreślonym przez niego na piasku kole, zawołał:

- Psujesz mi rysunek!

Jak głosi legenda, żołnierz zabił Archimedes, ale major z Vandenbergu skinął tylko głową i zawrócił. Hunter poznał Buforda Humphreysa, którego spotkali dwa dni temu. Jednocześnie Humphreys spostrzegł Huntera, Ramę, Joan i Annę, słowem, całą bandę "fanatyków latających talerzy", którym zabronił wstępu do Vandenbergu. Wytrzeszczył oczy, ale po chwili wruszył ramionami, jakby chciał powiedzieć, że nic z tego nie rozumie, spojrzał na niebo i pobiegł wołając:

- Cholera jasna, kapralu, wyłączcie te reflektory! Margo tymczasem chwyciła za podkoszulek młodego mężczyznę, zanim ten zdążył się oddalić.

- Proszę nas zaprowadzić do profesora Opperly'ego - rozkazała. - Musimy złożyć raport. Niech pan spojrzysz, mam od niego kartkę.

- Dobrze, proszę za mną - odpowiedział młodzieniec, nie patrząc nawet na brudny, pomięty papier. - Ale zgaście światła! - krzyknął do Huntera i pani Hixon.

Posłusznie wygasili światła i ciemność spadła na białe ściany Vandenbergu. Margo nie odstępowała młodego mężczyzny. Hunter jechał za nimi, starając się nie stracić z oczu białego podkoszulka. Przed nimi na tle nieba rysowały się ekrany radarowe i biała podstawa teleskopu polowego.

W górze zgasły niebieskie promienie, znikła też mglista kurtyna wokół Wędrowca, ustępując miejsca setkom jaskrawych, białych światel.

Mrużąc oczy, McHeath zawołał:

- Sfera implozyjna!

W tej samej chwili Wędrowiec skoczył nagle o dwie średnice wyżej i wszystkich ogarnęło dziwne uczucie, jakby wszechświat zadrżał w posadach. Kiedy białe światła, znajdujące się po przeciwnej stronie, zaczęły przenikać na tę stronę sfery implozyjnej, ta rozbłysła - na jej powierzchni widać było szeroki rozdarty kołnierz, przez który wyrwał się Wędrowiec.

- Mają napęd antygravitacyjny - cała planeta! - zawołał Clarence Dodd.

Powłokę Wędrowca pokrywały czarne, postrzępione dziury, z których wydobywał się ciemnoczerwony blask - było ich tyle, że z trudem można było rozpoznać mandalę.

Z boku uszkodzonej planety wystrzelił w kierunku Nowego promień znacznie szerszy i jaśniejszy od poprzednich.

Zanim jednak przebył połowę drogi, Nowy, wbrew prawom fizyki, niby szarżujący nosorożec, poderwał się z taką prędkością, z jaką pędziły jego promienie, i zawisł obok Wędrowca. Planety dzieliła niewielka odległość, mniejsza od średnicy Księżyca.

Wędrowiec znikł.

Nowy wystrzelił salwę niebieskich promieni, które przecięły niebo w miejscu, gdzie przed chwilą znajdował się Wędrowiec.

- Brawo, rozwalił go na kawałki! - wrzasnął ekstatycznie dziadek.

- Nie, Wędrowiec znikł o ułamek sekundy wcześniej - sprostował Dodd. - Trzeba patrzeć uważnie.

Nowy, którego szara powierzchnia była cała i niepodziurawiona, choć pokrywały ją brązowe i zielone blizny, świecił jeszcze przez jakieś trzy, cztery sekundy - i też nagle znikł, jakby był wielką matową żarówką z kręgiem odbitych promieni słonecznych, którą niespodziewanie zgaszono.

Wiązka niebieskich promieni laserowych i gruby pojedynczy fioletowy promień, wciąż proste, ale coraz krótsze i mniej wyraziste, minęły się, oddalając się od siebie w ciemność kosmosu, podczas gdy gruszkowata sfera implozyjna, z której wyrwał się Wędrowiec, z każdą chwilą stawała się coraz większa i coraz bardziej widmowa.

- Uciekł w nadprzestrzeń - skomentował McHeath.

- Może, ale to już wrak - wtrącił Hixon. - Jest podziurawiony jak sito, a Nowy ruszył za nim w pościg. Już po Wędrowcu.

- Tego nie możemy być pewni - rzekł Hunter. - Może do końca swoich dni będzie uciekał przed Nowym. - A w myśli dodał: Jak Latający Holender.

- Nawet nie możemy być pewni, czy ich już naprawdę nie ma - powiedział Wojtowicz i roześmiał się nerwowo. - Może tylko przeskoczyli na drugą stronę Ziemi.

- To prawda - przyznał Dodd. - Nie widzieliśmy jednak żadnego ruchu... po prostu znikły. A mam przeczucie...

Dopiero wtedy, gdy znikł żółty i pomarańczowy powidok, członkowie sympozjum jeden po drugim zaczęli sobie uświadamiać, że stoją zupełnie bez ruchu w gęstych ciemnościach, Hunter zgasił silnik swojego wozu. Usłyszał, jak pani Hixon wyłącza silnik furgonetki. Gwiazdy znów zaczęły migotać na czarnym niebie - stare, znajome gwiazdy, które szare niebo ukrywało przez trzy noce.

Paul i Don wpatrywali się w ekran Baby Jagi, obserwując puste pole gwiazdne oraz niebieskie i fioletowe promienie laserowe, mknące w przestworza.

Obaj byli przypięci pasami do foteli. Paul trzymał przy policzku zaplamioną krwią chusteczkę. Don wpatrywał się we wskaźnik temperatury powłoki statku i w błyszczący zielony obraz radarowy, przedstawiający południową Kalifornię i Pacyfik. Mimo że mieli jeszcze prawie całą warstwę atmosfery ziemskiej do przebycia. Don przyhamował głównie po to, aby sprawdzić, czy silnik jeszcze działa.

- No i odpłynęli - powiedział.

- W burzę kosmiczną - dokończył za niego Paul. - Wędrowiec to już wrak.

- Gdyby był wrakiem, nie zdołałby wejść w nadprzestrzeń - zapewnił go wesoło Don. Na ekranie zaczęły się stopniowo wyłaniać gwiazdy. Don włączył silnik korekcyjny i wyrównał lot.

- Może wpłynie w inny kosmos - zastanawiał się Paul. - Może na tym właśnie wszystko polega: nie pchać się nigdzie na siłę, tylko dać się nieść niczym wrak prądom nadprzestrzeni, płynąć po wzburzonej fali.

Don spojrzał badawczo na Paula.

- Sporo się od niej nauczyłeś, co? - spytał. - Ciekaw jestem, czy zdążyła wrócić na Wędrowca.

- Na pewno - odparł krótko Paul. - O ile wiem, nawet te małe statki poruszają się z prędkością światła albo jeszcze prędzej.

- Nieźle cię podrapała - stwierdził z udaną obojętnością Don, po czym dodał skwapliwie: - Ja nie miałem tu żadnych przygód miłosnych. - Znów włączył silnik korekcyjny, skrzywił się widząc wskaźnik temperatury statku i ciągnął dalej: - I chyba nie czekają mnie żadne na Ziemi. Zdaje mi się, że Margo naprawdę zakochała się w tym Hunterze.

Paul wzruszył ramionami.

- Tobie to przecież nie robi różnicy. Zawsze bardziej ceniłeś samotność od ludzi. Nie chcę cię urazić, ale najpierw trzeba polubić siebie, żeby móc pokochać innych.

Don zerknął na Paula spod oka.

- Na pewno kochałeś Margo bardziej niż ja - powiedział. - Chyba zawsze o tym wiedziałem.

- To prawda - przyznał smętnie Paul. - Będzie na mnie zła, że straciłem Miau.

- Czegóż to ten kot nie zobaczy! - roześmiał się Don i nagle spoważniał. - Ty też chciałeś zostać z Tygryśką, prawda? Po moim wyjściu powiedziałaś jej o tym.

Paul skinął głową.

- Za nic nie chciała się zgodzić. A kiedy zapytałem, co do minie czuje, oto, co mi zrobiła - dotknął zakrwawioną chustką policzka.

- Lubisz strugać męczennika - roześmiał się Don i dodał wesoło: - Wiesz, Paul, gdybym to ja był zakochany w tej damie, ślady jej pazurów jak nic przekonałyby mnie o tym, że mnie kocha. A teraz trzymaj się beczki - zaczyna się Niagara.

Członkowie sympozjum stali w ciemnościach pod gwieździstym niebem. Po chwili, tak blisko, że przez moment zdawało im się, że są w pokoju, zapaliło się małe światło, w którego blasku ujrzeli stół zastawiony różnymi przedmiotami, a przy nim chudego mężczyznę w nieokreślonym wieku, o ostrych rysach faraona. Margo, idąc za młodym mężczyzną w podkoszulku, podeszła do stołu, Hunter wysiadł z wozu i ruszył za nią.

Mężczyzna przy stole spojrzał w bok, skąd rozległ się czyjś głos:

- Pola magnetyczne obu planet znikły. Wszystko wróciło do normy.

- Profesorze Opperly - powiedziała głośno Margo. - Szukamy pana od dwóch dni. Przyniosłam panu pistolet, który wypadł z latającego talerza. Wprawia przedmioty w ruch. Myśleliśmy, że najlepiej będzie go panu oddać. Niestety w drodze zużyliśmy cały ładunek.

Profesor spojrzał na twarz dziewczyny, a potem na szary pistolet, który wyjęła spod kurtki. Jego wąskie usta wygiął złośliwy uśmiech.

- Wygląda jak blaszana zabawka - odparł krótko, po czym znów zwrócił się do mężczyzny stojącego obok.

- A zakłócenia radiowe, Denison? Ustąpiły czy też...

Margo prędko przesunęła strzałkę na kolbie pistoletu do siebie, wycelowała w stół i nacisnęła spust. Opperly i młody mężczyzna w podkoszulku rzucili się do przodu, żeby odebrać jej broń, ale nagle się zatrzymali. Kilka kartek papieru poleciało w stronę pistoletu, jak również trzy spinacze i metalowy ołówek, który przytrzymywał papier. Przez chwilę przedmioty wisiały przy lufie, a potem spadły na podłogę.

- Pole elektrostatyczne - rzekł z zainteresowaniem młody mężczyzna w podkoszulku, patrząc na spadające kartki papieru.

- Działa również na przedmioty metalowe - dodał mężczyzna stojący przy Opperlym, widząc spadające spinacze. - Indukcja?

- Pociągnęło mnie za rękę! Czuję wyraźnie - powiedział sam Opperly i rozprostował palce dłoni, którą sięgał nad stołem po pistolet. Znow spjrzał na Margo. - Naprawdę wypadł z latającego talerza? - spytał.

Margo uśmiechnęła się i podała mu broń.

- Mamy też dla pana wiadomość od porucznika Donalda Merriama z amerykańskiego lotnictwa kosmicznego - wtrącił Hunter. - Będzie tu lądował...

- Czy wśród tych, co zginęli na Księżycu, nie było jakiegoś Merriama? - zapytał Opperly kogoś stojącego obok.

- On nie zginął - powiedziała Margo. - Wydostał się na Babie Jadze. Był na Wędrowcu. Będzie tu lądował... może już teraz zbliża się do Vandenbergu.

- Prosił, żebyśmy przekazali panu od niego wiadomość, panie profesorze - rzekł Hunter. ~ Nowa planeta ma akceleratory liniowe długości promienia Ziemi i cyklotron tej samej średnicy.

Opperly uśmiechnął się.

- Chyba przekonał się o tym na własne oczy, co? - spytał.

Żadne z nich nie zauważyło gwiazdy koło Marsa, która zaczęła migotać później niż inne. Znikający w oddali promień laserowy uderzył w Deimos - małego satelitę Marsa - i rozgrzał go do białości, wywołując poruszenie wśród członków ekspedycji radzieckiej. Opperly położył pistolet i wstał od stołu.

- Proszę za mną - powiedział co Margo i Huntera. - Musimy zawiadomić lądowisko, żeby przygotowali się na przylot Baby Jagi.

- Chwileczkę, panie profesorze, czy pan zamierza zostawić pistolet tak na wierzchu? - zapytała Margo.

- A, przepraszam - rzekł Opperly. Wziął pistolet i podał go Margo. - Niech się pani nim na razie zaopiekuje.

Richard Hillary i Wera Carlisle szli wąską drogą, która skręcała na południe przy Malvern

Hills. Nie byli już sami - drogą wędrowało wielu piechurów.

Odkryli, że mimo wspólnie spędzonej nocy coś ich wciąż gna niby lemingi - przynajmniej za dnia - do dalszej wędrówki. Richard znów myślał o Black Mountains. Może uda im się tam dotrzeć, nie schodząc na tereny nizinne.

Ranne słońce zakrywały chmury, które nadciągnęły z północy, gdy Wędrowiec - mając za kwadrans D na tarczy - opadał na zachodzie. Wtedy też wydarzyło się coś dziwnego: Wędrowiec skrył się za zasłoną chmur, a po sekundzie ukazał się jakby odrodzony, srebrzystoszary i większy niż poprzednio, ukazał się na tej samej wysokości, na której znajdował się godzinę przed zejściem. Zastanawiali się, czy jest to odbicie Wędrowca, czy inna, zupełnie nowa planeta. Ale po chwili odbicie czy też obcą planetę również pochłonęły chmury.

Wera przystanęła i włączyła radio. Richard westchnął z rezygnacją i też się zatrzymał. Dwaj mężczyźni, którzy znajdowali się w pobliżu, również przystanęli z ciekawości.

Wera powoli przekręcała gałkę. Nie było zakłóceń. Nastawiła radio na cały regulator i znów przekręciła gałkę. W radiu nadal panowała cisza.

- Może jest zepsute - zauważył jeden z mężczyzn.

- Zużyłaś baterię - rzekł bez cienia współczucia Richard. - ! bardzo dobrze.

Nagle usłyszeli jakieś dźwięki, z początku ciche i piskliwe, ale gdy Wera znów zaczęła manipulować gałką, w ciszy zalegającej góry i szare niebo rozległ się wyraźny, donośny głos:

- Powtarzam. Według wiadomości przekazanych telegraficznie z Toronto i potwierdzonych przez Buenos Aires i Nową Zelandię, obie planety znikły równie nagle, jak się ukazały. Nie oznacza to natychmiastowego końca zwiększonych pływów, ale...

Słuchali dalej. Wokół nich gromadziło się coraz więcej ludzi.

Bagong Bung uznał, że morze dostatecznie się już uspokoiło, żeby mógł obejrzeć znalezione skarby, toteż wyciągnął spod siebie gruby, płócienny wór, który - podobnie jak zniszczone sakiewki z monetami wydobytymi z "Królowej Sumatry" - trzymał stale przy sobie, i otworzył go tak, aby Cabber-Hume również mógł do niego zajrzeć.

Rozhuśtane fale, które raz po raz uderzały w pomarańczowy ponton, zmyły błoto, pozostawiając w worze czyste, malutkie przedmioty. Między koralami, kamyczkami i muszlami Bagong Bung ujrzał ciemno połyskujące stare złoto i malutkie, ciemnoczerwone płomyki trzech - nie, czterech! - rubinów.

Wolf Loner trzymał w ręce łyżkę z zupą, ponieważ mała Włoszka odwróciła buzię, żeby spojrzeć na rąbek słońca wschodzącego nad szarym Atlantykiem.

- Il sole - szepnęła.

Przesunęła ręką po drewnianej burcie "Wytrwałego".

- Una nave.

Dotknęła ręki trzymającej łyżkę i spojrzała Lonerowi w oczy.

- Noi siamo qui - rzekła.

- Tak, jesteśmy tutaj - powiedział Loner.

Kapitan Sithwise obserwował z mostku kapitańskiego na transatlantyku "Prince Charles" długie połacie błotnistej, zielonej dżungli, parującej w blasku nisko zawieszzonego, czerwonego słońca.

- Panie kapitanie, według wstępnych obliczeń mamy na pokładzie osiemset przypadków złamania kończyn i czterysta przypadków wstrząsu mózgu - oznajmił intendent.

- A więc Brazylia ma pośród dżungli zaczątek miasta atomowego - powiedział pierwszy oficer. - Nie damy już rady stąd wypłynąć, ale cała ta sprawa skończy się przed trybunałem międzynarodowym.

Kapitan Sithwise skinął głową, wciąż obserwując dziwny, zielony port, do którego zawinął ich statek.

Barbara patrzyła na niebieską wodę wokół "Albatrosa". Za ledwie jedną falę na dziesięć wieńczyła biała piana. Słońce wschodziło nad połamanymi, wygiętymi palmami, rosnącymi niecałe trzy kilometry od nich. Hester siedziała przy władze, trzymając na rękach chłopczyka.

- Benjy - powiedziała Barbara. - W kajucie pod pokładem powinno być brezentowe płótno albo jakiś koc. Czy mógłbyś zrobić żagiel? Popłynęlibyśmy...

- Mógłbym, panno Barbaro - przerwał jej Murzyn. Ziewnął szeroko i przeciągnął się, wypinając pierś ku słońcu. - Ale najpierw zamierzam się przespać.

- Ojej, już się wszystko skończyło - powiedziała Sally do Jake'a.

- Boże, Sally, czy tobie się nigdy nie chce spać? - zapytał Jake.

- Kto by tam teraz mógł zasnąć! - zawołała. - Zaczniemy dawać znaki. Albo nie, skoro mamy już cały materiał, weźmy się wreszcie na serio do pisania sztuki.

Pierre Rambouillet-Lacepede z żalem odsunął na bok kartkę z obliczeniami wzajemnych oddziaływań na siebie trzech ciał niebieskich - wiedział, że nigdy już nie będzie mógł ich sprawdzić - i zaczął słuchać sprawozdania Francois Michauda.

- Nie ma co do tego żadnych wątpliwości! - mówił z ożywieniem młodszy astronom. - Dzień gwiazdowy wydłużył się o trzy sekundy w skali rocznej! Przybycie tych planet wywarło trwałą, wymierny wpływ na Ziemię!

Margo i Hunter, trzymając się za ręce, stali w ciemnościach na skraju lądowiska mieszczącego się na północnym końcu płaskowyżu Vandenberg 2.

- Boisz się spotkania z Paulem i Donem? - zapytał szeptem Hunter. - Nie powinienem cię teraz o to pytać, kiedy martwisz się, czy w ogóle wylądują.

- Nie, nie boję się - odparła, kładąc drugą rękę na jego dłoni. - Chcę się z nimi tylko przywitać. Mam przecież ciebie.

Tak, właśnie - pomyślał Hunter niezbyt radośnie. Wiedział, że musi odpowiednio ułożyć swoje życie, aby było w nim miejsce dla Margo. Czy będzie mógł porzucić żonę i synów? Był pewien, że nie.

Nagle coś innego przyszło mu na myśl.

- I masz Martena Opperly'ego - szepnął. Margo uśmiechnęła się.

- Przyznaj się, Ross, co chcesz przez to powiedzieć?

- E, nic takiego - odparł.

Wokół nich zgromadzili się pozostali członkowie sympozjum. Furgonetka i Corvetta zaparkowane były nie opodal.

Obok stał profesor z kilkoma innymi naukowcami. Przed chwilą z wieży radiowej doniesiono o nawiązaniu łączności z Babą Jagą.

W górze nad nimi świeciły znajome gwiazdy północnego nieba, rozsiane między konstelacją Skorpiona i Niedźwiedzicy, a wysoko na zachodzie błyszczało wrzecionowate podłużne skupisko nowych gwiazd - jedne rzucały słaby blask, inne świeciły jaśniej od Syriusza - były to lśniące pozostałości Luny.

- Dziwnie będzie bez Księżyca - powiedział w zamyśleniu Hixon.

- Jednym pociągnięciem wymazano z mitologii stu bogów - zauważyła Rama Joan.

- A ja żałuję, że Wędrowiec odleciał - wtrąciła Anna. - Mam nadzieję, że udało mu się uciec.

- Straciliśmy nie tylko bogów, Księżyca - stwierdził smętnie Drağal.

- Nie przejmuj się, Charlie - starała się go pocieszyć Wanda. - Byłeś świadkiem tylu wielkich wydarzeń. Wszystkie twoje przepowiednie...

- Wszystkie moje marzenia - poprawił ją Drağal. Zmarszczył brwi i uściśnął rękę Wandy.

- Będziemy mieli dwóch nowych bogów na miejsce każdego, którego straciliśmy - rzekł

Hunter. - Przekonacie się.

- Mnie tam wcale nie zad Księżycyca - mruknął niechętnie dziadek. - Nigdy nie miałem z niego żadnej korzyści.

- A spacerzy przy Księżycu z ładną dziewczyną? - spytała Margo.

- Nie ma Księżycyca, nie będzie pływów - powiedział McHeath, jakby nagle zrobił wielkie odkrycie.

- Nie zapominaj o Słońcu - przypomniał mu Dodd. - Co prawda będą znacznie niniejsze, takie jak na Tahiti.

- Ciekawa jestem, co się stanie z tymi resztkami Księżycyca? - zapytała Margo, patrząc na zachodnią część nieba. - Czy wciąż będą tworzyć taki pierścień?

Opperly usłyszał pytanie Margo.

- Nie - odparł i zaczął wyjaśniać: - Teraz, gdy centrum grawitacyjne Księżycyca znikło wraz z Wędrowcem, pojedyncze odłamki rozsieją się po niebie z taką prędkością, z jaką wędrowały po orbicie - około ośmiu kilometrów na sekundę. Niektóre z nich mniej więcej za dziesięć godzin zderzą się z atmosferą ziemską. Nastąpi deszcz meteorów, niezbyt groźny, mam nadzieję. Te resztki Księżycyca znajdują się teraz nad biegunem północnym Ziemi. Spadając, nie powinny w nas trafić. Wiele z nich będzie wędrować po długich, eliptycznych orbitach wokół Ziemi.

- Ojej! - zawołał wesoło Wojtowicz. - Z panem to zupełnie jakby Brecht znów był z nami.

- Brecht? Kto to? - spytał Opperly.

Przez chwilę panowała cisza. Potem Rama Joan powiedziała :

- Nasz przyjaciel...

W tym momencie ujrzeli w zenicie żółty błysk, a po chwili pionowy, cytrynowy płomień, który wolno opadał ku Ziemi. Rozległo się ciche, stopniowo wzmagające się wycie, podobne do huku ognia buzującego w kominku. Żółte płomienie zgasły przy dyszach statku - Baba Jaga wylądowała bezpiecznie w Vandenbergu 2.